

jak KRAŚĆ ?

Podręcznik złodzieja



Kazimierz Turaliński

Kazimierz Turaliński

www.turalinski.pl

jak KRAŚĆ?

PODRĘCZNIK ZŁODZIEJA

Konsultacje w zakresie bezpieczeństwa informatycznego
i wybranych zagadnień socjotechnicznych – Adrian Norejko

Wydawnictwo MEDIA POLSKIE
Radom 2012

© Copyright by Kazimierz Turaliński 2012
ISBN 978-83-925811-9-2

SPIS TREŚCI

Wprowadzenie	6
Od autora.....	7
Rozdział I Dlaczego w wolnej Polsce wolno kraść?	11
Bezpieczna alternatywa	15
Rozdział II Prawo dla złodzieja post-PRL	18
 DZIAŁ I OSZUSTWA W OBROcie GOSPODARCZYM.....	34
Rozdział III Jak kraść na spółkę kapitałową – na co dzień	35
Osobowość prawna.....	35
W jaki sposób wprowadzono w błąd podwykonawców?	38
W jaki sposób pośrednie ogniwo wyzbyło się kapitału?	43
Rozdział IV Jak kraść na spółkę kapitałową – na skalę globalną ..	52
Rozdział V Jak kraść na spółkę kapitałową – z umiarem	65
Rozdział VI Jak kraść – na biednego	77
Rozdział VII Jak kraść – metody tradycyjne	82
Podstawowe źródła nielegalnych dochodów:	88
Rozdział VIII Jak okraść – wspólnika, spółkę kapitałową lub prywatyzowany podmiot.....	92
Rozdział IX Jak oszukać komornika.....	103
Rozdział X Jak kraść i nie dać się złapać.....	125
Jak będąc świadkiem uniknąć składania zeznań?	126
Rozdział XI Jak oszukać wykrywacz kłamstw	152
Rozdział XII Jak zniechęcić organa ścigania	163
PODSUMOWANIE.....	171
 DZIAŁ II OSZUSTWA PODATKOWE	172
Rozdział XIII Jak okradano Skarb Państwa na paliwach (akcyza i VAT).....	173
Rozdział XIV Oszustwa podatkowe – VAT	184
Rozdział XV Oszustwa podatkowe – podatek dochodowy	200

Puste faktury i rachunki	200
Raje podatkowe i spółki off-shore	202
Ryczałt i karta podatkowa.....	205
Jak zmylić kontrolę skarbową?	208
Podwójna księgowość.....	211
Fikcyjne darowizny na Kościół	214
Dochód z czynności wyjętych spod legalnego obrotu	217
Rozdział XVI Pranie brudnych pieniędzy – wykrywanie procederu w Polsce	221
Jak tropią brudny pieniądz?	222
Rozdział XVII Pranie brudnych pieniędzy – płytka legalizacja ..	228
Rozdział XVIII Pranie brudnych pieniędzy – obrót konsumencki	239
Rozdział XIX Pranie brudnych pieniędzy – twarda i tania legalizacja	249
Dzieła sztuki i literatury.....	249
Hazard.....	252
Obrót nieruchomościami.....	254
Prawa majątkowe w obrocie gospodarczym.....	256
Obrót wierzytelnościami.....	259
Fikcyjne pożyczki.....	263
PODSUMOWANIE.....	268
 DZIAŁ III PRZESTĘPSTWA KRYMINALNE	269
Rozdział XX Infiltracja podmiotów gospodarczych i skuteczny szantaż	270
Powody infiltracji	270
Nawiązanie kontaktu z celem	277
Gdy wywiadowca jest w środku	283
Rozdział XXI Wymuszenia i terror kryminalny	288
Rozdział XXII Napady na banki i konwoje.....	298
Rozdział XXIII Włamania.....	307

Rozdział XXIV Kradzieże pojazdów	315
Rozdział XXV Oszustwa ubezpieczeniowe	326
Rozdział XXVI Sztosy w detalicznym obrocie nieruchomościami mieszkalnymi.....	336
Rozdział XXVII Szantażowanie osób prywatnych	345
Rozdział XXVIII Zakłady bukmacherskie	354

DZIAŁ IV NIEUCZCIWOŚCI RYNKU FINANSOWEGO362

Rozdział XXIX Bankowa kreacja pieniądza i jak okraść kredytobiorcę?.....	363
Rozdział XXX Oszustwa firm ubezpieczeniowych.....	372
Rozdział XXXI Oszustwa giełdowe	382
Rozdział XXXII Metodyka ataków spekulacyjnych na waluty.....	395
PODSUMOWANIE.....	406

DZIAŁ V NIEUCZCIWOŚĆ POLITYCZNA408

Rozdział XXXIII Jak okraść cały kraj?	409
Rozdział XXXIV Mit solidarności społecznej	421
Rozdział XXXV Oszustwa w samorządzie terytorialnym, czyli prywatne miasta.....	429
Rozdział XXXVI Jak zostać najbogatszym Polakiem?	437
Rozdział XXXVII Jak ukraść całą gałąź gospodarki?	447
Rozdział XXXVIII Oszustwa ekologiczne.....	454
Rozdział XXXIX Grunty świeckie i kościelne.....	464
Rozdział XXXX Filozofia słabości systemu prawnego	473
PODSUMOWANIE.....	486

JEŚLI NIE JESTEŚ ŻŁODZIEJEM488

Rozdział XXXXI Do uczciwego obywatela.....	489
Rozdział XXXXII Do uczciwego przedsiębiorcy	494
Rozdział XXXXIII Do polityków	505
PODSUMOWANIE.....	511

Wprowadzenie

Czyli zamiast siódmego przykazania...

Od autora

Jak wielu Polaków zadaję sobie pytanie: **co się stało z tym krajem nad Wisłą?** Dlaczego uczciwym ludziom żyje się coraz gorzej, a nawet podczas przyjacielskich spotkań nie należy szczyścić się solidnie wykonaną pracą, lecz skutecznym oszukiwaniem fiskusa i kontrahentów? Złodziej postrzegany jest jako człowiek zaradny. Odpowiedzialny. Dobrze pilnujący swych interesów. Dbający o rodzinę. O jej byt i przyszłość. Uczciwy przedsiębiorca to naiwniak, relikw minionej epoki niedostosowany do realiów społecznych XXI wieku. Skazany na wyginięcie, niczym kalekie zwierzę służące tygrysom biznesu za łatwostrawny posiłek. Kantowski imperatyw katagoryczny zastąpiono imperatywem cwaniactwa i forsy.

Moja przygoda z bezpieczeństwem gospodarczym zaczęła się w 2000 roku. Pierwsze kroki na ścieżce zawodowej postawiłem w branży ochrony osób i mienia, kolejno zwracając się w stronę obsługi prawnej i wywiadu gospodarczego, aby w końcu podjąć się egzekucji należności powstałych w wyniku transakcji handlowych z nieuczciwymi przedsiębiorcami oraz z zawodowymi przestępcami. Przez szereg lat pełniłem funkcję szefa pionów windykacyjno-detektywistycznych w organizacjach o profilu prawno-finansowym. W tym też czasie przeszkoliłem około tysiąca handlowców, prawników i windykatorów w zakresie rozpoznawania przestępstw godzących we współczesny, a szczególnie polski, obrót gospodarczy. Przestępstw coraz częściej popełnianych za pełną, już nie tylko milczącą, aprobatą instytucji państwowych. Trafiające na moje biurko zlecenia dowodzą tego, jak wielu szarych Polaków

pozostawia się bez jakiejkolwiek pomocy, gdyż prokuratura i Policja zainteresowanie okazują wyłącznie sprawom nadawanym przez politycznych zwierzchników lub ewentualnie drobnym występkom kryminalnym. Te pierwsze gwarantują rolę pupila aktualnej władzy i awans, drugie zaś umożliwiają zapełnienie statystyki jednostkami z marginesu społecznego – pozbawionymi wpływowych znajomości, a więc niegroźnymi. Nic innego się nie liczy. Nawet interwencje wiodących mediów nie przynoszą efektów. Śledztwa są umarzane albo prowadzone niemrawo gasną po latach bez rezultatów, a już ostatecznie pociągają przed oblicze Temidy jedynie mało istotnych figurantów z dołów przestępczych struktur. Tak umarły sprawy uprowadzenia Krzysztofa Olewnika, większość przestępstw liderów „Pruszkowa”, czy oszustwa tzw. Mafii Paliwowej. A tymczasem państwowi dostojnicy jawnie określają pokrzywdzonych mianem pieniaczy, życiowych nieudaczników, czy naiwniaków niegodnych poświęcania im cennego czasu. No bo czego oni właściwie chcą? Wciąż tylko przeszkadzają w degustacji aromatycznej kawy...

Ja jednak wolę tą naiwność nazywać określeniem w istocie synonimicznym – uczciwością. Tacy właśnie są moi klienci. Ludzie uczciwi wychodzą z założenia, że każdy chce grać fair. Pozbawieni na starcie podejrzliwości i wrogości względem innych „graczy” branżowych, pozostają odsłonięci na uderzenie i niemal zawsze kończą biznes z plikiem nieopłaconych przez klientów faktur VAT. Sami nie mogą liczyć na podobną pobłażliwość. Bezlitośnie wyeksploatowani przez urząd skarbowy, udzielający ryzykownego (drogiego) kredytu bank i innych przedsiębiorców – skutecznie egzekwujących spłatę należności, smutno kończą swą wycieczkę po krainie kapitalizmu. Po spotkaniu z „graczem”, czy to w życiu prywatnym, czy zawodowym, osoba uczciwa zazwyczaj latami lata podziurawiony budżet, a niekiedy nigdy już nie przywraca stanu posiadania do pierwotnej formy. Wtedy dostrzega swoją bezsilność.

Nadchodzi rozczarowanie skutkami wierności prawom moralnym i przewartościowaniu dotychczasowego światopoglądu. Widziałem to nie raz. Gdy opadnie kurz bitwy, pokonani zazwyczaj zaczynają dostrzegać prostą alternatywę: pogrążenie w marazmie i depresji lub zmiana frontu, a z nią z kluczowe w takich przypadkach pytanie:

Jak kraść?

Odpowiedź: **łatwo**

Porządek prawny i realia gospodarcze początku trzeciego tysiąclecia nie napawają optymizmem ani praktyków małego biznesu, ani oscylujących wokół granicy minimum socjalnego, ledwie wiążących koniec z końcem, zwykłych obywateli. **Coraz więcej praw, a zarazem coraz mniej wolności i sprawiedliwości.** Nadmiernie wysokie podatki i niejasny sposób ich naliczania, absurdalny obowiązek regulowania ZUS-u pomimo braku dochodów, czy podatku VAT od nieopłaconych przez nabywców faktur, a także inne ustawowe obostrzenia skutecznie spowalniają rozwój gospodarczy kraju. Zwiększają jednak pulę zagarniętych do podziału pieniędzy. Dodatkowo, uczciwych prześladowuje wciąż realnie wzrastająca w siłę przestępczość zorganizowana, przenosząca ciężar działania z brutalnych i mało opłacalnych przestępstw kryminalnych na rzecz operowania papierem. Bezpieczne. Popularne. I dużo bardziej rentowne od przemytu alkoholu za czasów Al'a Capone, czy handlu narkotykami. Metodyka działania współczesnych ośmiornic, jak i samotnych freelancerów, pozostaje zależna od ich wiedzy, statusu społecznego, w pewnym stopniu etyki i dostępnych środków inwestycyjnych. Zawodowy złodziej nigdy nie będzie bezrobotny. Potrafi z łatwością dostosować swą profesję do aktualnej sytuacji rynkowej, obowiązujących przepisów prawnych i osób piastujących (zwykle chwilowo) stanowiska w aparacie państwowym –

centralnym, samorządowym i w organach ścigania. Do tego liberalna linia orzecznictwa w praktyce uczyniła obrót gospodarczy niemal wyjętym spod jurysdykcji przestępstw takich, jak oszustwo. Natomiast przestępstwa skarbowe przez dwie ostatnie dekady niewiele różniły się, w zakresie przedawnienia i grożących kar, zwykle grzywnien, od niskiej szkodliwości społecznej wykroczeń. Dzieliło je tylko jedno: wykroczenia obejmowały np. kradzież batonów w sklepie, zaś oszustwa na szkodę Skarbu Państwa straty w setach tysięcy lub milionach zł. Z większą gorliwością karano jednak tych, którzy ośmielili się ukraść coś na śniadanie, niż finansowych potentatów machlojkami osuszających budżet ojczyzny. Sycylijska Omerta zapewniła spokój mafii, u nas zmowa milczenia też sprzyja przestępcom. Zróbmy im więc na złość i odkryjmy ich sekrety.

Złodziej, to jedyny dobrze płatny zawód, w którym nigdy nie brakuje wolnych etatów. Nie wymaga kierunkowego wykształcenia, zdawania egzaminów, ani rodzinnych koneksji. Dodatkowo, w ramach swoistej aktywizacji bezrobotnych i rozwoju rodzimego przemysłu, władze bez wytchnienia pracują nad ułatwieniem startu w tej konkretnej, samodzielnej działalności gospodarczej. I to niestety skutecznie. W ciągu minionych 12 lat setki razy byłem świadkiem takiej bezwarunkowej akceptacji reguł otaczającego nas świata, czyli kapitulacji. Przejścia na drugą stronę... Niniejszy podręcznik ukaże przed Tobą, drogi Czytelniku, blaski i cienie kontrowersyjnej ścieżki kariery – od najniższych stanowisk przestępczego imperium, aż po sam szczyt. Po lekturze zdecydujesz, po której stronie wolisz stać. Czy będziesz tym dobrym, czy tym złym. W obu przypadkach szanse zostaną wyrównane a zmowa milczenia złamana.

Rozdział I

Dlaczego w wolnej Polsce wolno kraść?

W roku 1990 policyjne statystyki odnotowały 730 zabójstw. Następne 12 miesięcy przyniosło ich już 971, a po dwóch kolejnych latach liczba zbrodniczo pozbawionych życia sięgnęła 1106. Aż do końca pierwszej dekady III Rzeczypospolitej zabójstwa popełniano przeciętnie 1100 razy rocznie. Liczba ta wzrosła w rekordowym, 2001 roku, aż do 1325 ofiar. W późniejszych latach statystyka poszybowała ostro w dół...

Każdego roku kilkaset zabójstw popełnianych jest w wyniku kłótni rodzinnych i towarzyskich, wybryków zdegenerowanych jednostek oraz na tle seksualnym. Pozostałe, to głównie efekt wojen o mniejsze i większe pieniądze płynące z rozbojów, przemytu, handlu narkotykami, kontrolowania prostytucji i wymuszeń. Tak dawniej, bez ciężkiej pracy a czynami kryminalnymi, gromadzono niemałe majątki. Zbrodnia miała jednak to do siebie, że potrafiła niespodziewanie odwrócić kartę fortuny i zaprowadzić gracza na wiele lat za kraty albo rękami bezwzględnej konkurencji wymierzyć karę śmierci. Możliwe zyski i koszty pozostawały w równowadze. Żyj szybko i dostatnio, umrzyj młodo.

Na przełomie XX i XXI stulecia Policja przedwcześnie ogłosiła rozbięcie wiodących zorganizowanych grup przestępczych: w centralne Polsce, na wschodzie i północy kraju tzw. Mafii Pruszkowskiej i Mafii Wołomińskiej, a na południu gangu Krakowiaka, który to, z uwagi na swą liczebność i zaangażowany nawet własny pluton egzekucyjny, przypominał raczej prywatną

armię bezwzględnych recydywistów. Natura nie toleruje próżni, a że chętnych do korony i tronu nie brakowało, na pierwsze efekty bezkrólewia nie trzeba było długo czekać. Młode wilki stolicy ogłosiły się nowym „zarządem” i sięgnęły po wielomilionowe źródła dochodów, takie jak produkcję i tranzyt narkotyków, wymuszenia, kontrolowanie agencji towarzyskich oraz przydrożnych tirówek. Szybko doszło do zbierających krwawe żniwo konfliktów o lenno, a także do konfrontacji z ostatnimi reprezentantami starej gwardii.

W chaotycznie i amatorsko przeprowadzanych zamachach zginęło wielu początkujących gangsterów. Niektórzy przypadkiem. Najlepszym tego przykładem było zlecenie wydane przez starszego już wiekiem bossa, na młodego przestępcę o pseudonimie Ziemniak. Zabójcy dokonali egzekucji dwóch mężczyzn – Ziemniaka i jego kolegi, niejakiego Kciuka. Niestety, rozstrzelany w salonie gier chłopak okazał się inną osobą o takim samym przezwisku. Następny na liście był bliski współpracownik pierwotnego celu, niejaki Łoban. Pomimo oddania w plecy mężczyzny 9 celnych strzałów z bliskiej odległości, ten przeżył i był w stanie jeszcze tego samego dnia o własnych siłach opuścić szpital. Pechową passę przerwało pozornie szczęśliwe zabójstwo właściwego Ziemniaka. Pozornie, ponieważ młode wilki nie pozostawały dłużne i świadome zachłanności zleceniodawcy tego mordu przewencyjnie wyeliminowały go na zawsze z gry. Kilkanaście kul z KBK AK 47 podziurawiło samochód zabijając prócz bossa, także jego młodego pracownika. Śmierć zastała ich w Mercedesie należącym wcześniej do Pershinga, legendarnego przywódcy grupy ożarowskiej, który również zginął od kul płatnych zabójców z młodego pokolenia. Podobnych historii odnotowano w kronice kryminalnej setki, a może nawet tysiące.

Na litość nie mogli też liczyć policjanci. Wielu potraktowano niczym papierowe tarcze stojące na drodze do celu. Mikołajki, sierpień 2002 roku. W chwilę po rozstrzelaniu syna wołomińskiego

bossa – Klepaka, strzałem w klatkę piersiową zamordowano przypadkiem idącego ulicą funkcjonariusza. Zginął za mundur. 3 lata wcześniej w barze Gama na Woli zginął senior Klepacki, a wraz z nim pociski karabinu oraz dubeltówki podziurawiły czterech innych przestępców. Czechowice-Dziedzice, maj 2002 roku. Sprawcy wymuszenia bez chwili wahania rozstrzelali dwóch policjantów, których napotkali przypadkowo w kawiarence internetowej. Dwa miesiące wcześniej, w podwarszawskich Parolach, od kuli zginął podkomisarz z Piaseczna. Kilkunastu przestępców usiłowało wówczas odbić wypełnionego telewizorami TIR-a z rąk omyłkowo wziętych za konkurencję policjantów. Za sprawcami rozesłano listy gończe, a dwóch z nich funkcjonariusze zastrzelili w czasie akcji odwetowej na Ursynowie. Jednym z zabitych okazał się zwerbowany przez gang były policjant-antyterrorysta o pseudonimie Fragles. Echem tych akcji pozostała słynna bitwa w Magdalence, w której to z rąk kolejnej dwójki przestępców z Parol ponownie zginęli stróże prawa. Pod kulami i w eksplozjach bomb poległo dwóch antyterrorystów, a kilkunastu kolejnych zostało ciężko rannych, w tym kilku trwale wyeliminowanych ze służby. Zginęli także obaj gangsterzy. Nie od kul. Według oficjalnej wersji zaczadzili się w wyniku pożaru, choć świadkowie z kostnicy donosili o ciele potwornie okaleczonym ranami postrzałowymi. Chodziły też plotki, że zabity Białorusin strzelać miał do gen. Papąły i dlatego próba zatrzymania podejrzanych nie mogła zakończyć się sukcesem...

Strumienie przelanej krwi okazały się nie warte największych nawet pieniędzy. Wieloletnie wyroki, kalectwo lub śmierć nie były dobrą ceną za kilka krótkich lat chwały i bogactwa. Ci, którzy przetrwali lata hekatomb, poszukiwali alternatywy, a inspirację czerpali z działań najbogatszych obywateli naszego kraju.

Odnutowany na początku XXI wieku wzrost liczby zabójstw wykrywał walczących o schedę po Pruszkowie. Masakry tamtych

lat stanowiły, przynajmniej na razie, zamknięcie epoki gangstersko-mafijnej Polski. Od tego czasu liczba ofiar tej kategorii przestępstw nie wzrosła już powyżej tysiąca, a wręcz systematycznie spada. W 2006 roku wyniosła 816, w 2008 po raz pierwszy od lat PRL-u jedynie 748 zabitych, a w 2011 – 684. Dziś zabijają się już tylko amatorzy i skłócenicy przy butelce wódki szwagrowie. Wszyscy myślący zdali sobie sprawę z tego, że zbrodniczy biznes po prostu się nie opłaca. Dlatego najprawdopodobniej czas widowiskowych strzelanin już nie powróci, podobnie jak nie wrócą do życia ostatni gangsterzy śniący o odbudowie potęgi i hegemonii tzw. Mafii Pruszkowskiej. Tradycyjny półświatek, złożony ze starej daty recydywistów, pozostanie podległy opuszczającym więzienne mury bossom starego Pruszkowa i utworzonego na jego gruzach Mokotowa, natomiast młodzi przestępcy wylądują w tygłu drobnych, opartych na przemoc, przestępstw kryminalnych i narkotykowych. Ani jedni, ani drudzy nie stworzą już wyśniewanej mafii. Wywalczą tylko beczynszowe sanatorium na koszt podatników.

Nie wszyscy jednak przegrali życie. Ci bardziej roztropni obrali za cel wielkie, acz paradoksalnie bezpieczne pieniądze. Podobną drogą podążył drobny i średni biznes, zniechęcony nadmiernie wysokimi podatkami oraz słabą koniunkturą rynkową. Braki budżetowe łatano najpierw nieznacznymi, a później coraz większymi nieuczciwościami. Wszyscy wtedy już wiedzieli, że prawdziwych i, co ważniejsze, trwałych fortun nie buduje się pistoletem. Przynoszące wiele ofiar śmiertelnych spektakularne porachunki gangów tworzą legendę i umacniają pozycję w półświatku, ale ta przynosi wymierne korzyści tylko w więzieniu i podczas przestępczych rokowań. To nie jest życie, jakiego pragną dzisiejsi biznesmeni. Wartość wyznaczają już nie blizny po wygranych bitwach, a szybkie i drogie samochody, ekskluzywne rezydencje w tropikalnych plenerach oraz piękne kobiety. Takich atrakcji nie

zdobywa się ani twardymi pięściami, ani tym bardziej podczas odbywania wieloletnich wyroków w zakładach karnych o zaostrzonym rygorze. Ciężką pracą też niezwykle rzadko. Powszechnie przecież wiadomo, że pierwszy milion trzeba ukraść...

Bezpieczna alternatywa

W 1999 roku policyjne statystyki odnotowały popełnienie jedynie 60 393 przestępstw gospodarczych. W roku kolejnym liczba ta wzrosła do 84 260, a w 2001 do 103 521. Rekord dekady przypadł na rok 2004 z wynikiem 152 148 czynów tej kategorii i już do dnia obecnego rokrocznie oscyluje wokół tej wartości. Systematyczny rozwój sektora ekonomicznego pokrywał się w czasie z „restrukturyzacją” polskiego podziemia. Obalenie monopolu Mafii Pruszkowskiej i krwawe bitwy toczone między mniejszymi gangami zniechęciły niejednego kandydata na przestępcę oraz czasowo bezrobotnego gangstera do wchodzenia na linię strzału. Wielu szukało alternatywnych źródeł dochodu, ale bynajmniej nie pracy na spokojnym etacie. Z kolei przedsiębiorców mamiła legenda tzw. Mafii Paliwowej, demonizowanej przez ówczesne media gospodarczej ośmiornicy wysysającej miliardy zł ze Skarbu Państwa. Już w latach 90-tych podobne konglomeraty tworzyli odpowiadający za prywatyzację politycy i byli funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, gromadzący fortuny nawet na mało spektakularnym handlu zbożem. Na jednej szali śmiertelne niebezpieczeństwo i małe pieniądze, na drugiej komfort i klamki ze złota. Wyrok za zabójstwo, wyceniane w półświatku średnio na 20 000 zł, to 25 lat więzienia lub dożywocie. Wyrok za oszustwo na milionowe kwoty – w teorii do 10 lat, realnie, przy wyroku skazującym, trzy wiosny za kratami albo warunkowe zawieszenie kary, a zazwyczaj pełne oczyszczenie z zarzutów. Wybór nie był trudny. Czyny o charakterze kryminalnym

ustępować zaczęły miejsca dawniej pogardzanym występkom gospodarczym, popełnianym przy pomocy pióra i papieru.

Dlaczego opinia publiczna i media zaakceptowały tą drogę ewolucji półświatka? Ponieważ, tak jak w przypadku pijanych kierowców, mamione są statystycznie wysoką wykrywalnością, oscylującą stale wokół 95%. Ludu nie poinformowano jednak, że liczby przedstawiają tylko czyny zgłoszone lub samodzielnie wykryte, a istotą przestępstw gospodarczych, a zwłaszcza oszustw, jest ich trudny do dostrzeżenia i udowodnienia charakter. Często sama ofiara nie zauważa pokrzywdzenia, niekorzystny wynik finansowy zrzucając na karb ryzyka inwestycyjnego. W takim przypadku organa ścigania nie mają możliwości pozyskania informacji o zaistnieniu przestępstwa i jego odnotowania. Statystyki obniża też nieszczęśliwa konstrukcja przepisów prawa, tworzących skomplikowane, kazuistyczne warianty czynów karalnych. Znacznie ułatwiają one sztuczne wytrącenie lub zamaskowanie choćby jednego ze znamion, co oznacza wykluczenie zdarzenia z jurysdykcji karnej. Tym samym policjanci i prokuratorzy często zamieniali się w pierwszych adwokatów oszustów – sprawa umorzona z powodu braku wyczerpania znamion czynu karalnego to zamknięte postępowanie, a więc odnotowane w statystyce jako sprawnie przeprowadzone i wyjaśnione. Poza mniejszą ilością pracy wyczyszczona statystyka, dodatkowo nieobciążona tak dużą liczbą występków i zbrodni, otwiera drogę do awansów, a więc interesy przestępcy oraz kiepsko wynagradzanego stróża prawa pozostają zbieżne. Trudno o gorszy dla urzędnika państwowego motywator do uczciwości i ciężkiej pracy. Trudno o wyraźniejszy znak przyzwolenia ze strony władz. Dodatkowo, doszlifowanie technik przekrętów uczyniło, nawet przy szczerym zaangażowaniu organów ścigania w śledztwo, niemal niemożliwym udowodnienie profesjonalście winy. Ciemna liczba przestępstw gospodarczych

może sięgać nawet czterokrotności tych oficjalnie stwierdzonych. „Zbrodnia” prawie doskonała, bo niewidzialna.

Braki w warsztacie ekonomiczno-prawnym i doświadczeniu biznesowym okazały się niszczące dla początkujących oszustów. Pierwsza fala oskarżeń objęła synów pruszkowskich bossów, dokonujący na Śląsku oszustw w branży meblarskiej. Także zabójcy Pershinga odczytano, jako jeden z pierwszych, zarzut wyłudzenia milionowej wartości transportu kawy. Wielu figurantów struktur paliwowych zgładzono, by uniemożliwić pociągnięcie do odpowiedzialności karnej przywódców naftowego syndykatu. Nie była to jednak kosztowna strata. Kadry szybko uzupełniono, a dawnych błędów nie powtórzono. Później było już więc tylko lepiej, a od tego czasu zarzuty stawiono tylko amatorom spoza branży. Przetarcie szlaków zaowocowało opracowaniem skutecznej metodyki przekrętów i strategii unikania kary. Pomogło obszerne orzecznictwo sądów, z Sądem Najwyższym na czele, obnażające liczne luki obowiązujących przepisów prawa karnego, podatkowego, gospodarczego i cywilnego. Ich łataniem władza w ogóle nie była zainteresowana. Do dnia dzisiejszego fachowcy czerpią więc natchnienie z opracowanych piórami sędziów, profesjonalnych „ściągawek”. Jak się okazało, okradać wolno, jeśli tylko wie się jak i kogo.

Rozdział II

Prawo dla złodzieja post-PRL

Podstawą prawną ścigania sprawców przestępstw przeciwko mieniu jest na terytorium Polski Kodeks karny z dn. 6 czerwca 1997 r. Treść tej ustawy, wbrew potocznym opiniom, prawidłowo odzwierciedla potrzeby współczesnego, demokratycznego państwa europejskiego. Nie sposób poczynić większych zarzutów dla unormowań w materii przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu, godzących w ustrój i niepodległość państwa, czy też penalizujących kwestie ze sfery obyczajowości. Jednak część regulująca naruszenia obrotu gospodarczego i zasad uczciwości międzyludzkiej dowodzi braku w tej materii doświadczenia (lub dobrej woli) Rady Ministrów, posłów i senatorów oraz zupełnej nieświadomości prawideł działania wolnorynkowej gospodarki. Co prawda z podobnymi problemami borykały się dojrzałe od naszej demokracji, lecz niektóre już przed stu laty zdołały otworzyć oczy. Z politowaniem przypominać można przypadek pewnego amerykańskiego deputowanego, który w czasach prohibicji żądał rozwiązania mafii w drodze nakazu ustawowego. Jak mniemał, siła autorytetu państwa była tak silna, by odgórny zakaz miał rozwiązać problem przemytu, haraczów i zabójstw. Dużo czasu zajęło, nim bardziej doświadczeni życiowo koledzy wyjaśnili idealistycznie nastawionemu politykowi, że gangsterzy nie bardzo biorą sobie do serca uczciwość i lojalność literze prawa, która dostatecznie wyraźnie zabrania chociażby mordowania bliźnich, a wręcz właśnie dlatego zarabiają na zbrodni...

Fachowiec rzadko kradnie. To takie niekulturalne i męczące. Do

tego banalne i pozbawione walorów artystycznych. Szczytem cynizmu i zarazem wirtuozerii zawodowej jest przekonanie ofiary, by ta sama wręczyła pożądane dobra i jeszcze podziękowała za udaną transakcję. Oszustwo, a szczególnie oszustwo gospodarcze, to czyn umożliwiający osiąganie nieograniczonych dochodów bez większych nakładów finansowych, przemocy, specjalistycznej wiedzy, czy kontaktów z półświatkiem lub skorumpowanymi urzędnikami państwowymi, albo zamożnymi przedsiębiorcami. Oczywiście wymienione znajomości oraz dostępne środki inwestycyjne lub wiedza umożliwiają zarabianie na tym rzemiośle o wiele większych pieniędzy, jednak w ramach sprawiedliwości społecznej bezkarność zapewniono wszystkim – bogatym i biednym, wpływowym i tym nic nieznaczącym. Każdemu, według jego talentu, możliwości i zachłanności. *Jak to możliwe?* Otóż, przyjęta konstrukcja definicji tego przestępstwa czyni bardzo prostym ominięcie chociażby jednego ze znamion, a wówczas pociągnięcie sprawcy do odpowiedzialności karnej staje się już niemożliwe.

Art. 286. § 1 Kodeksu karnego: Kto, w celu osiągnięcia korzyści majątkowej, doprowadza inną osobę do niekorzystnego rozporządzenia własnym lub cudzym mieniem za pomocą wprowadzenia jej w błąd albo wyzyskania błędu lub niezdolności do należytego pojmowania przedsiębranego działania, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 8.

§ 2 Tej samej karze podlega, kto żąda korzyści majątkowej w zamian za zwrot bezprawnie zabranej rzeczy.

§ 3 W wypadku mniejszej wagi, sprawca podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2.

§ 4 Jeżeli czyn określony w § 1-3 popełniono na szkodę osoby najbliższej, ściganie następuje na wniosek pokrzywdzonego.

Uważny Czytelnik już na wstępie dostrzeże słabość tego sformułowania, nieprzewidującego wprost kary za oszustwo mające na celu wyłudzenie usługi. Próżno szukać także kryminalizacji takiego czynu w innych zapisach Kodeksu karnego, czy w innych ustawach. Dosłowna interpretacja nie pozostawia wątpliwości: tylko dyspozycja konkretnym mieniem, a zatem już istniejącym, daje podstawę do ścigania sprawcy. Usługi (zwłaszcza niematerialne, np. doradcze, handlowe i projektowe) z założenia można więc do woli pozyskiwać bez płacenia. Dopiero orzecznictwo sądowe, w istocie bardzo naginające zakres dozwolonej wykładni prawa, objęło art. 286 kk także czyny dokonane na szkodę usługodawców. *Dlaczego tworząc pierwszą demokratyczną ustawę karną zbagatelizowano tą kwestię, a błędu do dzisiaj nie naprawiono?*

Podstawowy przepis mający chronić obywateli przed oszustwami został przeniesiony do obecnego Kodeksu karnego ze swojego poprzednika z 1969 roku (art. 205 § 1), a więc z czasów głębokiego socjalizmu, w którym obrót gospodarczy poza państwowymi przedsiębiorstwami niemal nie istniał. Wtedy w ogóle nikt nie myślał o oszustwach na szkodę podmiotów gospodarczych ze strony innych przedsiębiorców, gdyż wszelkiego typu prywatna inicjatywa była zwalczana systemowo – zarówno barierami administracyjnymi, jak i represjami właściwymi dla ustroju totalitarnego. Polacy nie mogli dowolnie zakładać prywatnych przedsiębiorstw, a jedynie skolektywizowane spółdzielnie. W gospodarce centralnie sterowanej masowe oszustwa między konkurencyjnymi podmiotami były formalnie niemożliwe, gdyż nie było konkurencji, a współpracujące ze sobą jednostki „należały”, zgodnie z ideologią komunistyczną, do jednego właściciela – nie miały zatem kogo pokrzywdzić obrotem w ramach pozornie zamkniętego krwiobiegu finansowo-towarowego. Dysponentem wszelkich „wspólnych” dóbr w teorii miał być „lud

pracujący”, w praktyce nomenklatura partyjna. Zaś wszelkie działania obywateli przeciwko jednostkom gospodarki uspołecznionej oraz mieniu społecznemu były bardzo dobrze skryminalizowane, podlegały też wszechstronnemu ściganiu i surowemu karaniu. W celu ochrony gospodarki państwowej funkcjonowały nawet wyspecjalizowane piony Służby Bezpieczeństwa. Po upadku PRL-u zapomniano jednak o dostosowaniu przepisów do nowych realiów i tak np. przestępstwo oszustwa, przeniesione w dosłownym brzmieniu, w ogóle nie uwzględniało wyłudzenia już możliwych do masowego świadczenia na wolnym rynku usług. Implementowane na grunt demokratycznego państwa przepisy były dobre tylko dla materii prymitywnych oszustw kryminalnych, czyli tych zatrzymanych mentalnie w epoce gomułkowskiej. Transformacja ustrojowa przyniosła „*wykrojenie*” unormowań obejmujących szczególną ochroną przedsiębiorstwa państwowe, lecz w ich miejsce nie utworzono nowych przepisów karnych odpowiadających realiom gospodarki rynkowej i hurtem rejestrowanym spółkom prawa handlowego, czy jednoosobowym działalnościami gospodarczym. Ktoś źle, zbyt „*dosłownie*” zrozumiał termin „*wolny rynek*”. Zlikwidowano też wydziały ds. przestępczości gospodarczej pozostawiając w organach ścigania lukę, tak naprawdę do dziś skutecznie niezalataną. W ostatecznym rozrachunku prywatnego przedsiębiorcę uczyniono obywatelem drugiej kategorii, w dużej mierze niezasługującym na ochronę ze strony prawa karnego. Interesujący to spadek po filozofii minionego ustroju. Orzecznictwo sądowe, interpretujące historyczne unormowanie w nowoczesnym teatrze poprzemysłowym, dodatkowo pozbawionym granic międzypaństwowych i umożliwiającym swobodny przepływ kapitału przez globalny rynek finansowy, doprowadziło do absurdów rodzących dozgonną wdzięczność adeptów złodziejskiego fachu. *Ale o tym później.*

Przestępstwo oszustwa popełnić można jedynie w sposób umyślny, z zamiarem bezpośrednim. Podstawowym warunkiem jego zaistnienia jest działanie sprawcy **w celu osiągnięcia korzyści majątkowej**. Zatem nie wypełni ustawowych znamion wyrządzenie szkody majątkowej motywowane np. sabotażem lub dokuczeniem osobie. Podobnie, jeśli straty będą konsekwencją popełnionego błędu, np. złej oceny w trakcie realizacji ryzykownej transakcji. Wszelkiego typu korzyści osobiste, takie jak przyznanie tytułu honorowego, orderu, awansu służbowego albo natury seksualnej, również nie stanowią podstawy do oskarżenia o popełnienie oszustwa, nawet jeśli wszystkie inne znamiona tego czynu karalnego zostaną wypełnione, a korzyść taka pozostaje oczywistym oraz zaplanowanym, ale i jedynym dla sprawcy pozytywnym skutkiem danego działania. Pamiętać jednak należy, że brak możliwości postawienia zarzutów karnych nie wyklucza dochodzenia obowiązku naprawienia wyrządzonej szkody na gruncie prawa cywilnego. Skuteczność tego, to już zupełnie inna historia.

Art. 415. Kodeksu cywilnego: *Kto z winy swej wyrządził drugiemu szkodę, obowiązany jest do jej naprawienia.*

Sama **korzyść majątkowa** w rozumieniu art. 286 § 1 kk definiowana jest w orzecznictwie w bardzo szerokim zakresie, na pewno szerszym, niż przywłaszczenie lub zagarnięcie mienia. Nie tylko obejmuje ona włączenie do majątku sprawcy konkretnej rzeczy ruchomej – np. samochodu lub telewizora, ale także każdego innego prawa majątkowego. W drodze oszustwa można więc wejść w posiadanie nieruchomości, każdego gatunku towaru, środków finansowych, prawa dysponowania cudzym rachunkiem bankowym lub linią kredytową, wszelakich licencji na wykorzystanie zastrzeżonych technologii lub znaków handlowych, a także prawa

majątkowego należnego z tytułu umowy cywilnoprawnej, czyli np. problematycznego wyłudzenia usługi. Syntetycznie rzecz ujmując, zgodnie z podzielanym przez doktrynę wyrokiem Sądu Najwyższego (z dn. 10 marca 2004 r. sygn. II KK 381/03) przedmiotem ochrony w ramach przepisu art. 286 § 1 kk jest każde świadczenie majątkowe. Co więcej, w innym wyroku tego samego sądu (z dn. 30 sierpnia 2000 r. sygn. V KKN 267/00) wysnuto wniosek, iż sprawca wcale nie musi dążyć do przywłaszczenia mienia stanowiącego przedmiot oszukańczych zabiegów. Może wręcz zakładać zwrot zagarniętego majątku pokrzywdzonemu, zamierzając jednak osiągnąć korzyść płynącą z samego czasowego nim rozporządzania, przejawiającą się w każdej innej postaci, niż przywłaszczenie mienia, np. poprzez pozyskanie pożytków z niego wynikających lub innych zewnętrznych korzyści z pozostawania we władztwie nad rzeczą bądź środkami. Korzyść ta płynąć może także od niezwiązanych z pokrzywdzonym osób trzecich. Niefortunna legislacja podlega więc, w razie potrzeby, szerokiej, kontrowersyjnej i niezwykle twórczej wykładni. Jest też drugie dno tak rozległych interpretacji. Każda działalność gospodarcza ma na celu potęgowanie zysków, więc to, co w czynie kryminalnym przesądzało o winie sprawcy, w materii gospodarczej świadczy... na jego korzyść. Zwłaszcza, gdy ten potrafi kreatywnie scedować zyski na niezwiązane z czynem osoby trzecie. Znamię przestępstwa nierozzerwalnie stapia się wtedy z legalną i społecznie pożądaną działalnością zarobkową.

Analogicznie do osiągnięcia korzyści majątkowej szeroko rozumiana jest w orzecznictwie i doktrynie kwestia **niekorzystnego rozporządzenia mieniem**, czyli jako wszelki uszczerbek na majątku pokrzywdzonego. Owa niekorzystność wyrażać ma się zarówno uszczupleniem już istniejącego stanu posiadania, jak i utratą przyszłych pożytków –spodziewanych i należnych korzyści, a nawet samym pogorszeniem sytuacji materialnej (m.in. O. Górniok: *Kodeks*

Karny. Komentarz pod red. A. Wąska, Gdańsk 2002/2003, s. 1182). Nie oznacza to wyłącznie wyjęcia części majątku spod władztwa prawowitego właściciela, ale także jego spieniężenie poniżej wartości, czy sprzedaż pokrzywdzonemu przedmiotowi po zawyżonej cenie, np. jedynie pozłacanego zegarka jako szczerozłotego.

Nie zawsze jednak wystąpienie wymiernej straty automatycznie oznacza zaistnienie przestępstwa. Jeśli pokrzywdzony wiedział, że dana czynność będzie skutkowałą uszczupleniem jego majątku a mimo tego godził się na nią lub podejmował ryzyko w ramach działalności gospodarczej, to o oszustwie nie może być mowy. Te akurat słuszne zastrzeżenia można też łatwo reżyserować i rozciągać na transakcje, których rzeczywisty cel daleko odbiega od tego zakomunikowanego kontrahentowi.

Kolejnym warunkiem wypełnienia znamion oszustwa jest **wprowadzenie w błąd lub wyzyskanie błędnego przekonania**. Przytaczany już wcześniej wyrok SN z dn. 10 marca 2004 r. zdefiniował tę kwestię jako ukierunkowanie działania sprawcy w stronę skłonienia konkretnej osoby do rozporządzenia mieniem w oparciu o uświadomiony i zarazem nieprawdziwy obraz rzeczywistości. Oznacza to wprowadzenie w błąd w taki sposób, że sprawca swoimi podstępными zabiegami doprowadza inną osobę do mylnego wyobrażenia o rzeczywistym stanie rzeczy. Środkami użytymi do wprowadzenia w błąd mogą być m.in. słowo, pismo, fałszywe narzędzie, czy urządzenie pomiarowe. Do przypisania oszustwa nie jest zatem potrzebne użycie szczególnego podstępu, wystarczy kłamstwo. Może też ono zostać użyte pośrednio, czyli wprowadzić w błąd nie pokrzywdzonego, a osobę rozporządzającą jego mieniem. Przykładem tego jest np. przedstawienie fałszywych dokumentów dowodzących, że sprawca pozostaje uprawniony do odbioru w cudzym imieniu towaru lub do dysponowania cudzą własnością, albo, że sam pozostaje właścicielem danego mienia.

Dokonanie zakupu towarów z odroczonym terminem płatności, gdy nabywca wie, że mimo uzgodnień nie zapłaci za wydane sprzęty. Przekonanie kontrahenta do poniesienia określonych nakładów w celu realizacji wspólnego przedsięwzięcia, gdy tymczasem sprawca nigdy jego rzeczywistej realizacji nie zakładał a celem pozostawało jedynie uzyskanie wstępnego świadczenia. Wprowadzenie w błąd dotyczyć musi istotnych okoliczności, a więc takich, bez wystąpienia których rozsądnie rozumująca osoba najpewniej nie przystąpiłaby do czynności. Kłamstwa dotyczące własnego stanu cywilnego i planów matrymonialnych względem kontrahentki nie wypełnią znamion oszustwa, nawet jeśli towarzyszyła im sprzedaż w cenie hurtowej cementu na rzecz należącego do nierzetelnego adoratora składu budowlanego.

Wyzyskanie błędu zachodzi natomiast wówczas, gdy pokrzywdzony sam tkwi w błędnej ocenie danego stanu faktycznego, a sprawca nie prostuje tej wiedzy, lecz korzystając z niej uzyskuje kosztem drugiej osoby nienależną korzyść majątkową. Najprostszym tego przykładem jest pytanie ze strony klienta: *w jakiej cenie jest ten złoty zegarek?* W odpowiedzi sprzedawca świadomy, iż oferuje jedynie pozłacaną podróbkę, zamiast sprostować błąd podaje cenę analogiczną dla oryginalnego wyrobu jubilerskiego.

Wyzyskanie niezdolności do należytego pojmowania przedsiębranego działania rozumieć należy, jako wykorzystanie sytuacji, gdy ofiara z jakichkolwiek powodów nie ma należytego rozeznania, co do faktycznej treści transakcji, której realizacji się podejmuje. Niezdolność taka może mieć charakter czasowy albo trwały i wynikać z braku odpowiedniego rozwoju psychicznego, wystąpienia czasowych zaburzeń psychiatrycznych, ostrego stanu chorobowego, skrajnego przemęczenia, niedostatecznej socjalizacji jednostki, jej nazbyt młodego wieku i tym samym braku doświadczenia życiowego oraz wiedzy fachowej, a także

spowodowana może zostać czynnikami krótkotrwałymi: upojeniem alkoholowym, zażyciem narkotyków, leków psychotropowych etc.

Powyższe przesłanki w miarę prawidłowo formułują podstawy ścigania czynu potocznie określanego oszustwem. Jednak ich obiektywne spełnienie nie jest wystarczające do uzyskania wyroku skazującego. Furtką gwarantującą, w nawet oczywistych sytuacjach, uniknięcie odpowiedzialności karnej jest wyznacznik **celowego działania**, czyli przeprowadzonego w sposób umyślny, z zamiarem bezpośrednim popełnienia przestępstwa.

Podstawą odpowiedzialności karnej oszusta jest dowiedzenie nie tylko wystąpienia oznak obiektywnych – *a więc działania pokrzywdzonego z uszczerbkiem na własnym majątku w wyniku błędu wiadomego sprawcy i z korzyścią materialną dla niego* – co już samo w sobie niezwykle trudno udowodnić w przypadku skomplikowanych oszustw gospodarczych dokonanych w ramach sieci współdziałających ze sobą spółek prawa handlowego. Wyłowienie faktycznego beneficjenta konkretnej transakcji w gąszczu setek przelewów i wzajemnych rozliczeń niejednokrotnie przypomina sprzątanie Stajni Augiasza. Aby pociągnąć sprawcę do odpowiedzialności dodatkowo należy jeszcze udowodnić mu winę także w zakresie subiektywnym, czyli w zaplanowanym i od początku konsekwentnie realizowanym przestępczym działaniu, skutkującym pozyskaniem nieuprawnionych korzyści majątkowych dzięki uszczerbkowi kontrahenta. W banalnych przypadkach typowo kryminalnych bywa to proste, gdy np. zawodowy złotnik sprzedaje sztabę żelaza pokrytą złotą farbą jako pełnowartościowy kruszec lub jeśli na podstawie sfałszowanego dowodu tożsamości oszust odbiera opłacony przez innego przedsiębiorcę towar. Jednak konia z rzędem temu, kto udowodni, że nagła utrata płynności finansowej przedsiębiorstwa była od początku do końca zaplanowana, a przedsiębiorca od pierwszej chwili nie wykazał cienia dobrej woli w

zapłacie, zwłaszcza, gdy poszczycić się on może nienaganną opinią i dobrze udokumentowanymi stratami wynikającymi z kilkuletniej, wielopłaszczyznowej działalności prowadzonej w zgodzie ze sztuką zawodową właściwą dla swej branży. Nie sposób wówczas dowieść przedsiębiorcy winy. W tym, i w setkach innych scenariuszy, jedynie przyznanie się sprawcy może skutkować wykazaniem umyślnego działania. **W Polsce nie okazja czyni złodzieja**, a jedynie od początku zaplanowane i do końca zrealizowane według przyjętych założeń działanie. Obfite orzecznictwo sądów – rejonowych, okręgowych, apelacyjnych oraz Sądu Najwyższego – wskazało wiele drobnych okoliczności, wykluczających pociągnięcie kogokolwiek do odpowiedzialności na gruncie karnym. Nie trudno z góry wyreżyserować ich wystąpienie w celu zablokowania interwencji prokuratora. Paradoksalnie też, im większa wartość przedmiotu oszustwa, tym łatwiej pozorować uczciwe i rzetelne, choć pechowe, prowadzenie interesów. Powstaje tutaj szeroki margines możliwości spychania faktycznie dokonanych oszustw w kategorię niewywiązania się ze zobowiązań o charakterze cywilnoprawnym, a więc w kategorię niezagrożoną żadną karą.

Sam brak realizacji umowy cywilnoprawnej, czy to zawartej pomiędzy osobami prywatnymi, czy też w obrocie gospodarczym, nie stanowi więc czynu karalnego. *„Oszustwo w rozumieniu kodeksu karnego może być przestępstwem popełnionym tylko umyślnie, z zamiarem bezpośrednim, kierunkowym, obejmującym cel i sposób działania. Choćby z tego powodu, nie każda nierzetelna realizacja umowy cywilnoprawnej może stanowić przestępstwo oszustwa”* – wyrok Sądu Apelacyjnego w Łodzi (z dn. 28 lutego 2002 r., sygn. II Aka 4/02). Nie jest też oszustwem brak zwrotu zaciągniętej pożyczki, jeśli tylko dłużnik zamierzał ją zwrócić, nawet jeśli w końcu tego nie uczynił (L. Gardocki Prawo Karne, Warszawa 1998 s. 304). A w jaki sposób dowieść owy zamiar rzetelnego rozliczenia?

Według orzeczeń sądów wystarczającą tego przesłanką jest spłata choć ułamka zadłużenia. Rzetelne rozliczenie z wcześniejszych transakcji zrealizowanych z tym samym kontrahentem. Wdanie się w spór cywilny, co do istoty lub wysokości zobowiązania. Uznanie długu, najlepiej skorelowane z wykazaniem braku majątku umożliwiającego jego spłatę. Ogłoszenie upadłości podmiotu gospodarczego z zachowaniem wszelkich prawem przepisanych rygorów. Wystąpienie o zawarcie układu. Aktywne prowadzenie negocjacji. Zaistnienie choć jednej z wymienionych przesłanek dowodzi dobrej woli sprawcy, a więc i zamiaru sumiennego, zgodnego z obowiązkiem prawnym rozliczenia. Nawet jeśli jest ono kwestionowane to w drodze ustawowo przewidzianej, a wówczas nie sposób nikomu czynić zarzutu z tego, że w zgodzie z przepisami Kodeksu cywilnego usiłuje chronić swe prawa lub zakwestionować obowiązek zapłaty. Odwoływanie się do ustawy nie czyni przestępcą. Banalnie proste. Opisana wcześniej, teoretycznie szeroka, ochrona obywateli ze strony prawa karnego pozostaje tylko iluzją, w praktyce ograniczoną do oczywistych, niemaskowanych przypadków. Takich jak przytoczona oszukańcza transakcja z zegarkiem, właściwa dla drugiego obrotu towarowego w cierpiącym na niedobór wszelkich dóbr PRL-u. Nie znajduje jednak niemal żadnego zastosowania we współczesnych, polskich realiach gospodarczych i społecznych. Dlatego, pomimo stosunkowo szerokich, jasnych i klarownych podstaw ścigania sprawców oszustw kryminalnych i gospodarczych, sprawy te są, po przeprowadzeniu przez prokuraturę niezwykle powierzchownego śledztwa, masowo umarzane lub w ogóle odmawia się wszczęcia postępowania już po analizie samych załączonych do doniesienia dokumentów. Poza niefortunną legislacją praktykę taką wspierają też inne czynniki. Pierwszy, to wspomniana już wcześniej statystyka. Co trzy miesiące prokuratorzy masowo umarzają skomplikowane lub nierokujące śledztwa zalegające w tzw.

pralce, czyli w postępowaniu przygotowawczym. Umożliwia to wyczyszczenie bilansu – sprawa umorzona z powodu braku znamion przestępstwa, to sprawa zakończona z pozytywnym wynikiem, potwierdzająca skuteczność i rzetelność prokuratora. Postępowania zalegające obniżają statystyczny wynik danej prokuratury i stąd ich szybkie umarzanie jest niezmiernie mile widziane.

Drugi motyw, to niezwykle skomplikowany, nierzadko rozbudowany i wielowątkowy charakter śledztw gospodarczych, wymagający od urzędników specjalistycznej wiedzy technicznej lub materiałowej, znajomości danej branży, praktyki rynkowej oraz innych informacji, bardzo często zahaczających o zagadnienia handlu międzynarodowego, prawa gospodarczego i podatkowego odległych państw. Oczywiście, zarówno prokurator, jak i pracujący od zawsze na państwowej posadzie policjant, przydzielony do realizacji poszczególnych czynności postępowania, nie dysponują żadną praktyczną wiedzą nt. biznesu i samodzielnej działalności gospodarczej. Niezwykle trudno jest im więc sprawnie operować na polach takich jak produkcja przemysłowa i globalny obrót towarowy, budownictwo, usługi medyczne, sprzedaż papierów wartościowych, bankowość, consulting, lobbing polityczny, badania nad nowymi technologiami, czy optymalizacja podatkowa z zastosowaniem spółek off-shore. Również nie sposób oczekiwać od nich dogłębnej znajomości ustaw szczególnych oraz niekiedy obszernego dla danej gałęzi prawa orzecznictwa sądowego. W praktyce, dopiero w chwili wszczęcia dochodzenia lub śledztwa prowadzący zaznajamia się z arkanami zagadnienia, a bez ich opanowania w stopniu zaawansowanym niemożliwe staje się wychwycenie subtelnych niuansów odgradzających przestępstwo od dozwolonej aktywności. W jaki więc sposób ma on skontrolować prawidłowość działania „starych wyjadaczy” i specjalistów z nawet kilkudziesięcioletnim doświadczeniem branżowym? Otóż, nie może. Jedyne, na co może

liczyć, to:

- jednoznaczne dowody winy dostarczone przez samego pokrzywdzonego, czyli w praktyce na przeprowadzenie przez ofiarę wszelkich czynności za organa ścigania
- jednoznaczne stanowisko biegłego, oparte na wyczerpującym i jednoznacznym materiale dowodowym, również zwykle dostarczonym przez samego pokrzywdzonego
- niebudzące wątpliwości sądu przyznanie się sprawcy do winy

Oczywiście, bardzo rzadko zdarzają się tak sprzyjające okoliczności. Zwłaszcza, że zeznania świadków, zatarte upływem czasu lub stresem, często bywają mało precyzyjne. Ofiary raczej nie przejawiają zdolności detektywistycznych, ani wiedzy i warsztatu policyjnego technika kryminalistyki. Przestępcy zaś dysponują dobrymi prawnikami blokującymi wszelkie działania prokuratury i składającymi kontradoniesienia przeciw pokrzywdzonym i świadkom. Nie trudno wyobrazić sobie ciągnięte latami postępowanie, w wyniku którego przesłuchano dziesiątki osób: klientów, księgowych, sekretarki, pracowników, dostawców towarów i podwykonawców usług, zabezpieczono dowody z tysięcy stron dokumentów spisanych w kilku językach, przedstawiających w dodatku „papierową” dobrą wolę podejrzanego, a ten odmawia złożenia jakichkolwiek dodatkowych wyjaśnień i sam obwinia swych kontrahentów o nieczne praktyki, mnoży wnioski dowodowe i w tym samym charakterze przytacza kolejne opinie sprzyjających mu biegłych. Dalszym utrudnieniem pozostają znikome fundusze budżetówki. Do kanonu żartów o możliwościach finansowych Policji przeszedł przypadek oficerów z Pomorza, prowadzących działania przeciwko tzw. Mafii Paliwowej. Nie podejmowali oni niezbędnych czynności, bowiem ich jednorazowy wyjazd poza województwo do jednego tylko

świadka skutkował zużyciem tygodniowego przydziału benzyny... Większość beneficjentów oskarżonych w procesach naftowego imperium uniknęło kary z powodu braku jednoznacznego materiału dowodowego. Utracone przez Skarb Państwa dziesiątki miliardów zł, toczące się przeszło dekadę postępowania karne, liczne zabójstwa, samobójstwa i inne tajemnicze zgony figurantów oraz policjantów związanych ze śledztwami, to jedynie niepowiązane ze sobą zbiegi okoliczności... Jak się okazało, Mafia Paliwowa według sądów nigdy nie istniała, a lata pracy śledczych poszły na marne.

W świetle powyższych nie dziwi, że o wiele mniej zmartwień i trudu przysparza odmowa wszczęcia śledztwa lub jego umorzenie już na początku, niż wdawanie się w kilkuletni ping-pong między zwaśnionymi przedsiębiorcami. Ewentualny akt oskarżenia i tak w którejś instancji przyniesie w końcu uniewinnienie. Wynika to z obowiązku rozstrzygania wszelkich wątpliwości na korzyść obwinionego oraz wykazania, że brak prawidłowego rozliczenia wynikał z od początku zaplanowanego scenariusza. Dlatego o wiele lepiej po prostu zachować asertywność względem pokrzywdzonych i wskazać na cywilnoprawny charakter powstałego sporu. Stąd bardzo częstym uzasadnieniem postanowienia o umorzeniu śledztwa lub uniewinniającego wyroku jest krótka sentencja: *„brak możliwości udowodnienia, iż podejrzany działał od początku w celu pokrzywdzenia kontrahenta”* lub *„oskarżony swoim zachowaniem nie wyczerpał znamion przestępstw z art. 286 § 1 kk, bowiem brak było podstaw do przyjęcia, iż w momencie zawierania umów nie miał zamiaru wywiązania się z nich, natomiast stosunki łączące podejrzanego z pokrzywdzonymi miały charakter cywilnoprawny i winny być załatwiane w drodze postępowania cywilnego”*.

Czy trudno w toku wcześniejszych transakcji wywiązać się prawidłowo z obowiązku nawet drobnych rozliczeń, na rzecz spornej umowy dokonać jakiegokolwiek, choć symbolicznej wpłaty, przesłać

reklamację, podjąć inne działania pozorujące uczciwe prowadzenie interesów? Oczywiście, że nie. A wówczas zabezpieczony przez prokuratora materiał dowodowy jednoznacznie wykluczy oszustwo. Tak, zapłata 100 zł z należnego miliona niweluje w Polsce podstawy oskarżenia o popełnienie tego poważnego przestępstwa... Gdy nauka odkrywa odciski palców – zbrodniarze zakładają rękawiczki...

Dlaczego w III RP synonimem słowa „uczciwość” uczyniono „naiwność”? Odpowiedzi brak.

Ideowy komunista z czasów Lenina nazwałby dzisiejszy ustrój państw Unii Europejskiej uciskiem biednych przez bogatych w majestacie prawa pozornych wolności i równości. Akurat miałby rację...

DZIAŁ I

OSZUSTWA

W OBRODIE

GOSPODARCZYM

Rozdział III

Jak kraść na spółkę kapitałową – na co dzień

Nie jest tajemnicą, że im większym kapitałem i silniejszą pozycją w środowisku biznesowym przedsiębiorca dysponuje, tym większe pieniądze może zarabiać. Biedni, niewykształceni ludzie zmuszeni są do pracy za minimalne stawki, ledwie wystarczające na czynsz i żywność. Absolwenci prestiżowych uczelni lub osoby zamożne mogą pozwolić sobie na więcej radości z życia, a wchodzący w dorosłość zarówno z odziedziczonym majątkiem, jak i dobrym wykształceniem, cały swój potencjał kierują zwykle na gromadzenie fortuny niemożliwej wręcz do skonsumowania. Jeśli obranej drogi nie ograniczy uczciwość, a dodatkowo zaprzęgnie się do pracy dobrodziejstwo instytucji osobowości prawnej, zysk wzrastał będzie w tempie geometrycznym. Co więcej, wraz ze wzrostem wartości kradzionego kapitału proporcjonalnie spada ryzyko kary i niepowodzenia procederu. Spółki kapitałowe i holding podmiotów z osobowością prawną umożliwiają długotrwałą, wysoki i w pełni bezpieczny zysk zwany zwyczajowo *szwindlem*. Twórcze ich wykorzystanie zapewnia bogactwo z ustawową gwarancją nietykalności sprawy.

Osobowość prawna

Istotą spółek z ograniczoną odpowiedzialnością i akcyjnych, a także fundacji i stowarzyszeń rejestrowych, pozostaje osobowość prawna. Człowiek, czyli osoba fizyczna, prowadzący działalność gospodarczą na podstawie wpisu do CEIDG, w formie spółki

cywilnej lub spółki osobowej (jawnej, partnerskiej lub w zakresie odpowiedzialności komplementariusza komandytowej oraz komandytowo-akcyjnej) odpowiada całym swoim majątkiem za wszelkie powstałe zobowiązania. Zasądzone z tytułu takiej działalności kwoty, przy podtrzymywaniu egzekucji komorniczej przerywającej bieg przedawnienia, mogą pozostać wymagalne aż do śmierci dłużnika, a następnie jego spadkobierców. Wszystko, co osoba ta kiedykolwiek zarobi, zostanie zajęte na poczet egzekucji. Utworzenie spółki kapitałowej zdejmuje z przedsiębiorcy tą „drobną” niedogodność. Powstaje wówczas fikcyjna „osoba”, której długi nie obciążają inwestora. Jedyne, co może on utracić, to przekazany jej kapitał zakładowy. Teoretycznie, jeszcze zarząd spółek z o.o. odpowiada finansowo, na podstawie art. 299 Kodeksu spółek handlowych, za nieuregulowane zobowiązania, lecz w praktyce i to ryzyko na wiele sposobów można ominąć. **Słowem – bogaty nie musi płacić swoich długów.** Tylko jak na tym zarobić?

Wariant prosty

Renomowana, albo też nikomu nieznana, spółka kapitałowa uzyskuje duże zamówienie publiczne, podpisuje na wolnym rynku kontrakt albo rozpoczyna samodzielną inwestycję, której przedmiotem jest np. budowa osiedla mieszkalnego, biurowca, centrum handlowego, czy autostrady. Miałaby konkurencję przedstawiając bardzo korzystną finansowo ofertę, przy zachowaniu wysokiej jakości wykonania i wykorzystanych materiałów. Spółka ta następnie zawiera umowę podwykonawstwa wskazanego projektu z inną spółką, często o podobnej lub identycznej firmie i tym samym lub zbliżonym adresie. Oczywiście oba podmioty pozostają w pełnej zależności od tych samych rzeczywistych mocodawców. Następnie, za pośrednictwem drugiego ogniwa tego łańcucha, poszukiwani są bezpośredni wykonawcy inwestycji. Warunki współpracy pozostają

właściwe dla branży – rozliczenie w większej części po zakończeniu prac, także z faktur VAT za wykorzystane przy realizacji materiały budowlane, paliwo i wynajem maszyn. Często, zwłaszcza przy prestiżowych kontraktach, warunkiem otrzymania zlecenia jest też kaucja gwarancyjna sięgająca dziesiątek lub setek tysięcy zł. Jeśli zlecniodawcą jest Skarb Państwa, albo zewnętrzny kontrahent, na trzecim etapie łańcucha nie spisuje się umów o podwykonawstwo (otwierających drogę do skierowania roszczenia o zapłatę bezpośrednio do inwestora), lecz rozdrabnia zamawiane usługi na czynniki pierwsze – na transport, dostawy budulca i „wypożyczenie” wykwalifikowanych pracowników.

Od tego momentu realizacja kontraktu zazwyczaj przebiega bezproblemowo. Wszelkie ewentualne konflikty lub zastrzeżenia podwykonawców są wyciszane i rozwiązywane na ich korzyść. Jeśli skala działalności na to pozwala, zlecniodawca dąży do nawiązania bardzo bliskich, niekiedy wręcz rodzinnych stosunków z głównymi kontrahentami, tak, by wszelkie ewentualne spostrzeżenia dot. nieprawidłowości lub niepokojących symptomów niwelowała aura pozornie niezwykle życzliwego i uczciwego przedsiębiorcy. Dopiero po zakończeniu zamówionych prac pojawiają się problemy. Nagle okazuje się, że świetnie prosperująca spółka o wielkiej renomie i w dodatku obdarzona zaufaniem niekiedy światowej sławy inwestora lub rządu, złożyła wniosek o ogłoszenie upadłości. Co gorsza, fizycznie także już nie istnieje. Jej reprezentacyjna siedziba jest jedynie wynajętym na krótki okres czasu budynkiem – ponownie przejmowanym przez właściciela, a flota luksusowych samochodów oddanych do dyspozycji kadry to pojazdy wzięte w niespłacany leasing. Milkną telefony komórkowe zarządu, księgowości i pracowników działu administracji, zablokowane przez operatora z powodu zaległości w opłatach. Sytuacji nie zmienia informacja o wypłacie honorarium za zrealizowany projekt. W tym momencie ktoś odkrywa, że spółkę która wygrała przetarg i zainkasowała

pieniądze z bezpośrednim zleceniodawcą robót łączy tylko... umowa cywilnoprawna. W dodatku niekorzystna dla spółki pośredniej i nazbyt restrykcyjna w zakresie np. zaakceptowanych kar umownych.

Podwykonawcy w bardzo szybkim czasie uzyskają sądowe nakazy zapłaty, lecz wszczęte postępowanie upadłościowe umożliwi odzyskanie jedynie kilku groszy z każdej zainwestowanej złotówki, o zyskach już nie wspominając. Tymczasem prokuratura masowo umarzać będzie śledztwa wszczynane z doniesień wierzycieli. W efekcie inwestor otrzyma wykonany w atrakcyjnej cenie obiekt, pierwsza spółka zainkasuje pełne wynagrodzenie, drugi podmiot zbankrutuje, a dziesiątki albo czasem nawet setki podwykonawców pozostaną z sądowymi nakazami zapłaty wartości papieru na którym zostały one spisane. Wszystko w pełni legalnie.

W jaki sposób wprowadzono w błąd podwykonawców?

Zaufanie drobnych podmiotów gospodarczych uzyskasz drogi Czytelniku dzięki uwiarygodnieniu spółki numer jeden. Sposobów ku temu jest wiele. Podstawowy z nich to „stary” KRS. Świeżo zarejestrowana spółka nie wzbudza zaufania doświadczonych przedsiębiorców, w dodatku jej powołanie do niedawna wymuszało inwestycję kapitału zakładowego w kwocie minimum 50 000 zł, zaś obecnie 5000 zł. Oszczędność ta odbija się z kolei na wiarygodności finansowej. Bez trudu można jednak za bezcen zakupić nieaktywne spółki o wysokich kapitałach zakładowych, nierzadko zarejestrowane nawet 20 lat temu. Z różnych przyczyn udziałowcy odstępują od dalszego prowadzenia biznesu. Niekiedy powodem tego jest ich nazbyt zaawansowany wiek, choroba, wyjazd za granicę, zupełna rezygnacja z samodzielnej działalności, zmiana uwarunkowań rynkowych etc. Tańszym rozwiązaniem od ponoszenia kosztów likwidacji spółki lub sporządzania corocznego bilansu i opłacania pensji osób funkcyjnych, pozostaje jej sprzedaż na rynku

wtórny. Koszt zakupu wszystkich udziałów, bądź akcji, „*martwego*” przedsiębiorstwa rozpoczyna się już od symbolicznej złotówki. Nie trudno odnaleźć w rozsądnej cenie podmiot, który po pobieżnej kontroli nie wzbudzi zastrzeżeń niedoświadczonego biznesmena. Choć ten może być świetnym rzemieślnikiem w swym fachu, to zwykle nie grzeszy wiedzą ekonomiczną oraz prawną, ani też podejrzliwością. Czujność usypia zwłaszcza historia spółki, sięgająca początku lat dziewięćdziesiątych minionego wieku. Wydaje się bowiem mało prawdopodobne, by nieuczciwy podmiot mógł tak długo bezkarnie i bez złej sławy operować na rynku. Przeciętny obywatel nie utożsamia serca działalności z osobami (udziałowcami i zarządem), ale z nazwą i numerem akt rejestrowych, co jest wielkim błędem. Rzetelny i wiarygodny w zeszłym miesiącu podmiot dziś może być własnością zawodowych przestępców, albo kompletnych amatorów niezdolnych do realizacji najprostszych zleceń.

Kiedy Czytelnik dysponuje już spółką z „*wieloletnim doświadczeniem*”, podjąć powinien dalsze działania maskujące tzw. „*mgłą*” brak wiarygodności. Może to być np. wymiana referencji lub formalne nawiązanie współpracy, aliansów z innymi, renomowanymi lub przynajmniej wiarygodnymi podmiotami, stowarzyszeniami, czy osobami. Im więcej wyrazów zaufania, tym lepiej. W mniejszej skali działania referencje oraz listy polecające mogą zostać zupełnie sfalszowane, lecz w przypadku większych inwestycji niezbędne pozostają w pełni weryfikowalne dokumenty. Spółki ze starym KRS-em uwiarygodnia ich dawna działalność: bilanse z minionych lat, historia bankowa w postaci spłaconych kredytów i obrotów na rachunkach bankowych, wysokość odprowadzonego podatku VAT i CIT, wcześniej zrealizowane projekty oraz nawiązane przed laty współpracy z innymi potentatami branżowymi. To mocny pakiet idealny do twórczej prezentacji w materiałach marketingowych, cyfry można przecież ładnie wyeksponować chociażby na firmowej stronie www. Czyż nie oszałamia syntetyczne podsumowanie

dotychczasowej, 20-letniej „obecności” na rynku: zrealizowane kontrakty o wartości 890 milionów zł, ponad tysiąc zawartych umów, 79 milionów zł odprowadzonego podatku i łączny stan kadr sięgający 300 specjalistów... *Co z tego, że liczby te dotyczą w większości złotych sprzed denominacji, umowy drobnych transakcji z konsumentami a kadra to okazjonalni zleceniobiorcy, a wszystko to z obecnym właścicielem nie ma nic wspólnego?* Pozyskanie aktualnych „argumentów” również nie nastręcza nadmiernych trudności. Zawarcie „strategicznych” umów o współpracy ze znanymi spółkami, kancelariami prawnymi, czy bankami jest bardzo proste – wystarczy zaoferować im pozyskanie intratnych kontraktów, powołać się na poparcie znanych osobistości lub pozostające w „naszej” dyspozycji, zazwyczaj fikcyjne, moce przerobowe, bądź zaplecze majątkowe: rozbudowane piony handlowe, infrastrukturę produkcyjną, bądź usługową, prawa majątkowe albo nieruchomości stanowiące załączek przyszłych inwestycji. Pozornie marginalna umowa, zawarta z tak ważnym wydawałoby się partnerem, czyni nas w oczach niedoświadczonego przedsiębiorcy poważnym kontrahentem o wielkich możliwościach i szerokich koneksjach: *skoro bank z nimi współpracuje, to znaczy, że wiedzą co robią!* Wówczas wszelkie negocjacje związane z zawarciem kontraktu prowadzone są z pozycji podległej, a przedsiębiorca za wszelką cenę zabiega o tak znamienitego zleceniodawcę. Przejawia większe zaufanie, nie upiera się przy rygorystycznych klauzulach umownych, przejmuje inicjatywę i jest skory do ustępstw. Cel został osiągnięty. Drobny, polski biznes ma w sobie wiele pokory, co szczególnie staje się widoczne w konfrontacji z tak wyreżyserowanym klientem. Nie rodzi wtedy zastrzeżeń odesłanie do dopełnienia formalności ze spółką lub „oddziałem” oddelegowanym do realizacji konkretnego projektu, a w istocie do bankruta przeznaczonego do upadłości.

Sposobów na uwiarygodnienie drugiego ogniwa, zwykle pozorującego przecież spółkę nr 1, jest równie wiele. Oczywiście

standardowo stosować można rozwiązania opisane w poprzednich akapitach, choć wtedy nikt już raczej nie sprawdza daty rejestracji spółki, ani jej indywidualnego dorobku. Blask pierwszej spółki dostatecznie opromienia cały projekt, trzeba jedynie zamazać w oczach przyszłych ofiar oszustwa granicę pomiędzy odrębnymi przecież podmiotami gospodarczymi. Jedną z ważniejszych metod jest łączenie personalne – te same nazwiska w obu spółkach na pokrewnych stanowiskach. Ten sam adres, a nawet numer telefonu, przy zachowaniu podobnej nazwy podmiotu, to oznaka wyjątkowej pewności siebie oszustów lub tzw. ostatniej piłki: duży kontrakt, duży zysk, nic do stracenia i brak planów na dalszą działalność. Wówczas spółka nr 2 do ostatniej chwili udaje spółkę nr 1, ewentualnie jej departament lub oddział ze znacznie ograniczoną autonomią i domyślnie bez odrębności majątkowej. Niedoświadczeni kontrahenci zwykle ulegają tym pozorom, gdyż nie znają dostatecznie nawet podstaw prawa gospodarczego. Zaznaczyć jednak należy, iż wymienione powyżej „objawy” uwiarygodniania nie rodzą podejrzeń, jeśli dotyczą przedsiębiorców operujących w różnych branżach, zwłaszcza w miastach, gdzie ceny najmu lokali i siły roboczej są znaczne. Zdarza się, że z przyczyn finansowych kontrahenci partycypują w nierzadko wysokich kosztach biura, czy rachunków za telefon i obsługę sekretarską. Nie zawsze więc zgodność adresu będzie oznaczała fikcyjny, bądź nastawiony na popełnianie oszustw podmiot gospodarczy.

Nieodzownym elementem budowy wiarygodnego wizerunku jest odpowiednia oprawa zewnętrzna, czyli tzw. „tynkowanie”. Każdy bez trudu i znacznych nakładów finansowych może zbudować zamek na piasku. Wynajem luksusowego biura oraz leasing lub wypożyczenie drogich, reprezentacyjnych pojazdów to niezbędna i stosunkowo nieduża inwestycja każdego działającego na szeroką skalę oszusta. Nic tak nie wzbudza zaufania jak widoczny na pierwszy rzut oka potencjał finansowy. Koszt powołania od podstaw

tw. „wydmuszki”, czyli zakupu „starej” spółki z o.o. wraz z odpowiednią, wskazującą na zasobny portfel właściciela oprawą zewnętrzną, zamknąć można już w kwocie 15 000 zł. Ostatnim etapem jest przygotowanie imponującej, co do treści (zakres oferty, potencjał gospodarczy) i formy (wysoki poziom estetyki, wzbudzająca zaufanie szata graficzna) witryny www oraz innych materiałów marketingowych, a także zatrudnienie na stanowiskach administracyjno-handlowych reprezentacyjnej kadry – zwykle młodych, pięknych kobiet. Zgodnie zaś z efektem aureoli, ludzie mają tendencję do wiązania z urodą innych pozytywnych cech, takich jak dobroć, inteligencja, czy profesjonalizm: *czy tak piękna i miła osoba mogłaby być względem mnie nieuczciwa?* Techniki manipulacji psychologicznej stanowią podstawę sprzedaży każdego produktu, pomogą więc też maskować pułapki na naiwnych. I to tanim kosztem. Wieloosobowa kadra nie musi oznaczać dużych wydatków. Handlowcom nie trzeba płacić, wielu chętnych skusi się na rozliczenie prowizyjne od zawartych umów – w teorii dużo wyższe od stałej pensji, a w praktyce zerowe. Z kolei im więcej „pracowników”, ukazanych z twarzy lub nazwiska, tym większa wiarygodność pracodawcy, czyli lepsze „otynkowanie”.

Poniesione nakłady nie są jednorazowe, a podlegają „recyklingowi”. Z reguły jedna, operująca na szeroką skalę, spółka pozwolić sobie może na kilkakrotne przeprowadzenie oszukańczych transakcji przed zupełną utratą zaufania w środowisku branżowym. Jest to ilość wystarczająca, aby kilka osób ustawiło się finansowo do końca życia.

Warto zaznaczyć, iż nazbyt często zabiegi maskujące nie są nawet konieczne. W polskim drobnym i średnim biznesie na równi z brakiem doświadczenia króluje zaufanie oraz podpisywanie dokumentów bez jakiegokolwiek kontroli drugiej strony. Powodowane jest to pośpiechem: „*byleby nikt inny nie zgarnął zlecenia*” lub wspomnianym wcześniej synonimem naiwności, czyli uczciwością.

Oceniamy ludzi przez pryzmat własnych norm etyczno-moralnych, stąd własna rzetelność predysponuje do miana łatwej ofiary zawodowego oszusta. Dlatego też dużo częściej pokrzywdzonymi tą kategorią przestępstw stają się średnio zamożne firmy rodzinne, a nie przedsiębiorstwa zatrudniające armię prawników przeczulonych na punkcie bezpieczeństwa. A właśnie dla mniejszych podmiotów gospodarczych spotkanie z nieuczciwym kontrahentem oznacza zazwyczaj koniec działalności i własne bankructwo.

W jaki sposób pośrednie ogniwo wybyło się kapitału?

Zarząd spółki nr 2 nie może dobrowolnie zrezygnować z zagwarantowanego umową wynagrodzenia od spółki nr 1, ani też już na wstępie zobowiązać się do świadczenia jej usług za darmo lub poniżej kosztów własnych, czyli zapłaty należnej końcowym podwykonawcom. Osoby odpowiadające za zaciąganie takich niespłacalnych zobowiązań, oczywiście sprzecznych z zasadą racjonalnego gospodarowania, podlegałyby odpowiedzialności karnej, a ewidentnie widoczne współdziałanie władz podmiotu pierwszego otwierałoby drogę do objęcia i ich postępowaniem prokuratorskim. Wbrew pozorom nie utrudnia to pokrzywdzenia przyszłych wierzycieli. Pomijając kwestię środków trwałych, które, jak się okazuje, wcale nie były własnością spółki nr 2, wyzbycie pozostałego majątku, w zgodzie z obowiązującym w Polsce prawem, nie stanowi absolutnie żadnego problemu. W praktyce, „*pozostały majątek*” to jedynie honorarium przekazane przez spółkę nr 1. W celu wyprowadzenia tej kwoty ogniwo pośrednie obciążają zawarte, niekiedy nawet wiele lat wcześniej, liczne umowy o świadczenie usług niematerialnych. Z uwagi na swój charakter są one niemal nieweryfikowalne, więc i niezmiernie trudne do zakwestionowania. Usługodawcą jest w tym przypadku faktyczny beneficjent procederu, działający za pomocą zewnętrznych, prowadzących szeroką

działalność na rzecz wielu klientów, pozornie niezależnych i „czystych” spółek lub „samodzielnych”, a zarazem drogich specjalistów. W zależności od inwencji organizatora, możliwe jest wystawianie tylko faktur VAT, bądź też, w celu ominięcia odprowadzenia podatku od towarów i usług, przynajmniej częściowe oparcie pakietu wierzytelności o rachunki osób fizycznych lub nałożone z powodu nienależytego wykonania umowy odpowiednio wysokie kary umowne. Ze względu na zgodne stanowisko stron, co do zasadności roszczenia, w każdym ze wskazanych przypadków bardzo szybko wydany zostanie sądowy nakaz zapłaty. W chwili gdy spółka nr 1 przeleje wynagrodzenie na konto bankowe tak zadłużonej spółki nr 2, zostanie ono natychmiast zajęte przez komornika, który legalnie zaspokoi z pozyskanej kwoty zawczasu wyreżyserowane należności. Uczciwi podwykonawcy nie zdążą wtedy jeszcze uzyskać własnych tytułów wykonawczych, nie będą więc mogli dołączyć się do egzekucji.

W jaki sposób tanio uzyskać sądowy nakaz zapłaty, bez którego interwencja komornika nie będzie możliwa? W przypadku trybu nakazowego, zastrzeżonego m.in. dla niespornych faktur VAT, opłata sądowa wynosi 1,25% wartości przedmiotu sporu. Zwykły proces cywilny wymusza opłatę w wysokości aż 5%. Osoba fizyczna niewykazująca dochodów lub dochody na tyle niskie, że poniesienie opłat sądowych skutkować będzie znacznym uszczerbkiem dla niej lub jej rodziny, uzyska w ramach tzw. „prawa ubogich” zwolnienie z opłat. Jeśli jednak „wierzyciel” jest osobą zaufaną, brak potrzeby wytaczania powództwa. Do uzyskania potwierdzonego powagą sądu tytułu egzekucyjnego w zupełności wystarcza instytucja tzw. zawezwania do próby ugodowej. Polega ona na wystosowaniu do dłużnika, za pośrednictwem sądu rejonowego właściwego terytorialnie dla jego siedziby, propozycji „ugodowego” rozwiązania sporu – w tym wypadku spłaty należności. Zawarte między stronami uzgodnienia, czyli m.in. zaakceptowana wartość zobowiązania oraz

termin płatności, mają moc prawną wyroku sądowego. W przypadku niewykonania treści ugody zobowiązanie podlega egzekucji na drodze komorniczej. Koszt zawezwania – 40 zł. Jeśli zamiast faktury VAT zobowiązanie zostanie przedstawione jako kara umowna z tytułu niewykonania lub nienależytego wykonania umowy albo rachunek do umowy o dzieło lub zlecenia wystawiony przez osobę fizyczną, wtedy zupełny koszt uzyskania takiej, podlegającej egzekucji komorniczej, wierzytelności zamknie się we wręcz symbolicznej kwocie 40 zł. Bez obowiązku regulowania VAT-u, czy stosunkowych opłat sądowych.

Inna, lepsza metoda, skutkująca dodatkowo oszczędnościami przy zakupie „starej” spółki oraz przy ewentualnym rozliczaniu podatków, to wyprowadzenie zysków poprzez dawne niespłacone wierzytelności. Przejęcie zadłużonej i nieposiadającej żadnego majątku spółki nie nastręcza żadnych kłopotów, podobnie jak skupienie z rynku wszystkich jej zobowiązań za promile ich nominalnej wartości. Pozbawiona pieniędzy, nieruchomości i praw majątkowych nie spłaci nigdy swych długów. Z tego powodu wierzyciele zazwyczaj bardzo chętnie odsprzedają przysługujące im względem takiego dłużnika wierzytelności – za symboliczną cenę w ramach czyszczenia bilansu i odzyskania choć szczątków utraconej kwoty. Z powodu upływu lat długi te dodatkowo rosną o należne odsetki, co pozwala bardzo niskim kosztem wyprowadzić wszelki kapitał uzyskany później w ramach bieżących rozliczeń. W chwili, gdy spółka nr 1 przelewa na rachunki bankowe spółki nr 2 należne wynagrodzenie, jest ono od razu w całości blokowane przez komornika na poczet starych zobowiązań. Te zaś, wsparte tytułem egzekucyjnym opatrzoną klauzulą wykonalności, nie mogą zostać zakwestionowane. Z wykorzystaniem przymusu państwowego i powagi wyroków niezawisłych sądowych dokonać więc możemy w pełni legalnego oszustwa. Podwykonawcy zostają z niczym.

Spółka nr 1 może też zapewnić sobie korzystny upust wynagrodzenia pośredniego ogniwa, poprzez wcześniejsze ustalenie kar umownych, należnych w przypadku zwłoki w realizacji projektu. Celowo opóźnione przekazanie gotowego budynku lub odcinka drogi o jeden dzień pociągnąć może np. obniżenie o 1% wynagrodzenia spółki nr 2. A w przyjętej za przykład branży budowlanej opóźnienia rzędu kilkuset dni nie są niczym nadzwyczajnym... Przy kontraktach wartości wielu milionów daje to co 24 godziny niebagatelną kwotę uzyskaną kosztem ostatniego ogniwa – rzeczywistych wykonawców. Skutki „ukarania” nierzetelnego pośrednika są w praktyce w pełni scedowane na przyszyłych wierzycieli. W pełni legalnie.

W przypadku kontraktów wielkiej wartości – zwykle setek milionów lub miliardów zł – organizowane bywają całe sieci zrzeszające wzajemnie zadłużone podmioty gospodarcze, dodatkowo przeplatane organizacjami non-profit i biernymi spółkami off-shore. Schemat organizacyjny zostanie przybliżony w następnym rozdziale. W odpowiednim momencie najsłabsze ogniwo zostaje skasowane, ograbiając zewnętrznych podwykonawców, a wspólne pieniądze pochłania zamknięty obieg. Prócz obciążania się wierzytelnościami spółki wzajemnie zatrudniają swych udziałowców i ich krewnych. Pamiętać bowiem należy, iż roszczenia pracownicze mają pierwszeństwo przed zobowiązaniami gospodarczymi. Miesiącami nieodprowadzane pensje księgowych, doradców oraz pracowników biur sięgać mogą dalszych setek tysięcy zł, które w przypadku ogłoszenia upadłości zaspokojone zostaną z zabezpieczonego majątku w uprzywilejowanej, drugiej kategorii. Zaspokojenie podwykonawców ograniczy rozcieńczenie pozostałych środków łącznie milionowej wartości fakturami VAT i rachunkami za wszelakie bieżące usługi niematerialne: pośrednictwo handlowe, consulting, IT, doradztwo specjalistyczne, obsługę administracyjną, prawną, porządkową, marketingową itp. Wierzycielami pozostają

zawsze „zaprzyjaźnione” spółki i osoby, niekiedy latami mozolnie tkające mozaikę wzajemnych zobowiązań. W chwili realizacji dużej transakcji roszczenia ulegają aktywacji i skierowane zostają do egzekucji. Wsparcie listą płac kadry, a niekiedy też i wieloletnią historią działalności, nie wzbudzą żadnych zastrzeżeń prokuratury, co do solidnie i uczciwie prowadzonych interesów. Odpowiednio ustawione terminy płatności tłumaczą również powód wcześniejszego regulowania należności podmiotów innych niż pokrzywdzeni podwykonawcy. Jedyne, co można zarzucić zarządowi wytypowanej do „odstrzału” spółki, to nadmierny optymizm, co do wysokości oczekiwanych wpływów i perspektyw uzyskania kolejnych zleceń, czyli przeinwestowanie zgodne z normalnym ryzykiem gospodarczym. To zaś wyreżyserować można zawierając z innym, oczywiście również pozornie zewnętrznym a w istocie zależnym, podmiotem kontrakt gwarantujący pełną wypłacalność. Umowa ta jednak, w zgodzie z jej zapisami, ulega z przewidzianych zawczasu przyczyn rozwiązaniu bez skutków finansowych dla stron. Powodem odstąpienia od realizacji może być np. szczególna sytuacja rynkowa, brak przystąpienia do inwestycji innego (kontrolowanego) podmiotu, utrata uprawnień do prowadzenia działalności o wybranym profilu, albo również utrata płynności finansowej kontrahenta. Sam kontrakt uzależniony od wydarzeń przyszłych i niezależnych sporządzony może zostać już po fakcie i antydatowany. Wówczas, złożony w ustawowym terminie wniosek o ogłoszenie upadłości niemalże gwarantuje pełną nietykalność osobom odpowiedzialnym za zły stan rzeczy.

Przy zastosowaniu opisanych powyżej technik w rozbiciu na kilka zaprzyjaźnionych podmiotów i przy jednoczesnym zachowaniu umiaru w eksploatacji oszukańczego źródła dochodu, postawienie jakichkolwiek zarzutów komukolwiek z kręgu beneficjentów procedury graniczy niemalże z cudem.

Dlaczego prawie nikt nie ponosi odpowiedzialności karnej z tytułu chociażby rażącej niegospodarności, czy też uszczuplania majątku spółek na szkodę wierzycieli? Zazwyczaj na kontach bankowych zadłużonego podmiotu pozostawia się pewną sumę, np. 25% wartości rozliczonego kontraktu, na częściowe zaspokojenie wierzycieli. Osoby odpowiedzialne za zły stan spółki – w przypadku spółek kapitałowych członkowie zarządu – działają celem ograniczenia jej strat. Równymi kwotami spłacają ułamkowe części wszystkich długów, bez pokrzywdzenia któregośkolwiek z wierzycieli. Bardzo ostrożnie postępują z ruchomościami – nigdy nie wyprzedają ich beztrzesko po zaniżonych cenach w celu zaspokojenia jedynie wybranych wierzycieli lub, co gorsza, nie zagarniają uzyskanej tą drogą gotówki. Próbuje wynegocjować odroczenie spłat lub umorzenie chociaż odsetek. Zabiegają o nowe kontrakty umożliwiające odzyskanie płynności finansowej. Jeżeli są ku temu choć iluzoryczne podstawy, kierują sporne rozliczenia na drogę sądową. Występują o układ z wierzycielami. Gdy sytuacja jest już beznadziejna i zachodzą ustawowe przesłanki, składany jest wniosek o ogłoszenie upadłości likwidacyjnej. Tutaj ich rola się kończy, a zaczyna działanie syndyka. Pozostawiona kwota bardzo szybko topnieje o opłaty sądowe, wynagrodzenie syndyka, czy rosnące zaległości z tytułu czynszu od siedziby i inne koszty bieżące.

Jeśli nastąpiła choć częściowa spłata należności, a jednocześnie w pełni udokumentowane są powody niewypłacalności podmiotu, w praktyce niemal niemożliwe staje się postawienie komukolwiek zarzutu popełnienia oszustwa. Przejęcie większości majątku spółki przez komorników, egzekwujących wcześniej wyreżyserowane długi, eliminuje ryzyko zarzutu pokrzywdzenia innych wierzycieli samowolnym faworyzowaniem wybranych kontrahentów i trwonienia majątku w celu utrudnienia egzekucji. Podobnie, w uzasadnionym zakresie podjęte ryzyko gospodarcze zazwyczaj

umożliwia uniknięcie wyroku skazującego z tytułu działania na szkodę spółki. Warunkiem nietykalności jest konsekwentnie przedstawiana linia obrony w postaci spójnego i udokumentowanego, co do faktycznej realizacji, biznesplanu – ukierunkowanego w zamierzeniu organizatora na straty, ale stwarzającego dla osób postronnych pozory rozsądnego, choć ryzykownego gospodarowania powierzonymi środkami. Powody powstania strat muszą zaś sprawiać wrażenie czynników zewnętrznych, zupełnie niezależnych, a najlepiej wynikających ze zdarzeń losowych lub zmiany koniunktury rynkowej. Inną kwestią pozostaje w ogóle znikome zagrożenie wszczęciem czynności przez prokuraturę. Wierzyciele są zwykle nieświadomi metodyki oszustw gospodarczych, przez co bez żadnych podejrzeń akceptują oficjalną wersję o powodach upadłości, nierzadko współczując „bankrutom”, a winą za własne straty obarczają jedynie zły los. Drugą stroną medalu są nieprofesjonalnie zredagowane doniesienia o oszustwach, oparte nie na wyznacznikach prawa karnego, a na potocznym rozumieniu tego terminu, co skutkuje odmową wszczęcia śledztwa z uwagi na brak ustawowych znamion przestępstwa. Wielką zasługę w tej materii przyznać należy radcom prawnym, którzy zazwyczaj pozbawieni warsztatu w materii dochodzeniowo-śledczej bardzo pobieżnie interpretują przepisy Kodeksu i nawet gdy zachodzą ku temu przesłanki, pomni doświadczeń cywilistycznych, formułują doniesienia w sposób absolutnie wykluczający sukces.

Oddzielnym zagadnieniem pozostaje uchylenie się członków zarządu spółki z o.o. od odpowiedzialności za nieuregulowane zobowiązania. Zgodnie ze wspomnianym wcześniej art. 299 ksh, jeżeli egzekucja z majątku podmiotu okaże się bezskuteczna, odpowiadają oni solidarnie za jego długi. Unikną jednak zapłaty, jeśli wystąpią o układ z wierzycielami i złożą w ustawowych terminach wnioski o ogłoszenie upadłości likwidacyjnej, co

oczywiście, w przypadku z góry planowanego działania, najpewniej w odpowiednim momencie nastąpi. Czynność ta, w połączeniu z pozostawieniem minimalnego kapitału na kontach zadłużonej spółki wykluczy wskazane zagrożenie – jeśli w ogóle ono powstanie. Mało kto wie, że dochodzenie zapłaty z prywatnego majątku członków zarządu w ogóle jest możliwe, przez co realne zastosowanie znajduje miejsce w znikomej ilości przypadków. Tym samym wykorzystanie podmiotu z osobowością prawną, z chwilą ogłoszenia upadłości, zazwyczaj czyni długi niebyłymi. Straty wierzycieli stają się czystym zyskiem organizatora lub organizatorów procederu – a więc im większe, tym dla Czytelnika lepiej.

Tylko w jednym przypadku oszust nie przywiązuje w ogóle wagi do zabezpieczenia zarządu przed odpowiedzialnością prawną, zarówno finansową, jak i karną. W przypadku profesjonalnego organizatora z pewnością nie wynika to z nieroztropności a tzw. „ostatniej piłki”. Po niej dalszy los spółki i jej osób funkcyjnych jest już bez znaczenia. Nawet wtedy jednak, jeśli postawienie przed sądem jest prawdopodobne, w aktach KRS-u nie figuruje on sam, ale tzw. „słupy”, czyli osoby użyczające jedynie swych danych personalnych i podpisujące dokumenty, ale nieposiadające żadnej realnej mocy decyzyjnej, ani nie uzyskujące właściwych do swej roli profitów. Nierzadko są to np. bezdomni bez rzeczywistego miejsca pobytu, narkomani, których stan świadomości bliski jest zeru albo osoby umierające, czy nawet już zmarłe. Choć odpowiedzialni na papierze, to dla obrotu gospodarczego nie istnieją, są niewypłacalni i nie zdolni do poniesienia żadnej kary. Ale o tym, aż do ostatniej chwili, czyli do policyjnego nalotu na biura, nie wie nikt. A wtedy już od dawna tak konta bankowe, jak i sejf w gabinecie prezesa, świecą pustkami. Organa ścigania i media skupią uwagę na porzuconym na pastwę losu figurancie oraz ofiarach oszustwa, a beneficjent bankructwa, po sfinalizowaniu w krótkim czasie kilku

podobnych „przedsięwzięć”, na spokojnie opuści Europę z okazałym zapasem gotówki.

Rozdział IV

Jak kraść na spółkę kapitałową – na skalę globalną

Rozwinięciem metody oszustwa na spółkę z osobowością prawną jest budowa wielonaczyniowego organizmu, tworzącego krajowy lub międzynarodowy, nierzadko istniejący tylko na papierze, holding zrzeszający kilkadziesiąt lub kilkaset podmiotów gospodarczych i fundacji. Jak już wstępnie zaznaczono w poprzednim rozdziale, drastycznie rozszerzone moce przerobowe skutkują dalszym rozmyciem odpowiedzialności, co umożliwia bezpieczne defraudowanie setek milionów, a nawet miliardów zł.

Powołanie niskim kosztem „starej” spółki kapitałowej oraz stworzenie wokół niej otoczki wiarygodności i bogactwa nie jest ani drogie, ani trudne. O tym zdążyliśmy się już przekonać. Podobnie powołanie grupy podmiotów gospodarczych nie nastręcza nadmiernych trudności, a wymaga jedynie odpowiednio wyższego kapitału inwestycyjnego oraz większej liczby wtajemniczonych w proceder osób: wspólników lub tzw. słupów, czyli figurantów nieświadomych skali przyjmowanych na siebie zobowiązań finansowych i możliwej odpowiedzialności karnej.

Zakupu kilku, a nawet kilkudziesięciu, spółek kapitałowych dokonać można w ciągu ledwie paru dni. Problemem wiarygodności w obrocie gospodarczym pozostają nazwiska – udziałowców, prokurentów, członków rad nadzorczych i zarządów. O ile w małej spółce zgodność nazwiska udziałowcy z prezesem zarządu wzbudza większe zaufanie, o tyle w przypadku dużej liczby podmiotów sygnowanie każdego z nich tymi samymi personaliami zburzyłoby

zupełnie ich wiarygodność. Nie sposób zawierzyć ogromowi listów polecających i kontraktów podpisanych wciąż tą samą ręką. W holdingach problem ten eliminuje wykorzystanie wspominanych wcześniej figurantów. Nie trudno nawiązać współpracę z bezdomnym, narkomanem lub alkoholikiem w dowolnym wieku i z dowolnego regionu kraju. W cenie kilku porcji taniego narkotyku lub bardzo młodego wina na każdym większym dworcu PKP uzyskamy komplet podpisów – na fakturach VAT, umowach, oświadczeniach, uchwałach zarządu. Liczyć też możemy na szczere zaangażowanie społeczne i przystąpienie w charakterze członka-założyciela do wszelakich stowarzyszeń. Jeśli dysponujemy wtajemniczonym w proceder notariuszem, bez trudu – na ławce w parku lub na peronie – przygotujemy również dokumentację do KRS w zakresie objęcia funkcji w zarządzie spółki, zakupu i sprzedaży udziałów, udzielenia prokury. W przypadku braku skorumpowanego notariusza, niezbędne będą dodatkowe nakłady na schludne i czyste ubranie oraz odpowiednie przeszkolenie słupa do wizyty w ucziwej kancelarii notarialnej. Realny koszt pozyskania jednego takiego pomocnika z nizin społecznych i tak zamyka się w niewielkiej kwocie od 100 zł do 1500 zł. Przelewy z kont wykonywane będą przez bankowość internetową za pomocą haseł jednorazowych, więc do późniejszego wyprowadzania kapitału cudzy podpis nie będzie już potrzebny. Oczywiście na osobie tej spoczywa pełna odpowiedzialność karna i finansowa, przy czym jej faktyczny udział jest żaden. Nie zna ona personaliów rzeczywistych organizatorów procederu, a tylko twarze pośredników odpowiadających za kwestie „administracyjne”. Umożliwia to popełnianie nawet bardzo bezczelnych i oczywistych przestępstw ze znikomym ryzykiem poniesienia jakichkolwiek tego konsekwencji.

Gdy inicjator lub inicjatorzy przedsięwzięcia dysponują już planowaną liczbą spółek kapitałowych ze „starym” KRS oraz w

pełni obsadzoną kadram, rozpocząć należy działania wzajemnie uwiarygodniające podmioty. W pierwszej kolejności wykorzystać trzeba powszechnie dostępne informacje z rejestrów KRS, czyli tak jak w przypadku pojedynczych spółek: „wieloletnią” działalność, bilanse roczne, wysokość kapitałów zakładowych i inne dane, których ujawnienie potwierdzi wypłacalność i solidność spółki: suma odprowadzonych podatków, niekiedy obroty na starych rachunkach bankowych, spłacone kredyty i zrealizowane spektakularne projekty, ewentualnie także listy dawnych kontrahentów. Następnie, celem papierowego „odświeżenia” aktywności gospodarczej, zawarta zostać powinna duża liczba nowych „kontraktów”. Spółki wzajemnie zlecają sobie wykonanie przeróżnych usług – konsultingowych, prawnych, projektowych lub handlowych, czyli takich, których fikcyjnego charakteru nie zdekonspiruje brak substratu materialnego. Nie bez znaczenia pozostają, korzystne z marketingowego punktu widzenia, umowy o stałej współpracy, pozwalające prognozować długofalowe i stabilne dochody lub referencje potwierdzające wysoką jakość świadczonych usług. Niejednokrotnie działalność usługową, handlową lub produkcyjną uzupełniają wprowadzone do łańcucha podmioty teoretycznie nastawione na działalność charytatywną lub społeczną. Powołanie fundacji lub stowarzyszenia z osobowością prawną to realny wydatek kilkuset zł. Jednostki te stanowią jednak niezmiernie istotne uzupełnienie holdingu, ze względu na wysokie zaufanie społeczne oraz liczne ulgi podatkowe umożliwiające ograniczenie daniny państwowej, jak i „wypranie” zarobionego w szarej i czarnej strefie kapitału. Celem ich utworzenia uczynić należy sektor wzbudzający powszechną sympatię np. pomoc chorym dzieciom, ludziom bezdomnym lub niepełnosprawnym. Rola głównego sponsora i fundatora takiej inicjatywy uśpi czujność wielu potencjalnych ofiar. *Czy przedsiębiorca lokujący zyski w działalności charytatywnej może nie wzbudzać zaufania, szacunku i podziwu?*

Jeśli ambicją organizatorów holdingu jest skrajne utrudnienie organom ścigania czynności dochodzeniowo-śledczych poprzez wprowadzenie międzynarodowego transferu kapitału i zagmatwanie statusu prawnego transakcji lub też chociażby tylko wzmocnienie wizerunku marketingowego globalnymi koneksjami, grupę wzbogacić należy obecnością podmiotów zagranicznych. Nic nie stoi na przeszkodzie powołaniu kilku spółek na terenach innych państw, o możliwe najmniej kompatybilnym, względem polskiego, systemie prawnym i podatkowym. Szczególnie polecane są tanie spółki brytyjskie, bałkańskie, estońskie, rosyjskie, cypryjskie, panamskie i amerykańskie, a z bardziej egzotycznych arabskie, indyjskie oraz tajskie. Ich weryfikacja przez podpisującego umowę polskiego przedsiębiorcę jest niemalże niemożliwa. Również większość z wymienionych państw nie ujawni nadwiślańskim instytucjom żadnych informacji o tożsamości udziałowców, osiągniętych dochodach, czy kierunkach transferu kapitału. Nawet wysoce wyspecjalizowane wywiadowanie gospodarcze zazwyczaj nie są w stanie opracować raportu dekonspirującego oszustwo z udziałem spółek zagranicznych. Kontrola wykaże legalne odnotowanie danego podmiotu we właściwych terytorialnie rejestrach (odpowiednikach polskiego KRS), istnienie podanego adresu siedziby oraz zgodność nazwisk osób umocowanych do zewnętrznej reprezentacji. Kto za nim stoi to już zwykle niezbadana tajemnica. Mało kto również podejrzewałby, że koszty rejestracji tamtejszej spółki są o wiele mniejsze niż w przypadku jej polskiego odpowiednika. Prestiżowe, rozpoznawalne na całym globie, brytyjskie spółki kapitałowe LTD powołać można za równowartość 50 funtów, a więc poniżej 300 zł, a kapitał zakładowy jest jedynie deklarowany do dokumentów rejestrowych i nie musi być deponowany na żadnym rachunku bankowym. Oznacza to, iż jest w praktyce nieweryfikowalny. W anglosaskich realiach wystarczające dla potwierdzenia stanu

posiadania jest słowo gentlemana. Oczywiście Czytelnik nie musi się tymi honorowymi przesadami przejmować. Jako bonus prawo obce często umożliwia dwutorowe utajnienie tożsamości rzeczywistego właściciela przedsiębiorstwa – prócz braku dostępnych publicznie akt KRS, poprzez opcję rejestracji spółki na tzw. udziałowców nominowanych, a także obsadzenie zarządu równie anonimowo dyrektorami nominowanymi, którymi mogą być także osoby prawne, czyli spółki z tego samego lub innego państwa. Te z kolei również mogą zostać obsadzone nominowanymi dyrektorami i należeć do nominowanych udziałowców. Supel nie do rozplątania. W wielu krajach, m.in. w należącym do Unii Europejskiej Cyprze, władze ujawnia personalia rzeczywistego właściciela jedynie w przypadkach tak znamiennych, jak uzasadnione podejrzenie finansowania terroryzmu, handlu narkotykami lub bronią albo prania brudnych mafijnych pieniędzy. Inne udogodnienia to np. „sprzedaż wysyłkowa”. W Wielkiej Brytanii spółkę kapitałową rejestruje się z pomocą tamtejszych kancelarii prawnych drogą pocztową, a nawet poprzez pocztę elektroniczną. Opłatę za taką usługę chętny przekazuje przelewem z własnego prywatnego lub firmowego konta, przez anonimizujące źródło przelewu globalne, internetowe serwisy rozliczeniowe albo z wykorzystaniem dyskretnych kart kredytowych prepaidowych. Dzięki temu można swobodnie zamieszczać w formularzach rejestracyjnych personalia dowolnych ludzi – także słupów, osób obcych, zmarłych lub wręcz fikcyjnych. Nikt nie zweryfikuje prawdziwości załączonego skanu dowodu osobistego, może on zostać poddany obróbce graficznej w prostym edytorze oraz uzupełniony dowolną tożsamością i adresem. W ten prosty, niemalże niewykrywalny, sposób wpleść można w struktury holdingu w pełni anonimowo „obce” podmioty bez ujawnienia faktycznych beneficjentów ich działalności. Mogą one zostać przeznaczone na cele obciążenia niespłacalnymi zobowiązaniami na rzecz uczciwych

kontrahentów, przerwania łańcucha możliwych do zweryfikowania powiązań kapitałowo-osobowych, a także do cesji wierzytelności i bezpiecznej, nadzorowanej z innego kontynentu, kontrolowanej egzekucji komorniczej. Do pozornych przeszkód zaliczyć należy problem z otwarciem konta bankowego, na potrzeby czego większość cywilizowanych banków oczekuje wiarygodnych dokumentów tożsamości. Problem ten można rozwiązać poprzez internetową rejestrację w przejawiających wielkie zaufanie do swych klientów egzotycznych bankach, czego minusem bywają jedynie stosunkowo wysokie koszty prowadzenia rachunku. Również drogą mailową zakupić można w cenie poniżej 500 funtów działające spółki LTD z już uruchomionymi rachunkami bankowymi.

Kolejny krok to biura w prestiżowych punktach globu. W praktyce – skrytki adresowe, ewentualnie uzupełnione o tanią obsługę sekretarską: odbieranie telefonów, faksów, nadawanie i odbiór korespondencji na lokalnych pocztach. Dubaj, Szanghaj, Kinszasa, Bogota. W oczach przeciętnego Kowalskiego oddziały w tak egzotycznych lokacjach stanowią o potędze holdingu. Nie wie on bowiem, że koszt miesięczny utrzymania takiego papierowego adresu to ledwie 50 euro. Lokacje takie jak Seul, Neapol, czy Ottawa to wydatek niewiele większy, oscylujący w granicach kilkuset euro. Utworzenie międzynarodowej sieci przedstawicielstw w praktyce jest tańsze do utrzymania od dwupokojowego biura i sekretarki na warszawskiej Pradze.

Niewielkim nakładem finansowym powstała siatka kilku lub kilkadziesiąt „starych” polskich spółek kapitałowych, polskich fundacji i stowarzyszeń, wspartych identyczną ilością zagranicznych przedsiębiorstw z oddziałami rozsianymi po całej planecie. Tak skonstruowany, globalny organizm gospodarczy wzajemnie uwiarygodnia poszczególne ogniwa swego łańcucha, a zewnętrzny obserwator nie jest w stanie stwierdzić, że rzekomo działające na

szeroką skalę przedsiębiorstwa, tak naprawdę tylko wzajemnie wystawiają sobie fikcyjne potwierdzenia rzekomo dobrze wykonanej pracy. Poszczególne spółki, o „stabilnych” obrotach, licznych, lojalnych kontrahentach i szerokiej rzeszy „odbiorców” swych usług wydają się innym przedsiębiorcom wymarzonymi podwykonawcami, partnerami lub zlecniodawcami. „Mgła” zakryła wszystko. *Któż nie chciałby podpisać kontraktu z globalną potęgą?*

Spreparowany anioł biznesu bez trudu nawiąże współpracę np. z właścicielem atrakcyjnie zlokalizowanej działki budowlanej. Naiwnych szuka zwykle wśród spadkobierców lub osób, które odzyskały nieruchomości w ramach repywatyzacji, czyli niedoświadczonych biznesowo staruszków oraz zaślepionych wizją wielkich pieniędzy młodzieńców. Na podstawie zawartej umowy spółka zobowiązuje się wybudować np. osiedle mieszkalne i podzielić uzyskany dochód pomiędzy wykonawców, a właściciela gruntu. Następnie, spółki holdingu poszukują podwykonawców poszczególnych etapów prac budowlanych, od przygotowania fundamentów, po wykończenie lokali mieszkalnych oraz biały montaż. Zgodnie z metodyką przedstawioną w poprzednim rozdziale, na początkowym etapie współpracy przebiegać musi ona bez zarzutu, by nie spłoszyć przyszłych ofiar i nie zastopować prac przed uzyskaniem gotowego dzieła. Przy szerokiej skali działania rezygnuje się z nawiązywania rodzinnych relacji z poszczególnymi kontrahentami, choć często zastępuje je – w przypadku zabiegania o poparcie ze strony mężczyzn – towarzystwem bezpruderyjnych pań, prezentujących przy lampce szampana obok biznesplanów także swe wdzięki. Oczywiście bez wulgarnych skojarzeń z prostytutką, zawsze są to „porządne” asystentki zarządu, jedynie „szczerze” oczarowane kontrahentem. Ale to tylko do czasu. Po zakończeniu przez danego podwykonawcę robót kwestionowane są terminy przekazania dzieła, jakość realizacji oraz użytych materiałów budowlanych. Nakłada się

kary umowne, także oczywiście bezzasadne, odmawia rozliczenia wystawionych faktur VAT. Stosowana bywa metoda kija i marchewki – prośby o cierpliwość motywowane czasowym brakiem środków równoważą groźby procesu i potrącenia z faktur kar umownych. Jeśli podwykonawcami są mniejsze firmy budowlane, zwykle rodzinne, istnieje ogromna szansa, że zarówno ich pokora życiowa, jak i brak środków na dobrego prawnika oraz opłaty sądowe, na tym etapie zakończy dochodzenie zapłaty. Tą drogą poczynione oszczędności sięgać mogą łącznie, przy stosunkowo niedużej inwestycji, nawet dziesiątek milionów zł.

Bieżące wydatki nie są pokrywane z kapitału organizatora, a zwykle z bieżących wpłat zaliczkowych przyszłych nabywców mieszkań. Jednak w latach boomu mieszkaniowego ceny metra kwadratowego we wszystkich miastach Polski rosły tak szybko, że nieopłacalne stało się sprzedawanie lokali osobom, które budowę sfinansowały i to nierzadko własnymi kredytami bankowymi. Przyszły lokator podpisując umowę przedwstępną na zakup kawalerki w Warszawie za cenę 120 000 zł, otrzymywałaby za swoje pieniądze lokal wart w chwili przekazania już 200 000 zł lub 250 000 zł. Developerzy masowo zrywali wówczas przedwstępne umowy, które, jeżeli nie były zawarte w formie aktu notarialnego, nie mogły stanowić podstawy do sądowego wymuszenia przekazania lokalu. Mieszkanie trafiało na wolny rynek i sprzedawane było po aktualnie obowiązujących cenach. Oszukani klienci mogli dochodzić, co najwyżej, drobnych zadośćuczynień, takich jak zwrot podwójnej wysokości zadatku – ale nie podwójnej całej już wpłaconej kwoty! Zgodnie z ówczesnymi wyrokami sądów nie była również należna rekompensata za poniesione koszty kredytu. W praktyce nawet tych należnych sum prawie nikt nie dochodził. Powodem bierności była niezajomość prawa oraz strach przed kosztowną batalią sądową z niezwykle silnym, jak się wydawało, przeciwnikiem – zamożnym

rekinem biznesu. W przypadku developerów „przygotowanych” do ogłoszenia upadłości niejednokrotnie nie zwracano nawet już wpłaconych pieniędzy, a więc niejako sprzedawano ten sam lokal kilkakrotnie. Odnotowano również przypadki, gdy roboty budowlane ograniczono do wykopania dołów pod fundamenty i zainkasowania 100% zaliczek za oferowane mieszkania, a następnie, korzystając z zewnętrznego zadłużenia, ogłaszano upadłość podmiotów. Nie rozliczano się wtedy z właścicielem gruntu, który, niekiedy stając się częścią kapitału zakładowego powoływanej na potrzeby inwestycji spółki zadaniowej, również przepadał na rzecz spłaty sztucznie wytworzonych, kontrolowanych wierzytelności.

W efekcie końcowym, nieuczciwi inicjatorzy procedury mogli na działce należącej do innej osoby, na koszt bezzaliczkowych podwykonawców, głównie małych firm budowlanych, lub przy minimalnych zaliczkach, zbudować osiedla mieszkalne albo inne budynki, a następnie dokonać ich dwukrotnej sprzedaży. Pierwszej według ceny z dnia przedstawienia oferty, a następnie, już po wypowiedzeniu umów zawartych z pierwotnymi nabywcami, według ceny rynkowej w chwili oddania gotowej nieruchomości do użytku. Z wpłacanych przez pierwszych nabywców zaliczek sfinansować można niemal symboliczne, gdyż niepokrywające kosztów użytych materiałów i wypłat robotników, zaliczki akonto wynagrodzenia podwykonawców, czyli wspomnianych małych firm budowlanych. Niejednokrotnie też praktykowane jest zaniżanie kosztów budowy poprzez stosowanie dużo gorszej jakości materiałów budowlanych i niższy standard wykończenia, niż wykazany w kosztorysach. W zależności od akceptowanego przez developera stopnia ryzyka, nienależne zyski czerpane mogą być z jednego z wymienionych sposobów, ich części lub ze wszystkich dostępnych źródeł. Branża budowlana jest oczywiście najbardziej charakterystycznym przykładem, ale правило to działa niemal w każdym sektorze

produkcyjnym, usługowym lub handlowym, po odpowiednim dostosowaniu modusu operandi do natury wybranej transakcji. W dotychczasowej historii najszersze, wręcz wszechstronne, zastosowanie opisana metoda znalazła kolejno przy budowach osiedli mieszkalnych, biurów, centr handlowych, dróg i autostrad na Euro 2012, a następnie, w stanie na jesień 2012 roku, planowana jest jej implementacja na grunt renowacji torowisk kolejowych.

Jednym z najważniejszych elementów opisanej taktyki pozostaje czynnik „czekania”. Jeśli podwykonawcy lub klienci w porę podejmą działania w celu zabezpieczenia swoich roszczeń, projekt nie przyniesie spodziewanych zysków. Sekret tkwi we wspomnianym już public relations. Im większy rozmach działania oszusta, im mocniejszy i bardziej „światowy” wizerunek on zbuduje, tym więcej negatywnych przesłanek w jego działaniu kontrahenci zignorują i tym dłużej będą oni, wbrew rozsądkowi, czekać na „szczęśliwe zakończenie” wspólnej inwestycji, szczerze wierząc, iż ono w końcu nastąpi. Co więcej, zachowując pokorę i wykazując zrozumienie oczekiwać będą, jako lojalni partnerzy, dalszej współpracy przy innych, równie prestiżowych projektach. Przysłowiowa podróż do piekła jawi się im jako wakacje życia w tropikach. Tym dłużej możliwe jest nieskrępowane operowanie tak pozyskanym kapitałem i łączenie licznych inwestycji, co z kolei, przy dynamicznym przepływie kapitału, w ostatecznym rozrachunku również utrudni udowodnienie komukolwiek niegospodarnego działania lub oszustwa.

Wytworzony skutecznym PR-em wizerunek ogranicza liczbę pokrzywdzonych tylko do klientów oraz kontrahentów holdingu. *Dlaczego jednak marnować moce przerobowe i nie rozszerzyć źródeł dochodu o Skarb Państwa i banki?* Te ostatnie udzielają kredytów obrotowych, inwestycyjnych oraz debetów analizując głównie wysokość obrotów na rachunkach bieżących i wartość realizowanych

kontraktów, a także dotychczasową historię kredytową. W tym przypadku nie pozory, a wysokie obroty, zachowana płynność finansowa oraz lukratywne zlecenia zawarte z wypłacalnymi inwestorami czynią spółkę, w oczach bankowych ekspertów, wiarygodną. Tam sama manipulacja psychologiczna nie wystarczy, przemówić muszą liczby.

Wypracowanie wielomilionowych obrotów nie wymaga, jak zwykle wbrew powszechnemu mniemaniu, ogromnych inwestycji. Uzyskanie np. miesięcznych obrotów rzędu 5 000 000 zł na rachunkach bankowych każdej z 20 spółek angażuje niezużywającą się kwotę rzędu ledwie 20 000 zł, choć im więcej, tym lepiej. Pieniądze te rozbijane są pomiędzy poszczególnymi kontami i nieustannie przesyłane pod zmieniającymi się jedynie tytułami przelewów – rozliczenie faktury VAT nr 125/12, wypłata zaliczki, zwrot zadatku. Jedynie amatorzy dokonują wielokrotnych przelewów o identycznej wartości i do stałych odbiorców lub też ciągle kwot „okrągłych”, np. 5 000 zł. Tego typu powtarzające się prawidłowości oraz nazbyt „ładnie i równo” podzielony kapitał do razu rzuci się w oczy i wzbudzi podejrzenia analityka, lecz umknie mu jednostkowy przelew na 5967 zł 34 gr., dokonany tytułem wynagrodzenia za szkolenie z marketingu dla działu handlowego. *Brzmi racjonalnie, prawda?* Potencjał sztucznej „kreacji” zdolności kredytowej łatwo docenić przy założeniu, że każda z naszych spółek dysponować może kilkoma rachunkami bankowymi, a realizacja przelewów krajowych i międzynarodowych pomiędzy różnymi bankami i różnymi spółkami może być dokonywana faktycznie nieprzerwanie. W przypadku przelewów on-line nawet koszt transakcji wyniesie 0 zł. Cyrkulacja tych samych środków finansowych wytwarza natomiast możliwości kredytowe dla wielu różnych podmiotów w wielu bankach, a nawet w wielu krajach, jednocześnie.

Obieg kwot między spółkami (jeśli oczywiście zostanie on w

ogóle odnotowany w księgach rachunkowych) wbrew pozorom wcale nie musi skutkować narastaniem zobowiązań względem urzędu skarbowego. Ominięcie podatku VAT następuje poprzez motywowanie przelewów świadczeniami nieobjętymi podatkiem od towarów i usług oraz eksportem usług niematerialnych. Wyważenie wzajemnych miesięcznych rozliczeń pomiędzy poszczególnymi kontrahentami skutkować może pełną równowagą przychodów i rozchodów, a więc brakiem zaksięgowanego zysku stanowiącego podstawę odprowadzenia podatku dochodowego.

Inną możliwość stwarza kreatywny obrót fakturami VAT, skutkujący nie tylko uszczupleniem należnych podatków, ale i wyłudzeniem zwrotu w ogóle nieopłaconego VAT-u. Klasycznym przykładem pozostaje międzynarodowy handel towarem – zazwyczaj nieweryfikowalnym, czyli którym obrót nie jest objęty reglamentacją i szczególną dokumentacją. Idealny jest drogi, a mały objętościowo (nie wymagający składowania na dużej powierzchni i przewożenia małymi partiami) sprzęt elektroniczny lub komputerowy, np. procesory, a także autorskie oprogramowanie komputerowe, którego cena sięgać może jednostkowo dziesiątek tysięcy zł, a sam produkt, wraz z wielostanowiskową licencją, zmieścić można na jednej płycie CD. Poszczególne ogniwa gospodarczego łańcucha – ale tylko te już przeznaczone do likwidacji – odsprzedają sobie wzajemnie, po coraz większej cenie produkt, jednocześnie nie odprowadzając należnego podatku VAT. Gdy naliczona wartość daniny państwowej pozostaje odpowiednio wysoka, towar ten eksportowany jest przez „czystego” przedsiębiorcę za granicę, gdzie zazwyczaj zostaje zniszczony, jako bezwartościowy materiał dowodowy, mogący jedynie potwierdzić winę nieuczciwego eksportera. Ten zaś, bez względu na fakt braku rzeczywistego odprowadzenia podatku VAT przez poprzedniego sprzedawcę, uzyskuje z tytułu eksportu zwrot pełnej wysokości naliczonego i należnego fiskusowi świadczenia. Wcześniejsze

ogniwo łańcucha gospodarczego ogłasza upadłość, a jedynym pokrzywdzonym pozostaje wówczas Skarb Państwa, czyli wszyscy obywatele i zarazem nikt.

Tak wszechstronną aktywność, nastawioną na szkodę kontrahentów obrotu gospodarczego i Skarbu Państwa, prowadziły m.in. fikcyjne spółki należące do struktur tzw. Mafii Paliwowej w województwie Dolnośląskim. W chwili pozyskania informacji o planowanych przez prokuraturę zatrzymaniach osób formalnie za nie odpowiadających, na zdekonspirowane przedsiębiorstwa pobierano ryzykowne kredyty wartości dziesiątek milionów zł, po czym uzyskane środki wypłacono z rachunków bankowych. Wyłudzone usługi oraz towary, kredyty bankowe i nienależne zwroty podatku sięgnęły łącznie kilkuset milionów zł. Większość podejrzanych w tej sprawie stanowili figuranci z nizin społecznych. Wielu z nich nie dożyło zatrzymania. Szczególnie częstym powodem śmierci były nagłe wylewy i zawały, a niektórzy ze zmarłych nawet po śmierci podpisywali faktury, nadawali przelewy bankowe i wypłacali gotówkę...

Rozdział V

Jak kraść na spółkę kapitałową – z umiarem

Poprzednie rozdziały mogły wywołać w Czytelniku błędne przekonanie, że działalność z wykorzystaniem spółki kapitałowej wymaga powołania skomplikowanych, wieloogniowych tworów działających na szeroką, wręcz globalną skalę. Nie jest to jednak prawdą. Kraść można wykorzystując tylko jedno przedsiębiorstwo działające w skali mikro, jednak odpowiednio zmniejsza to osiągnane profity. W „*detalu*” prym nadal wiodą techniki wymienione dotychczas, ograniczone jedynie do przyjętej branży, kierunku działania i wybranego założenia: krótkiej aktywności i szybkiej upadłości z wyprowadzeniem całego zebranego kapitału lub długofalowego działania z drobnymi zyskami osiąganymi kosztem jednostkowych kontrahentów. W pierwszym przypadku metodyka pozostaje identyczna z już opisaną. Podmiot zostaje fikcyjnie zadłużony na możliwie największe kwoty, a także nierzadko obsadzony osobami przeznaczonymi do poniesienia ewentualnej odpowiedzialności karnej i finansowej, czyli słupami. Celem aktywności staje się uzyskanie możliwie największych, nawet jeśli tylko tymczasowo przekazanych w posiadanie środków: ze zwrotu lub nieodprowadzania podatków, kredytów bankowych, mienia przyjętego w kredyt kupiecki, komis lub leasing, pozyskanych zaliczek i zadatków etc. Następnym, a zarazem ostatnim etapem egzystencji staje się korzystne ogłoszenie upadłości. Jeśli jednak kradzież stanowić ma jedynie uzupełnienie normalnej działalności gospodarczej, niezbędne jest działanie bardziej finezyjne.

Najprostszą, i nienaruszającą Kodeksu karnego, metodą kradzieży jest... niepłacenie rachunków. Polacy przejawiają sceptycyzm względem sądów i komorników, a także zupełnie nie rozumieją filozofii funkcjonowania tych instytucji, stąd stosunkowo rzadko skutecznie dochodzą na tej drodze należnego wynagrodzenia. Zgodnie z windykacyjną praktyką przyjąć można, że podmiot nieregulujących swych zobowiązań ma bardzo duże szanse zachowując się zupełnie biernie, jedynie nie spełniając świadczenia, zaoszczędzić nawet do 80% własnych kosztów. W przypadku nieuregulowania dziesięciu faktur VAT o wartości 10 000 zł każda, dłużnik może być pewny, że dziesięciu wierzycieli zwróci się do niego o należne im pieniądze. Część odwiedzi go osobiście, kilku wykona jeden lub więcej telefonów. Pewnie też na skrzynkę poczty elektronicznej trafią w tej sprawie mniej lub bardziej uprzejme e-maile. Jeśli za pierwszym razem wierzyciele uzyskają w grzeczny sposób odmowę zapłaty, najpewniej dziewięciu z nich zjawi się po raz kolejny. Około ośmiu wezwie pisemnie dłużnika do zapłaty. Siedmiu podejmie decyzję o przekazaniu sprawy do swego zaufanego radcy prawnego, który za opłatą prześle listem poleconym ostateczne przedsądowe wezwanie do zapłaty. Z uwagi na wysokie opłaty sądowe i możliwą konieczność osobistego uczestniczenia w rozprawie, tylko pięciu wierzycieli podejmie decyzję o złożeniu pozwu. Liczba powodów zależna też będzie od zmanifestowanej wierzycielom aktualnej sytuacji finansowej dłużnika – im bardziej prawdopodobne jest jego bankructwo, tym mniej pozwów.

Z pięciu uzyskanych tytułów egzekucyjnych zapewne tylko cztery opatrzone zostaną w klauzulę wykonalności. Trzech wierzycieli odważy się ponieść koszty zaliczek i zaryzykuje składając sprawę na biurko komornika. Dwóch z nich po umorzeniu egzekucji wynajmie detektywa, albo samodzielnie wskaże majątek z którego można zaspokoić dochodzone roszczenie – np. samochód,

przysługujący zwrot podatku lub działkę budowlaną. Wówczas należność zostanie niezwłocznie uregulowana gotówką wraz z wszelkimi narosłymi po drodze opłatami: odsetkami, kosztami sądowymi oraz egzekucji komorniczej.

Czy dłużnik jest stratny? Przeciwnie, sporo zarobił. Uzyskał dziesięć usług lub dostaw towarów o łącznej wartości 100 000 zł. Dwóch konsekwentnych wierzycieli po około 2 latach starań odzyskało 20 000 zł oraz zwrot poniesionych po drodze wydatków, które w pesymistycznych szacunkach sięgnąć mogły około 10 000 zł. Nie trudno policzyć, że oszczędności powstałe z nieopłaconych faktur VAT, czyli około 70 000 zł + korzyści z nieskrępowanego korzystania z pozostałych 30 000 zł przez okres 2 lat i odliczony podatek VAT, znacznie przekraczają koszty sądowo-egzekucyjne. Nawet te jednak zostaną uregulowane tylko w tych przypadkach, gdy doszło do skutecznych działań komornika. A przecież w ciągu tych 2 lat wiele może się wydarzyć, co uczyni egzekucję z przyczyn leżących po stronie wierzycieli lub dłużnika w ogóle niemożliwą. Polski system prawny w praktyce nie przewiduje możliwości pociągnięcia sprawcy tego typu biernej kradzieży do odpowiedzialności karnej, a traktuje sytuację jako spór o charakterze wyłącznie cywilnoprawnym. Bierny opór popłaca, kradzież też. Utwierdzenie prokuratury w braku właściwości jurysdykcji karnej uzyskać można stosując opisane wcześniej sztuczki, takie jak dokonanie minimalnej spłaty długu, czy wdanie się w konflikt co do jakości realizacji umowy. Na wypadek jednak wyjątkowo złej passy i serii szczęśliwie dla wierzycieli, konsekwentnie sfinalizowanych egzekucji, metoda ta polecana jest wyłącznie podmiotom z osobowością prawną, gdzie możliwe jest bezpieczne ogłoszenie upadłości bez narażania prywatnego majątku przedsiębiorcy.

Odmianą powyższego jest stosowanie bezprawnych potrażeń zadatku lub części zwracanych kwot. Odstąpienie od umowy

zawartej z kontrahentem będzie korzystne, jeśli tylko jej przedmiotem był produkt, na który sprzedawca bez trudu znajdzie nowego nabywcę. Przykładem tego były wzmiankowane już lokale mieszkalne w latach boomu budowlanego, a obecnie np. pellety, czy pożądana w sezonie zimowym sól drogowa. Pomimo opłacenia należności w całości lub w części, oferent dąży do jej zwrotu, z potrąceniem jednak kwoty określonej w umowie jako zadatek. Podstawę tego stanowi np. nieujęte w treści umowy a zawarte między stronami w formie ustnej uzgodnienie o ulgowym rozliczeniu lub odroczeniu terminu płatności. Kontrahent zawierający życzliwości dostawcy staje przed faktem dokonanym: nie wypełnił swojej części spisane zobowiązania, zmiana umowy wymagała formy pisemnej pod rygorem nieważności, a na ustalenia pozaumowne nie miał żadnego dowodu. Tymczasem naruszenie terminów rozliczeń obwarowano, w zgodzie z zapisami Kodeksu cywilnego, uprawnieniem do jednostronnego odstąpienia od umowy. W wielu przypadkach odpowiednia konstrukcja zapisów kontraktu może tak kształtować wzajemne obowiązki, że sam fakt zerwania drobnych porozumień rodził będzie podstawy do potrącenia kary umownej lub innego odszkodowania. Co ważne, polskie prawo nie zezwala na obłożenie karą umowną opóźnień w zapłacie, gdyż zapis taki stanowiłby np. obejście ustawowego zakazu wygórowanych odsetek (lichwy). Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, by takim zryczałtowanym odszkodowaniem objąć np. brak odbioru towaru, co dodatkowo motywowane zostać może poniesionymi kosztami transportu i składowania. Do wydania zamówionych produktów nie może jednak dojść, jeśli w określonych terminach nie uregulowano pełnej należności. Ustne uzgodnienie odmiennych terminów płatności, niższej sumy łącznej należności lub daty dostawy reżyseruje zaniedbania leżące pozornie po stronie nabywcy. Mało kto odważy się w takim stanie rzeczy na kosztowną batalię sądową.

Inny, godny pochwały, patent zastosował pewien developer spod Olsztyna. Inwestor ten zlokalizował budowę luksusowego osiedla pośrodku purdyjskich lasów. Jedynym źródłem wody i prądu był tam leżący w pobliżu, a należący również do inwestora, obiekt rekreacyjno-hotelowy. Gdy prace były już na końcowym etapie realizacji, inwestor odciął dopływ wody i prądu, czym uniemożliwił zgodną z terminami umownymi finalizację projektu. Następnie, w czasie procesu usiłował przekonać sąd, iż wylanie schodów i położenie tynków w kilku budynkach mieszkalnych o kubaturze 800 m³ każdy, pozostaje możliwe zimą bez prądu i bez wody bieżącej, przy użyciu wiaderka o pojemności kilku litrów. Warto nadmienić, że w tej samej sprawie uzyskał jeden wyrok zasądzający prawie 200 000 zł kar umownych, skutecznie też uchylił się od zapłaty ostatnich transz wynagrodzenia o wartości niespełna 500 000 zł. Zazwyczaj osoby obciążone karami umownymi nawet nie próbują ich obalenia na drodze sądowej, pokornie godząc się z jawną niesprawiedliwością i własnym pechem.

Pewna ogólnopolska sieć restauracji zasłynęła innym patentem na dodatkowe zyski z kar umownych. Otóż, zawierając umowę franczyzy, zastrzegła ona graniczny termin uruchomienia dwóch górnośląskich jadłodajni. W przypadku przekroczenia uzgodnionego terminu, francyzobiorca zobligowany był do bezpłatnego odstąpienia obu lokali francyzodawcy, a co więcej od każdego z nich uiścić miał karę umowną w wysokości 100 000 zł. Nadmienić należy, iż same nieruchomości przedstawiały wartość łączną kilkuset tysięcy zł, a poczynione nakłady na dostosowanie ich wyglądu do wymogów sieci również sięgały kwoty z pięcioma zerami. O ile zabezpieczenia te wydawać mogłyby się zasadną przezornością restauracyjnego potentata, o tyle okoliczności skorzystania z uzyskanych uprawnień pozostają isticie twórcze. Na kilka dni przed terminem otwarcia, grupa zamaskowanych mężczyzn dokonała

ciężkiego pobicia franczyzobiorcy, w wyniku którego spędził on kilka tygodni w szpitalu. Ofiara odzyskała przytomność kilka dni po granicznej dacie, lecz wtedy niedoszły kontrahent już konsekwentnie egzekwował karę z tytułu „*złamania umowy*”. Sam franczyzodawca pozostawał człowiekiem zapobiegliwym do tego stopnia, że nie tylko działalność prowadził na spółkę kapitałową, ale i w życiu codziennym posługiwał się innym nazwiskiem od tego, jakie składał własnoręcznym podpisem na fakturach i umowach.

Jedną z drobnych sztuczek nieuczciwych przedsiębiorców pozostaje odbiór wykonanych prac lub pokwitowanie doręczenia faktur VAT przez ludzi do tego nieumocowanych. Osobę „*czynną*” w lokalu przedsiębiorstwa polskie prawo cywilne uważa za umocowaną do odbioru dokumentów i normalnych dostaw. Sytuacja się jednak komplikuje, gdy podpis złożył człowiek w ogóle nie zarejestrowany w ewidencji pracowników, a co gorsza parafka jest nieczytelna w stopniu uniemożliwiającym identyfikację personaliów. Metoda ta była często praktykowana przez imigrantów z Korei oraz Wietnamu. Warszawscy przedsiębiorcy dostarczali w kredycie kupieckim przeróżne towary, po czym zgłaszali się po odbiór należnej zapłaty. Wtedy okazywało się, że osoba kwitująca dostawę nie była pod danym adresem nikomu znana... Zabrakło podstaw prawnych do egzekucji należności, gdyż towar nie dość, że nie był pokwitowany przez umocowaną do tego osobę, ani w ogóle przez żadną znaną osobę, to w dodatku nie został zewidencjonowany przez domniemanego nabywcę. W istocie zaś trafiał na targowiska, gdzie ulegał spieniężeniu poza ewidencją sprzedaży, a handel prowadzili imigranci nieznających niemal wcale języka polskiego. Dostawca pozostał więc bez jakiegokolwiek dowodu faktycznego zaistnienia transakcji. Sam mógł zeznać jedynie, że został oszukany przez nieznanego z imienia i nazwiska sprawcę. Co gorsza, miał poważny problem, by w trakcie policyjnego okazania wskazać który, z kilku

niemal identycznych Azjatów, mógł odebrać od niego towar.

Pewien przedsiębiorca z południa Polski, imieniem Jarosław, przejmował za bezcen elektroniczny złom z niemieckich składów celnych oraz zwrotów reklamacyjnych. Od myszek, przez mp3 i żarówki, po archaiczne gry telewizyjne. Ten niskiej jakości sprzęt przekazywał w kredycie kupieckim, jednak, z powodu „pełnego zaufania” do odbiorcy, bez zawierania umowy sprzedaży. Jedyne czego oczekiwał, to pokwitowanie odbioru towaru o określonym rodzaju i ilości. Jak sugerował, ostateczną cenę ustalał wspólnie, na podstawie tego za ile uda się przedmiot transakcji sprzedać na rynku detalicznym. Bez troskę motywował swym „wielkim bogactwem” i nieprzywiązywaniem wagi do tak „błahych” interesów. Z uwagi na sprzedaż tandety, nabywców brakowało, za to początkowo życzliwy dostawca kierował wezwanie do zapłaty uwzględniające średnią rynkową cenę dobrej jednak jakości analogicznego sprzętu. Zwykle dwóch na dziesięciu odbiorców, już po odrzuceniu ich reklamacji, obawiając się przegranego procesu dobrowolnie regulowało żadaną kwotę. Pozostali w końcu zwracali towar, który wędrował dalej, do nowych kontrahentów. Ciężarówka wadliwego sprzętu importowana była po kosztach od 1000 do 5000 euro, natomiast średniej wartości jednostkowe wezwanie do zapłaty opiewało już na kwotę około 150 000 euro.

Ciekawym narzędziem, służącym do nagłego czynienia swego kontrahenta dłużnikiem, są weksle. Coraz popularniejsze staje się żądanie pozostawienia w depozycie „silniejszego” partnera biznesowego weksli in blanco, na wypadek powstania w przyszłości jakichkolwiek nieuregulowanych w terminie zobowiązań płatniczych lub kar umownych. Pewna ogólnopolska sieć kancelarii prawnych zawarła około 600 umów zlecenia, głównie z osobami fizycznymi, na realizację czynności pośrednictwa handlowego. Handlowcy mieli poszukiwać klientów pragnących dochodzić odszkodowań głównie z

polis OC. Kilkunastostronicowa umowa zawierała jednak niemal tylko rozbudowane katalogi czynów „*nieuczciwej konkurencji*” oraz zakazy wykonywania pracy już po rozwiązaniu tejże umowy. Przykładem działania na szkodę zleceniodawcy było np. pozyskanie klienta z innej gminy, niż właściwej dla zameldowania handlowca, natomiast działalnością konkurencyjną pozostawało podjęcie pracy lub zawarcie umowy zlecenia albo o dzieło w dowolnym zakresie z innym podmiotem gospodarczym świadczącym w dowolnym, także marginalnym zakresie swej oferty, usługi prawne, administracyjne, doradcze, rachunkowe, marketingowe, handlowe etc. Faktycznie więc, podjęcie w czasie obowiązywania zlecenia lub w ciągu 3 lat od jego rozwiązania pracy w charakterze sprzątaczkę w biurowcu lub hipermarkecie, urzędnika państwowego, czy też wykonania strony www dla niemal dowolnej firmy usługowej z zakresu szeroko pojętej obsługi biznesu, skutkowało obciążeniem wysokimi opłatami. Kary umowne zaczynały się od kwoty 100 000 zł i sięgały aż do 1 000 000 zł za każdy pojedynczy, podły „czyn”. Mogły się też one wielokrotnie kumulować, a nawet w jednym przypadku stanowić podstawę do kilkukrotnego obciążenia karą z różnych zapisów umownych. Dziwna to podstawa do milionowego odszkodowania – pozyskanie klienta o nieprawomyślnym adresie zameldowania, a co śmieszniejsze, przyjętego do normalnej obsługi. Jednak chętnych do podpisywania rygorystycznego cyrografu, podobnie jak i weksli in blanco z deklaracją wekslową do miliona zł włącznie, nie brakowało. Nowatorskim rozwiązaniem był zapis umożliwiający kancelarii jednostronne rozwiązanie umowy, czego skutkiem miało być pozbawienie handlowca prawa do prowizji od już pozyskanych klientów, przy jednoczesnym zachowaniu uprawnienia tejże kancelarii do żądania odszkodowania w przypadku dowolnego związania się osoby wyrzuconej z „*konkurencją*”.

Jeden z największych polskich koncernów energetycznych przez

wiele lat zarabiał, i najpewniej nadal zarabia, na nieświadomości swych podwykonawców. Osoby pełniące jednocześnie funkcje instalatorów i inkasentów podpisywały umowy jako przedsiębiorcy, dzięki czemu pozostawały wyjęte spod ochrony prawa pracy. Wynagrodzenie z tytułu wykonywanych czynności obliczane było na podstawie ich ilości: kontroli stanu zużycia energii elektrycznej, kontroli instalacji, wymiany liczników itp. Prócz prac instalacyjno-pomiarowych zakres obowiązków obejmował również egzekucję zaległych należności za zużyty prąd. Dla równowagi jednak nie wyposażono instalatorów w żadne środki prawne umożliwiające skuteczną windykację. Mogli oni, co najwyżej, poprosić o uregulowanie rachunku. Jaki zysk może z tego tytułu płynąć do kasy koncernu? Otóż, zawarta umowa obciąża instalatora obowiązkiem uregulowania za dłużnika części zaległego rachunku, a wyliczona kwota partycypacji w zobowiązaniu potrącona zostaje od poborów odpowiadającego za rewir inkasenta. Stosowanie skali progresywnej powoduje systematyczny wzrost wysokości potrącannej kwoty, wraz z ilością miesięcy, jakie upłynęły od daty płatności. Smaczku sytuacji dodaje fakt, iż wierzytelność taka potrącana jest wielokrotnie, aż do dnia zapłaty przez pierwotnego dłużnika. Tak więc niekiedy, ten sam rachunek wracał do kasy koncernu wielokrotnie z wynagrodzenia podwykonawcy, a na końcu dodatkowo od właściwego dłużnika, który zazwyczaj, prędzej czy później, regulował wraz z odsetkami pełną należność. Oczywiście wówczas nie zwracano instalatorowi wcześniej potrąconych środków. W interesie koncernu była więc jak największa liczba i wartość zaległych opłat, które mogły przynieść wielokrotnie większe zyski od terminowych rozliczeń.

Polak z amerykańskim paszportem, imieniem Walter, od lat operuje w ulubionej przez oszustów branży budowlanej. Wizytówką swej działalności uczynił głównie produkcję, sprzedaż oraz montaż klimatyzatorów i systemów wentylacyjnych. Interesy prowadzi

poprzez dwie spółki kapitałowe dzielące prócz branży i udziałowcy także adres – zadłużoną na wiele milionów „K**” i czystą „V**”. Wszelkie środki uzyskane z przeprowadzanych przez pierwszą spółkę transakcji niezwłocznie przelewane są na rachunki bankowe niezadłużonego podmiotu. Odpowiednie rozdysponowanie wynagrodzenia umożliwiając skomplikowane umowy cywilnoprawne łączące przedsiębiorstwa. W efekcie końcowym brak jest środków na całkowite lub choć częściowe zaspokojenie podwykonawców, często inwestujących w realizację projektów własne materiały. Jak twierdzą poszkodowani, tą metodą Walter przez lata doprowadził do bankructwa **tyśiące** drobnych podmiotów gospodarczych, a liczba wierzycieli systematycznie rośnie. Niemożliwa jest egzekucja wierzytelności ze środków trwałych spółki „K”, gdyż cały jej majątek został dawno temu zastawiony pod kredyty bankowe. W ten prosty sposób niesolidny dłużnik zabezpieczył możliwość swobodnego działania (produkcji) przy jednoczesnej blokadzie egzekucji komorniczej. Podobnie produkowane urządzenia, jak i ich części składowe, formalnie nie są nawet przez chwilę własnością dłużnika, lecz drugiego zlecającego podmiotu. Warszawscy windykatorzy upatrują nietykalności K. w powiązaniach z dawnymi oficerami Wojskowych Służb Informacyjnych, którzy mają chronić go przed wymiarem sprawiedliwości. Podobno zlecenia zwindykowania realnie wypłacalnego dłużnika nie przyjęli nawet rosyjscy egzekutorzy. Mimo bardzo złej opinii w branży spółka nigdy nie musiała martwić się o kontrakty. Do jej sztandarowych realizacji należą m.in. instalacje w Centrum Biurowym, biurowcu Zeptera oraz Centrum Handlowym Bemowo. Kto oferuje niemal dumpingowe ceny ma zagwarantowany dostęp do zleceń. A nie płacąc za materiały budowlane i robociznę, można sobie na taką „promocję” pozwolić...

Jedną z wielu inwestycji Waltera stał się słynny projekt terminalu

kolejowego w Wolbromie. Założeniem była budowa międzynarodowego centrum transportowego łączącego Europę Zachodnią ze Wschodem, co zapewnić miało tysiące miejsc pracy i olbrzymi rozwój gospodarczy gminy. Plany spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem wśród miejscowych notabli, a nawet aktywnie popierały go osoby z krajowego świecznika – m.in. przewodniczący Samoobrony RP Andrzej Lepper, zastępca przewodniczącego Trybunału Stanu i działacz AWS Kazimierz Barczyk oraz Janusz Bargieła z SLD. Wszyscy zaślepieni wizją budowy, wstępnie oszacowanej na 400 milionów dolarów, przeoczyli tak drobny szczegół jak wiarygodność finansowa inwestora. Kapitał zakładowy spółki wynosił jedynie 100 000 zł. 90 hektarowa działka, na której stanąć miał obiekt, została wyceniona na jedyne 3,6 mln zł. Za taką też cenę zakupiła ją spółka „DB Terminal”, której udziałowcem został wtedy Walter. Wraz z odrolnieniem wartość nieruchomości wzrosła prawie siedmiokrotnie, rzeczoznawca oszacował ją już na 22,5 mln zł. Zaraz po tym wspólnicy pozbyli się części udziałów w spółce (realnie w gruntach) za łączną kwotę 6,4 mln zł. Nabywca oraz gmina liczyli na rychłe rozpoczęcie prac. Przeliczyli się. Od tego czasu nikt już nawet słowem nie wspominał o budowie terminalu. Jedynym wydarzeniem w sprawie był proces wytoczony ówczesnemu burmistrzowi Wolbromia o sprzedaż nieruchomości po zaniżonej cenie. Cel został osiągnięty, zamiast hucznie zapowiadanej metropolizacji miasteczka nabyto od rozochoconych samorządowców tanią ziemię, by równie „sprytnym” biznesmenom odsprzedać kawałek tego psującego się już tortu. Natomiast sam Walter uważa się za poszkodowanego w sprawie, i jak twierdzi na tej inwestycji jedynie stracił. Jak donosiła *Gazeta Wyborcza* spółka „DB Terminal” przez szereg lat była dla komornika niewypłacalna na kwotę 1174 zł.

Każdy z opisanych, jakże prostych, wręcz banalnych scenariuszy

przeprowadzony w pełni jawne eliminował ryzyko odpowiedzialności karnej, ewentualne dolegliwości ograniczając do cudzych roszczeń finansowych. Początkowe zaufanie kontrahentów uzyskano działając w świetle reflektorów i z pełnymi pozorami wiary w uczciwość prezentowanej oferty oraz jej sukces ekonomiczny. Późniejsze zarzuty względem kontrahentów, nawet jeśli w istocie były absurdalne, nie wykraczały poza spór o charakterze cywilnym. Ewentualne niepowodzenie na tej drodze zabezpiecza dobrodziejstwo podmiotu z osobowością prawną. Nim wierzyciel uzyska korzystny, prawomocny wyrok, wraz z klauzulą wykonalności, wszelkie źródła dochodu przepisane zostają na inną spółkę (faktycznie tą samą – skupiającą tą samą kadrę, rzeczywistych beneficjentów i klientów, lecz pod nowym-starym KRS-em), a dawną pogrążą roszczenia pracownicze – wszak pensje krewnych i znajomych właściciela również muszą zostać uregulowane, a brak bieżących dochodów szybko wyczerpie pozostałe na koncie środki... Nie pozostanie nic innego, jak tylko ogłosić upadłość. Zdarza się. *Po co więc komukolwiek obcemu płacić, skoro nie trzeba?*

Rozdział VI

Jak kraść – na biednego

Nie każdy nieuczciwy przedsiębiorca biegle operuje wiedzą skrytą w labiryncie ustaw i rozporządzeń, czy opływa w bogactwa umożliwiające beztrudną konstrukcję globalnej maszyny zależnych spółek kapitałowych. Zasoby bezczelności, niezbędnej na potrzeby oszustw opartych na sztuczkach socjotechnicznych, również nie u wszystkich są niewyczerpane. Osoby pozbawione takich „*narzędzi pracy*” muszą się zadowolić działaniem na ograniczonym, lokalnym rynku i mniej napastliwym orężem. Mało ambitne i krótkowzroczne, lecz praktykowane przez drobnych oszustów, zwykle działających w formie prawnej jednoosobowej działalności gospodarczej.

Przedsiębiorca taki, przed rejestracją w CEIDG (dawniej EDG), wyzbywa się legalnie wszelkiego majątku. Wyprzedaje nieruchomości i co ważniejsze sprzęty krewnym lub znajomym. Najlepiej takim, którzy pozwolą w razie potrzeby nadal z nich korzystać. Gdy już może poszczycić się zerowym stanem posiadania, rozpoczyna intensywną działalność. Profil nie ważny. I tak nie ma przecież żadnego, racjonalnego biznesplanu, a zwykle nawet wartościowych umiejętności zawodowych. Operuje więc zarówno w handlu, jak i w usługach. Ima się każdej możliwej branży i kontraktu, jest specjalistą od absolutnie wszystkiego. Na początku, zazwyczaj bezzaliczkowo, wynajmuje skromny lokal użytkowy, a następnie reklamuje się: w internecie, przez ogłoszenia prasowe i marketing szeptany. Posiadaną jeszcze na początku znikomą gotówkę inwestuje w bieżące wydatki, z czasem jednak, gdy roztrwoni już wszystko, przestaje regulować nawet rachunki za prąd i telefon. Sięgnie po

„chwilówki” i pożyczki od kolegów. Może fikcyjnie odnotuje w zeznaniu podatkowym zysk, aby wystąpić o kredyt bankowy? Towar pozyskuje w kredycie kupieckim, nieroztropnie udzielonym na bazie wcześniejszych transakcji gotówkowych. Faktur VAT z odroczonym terminem płatności zazwyczaj nie opłaca. *Niby dlaczego, skoro sam jest biedny, a wierzyciele to bogacze?* Zaciągane kolejne kredyty usiłuje spłacać nowymi, z czasem jednak i z tego rezygnuje. Zwłaszcza, gdy po uzyskaniu przez wierzycieli nakazów zapłaty, i licznych wizytach komornika, nic się nie zmienia. Wtedy pierwszy strach mija. Jasny staje się brak jakichkolwiek konsekwencji niewypłacalności. Gdy nie posiada się niczego, nie można też na poczet długów nic stracić, poza dobrym imieniem. Stąd nierzadko dłużnik w spokoju ducha opuszcza swoje rodzinne strony, by rozpocząć kolejny „biznes” w innym regionie. Nieniekajony przez nikogo wie, że w spokoju egzystencję od okazji do okazji.

Niektórzy z braku posiadania uczynili swoje stałe, całkiem wydajne źródło znacznego dochodu i wygodnego życia. Zdobywają zaufanie hurtowników dużą ilością zakupów gotówkowych, po czym nabyte towary w pełni legalnie i z minimalną marżą niezwłocznie odsprzedają zaprzyjaźnionemu odbiorcy końcowemu – często wtajemniczonymu wspólnikowi, który już od początku finansuje dostawy. Ograniczenie do minimum marży wynika z potrzeby dynamicznej cyrkulacji zainwestowanego kapitału i wzmoczonych dalszych hurtowych zakupów, co skutkuje zwiększeniem własnej wiarygodności płatniczej. Przy pierwszych, jedynie częściowo kredytowanych transakcjach, jeszcze przed wyznaczonym terminem regulowana jest pełna należność. Gdy przedsiębiorca przedstawi się już jako solidny kontrahent o szerokich możliwościach zbytu i może liczyć na zaufanie wyrażone wysokim, 100% kredytem – korzysta z niego. Uzyskany na takich warunkach towar również zostanie natychmiast spieniężony, lecz gotówka nigdy nie trafi do rąk hurtownika. Aby zabezpieczyć się przed odpowiedzialnością karną z

tytułu oszustwa dłużnik spłacał będzie przez pewien czas należność w drobnych ratach, lecz wkrótce i tego zaprzestanie. Celem jest wyraźne rozgraniczenie oszustwa, które realnie miało miejsce, od niewywiązania się ze zobowiązania o charakterze cywilnoprawnym, czego pozory sprawca pragnie zachować. Podręcznik do nauki prawa karnego autorstwa Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego prof. Lecha Gardockiego wyraźnie wskazuje rozgraniczenie: *"Kto zaciągnął pożyczkę z góry zamierzając jej nie zwrócić - popełnia oszustwo (OSNK W 55/1972). Natomiast nie jest oszustwem niezwrócenie pożyczki, którą dłużnik w chwili jej zaciągnięcia zamierzał zwrócić, nawet jeśli później tego nie uczynił"*. Tak więc ogólna zła sytuacja finansowa dłużnika, częściowa spłata zaległości (np z bieżących drobnych marż uzyskanych z tworzenia gruntu pod kolejny przekręt), jak i dobrowolna współpraca z wierzycielem, zazwyczaj wykluczają w oczach sądu zaistnienie przestępstwa. Tym bardziej, gdy podejrzany wykaże, że środki utracił nie z własnej winy, a np. poprzez działania komornika (egzekucja na rzecz współnika u którego przedsiębiorca wcześniej fikcyjnie się zadłużył), siły wyższej (pożar, powódź) lub poprzez popełnione na jego szkodę przestępstwo np. włamanie, rozbój. Rekordziści potrafią się w tak pechowe sposoby zadłużyć na wiele milionów, lecz wciąż prowadzą nowe interesy, w nowych branżach lub w miastach odległych od stałego miejsca zamieszkania. Z czasem niemal każdy „biedny” oszust otrzymuje ofertę objęcia roli słupa w gospodarczych ośmiornicach. Notoryczny bankrut, który przywykł do sądów, komorników i windykatorów, jest ich idealnym kontrahentem. Nie obawia się podpisywać obciążających go, niespłacalnych umów oraz potrafi celnie typować nowe ofiary. Za te usługi zainkasuje „pod stołem” odpowiednie honorarium i zwykle złudną obietnicę ochrony.

Nie jest to jednak wymarzona droga dla doświadczonego „gracza”, bowiem nie pozostawia czystego konta. Wierzyciele i komornik mogą wiedzieć, że samochód „biednego” należy do żony

lub kochanki, a dachu nad głową użyczają w swej drugiej lub już trzeciej, dopiero co kupionej, willi rodzice, lecz prędzej czy później uzyska on jakieś dochody. Może będzie chciał mieć wreszcie swój własny dom, otrzyma spadek lub duży zwrot podatku VAT – i wtedy chcąc, czy nie chcąc, nieoczekiwanie „splaci” długi.

Trzebinia – Wojciech S. przez szereg lat trudnił się handlem z krajami byłego Związku Radzieckiego. Obracał głównie paliwami, eksportował także materiały budowlane. Swego czasu zebrał niemały majątek pośrednicząc pomiędzy „biznesmenami” z Ukrainy a rafinerią w Trzebini. Rzekomo na fali załamania rynkowego jego interesy zaczęły podupadać, proporcjonalnie do stale zwiększanego obrotu, a on sam systematycznie biedniał. Zamieszkał w dużym domu, lecz należącym, podobnie jak flota kursujących na Wschód ciężarówek dostawczych, do jego już emerytowanych rodziców. Wreszcie zrezygnował z prowadzenia biur w Odessie, Dorohusku i Chrzanowie, a także z uregulowania zaległych faktur, które w jednej tylko hurtowni opiewały na prawie 500 000 zł. Zwykle na żądania wierzycieli reagował świętym oburzeniem – *"Przecież wczoraj przelałem całą kwotę! Proszę sprawdzić swoje konto!"*. Oczywiście w żadnym banku nie pozostał ślad po niedokonanej transakcji. Co bardziej uparci wierzyciele mogli słyszeć tą samą sentencję nawet kilka razy w tygodniu, przez wiele miesięcy. Aż do znudzenia.

Gwarantem bezkarności były interesy wiążące „biednego” z silną i wpływową w regionie Mafią Paliwową. W przypadkach bardziej palących mógł on natomiast liczyć na azyl w siedzibie stałego kontrahenta z Odessy. Nie jest tajemnicą, że w Rosji i na Ukrainie sektor paliwowy zdominowały zorganizowane struktury przestępcze, nie przypominające „papierowej” mafii trzebińskiej. Są to organizacje typowo zbrojne, zorientowane także na obrót narkotykami i bronią, wyłudzenie dotacji oraz prostytutkę, a swoje kadry rekrutują z doświadczonych żołnierzy Specnazu lub byłych oficerów KGB. Żaden windykator, czy komornik, nie odważyłby się

sięgnąć po ukryte na Wschodzie aktywa, ani po samego dłużnika.

Mijały jednak lata i otaczająca Wojciecha S. rzeczywistość uległa zmianom. Trzebińska mafia została osłabiona, wielu osobom postawiono zarzuty prania brudnych pieniędzy, korumpowania urzędników i uczestnictwa w zorganizowanej grupie przestępczej. Zabrakło więc wpływowych współników oraz pomocy z ich strony. Dawni kontrahenci ze Wschodu nie mieli już interesu w dalszej ochronie bezużytecznego pionka. Ostatecznie granicę WNP zamknęły niespłacone także na Ukrainie długi. Podobno po akcesji Polski do Unii Europejskiej Wojciech S. planował wyjazd na Zachód i tam rozpoczęcie nowego życia. I nowych, wielkich interesów.

Podobny żywot wiódł słup budowniczych autostrad – Artur M. z warszawskiej Saskiej Kępy. Zwabiony blichтром wielkich pieniędzy zgodził się fikcyjnie obciążyć swoje mieszkanie zastawem na rzecz „zaufanego” kontrahenta, a następnie rozpoczął werbunek ostatnich ogniw łańcucha podwykonawców: uczciwych ofiar. Nie zapłacił żadnej z nich za zbudowane nasypy drogowe, ale sam wystawił potrącone później karami umownymi faktury, dzięki czemu beneficjent łańcucha „odzyskał” nigdy nieodprowadzony VAT. Na koniec Artur M. posłusznie zerwał umowę i przyjął na swoją, niewypłacalną osobę, wszelkie zewnętrzne roszczenia. Zawiódł się jednak na kolegach. Gdy nie był już im potrzebny, zamiast uczciwie podzielić złodziejskie łupy, przestali odbierać jego telefony.

Rozdział VII

Jak kraść – metody tradycyjne

Przełom stuleci przyniósł upadek „*Starej Gwardii*” polskiego kryminalnego podziemia. Zabójstwa Pershinga, Klepaka i Wariata, zdrada świadka koronnego Jarosława Sokołowskiego pseud. Masa, a następnie aresztowania pozostałych przy życiu liderów „*Pruszkowa*” oraz „*Wołomina*” obnażyły słabość ogólnopolskich, zbrojnych gangów trudniących się narkobiznesem i pospolitymi występkami. Ambicje dorównania sycylijskiej Cosa Nostrze, czy neapolitańskiej Camorrze, pociągnęły rodzimych gangsterów na dno. Znaczny postęp techniki kryminalistycznej oraz zbyt szeroki krąg osób wtajemniczonych w ciemne interesy umożliwiły organom ścigania stosunkowo prostą inwigilację i infiltrację, a w efekcie tego rozbitcie tradycyjnych grup przestępczych. Natura nie znosi próżni, tak więc ewolucja rzemiosła była tylko kwestią czasu. Oszustwa gospodarcze popełniane w majestacie prawa zapewniają krociowe zyski, lecz przy tym wymagają cierpliwości i znacznej wiedzy z zakresu ekonomii oraz prawa. Proces ten można jednak skrócić i uprościć do minimum, jeśli oszukańcze transakcje obciążą osoby trzecie, na których nietykalności i bezpieczeństwie beneficjentom wcale nie zależy. By wprowadzić w błąd poważną instytucję lub wielu przedsiębiorców stworzyć trzeba w tym celu w pełni weryfikowalny podmiot legalnie funkcjonujący w systemie. Nic prostszego. Na szczęście w euro-socjalizmie biurokracja jest tak zaaferowana samą sobą, że urzędnicy nie mają czasu na zapobieganie przekrętom.

Rejestracja działalności gospodarczej nigdy nie była w Polsce tak łatwa jak dzisiaj. Z tej niewątpliwiej zalety postępu ewolucji ustroju

bardzo chętnie korzystają nie tylko uczciwi przedsiębiorcy, ale i organizacje przestępcze. Dokonanie wpisu do dawnej EDG, a dzisiejszej CEIDG, nie wymusza uważnej kontroli dokumentów tożsamości. Nawet przy tradycyjnym zgłoszeniu w „okienku” urzędnik ogranicza się jedynie do szybkiego spojrzenia na plastikowy prostokąt. Złożenie wniosku za obcego człowieka nie stanowi większego problemu, jeśli tylko dane z formularza, takie jak imię, nazwisko, PESEL, czy adres, odpowiadają tym zawartym w rejestrach, a w dodatku wsparte są sfalszowanym, skradzionym lub wypożyczonym za przysłowiową flaszkę dowodem osobistym. Różnice w wizerunkach nie zdekonspirują oszustwa, gdyż fotografie zwykle nie podlegają porównaniu. A nawet jeśli ktoś konfrontowałby małe, czarno-białe zdjęcie z żywym wnioskodawcą, wystarczy znikome podobieństwo zniekształcone dodatkowo okularami, czapką oraz zarostem/makijażem. Pamiętać przy tym należy o konieczności zachowania zgodności cech niepodlegających podrobieniu, czyli takich jak wiek, wzrost i płeć. Poza nimi liczy się niemal zawsze tylko to, co wpisano w formularz. *Jak pozyskać te skrupulatnie sprawdzane dane?* Chociażby z ogólnodostępnych akt KRS, jeśli wytypowana osoba kiedykolwiek zajmowała funkcję w spółkach, spółdzielniach lub innych sądownie rejestrowanych podmiotach. Skorumpowanie pracownika dowolnego urzędu – Policji, Straży Miejskiej, ZUS-u, urzędu skarbowego, referatu spraw obywatelskich w urzędzie miasta, CEPiK-u, Państwowego Urzędu Pracy, a nawet szpitala, zapewnia dostęp do tysięcy potencjalnych „dawców” personaliów dotychczas nieaktywnych gospodarczo. Wystarczy wybrać takiego, który odpowiada profilowi oszusta i mieszka w dużej miejscowości. Małe i średnie gminy nie zapewniają dostatecznej anonimowości, rodzą zbyt duże ryzyko, że urzędnik sam będzie znał właściciela wykorzystywanej tożsamości i odkryje mistyfikację. Poza tym charakterystyczny dla większych miast pośpiech i długa kolejka oczekujących nie motywują do rzetelnej

kontroli a rutynowego przybijania pieczętek.

Pod tak utworzoną działalność swobodnie zaciągać można wszelkiego typu zobowiązania i podpisywać umowy pociągające za sobą realne ryzyko weryfikacji kontrahenta. Najczęściej są to kredyty bankowe, leasing pojazdów, wypożyczenia drogiego sprzętu, ale też i wspomniany wcześniej kredyt kupiecki. Ewentualna kontrola, tak samodzielna, jak i zlecona – formalna wywiadowni gospodarczej lub terenowa agencji detektywistycznej – potwierdzi zgodność przedsiębiorcy z osobą i firmą odnotowaną we właściwych rejestrach i nie narazi na zatrzymanie przez Policję. Aby uwiarygodnić swą pozycję rynkową działalność często jest przez szereg miesięcy legalnie prowadzona, a nawet inwestuje się znaczne środki w reklamę. W ten sposób zakorzeniona na lokalnym gruncie może już zostać wykorzystana do z góry zamierzonych celów.

Ludzie lubią łatwy pieniądź, więc podstawa to oferowanie dobrych, byle nie podejrzanie zbyt dobrych, warunków współpracy, w tym odpowiednio wysokich cen. Bez większych też oporów „przedsiębiorcy” zabezpieczają transakcje weksłami in blanco lub klauzulami umownymi gwarantującymi maksymalne odsetki w przypadku zwłoki i wysokie kary umowne za naruszenie innych uzgodnień. Efektem tego jest paradoksalna sytuacja, gdy wierzyciela ucieszy niewywiązanie się z powziętych uzgodnień, gwarantuje to bowiem ponadprogramowe dochody kosztem sprawdzonego i wypłacalnego w jego mniemaniu kontrahenta! Nie nadzoruje więc zbyt gorliwie spłaty należności, czy też zwrotu pożyczonego mienia. Wtórny powód spokoju ducha to świadomość pełnej osiągalności dłużnika. „Kowalski” jest znany, całym majątkiem odpowiada za długi, wiadomo gdzie prowadzi interesy, jego adres został potwierdzony, podobnie jak niekaralność i czyste konto w urzędzie skarbowym oraz Krajowym Rejestrze Dłużników. *Czemu uczciwy przez 30 czy 50 lat życia człowiek miałby nagle kogoś okraść, skoro zburzyłby tym cały swój dotychczasowy, nienaganny życiorys?*

Przy odpowiednim doborze skradzionej tożsamości, np. osoby o popularnym nazwisku, która dawno temu opuściła kraj, albo zaginionej, lecz nieposiadającej krewnych, działanie sprawców jest w większości przypadków skazane na sukces i niemożliwe do dekonspiracji w trakcie realizacji oszustwa. Nawet głęboka weryfikacja jedynie potwierdzi istnienie danego człowieka, przy braku ujawnienia jakichkolwiek „punktów kolizyjnych” niszczących „legendę”. Operowanie w regionie odległym do ostatniego miejsca zamieszkania dawcy tożsamości wykluczy ryzyko przypadkowego napotkania osób, które znały prawdziwego „Kowalskiego” i mogłyby zniweczyć mistyfikację. A więc wszystko będzie ok. Wystarczy tylko skupić się na wyłudzeniu czegoś wartościowego.

W licznych branżach pierwsze dostawy sfinansowane zostać muszą żywym pieniądzem, a kredyt kupiecki zarezerwowany jest tylko dla już uwiarygodnionych kontrahentów. Ograniczone zaufanie związane jest zwykle z towarami o wysokiej wartości, jak np. elektronika, komputery, alkohol, papierosy, paliwa, czy tymi o ograniczonej podaży, a aktualnie z jakiegoś powodu pożądanymi na rynku. Gdy szybka sprzedaż za gotówkę nie rodzi żadnego kłopotu, brak presji do zamrażania kapitału kredytowaną transakcją. I o te właśnie produkty należy najbardziej zabiegać! Kolejne dostawy mogą zwykle liczyć na częściowo opóźniony termin płatności, a naturalnym ciągiem dalszym jest systematyczne zwiększanie obrotu i przyjmowanie już na pełnej wartości kredyt kupiecki coraz większych partii towaru. Po osiągnięciu pożądanej jednostkowej wartości kredytu spłata zostanie nagle przerwana. A jeśli sprawca nie dysponuje na starcie odpowiednimi środkami inwestycyjnymi, może podjąć się handlu produktami tradycyjnie udostępnianymi już od samego początku współpracy na odroczony termin płatności. Do tej kategorii zaliczyć należy żywność, czy artykuły przemysłowe, a także w przypadku mniejszych producentów meble, odzież itp.

Kolejnym źródłem łatwych pieniędzy są pojazdy kupione na raty,

wzięte w leasing lub wypożyczone, a także przejęte pod pozorem działalności komisowej. Uzyskanie na różnych podstawach od kilkunastu do kilkudziesięciu średniej klasy samochodów nie sprawia zbyt wielu kłopotów, ani też nie wzbudza podejrzeń. Nakłady inwestycyjne oscylują od 0% do maksymalnie 20% przyszłych zysków. Wkrótce po odpaleniu silników limuzyny trafiają do warsztatów, a tam zostaną rozkręcone na części i jako takie w pełni legalnie spieniężone. Nie wymaga to formalności, a sprzedaż kompletu części przynosi łącznie większy zysk, niż można by osiągnąć za cały używany samochód. Nieświadomy paserstwa nabywca otrzyma nawet fakturę VAT. Podobnie legalnymi kanałami dystrybucji trafiają na rynek towary wzięte w kredyt kupiecki.

Tą metodą gangsterzy ominą całą ryzykowną operację związaną z kryminalnym zaborem pojazdów oraz towarów, składowaniem „*trefnych fantów*” w specjalnie spreparowanych do tego miejscach oraz konspiracyjną sprzedażą. Oczywiście oznacza to znaczny spadek kosztów funkcjonowania grupy, a więc i odpowiednio większe zyski. Niepotrzebne są nakłady na zbrojną ochronę i odpalanie działki lokalnym gangom, które zazwyczaj nie wiedzą nawet, że ktoś działa na ich terenie. Brak powodu do najmu wielu kryjówek, znika ryzyko konfrontacji z Policją, a mienie sprzedawane jest według ceny rynkowej, bez upustów z tytułu nielegalnego źródła jego pochodzenia. Sprawcy w pełni oficjalnie, w ramach prowadzonej działalności, spieniężają bowiem posiadane sprzęty. Podobnie z samochodami, które mogą przy niewysokich kosztach wypożyczenia/leasingowania zapewnić bardzo duży i bezpieczny zysk, bowiem formalnie nieskradzione nie widnieją jeszcze w rejestrach poszukiwanych. Mogą w pełni legalnie i jawnie jeździć na oryginalnych tablicach rejestracyjnych po całej Polsce i innych państwach strefy Schengen, a po dopełnieniu zwykle drobnych formalności przekraczać też zewnętrzną granicę Unii Europejskiej. Nie będzie ani spektakularnego pościgu, ani zatrzymania kierowcy, a

drogówka co najwyżej wypisze mandat za złamanie przepisów ruchu drogowego.

Przy nakładach od 50 000 zł do 100 000 zł wprowadzona grupa może tą prostą metodą w ciągu tygodni uzyskać nieopodatkowane wpływy przekraczające milion zł. Warto zaznaczyć, iż uzyskanie analogicznego zysku przy równej inwestycji w narkobiznesie wymaga przynajmniej wielu miesięcy ryzykownego obrotu dużą ilością środków odurzających. Dość porównać, że „marża” hurtownika heroiny to ledwie parę tysięcy dolarów na kilogramie, a koszt inwestycji w taką ilość proszku to kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Kurier złapany z kilogramem narkotyku straci 10 lat życia. Zatrzymany do rutynowej kontroli kierowca tira, przewożący otrzymane w kredycie i zafakturowane komputery, nie ryzykuje niczego. Proporcje nakładów względem zysków i ryzyka są więc dokładnie odwrotne. Dochód z oszustwa jest w pełni bezpieczny, gdyż zarówno sprawcy, jak i mienie, będą poszukiwani dopiero wiele dni lub tygodni po opuszczeniu terenu działania, a przy odrobinie wiedzy kryminalistycznej nie pozostawią po sobie w zajmowanych pomieszczeniach żadnych odcisków palców, ani mikrośladów.

Staroświeckie czyszczenie dotykanych powierzchni naftą skutecznie zniszczy potencjalny materiał dowodowy. Również błędem byłoby korzystanie z prywatnych telefonów komórkowych i kart SIM oraz z zarejestrowanych na prawdziwe nazwiska pojazdów. Fachowcy są świadomi, że pozostawienie telefonu komórkowego przy zmianie samej karty SIM umożliwia natychmiastowe namierzenie sprawcy przestępstwa poprzez indywidualny numer IMEI każdego aparatu. W małych miejscowościach nawet samo zalogowanie własnego telefonu umożliwić może późniejszą identyfikację oszusta i jego wyśledzenie. Podobnie niedopuszczalne jest wykorzystanie w terenie działania własnego samochodu, nawet jeśli zmienione zostały tablice rejestracyjne. Wszechobecne w dzisiejszym świecie kamery monitoringu umożliwiają przypadkowe

zarejestrowanie takiego pojazdu, a identyfikacja grupowa (marka, kolor, a także ewentualnie znaki szczególne umożliwiające identyfikację jednostkową typu wgniecenia, odbarwienia, naklejki lub elementy tuningowane) nadmiernie zawęża krąg podejrzanych. Sprzęt jest ważny, lecz artyści branży bez trudu zniekształcą też swój wizerunek. Na czas działania możliwa jest stosunkowo niekłopotliwa zmiana koloru włosów, aplikacja szkieł kontaktowych zmieniających barwę oczu, zapuszczenie brody lub wąsów, czy nałożenie tymczasowego tatuażu, którego późniejszy brak utrudni identyfikację. Charakterystyczny element ubioru, np. krzykliwy motyw na kurtce lub intensywnej barwy krawat, przyciąga uwagę i zamazuje szczegóły wyglądu, wyraźnym pozostawiając w pamięci jedynie ten szczegół.

Podstawowe źródła nielegalnych dochodów:

- Sprzedaż towarów uzyskanych w ramach kredytu kupieckiego lub w komis bez późniejszej spłaty powstałych należności
- Sprzedaż w całości lub w częściach pojazdów wypożyczonych, wziętych w leasing lub komis
- Brak wpłat do urzędu skarbowego z tytułu akcyzy, podatku VAT i dochodowego od sprzedanych towarów i usług
- Sprzedaż „pustych” faktur VAT, czyli fikcyjnych kosztów dla innych podmiotów gospodarczych
- Pranie brudnych pieniędzy na zlecenie zaprzyjaźnionych gangów i przedsiębiorców operujących w szarej strefie
- Wyłudzenie kredytów konsumenckich
- Sprzedaż w cenach rynkowych towarów skradzionych
- Sprzedaż w cenach rynkowych towarów pochodzących z przemytu
- Sprzedaż w cenach rynkowych towarów podrobionych:

oprogramowania komputerowego, płyt CD i DVD z muzyką lub filmami, perfum i odzieży znanych marek, fałszowanych drogich alkoholi i tanich wódek, papierosów bez znaków akcyzy lub ze sfalszowanymi znakami, chrzczonej paliw

- Wyłudzenie kredytów na podstawie fikcyjnie generowanych obrotów na rachunkach bankowych
- Wyłudzenie dotacji z Unii Europejskiej

Po krótkim czasie przedsiębiorstwo dysponujące stosunkowo dużym kapitałem i rozmachem działania gaśnie w ciągu jednej nocy. Wcześniej założyciele wyprzedają dyskretnie wszystkie pozyskane z różnych źródeł ruchomości, po czym opuszczają na zawsze daną miejscowość. Kontrahenci i klienci zastaną już tylko puste, zamknięte na głucho pomieszczenia. Prawdopodobieństwo namierzenia sprawców jest niezwykle małe, jeśli tylko nie pozostawili oni żadnych śladów prowadzących do miejscowości rzeczywistego pochodzenia, takich jak np. połączenia telefoniczne na numery stacjonarne do krewnych albo numery rejestracyjne stale używanych pojazdów.

Warszawa – kierunek ewolucji aktywności przestępczej wśród stołecznych gangsterów nadany został przed paroma laty inicjatywami Andrzeja H. pseud. Korek. Za rządów dawnej grupy pruszkowskiej trudnił się on praniem pieniędzy pochodzących z handlu narkotykami. Później doświadczenie na tym polu wykorzystał rejestrując sieć fikcyjnych podmiotów gospodarczych. Na ich bazie wystawiano równie fałszywe poświadczenia wysokich dochodów, umożliwiające żołnierzom Korka, oczywiście legitymującym się fałszywymi dowodami osobistymi, zakładanie złotych kont bankowych VIP. Owe złoto przekładało się na limit debetu. Niezwłocznie korzystano z maksymalnej przydzielanej wysokości, sięgającej każdorazowo kilkudziesięciu tysięcy zł, po czym kontakt

banku z faktycznie nieistniejącym klientem urywał się. Tą bezpieczną metodą grupa w krótkim czasie skradła minimum kilka milionów zł. W tamtych latach nie weryfikowano klientów w międzybankowych bazach danych, możliwe więc było przeprowadzenie całej operacji w oparciu o fikcyjne dane osobowe, nie dziwił też tzw. „biały BIK”, czyli brak jakiejkolwiek przeszłości bankowej. Dziś człowiek nieposiadający (pozytywnej) historii w BIK-u, a rzekomo uzyskujący ogromne dochody, nie mógłby liczyć na zaufanie banków, a wysyp kilkudziesięciu takich menedżerów wzbudziłby podejrzliwość i skutkował powiadomieniem Policji.

Następnym źródłem dochodów fikcyjnych przedsiębiorstw Korka stał się leasing drogich pojazdów. Uzyskane w cenie pierwszej raty limuzyny prosto z autosalonu transportowane były do odbiorcy za wschodnią granicą. Tam zbyt zapewniały kontakty z tzw. rosyjską mafią. Pozyskane tą drogą środki inwestowano w legalne interesy, m.in. restauracje, hotele, czy firmy budowlane, lecz nawet legalne przedsięwzięcia wykorzystywano do upłynniania towarów z uprowadzanych tirów i alkoholu bez banderol. W przeciągu kilku lat grupa wyrosła na najsilniejszy w Polsce gang gotowy przejąć dawne, międzynarodowe wpływy „Pruszkowa”. Podbudową potęgi były już nie tylko brutalne przestępstwa, a kapitał zdobyty na dziecinnie prostych oszustwach. Podobną filozofię działania przyjęli gangsterzy z łódzkiej „Ośmiornicy” oraz z wielu innych, operujących na terenie całego kraju mniejszych grup. Również zabójca Pershinga – Ryszard Bogucki – dokonywał wielomilionowych wyłudzeń m.in. przejmując ogromny transport kawy. Syn Leszka D., lidera starego „Pruszkowa” o pseudonimie Wańka, został zatrzymany w związku z podobnymi przestępstwami, ale popełnionymi w branży meblarskiej. Wszystkim im zabrakło finezji i operowania na granicy prawa a nie poza tą granicą.

Powodem upadku Korka było nadmierne zaangażowanie w

biznes narkotykowy i brutalne wymuszenia. Kariera dobiegła końca, gdy Policja przejęła należący do niego transport ponad trzystu kilogramów kokainy. Jednak organom ścigania nigdy nie udało się odzyskać ukrytego za granicą majątku szacowanego na kilkadziesiąt milionów dolarów. Można założyć, że gdyby Andrzej H. ograniczył swą aktywność wyłącznie do oszustw, nadal pozostawałby bezkarny a jego działalność przynosiłaby każdego miesiąca wielomilionowe zyski. Podobnie identyfikacja Boguckiego i Młodego Wańki związana była z działaniami operacyjnymi wymierzonymi nie w pospolitych oszustów, a w członków zorganizowanych struktur przestępczych odpowiedzialnych m.in. za liczne zabójstwa i terror kryminalny. Czynnikiem niszczącym była więc legenda wiodącego, zbrojnego związku przestępczego lat 90-tych.

Rozdział VIII

Jak okraść – wspólnika, spółkę kapitałową lub prywatyzowany podmiot

Rozdział dedykuję Dariuszowi N.

Idealną ofiarą oszustwa wydaje się osoba, o której sprawca dysponuje szeroką wiedzą. O ile obcy kontrahent może zaskoczyć dogłębną znajomością technik oszustw, bolesnymi koneksjami w świecie przestępczym lub organach ścigania, albo biegłością w zawiłych zagadnieniach prawnych, a co gorsza, wbrew pozorom, brakiem wartego zachodu majątku, o tyle „stary znajomy” zwykle nie stanowi w tych materiach żadnego zagrożenia. Wiemy, co może i ile ma pieniędzy.

Oszustwa na szkodę wspólnika dzielimy na dwie kategorie: defraudację kapitału przeznaczonego przez inwestora na realizację wspólnego projektu oraz uszczuplenie wypłaty zysków partnera biznesowego. Obie opcje mają również zastosowanie dla działań nieuczciwego menedżera lub prezesa spółki, wówczas w miejsce kontrahenta wpisać należy oddany pod nadzór podmiot. Zachowują aktualność wszelkie techniki przedstawione w rozdziałach dot. spółek kapitałowych w zakresie metod obciążania przedsiębiorstwa zbędnymi kosztami i fikcyjnymi zobowiązaniami: akceptowanie kar umownych za niewykonane prace, zamawianie u zaprzyjaźnionych specjalistów nigdy niezrealizowanych usług niematerialnych etc.

Podstawa, to uprawnienia do zawierania w imieniu wspólnej działalności zobowiązań, czyli podpisywania umów, a najlepiej także do wydawania wiążących poleceń kadrze wykonawczej. Wówczas,

wystarczające do wyprowadzenia pieniędzy wspólnika jest złe wypełnianie przyjętych przez spółkę obowiązków, bądź obligowanie kadry do działań wykluczających wywiązanie się z przyjętych terminów lub zakresu podjętych prac. Drugim warunkiem skutecznej i nierodzącej odpowiedzialności karnej defraudacji kapitału inwestycyjnego pozostaje zewnętrzny podmiot gospodarczy lub zaufany, dyskretny współpracownik. Taki „*oddelegowany*” klient jest wręcz wymarzoną kontrahentem, poszukującym bardzo konkretnej, odpowiadającej specjalizacji spółki oferty, a co więcej skłonny słono za nią zapłacić. Szybko więc dochodzi do zawarcia umowy, zleceniodawca zastrzega jednak w niej rygorystyczne, nieprzekraczalne terminy przekazania gotowego dzieła lub trudne do spełnienia warunki techniczne produktu. W wyniku „*niedopatrzeń*” kadry zarządzającej, kontrakt nie zostaje prawidłowo zrealizowany, co skutkuje koniecznością poniesienia kar umownych, albo wykonania zlecenia z utratą prawa do całości lub części wynagrodzenia. Inną metodą to zakup towarów, surowców lub usług po zawyżonych cenach. Zyskiem pozostaje, zwykle też dodatkowo zawyżona w stosunku do cen rynkowych, marża handlowa, która mogłaby trafić w przypadku uczciwego zakupu do innego sprzedawcy oferującego lepszy produkt w niższej cenie. Podobnym, o wiele bezpieczniejszym, gdyż niepozostawiającym materialnych dowodów, sposobem wyprowadzenia pieniędzy jest zakup drogich „*eksperckich*” usług doradczych. W przypadku zastrzeżenia w treści umowy składania raportów w formie ustnej, a nie pisemnej, ich sporządzanie nawet nie jest potrzebne, a realizacja zlecenia doradczego ogranicza się do regularnego przelewania środków z konta spółki na konto „*specjalisty*”. Podział zysków dokonywany jest już zazwyczaj z pominięciem możliwych do późniejszej weryfikacji przelewów, czyli gotówką. Jeśli inwencja oraz wiedza sprawców na to pozwalają, możliwe jest zaangażowanie do

działalności zewnętrznych, w zupełności podległych spółek kapitałowych – krajowych i zagranicznych, powołanych zgodnie ze wskazówkami przedstawionymi w innych rozdziałach. Za ich pośrednictwem dokonywać też należy wszelkich zamówień, których samodzielna realizacja jest niemożliwa, np. dostaw dóbr objętych reglamentacją, wymagających niedostępnych środków produkcji, albo usług eksperckich o ograniczonej podaży. Każde zlecenie jest wówczas filtrowane i obłożone dodatkową marżą. Okradany podmiot zleca wykonawstwo lub dostawę spółce „pomostowej”, a dopiero ta przekazuje zlecenie do właściwego wykonawcy. Jedyne czego potrzeba do tak prostego działania na szkodę wspólnika, to jego zaufanie, wyrażone umocowaniem do zaciągania zobowiązań w imieniu spółki. Z tego powodu łańcuch zamówień jest masowo praktykowany na szkodę zasobnych spółek Skarbu Państwa, instytucji, fundacji i innych podmiotów finansowanych z budżetu, a prowadzonych przez słabo nadzorowanych menadżerów lub prezesów. Flagowymi przykładami takich nadużyć mieli być liderzy branż: petrochemicznej (ORLEN) i ubezpieczeniowej (PZU). Choć media donosiły o wyprowadzeniu setek milionów zł, a w skali lat nawet miliardów zł, winy oczywiście nikomu nie udowodniono.

Gdy brak zewnętrznych, zaufanych współpracowników i zależnych podmiotów gospodarczych, możliwe jest samodzielne dokonywanie zmian w już realizowanych kontraktach. Oszczędności wprowadzane są np. poprzez wykorzystanie gorszych materiałów produkcyjnych lub mniejszą ilość opłaconych roboczogodzin personelu. Informacje o zaniżonych wydatkach nie trafiają jednak do wspólnika, a często nawet do księgowości. Pożytkiem jest różnica pomiędzy pierwotnie planowanymi kosztami a tymi rzeczywiście poniesionymi. Metoda ta (nie oszukujemy się – prymitywna) jest o tyle ryzykowna, że w przypadku ujawnienia, np. w czasie krzyżowej kontroli skarbowej, sprawca może zostać oskarżony o popełnienie

przestępstwa przywłaszczenia, uszczuplenia podatku przez fikcyjne zawyżanie kosztów uzyskania przychodu spółki lub fałszowania faktur. Jednak, praktyka pokazuje, że poza materią podatkową czyn ten bywa często marginalizowany i wyłączany z trybu karnego, na rzecz jurysdykcji sądów cywilnych. W olsztyńskiej prokuraturze rejonowej umorzono np. postępowanie w sprawie zaniżenia kosztów budowy podwarszawskiej willi. Sprawca, pomimo iż otrzymał kwotę kilkuset tysięcy dolarów amerykańskich na budowę cudzego domu w stanie gotowym do natychmiastowego zamieszkania, ograniczył się do zlecenia prac do stanu zamkniętego surowego. Osiągnięte tą drogą oszczędności w kwocie 450 000 zł nieuczciwy powiernik zachował dla siebie. Co więcej, ukrył przed inwestorami i zaprzeczył przed organami ścigania, iż zawarł aneks do umowy z przedsiębiorstwem budowlanym, o taką właśnie kwotę obniżający wartość zleconych prac i ich zakres. Prokurator Aneta M. zapoznała się z opatrzonym odręcznym podpisem aneksem i wyciągami bankowymi, dowodzącymi zaniżonego rozliczenia, a także z umową pierwotną, zaakceptowaną przez inwestora. Nie dopatrzyła się jednak w tym działaniu znamion czynu karalnego, lecz zaleciła osobom poszkodowanym dochodzenie utraconych pieniędzy na drodze cywilnej. Podobne przypadki zdarzają się nagminnie w polskich prokuraturach, zwykle można więc spać spokojnie. Na podobną pobłażliwość nie może jednak liczyć ten, kto przywłaszcza kwoty śmieszne, np. 2000 zł, 3000 zł albo 5000 zł. Wtedy zazwyczaj dochodzi do sporządzenia aktu oskarżenia, a kryminalista zostaje przykładnie ukarany, by sprawiedliwości stało się zadość. Statystyka musi przecież godnie wyglądać.

Pozamaterialną kradzieżą pozostaje wykorzystanie know-how lub biznesplanu współnika albo nawiązanych za jego pośrednictwem kontaktów, a spożytkowanych już bez jego zgody i wynagrodzenia. W chwili, gdy znajomi i kontrahenci współnika stają się naszymi

znajomymi, brak już powodu, dla którego mielibyśmy dzielić z nim wypracowany tymi kanałami zysk. Wszelkie zlecenia przekazywane mogą być przecież z pominięciem zbędnego ogniwa. Podobnie zaangażowanie w działalność spółki usługowej – w której siłą napędową pozostaje nie infrastruktura, drogie urządzenia produkcyjne, czy kapitał, ale konkretni fachowcy posiadający unikatową wiedzę lub umiejętności manualne – umożliwia przejęcie kluczowych kontaktów i po zaoferowaniu lepszych warunków współpracy wyeliminowanie zbędnego już wówczas partnera biznesowego. Wydatki na przekupienie podwykonawców i tak będą skompensowane oszczędnościami na zwykle znacznie wyższej marży pośrednika lub jego udziałach w zyskach. Reguła niełojalności znajduje pełne przełożenie na kontakty wspólnika ze stałymi lub strategicznymi klientami, skutecznymi handlowcami, czy skorumpowanymi urzędnikami państwowymi. W chwili zawarcia znajomości z istotną osobą niezbędne staje się kontynuowanie serdecznej relacji, lecz na gruncie prywatnym lub półprywatnym, a następnie pozyskanie lepszego, bliższego kontaktu z celem niż miał nasz wspólny, przeznaczony do odsunięcia na boczny tor, kontrahent. Nieocenione pozostaje zasianie ziarna niezgody lub innego zburzenia dotychczasowego zaufania, np. poprzez plotki o braku wypłacalności, nieuczciwości lub jego innej działalności przestępczej albo niemoralnej. Jako argument dobrać tu można zindywidualizowane prywatne antypatie, konflikty uczuciowe, poglądy polityczne lub filozoficzne, a nawet odrazę do określonych preferencji seksualnych, czy pochodzenia geograficznego lub etnicznego. Wszystko dozwolone w celu zniszczenia wizerunku zbędnego ogniwa. Interesy z tak skompromitowaną lub pogardzaną osobą w sposób oczywisty skutkować mogą uszczerbkiem na prestiżu, jak i na finansach jego kontrahentów, a co najmniej na samopoczuciu. Wówczas, gdy sentyment przeważać zaczyna na

korzystać niełojalnego przedsiębiorcy, pada propozycja zawarcia bezpośredniej, korzystniejszej finansowo kooperacji. Nie popełniając żadnego przestępstwa, a naruszając jedynie zasady etyki kupieckiej, ograniczyliśmy nasze wydatki, czyli wynagrodzenie zbędnego pośrednika lub współnika, jednocześnie eliminując konkurencję z jego strony i tym samym najpewniej przejmując na wyłączność dotychczas wspólnie obsługiwanych klientów.

Inwestycje w przedsiębiorstwa oraz przejmowanie ich w drodze skupu akcji to oczywiście działania w pełni legalne i zgodne ze zwyczajną biznesową taktyką maksymalizacji zysków przez rozbudowę kanałów zbytu lub zaplecza produkcyjnego. Wielu maklerów dorobiło się jednak majątku nie na żmudnych analizach potencjału spółek giełdowych, a na pokrewnym dla dozwolonej działalności przestępstwie zwanym *Insider Trading*, czyli zakupie i sprzedaży akcji przed ujawnieniem okoliczności mających wpływ na spadek lub wzrost ich kursów. Spekulant pozyskuje wówczas z wyprzedzeniem strategiczne wieści od skorumpowanych pracowników spółek, którzy przed oficjalnym ogłoszeniem danego faktu powiadamiają o stratach i zyskach nadzwyczajnych, planowanych fuzjach, zawartych lub zerwanych kontraktach, korzystnych zakupach o wielkiej wartości, czy jakichkolwiek innych wydarzeniach skutkujących zauważalnym odbiciem na wartości przedsiębiorstwa. Zwykle najlepiej poinformowanymi osobami są menedżerowie i członkowie zarządów spółek, dlatego więc nie mieliby oni dodatkowo zarabiać na swej wiedzy, za pośrednictwem podstawionych graczy giełdowych...? Pożytkiem z oszustwa jest w takich przypadkach zakup akcji po niższej cenie na krótko przed pewnym jej wzrostem, albo sprzedaż, tych już posiadanych, przed spadkiem kursu, co skutkuje uniknięciem strat naturalnych w przypadku uczciwej gry i możliwością odkupienia takiej samej ilości akcji po już niższej cenie z zachowaniem uzyskanej nadwyżki.

Legalny obrót akcjami też można uczynić szczególnie intratnym, poprzez nielojalne działania na szkodę akcjonariuszy, czyli „czarny *public relations*”. Pozorne obniżenie wartości spółki, a tym samym rzeczywiste wartości jej akcji bądź udziałów, pozostaje, jak każde inne nieuczciwe działanie, stosunkowo proste. W przypadku dużych podmiotów giełdowych konieczne jest wywołanie dużego i głośnego wydarzenia, które negatywnie odbije się na wizerunku przedsiębiorstwa i obniży jego wiarygodność w oczach inwestorów giełdowych. Owy „*event*” dotyczyć może wiarygodnie nagłościonej, niekoniecznie mającej jakikolwiek związek ze stanem rzeczywistym, informacji o niewypłacalności spółki, rychłej upadłości, chybnym kontrakcie lub zerwanym strategicznym sojuszu, działalności przestępczej – szczególnie dot. działania na szkodę akcjonariuszy albo słynącego z możliwości miażdżenia przedsiębiorstw urzędu skarbowego. Nie bez powodu mówi się, że największy wpływ na notowania giełdowe mają akcje... ale nie spółek, tylko ABW, CBA i CBŚ. Rzadziej zastosowanie znajduje odwołanie do skandalu natury obyczajowej, chyba, że inicjator ukierunkowuje się na bieżące i powszechnie potępiane tematy lub żelazne poglądy kluczowego akcjonariusza, co pozwala prognozować natychmiastową rezygnację ze wspierania niemoralnego przedmiotu inwestycji. Droga rozpowszechnienia zarzutu to media tradycyjne i (o wiele łatwiej dostępne dla mniej wpływowych spekulantów) elektroniczne, a także kanały szeptane. Powierzona w zaufaniu i tajemnicy informacja ma w zwyczaju obieć całą branżę dużo szybciej, niż apel zamieszczony na afiszu w centrum Warszawy.

W 2008 roku dotychczasowy właściciel, wspomianej już wcześniej, ogólnopolskiej sieci franczyzowej postanowił odzyskać pakiet większościowy akcji utworzonej przed laty spółki giełdowej. Konkurentem do tego był dysponujący o wiele większym kapitałem inwestycyjnym potentat branży restauracyjnej – właściciel m.in. sieci

fast-foodów KFC. Nowy inwestor przedstawił, jak się wydawało, propozycję nie do odrzucenia: może odkupić posiadany jeszcze przez restauratora pakiet akcji lub też skupi z rynku akcje rozproszone. W obu przypadkach utracona zostanie niepodzielna władza nad siecią franczyzobiorców, a w praktyce także nad wypłatą dywidendy. Od decyzji walnego zgromadzenia akcjonariuszy – a więc w przypadku pakietu kontrolnego akcji od jego właściciela – zależy redystrybucja zysku wypracowanego w danym roku obrachunkowym. Może on zostać zainwestowany, przeznaczony na kapitał zapasowy, bądź na dywidendę dla akcjonariuszy. Sytuacja wydawała się więc finansowo jednoznaczna. Jedyną racjonalną ekonomicznie decyzją pozostawała sprzedaż akcji, co umożliwiałoby choć częściowe odzyskanie zamrożonego kapitału. Wówczas, nieoczekiwanie złożony został do sądu gospodarczego wniosek o ogłoszenie upadłości spółki akcyjnej zarządzającej siecią. Dyskretnie powiadomione media niezwłocznie doniosły o pakiecie wierzytelności przesądzającym niewypłacalność. Na parkiecie giełdowym zapanowała panika. Natychmiast doszło do masowej wyprzedaży walorów bankrutującego potentata restauracyjnego. Drobną akcjonariusze, świadomi chybionej i właśnie na ich oczach dogorywającej inwestycji, pragnęli odzyskać choć kilka groszy z każdej, w ich mniemaniu już nieodwracalnie straconej złotówki. Znikome zainteresowanie gasnącą gwiazdą skutkowało dalszym, pikującym spadkiem kursu akcji. Podaż sięgała szczytów, popyt był zerowy. Panikę wciąż podsycali media elektroniczne, rozpisujące się o ogromnych zobowiązaniach finansowych spółki, nierodzących nadziei na jej dalszą egzystencję. Nagle, oferowane znacznie poniżej realnej wartości akcje znalazły nabywcę. Skupu dokonali maklerzy dotychczasowego właściciela sieci. Nie doszło też do upadłości spółki. Pomimo faktycznych ku temu podstaw, sąd oddalił wniosek z powodu jego braków formalnych. Czynności podjęto bowiem za pośrednictwem kancelarii adwokackiej, a na

złożonym do akt wydrukowanym pełnomocnictwie zabrakło podpisu mocodawcy... Drobne uchybienie wstrzymało upadłość.

Skup akcji skutkował patem. Zewnętrzny inwestor utracił możliwość przejścia kontroli nad siecią restauracji a autonomia dotychczasowego właściciela została utrzymana. Rzeczywistą szkodę odnieśli jedynie drobni akcjonariusze, których podstępem wprowadzono w błąd i pod tą presją faktycznie okradziono z zainwestowanego wcześniej kapitału. Spółka gastronomiczna nadal działa, i choć na papierze przynosi duże straty, w praktyce zapewnia i będzie zapewniać dostatnie życie rzeczywistym beneficjentom wypracowanego przychodu.

Podobne pole do popisu uzyskały osoby odpowiadające za prywatyzowanie przedsiębiorstw należących do Skarbu Państwa. Reżyserując wynik finansowy wyprzedawanych spółek sztucznie zaniżano podstawy wyceny. Niekorzystne rozłożenie poszczególnych składników bilansu i zamaskowanie rentowności otrzymać można banalnymi zabiegami. Zakup tzw. śmieciowych wierzytelności, czyli nieściągalnych z powodu np. upadłości dłużnika lub jego śmierci, możliwy jest za promilową część ich nominalnej wartości. Tego typu wielomilionowe, zarazem nieściągalne środki, odpowiednio zaniżają papierową „ *płynność*” finansową podmiotu. Leżakujące na rachunku bankowym pieniądze pożytkuje się na zakup środków trwałych, acz niewykorzystywanych w stopniu uzasadniającym ich nabycie. Stąd np. zbędne inwestycje w nowe parki maszyn, gdy dotychczas eksploatowane linie technologiczne w zupełności wystarczają do zaspokajania popytu na przedmiot produkcji. Niejednokrotnie na „*modernizację*” zaciągane są niekorzystne, lecz nie naruszające przepisów prawa kredyty, zabezpieczone np. wpisami hipotecznymi w księgach wieczystych nieruchomości stanowiących kluczowy składnik majątku prywatyzowanego zakładu. Dzięki temu grunty i budynki stają się dużo mniej atrakcyjnym atutem spółki. Dalsze

kroki to podwyżki zarobków kadry, zyskujące oczywiście pełną aprobatę związków zawodowych, a także zatrudnienie dodatkowych „specjalistów” z odpowiednio wysokim uposażeniem. W razie potrzeby powoływane są nowe, kosztowne wydziały, świadczące usługi wspierające lub zbędne oddziały zamiejscowe. Dzieła „zniszczenia” dopełnia zerwanie kilku strategicznych aliansów biznesowych, narażające na kary umowne niedotrzymanie terminów umownych oraz przedstawienie w paru przetargach ofert o rażąco zawyżonych, w stosunku do jakości, cenach. Menadżer nie naruszył absolutnie żadnych przepisów, ale z oddanego pod zarząd, prężnie funkcjonującego przedsiębiorstwa uczynił formalnie bankrutującego molocha bez żadnej przyszłości. Bez szans na zwycięstwo w wolnorynkowym pojedynku i podbój danej gałęzi przemysłu. Tego typu podmioty nietrudno sprzedać jedynie za symboliczną cenę lub po wartości nieobciążonych składników majątku.

Niewzłocznie po sprzedaży spółki dokonywana jest jej restrukturyzacja. Zwalniani są zbędni pracownicy, a pozostałym na powrót obniża się pensje. Wyprzedane zostają zbędne parki maszyn i nadmierne zapasy, co zasila kasę podmiotu dodatkowym, a dotąd zamrożonym kapitałem, a także umożliwia spłatę zaciągniętych kredytów i oczyszczenie ksiąg wieczystych, przy jednoczesnej eliminacji kosztów bieżącego serwisowania, konserwowania oraz składowania urządzeń. Likwidacji ulegają gałęzie przedsiębiorstwa generujące koszty, a nie zyski. Nieściągalne wierzytelności zostają odsprzedane dalej, za równie symboliczną kwotę za jaką zostały zakupione albo wpisane w koszty uzyskania przychodu. Straty wyeliminowano, bilans wyczyszczono, podmiot zasilili nowy kapitał pochodzący ze sprzedaży środków trwałych, a bieżące koszty działania okrojono ze zbędnych wydatków. W razie potrzeby zmieniona zostaje nazwa, by zła sława skompromitowanego molocha nie pociągnęła nowego właściciela na marketingowe dno.

Bankrutujący zakład w ciągu paru tygodni na powrót przemieniono w wydajny i nowoczesnie zarządzany podmiot gospodarczy, zdolny skutecznie konkurować z liderami europejskiego rynku.

Dla zysku z tego typu operacji istotny jest nabywca. Może on od początku współdziałać z osobą dbającą o odpowiednie przygotowanie spółki do sprzedaży lub zostać wyłoniony w drodze późniejszych negocjacji, już w trakcie procesu prywatyzacyjnego. W pierwszym przypadku korzyścią może być cicha spółka albo zagwarantowany dobrze płatny etat, zaś w drugim wynagrodzeniem za twórczą reżyserię jest zazwyczaj prowizja wprost proporcjonalna do stopnia obniżenia wyceny.

Wyciągnięcie konsekwencji natury karnej z tytułu przeprowadzenia większości z wymienionych działań jest zazwyczaj niemożliwe.

Rozdział IX

Jak oszukać komornika

Uniknięcie odpowiedzialności karnej za pozyskanie z pominięciem uczciwości fortuny, tudzież fortunki, nie gwarantuje utrzymania raz zdobytego majątku. Wierzyciel nawet po umorzeniu śledztwa zazwyczaj nadal będzie dysponował podstawą do dochodzenia swych należności na drodze cywilnej – fakturami VAT, umowami, weksłami. Jeśli tylko oszustwa dokonano na bazie prawdziwych danych osobowych i przy pomocy sztuczek prawniczych nie uczyniono roszczenia bezzasadnym, prędzej czy później zapaść może niekorzystny wyrok sądu. A po uzyskaniu klauzuli wykonalności egzekucję najpewniej przejmie komornik.

Egzekucja komornicza oznacza zaangażowanie w rozliczenie wierzytelności przymusu państwowego i pociąga za sobą zaostrzoną odpowiedzialność karną w przypadku udaremnienia wykonania orzeczenia sądu lub innego organu państwowego i udaremnienia lub uszczuplenia zaspokojenia swego wierzyciela w taki sposób, że dłużnik usuwa, ukrywa, zbywa, darowuje, niszczy, rzeczywiście albo pozornie obciąża albo uszkadza składniki swojego majątku zajęte lub zagrożone zajęciem. W takich przypadkach kara sięgać może do 5 lat pozbawienia wolności, a jeśli czynem tym zaszkodzono większej liczbie wierzycieli wzrasta maksymalnie do 8 lat więzienia (art. 300 § 2 i 3 Kodeksu karnego). Sam komornik posiada na mocy art. 115 § 13 kk status funkcjonariusza publicznego, co oznacza, że popełnienie jakiegokolwiek przestępstwa związanego z prowadzoną przez niego działalnością, np. pobicia lub zastraszenia, karane jest

surowiej niż w przypadku identycznego ataku na szarego obywatela. Jednak jedynie amator postawiony zostanie przed sądem z powodu podjęcia działań blokujących egzekucję. I tylko amator spróbuje popełnić przestępstwo kryminalne, by utrzymać się w posiadaniu wcześniej zagarniętego majątku. Polskie prawo umożliwia przecież cały szereg w pełni legalnych, banalnych i skutecznych sztuczek, czyniących komornika bezbronnym na wzór małego, samotnego dziecka pozostawionego nocą w ciemnym lesie.

Najprostsza, to likwidowanie kont bankowych. Zazwyczaj komornik próbując zablokować środki na rachunku dłużnika wskazuje konkretny numer konta w konkretnym banku. W kilka tygodni po przesłaniu pisemnej dyspozycji wskazany rachunek, wraz z ulokowanymi na nim pieniędzmi, zostaje zabezpieczony na poczet spłaty zadłużenia. Jednak niewielu komorników z własnej inicjatywy przesyła zapytanie z żądaniem ujawnienia przez bank wszelkich rachunków należących do dłużnika, a już w ogóle ewenementem jest „obstrzał” wszystkich polskich banków celem blokady wszelkich środków zdeponowanych na konkretny PESEL. Zazwyczaj oczekuje się precyzyjnego wskazania przez wierzyciela nawet nie centrali danej sieci bankowej a konkretnej placówki terenowej i na niej się poprzestaje. Jedynie w sprawach alimentacyjnych oraz przy egzekucji należności Skarbu Państwa komornik z urzędu sam poszukuje majątku, choć w praktyce także wtedy jego aktywność jest znikoma, a bywa wręcz symboliczna. Jak się okazuje, wierzyciel zazwyczaj osobiście musi ustalić numer konta dłużnika, a jak wielu przedsiębiorców lub szarych obywateli potrafi to zrobić? Tajemnica bankowa wyklucza samodzielne wystąpienie o taką informację, również prywatne agencje detektywistyczne wiadomości takie pozyskać mogą jedynie od samego dłużnika (np. udając klienta), od jego aktualnych kontrahentów lub w drodze działań nielegalnych, np. poprzez skorumpowanie pracowników banków. Źródła te są więc

znacznie ograniczone, a w przypadku komornika rozszerzone mogą zostać tylko o numery rachunków ujawnione urzędowi państwowemu, np. urzędowi skarbowemu albo ZUS-owi. Zazwyczaj jednak komornicy nie zabiegają nawet o to.

O ile wiarytelność pochodzi z umowy gospodarczej, zazwyczaj w jej treści udostępnione zostało konto na potrzeby przyszłego rozliczenia albo przy otwarciu współpracy pierwsze, jeszcze rzetelne przelewy ujawniły ten ważny numer. Od tego czasu wiele jednak mogło ulec zmianie. Pamiętajmy, że od zaistnienia stosunku cywilnoprawnego, przez windykację polubowną oraz zazwyczaj dwie instancje sądowe, aż do wszczęcia egzekucji komorniczej i do blokady środków przez bank, minąć może nawet kilka lat. Jeśli dłużnik w międzyczasie zlikwidował rachunek, to komornik po wykonaniu dyspozycji wierzyciela stwierdzi brak jej skuteczności i zażąda wskazania nowych sposobów egzekucji, pod rygorem umorzenia postępowania. Jak widać, ta prosta obrona nie wymaga nadzwyczajnej przebiegłości, a jednak jest całkiem skuteczna. Na szczęście timing ewakuacji pieniędzy wspiera sam komornik, zobligowany do poinformowania listem poleconym o wszczęciu egzekucji. Element zaskoczenia jest więc bardzo mocno ograniczony. Co jednak szczególnie ważne, likwidacja konta nie może oznaczać przelania środków na inny rachunek należący do tego samego dłużnika, gdyż wtedy komornik zwyczajnie zajmie ten nowy, właśnie ujawniony.

Absolutnie nie wolno też przelewać całego swojego majątku na rachunek wybranego, zaprzyjaźnionego „wierzyciela”. Zamiast ochronić tym kapitał, przez faworyzowanie wypełnia się znamiona przestępstwa ściganego z art. 302 § 1 kk a zagrożonego karą do 2 lat pozbawienia wolności. Konkretnie karze podlega działanie dłużnika, który w razie grożącej mu niewypłacalności albo upadłości, nie mogąc zaspokoić wszystkich wierzycieli, spłaca lub zabezpiecza

tylko niektórych, czym działa na szkodę pozostałych. Optymalnym rozwiązaniem pozostaje więc likwidacja konta z podjęciem gotówki. Tą można później zdeponować w innym banku. Jest niezwykle mało prawdopodobne, by komornik uderzający punktowo jedynie w precyzyjnie wskazane rachunki, był w stanie odnaleźć majątek dłużnika ukryty tak prostym zabiegiem. Również ryzyko skierowania doniesienia do prokuratury praktycznie nie istnieje. Komornicy nie są zainteresowani bieganiem na przesłuchania i sami zwykle nie informują organów ścigania, zaś wierzyciele najpewniej nigdy się o likwidacji rachunku nie dowiedzą, a nawet jeśli, to nie będą świadomi ochrony przysługującej im z art. 300 kk. A jeśli pechowo postępowanie karne zostanie wszczęte i zmierzać będzie nie w stronę umorzenia a postawienia zarzutów, to zawsze pieniądze mogą się „odnaleźć”. Przecież ich wypłata nie musi oznaczać roztrwonienia, a więc znamiona przestępstwa nie zostaną wtedy wypełnione. *Dłużnik jest wolnym człowiekiem i nie ma prawnego obowiązku trzymania swych pieniędzy w banku!*

Niestety, niektórzy bardziej odpowiedzialnie podchodzący do swych obowiązków komornicy nie oczekują od wierzyciela samodzielnego przeprowadzenia śledztwa gospodarczego. Na jego wniosek sami podejmują działania w kierunku egzekucji należności ze wszelkich pieniędzy dłużnika ulokowanych na rachunkach bankowych – bez względu na to, z którego z polskich banków on korzysta. We wniosku kierowanym do centrali danej sieci bankowej wskazane zostają wówczas jedynie personalia i indywidualny oraz niepowtarzalny, w przeciwieństwie do nazwiska czy adresu, numer PESEL. O ile przysłowiowych Janów Kowalskich są w Polsce tysiące, o tyle użytkownik danego numeru PESEL jest tylko jeden i na jego podstawie połączenie właściciela konta z osobą dłużnika jest zawsze bezbłędne. Nawet zmiana nazwiska, adresu, czy dokumentu tożsamości nie umożliwi wtedy skrycia się przed egzekucją. Na

podstawie takiego ogólnego wniosku banki zostają zobligowane do zablokowania wszelkich powierzonych środków, a nie tylko jednego, precyzyjnie wskazanego konta z pominięciem wszystkich innych ROR-ów, lokat, a jeśli w ofercie znajdują się i takie usługi to także rachunków maklerskich oraz depozytów. Zgodnie z opublikowaną przez Komisję Nadzoru Finansowego listą, w stanie na 30 listopada 2011 roku, na terenie Polski operuje 48 banków krajowych, a prócz nich małe banki spółdzielcze, których to liczba oscyluje w granicach 579. Zadaniem ambitnego komornika pozostaje przesłanie do centrali każdej z tych sieci bankowych wspomnianego powyżej żądania. Nadmienić należy, iż egzekucja z banków spółdzielczych jest, dzięki użytkowanemu przez poszczególne jednostki systemowi ewidencji i ich przynależności do zrzeszeń, równie prosta, jak w pozostałych scentralizowanych sieciach bankowych. Z tego powodu warto, by w chwili wszczęcia egzekucji komorniczej pieniądze nie znajdowały się na żadnym imiennym koncie dłużnika. W późniejszym czasie możliwe jest ponowne zdeponowanie kapitału, gdyż praktycznie nie istnieje ryzyko samodzielnej inicjatywy ponownienia kontroli banków. Jedynie wierzyciel, pod wpływem impulsu, zazwyczaj wywołanego radą firmy windykacyjnej lub biura detektywistycznego najętego do wsparcia egzekucji, może zażądać powtórzenia „*obstrzału*”. Gdy jednak nie dysponuje on wsparciem fachowców, nie będzie nawet świadomy istnienia takiej możliwości. W pierwszej fazie egzekucji komorniczej należy więc zachować szczególną ostrożność i nie dać się zwieść iluzji „*bezpiecznego*” ulokowania pieniędzy na nikomu nieznanym rachunku bankowym. Później ryzyko odnalezienia takiej „*skrytki*” spada niemal do zera.

Procedura blokady rachunku bankowego jest niezmiernie czasochłonna, prawie nigdy nie przebiega szybko i sprawnie, a już zwłaszcza, gdy brak precyzyjnych informacji o tym, gdzie dłużnik ulokował środki. Dlatego nawet w trakcie intensywnej, ambitnie

prowadzonej egzekucji możliwe jest odbieranie przelewów z tytułu bieżącej działalności. Otwarcie konta zajmuje kwadrans i zwykle nie kosztuje, a po odbiorze rozliczenia możliwa jest natychmiastowa likwidacja. W przypadku taktyki odbioru pojedynczych przelewów i szybkiego wypłacania gotówki, z użyciem niemal jednorazowych rachunków, zablokowanie bieżących wpływów instrumentami będącymi we władaniu komornika jest zupełnie nieosiągalne. Nie będzie on więc przeszkodą do aktywnego prowadzenia działalności gospodarczej, a już szczególnie nie należy obawiać się takiego, który nie wykazuje własnej inwencji i zamiast dokonać tzw. „obstrzału” wszystkich banków, kieruje tylko jedno pismo do placówki w której dłużnik posiadał ostatniego oficjalnego ROR-a. Nie wolno tylko stracić czujności. To, że jeden, ciapowaty komornik nie potrafi wykazać inicjatywy nie oznacza, że kiedyś wierzyciel nie przekaze egzekucji komuś lepszemu. Jak zatem wytypować odpowiedni czas do likwidacji bieżących kont? Wystarczy udać się do banku niezwłocznie po każdorazowym otrzymaniu wspomnianego pismenego zawiadomienia o wszczęciu egzekucji, a przewencyjnie zamykać rachunki co 3-4 miesiące.

Kolejną prostą sztuczką, stanowiącą dla komornika przeszkodę nie do ominięcia a dla typowego prawnika rzecz nie do wyobrażenia, jest zdeponowanie kapitału na rachunkach bankowych poza granicami Polski. Pomijając legendarne konta szwajcarskie, które obecnie należą do jednych z najłatwiej dostępnych dla europejskich organów ścigania, oraz egzotyczne raje podatkowe, zwyczajne konto w banku słowackim, estońskim, czy fińskim, nie zostanie nigdy namierzone w toku zwykłej procedury egzekucyjnej przeciętnego dłużnika. Dodatkowo ryzyko strat można zmniejszyć, deponując środki na wielu kontach w różnych bankach w kilku, nawet niezbyt odległych krajach. W przypadku lokalizacji jednego rachunku szkoda nie będzie dotkliwa, a mierność sukcesu zniechęci do

dalszych kosztownych i czasochłonnych poszukiwań. Groźba namierzenia pozostaje wtedy żywa tylko, gdy poszukiwany jest wielomilionowy majątek wyprowadzony np. w drodze głośnej afery. Nawet takie pieniądze będą jednak w pełni bezpieczne w bankach rosyjskich, które nie zadają swym klientom zbędnych pytań, ani realnie nie współpracują z żadnymi zachodnioeuropejskimi instytucjami państwowymi, a już szczególnie asertywnie odrzucają wszelkie prośby i groźby polskich organów egzekucyjnych. Równie bezpieczny jest kapitał pozostawiony na kontach panamskich (jako dodatkową premię można wówczas uzyskać obywatelstwo tego państwa i honorowany na wszystkich kontynentach paszport), izraelskich, amerykańskich lub dowolnego państwa dalekiej Azji i Ameryki Południowej. Bankowość internetowa i bezprowizyjne wypłaty w bankomatach niwelują wszelkie niedogodności związane z lokalizacją geograficzną wybranej placówki. Jedynym problemem pozostawać może dyskretne przetransportowanie dużej ilości gotówki przez kilka kolejnych kontroli granicznych. Jeśli jednak to się uda, np. w kilku mniejszych partiach lub w drodze przelewu pod pozorem zapłaty za dostawy lub usługi niematerialne, kapitał będzie bezpieczny. Przy egzekucjach jednostkowych rządu ledwie kilkuset tysięcy zł a nawet paru rozdrobnionych milionów, nikt nie podejmie śledztwa umożliwiającego lokalizację tak ukrytego majątku. Po prostu, będzie to działanie zbyt kosztowne i się nie zwróci.

Szczególnym sposobem udaremnienia egzekucji z kapitału jest wykupienie polisy inwestycyjnej. Zgodnie z polskim prawem jedynie 25% jej wartości może zostać zajęta na poczet długu. W przypadku więc, niezwykle mało prawdopodobnego, odnalezienia w ten sposób zainwestowanych środków, zagrożona pozostaje tylko ich czwarta część. Pomijając dodatkową ochronę prawną tak ukrytego pieniądza, nie bez znaczenia jest możliwość dużo wyższego zarobku, niż w przypadku zdeponowania na lokacie terminowej. Eldoradem

inwestorów tego sektora okazała się ogarniająca świat recesja i związane z nią wahania kursów walut transakcyjnych. W 2008 roku, gdy kurs wymiany dolara amerykańskiego spadł do poziomu jedynie 2 zł, agresywne fundusze podjęły decyzję o zakupie tej waluty. Szybki jej powrót do dawnej jednostkowej wartości, sięgającej 3,5 zł, skutkowało w ciągu paru miesięcy niespełna podwojeniem zainwestowanego kapitału.

W dobie zdestabilizowanej gospodarki unijnej polecane są również lokaty w złocie inwestycyjnym, którego cena wzrasta proporcjonalnie do zawirowań strefy euro. Według Mennicy Polskiej w 2011 roku inwestorzy mogli zrealizować zyski na poziomie około 30%, czyli sześć razy większe niż na przeciętnej lokacie bankowej. Zaletą dla ochrony kapitału jest zaś możliwość przeprowadzania transakcji zakupu mniejszych ilości sztabek lub monet bulionowych u brokerów za gotówkę – w pełni anonimowo. 1 kg kruszcu o czystości stopu 999,9 i wymiarach 116,5mm × 51mm × 9,5mm przedstawiał w styczniu 2012 roku wartość 193 000 zł. Pięć małych sztabek to odporny na inflację i zawirowania polityczne bezpiecznie ulokowany milion, który bez trudu można dyskretnie przewozić między państwami, zdeponować w skrytce bankowej wynajętej na anonimową spółkę kapitałową lub ukryć na małej przestrzeni, np. zakopać, czy замуrować. Dodatkową zaletą złota jest wyjęcie tej inwestycji spod opodatkowania VAT-em.

Poza środkami finansowymi dłużnik zazwyczaj posiada inny majątek – nieruchomości, samochody, dzieła sztuki, biżuterię, akcje, obligacje, udziały w funduszach inwestycyjnych etc. Problem z ruchomościami polega na tym, że komornik uprawniony jest do ich zajęcia jeśli tylko pozostają one we władaniu dłużnika, a władanie to termin szerszy od prawa własności. Jeśli osobom trzecim przysługuje prawo do zajętych przedmiotów, mogą one w ciągu miesiąca wnieść do sądu powództwo o ich zwolnienie od egzekucji. Aby uniknąć tego

uciążliwego obowiązku i nie pozbawiać siebie wygody korzystania z wielu dóbr, zawczasu trzeba odpowiednio przygotować miejsce zamieszkania. Przedmioty niepodlegające rejestracji imiennej mogą pozostawać w lokalu pod warunkiem, że współlokatorem jest osoba niepodlegająca egzekucji i mogąca wylegitymować się dochodami umożliwiającymi ich zakup. Na wszelkie nowe sprzęty RTV, AGD i komputerowe warto jednak brać faktury VAT wskazujące imiennie nabywcę – partnera życiowego, krewnego, przyjaciela lub kontrolowane spółki kapitałowe. Rzeczy używane zabezpieczyć można umowami kupna-sprzedaży spisanyymi również na współlokatora. Poparte takimi dowodami oświadczenie, co do prawa własności, już na etapie egzekucji nie powinno być kwestionowane, a na pewno uznane zostanie przez sąd w przypadku wniesienia skargi na czynności komornika. Dla pewności wydzielić też należy jedno pomieszczenie ze skromnymi meblami: łóżkiem, szafą i krzesłem, kompletem bielizny pościelowej i starymi ubraniami. W razie wizyty komornika przedstawione będzie ono jako jedyne miejsce zajmowane przez dłużnika. Jeśli znajdą się tam inne przedmioty, np. laptop lub biżuteria, komornik może dokonać ich zajęcia, jako prawdopodobnego majątku podlegającego egzekucji, ale próba zagarnięcia rzeczy z pomieszczeń innych domowników zostanie skutecznie zaskarżona, nawet jeśli własności znajdujących się w nich przedmiotów nie potwierdzą imienne dokumenty.

Dobra podlegające rejestracji jeszcze przed wszczęciem egzekucji należy spieniężyć, obciążyć zobowiązaniami lub w inny sposób formalnie wyjąć spod własności dłużnika. Najważniejsze, to realizacja działań w sposób nierodzący ryzyka odpowiedzialności karnej z art. 300 § 1 kk. Nawet, jeśli jeszcze nie zapadł wyrok sądu, to i tak popełnić możemy przestępstwo, jeśli w razie grożącej nam niewypłacalności lub upadłości, udaremnimy lub uszczuplimy zaspokojenie swojego wierzyciela przez to, że usuniemy, ukryjemy,

sprzedamy, podarujemy, zniszczymy, rzeczywiście albo pozornie obciążymy lub uszkodzimy składniki swojego majątku. Za czyn taki grozi kara pozbawienia wolności do lat 3. Zgodnie z orzecznictwem, karze nie podlegają zwykle osoby dopiero zagrożone powstaniem hipotetycznej wierzytelności w przyszłości – a więc nie popełni tego przestępstwa ten, kto dopiero zawiera umowę, z której powstanie zobowiązanie albo toczy spór, którego przedmiotem jest przyszły, niepewny w danej chwili wyrok sądu. Do czasu zapadnięcia orzeczenia przyszły dłużnik ma więc czas na sprzedaż swych mieszkań, domów, działek budowlanych, samochodów, motocykli, udziałów w spółkach i innych składników majątku ujętych w ewidencjach takich jak CEPiK, księgi wieczyste czy Krajowy Rejestr Sądowy. Ważne, by zachować pozory rzetelnych transakcji. Nie wolno zaniżać wartości, a na nabywców wytypować należy osoby niespokrewnione lub poddane pełnej anonimizacji spółki kapitałowe. Później w sposób wiarygodny wykazać trzeba utratę pieniędzy, np. chybione inwestycje, kradzież lub zajęcie inną (kontrolowaną) egzekucją komorniczą – nigdy jednak, również podlegającą karze, dobrowolną spłatą jednych długów z pokrzywdzeniem innych wierzycieli. Spieniężenie majątku po uprawomocnieniu wyroku, zwłaszcza poniżej ceny rynkowej – a więc w sygnalizowanym celu pospiesznego wyjęcia go spod egzekucji – pozostanie łatwe do udowodnienia na podstawie korelacji samych dat w dokumentach. A na takiej podstawie dłużnik zostanie najpewniej skazany.

Inny, często spotykany błąd, to sprzedaż np. mieszkania, co prawda przed powstaniem zadłużenia, lecz osobie, której możliwe do udokumentowania dochody nie zezwalały na tak kosztowny zakup. Transakcję taką można podważyć, co do jej fikcyjnego charakteru albo, co gorsza, mienie takie może zostać przejęte w ramach egzekucji przez urząd skarbowy. Na podstawie art. 30 ust. 1 pkt 7 ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych dochody z

nieujawnionych źródeł przychodów lub nieznajdujące pokrycia w ujawnionych źródłach obciążane są stawką 75% podatku. Dodatkowo dolegliwości finansowe potęguje odpowiedzialność karnoskarbowa w postaci grzywny. Zbyt biedny na dany zakup słupek, by spłacić długi, zostanie zmuszony do spieniężenia tylko formalnie posiadanego majątku. Szkoda więc w praktyce uderzy w dłużnika. Nie wolno do tego dopuścić. W przypadku zaś sprzedaży majątku drastycznie poniżej jego wartości rynkowej lub przekazania go w ramach darowizny, żywe pozostaje ryzyko zaskarżenia takiej transakcji i unieważnienia jej skutków względem wierzyciela w ramach tzw. skargi pauliańskiej na podstawie art. 527-534 Kodeksu cywilnego. Oznacza to, iż wierzyciel może dokonać egzekucji swej należności z majątku przekazanego osobie trzeciej. Przesłankami warunkującymi jest istnienie w tym samym czasie roszczenia wierzyciela nadającego się do wytoczenia o nie powództwa sądowego oraz niewypłacalność dłużnika lub jej pogłębienie z powodu dalszego uszczuplenia majątku kwestionowaną transakcją. Pokrzywdzenie wierzyciela musi być wiadome dłużnikowi, natomiast wzbogacona osoba trzecia wiedzieć powinna lub przy zachowaniu należytej staranności powinna mieć możliwość dowiedzenia się o takich właśnie skutkach danej czynności prawnej. Jeżeli transakcji dokonano z osobą pozostającą w bliskim stosunku z dłużnikiem, np. z krewnym lub partnerem życiowym, albo też korzyść majątkową uzyskał przedsiębiorca pozostający z dłużnikiem w stałych stosunkach gospodarczych, domniemywa się, że nabywca wiedział o pokrzywdzeniu wierzycieli. Wspomniane domniemanie, jak każde inne występujące w polskim systemie prawnym, jest jednak wzruszalne.

Odzyskanie kapitału dotąd zamrożonego w środkach trwałych, przy jednoczesnym utrzymaniu ich faktycznego posiadania oraz uniemożliwieniu egzekucji komorniczej z maszyn, urządzeń,

środków transportu i wydzielonych nieruchomości, możliwe jest w drodze leasingu zwrotnego (ang. sale and lease back). Dłużnik, który w normalnych warunkach nie uzyskałby kredytu, dokonuje sprzedaży składników już posiadanego majątku na rzecz leasingodawcy, z równoczesnym zastrzeżeniem dla siebie prawa ich dalszego użytkowania na warunkach ustalonych w umowie leasingu. Środki trwale przestają być własnością dłużnika, nie podlegają więc egzekucji, a nadal są przez niego użytkowane. Wtórny zysk to zaliczenie rat leasingowych do kosztów uzyskania przychodu i tym samym obniżanie dochodów, a więc i kwoty podlegającej opodatkowaniu.

Podobnie jak w przypadku otwierania rachunków bankowych, tak po zakończeniu pierwszego etapu intensywnych działań egzekucyjnych stosunkowo bezpiecznie dokonać można zakupu nieruchomości. Na korzyść dłużnika działają też opóźnienia w aktualizacji wpisów do ksiąg wieczystych. Sięgają zwykle wielu miesięcy, czyli w chwili ich dokonania mogą być już nieaktualne z powodu dalszego odsprzedania lokalu, czy gruntu. Do niedawna brak powszechnego dostępu do scentralizowanych systemów ksiąg wieczystych oraz brak możliwości wyszukiwania według zapisanych nazwisk, czynił niemal niemożliwym dla hipotetycznego komornika ze Śląska dokonanie kontroli wszystkich nieruchomości położonych w województwie zachodniopomorskim, czy podlaskim. Umożliwiało to wieloletnie utrzymywanie prawa własności bez ryzyka jego utraty na poczet długów. Obecnie jednak, po utworzeniu ogólnopolskiego, dostępnego on-line systemu elektronicznego, wyszukanie wszelkich gruntów i budynków zapisanych na konkretne nazwisko znalazło się w zasięgu możliwości niemal wszystkich kancelarii komorniczych, a także windykatorów. Przeszkodą nie do ominięcia na tym etapie jest jednak nabycie prawa własności na osobę prawną nieznaną komornikowi i wierzycielowi. Powołanie spółki zagranicznej w państwie nieprzewidującym ujawnienia tożsamości udziałowców lub

akcjonariuszy w ogólnodostępnych rejestrach eliminuje możliwość powiązania danego wpisu z poszukiwanym majątkiem dłużnika. Do niedawna iluzoryczną przeszkodą dla takich praktyk pozostawał obowiązek uzyskania przed zakupem nieruchomości przez cudzoziemców, w tym przez zagraniczne podmioty gospodarcze, zezwolenia Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji. Od 1 maja 2004 roku nie jest już ono wymagane dla obywateli lub przedsiębiorców państw członkowskich Europejskiego Obszaru Gospodarczego, tzn. państw członkowskich UE oraz Islandii, Liechtensteinu, Norwegii, ale także i spółek np. amerykańskich lub rosyjskich, których siedziby znajdują się na obszarze wymienionych państw. Do nielicznych wyjątków należą nieruchomości leśne i rolne, bez żadnych obostrzeń nabywać można jednak np. samodzielne lokale mieszkalne. Obowiązek uzyskania zezwolenia też nie stanowi bariery, gdyż warunkowane jest ono brakiem zagrożenia dla obronności, bezpieczeństwa państwa lub porządku publicznego, brakiem kolizji z polityką społeczną i zdrowiem społeczeństwa a także wykazaniem np. wykonywania na terytorium Rzeczypospolitej działalności gospodarczej lub rolniczej, zgodnie z przepisami prawa polskiego. Nic nie stoi na przeszkodzie, by spółka taka prowadziła jakkolwiek „działalność” w Polsce, a zakupiony dom, czy mieszkanie, jako służbowy dodatek do minimalnej pensji (niepodlegającej zajęciu z powodów socjalnych), użyczyła swojemu lokalnemu przedstawicielowi: dłużnikowi. Rozszerzenie wachlarza bonusów obejmować może służbowy samochód, laptop, abonament telefoniczny, pokrycie kosztów reprezentacyjnych (garnitur, złote pióro i zegarek, kolacja w drogiej restauracji z „klientką”), delegacje do egzotycznych krajów etc. Wiele państw nie ogranicza, tak restrykcyjnie jak Polska, wydatków możliwych do sklasyfikowania w kategorii kosztów uzyskania przychodu przedsiębiorcy, więc u źródła rachunki te mogą nawet uszczuplić podstawę opodatkowania.

Największym zagrożeniem dla komfortowej egzystencji dłużnika

jest wezwanie do ujawnienia majątku. Podobnie tą, jak i inne czynności wymagające bezpośredniego kontaktu, opóźnić lub uniemożliwić można zmianą miejsca zamieszkania połączoną z wymeldowaniem donikąd. Brak zameldowania w nowym miejscu, koniecznie odległym od dotychczasowego i niestanowiącym majątku dłużnika lub jego krewnych, uniemożliwia odnalezienie przez ewidencję PESEL lub dawne Centralne Biuro Adresowe MSWiA. Kwestia odległej lokalizacji jest istotna, z uwagi na minimalizację ryzyka przypadkowego spotkania uciekiniera w przysłowiowej kolejce po chleb lub gazetę. Jednocześnie fakt wymeldowania zgłosić należy listami poleconymi zarówno wierzycielowi, komornikowi, jak i wszelkim instytucjom państwowym, w tym sądom, przed którymi toczą się postępowania. Pismo informować powinno o tragicznej sytuacji majątkowej dłużnika i czasowym pozostawaniu bez dachu nad głową, a tym samym o braku adresu doręczeńowego. We wszelkich już toczących się sporach sądowych zaznaczyć należy wolę uczestnictwa w rozprawach i rychłe wskazanie adresu nowego lokum, gdy tylko sytuacja majątkowa ulegnie poprawie do poziomu umożliwiającego jego wynajem lub zakup. O wiele lepiej wygląda sytuacja dłużnika, gdy adres „*utracił*” jeszcze przed wytoczeniem mu procesu. Powołanie kuratora reprezentującego interesy strony jest na tyle kłopotliwe, że w ostatnich latach praktyka niemal wykluczyła tę instytucję. Pozwy bez adresu pozwanego są zwracane powodom, a tym samym problem egzekucji komorniczej znika u źródła. Przy odrobinie szczęścia przedawnienie zamyka sprawę. Konstytucja RP gwarantuje równość praw wszystkim obywatelom, stąd jakiegokolwiek ich ograniczenie stanowi podstawę do zakwestionowania zapadłych rozstrzygnięć. W tym przypadku mamy do czynienia z jednostkową dyskryminacją wynikającą z cenzusu majątkowego, a więc z ograniczeniem gwarancji procesowych strony z powodu braku posiadania przez nią domu. Gnębienie biednego człowieka za to, że jest biedny. Jest to

oczywiście w nowoczesnej demokracji niedopuszczalne i do takiego procesu dojść nie może. Brak również możliwości wezwania do wyjawienia majątku, skoro mimo szczerych chęci strony, nie jest ona w stanie wskazać adresu na potrzeby doręczeń takich wezwań. Wierzyciel musi czekać, komornik zaś najpewniej umorzy egzekucję. Metoda „*na nieobecnego*” bywa szczególnie pomocna przy z góry przegranych sporach sądowych, które może znacznie przedłużyć i zapewnić podstawę wzruszenia w przyszłości ewentualnego prawomocnego już wyroku. Mnóstwo ku temu przesłanek dostarczają sprawy choćby pozornie sporne, z dużą ilością przeprowadzanych dowodów: z zeznań świadków, jak i oględzin w terenie, czy eksperymentów. Pozbawienie strony możliwości uczestnictwa w nich stanowi znaczne pogwałcenie uprawnień procesowych. Nawet, jeśli polski sąd nie uwzględniłby takich okoliczności i odmówił wznowienia postępowania, Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu najprawdopodobniej wyrazi zrozumienie dla powstałego problemu, i nakaze Rzeczypospolitej wypłacić dyskryminowanemu sowite odszkodowanie.

Kolejne zagrożenie, to ochrona bieżących dochodów. Przecież do dalszej, godnej egzystencji niezbędne pozostają także zarobki z pracy zawodowej i działalności gospodarczej, udziały w zyskach spółek osobowych oraz funduszy inwestycyjnych, czy też dywidendy z posiadanych udziałów w spółkach z o.o. lub akcji. W przypadku jednorazowego zastrzyku gotówki, np. dużej premii lub właśnie dywidendy, skutecznie wykorzystać można patenty opisane wcześniej, czyli otworzenie jednorazowego rachunku bankowego lub ubiegnięcie egzekucji inną egzekucją na podstawie wcześniej spreparowanych wierzytelności.

Prowadzenie samodzielnej działalności gospodarczej, w przeciwieństwie do świadczonej obowiązkowo osobiście pracy na etacie lub wolnych zawodów wymagających przyznawanych imiennie uprawnień, możliwe jest na osoby bliskie – krewnych,

zaufanych przyjaciół lub partnerów życiowych. To banalnie proste rozwiązanie pozostaje stuprocentowo skuteczne, nawet jeśli rzeczywisty beneficjent udziela się przy realizacji każdej czynności. Polskie sądy pozostają wyjątkowo pobłażliwe dla wszelkiego typu „konsultacji” i niemal nigdy nie podważa się np. faktu prowadzenia dużej firmy budowlanej przez 18-letnią dziewczynę bez doświadczenia zawodowego, ani życiowego. Wszyscy wiedzą, że faktycznym właścicielem pozostaje jej ojciec, lecz dowiedzenie tego na gruncie prawnym, bez dobrowolnego przyznania się kluczowych osób, jest w praktyce niemożliwe. Pewien łódzki restaurator, powiązany z osławioną Ośmiornicą, formalnie nie posiadał niczego, za to zawsze towarzyszył w interesach 80-letniej mamusi – nosił jej torebkę i dyskutował nad szklaneczką Whiskey o nowych, kwitowanych podpisem staruszki, inwestycjach. Sąd był pod szczerym wrażeniem dbałości o rodzicielkę i chwalił jej syna.

Niestety, po raz kolejny okazuje się, że w najgorszej sytuacji znajdują się ludzie zmuszeni do legalnej pracy na podstawie umowy o pracę, a zarabiający powyżej minimalnego wynagrodzenia, czyli w roku 2012 powyżej kwoty 1500 zł brutto. Tylko zarobki do tej kwoty są w całości wyłączone spod zajęcia. Optymalnym rozwiązaniem pozostaje zwolnienie się z pracy i dalsze jej wykonywanie na czarno, albo ustalenie z pracodawcą na umowie pensji minimalnej, a wypłatę nadwyżki „*pod stołem*”. Nie zawsze jednak jest to możliwe, a już szczególnie w dużych zakładach, gdzie brak koleżeńskich kontaktów z szefem. Inną przesłanką do odrzucenia tej metody jest wręcz zbyt dobra znajomość pracodawcy, pociągająca za sobą zupełny brak zaufania do jego osoby. Niekiedy też dyskretne rozliczanie wykluczają przyczyny formalne (ustalane odgórnie pensje stanowisk urzędniczych, skrupulatnie prowadzona księgowość itp.) lub prestiżowe (np. kontrakty członków zarządu dużych spółek). Nawet takie przypadki nie są jednak w Polsce beznadziejne. Pierwszeństwo przed egzekucją zobowiązań powstałych na gruncie prawa

cywilnego mają wszelkiego typu alimenty – bez względu na ich wysokość. Szczególnie popularne w latach 90-tych stało się obciążanie zarabiającego członka rodziny bardzo wysokimi świadczeniami, np. w kwocie 15 000 zł miesięcznie, na rzecz (formalnie byłej lub „*odseparowanej*” – ale w obu przypadkach faktycznie pozostającej we wspólnym pożyciu) żony, czy dziecka. Alimenty te nie były egzekwowane na bieżąco, co w ciągu kilku lat powodowało powstanie ogromnych zobowiązań powiększonych o ustawowe odsetki, nieopodatkowanych i mających pierwszeństwo przed jakimikolwiek innymi długami. Co więcej, ich dochodzenie nie wymagało ponoszenia żadnych kosztów. W chwili wszczęcia egzekucji przez wierzycieli zewnętrznych, uprawniona dołączała się do niej, a także korzystając z uprzywilejowanej pozycji zajmowała przyszłe zarobki dłużnika. Bez konieczności sztucznego obniżania wypłaty nielojalny kontrahent zagwarantował sobie pełną nietykalność pensji i aktualnie posiadanego majątku. Co więcej, kwota wolna od zajęcia na rzecz egzekucji alimentacyjnej jest dużo niższa od tej wyjętej spod „*normalnej*” egzekucji, więc znikало tym samym ryzyko zagarnięcia przez innych wierzycieli „*nadwyżki*” – tej bowiem brak. Minimalne wynagrodzenie może zostać w 60% zajęte na ten cel. Z przyczyn społecznych komornik nie ma też w Polsce prawa zająć pobieranych alimentów. Oznacza to, że nawet, gdyby osoba uprawnienia do świadczenia sama była zadłużona, należne jej z tego tytułu pieniądze nie będą mogły zostać odebrane na poczet egzekwowanych długów. Obieg zamknięty, obcym wstęp surowo wzbroniony.

W czasach rejonizacji komorniczej niezwykle utrudnione bywało wyegzekwowanie jakichkolwiek pieniędzy nawet od jawnie wypłacalnych osób, a szczególnie już, gdy wierzyciel pochodził z innej miejscowości niż dłużnik, a sama miejscowość nie liczyła zbyt wielu mieszkańców. Wówczas regionalna solidarność, wzajemne więzi towarzyskie, rodzinne lub biznesowe, w sposób oczywisty

wpływały na „*opieszalność*” postępowania i licznie popełniane w jego toku błędy. Od czasu zniesienia rejonizacji komorniczej prawidło to uległo znacznemu osłabieniu, a egzekucje prowadzone w małych gminach, lecz przez zamiejscowe kancelarie, przebiegać mogą bardzo sprawnie. Stąd też budowanie bliskich więzi z lokalnym komornikiem nie przyniesie już dłużnikowi większych korzyści.

Ze szczególnym problem borykają się właściciele udziałów w polskich spółkach, będących zarazem ich jedynym źródłem utrzymania. Choć nominalnie warte niewiele, mogą zapewniać wysokie dochody, zarówno bezpośrednie, w postaci udziału w zyskach, jak i pośrednie, czyli gwarantujące pełną władzę nad obsadzonymi stanowiskami i wysokością uposażeń kadry. Niejednokrotnie bowiem sama spółka nie przynosi zysku, lecz cały wypracowany dochód rozdysponowany zostaje pomiędzy pracowników, a więc krewnych i znajomych głównego udziałowca. Jednak i w takim przypadku możliwe jest zabezpieczenie interesów dłużnika. Odpowiednio skonstruowana umowa spółki umożliwia wstrzymanie sprzedaży zajętych udziałów, poprzez wymagane ku temu uzyskanie zgody pozostałych udziałowców. Wówczas spółka wskazać może innego niż wierzyciel, zaufanego nabywcę udziału bądź udziałów, niskim kosztem zachowując pełne władztwo nad formalnie kiepsko funkcjonującym przedsiębiorstwem.

Poza mocą sprawczą polskiego komornika znajduje się kontrola zagranicznych spółek prawa handlowego np. przytoczonych we wcześniejszych rozdziałach, zarejestrowanych na nominowanych udziałowców spółek brytyjskich LTD, podmiotów estońskich, rosyjskich, amerykańskich, czy cypryjskich. Pomijając znikomą możliwość weryfikacji osoby właściciela, to nawet przy jego jednoznacznej identyfikacji, przy wierzytelnościach niższych niż milionowe, komornik nie będzie zainteresowany wieloletnią, skazaną z góry na niepowodzenie, międzynarodową batalią. Jeśli zagraniczny podmiot operuje na polskim rynku, a jego jedynym udziałowcem jest

dłużnik, to tytuł wykonawczy względem dłużnika nie upoważnia do bezpośredniego zajęcia majątku spółki. Bazą tego jest wspomniana już konstrukcja instytucji osobowości prawnej. Dłużnik może być właścicielem podmiotu z osobowością prawną, lecz to, co należy do spółki, wchodzi w skład odrębnego majątku i nie należy już do dłużnika – nawet, jeśli z tych samych sprzętów korzysta „*pracując*” dla faktycznie podlegającej mu „*osoby*” prawnej. Nim, a raczej, jeśli w ogóle, wierzyciel skutecznie i kosztownie zajmie w odległym kraju, na gruncie właściwego jurysdykcyjnie prawa, udziały w spółce, dłużnik spokojnie przesunie jej majątek do kolejnego podmiotu zarejestrowanego w innym państwie. A brak rozszerzenia egzekucji na zagraniczny podmiot uniemożliwi zajęcie prowadzonych przez niego w Polsce kont bankowych, czy też zakupionego mienia. Nawet, jeżeli dłużnik piastuje funkcję prezesa zarządu lub polskiego oddziału, w myśl prawa jedynie zarządza mieniem osoby prawnej, a więc nie ponosi ona za jego zobowiązania żadnej odpowiedzialności. Stąd zadłużony po uszy bankrut do pracy dojeżdżać może bezkarnie ze służbowego apartamentu służbową limuzyną. Podobnie odprowadzanie uposażenia bezpośrednio z konta „*centrali*” na rachunek „*pracownika*”, założony również w banku poza Polską, stanowić będzie przeszkodę na drodze do egzekucji. Trudno legalnie wykryć, a co dopiero zająć, pensję przelewaną z brytyjskiego banku na prywatny rachunek w banku cypryjskim.

Jeśli pomimo spodziewanego sądowego nakazu zapłaty brak opcji skutecznego wyzbycia się prawa własności do nieruchomości, nadal można blokować jej spieniężenie na licytacji. Wystarczy uczynić budynek lub grunt szczególnie nieatrakcyjnym dla nabywcy lub piętrzyć przeszkody natury formalnej. Rynek przejawia małe zapotrzebowanie na nieruchomości ze współwłasnością wpisaną w księgę wieczystą oraz z lokatorami. Jeśli wartość domu oscyluje w granicach miliona zł, dłużnik posiada w nim 50% udziałów, a dodatkowo willę zamieszkuje wieloosobowa rodzina i niestary wujek

z prawem dożywocia, znalezienie chętnego na taki nabytek jest praktycznie niemożliwe. Zakup do celów inwestycyjnych, czyli późniejszej korzystnej odsprzedaży, jest zupełnie nielogiczny, gdyż nikt nie zapłaci kilkuset tysięcy zł, by zostać współlokatorem zapewne mało życzliwej nabywcy licznej grupy obcych ludzi. Zwłaszcza, że w czasie okazywania lokalu potencjalnym kupcom urządzić można głośnego grilla dla krewnych i znajomych, z niewymagającą intelektualnego zacięcia muzyką, odpowiednio „kulturalną” i pełną decybeli dyskusją o polityce lub piłę nożnej oraz degustacją wina marki wino. Kupując dom oczekuje się przecież spokoju i prywatności, a tego współwłaściciele wcale nie muszą gwarantować. Z tego samego powodu odpada zakup w celu zmiany charakteru nieruchomości np. na gospodarczą, gdyż temu skutecznie może sprzeciwić się współwłaściciel, a na pewno już nie będzie on wspierał „corporate image” inwestora.

W przypadku mniejszej wartości nieruchomości, np. 2-3 pokojowych mieszkań albo skromnych domków, gdy dłużnicy nie posiadają innego miejsca do zamieszkania, zakup lokalu z lokatorami również pozostaje chybionym pomysłem. Usunięcie mieszkańców wymaga zapewnienia lokalu zastępczego lub socjalnego spełniającego określone normy – m.in. położonego w tej samej miejscowości i metrażem właściwego do ilości usuwanych mieszkańców. O ile lokalem zastępczym może być np. wynajęty pokój w hotelu robotniczym, to jednak pewnym kategoriom osób przynależy, na mocy ustawy o ochronie praw lokatorów, lokal socjalny przyznawany w treści wyroku o eksmisji. Sąd nie może orzec o braku uprawnienia do otrzymania lokalu socjalnego wobec kobiet w ciąży, małoletniego (do 18 roku życia), niepełnosprawnego lub ubezwłasnowolnionego oraz sprawującego nad taką osobą opiekę i wspólnie z nią zamieszkującego, obłożnie chorych, emerytów i rencistów spełniających kryteria do otrzymywania świadczenia z pomocy społecznej oraz osób posiadających status bezrobotnego.

Uznaniowo sąd może przyznać tego typu zabezpieczenie egzystencji także innym eksmitowanym dłużnikom. Jeśli mamy do czynienia z czteroosobową rodziną w Warszawie, wówczas zakup mieszkania na licytacji oraz zapewnienie we własnym zakresie lokalu socjalnego, odpowiedniego do tego przyznanego wyrokiem, przewyższa koszt analogicznej inwestycji na wolnym rynku. W praktyce nie należy bowiem liczyć na udostępnienie mieszkania przez gminę. Miasta, w których metr powierzchni kosztuje wiele tysięcy zł, nie mogą sobie pozwolić na obciążenie budżetu takim wydatkiem. Podobnie w przypadku bardzo małych i biednych gmin, gdzie faktycznie nie prowadzi się żadnych inwestycji budowlanych, a zasób mieszkań i domów idealnie odpowiada liczbie mieszkańców. Brak wówczas nawet nie tylko środków, ale i możliwości nabycia lokali na cele socjalne, a organizacja takiego lokum zastępczego staje się ogromnym problemem. Usunięcie zaś przemocą skutkować będzie odpowiedzialnością karną wierzyciela, a dodatkowo wysunięte powództwo o ochronę posiadania zostanie uwzględnione przez sąd i dłużnik będzie mógł się na powrót wprowadzić. Możliwość dochodzenia odszkodowania od gminy, należnego z tytułu braku udostępnienia mieszkań socjalnych, też nie stanowi atrakcyjnej alternatywy dla innej lokaty kapitału. Poważny inwestor takie „okazje” będzie więc omijał szerokim łukiem.

Kolejny patent chroniący nieruchomość przed przyszłą licytacją, to zabezpieczenie nią innej, oczywiście kontrolowanej, wierzytelności. W przypadku dokonania sprzedaży budynku lub gruntu obciążonego wpisem w księdze wieczystej, uzyskane przez komornika środki w pierwszej kolejności zaspokoją właśnie zobowiązania wynikające z hipoteki. Ona bowiem statuuje pierwszeństwo, nawet jeśli wierzyciel za wpis odpowiedzialny nie był wnioskodawcą egzekucji. Wysokość długu przekraczająca wartość rynkową gwarantuje, że niemal cała uzyskana kwota, po odliczeniu kosztów przeprowadzenia egzekucji i straty z tytułu

sprzedaży komorniczej, wróci okreśną drogą do dawnego właściciela nieruchomości. Co istotne, spłata wierzycieli hipotecznych jest dokonywana według kolejności wpisów, stąd wcześniejsze umieszczenie w księdze wieczystej „własnej” wierzytelności zabezpiecza przed skuteczną egzekucją prawdziwego, lecz dopisanego później, długu. Rozsądny wierzyciel, świadomy braku możliwości odzyskania tą drogą jakichkolwiek pieniędzy, zrezygnuje ze znacznych wydatków na prawnika, sporządzenie przez rzeczoznawcę operatu szacunkowego nieruchomości, publikację ogłoszeń o licytacji i koszty jej przeprowadzenia. Strata ogromnej ilości czasu byłaby jedynie gorzkim dopełnieniem finansowej pustki.

Szczególną formą unikania eliminacji przedsiębiorstwa z rynku w drodze upadłości jest utrzymywanie zerowego stanu posiadania. Tak spółka, jak i samodzielny przedsiębiorca, mogą podlegać tej szczególnej formie likwidacji, jeśli ich majątek zezwala na pokrycie kosztów procedury, czyli m.in. na uregulowanie opłat sądowych i wynagrodzenie syndyka. Nawet więc, gdy dłużnik obciążony będzie niespłacalnymi dziesiątkami milionów zł, ale zarazem nie będzie wykazywał żadnego majątku lub będzie on znikomy, nie dojdzie do przeprowadzenia upadłości. W ten sposób, dawno już po przekroczeniu granicy uzasadniającej wykreślenie bankruta z KRS-u, możliwe jest dalsze i stosunkowo bezpieczne prowadzenie działalności gospodarczej. Każdy bieżący dochód rozdysponowany zostaje na objęcie pierwszeństwem wypłaty „pracownicze”, natomiast zrażeni wierzyciele, jak i komornicy, nie monitorują na bieżąco stanu dłużnika. Nowi kontrahenci, oczekujący zapłaty za dostarczone towary lub wykonane usługi, szybko zasilają szeregi sfrustrowanych przegrańców. A klienci? Cóż... Oni nawet nie zauważą, że podmiot trapią jakiegokolwiek problemy finansowe...

Rozdział X

Jak kraść i nie dać się złapać

Nawet, gdy zachowane zostaną wszelkie formy ostrożności, zawsze pozostaje ryzyko wszczęcia postępowania karnego. Wynikać ono może z nadgorliwości organów ścigania, zaangażowania mediów w nagłośnienie afery, prywatnych powiązań funkcjonariuszy państwowych z osobami pokrzywdzonymi lub też z dobrze przygotowanego doniesienia o popełnieniu przestępstwa, wspartego materiałem dowodowym zabezpieczonym przez doświadczonego w tej materii detektywa lub windykatorkę. Może więc nadejść dzień, w którym biura spółek kapitałowych lub prywatne mieszkanie przedsiębiorcy odwiedzą policjanci z dochodzeniówki, albo nawet śledczy z ABW. Polskie prawo nie pozbawia jednak nikogo możliwości obrony... Ciebie też nie, drogi Czytelniku.

Jak przedstawiono w II rozdziale, niezwykle trudno jest postawić zarzut oszustwa w materii gospodarczej, a nawet w przypadku oskarżenia o ten czyn karalny łatwo obalić można chociaż jedno ze znamion przestępstwa i uczynić sprawę sporem o charakterze cywilnym. Podstawą do umorzenia śledztwa jest np. brak dowodów na działanie planowane. Oznacza to, iż wykazanie choć znikomej dobrej woli i chęci prawidłowego rozliczenia, czyni oskarżenie o oszustwo niemożliwym. Za czynniki takie uznać należy m.in. udział w sporze cywilnym, spłatę choć śladowej kwoty zadłużenia lub paradoksalnie brak kwestionowania zasadności należnego roszczenia (w przypadku np. nieopłaconych faktur VAT). O ile w czynach kryminalnych czynnikiem kluczowym jest działanie w celu osiągnięcia korzyści majątkowej, o tyle w materii gospodarczej

absolutnie każdy podmiot jako priorytet swej misji czyni pomnażanie środków finansowych. To, co przy groszowych kwotach przesądza o winie, przy setkach tysięcy i milionach zł dowodzi uczciwości i zaradności. A więc nie płacę – *bo nie mam pieniędzy, kwestionuję wysokość świadczenia lub jakość realizacji umowy*, a nie dlatego, że od początku planowałem nie zapłacić. Rozsądny człowiek powie: skoro dłużnik nie oddał pieniędzy, to znaczy, że wprowadził kontrahenta w błąd, a więc oszukał. Jednak prawo zawsze pokona logikę, tak jest i w tym przypadku – *nie płacę, bo chcę zapłacić, ale...* Głupie, prawda? **A w Polsce działa.**

Jak będąc świadkiem uniknąć składania zeznań?

Dociekliwi funkcjonariusze niemal nigdy nie przesłuchują nikogo w charakterze podejrzanego, gdyż status ten już na starcie umożliwia uchylenie się od odpowiedzi na wszelkie pytania. O wiele korzystniejsze, z uwagi na taktykę przesłuchania w postępowaniu przygotowawczym, jest wzywanie wszystkich w charakterze świadków. Nawet, jeśli później zeznania te nie będą stanowiły dowodu w sądzie, przyszły oskarżony ujawnić może stan faktyczny lub informacje, które w inny sposób przełożone zostaną przez śledczych na materiał dowody, a także wskażą, o co pytać należy innych świadków oraz pokrzywdzonego. W tym zaś gronie słabymi ogniwami są figuranci i poboczni asystenci, jedynie współdziałający w procedurze. Nie mają silnej motywacji do stawiania oporu władzy, gdyż nie są głównymi beneficjentami a za swe usługi otrzymują stosunkowo niskie wynagrodzenie – *jaka rola, taka dola*. Z tego też powodu przesłuchiwanie w charakterze świadka, czyli pod groźbą odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań, zazwyczaj nie zataja prawd, a jeśli nawet, niejednokrotnie czynią to w sposób nieporadny i nielogiczny, łatwy do zakwestionowania w

świecie innych dowodów lub konfrontacji z innymi osobami. Pod presją prokuratora lub policjantów składają niekiedy podpisy pod nieprecyzyjnym zapisem własnych wypowiedzi, a odpowiadającym w treści oczekiwaniom oskarżyciela publicznego. Myślą, że tak trzeba. Natomiast ten, kto próbuje stawiać bierny opór, informowany jest o odpowiedzialności karnej za utrudnianie śledztwa i bezpodstawną odmowę zeznań. Tak zastraszony świadek najpewniej nie wytrzyma presji przesłuchania i prędzej, czy później, zacznie „spać”. Wbrew jednak pozorom, **w Polsce każdy może zawsze odmówić składania zeznań** i nie sposób wyciągnąć z tego tytułu absolutnie **żadnych** konsekwencji na drodze karnej.

Świadek ma, teoretycznie zawsze, obowiązek współpracy z organami ścigania i zgodnego z prawdą przytaczania okoliczności, o które jest w czasie przesłuchania pytany. Samo otwarcie protokołu rozpoczyna pouczenie o odpowiedzialności karnej w przypadku złożenia fałszywych zeznań lub zatajenia prawdy, co ludzi mniej odpornych psychicznie już pozbawia całej lojalności względem podejrzanego, nawet jeśli jest nim bliski współnik. A niesłusznie.

Przepisy prawa karnego wprost zezwalają świadkowi na odmowę złożenia zeznań tylko w dwóch przypadkach: art. 182 § 1 Kodeksu postępowania karnego umożliwia takie kategoryczne stanowisko osobie najbliższej dla oskarżonego. Zgodnie z art. 115 § 11 Kodeksu karnego do tego, wbrew pozorom niejednoosobowego, kręgu należy małżonek, wstępny, zstępny, rodzeństwo, powinowaty w tej samej linii lub stopniu, osoba pozostająca w stosunku przysposobienia oraz jej małżonek, a także osoba pozostająca we wspólnym pożyciu, a więc w szerokim znaczeniu konkubina lub konkubent. Prawo odmowy zeznań trwa mimo ustania małżeństwa lub przysposobienia, a także przysługuje świadkowi, który w innej toczącej się sprawie jest oskarżony o współudział w przestępstwie objętym postępowaniem. Niestety, kategoria ta nie obejmuje byłych

konkubentów. Drugim przepisem pozostaje art. 185 kpk, wprowadzający co prawda pewną uznaniowość, lecz umożliwiający zwolnienie od obowiązku złożenia jakichkolwiek zeznań w sprawie lub udzielenia odpowiedzi na pytania dotyczące osoby pozostającej ze świadkiem w szczególnie bliskim stosunku osobistym. Judykatura i doktryna objęły tą kategorią relacje wykraczające poza zwyczajny stosunek towarzyski, a charakteryzujące się silną więzią emocjonalną lub uczuciową, co w przypadku składania obciążających zeznań skutkowałoby wewnętrznym konfliktem w sumieniu świadka. Czynniki decydującymi może być utrzymywanie stałych kontaktów seksualnych, posiadanie wspólnych planów życiowych (narzeczeństwo) lub wspólnego potomstwa, a na przeszkodzie ku temu nie stoi inny, sformalizowany związek świadka.

Z perspektywy niniejszego opracowania ważniejszy od powyższych staje się jednak zapis art. 183 § 1 kpk, który przyznaje uprawnienie absolutnie każdemu świadkowi – także zupełnie obcemu – nie do odstąpienia od ogółu zeznań, ale od poszczególnych pytań, jeśli tylko udzielenie na nie odpowiedzi mogłoby narazić jego samego lub osobę dla niego najbliższą na odpowiedzialność za przestępstwo lub przestępstwo skarbowe.

Art. 183. § 1 kpk: Świadek może uchylić się od odpowiedzi na pytanie, jeżeli udzielenie odpowiedzi mogłoby narazić jego lub osobę dla niego najbliższą na odpowiedzialność za przestępstwo lub przestępstwo skarbowe.

Co niezmiernie ważne: odpowiedź na zadane pytanie nie musi dotyczyć tego konkretnego czynu karalnego, w związku z którym prowadzone jest przesłuchanie, a może jakiegokolwiek innego, także nieobjętego dotąd postępowaniem karnym i niełączonego z osobą świadka lub jego najbliższymi. Zgodnie z orzecznictwem sądów, z Sądem Najwyższym włącznie, nie wolno żądać od świadka, by

udowadniał lub uprawdopodobniał, iż dane pytanie rzeczywiście pociąga za sobą wskazane zagrożenie, gdyż tym samym świadek musiałby już na wstępie sam siebie lub swych bliskich obwinić, czym przecież właśnie ujawniłby szczegóły przestępstwa lub przestępstwa skarbowego. Wykładnia taka byłaby automatycznym zaprzeczeniem przyznanemu wprost treścią art. 183 § 1 kpk uprawnieniu. Prawo do obrony oraz milczenia i bezpośrednio z nimi związana wolność od obowiązku samooskarżania stanowi jedno z podstawowych praw w polskim postępowaniu karnym, a wynika m.in. z art. 42 ust. 2 Konstytucji RP, art. 6 ust. 1 Europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności, art. 14 ust. 3 lit. g Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych oraz art. 6, 74 i 175 kpk. Wykładnia systemowa uniemożliwia więc pociągnięcie do odpowiedzialności karnej świadka odmawiającego odpowiedzi na zadane pytanie, jeśli zaniechanie takie motywowane jest w opisany sposób. Nie ma również obowiązku wskazywania, czy zagrożenie odpowiedzialnością karną dotyczy samego świadka, czy też jego bliskich i których dokładnie. Dopytywanie ze strony śledczych komu zaszkodzić może odpowiedź, często prezentowane w telewizyjnych serialach kryminalnych, jest więc oczywiście bezprawne, podobnie jak przekonywanie, że ryzyko związane z odpowiedzią nie istnieje. Wystarczy więc, że świadek powoła się na taką okoliczność, a prowadzący przesłuchanie przejść powinien do następnego pytania lub w przypadku braku dalszych zagadnień przesłuchanie zakończyć. Wcześniej jednak odnotowując w protokole przedstawiony przez świadka powód braku udzielenia odpowiedzi.

Co ważne, prawo do odmowy odpowiedzi na konkretne pytanie przysługuje nie tylko w przypadku tych wprost dotyczących czynu karalnego, czyli np.: „*kto ukradł pieniądze?*”. Nawet pozornie niewinna kwestia, jak np. kolor pojazdu użytkowanego przez pewną

osobę lub tożsamość uczestników danego spotkania, może być w toku innego postępowania karnego kluczowa dla udowodnienia winy sprawcy, którym to pozostaje świadek albo osoba dla niego najbliższa. Prowadzący przesłuchanie policjant lub prokurator nie mogą bowiem wiedzieć, czy w danym czasie lub miejscu nie popełniono innego przestępstwa, w którym brać mogły udział osoby najbliższe dla świadka, a ujawnienie tychże okoliczności mogłoby doprowadzić później do ich zatrzymania i skazania. Również jedynie subiektywne przekonanie świadka o tym, że takie okoliczności wystąpiły, choć w istocie nie miały one miejsca, nie kryminalizuje jego stanowiska. Użyty w treści przepisu zwrot „*mogłoby narazić*” wskazuje, że zagrożenie takie nie musi być pewne, a jedynie prawdopodobne i zgodne z interpretacją świadka dokonaną poprzez pryzmat stanu jego wiedzy. A przecież nie musi on przejawiać dogłębnej znajomości arkan prawa karnego, w tym orzecznictwa, czy chociażby kontratypów, ani też znać dalszych okoliczności stanu faktycznego, a właśnie od tak wszechstronnej analizy danego zdarzenia zależy dopiero utożsamienie czynu z przestępstwem i związaną z tym odpowiedzialnością. Zwolnienie od obowiązku odpowiedzi na dane pytanie zależne jest więc od subiektywnej oceny związku pytania z, często nieznanymi prowadzącemu przesłuchanie, wydarzeniami i osobami. Wszelkie „*przekonywanie*”, że dane pytanie z pewnością nie może narazić nikogo na odpowiedzialność karną, stanowi naruszenie praw osoby przesłuchiwanej i nie powinno mieć miejsca.

W praktyce świadek często będzie poddawany w różny sposób naciskowi, by jednak wyjawiał prawdę, a standardowym orężem będzie tutaj art. 233 kk, przewidujący za składanie fałszywych zeznań lub zatajanie prawdy karę do 3 lat więzienia. Nie należy się tym przejmować. Czym innym jest bowiem zeznanie nieprawdy gdy jest się osobą zupełnie postronną, czym innym, gdy sprawcą lub

współsprawcą czynu karalnego, a jeszcze inną okolicznością jest poinformowanie organu procesowego o obawie narażenia daną odpowiedzią siebie lub osoby najbliższej na odpowiedzialność karną. Jedynie w tym pierwszym przypadku zaistnieje bowiem przestępstwo krzywoprzysięstwa. W sytuacji, gdy świadek już powołał się na art. 183 § 1 kpk, dalsza groźba oskarżenia o popełnienie tego występku interpretowana być może sama w sobie jako przestępstwo ścigane z art. 245 kk:

Kto używa przemocy lub groźby bezprawnej w celu wywarcia wpływu na świadka, biegłego, tłumacza, oskarżyciela albo oskarżonego lub w związku z tym narusza jego nietykalność cielesną podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5.

W praktyce jednak niezwykle rzadko należy powoływać się na przytoczone przestępstwo, co najwyżej w pismach procesowych prezentujących linię obrony lub w ramach próby odsunięcia nazbyt dociekliwego śledczego od dalszego udziału w czynnościach. Nie stanowi przecież celu wzbudzenie w policjancie lub prokuratorze gniewu i prywatnej antypatii, a jedynie przekonanie go do dobrowolnego umorzenia postępowania. To zaś najłatwiej uzyskać odgrywając niekonfliktową ciapę, konsekwentnie, z uporem maniaka powtarzającą, że boi się odpowiedzieć na to pytanie, bo „*wie Pan(i), są rzeczy, o których lepiej nie mówić, bo to nie po Bożemu bliskich i siebie obwiniać, i adwokat mi tak radził, a to mądry człowiek jest...*”. Jeśli tylko świadek zachowa umiar w uchylaniu się od odpowiedzi na pytania i nie będzie w ten sposób próbował uniknąć wszystkich, to wówczas na pewno nie zazna z tego powodu żadnego uszczerbku i nie wzbudzi swym zachowaniem niechęci. A co najważniejsze – nie pogrąży swego kontrahenta. Tego asa z rękawa nie można zmarnować na poboczne, nieistotne wątki, gdzie prawda nikomu nie zaszkodzi, a na strategiczne, w których fałszywe zeznanie może

zostać łatwo obalone, zaś utworzona biała plama w materiale dowodowym uniemożliwi postawienie podejrzanemu zarzutów.

Nikt też nigdy nie skazał żadnego świadka za brak udzielenia odpowiedzi, jeśli ten konsekwentnie i **wiarygodnie** twierdził, że zwyczajnie nie pamięta danych okoliczności. Nie jest bowiem możliwe, by w drodze procesowej udowodnić komukolwiek, co kryją zakamarki jego pamięci. Nawet w przypadku niezwykle znamiennych wydarzeń, możliwe jest, np. spowodowane stresem, znane psychologii zjawisko wyparcia wspomnienia, zepchnięcia go poza ramy świadomości. Ma to szczególne znaczenie praktyczne w przypadku spraw kryminalnych, gdy zaistnieniu przestępstwa towarzyszyły intensywne emocje. Natomiast, w materii gospodarczej droga od miejsca zdarzenia na salę sądową zazwyczaj wiedzie co najmniej przez jeden, a nierzadko wiele więcej kalendarzy, a to bardzo deformuje i zakrywa mgłą wspomnienia. Aktywny przedsiębiorca odbywający setki spotkań i realizujący wiele kontraktów nie może przecież pamiętać wszystkiego, więc trudno winić świadka za odpowiedź o treści: *nie pamiętam dokładnie tamtych wydarzeń, minęło od nich już dużo czasu a ja nie chciałbym nikogo fałszywie oskarżyć, ani wybielić*. Ponownie, jeśli tylko świadek nie będzie w ten sposób kwitował oczywistości, typu: *kim jest Pana wspólnik / żona?*, ani nie będzie kurtyną niepamięci zakrywał dziesiątek istotnych wydarzeń a jedynie niektóre z nich, to sąd nie dopatry się w tym celowego zatajania prawdy. Złaszcza, jeśli przy innych pytaniach, oczywiście przemawiających na korzyść oskarżonego/podejrzanego, świadek ten wykaże się stosunkowo dobrą, nawet jeśli odrobinę „zamgloną” co do szczegółów pamięcią. Ludzki umysł jest już tak skonstruowany, że ważne dla niego rzeczy pamięta dłużej i dokładniej, a nieistotne wyrzuca na śmietnik. Nie wolno jedynie przyjmować wyzywającej, konfrontacyjnej postawy. Ani organa ścigania, ani sąd, nigdy nie są wrogami takiego świadka,

a jest nim jedynie rzekomo „pokrzywdzony” szukający dziury w całym i przeszkadzający w uczciwym prowadzeniu interesów.

Na marginesie wyjaśnić trzeba ostatnią kwestię, czyli karę grożącą za zupełną odmowę zeznań. W powszechnym mniemaniu jest ona utożsamiana z zatajeniem prawdy i również feralnym art. 233 kk. Oczywiście niesłusznie. Uchwała składu siedmiu sędziów Sądu Najwyższego z dnia 22 stycznia 2003 roku (sygn. akt I KZP39/02) sprecyzowała, że bezpodstawne uchylenie się od złożenia zeznania nie jest „zatajeniem prawdy”. Czyn ten popełnia jedynie świadek składający zeznania po uprzedzeniu go o odpowiedzialności karnej, który bez żadnych ku temu podstaw zachowuje w tajemnicy jedynie określone okoliczności opisywanego zdarzenia przy jednoczesnym ujawnieniu pozostałych. Nawet złożenie krótkiego i pozornie jałowego oświadczenia w treści np. „*nic w przedmiotowej sprawie nie wiem*”, stanowi konkretne zeznanie. Natomiast bezpośrednio wyrażona deklaracja odmowy złożenia jakichkolwiek zeznań powoduje zupełne brak przekazania informacji o faktach podlegających udowodnieniu w konkretnej sprawie. Tym samym wyjmuje zaniechanie świadka spod kryminalizacji, nie dochodzi bowiem do podstawowego warunku zaistnienia czynu karalnego w postaci „*składania zeznania*”. Ponownie okazuje się, że najciemniej pod latarnią. Z uwagi jednak na zupełny brak kształtowania materiału dowodowego niezłożonymi zeznaniami odstąpienie od nich w opisanej formie oczywiście nie jest polecane, zwłaszcza, że wiązać się może z nałożeniem kary porządkowej w wysokości do 3000 zł lub do 30 dni aresztu. Dolegliwość tych konsekwencji jest jednak znikoma w konfrontacji z zyskami, takimi jak uchronienie niekiedy milionowych kwot oraz uniknięcie kilkuletniego wyroku.

Jak widać na opisanych powyżej przykładach, obowiązek składania zeznań jest – jak niemal wszystko w polskim prawie – iluzoryczny, a uniknąć tej przykrej konieczności można na wiele

skutecznych sposobów. Oczywiście zazwyczaj zupełnie bezkarnie. Wszelkiego typu podpisywane oświadczenia i pouczenia o grożących karach to tylko straszak nabity kapiszonami, mający złać świadków zbyt biednych na najęcie skutecznego prawnika. Porady tej treści serwowane są znanym politykom, wpływowym gangsterom i najbogatszym biznesmenom przez najdroższych adwokatów. Szeptem – pod klauzulą największej tajemnicy palestry. Ty, drogi Czytelniku, poznałeś je za cenę zakupu niniejszej książki.

Jak kłamać i mieszać będąc podejrzanym?

Nie zawsze warto unikać składania zeznań lub wyjaśnień, bardzo często wystarczy bowiem przedstawić własną wersję wydarzeń, by doprowadzić do umorzenia śledztwa. Złotą regułą pozostaje wysoka zawartość prawdy w kłamstwie. Skuteczne jest kłamstwo, którego nie sposób obalić w wyniku konfrontacji z dowodami i faktami powszechnie znanymi. Układając scenariusz obrony wszelkie „nitki” twierdzeń rozmieścić należy pomiędzy żelaznymi elementami materiału dowodowego – najlepiej tego zabezpieczonego przez organa ścigania oraz dostarczonego przez pokrzywdzonego. Zgodnie ze starą sztuką infiltracji, legenda szpiega pozostaje wtedy wiarygodna, gdy w 90% składa się z prawdy. Fakty łatwo udowodnić, ich intencję i interpretację już nie. Zaprzeczając obecności w miejscu X łatwo zostaniemy uznani za kłamców, gdy istotnie tam byliśmy i wskazują na to liczne dowody, np. zeznania świadków, zalogowanie komórki do lokalnej stacji przekąnikowej, nagrania monitoringu miejskiego, czy otrzymany na danej ulicy tego samego dnia mandat za złe parkowanie. Przyznając się do odwiedzenia danej lokacji, lecz wskazując inny, racjonalny powód pobytu, wskazujemy okoliczność niezwykle trudną do podważenia. Dlatego zawsze przedstawiając swą wersję wydarzeń opierać się należy na zgodności z głównymi twierdzeniami przeciwnika i

zabezpieczonymi dowodami. Gdy nie można dowieść fałszywości wyjaśnień, na korzyść oskarżonego rozstrzygnąć trzeba wszelkie uzasadnione wątpliwości, a udowodnienie celowego działania stanowi podstawę odpowiedzialności karnej w przypadku wszelkich oszustw... Kategorycznie potwierdzają Czytelniku, ale zaprzeczają.

Co jednak zrobić, jeśli istnieją okoliczności bezspornie świadczące o złej woli? Należy za nie... przeprosić, podkreślić brak świadomości przytoczonych przez drugą stronę okoliczności lub ich znaczenia dla sprawy i obiecać wyrównanie szkody, jednocześnie krytykując podjęte działania na drodze karnej, skoro w zupełności wystarczające miałyby być zawezwanie do próby ugodowej i większe zaangażowanie w rozmowy polubowne. Jednocześnie z tą deklaracją należy przelać część zobowiązania na rachunek bankowy wierzyciela, jako gest dobrej woli i oczywiście poinformować o tym organa prowadzące postępowanie. O ile same wyjaśnienia i zachowanie sprawcy nie zostaną uznane za wystarczający dowód braku winy, na pewno okoliczności te zostaną potraktowane przez sąd jako podstawa wydania wyroku w zawieszeniu, nadzwyczajnego złagodzenia kary lub warunkowego umorzenia postępowania.

Zaciemnienie zamkniętego obiegu kapitału uzyskać można poprzez przerwanie krajowego łańcucha transakcji podmiotami zagranicznymi, gwarantującymi pełną anonimowość właścicieli. O ile konfrontacja akt pięciu spółek z o.o. powołanych na prawie polskim natychmiast ujawni powiązania osobowe i kapitałowe, o tyle przegrodzenie powiązań podmiotami z np. Indii, nawet należącymi do tych samych osób, uniemożliwi takie ustalenia. Brak publicznie dostępnych rejestrów, a niekiedy nawet obowiązku prowadzenia księgowości i audytu, emisja akcji lub udziałów na okaziciela oraz niezawarte z państwami trzecimi umowy międzypaństwowe o wymianie informacji podatkowych wykluczą dowiedzenie powiązań osobowych lub kapitałowych. Mało kto wie, że do kategorii „rajów

podatkowych” zapewniających pełną poufność udziałowców zalicza się również, w pełni wiarygodny na arenie międzynarodowej i niekwestionowany przez europejskie urzędy, stan Delaware z Ameryki Północnej. Dane dyrektorów tamtejszych spółek Limited Liability Company nie podlegają ujawnieniu w żadnych publicznie dostępnych rejestrach, a rolę wspólnika objąć może podmiot gospodarczy z innego kraju. O ile udziały w pełni honorowanej w Polsce spółce brytyjskiej posiada spółka amerykańska, ta zaś należy do osoby prawnej z Malezji powołanej przez inwestora z Kostaryki lub Monako, ustalenie końcowego beneficjenta i zarazem mocodawcy staje się znacznie utrudnione, a zwykle wręcz niemożliwe. Zwłaszcza, gdy na końcu łańcucha dociekliwy śledczy znajdzie spółkę z Panamy lub Zjednoczonych Emiratów Arabskich, których właścicielem jest nierejestrowany w aktach posiadacz akcji na okaziciela... W wielu jurysdykcjach podatkowych skorzystać można też z instytucji powierniczych dyrektorów i powierniczych udziałowców. Oznacza to, iż obowiązek ujawnienia w rejestrach danych osobowych w praktyce nie znajduje zastosowania, gdyż scedowany zostaje na personalia najętego do tego celu lokalnego prawnika, związanego dyspozycjami swego mocodawcy. Za wyjątkiem wielkich afer gospodarczych i politycznych żaden polski prokurator nie będzie dysponował czasem, ani możliwościami rozsypywania takiego wielostopniowego węża gordyjskiego i ustalenia, kto tak naprawdę za danymi spółkami stoi. Równie trudno uzyskać od ich osób funkcyjnych jakiegokolwiek zeznania obciążające polskiego przedsiębiorcę, gdyż ich dane podlegają albo utajnieniu, albo też są oni jako prawnicy chronieni niewzruszalną tajemnicą zawodową. Znaczną przeszkodę stanowi również konieczność podejmowania czynności z udziałem ministerstw spraw zagranicznych obu państw, co zapewnia, poprzez długotrwałe, biurokratyczny obieg dokumentów i często kolizyjne unormowania

prawne, dostateczną przestrzeń do sprzedaży lub likwidacji spółek, spieniężenia środków trwałych, likwidacji rachunków bankowych oraz wszelkich innych czynności zamazujących obraz działalności i utrudniających pozyskanie wartościowych wiadomości przez stronę polską. Warunkiem zaistnienia wielu przestępstw, m.in. oszustw lub czynów z ustawy Prawo Autorskie, pozostaje działanie w celu osiągnięcia korzyści majątkowej. Gdy proceder rozmyty jest pomiędzy liczne podmioty, a faktu uzyskania przez beneficjentów korzyści nie sposób dowieść, podobnie jak i ich imiennie zidentyfikować, przesłanka przestępstwa może nie zostać dowiedziona, podobnie jak tajemnicą zostanie rzeczywisty charakter weryfikowanych transakcji. Przesłuchanie w charakterze świadków kontrahentów polskiego podejrzanego okaże się wtedy również niemożliwe. Jeśli zaś ciężar czynu karalnego przerzucony zostanie na zagranicznych kontrahentów, których tożsamość lub miejsce pobytu nie będą znane polskim organom ścigania, a zabraknie perspektyw zmiany tego stanu rzeczy, to jako długotrwała przeszkoda uniemożliwiająca prowadzenie postępowania najpewniej przyniesie jego zawieszenie do czasu jej przeminięcia, czyli na zawsze. Merytoryczne rozstrzygnięcie sprawy staje się niemożliwe, a przeszkodą do wymierzenia kary będzie przedawnienie.

Ochrona komunikacji pisemnej i kryptografia

Jednym z podstawowych dowodów w postępowaniu karnym dotyczącym przestępczości gospodarczej jest zwykle zabezpieczona korespondencja między współnikami, nagrane rozmowy lub przejęte w trakcie przeszukań notatki. Tajemnica korespondencji może zostać złamana w przypadku uzyskania sądowego nakazu kontroli poczty, w tym poczty elektronicznej. Odczytanie treści tej ostatniej możliwe jest na wielu różnych etapach: poprzez nasłuch komputera nadawcy lub adresata wiadomości (skaner wi-fi, programy szpiegujące typu

trojan lub keylogger, keyloggery sprzętowe etc.), przejęcie jej w trakcie transmisji danych lub też uzyskanie kopii korespondencji od podmiotu świadczącego usługi poczty elektronicznej. Od tego ostatniego zagrożenia – a w praktyce działań europejskich organów ścigania głównego – łatwo można się uchronić korzystając z serwerów pocztowych zlokalizowanych na terytorium państw niesympatyzujących z Polską. Nikt jeszcze nigdy nie uzyskał przy pomocy dyspozycji polskiego sądu lub prokuratury kopii maili przechowywanych i nadawanych z poziomu np. rosyjskiej domeny „mail.ru”. Również południowoamerykańskie, arabskie i azjatyckie serwisy nie palą się do okrycia w sieci łątką donosicieli. Zupełnie inaczej wygląda sytuacja podmiotów operujących na rynkach kulturowego kręgu tzw. Cywilizacji Zachodu, czyli Europy Środkowej i Zachodniej, Ameryki Północnej oraz Oceanii. W chwili przedstawienia odpowiedniego dokumentu uprawniającego władze do kontroli skrzynki pocztowej, dostęp taki zostanie natychmiast umożliwiony, łącznie ze wskazaniem numerów ip logujących się do danego konta komputerów oraz innych gromadzonych na temat użytkownika danych. Nawet Google, w ramach współpracy z chińskim reżimem, chętnie ujawnił dane identyfikujące tamtejszych internautów, poszukujących w sieci „*antychińskich publikacji*”, co naraziło ich na prześladowania ze strony komunistycznych władz z torturami i wyrokami śmierci włącznie. Nie liczymy więc na dyskrecję „*zachodnich*” podmiotów, a zdajmy się na te z obszarów teoretycznie mniej humanitarnych i życzliwych naszym przywódcom politycznym. Dobór lokalizacji serwerów pocztowych nie zagwarantuje jednak pełnej tajemnicy przesyłek. Niezbędne do tego pozostaje również zaszyfrowanie treści maili, do czego wrócimy kilka akapitów dalej.

Przy prowadzeniu interesów na szeroką skalę nie sposób pamiętać wszelkich planowanych operacji, danych rejestrowych

posiadanych na figurantów spółek krajowych i off-shore, rachunków bankowych, nieruchomości, wierzytelności, terminów umówionych spotkań, haseł, nazwisk i adresów klientów oraz współpracowników, czy też dyrektorów nominowanych i „życzliwych” urzędników państwowych wraz z cennikami tej życzliwości. Prowadzenie staromodnego, papierowego notesu naraża jednak na jego kradzież, zagubienie lub przejęcie przez Policję, albo co gorsza konkurencję, co skutkowałoby ujawnieniem wszelkich kontaktów przedsiębiorcy oraz otwarło drogę do zabezpieczenia obciążających dowodów. Lektura prywatnych notatek jak na dłoni ukazać może całą misternie tkaną pajęczynę powiązań, a tym samym ujawnić sposób i cel działania. Podobnie nie można dopuścić do sytuacji, gdy w książce telefonicznej smartfona zapisane są obok siebie numery prokuratora, gangstera, radnego, posła, kilku „słupów” i ofiar przekrętów. Jednokrotne doprowadzenie spółki do bankructwa z transferem jej majątku na rzecz wierzyciela Jana Kowalskiego stanowi zwyczajną, powszechnie akceptowaną konsekwencję ryzyka gospodarczego. Jeśli jednak wciąż dochodzi do upadłości kolejnych spółek, kolejne osoby tracą z tego powodu pokaźne sumy, a te wciąż trafiają do tego samego beneficjenta o inicjałach „J.K.”, wówczas postawienie zarzutów staje się bardzo prawdopodobne. Nawet, jeśli spółki te były powoływane na figurantów. Najgorsze więc, co może spotkać kreatywnego przedsiębiorcę, to udowodniony, powtarzający się modus operandi i zamknięty obieg pieniądza. Prawdziwe zaś tornado wywoła ujawnienie kręgu przyjaciół umożliwiających beztrioskie osuszanie cudzych portfeli. Pierwsze przed tymi tragediami zabezpieczenie, to stosowanie różnych scenariuszy wyprowadzania kapitału. Drugie to pieczołowite chronienie swych tajemnic. Do części z kluczowych informacji można z łatwością dotrzeć poprzez dostępne dla określonego grona uprawnionych ewidencje urzędowe, takie jak KRS, CEIDG, księgi wieczyste, czy też rozliczenia

skarbowe i przelewy bankowe. Zamglenie niektórych z powyższych, jak już wspomniano, staje się możliwe w oparciu o personalia „słupów” oraz podmioty z osobowością prawną. O wiele ważniejsze są jednak kwestie wykraczające poza urzędowe formularze.

Zupełnie uniemożliwiony powinien zostać dostęp osób postronnych do informacji takich, jak:

wcześniej przeprowadzone i obecnie planowane operacje, tożsamość zakonspirowanych kontrahentów, trasy cyrkulacji zdobytego kapitału, metody jego legalizacji, wykorzystanie w działaniu maskującym wskazanych z imienia i nazwiska figurantów i z nazw podmiotów gospodarczych. Strzec należy kopii wszelkiej korespondencji oraz planów przyszłych inwestycji. W epoce zaawansowanych technik kryptograficznych zaszyfrowanie swych tajemnic w sposób gwarantujący pełne bezpieczeństwo jest nie tylko możliwe, ale, jak każde inne sprzyjające nieuczciwości działanie, bardzo proste i tanie.

Podstawowym służącym do tego narzędziem jest dostępny za darmo program o nazwie TrueCrypt. Umożliwia on szyfrowanie dysków twardych komputerów, pojedynczych partycji, włącznie z partycjami systemowymi i ukrytymi, dysków przenośnych, płyt CD i DVD, a także tworzenie dowolnej wielkości „kontenerów”, czyli wirtualnych skrytek zarówno na pojedyncze pliki, jak i na całe obszerne archiwa. Małe, zaszyfrowane kontenery można swobodnie przysyłać pocztą elektroniczną w postaci załącznika, co gwarantuje w pełni bezpieczną komunikację. Nawet jeśli plik, serwer pocztowy, komputer, czy nośnik, na którym materiał zostanie po przesłaniu utrwalony, wpadnie w niepowołane ręce, złamanie jego zabezpieczeń nie jest przy dzisiejszym poziomie technologii komputerowej możliwe. Z tego też powodu Stany Zjednoczone zabroniły swym obywatelom szyfrowania danych kluczem 256 bitowym. TrueCrypt wykorzystuje do szyfrowania 256 bitowe algorytmy: Twofish, Serpent oraz AES. Ten ostatni wykorzystywany jest m.in. przez

wojsko i ambasady właśnie USA. Wymienione algorytmy pozostają niemożliwe do złamania nawet dla wiodących służb wywiadowczych państw takich jak Rosja, Anglia, Francja, Chiny, czy Izrael. Dlaczego jednak korzystać należy z bezpłatnej wersji programu szyfrującego, a nie roztropnie zainwestować w specjalistyczny, drogi soft? TrueCrypt stworzony został jako tzw. Open Source, dzięki czemu nie przynależy do nikogo, a więc dystrybuowany jest bezpłatnie, a także nie posiada back-doorów, czyli furtek umożliwiających producentowi oprogramowania odkodowanie ukrytej zawartości na żądanie organów ścigania i służb specjalnych. W przypadku programów komercyjnych taka obawa istnieje. Paradoksalnie, większe jest też w nich ryzyko powstania luk. Programy Open Source są tworzone i bez przerwy testowane przez setki tysięcy hobbystów, profesjonalnych programistów i hackerów z całego świata. W przypadku powstania jakiegokolwiek „dziury” zostanie ona najpewniej szybko wykryta i wyeliminowana. Podobnie trudno w jawnym kodzie źródłowym umieścić mikro-program umożliwiający dyskretne szpiegowanie użytkowników.

Skoro jednak kod źródłowy pozostaje jawny dla wszystkich, dlaczego szyfr ten zapewnia bezpieczeństwo danych? Ponieważ każdorazowo program generuje inną „treść” szyfru, a czynnikiem wspólnym pozostaje jedynie algorytm szyfrujący i jego „moc”. Użytkownik sam generuje poszczególne elementy składowe klucza szyfru poruszając kursorem myszki ponad planszą zawierającą znaki klawiatury. Im dłużej losowane są znaki, tym szyfr silniejszy. W efekcie na podstawie tego jednego programu możliwe jest powołanie wielu milionów szyfrów o różnych kluczach. Złamanie jednego z nich nie czyni pozostałych otwartymi. Podobnie jak w przypadku zamka zapadkowego – posiadanie klucza do jednego z nich nie umożliwia otwarcia wszystkich innych. Dodatkowo, możliwe jest wykorzystanie szyfrowania kaskadowego, czyli zaszyfrowanie

zaszyfrowanej treści. TrueCrypt umożliwia potrójne zaszyfrowanie danych, co oznacza, że nawet w przypadku złamania jednego z obecnie niełamałnych algorytmów np. AES, dane nadal pozostaną zabezpieczone przez dwie warstwy bezpieczeństwa: TwoFish i Serpent, a sprawca włamania zamiast klarownych danych odnajdzie również nieczytelną rozsypankę pozornie losowych znaków.

Programy szyfrujące o niskim poziomie zaawansowania technicznego zawierają słaby punkt w postaci powtarzalnego tzw. hash'u, czyli zapisu umożliwiającego zaszyfrowanym danym rozpoznanie hasła-klucza. Bezpłatnie dostępne są w internecie tzw. Tęczowe Tablice, czyli bazy danych umożliwiające transkrypcję zaszyfrowanego hasła w drugą stronę – od hash'a do jego wyglądu w formie odszyfrowanej. Problem ten jednak został rozwiązany poprzez zastosowanie tzw. *sol*i, czyli przesunięcia liter alfabetu i cyfr w indywidualnych kodach. Zabieg ten uczynił hash równie trudnym do złamania, jak sam szyfr.

Jedyną możliwą drogą dostępu do danych zaszyfrowanych nowoczesnym algorytmem jest więc odkrycie hasła metodą zwaną *brute force*, czyli sprawdzaniem każdej możliwej kombinacji dostępnych na klawiaturze znaków. Dlatego niezmiennie istotne jest tworzenie co najmniej dwudziestoznakowych i niesłownikowych haseł, składających się z losowych ciągów liter małych i dużych, cyfr oraz znaków specjalnych i spacji. W przypadku zastosowania hasła słownikowego, np. „kot”, „warszawa” lub „Ola01”, przeciętnej klasy domowy komputer będzie w stanie natrafić na użytą kombinację znaków w ciągu zaledwie kilku minut, a niekiedy nawet sekund. Nad ciągiem „#Fsf%23 42FSsf @221 lPs)a-!lWER” ten sam komputer musiałby pracować setki milionów lat. Odpowiednikiem hasła może być dowolny plik – graficzny, tekstowy, systemowy, video, muzyczny etc. Wówczas kontener z danymi zostaje udostępniony jedynie po wskazaniu owego pliku-klucza. Do zalet takiego

rozwiązania zaliczyć można wykorzystanie jakiegokolwiek powszechnie dostępnego w sieci pliku graficznego: zdjęcia z portfolio znanego aktora, loga popularnego portalu, czy upublicznionego skanu oświadczenia majątkowego premiera. Rozwiązanie to umożliwia odczytanie danych z dowolnego komputera wyposażonego w dostęp do sieci. Do roli klucza odradzić należy pliki poddawane prostej edycji, np. tekstowe. Jakakolwiek dokonana w nich zmiana, np. dopisanie choć jednego znaku, uczyni klucz nieważnym, gdyż już innym. Tym samym zaszyfrowane z jego udziałem materiały zostaną na zawsze stracone. Klucze plikowe mogą być stosowane również jako alternatywne, funkcjonujące zamiennie z tradycyjnym hasłem lub dodatkowe zabezpieczenie wymagane obok hasła znakowego. Aktywować można więc opcję dostępu do zaszyfrowanych danych po łącznym przedstawieniu pliku-klucza oraz wpisaniu hasła, lub alternatywnie: wpisaniu hasła, bądź wskazania klucza. Oczywiście zarówno hasła, pliki-klucze, jak i kombinacje ich stosowania mogą zostać dowolnie modyfikowane przez użytkownika.

Niezwykle praktycznym uzupełnieniem programu TrueCrypt pozostaje opcja tworzenia ukrytych kontenerów w zaszyfrowanych kontenerach. W zależności od tego, jakie hasło zostanie wpisane, uzyskamy dostęp do innych zaszyfrowanych danych, a program oczywiście nie poinformuje, że poza prezentowanymi treściami dostępne są również inne. Nie sposób również tego określić po dostępnej lub zajętej przestrzeni dyskowej, gdyż program automatycznie wypełnia całą wolną przestrzeń losowymi danymi i zawsze wykazuje brak wolnego miejsca. W przypadku więc wymuszenia, np. przemocą lub szantażem, ujawnienia hasła możliwe jest przekazanie dostępu do obszaru zawierającego pozornie ważne, a faktycznie nieistotne informacje. Dodatkowo istnieje opcja ukrycia w zaszyfrowanych kontenerach kolejnych zaszyfrowanych

kontenerów z ukrytymi kontenerami oraz autonomicznymi szyframi, faktycznie w nieskończoność multiplikując przeszkody na drodze dostępu do strategicznych danych. Samo ich skopiowanie z dysku lub przejście w trakcie przesyłki mailowej nie będzie więc stanowiło żadnego zagrożenia dla prowadzonej działalności. Jeśli ktoś jest osobą złośliwą, może zaszyfrować dane na setkach płyt DVD, kryjąc zupełnie bezwartościowe pliki – np. filmy lub gry komputerowe. Osoba, która będzie próbowała wśród nich odnaleźć właściwy plik spędzi resztę życia przed komputerem bez szans na sukces.

Również specjalistyczne laboratoria, świadczące usługi największym globalnym korporacjom, nie są w stanie przełamać omówionych zabezpieczeń. Nawet legendarny ONE TRACK, który zasłynął odzyskiwaniem danych ze spopielonych dysków twardych wydobytych z ruin World Trade Center, nie był w stanie złamać szyfrów 256 bitowych. Natomiast koszt tego typu ekspertyzy, trwającej kilka tygodni i stwierdzającej brak pozytywnych prognoz, sięga niekiedy kilkudziesięciu tysięcy zł. Oczywiście więc polska Policja nie jest w stanie, ani złamać wskazanych rozwiązań kryptologicznych, ani nawet ponieść kosztów ich profesjonalnej ekspertyzy. Stąd masowo umarzane są sprawy przeciwko hackerom naruszającym prawo autorskie w Internecie, jeśli tylko odpowiednio zabezpieczyli oni swą aktywność (m.in. dyski twarde) i pod presją przesłuchania nie przyznali się do winy.

Sztuka manipulacji dowodami

Co jednak uczynić, gdy biuro przedsiębiorstwa zostało zabezpieczone przez Policję, a śledczy żądają udostępnienia haseł do komputerów i zakodowanych nośników danych? Odmówić. Jak już wspomniano wcześniej, nikt nie ma obowiązku obciążania siebie samego, nawet jedynie potencjalnego obciążania.

Art. 74. § 1 Kodeksu postępowania karnego: Oskarżony nie ma obowiązku dowodzenia swej niewinności ani obowiązku dostarczania dowodów na swoją niekorzyść.

Zarówno wspomniany już wcześniej art. 183 § 1 kpk, jak i przytoczona powyżej podstawa prawna, są wystarczające dla odmowy ujawnienia haseł do komputerów, czy kont pocztowych. Możemy, nawet bezpodstawnie, obawiać się odpowiedzialności karnej np. za posiadanie ściągniętego z sieci jednego małego pliku... Bezpodstawnie, gdyż wbrew obawom zawartość dysku twardego lub innego nośnika danych może pozostawać przecież legalna i nikt w przypadku udowodnienia takiego stanu rzeczy nie może czynić zarzutu osobie odczuwającej subiektywny lęk przed pobytem w więzieniu. Bezpodstawnie, gdyż polskie prawo pozwala ściągać z sieci na własny użytek filmy i muzykę, karalne jest jedynie rozpowszechnianie takich utworów. Ale szary obywatel nie musi tego wiedzieć i ma prawo się bać.

Jedną z podstawowych zasad procesu karnego w demokratycznym państwie prawa pozostaje rozstrzyganie wszelkich powstałych wątpliwości na korzyść oskarżonego. A w sprawach gospodarczych mnożenie „wątpliwości” nie nastręcza trudności. Swą dobrą wolę obrazować można niezmiernie obfitą dokumentacją podejmowanych działań. Dlatego do celów dowodowych sporą część kontaktów z uczciwymi kontrahentami realizować należy w formie pisemnej – tradycyjnej lub mailowej, przy zachowaniu odpowiedniej dwuznaczności przesyłanej treści, której to przysługującą interpretację uzależnić można będzie od potrzeby (kierunku) procesu sądowego, przyjętej przez prokuratora wersji śledczej i zabezpieczonych dowodów. Warto sygnalizować, niejako mimochodem, uzgodnienia podejmowane w formie niepisemnej, jednak nie przytaczając ich precyzyjnie, np. *„w pozostałym zakresie, tak jak ustaliliśmy*

telefonicznie”. Zwykle wykluczy postawienie zarzutów stale utrzymywany kontakt, współpraca z wierzycielami i kontrahentami oraz nieuchylanie się od wyjaśniania wszelkich spornych kwestii, nawet przy ciągłym, konsekwentnym i sprzecznym z dowodami podtrzymywaniu korzystnego dla siebie stanowiska. Do najbardziej niełojalnych sztuczek tego typu reżyserowanej korespondencji należy przysyłanie listem poleconym, za zwrotnym potwierdzeniem odbioru, pustych kopert lub kopert wypełnionych np. neutralnymi materiałami reklamowymi bez jakichkolwiek własnoręcznych adnotacji nadawcy i bez pozostawienia na nich innego typu śladów – pieczęci, odcisków palców etc. Wówczas, w toku przyszłego procesu, możliwe będzie twierdzenie, iż dana przesyłka zawierała pismo kluczowe dla całej sprawy... Np. w miejscu wzmiankowanego wcześniej, powszechnie dostępnego, folderu reklamowego rzekomo doręczone być miało oficjalne ustosunkowanie się do żądań przeciwnika i ich częściowa akceptacja. Taki „*dowód*” czyni zarzut przestępstwa bezpodstawnym, a pokrzywdzonego zamienia w oszczercę i pieniacza. *Jak udowodnić, że w kopercie było coś innego, niż twierdzi przeciwna strona?* Zwyczajnie – tak zeznać do protokołu. I dziwić się, że pokrzywdzony twierdzi inaczej. Jeśli na przedstawionym przez niego dokumencie brak naszego podpisu czy pieczęci, albo jest to podpis jedynie wydrukowany i to nie na drukarce z której przysyłano wcześniejszą korespondencję, to wówczas nie sposób dowieść, że to właśnie tej treści pismo zostało doręczone, a nie inne – korzystne dla osoby oskarżonej lub podejrzaney. Co ważne, współczesne laboratoria kryminalistyczne umożliwiają identyfikację drukarki, spod której wyszedł dany wydruk, stąd wypieranie się autorstwa pisma dla swej skuteczności musi się wiązać z wydrukiem dokonany na innym sprzęcie. Ale to nie problem w dobie powszechnie dostępnych punktów usług biurowych i kserograficznych, czy kawiarenek internetowych. Oręż

wymiaru sprawiedliwości łatwo wymierzyć w stronę Temidy.

Paradoksalnie, fakty świadczące przeciwko przedsiębiorcy obrócić można na swą korzyść. W przypadku przedstawiania się różnym osobom różnymi nazwiskami, ich zeznania można podważyć jako niewiarygodne. Jeśli bowiem świadek twierdzi nazywa Kowalskiego Malinowskim, i jest przekonany, że ten od lat pracuje w spółce A, gdy tymczasem jest to nieprawda (którą nomen omen usłyszał właśnie od Kowalskiego), łatwo udowodnić świadkowi zupełny brak wiarygodności, a wręcz skłonność do konfabulowania. Podobnie zdyskredytuje świadka powierzenie mu w „sekrety” kompromitujących nas informacji (stosunkowo łatwych dla sądu do weryfikacji i wykazujących zupełną fałszywość). Gdy ten na sali sądowej zarzuci oskarżonemu np. wcześniejsze skazanie za przestępstwa, które w ogóle nie zaistniały, lub haniebne traktowanie przez osobę stanu wolnego wyimaginowanej żony, ze źródła dowodowego przemieni się w niewiarygodnego kłamcę, a mijanie się z prawdą łatwo w takiej sytuacji udowodnić w drodze chociażby weryfikacji rejestrów państwowych¹.

Korespondencja prowadzona za pośrednictwem poczty elektronicznej też umożliwia odwrócenie sytuacji i zamiast stanowić dowód nieuczciwości przedsiębiorcy, ściągnie kłopoty na głowę jego uczciwego kontrahenta. Ludzie bardzo rzadko zwracają uwagę na to, spod jakiego adresu e-mail otrzymują przesyłkę, raczej interesuje ich wpis w polu „nadawca”, który można dowolnie modyfikować. Stąd krótka droga do nadużyć. Posługując się na co dzień mailem „jan.kowalski@mail.com” nie trudno wywieść w pole kontrahenta,

1 Wzorcowy przykład kontrolowanego chaosu uwieczniono w polskiej komedii pt. „*To nie jest tak jak myślisz, kotku*”. Konia z rzędem temu, kto odważyłby się z zeznań jej bohaterów sklecić akt oskarżenia. Choć zapewne nie było to celem reżysera, jego dzieło polecić należy każdemu kandydatowi na wielkiego aferzystę.

część korespondencji – szczególnie deklaracji rozliczeń lub innych obciążających – przesyłając z adresu „kowalski.jan@mail.com”. Do skuteczności fortelu niezbędne pozostaje skopiowanie kompletne takich elementów jak stopka oraz wzmiankowany już nadawca. Nie wolno także zakładać fałszywego konta, ani nadawać lub odczytywać przesyłek, z komputera, z którego zazwyczaj obsługiwana jest poczta, gdyż wówczas możliwe jest potwierdzenie osoby nadawcy po numerze ip i przechowywanych przez podmioty telekomunikacyjne, indywidualnych dla każdej sesji, numerach identyfikujących połączenia z internetem. Najlepiej, jeśli jest to niezbyt kłopotliwe, powyższe operacje wykonywać z kawiarenki internetowej położonej blisko miejsca pracy lub zamieszkania kontrahenta. Wówczas ustalenie lokalizacji geograficznej ip nadawcy wiadomości obciąży... jedynie adresata.

W efekcie powyższych działań, dowody z korespondencji elektronicznej stają się bezwartościowe i mogą zostać w każdym sądzie obalone. Jeśli do tego faktura VAT, za którą dochodzona jest należność, okaże się być podpisana przez osobę do tego nieupoważnioną albo co gorsza okaże się, że nieznana osoba złożyła podpis imieniem i nazwiskiem oskarżonego przedsiębiorcy, wówczas to pokrzywdzony zostanie najpewniej postawiony w stan oskarżenia. Wszak wszystkie dowody wskazywać będą na to, że sfalszował podpis na fakturze VAT oraz korespondencję, celem wyłudzenia nienależnej opłaty za nigdy niedostarczony towar i fałszywie pomówił kontrahenta o popełnienie przestępstwa...

Pamiętajmy o tym, że Polska to dziwny kraj. W sprawach o brutalne zabójstwa niejednokrotnie dochodzi do skazania na dożywocie na podstawie poszlak lub mało istotnych, bądź wątpliwych dowodów. Wówczas nawet ogromne wątpliwości nie stoją niezawisłemu sądowi na przeszkodzie do zamknięcia człowieka na długie lata za kratami. Powód – społeczeństwo oczekuje

spektakularnego karania winnych, przy czym to, czy winny jest kozłem ofiarnym, czy też rzeczywistym sprawcą, pozostaje kwestią wtórną. Natomiast w sprawach gospodarczych – czasochłonnych i wymagających specjalistycznej wiedzy fachowej, której to sędziowie i prokuratorzy, jako nieprzywykli do samodzielnego prowadzenia biznesu, nie posiadają, każda wątpliwość stanowi podstawę do uniewinnienia. Inną sprawą pozostaje oficjalny cennik obowiązujący w korytarzach Temidy. Koszt uzyskania wyroku w zawieszeniu przy bardzo mocnym materiale dowodowym lub umorzenia przez prokuratora sprawy gospodarczej, przy spornych lub łatwych do eliminacji dowodach, to 50% zagrabionego majątku. W przypadku przestępstw typowo kryminalnych koszt umorzenia sprawy na etapie prokuratorskim to 20 000 zł. Nie dziwi to, zważywszy, że pewien prywatny detektyw prowadzący wielomilionowej wartości śledztwa gospodarcze otrzymał w 2009 roku oficjalną wiadomość z Komendy Głównej Policji, iż groźby kierowane są do większości obywateli(!), w związku z czym nie powinien on się nimi przejmować(!). Sprawę zgłoszonych gróźb karalnych niezwłocznie umorzono, praktycznie bez podejmowania jakichkolwiek czynności wyjaśniających, a spokoju wywodzącej się z Rosji grupy przestępczej, dokonującej masowych oszustw, nie zakłócono nawet prostym rozpytaniem.

W ostatnich latach powszechnym zjawiskiem stało się nagrywanie rozmów – zarówno telefonicznych, jak i tych przeprowadzanych w cztery oczy. Większość nowoczesnych aparatów telefonicznych, tak komórkowych, jak i stacjonarnych, umożliwia jednym przyciskiem aktywację nagrywania, a konwersacja zachowana zostaje w dobrej jakości, bezproblemowo identyfikującej rozmówców. Podobnie cyfrowe dyktafony oraz niedrogie i dyskretne podsłuchy umożliwiają łatwą rejestrację przebiegu każdego spotkania. Z tego powodu nie należy nigdy jawnie komunikować swych działań, ani nawet po ich skutecznym

zrealizowaniu przyznawać się do dokonanego czynu lub sposobów, jakimi został on osiągnięty. Skuteczny adwokat jest w stanie obalić moc dowodową takiego nagrania, jednak jest to znaczne utrudnienie obrony. *Jak więc prowadzić rozmowy?* Wymijająco. Nie wskazywać konkretów, unikać dat, nazwisk i wszelkich okoliczności mogących wykazać złą wolę. Jeśli tylko dany etap współpracy na to pozwala, a pytanie dotyczy materii dość precyzyjnej, należy mówić, że szczegóły zostaną przesłane pocztą. Jeśli uzgadniane są jakiekolwiek kwestie zmierzające do wykrycia niełojalnego działania lub wręcz przedstawiono dowody na takie działania, wówczas zastosowanie znajduje zasada „*młodych wilków*” – *jeśli złapią cię za rękę, mów że nie twoja ręka*. Należy zaprzeczać, wyminąć lub zignorować fakt przemawiający na niekorzyść, a w ostateczności stwierdzić, że cała sprawa na pewno zostanie wyjaśniona, tylko należy sprawdzić dokładnie dokumentację pozostającą w dyspozycji firmy. Słowem – nigdy się nie przyznawać, zaprzeczać oczywistym dowodom, wykazywać dobrą wolę wyjaśnienia tej „*wielkiej pomyłki*” i odsyłać do formy pisemnej. Proste i skuteczne. W ostateczności pozostaje zaś święte oburzenie i obraza na adversarza za tak niesprawiedliwy osąd i oczywiście bezpodstawne zarzuty nieuczciwości.

Nie należy nigdy wierzyć współpracownikom i w zaufaniu powierzać im informacji szerszych, niż te niezbędne do wykonania powierzonych im zadań. Jeśli nie muszą czegoś wiedzieć, to niech nie wiedzą. W przyszłości, w przypadku jakiegokolwiek wpadki, mogą uzyskać status świadka koronnego lub dążąc do nadzwyczajnego złagodzenia kary składać zeznania obciążające wszystkich, z którymi kiedykolwiek prowadzili interesy. Drugi powód, to powszechna, a niekiedy wręcz nielegalna, inwigilacja obywateli przez służby policyjne oraz specjalne. Niejednokrotnie prowadzony jest nasłuch telefonów komórkowych i stacjonarnych – w bardzo różnych sprawach. Materiał zarejestrowany nielegalnym podsłuchem nie

może stanowić dowodu w sądzie, ale może ujawnić informacje umożliwiające pozyskanie innych, już legalnych dowodów. Co więcej, nagranie takie posłużyć może też do szantażu. W ten właśnie sposób pozyskuje się posłuszną i spinegliwą agenturę. W każdej centrali telekomunikacyjnej znajduje się tzw. cichy pokój, w którym służby państwowe mogą prowadzić nasłuch i rejestrację rozmów wybranych użytkowników łączy telefonicznych. Nic, co zostało wypowiedziane do słuchawki, nie pozostaje anonimowe. Pomijając fakt, iż możliwa jest przy dzisiejszym poziomie techniki bardzo precyzyjna lokalizacja telefonu komórkowego, mało kto wie o możliwości identyfikacji rozmówcy na podstawie analizy samego głosu. Głos każdego człowieka jest tak indywidualny, jak jego odcisk palca. Służby dysponują na dzień dzisiejszy bardzo szeroką bazą próbek audio, umożliwiającą identyfikację np. osoby kierującej groźby karalne lub informującej o podłożeniu bomby. Podobnie mało kto wie, że wyrzucenie karty SIM z numerem telefonu nie gwarantuje bezkarności. W praktyce bowiem, w pierwszej kolejności do sieci loguje się sam aparat telefoniczny swym indywidualnym numerem IMEI, a dopiero następnie dochodzi do zalogowania karty. Wykorzystanie więc wielokrotnie tego samego aparatu automatycznie łączy wszystkie użyte numery oraz ich użytkownika w jedną osobę, a tym samym umożliwia łatwą identyfikację jednostkową, jeśli np. z jednej karty SIM dzwoniono do rodzinnego domu lub partnerki życiowej, a z drugiej do kontrahentów.

Zachowanie podstaw ostrożności, w połączeniu z prewencyjnym „mieszaniem”, pozwoli skutecznie zamazać obraz rzeczywistego przebiegu odtwarzanych później wydarzeń. Stopień skomplikowania realiów prawnych i gospodarczych w III RP uniemożliwia eliminację wątpliwości, te zaś należy zawsze rozstrzygać na korzyść podejrzanego. Im więcej, tym lepiej.

Rozdział XI

Jak oszukać wykrywacz kłamstw

Nieważne, czy nam ukradziono radio, czy to my ukradliśmy – jesteśmy zamieszani w kradzież radia...

Oślawiony filmami sensacyjnymi wariograf, zwany też niekiedy poligrafem, czyli tzw. wykrywacz kłamstw, błędnie utożsamiany jest z nieomylną wyrocznią prawdy. Srebrny ekran przedstawia to „*cudowne*” urządzenie jako niepodważalny dowód szczerości lub fałszu, demaskujący niewiernych małżonków, malwersantów i morderców. Nic bardziej mylnego, na co szczególnie uwrażliwić należy adepta ponadczasowego fachu... Wykrywacza kłamstw absolutnie nie należy się obawiać, a wręcz ochoczo z jego ułomności korzystać. Autor niniejszego opracowania miał kiedyś przyjemność zasiadać przy ul. Rakowieckiej na fotelu prawdy i okazało się, że kłamał potwierdzając... aktualną datę. Gdy wszystko jest fałszem – nawet oczywista prawda – nie sposób wskazać tego „*prawdziwego kłamstwa*”, a słowa świadczące zazwyczaj na niekorzyść nas samych dowodzą pełnej szczerości lub uniemożliwiają wręcz ustalenie czegokolwiek. A więc – absolutnie nie mogą wykluczyć niewinności. Zamiast obciążającego quasi-dowodu powstaje kolejna wątpliwość, którą rozstrzygnąć należy na korzyść podejrzanego. Pamiętajmy też o zasadzie podwójnego przeczenia. Mamy większą skłonność wierzyć w przeciwieństwo zdekonspirowanego kłamstwa kontrahenta lub podejrzanego któremu nie ufamy, niż w jego najszczerze zapewnienia. Odpowiednio reżyserując „*kłamstwo*”

eliminujemy ukrytą w nim prawdę z listy wiarygodnych wersji śledczych.

Wariograf nie jest szczególnie wymyślnym urządzeniem, dokonuje jedynie pomiaru wybranych reakcji organizmu, które pod wpływem stresu ulegają intensyfikacji: tętna, ciśnienia krwi, reakcji skórno-galwanicznej (wydzielanie potu), temperatury ciała, czy oddechu. Pomysłodawcy tego, wywodzącego się z przełomu XIX i XX wieku, urządzenia założyli korelację kłamstwa z wystąpieniem dużego ładunku emocjonalnego, co znaleźć powinno wyraźne odzwierciedlenie w wymienionych fizjologicznych objawach. W chwili udzielenia nie szczerej odpowiedzi zapisywana na papierowej taśmie tzw. „skala” poszczególnych wskaźników (podobna do badania EKG) powinna zostać zachwiana i znacznie zwiększyć rozrzut rysowanych linii. Gdy kłamiemy, serce zaczyna „walić” a oddech przyspieszać, w ten sposób organizm w pierwotnym odruchu zaczyna przygotowywać się do ucieczki – niezbędnej w chwili dekonspiracji nie szczerości i związanego z tym ataku na kłamcę. Naiwne założenie. Wraz z ewolucją społeczną udoskonaleniu uległy techniki fałszu, zwłaszcza gdy kłamca jest profesjonalistą świadomym zasad funkcjonowania wariografu. Nad częścią objawów można zapanować, wyćwiczyć reakcje przeciwne lub zneutralizować ładunek emocjonalny zadawanych pytań już na poziomie ich odbioru. Samo urządzenie z założenia wcale nie ma na celu wykrywania kłamstwa, a jedynie najczęstszych objawów subiektywnego przeświadczenia osoby badanej, że ta mija się z prawdą. Czyli to ona „decyduje”, czy ocenia swą odpowiedź jako prawdziwą, czy fałszywą. Kwestia zaprogramowania.

Na wstępie zaznaczyć trzeba, że wbrew powszechnemu mniemaniu, nawet przy zastosowaniu najnowocześniejszych wariografów oraz przy w pełni spolegliwej postawie osoby badanej poddającej się tłu psychologicznemu pytań, w co najmniej 5%

przypadków urządzenie błędnie wskaże kłamstwo lub w kategorii prawdy zakwalifikuje nieszczerą odpowiedź. Laik powie, że to niedużo i można założyć skuteczność wariografu, lecz jeśli w poszukiwaniu agenta wykradającego tajne projekty nowoczesnych technologii przebadanych zostanie 1000 pracowników instytutu naukowego, okaże się, że szpiegów mamy około 50. A co gorsza, wśród nich na pewno nie znajdziemy rzeczywistego sprawcy...

5% to jedynie przybliżony margines błędu wskazywany przez zwolenników stosowania wariografów. Krytyczna literatura często szacuje prawdopodobieństwo zafałszowania „diagnozy” na od 20% do aż 40%. Górna granica błędu to już niemalże dobór losowy, gdyż niezwykle bliski 50% skuteczności. Równie dobrze można więc „zgadywać”, czy przepytwany jest szczerzy. Tym samym z obiektywnych wskazań maszyny osądzenie cudzej prawdomówności cedujemy na subiektywną interpretację omylnego człowieka – tzw. poligrafera. W tym miejscu nauka się kończy, a zaczyna hazard. Sztandarowym przykładem iluzorycznej kontroli nad umysłem badanej osoby jest radziecki szpieg ulokowany w CIA – Aldrich Ames, który dwukrotnie „udowodnił” na wariografie swoją lojalność Ameryce, a jednocześnie zdekonspirował przed KGB całą agenturę zwerbowaną na terenie ZSRR. Amerykański wywiad był zdruzgotany. Nasze służby nie raz też były...

Czynników mylących poligrafera jest multum, a podzielić je można na zewnętrzne, wewnętrzne i psychologiczne. Do pierwszej kategorii należy już samo miejsce, w którym przeprowadzane będzie badanie. Powinno ono zachowywać sterylny charakter. Wykluczone są krzykliwe kolory ścian oraz ich oplakatowanie, włączony telewizor lub radio, kontrowersyjne przedmioty (np. materiały pornograficzne, broń, symbole odwołujące się do określonej ideologii lub wydarzeń) znajdujące się w zasięgu wzroku osoby badanej, obecność (stała lub chwilowa) osób postronnych w

pomieszczeniu itp. Fotel powinien być wygodny, kierunkujący twarz badanego w stronę ściany lub innej w pełni neutralnej powierzchni. Wykluczone jest usadowienie frontem do poligrafera. Wyeliminować należy jakiekolwiek dźwięki dochodzące z zewnątrz, jak np. muzyka, krzyki, czy związane z robotami drogowymi odgłosy młota pneumatycznego. Bez względu na obiektywną ocenę elementów tła, mogą one pozostawać w rażącej sprzeczności z subiektywnym zmysłem estetycznym badanego i tym samym zakłócić jego stan emocjonalny, rozkojarzyć. Identyczny rezultat przyniesie konfrontacyjne zachowanie poligrafera, manifestowana niechęć, agresja, zwykła nieuprzejmość, a także wręcz przeciwnie – nadmierna atrakcyjność i prowokujące podtekst erotyczny zachowanie, nawet jeśli wzbudzi znaczną lub wręcz nadmierną sympatię badanego. Dla rzetelnego badania niezbędna jest więc pełna neutralność gruntu.

Pomyli się ten, kto myśli, że w interesie organów ścigania, ukierunkowanych na skazanie jak największej liczby przestępców, leży wykazanie jak największej ilości kłamstw. Wtedy faktycznie prowadzący badanie mógłby reżyserować niekomfortowe warunki tła. Jednak wartość quasi-dowodowa jest w tym przypadku tym wyższa, im więcej możliwych do obiektywnego sprawdzenia odpowiedzi wariograf potwierdzi. Nie będzie więc miało większego znaczenia wykazanie kłamstwa w przeczącej odpowiedzi na pytanie: *„czy zabiłeś Jana Kowalskiego?”*, jeśli identycznie kłamliwie będą zinterpretowane prawidłowe odpowiedzi na pytania pokroju: *„czy masz 25 lat?”* i *„czy masz na imię Paweł?”*. W takim przypadku uznać trzeba wyniki całego badania za obarczone wysokim prawdopodobieństwem błędu. Im więcej złych interpretacji, tym lepiej. W mętnej wodzie trudno łowić.

Jak przebiega samo badanie? Zazwyczaj otwierane jest rozpytaniem badanego o okoliczności mogące zakłócić parametry

podlegające pomiarowi, tj. zażywane leki, ilość godzin snu, stopień zmęczenia, stresujące sytuacje w ostatnim czasie etc. Oczywiście deklaracje nieprzespanej nocy i znacznego zmęczenia związanego z wczorajszym forsującym treningiem wymuszają większą ostrożność przy krytycznej ocenie gwałtownych reakcji organizmu. Z kolei zatajone zażycie popularnych medykamentów, takich jak chociażby relanium, może znacznie obniżyć poziom wykrywalności kłamstwa. Podobnie zniekształcą odczyt wszelkie środki nasenne, uspokajające, betablokery, antydepresanty, czy nawet leki o charakterze bardziej kosmetycznym, jak ograniczające wydzielanie potu. Spektrum środków zakłócających fizjologiczne objawy stresu jest więc bardzo szerokie, a łączenie badania wariografem z badaniem krwi niemal nie występuje.

Analogicznie do nadmiernie ambitnego leczenia, także zaniedbania zdrowotne pozwalają już na starcie zburzyć równowagę organizmu. Z tego powodu sztucznie wywoływane są przeziębienia. Osoby oczekujące na badanie spożywają duże ilości lodowatych napojów i lodów, a także przy chłodnej pogodzie polewają się zimną wodą lub spacerują w lekkim okryciu w deszczu. Gdy badany co chwila kicha, dusi się od kataru, ma gorączkę i ledwie może mówić, wskaźniki szaleją. Innym sposobem jest skrajne wycieńczenie, czyli wspomniane już unikanie snu i intensywny trening fizyczny: kilkukilometrowy bieg lub kilkaset pompek skutecznie uwrażliwi badanego, gdyż nawet otwarcie ust będzie wtedy wielkim wysiłkiem, oczywiście wychwyconym w czasie pomiaru. Twórczym elementem jest wdanie się bezpośrednio przed badaniem w bójkę lub stoczenie sportowego, full kontaktowego sparingu, co zapewnia zarówno bolesne siniaki umożliwiające ich późniejszą uciskową stymulację, jak i odpowiednie, konfrontacyjne, nastawienie psychiczne.

Kolejnym stałym elementem otwierającym badania jest wstępna ankieta. W zależności od powagi instytucji przeprowadzającej

czynności oraz od kalibru sprawy, może mieć ona rozbudowaną formę opisowo-testową, lakoniczną testową, albo prostego ustnego rozpytania. Ogólnie przyjąć należy, że im poważniejszy powód badania i lepiej przygotowany warsztatowo poligrafer, tym czynności wstępne będą bogatsze. Po części odgrywają też one rolę straszaka, gdyż na starcie umożliwiają badanemu „przyznanie” się do wielu grzechów. Spowiedź jest jednak bronią obosieczną i pozostaje skuteczna tylko względem osoby, która nigdy wcześniej nie zetknęła się z wariografem. Wyszczególnione kwestie „trudne”, czy to obciążające w znaczeniu karnym, czy kompromitujące na niwie społecznej, wyznaczają krąg, w którym zadawanie pytań jest bezcelowe. Materie te są bowiem związane zwykle z tak silnymi ładunkami emocjonalnymi i nagromadzonymi tajemnicami osoby badanej, że absolutnie każda odpowiedź – bez względu na jej szczerość lub fałsz – obarczona zostanie skrajnymi wręcz wahaniami monitorowanych reakcji organizmu. Jeśli badany zadeklarował we wstępnej ankiecie dokonanie w przeszłości drobnej kradzieży, a także przywłaszczenie paru firmowych długopisów, wówczas pytania o to, czy kiedykolwiek popełnił on przestępstwo przeciwko mieniu lub okradł pracodawcę, stają się bezwartościowe. Również ewentualne intensywne wahania skali będzie w stanie wytłumaczyć skojarzeniem z tymi właśnie okolicznościami. Podobnie, deklaracja zażycia w ramach eksperymentów młodości amfetaminy uczyni bezwartościowymi pytania o kontakty z narkotykami lub znajomości w kręgach ich sprzedawców. Odpowiedź oczywiście brzmi tak, ale niczego nie wnosi do sprawy. Choć czyny te są dawno przedawnione lub nie stanowią przestępstw i nie można z ich powodu wyciągnąć względem badanego żadnych negatywnych skutków prawnych, to wytrącają poza spektrum badania znaczną część istotnych wątków. Wszelkie elementy ankiety należy więc zappełnić licznymi, acz błahymi okolicznościami zamazującymi cel testu i na ich karb

zrzucać ewentualne nerwowe reakcje.

Inną kategorię stanowią wydarzenia związane z traumatycznymi doświadczeniami badanego. Jeśli zapytamy ojca dziecka o to, czy: „*Jan Kowalski zabił pana córkę?*”, to ładunek emocjonalny obciążający psychikę pytanego oczywiście wykaże „wskaźnikowe” kłamstwo. Podobną reakcję spowodują wszelkie inne zdarzenia obejmujące krzywdy wyrządzone dzieciom. Pytanie zgwałconej kobiety o to, czy: „*rzeczywiście została zgwałcona przez Jana Kowalskiego?*” wywoła fizjologiczne objawy kłamstwa. Oczywiście niesłusznie, ujawni bowiem nie fałsz a strach i psychiczny ból. Dlatego absurdem są próby poddania badaniom na wariografie bliskich uprowadzonego. Podobnie klęską zakończy się najpewniej próba wykrycia tą metodą zabójcy z kręgu rodzinnego ofiary lub fałszu ogarniętego dzikim gniewem pracownika niesłusznie obwinionego o kradzież. Strach, bolesne wspomnienie powiązane z traumą, żaloba, nienawiść i wściekłość odczytane zostać mogą jako symptomy kłamstwa. Wystąpienie tego typu okoliczności należy więc symulować. Zgodnie z założeniem, czynnikiem rozróżniającym jest w takim wypadku wywiad otwierający badanie i manifestowane reakcje osoby siedzącej na fotelu. Ujawnianie znacznego zaangażowania emocjonalnego w omawiane kwestie wyklucza jednoznaczne przypisanie nieszczerości, a więc znów wracamy do uznaniowego umieszczenia odpowiedzi w przegródkach prawda/fałsz.

Po zakończeniu fazy wstępnej poligrafer przechodzi do badania właściwego. Osoba sadzana jest na fotelu, a do jej ciała – palców, ramienia i klatki piersiowej – przytwierdzone są czujniki. Niekiedy przed podłączeniem do wariografu prosi się badanego o umycie rąk oraz udostępnia mu butelkę wody, co ma usunąć z dłoni ewentualne substancje utrudniające odczyt reakcji fizjologicznych oraz wykluczyć skutki odwodnienia. Udając się do łazienki trzeba być

świadomym, że może w niej być zamontowana ukryta kamera. Jeśli pomieszczenie z wariografem znajduje się w budynku należącym do instytucji państwowych trzeba założyć stały podgląd ukrytymi kamerami lub poprzez lustra weneckie. Nigdy więc, nawet gdy poligrafer opuści gabinet, nie należy zachowywać się w sposób niewłaściwy, zażywać leków lub narkotyków, pokrywać dłoni substancjami blokującymi potliwość, ani wykonywać intensywnych ćwiczeń fizycznych w celu stymulacji organizmu. Czynności takie powinny być wykonane przed wejściem do budynku lub zaniechane.

Badanie otwierane jest pytaniami kontrolnymi, przy pomocy których ustalana jest granica normy dla odpowiedzi szczerych i anomalia występująca przy kłamstwie. Poruszane są tematy oczywiste, na które badany ma zgodnie z dyspozycją poligrafera udzielać odpowiedzi szczerych lub na żądanie kłamać. Zgodnie z założeniem, zarejestrowane różnice w drodze porównania umożliwiają później odróżnianie reakcji organizmu na fałsz od prawdy. Jest to moment kluczowy dla ustawienia oszustwa.

Na tym etapie ustalania wstępnego poziomu pobudzenia badany dokonać może autostymulacji zakłócającej odczyt. Może to być reakcja bólowa, w postaci np. przygryzienia wargi, podrażnienia językiem uszkodzonej zawczasu plombi, dyskretnego nacisku na bolące miejsce (siniak, złamanie) lub wbicia w ciało igły. Tą ostatnią ukryć można np. w bucie, gdzie znajduje się ona poza zasięgiem wzroku osób obserwujących badanie, ale w kontrolowanej odległości od palców stóp. Efektem stymulacji bólowej jest gwałtowne pobudzenie fizjologiczne, co w przypadku skoordynowania z odpowiedzią „prawdziwą”, da daleko odbiegający od normy obraz objawów „prawdy”. W ten sposób ustalony wysoki wstępny poziom pobudzenia uniemożliwi wychwycenie różnicy poziomów przy tzw. pytaniu krytycznym. W efekcie poligrafer nie rozpozna kłamstwa. Jest to bardzo prosty, acz odrobinę inwazyjny sposób oszukania

wykrywacza kłamstw. Mniej wymagająca metoda to intensywne myśli na bulwersujące tematy. Każdy posiada w życiorysie zdarzenia lub kontakty, których przywołanie w pamięci wzbudzi żywiołową reakcję. niesprawiedliwa ocena sądu, która kosztowała utratę rodzinnego majątku? Zdrada ukochanej małżonki z najgorszym wrogiem? Śmierć bliskiej osoby w wypadku, jej trumna oraz wizerunek unikającego kary a winnego kierowcy? Odtworzenie szczegółów tamtych wydarzeń, padających słów, i intensywne myśli ukierunkowane na wolę odpłaty za krzywdy... Tętno skacze, oddech przyspiesza, zaczynamy się pocić. Prawie kłamiemy.

Kto dysponujące warsztatem psychologicznym spróbować też może metody zaawansowanej autosugestii oraz świadomej selekcji odbieranych wiadomości, czyli „ignorowanie” faktycznie zadawanych pytań i bierne generowanie odpowiedzi. Ocena skuteczności tych zabiegów w wykonaniu danej osoby wymaga jednak wcześniejszego swobodnego dostępu do wariografu, co znajduje się w zasięgu np. oficerów wywiadu, ale już nie przeciętnego obywatela. Z uwagi na to utrudnienie zalecane są opisane wcześniej, prostsze warianty.

Gdy skala porównawcza została już utrwalona, poligrafer przechodzi do właściwych pytań, dzielonych na obojętne, kontrolne i krytyczne. Wbrew temu, co prezentują filmy, nie są one zaskoczeniem dla badanego. Przed rozpoczęciem serii ich treść jest przedstawiana, wraz z wyjaśnieniem tego, co przez nie należy rozumieć. Nigdy nie ma pytań otwartych, zawsze są one zamknięte. Możliwe odpowiedzi ograniczają się więc tylko do słów TAK i NIE, a jedna seria pytań wynosi od kilku do maksymalnie kilkunastu. Pomiędzy kwestie kluczowe wplątane będą sprawy banalne (aktualna miejscowość, dzień tygodnia itp.), stanowiące zarówno element kontrolny, jak i „uspokajający” reakcje badanego. Zwykle pytania powtarzane są wielokrotnie, tak by możliwe było

porównanie odnotowanych objawów fizjologicznych. Z tego powodu niezbędne jest ciągle kontrolowanie stanu swych emocji i ich sztuczna stymulacja.

Po zakończeniu serii pytań przeprowadzany jest tzw. wywiad końcowy, czyli wyjaśnianie kwestii, przy których pojawiły się oznaki ładunku emocjonalnego. Wówczas skorzystać należy z możliwości obrony i z każdą wątpliwą sprawą połączyć jakieś traumatyczne wydarzenie z przeszłości. Skala drgnęła przy pytaniu o oszustwa podatkowe? *Cóż, jeden z moich przyjaciół zbankrutował z powodu fiskusa, to była dla nas wszystkich wielka tragedia. Czy popełniłem przestępstwo przeciwko zdrowiu człowieka? Kilkakrotnie zostałem napadnięty przez chuliganów, ale tylko wyglądam na łatwą ofiarę i się obroniłem, ale to były bardzo przykre doświadczenia. Tak, musiałem wtedy mocno uderzyć kogoś, ale ostatecznie nic się tej osobie nie stało.* Korupcja? *Nie, nie wręczałem nigdy łapówek, ale kilkakrotnie sugerowano mi taką możliwość – to skandal jak często urzędnicy, czy policjanci z drogówki oczekują pieniędzy!* Do każdej kwestii można więc dopasować myśl neutralizującą pierwotnie negatywny obraz odpowiedzi. Nigdy nie należy się przyznawać do kłamstwa! Ani kryć oburzenia i zdenerwowania z powodu bezpodstawnych pomówień...

Na koniec warto wyposażać Czytelnika w wiedzę o zupełnej odporności na wariograf patologicznych kłamców (rutynowo mieszających rzeczywistość z własnymi wymysłami) oraz nieodczuwających emocji psychopatów. Kłamstwa są dla nich tak naturalne, że nie wzbudzają żadnych nadzwyczajnych reakcji organizmu. Istotne jest też zaprogramowanie społeczne. Jeśli ktoś wywodzi się z regionu, w którym mieszkańcy od dziecka poddawani są indoktrynacji ukierunkowanej na uczciwość i prawdomówność, to w przyszłości dużo gorzej będzie mu ukrywać kłamstwa. Według raportu CIA z 1978 roku Amerykanie mają należeć do tej właśnie

kategorii, zaś imigranci z Azji i Europy Środkowo-Wschodniej w sposób naturalny zachowują pełen spokój na fotelu prawdy.

W Polsce zastosowanie wariografu względem podejrzanego lub świadka wymaga jego pełnej zgody, a sam wynik badania nie jest bezpośrednim dowodem w postępowaniu karnym. Zawsze więc można odmówić, choć niekiedy z przyczyn chociażby taktycznych nie jest to wskazane. Tylko nieliczna grupa Polaków w praktyce nie może zrezygnować z badania. Są nimi funkcjonariusze służb mundurowych, którzy w przypadku wewnętrznych kontroli odmowę przypłacą zwolnieniem ze służby. Oni też wypracowali większość z powyższych metod oszukiwania wariografu.

Rozdział XII

Jak zniechęcić organa ścigania

Sprawcy drobnych przestępstw kryminalnych nie mogą oczekiwać specjalnego respektu ze strony urzędników państwowych. Inaczej wygląda jednak sytuacja, gdy kajdanki trzeba zapiąć na rękach „*białego kołnierzyka*”, zwłaszcza, jeśli stać go na złote spinki do mankietów. Pomimo ustroju demokratycznego i teoretycznego poszanowania praw człowieka, policjanci nie mają zwykle oporów przed stosowaniem przemocy i gróźb w trakcie przesłuchań, co milcząco akceptują zarówno prokuratorzy, jak i sędziowie. Względem sprawiedliwości zawsze byli, są i będą równi i równiejsi. Dlatego przywilejami obejmuje się podejrzanych majątnych, a już szczególnie tych powiązanych z wpływowymi kręgami. Nie jest tajemnicą, iż od zwierzchników – zarówno bezpośrednich, jak i tych wysokich, z nadania politycznego, zależna jest kariera śledczych i ich przełożonych. Funkcjonariusz z dołu hierarchii własną głową zapłaci za spokój tych, którzy są ponad nim. Czynnikiem szczególnie ograniczającymi pewność siebie urzędników są powiązania sprawcy z liderami wiodących partii politycznych – aktualnie rządzących lub opozycji z realną szansą na przejęcie władzy, opiniotwórczymi mediami oraz byłymi i obecnymi funkcjonariuszami służb specjalnych i policyjnych.

Dostęp do polityków nie należy utożsamiać ze spoufaleniem. Legitymacja wybranej partii, przekazanie datków na kampanię oraz członkostwo w sztabie wyborczym konkretnego polityka już otwiera drogę do bezpośredniego nawiązania z nim znajomości. Wbrew

pozorom każdy, przy odrobinie zaangażowania, w ciągu kilku miesięcy może poznać wierzchołek dowolnego ugrupowania politycznego, włącznie z pierwszą ligą – byłymi i obecnymi premierami, ministrami, posłami oraz senatorami. To partie zabiegają o pozyskanie oddanych działaczy, a nic tak nie motywuje do ciężkiej pracy i lojalności, jak opromienienie chwałą gwiazd. Dlatego wciąż w lokalnych kołach organizowane są spotkania z liderami, bankiety, uroczystości, wycieczki do Sejmu etc. Szczególnym czasem bratania się i tworzenia pozorów „jednej wielkiej rodziny” są kampanie wyborcze, kiedy każda para pracujących rąk i agitujących ust jest na wagę złota. A wybory zdarzają się niemal każdego roku: do parlamentu i europarlamentu, prezydenckie, samorządowe, a także uzupełniające. Nawiązane wówczas kontakty stanowią idealną podwalinę dla ewentualnej bliższej współpracy w formie np. asystenta społecznego, pracownika biura poselskiego lub doradcy. Kompetentna i bezpłatna siła robocza jest zawsze mile widziana. Od tego momentu kontakty przyrastają w tempie geometrycznym. Każdego dnia partyjny neofita poznaje nowych działaczy odwiedzających gabinet obsługiwanego polityka. Jedne znajomości bywają płytsze, inne przeradzają się w szczerą sympatię lub współpracę na polu zawodowym. Ale wszystkie są dostrzegalne.

Biling połączeń telefonicznych ujawni prowadzenie rozmów z urzędnikami państwowymi, parlamentarzystami, a może nawet z premierem lub szefem MSW. Z odnalezionego, podczas rewizji mieszkania, albumu ze zdjęciami na podłogę wysypią się fotografie wpływowych osób smakujących karkówkę z grilla w towarzystwie podejrzanego i jego żony. A na pytanie o alibi padnie nazwisko posła, *który był i widział*. I szeregowy policjant ma wtedy powody do obaw, zwłaszcza jeśli sam nie ma czystej karty i podejrzewa, że weryfikowany przedsiębiorca to tak naprawdę tylko figurant wpływowych osobistości. W podobny sposób mit swych wpływów

budował Edward Mazur – podejrzewany o zlecenie zabójstwa gen. Marka Papąły. Bardzo często podkreślał swe powiązania z liderami partii takich jak SLD i PSL, uczestniczył wraz z nimi w imprezach towarzyskich i mieszkał po sąsiedzku z czołowymi działaczami: dwoma lewicowymi premierami i prezydentem. Do lokalnych struktur partyjnych często przystępowali też przestępcy powiązani ze zbrojnymi gangami. Wówczas każde działanie wymierzone przeciwko nim równało się atakowi na aktyw partyjny, co ochoczo nagłaśniały media i ugrupowania opozycyjne. Z banalnej sprawy robiła się głośna afera, szkodząca wizerunkowi potężnej partii. Śledczy nie mogli wiedzieć, na jak daleko posuniętą lojalność polityków podejrzany może liczyć, w związku z czym często woleli rezygnować ze stawiania zarzutów. W skrajnych przypadkach, pomimo ewidentnych dowodów winy, skazanych działaczy ułaskawiano, a prokuratorzy i policjanci liczyć się musieli z zastopowaniem ich awansów i premii. Próba pobicia lub szantażu w celu wymuszenia przyznania się do winy – masowo praktykowana na polskich komisariatach w sprawach drobnych kradzieży – mogła przynieść zupełne odwrócenie ról. Obalenie nawet żelaznego materiału dowodowego z uwagi na nielegalne praktyki śledcze i oskarżenie nadmiernie krewkich następców Brudnego Harry'ego. *Policjant w więzieniu?* Los nie do pozazdroszczenia.

Współpraca z mediami, szczególnie wiodącymi stacjami telewizyjnymi lub poczytnymi dziennikami i tygodnikami, naraża na nagłośnień wszelkich nieprawidłowości zaistniałych w śledztwie i ewentualnych „luk” w materiale dowodowym. Logika zarzutów czynionych ze strony prasy nie ma większego znaczenia, liczy się tylko to, kto owe zarzuty podnosi i na ile aktualnej władzy zależy na dobrych relacjach z tym publicystą lub jego redakcją. Zdecydowana większość widzów i czytelników nie ma pojęcia o poruszanych tematach, jednak ślepo wierzy w tezy powielane przez „autorytety”

lub popularnych dziennikarzy. Komentarze do działań Centralnego Biura Antykorupcyjnego pozbawione były zwykle jakichkolwiek merytorycznych aspektów, a podzieliły kraj według poglądów dwóch nurtów politycznych – postępowych światowców i zaściankowych oszołomów, przy czym trudno określić, która grupa była którą. Podobnie atak na osobę popularną lub jej bliskich zniszczyć może rzetelnego i uczciwego śledczego, a na piedestał wyniesie bezczelnego oszusta. Kolejnym elementem jest możliwa presja na sąd. Ten teoretycznie bywa niezawisły, w praktyce jednak zwykle łąsy zarówno na przychylną prasę, jak i na otwierające drzwi kariery oczekiwane wyroki. Ostatni element nacisku medialnego to ryzyko nagonki z ujawnianiem brudów. Dziennikarze należącego do Ruperta Murdocha koncernu News Corp. podsłuchiwali wysokich rangą komisarzy Scotland Yardu, co miało być związane z prowadzonymi przez Policję czynnościami. Podejrzewano szantażowanie funkcjonariuszy ujawnieniem kompromitujących ich informacji, co zbiegło się z publikacjami o zawyżaniu przez jednego z detektywów służbowych rachunków i zdradzaniu małżonki oraz o wykorzystywaniu przez jego kolegę służbowych podróży do osiągania korzyści majątkowych. W polskich realiach nadal spotkać można się z plotkami, jakoby redaktor naczelny pewnego poczytnego dziennika dysponował dużą ilością teczek osobowych Tajnych Współpracowników SB. Tych, którzy w III RP zrobili kariery na bazie swej opozycyjnej legendy.

Inwencją wykazali się młodzi przestępcy z pewnej miejscowości położonej na południu Polski. Ambitny prokurator prowadzący śledztwo w sprawie dystrybucji narkotyków osadził ich kompana w areszcie. Łapówki nie przyjął. Przez kilka miesięcy, konsekwentnie, delegowano więc dziewczyny z pobliskiej agencji towarzyskiej do pozornie niegroźnych rozmów. Młode, atrakcyjne kobiety zaczęły na ulicy prokuratora pytać o drogę lub o godzinę, po czym

dziękowały za informację i odchodziły. Wykonane dyskretnie fotografie ukazywały na szerokiej przestrzeni czasu stałe i „*radosne*”, pełne uśmiechów i serdeczności przechadzki urzędnika państwowego z prostytutkami. Różne pory dnia i pogoda oraz inne ubrania dowodziły, że zażyłości te utrzymywane są od dawna. Ewentualne ujawnienie tych materiałów mogłoby wskazywać „*tylko*” na niemoralne zachowanie żonatego mężczyzny. Dzieła zniszczenia dopełnili jednak świadkowie twierdzący, iż właściciel zatrudniającej te właśnie prostytutki agencji towarzyskiej pozostawał w konflikcie z zatrzymanym handlarzem... Śledztwo narkotykowe zostało umorzone, a prokurator rozważał zmianę togi oskarżyciela publicznego na zaciszną kancelarię radcowską.

Trzecia forma tarczy ochronnej to powiązania personalne z byłymi oficerami służb specjalnych, a rzadziej Policji lub wojska, zgodnie z kluczem: im bogatszy i „*mocniejszy*” biznesmen, tym więcej zatrudnia majorów, pułkowników i generałów w stanie spoczynku. Mniej chętnie manifestowane są zażyłości z chorążymi lub podoficerami, a już zupełnie wyjątkowo z szeregowymi funkcjuszami. Z uwagi na radosne rozwiązywanie służb specjalnych po niemal każdych wyborach parlamentarnych, bezrobotnych szpiegów na polskim rynku pracy nie brakuje. Przeszkolenie, a potem „*wdrożenie*” w kontakty zawodowe i towarzyskie specjaliści trwa realnie około 3 lat, typowa kadencja wystarcza więc na przygotowanie wybitnej klasy fachowców dla sektora prywatnego. Osoba taka często zachowuje bliskie relacje z urzędującymi oficerami, prowadzi też dla nich niedozwolone, z uwagi na przepisy antykorupcyjne, interesy, co zagwarantować ma męczącym się na państwowym wikcie kolegom godną emeryturę. Dzięki temu cieszy się szczelnym parasolem ochronnym. Świadomi tego urzędnicy wszelakich instytucji śledczych starają się nie irytować swych obecnych, ani przyszłych zwierzchników, ani ich kolegów.

W ostatniej dekadzie aż trzykrotnie zasypano sektor prywatny „szpiegami” – w 2002 roku lewica rozwiązała UOP, który 10 lat wcześniej zastąpił komunistyczną Służbę Bezpieczeństwa. W 2006 roku prawica zwolniła, wraz z likwidacją WSI, tysiące niekiedy przeszkolonych jeszcze w Moskwie oficerów wojskowego wywiadu. Jednocześnie grzecznie „wyproszono” rzesze fachowców z ABW i AW oraz Policji. Dwa lata później liberałowie nie rozwiązując, co prawda, żadnej służby wyrzucili kolejne kadry czyszcząc wywiad cywilny i wojskowy po konserwatystach. Na ulice trafili nie tylko specjaliści ds. karnych i gospodarczych z najwyższej półki, ale też osoby dysponujące wiedzą kompromitującą wielu dostojników. Prowadząc przez lata działalność wywiadowczą budowali agenturę informatorów, zakładali podsłuchy, przesłuchiwali świadków, zabezpieczali materiał dowodowy w sprawach poważnych przestępstw, działalności wrogich służb wywiadowczych oraz afer politycznych, a przy okazji pozyskiwali wiadomości o cudzych przyziemnych przywarach: romansach, uzależnieniach, przyjętych i wręczonych łapówkach, hańbiących powiązaniach etc. Do tego odchodząc ze służby nie zerwali powiązań towarzyskich. Nadal utrzymują przyjacielskie stosunki z czynnymi funkcjonariuszami, wspólnie biesiadują nad flaszками i gołonką. W jaki więc sposób młody sierżant z dochodzeniówki może wygrać konfrontację z byłym oficerem w stopniu majora lub pułkownika, który co piątek pije wódkę z generalicją jego formacji? Otóż, nie może. Dlatego każdy szanujący się przestępca gospodarczy zabiegał o zatrudnienie przynajmniej jednego, opłacanie pensji traktując w dużej mierze jako łapówkę za okiełznanie organów ścigania. Czy słusznie? Na to pytanie nie poznamy odpowiedzi.

Wiązania personalne stały się standardową metodą ochrony tzw. Mafii Paliwowej. Spółki branżowe usiane były „mocnymi nazwiskami” – zatrudniały m.in. żonę i syna premiera Oleksego,

przyrodniego brata premiera Millera, czy żony szefa Biura Ochrony Rządu oraz jego zastępcy. Oczywiście nikt z działalnością tych osób nie wiązał żadnych zarzutów, jednak trudno przypuszczać, że niscy rangą urzędnicy państwowi z odwagą Dawida stawali przeciwko Goliatowi. Podobną taktykę objął Edward Mazur, zaliczający do swych najbliższych przyjaciół generalicję UOP, BOR i dawnej SB, a także komendanta głównego Policji gen. Papię i jego zastępcę gen. Kurnika. Do legend przeszły często zakrapiane wódką integracje w centrali służb na ul. Rakowieckiej, w sąsiednim budynku MSW i Sejmie, a także wspólne biesiady z Oleksym, Sobotką oraz innymi liderami wiodących wtedy partii SLD i PSL. Pełnomocnikiem spółek zbożowych Mazura był na terytorium Polski emerytowany generał SB Józef Sasin. Import zboża z Kazachstanu organizował pułkownik radzieckiego, a następnie rosyjskiego wywiadu Władimir Ałganow. Krąg znajomych zamykali szpieg gen. Marian Zacharski, płk Hipolit Starszak (w jednej osobie absolwent szkoleń KGB, właściciel spółki Urma i wydawca lewicowego czasopisma NIE), wpływowy premier Waldemar Pawlak, a także kilku innych, pomniejszych premierów i ministrów. Czy takie otoczenie zapewnia dreszcz niepewności na plecach prokuratorów i policjantów? Czy brak owych dreszczy kosztował Papię życie? Na pewno wielu urzędników ma to dziś na uwadze.

Gratuluję drogi Czytelniku. W tej chwili jesteś już bogatym człowiekiem, który zgromadził majątek z wykorzystaniem udogodnień polskiej, społecznej gospodarki rynkowej – czyli oksymoronu próbującego zmieszać samoregulujący wolny rynek z socjalistycznymi unormowaniami przedsiębiorczości. Otwierają one szeroko drzwi do wszelkich niegodziwości, czyniących moralnych inaczej ludźmi o wielkich możliwościach... Pokonałeś już słabych, czyli uczciwych przedsiębiorców. A teraz czas na bardziej wymagającego przeciwnika, czyli Skarb Państwa...

PODSUMOWANIE

- ✓ Nie warto rejestrować nowego podmiotu gospodarczego – jest zbyt drogi i niewiarygodny
- ✓ Podmioty zagraniczne i charytatywne można powołać dużo taniej, niż polską spółkę kapitałową
- ✓ Nie należy ograniczać skali działania – najciemniej jest zawsze pod latarnią, a światła jupiterów zapewniają ludzką przychylność i zaufanie
- ✓ Pozyskanie kapitału lub mienia dla podmiotu gospodarczego jest proste – stosunkowo trudne pozostaje wyprowadzenia majątku ze spółki w sposób nienarażający końcowego beneficjenta na odpowiedzialność karną
- ✓ W przypadku ciągłej działalności gospodarczej nieukierunkowanej na szybką upadłość najprostsza metoda to nie płacić – nie narażamy się na odpowiedzialność karną, a wierzyciele najpewniej nie podejmą przeciwko nam żadnych skutecznych działań
- ✓ Spłacaj drobne części wierzytelności, a doprowadzając do upadłości pozostawiaj część kapitału na spłatę wierzycieli – roszczenie stanie się sporem cywilnym wynikłym z tzw. ryzyka gospodarczego, a nie postępowaniem karnym
- ✓ Pisz – prowadź obfitą korespondencję z kontrahentami i urzędami, udzielaj „wyjaśnień”, odnoś się do kierowanych pism. Jeśli współpracujesz – nawet nie wykazując się inteligencją i zrozumieniem skierowanych do Ciebie pytań, to brak możliwości wytoczenia skutecznych zarzutów

Pamiętaj, że prawo jest po Twojej stronie!

DZIAŁ II

OSZUSTWA PODATKOWE

Rozdział XIII

Jak okradano Skarb Państwa na paliwach (akcyza i VAT)

Najlepiej zorganizowaną i wydajną ekonomicznie strukturą przestępczą w historii Polski jest jak dotąd tzw. Mafia Paliwowa. Syndykat tworzyli przedsiębiorcy i urzędnicy państwowi nastawieni na masowe oszustwa podatkowe i gospodarcze. Działali tak skutecznie, że przebili nawet włoskie oryginały – Cosa Nostrę i Camorrę. Tamte zostały zdekonspirowane, a ich liderzy trafili za kraty. Tymczasem polskie sądy uniewinniły oskarżonych twierdząc, na wzór sycylijskich wieśniaków z lat 70-tych, że *mafia nie istnieje*. Przyjmijmy jednak, tak hipotetycznie, że niezawisli nosiciele tog ten jeden raz wykazali się słabym wzrokiem...

Powołany w drugiej połowie lat 90-tych XX wieku syndykat naftowy, oparty na filozofii ciągłej cyrkulacji kapitału i towarów między dziesiątkami, a niekiedy nawet setkami podmiotów gospodarczych, zarabkował głównie na obłożonych proporcjonalnie najwyższymi daninami publicznymi paliwach płynnych. Powszechne zapotrzebowanie na nie wśród prywatnych posiadaczy pojazdów, w przemyśle i transporcie, gwarantowało zbyt niemal każdej dostępnej ilości benzyn i olejów napędowych. W puli przedsiębiorców pozostawała nadwyżka ponad „suchymi” kosztami uzyskania surowca oraz jego przetworzenia. Sprzedając wyrób petrochemiczny z pominięciem odprowadzenia doliczonego wysokiego podatku, osiągnano na każdym litrze zysk sięgający 70% jego ceny, czyli około 5 razy więcej niż w przypadku uczciwej sprzedaży paliw w

dystrybucji detalicznej.

W 2008 roku przeciętny udział podatków w cenie litra paliwa wynosił około 56% – w tej wartości zamykała się akcyza, opłata paliwowa i VAT. Oznacza to, że benzyna w cenie 3,70 zł/l zawierała daninę państwową rzędu 1,96 zł/l, a to wyznacza koszt samego paliwa z marżą rafinerii i stacji benzynowej na poziomie 1,54 zł/l. Spadek cen ropy naftowej powoduje, że procentowy udział podatków wzrasta jeszcze bardziej, gdyż zarówno stawka akcyzy, jak i opłata paliwowa, są ustalone kwotowo a nie procentowo. Podatki te dla benzyn wynosiły wówczas odpowiednio 1565 zł i 83,71 zł na każde 1000 litrów, a dla oleju napędowego 1048 zł i 93,69 zł. Zaznaczyć należy, że zarówno od akcyzy, jak i opłaty paliwowej również nalicza się VAT. Daniny publiczne od lat pochłaniają około 60% ceny benzyny i powyżej 50% ceny oleju napędowego. Wynika z tego, że w „puli” paliwowych oszustów uszczuplających podatki pozostawała z każdego litra kwota około 2,22 zł. Przeciętna cysterna dowożąca paliwo do stacji benzynowych mieści około 35 – 50 tysięcy litrów, nie trudno więc wyliczyć zyski płynące z jednej tylko nielegalnej dostawy.

W skali mikro sama realizacja pomysłu jest nie tylko bardzo prosta, co niemal niewykrywalna dla organów kontroli państwowej. Pionierzy naftowego szwindlu w pierwszym rzucie dokonali importu 120 cystern oleju napędowego, na granicy deklarując jednak transport jako olej opałowy. Nieprzygotowani na tego typu nieuczciwość celnicy nie mieli podstaw do kwestionowania deklarowanej zawartości, zwłaszcza, że barwa, konsystencja, jak i zapach obu produktów petrochemicznych były nie do odróżnienia. Ze względów społecznych paliwa płynne przeznaczone na cele grzewcze obłożono o wiele niższą akcyzą, od tych trafiających na stacje benzynowe. Przy hurtowym obrocie różnica jest szczególnie widoczna. Obowiązujące ówczesnie Rozporządzenie Ministra

Finansów w sprawie podatku akcyzowego ustalało przeciętną stawkę dla celów transportowych na około 1200 zł dla 1000 litrów, podczas gdy dla oleju opałowego taka sama ilość obciążona była jedynie kwotą 100 zł. Zmiana jedynie na papierze zawartości jednej cysterny zapewniała oszczędność do 55 000 zł, a na wszystkich 120 cysternach importerzy na samej tylko akcyzie zarobić mogli dodatkowo 6 600 000 zł. Sprowadzone paliwo trafiło do detalicznej sprzedaży za pośrednictwem należących do tych samych osób stacji benzynowych. Poszczególne stacje dysponowały na wypadek kontroli dokumentacją zakupu paliwa w legalnym obiegu, natomiast określenie, czy w zbiornikach znajduje się to samo paliwo, co na fakturze VAT, przy identycznym jego rodzaju, było niemożliwe. Płyn nie zawiera przecież indywidualnego numeru seryjnego, opakowania, ani znaków szczególnych. Oczywiście sprzedaż dodatkowych ton oleju nie była ewidencjonowana, co umożliwiło uszczuplanie tak podatku dochodowego, jak i VAT. Oszustwo zapewniało komfort psychiczny sprawców, gdyż nawet w przypadku wykrycia nie rodziło surowej odpowiedzialności karnej na zasadach ogólnych Kodeksu karnego, a stosunkowo łagodną z Kodeksu karnego skarbowego. Ten zaś przewidywał niskie wyroki, w praktyce zazwyczaj ograniczone jedynie do grzywny. Tymczasem za identycznej wartości klasyczne oszustwo obostrzone przez art. 294 § 1 kk groziło nawet 10 lat więzienia. Również przedawnienie przestępstwa skarbowego następowało o wiele szybciej, niż czynu o charakterze kryminalnym.

Na kanwie udanego eksperymentu zorganizowano najbardziej wydajną finansowo grupę przestępczą w Europie Środkowej. Późniejszy akt oskarżenia w jednym tylko odłamie Mafii Paliwowej obejmował zarzuty uszczuplenia należnych fiskusowi podatków na kwotę ponad miliarda zł, a według szacunków rzeczywiste dochody naftowego lobby sięgać mogły nawet 10 miliardów zł rocznie.

Gdyby proceder ograniczono do rozsądnych ilości nielegalnie importowanego paliwa, najpewniej nigdy nie doszłoby do jego wykrycia. W sytuacji jednak, gdy pomimo niespełna podwojenia ilości zarejestrowanych pojazdów osobowych i transportowych nie wzrósł dochód Skarbu Państwa z tytułu sprzedaży paliwa, jedynie kwestią czasu pozostawało wykrycie, na bazie samych chociażby analiz ekonomicznych, tak istotnego okrojenia budżetu narodowego. Natomiast detaliści, ograniczający się do nielegalnej sprzedaży tygodniowo jednej, czy dwóch cystern benzyny na przydrożnej stacji benzynowej, mogli w większości przypadków nadal bezkarnie oszczędzać setki tysięcy zł.

Inwencja towarzysząca procederowi przestępczego importu paliw płynnych uczyniła Polskę globalnym nabywcą nr 1 nie tylko oleju opałowego – masowo zwożonego także latem, ale i nafty oświetleniowej. Nafta do lampek nocnych, popularnych w XIX wieku, a obecnie rzadko spotykanych poza sentymentalnymi pensjonatami i strychami naszych dziadków, również nie odbiegała wyglądem od diesla. Jako przedmiot transportu wpisywano także każdy inny, podobny produkt petrochemiczny, spełniający warunek niskiej stawki akcyzy: paliwa lotnicze i rakietowe, izopentan, benzyny lakiernicze, lakowe i apteczne, odpady poprodukcyjne. Transport jednej tylko, detalicznie sprowadzonej cysterny zapewniał czysty zysk przekraczający roczny budżet przeciętnej polskiej rodziny.

Przez krótki czas działalność na najpopularniejszych naftach grzewczych utrudnił barwnik, mający wyraźnie odznaczać oleje opałowe od napędowych. Szybko jednak udało się opracować metodę jego wytrącania w drodze reakcji chemicznej z kwasem solnym, po czym charakterystyczny kolor pozostawał z osadem na dnie zbiornika. Wówczas Ministerstwo Finansów wprowadziło ulgi ekologiczne za wykorzystywanie wtórne śmieciowych tzw. olejów

przepracowanych. Doszło do paradoksalnej sytuacji, w której ogromne zapotrzebowanie na naftowe odpady skutkowało ich skupowaniem przez rafinerie powyżej ceny szlachetnej benzyny. Brakowało tylko dostawców. Do zaspokojenia popytu idealne okazały się właśnie pozostałości po wytrąconym barwniku olejów opałowych. Następnie, podążając w ślad zapotrzebowania, to samo ministerstwo objęło ekologiczną ulgą tzw. wody zęzowe, czyli pozostałości po czyszczeniu maszynowni statków morskich. Tej kategorii „olej przepracowany” uzyskiwało się dolewając wiadro wody do kadzi czystego paliwa. Dzięki przychylności rządu możliwości oszustw w branży petrochemicznej gwałtownie rosły.

Kolejnym posunięciem socjalnym, motywowanym wolą ograniczenia kosztów funkcjonowania deficytowego rybołówstwa, było wprowadzenie ulgi podatkowej na wykorzystywany przez bałtyckie kutry rybackie olej żeglugowy. Wskutek tego rybacy masowo nawiązywali współpracę z dystrybutorem paliwa z podwarszawskiej Zielonki – miejscowości położonej niespełna 350 km od linii brzegowej. Setki z nich regularnie, każdego tygodnia, jedynie na papierze kupowało przeciętnie po dwie cysterny paliwa. Kwitujący odbiór uzyskiwali prowizję w wysokości 20 gr. od każdego litra oleju, ten zaś niezwłocznie trafiał na stacje benzynowe jako pełnoprawny diesel. We Władysławowie „tankowano” nawet statki od lat rozmontowane i parkujące na plaży.

Praktykowanie na szeroką skalę korupcji otwarło naftowym baronom drogę do stworzenia ogromnego i wydajnego organizmu wielokrotnie zarabiającego na jednym produkcie. O ile stosunkowo łatwo dyskretnie spieniężyć jednostkowe cysterny, o tyle przy działalności nie tylko hurtowej, co wręcz wpływającej na kształt budżetu państwa, pozostawało to o wiele bardziej skomplikowane. Do tego celu niezbędne okazało się powołanie sieci przedsiębiorstw wzajemnie „odsprzedających” sobie importowany olej opałowy, tak,

by na pewnym etapie, „*zmienił*” się on na fakturze już w olej napędowy i mógł legalnie, bez uregulowania akcyzy, trafić do dużych sieci stacji benzynowych. Formalna „*transformacja*” miała zazwyczaj miejsce na etapie małego, jednoosobowego podmiotu gospodarczego prowadzonego na tzw. „*słupa*”, czyli na osobę podstawioną, nieświadomą roli jaką pełni. Jednym z takich figurantów, formalnie obracającym tysiącami ton paliwa, pozostawała cierpiąca na alzheimera 80-letnia staruszka, która w dodatku całe swe ogromne przedsiębiorstwo oraz magazyny mieściła w 25 metrowej kawalerce. Inne, podobne podmioty, prowadzone były m.in. przez nieposiadających żadnego majątku alkoholików, narkomanów lub mieszkających na dworcach bezdomnych. Za usługi, takie jak comiesięczne kwitowanie faktur VAT opiewających na dziesiątki milionów zł, słup inkasował drobne honorarium – zazwyczaj 200 zł. Wykrycie fikcyjnej sprzedaży paliwa przez organa kontroli skarbowej lub Policję nie rodziło dużego ryzyka udowodnienia winy beneficjentom procederu. Słup nie znał ich twarzy ani nazwisk, nawet nie wiedział w jakiej branży sam „*pracuje*”. Trudności w przesłuchaniu takiego świadka potęgował częsty brak miejsca stałego pobytu, zaś namierzenie w drodze czynności operacyjnych nie likwidowało problemu ograniczonej świadomości, zwykle zamroczonego używkami, „*przedsiębiorcy*”. System koncesyjny gwarantować miał szczególną opiekę ze strony państwa nad strategicznym dla gospodarki sektorem energetycznym. Jak więc wytłumaczyć, że akcyzę omijano również poprzez papierową „*produkcję*” paliw, realizowaną „*infrastrukturą*” podobnie wiarygodnych podmiotów i przedsiębiorców, jak wspomniane słupy? Nikt w ministerstwie nie zwrócił uwagi na taki szczegół, że wydano ponad 70 koncesji na tego typu działalność, a tymczasem w Polsce działało wówczas jedynie 7 rafinerii.

Przepuszczanie paliwa przez łańcuch kilkudziesięciu firm

gwarantowało nie tylko rozmycie odpowiedzialności beneficjentów procederu oraz symulowanie różnych źródeł pozyskania benzyny, ale także otwierało drzwi do licznych nadużyć w zakresie zwrotu podatku VAT. Wielokrotna cyrkulacja produktem pomiędzy licznymi podmiotami – także zagranicznymi, umożliwiała po spełnieniu, również tylko na papierze, ustawowych przesłanek wielokrotne występowanie o nienależny zwrot nieodprowadzonego podatku od towarów i usług. Miesięcznie zysk z tego oszustwa sięgać miał kilkudziesięciu milionów zł.

Stały przepływ ogromnych pieniędzy pomiędzy rachunkami bankowymi wszystkich paliwowych podmiotów tworzył podstawy do przyznawania znacznej wartości linii kredytowych. Trudno nie uznać za wiarygodnego finansowo klienta, przez którego konto co miesiąc przepływa kilkadziesiąt milionów zł z tytułu licznie przeprowadzanych transakcji na niezagrożonym recesją rynku petrochemicznym. Z dobrodziejstwa tego korzystano w chwili identyfikacji fikcyjnych podmiotów przez Policję lub skarbowkę. Gdy pozyskano od skorumpowanych urzędników informację o planowanych kontrolach, na podstawie wypracowanej historii obrotów uzyskiwano wielomilionowe kredyty. Przyznane środki przelewano na zewnętrzne konta figurantów, skąd wypłacone w gotówce znikwały z rejestrowanego przepływu i anonimowo trafiały do organizatorów procederu. Zadłużony podmiot, wraz z przynależącym do niego „*slupem*”, pozostawiano na pastwę Policji. Dywersyfikacja kanałów wprowadzania do obrotu fałszowanego paliwa umożliwiała spokojną eliminację zbędnych już ogniów bez ryzyka zachwiania całym naftowym organizmem.

Z czasem podjęto próby zaoszczędzenia na dotąd jedynym stałym wydatku – czyli „*suchych*” kosztach paliwa. Rozpoczęto produkcję benzyny z rosyjskiego mazutu i oleju opałowego lub rzepakowego, eksperymentowano z benzyną krakingową. Wynalazki niszczyły

silniki, lecz były od szlachetnego paliwa tańsze o kilkadziesiąt groszy na litrze. Niemal każdy polski kierowca spotkał się też na stacjach benzynowych z drobnej skali nieuczciwością, zwaną popularnie chrzczeniem paliwa, czyli rozcieńczaniem oryginalnej benzyny.

Opisanymi metodami wielokrotnie zarabiano na jednej działalności – sprzedaży paliw płynnych. Dokonywano importu z pominięciem akcyzy. Sprzedawano produkt petrochemiczny bez jego ewidencjonowania, a więc bez odprowadzania opłaty paliwowej, podatku VAT i dochodowego. Wyłudzano „zwrot” niezapłaconego podatku VAT. Uzyskiwano ulgi ekologiczne z tytułu odpadów powstałych przy wytrącaniu barwnika olejów opałowych. Sztucznie tworzone „oleje przepracowane” zanieczyszczając paliwo wodą. Na podstawie sztucznych obrotów między rachunkami bankowymi wypracowywano wysoką zdolność kredytową w istocie fikcyjnych podmiotów gospodarczych, co umożliwiało pobieranie niespłacanych później kredytów. A na końcu fałszowano benzynę tworząc produkty paliwopodobne z tanich zamienników i odpadów.

Według właściwych instytucji państwowych, zorganizowana na szeroką skalę działalność tzw. Mafii Paliwowej miała zostać wyeliminowana, a według niektórych źródeł miała być tylko i wyłącznie wymysłem żadnej sensacji prasy oraz sfrustrowanych polityków opozycji. Jest to jednak mało prawdopodobne, zważywszy jak wielkie problemy napotykają do dziś osoby, które chciałyby wejść do branży paliw płynnych i zacząć uczciwe działanie na szeroką skalę. Polski rynek jest już trwale podzielony w sposób nie mający nic wspólnego z wolnością gospodarczą. Owe zamknięcie nie zmienia jednak faktu, iż powyższe metody oszustw, te nadal możliwe w świetle obowiązujących przepisów prawnych i stosowanych rozwiązań technicznych, zapewne nadal są stosowane też w dużo mniejszej skali przez rozsądnych, znających umiar

detalistów, głównie drobnych importerów i właścicieli stacji paliw. Ale oni znają swoje miejsce w szeregu i nie przeszkadzają liderom.

Organizacja procederu na tak dużą skalę mogła być możliwa jedynie dzięki współpracy z ogromną liczbą skorumpowanych urzędników: policjantów (włącznie z nieoczekiwanie uniewinnionym komendantem wojewódzkim śląskiej Policji), pracowników urzędów skarbowych oraz Urzędu Kontroli Skarbowej, polityków oraz asów palestry. Szary człowiek z pewnością nie byłby w stanie powołać syndykatu działającego niemal jawnie i obracającego tak wielkimi pieniędzmi. Tutaj nie dość, że przez wiele lat nie dochodziło ani do zatrzymań, ani po ujawnieniu afery do konfiskaty powstałych fortun, to do dzisiaj aparat państwowy skutecznie eliminuje osoby pragnące zająć miejsca dawnych potentatów. Idealnym tego przykładem pozostaje nieudana zmiana profesji przez byłego warszawskiego antyterrorystę o pseudonimie „Robson”. Policjant ten, po przejściu na wcześniejszą emeryturę, podjął się z dawnymi kolegami „ochrony” nocnych klubów oraz imprez. Faktycznie tym samym przeszedł na drugą stronę, co stało się powoli normą wśród stołecznych policjantów, zaślepionych blichтром i pełnym rozmachu dostatnim życiem gangsterów. Jako osoba znana zarówno przez jedną, jak i drugą stronę, stosunkowo szybko wywalczył sobie mocną pozycję na mieście i zgromadził kapitał, na bazie którego postanowił rozkręcić interes w branży biopaliw. Godne pochwały pozostawało innowacyjne podejście świeżo upieczonego przedsiębiorcy: drogą własnych eksperymentów opracował on szereg ciekawych, ekologicznych alternatyw dla ropy naftowej, nie tylko takich jak stosunkowo już spowszedniałe oleje paliwowe z roślin, ale i z tłuszczów zwierzęcych. Całe laboratorium umożliwiające tą niezbyt skomplikowaną technologicznie produkcję Robson umieścił w przydomowych budynkach gospodarczych, również osobiście prowadził cysternę dostarczającą drogocenny płyn. Szybko zawarł

kontrakt na dostawy paliwa roślinnego z rafinerią w Trzebini, przy czym łączna wartość zamówienia rozpisanego na kilka rocznych transz oscylowała w granicach 200 milionów zł. Pieniądze te okazały się zbyt duże, aby mogły trafić do osoby z zewnątrz. Dziwnym trafem, wkrótce po sprzeczce Robsona z jednym z paliwowych baronów z południowo-wschodniej Polski, urząd skarbowy dokonał niekorzystnej i sprzecznej z powszechną wykładnią interpretacji przepisów dot. podatku VAT w obrocie komponentami do biopaliw. Wbrew praktyce i pozostającej poza sporem interpretacji przepisów, nowego producenta obciążono obowiązkiem zapłaty kilkuset tysięcy zł „zaległego” podatku VAT. Przy ówczesnej kondycji finansowej przedsiębiorstwa, będącego dopiero na etapie rozruchu działalności, oznaczało to faktycznie upadłość. Odwołanie od niekorzystnej decyzji okazało się nieskuteczne, doszło do egzekucji należności i zupełnego pozbawienia przedsiębiorcy kapitału. Nieopłacone należności względem dostawców surowców też skutkowały szybkim wydaniem nakazów zapłaty. Wszelkie tytuły wykonawcze skierowano do egzekucji – niszczącej dla drogiej aparatury. Pod nieobecność Robsona komornik, wraz z lokalnymi policjantami, wyważył bramę jego domu i wkroczył na posesję, a następnie dokonał bardzo nieprofesjonalnego „demontażu” zainstalowanej tam linii produkcyjnej. Z powodu wstrzymania dostaw rafineria zerwała umowę na dostawy biopaliwa i obłożyła niesolidnego kontrahenta kilkumilionową karą umowną. Pomimo późniejszego wzruszenia niesłusznej decyzji dot. podatku VAT przedsiębiorstwo upadło, a sam inwestor powrócić musiał do dawnych metod zarabiania pieniędzy. Ostatnio widywany był jednak nie na mieście, a głównie w programie Pani Jaworowicz *„Sprawa dla reportera”*, gdzie bez większych efektów usiłował pozyskać wsparcie do swych batalii ze Skarbem Państwa, od którego domaga się odszkodowania równego utraconym zyskom i stratom powstałym z tytułu nałożonych kar

umownych.

Jak widać, nie każdy sposób zarabiania wielkich pieniędzy jest dostępny dla wszystkich chętnych. Nawet tych posiadających potencjalnie silne koneksje – zarówno w świecie przestępczym, jak i wśród oficerów Policji. Tam, gdzie zaczyna się wielki pieniądz, przestają mieć znaczenie odznaki, pięści i pistolety. To, co było dozwolone dla byłego antyterrorysty na warszawskiej ulicy i na co dawni koledzy przymykali oczy, nie zapewniło żadnej ochrony w starciu z biznesmenami operującymi jedynie pozornie niegroźnym papierem, ale także i powiązaniami sięgającymi jeszcze zmierzchu poprzedniego ustroju oraz murów Kremla.

Tymczasem struktury barona paliwowego z Podkarpacia bez trudu przetrwały zawirowania najnowszej historii i obecnie masowo dostarczają na budowy autostrad przemycane ze Wschodu, złej jakości paliwo. Trafia ono do walców, koparek i ciężarówek niemal wszędzie tam, gdzie wbrew sztuce budowlanej jezdnie usypano z tanich pyłów ilowych i ziemi ornej. Choć GDDKiA inwestycje drogowe powierzyła „sprawdzonym” potentatom giełdowym, ich podwykonawcy nie otrzymali zapłaty za zbudowane nasypy, a po zainkasowaniu setek milionów honorariów spółki jedna po drugiej zaczęły ogłaszać upadłość... Mafia ma się dobrze... I nie istnieje.

Rozdział XIV

Oszustwa podatkowe – VAT

Podatek od towarów i usług, obciążający każdą butelkę coli, bilet, cegłę, gazetę i samochód, to twór najbardziej znienawidzony przez konsumentów. O ile szarym śmiertelnikom nie przysługuje prawo do jego odliczenia, to w przywilej ten wyposażono spółki handlowe oraz osoby prowadzące własną działalność gospodarczą, jeśli tylko dokonały one zgłoszenia rejestracyjnego do statusu podatnika VAT czynny. Ich również fiskus obarczył obowiązkiem pobierania w jego imieniu należnego podatku, a następnie przekazywania zainkasowanych kwot na rachunek bankowy urzędu skarbowego. I tutaj wykazał się niemałą naiwnością. Choć VAT stanowi lwią część budżetów państw Unii Europejskiej i wielu krajów leżących poza starym kontynentem, pozostaje jednocześnie daniną niezwykle prostą do ominięcia. Podobnie łatwo wyłudzić jego nienależny zwrot lub zagarnąć uczciwie przekazane przez konsumentów pieniądze. To dobra wiadomość, zważywszy, że w 2011 roku budżet Polski zasilony został z tego źródła kwotą aż 120 miliardów zł, jest więc czym się dzielić...

Głównym powodem dla którego nie otrzymujemy w sklepie paragonu, a od hydraulika i adwokata faktury VAT, jest właśnie wola uszczuplenia tej daniny publicznej. Gdy brak dowodów zaistnienia transakcji, dochód usługodawcy lub sprzedawcy wzrasta o 23% lub 8% ceny netto, w zależności od tego, jaką stawką VAT-u została ona objęta. *Dlaczego tak wielkie znaczenie ma niewielki składnik wartości końcowej (brutto)?* Albowiem marża na etapie sprzedaży

detalicznej podstawowych produktów oscyluje przeciętnie około 10-20% ceny towaru, zaś w przypadku niskomargowych sklepów wielkopowierzchniowych i dyskontowych spada ona niekiedy do poziomu ledwie 1%. Oszczędność na podatku VAT wynikiem ekonomicznym pozostaje więc tożsama ze zwielokrotnieniem zbytu, przy braku wzrostu nakładów inwestycyjnych. Sprzedać jedną paczkę chipsów, czy 23 paczki, to już wielka różnica. Łatwiej też uszczuplić podatek, niż zdobyć rzesze nowych klientów.

W przypadku specjalistycznych usług niematerialnych, gdzie zwykle brak bezpośrednich kosztów realizacji analogicznych do wydatku na hurtowy zakup towaru, zachowany VAT nie stanowi substytutu zwielokrotnienia marży, a jest „jedynie” dodatkową, piątą częścią dochodu. Ale i takimi kwotami nie warto gardzić, zwłaszcza, że w sukurs przychodzi polska tradycja. U nas indywidualny klient prawnika, czy lekarza, po wręczeniu gotówki nie oczekuje wypisania faktury. Po pierwsze szkoda czasu, po drugie nie wypada. A gdy pieniądz zamiast w kasie wylądować już w kieszeni, brak powodu by nadgorliwie odnotowywać go w księgach rachunkowych. Oszustwo tak finezyjne, że nawet sam sprawca nie dostrzega, jak mimochodem obrabował i klienta i fiskusa. Ma więc dalej czyste sumienie.

Prosty brak odnotowywania transakcji sprawdza się tylko przy detalu. Duże podmioty gospodarcze prawie nigdy nie godzą się na nieformalne rozliczanie, zwłaszcza, że przy prowadzonej pełnej księgowości każdy grosz musi się zgadzać, a gdy w grę wchodzi gruby plik banknotów pojawia się problem ich legalizacji. Gotówka jest w dzisiejszym świecie zbyt podejrzana. Mimo tego, ręce fiskusa pozostają dostatecznie dziurawe do zorganizowania i przy dużych kontraktach znacznych oszczędności kosztem Skarbu Państwa.

Nie trudno zrozumieć ból serca przedsiębiorcy, któremu radość z realizacji umowy o wartości kilkuset tysięcy zł zatruwa gorycz pięciocyfrowego VAT-u. Jeśli żadna ze stron transakcji nie ma

interesu w zaksięgowaniu i odliczeniu tego podatku, zastosowanie znajduje łagodny manewr ominięcia, gwarantujący zachowanie oficjalnego obiegu kapitału. Jeśli umowa dotyczy świadczenia usług niematerialnych, najprostsze rozwiązanie, to zaksięgowanie zdarzenia jako podobnego, lecz nieobciążonego VAT-em. Jest to możliwe w oparciu o zwolnienia przewidziane dla np. usług edukacyjnych, czy pośrednictwa finansowego. Do niedawna wszelkie szkolenia i kursy obejmowano taką ulgą, co oznaczało, że ich nabywca oszczędzał równowartość VAT-u, przy zachowaniu pełnego kosztu uzyskania przychodu. Usługodawca natomiast regulował wyłącznie należny podatek dochodowy. Oszczędności to nie jedyna możliwa w tej kategorii korzyść. W celu sztucznego wzbogacenia historii obrotów na rachunkach bankowych i reżyserowania bilansu liczni przedsiębiorcy co miesiąc dokonywali „wymiany” faktur szkoleniowych. Np. podmiot A przeprowadzał w cenie 25 000 zł kompleksowe szkolenie kadry podmiotu B w zakresie technik negocjacji biznesowych, natomiast podmiot B świadczył podmiotowi A analogicznej wartości usługi edukacyjne w zakresie psychologii sprzedaży. Konfrontacja przychodów i kosztów wychodziła na zero, brak więc obowiązku płacenia podatku z tytułu nieistniejącego przecież dochodu, lecz w oczach laika oba podmioty zyskiwały stałych nabywców usług a ich obroty ulegały znacznemu wzrostowi. Od 2011 roku zbiór usług edukacyjnych nieobciążonych VAT-em został znacznie okrojony, jednak przy spełnieniu pewnych wymogów nadal możliwe jest ich uprzywilejowane świadczenie, np. w zakresie nauczania języków obcych. Jeśli planowane jest więc korzystniejsze fakturowanie usług niematerialnych, sprzedaż spółki kapitałowej, bądź zaciągnięcie dużych kredytów, to rozszerzenie oferty o usługi edukacyjne wydaje się optymalnym rozwiązaniem.

Liczne kancelarie windykacyjne latami wystawiały faktury za enigmatyczne usługi „*pośrednictwa finansowego*”, pozorując np.

użyczenie rachunku bankowego do celów transferowych, choć w istocie realizowały oddzielnie sklasyfikowaną w PKD egzekucję wierzytelności. Powód oczywiście był taki sam – zwolnienie z VAT-u na szeroko wcześniej rozumiane usługi pośrednictwa finansowego.

Szukając oszczędności przy masowej dystrybucji towarów warto skupić się na produktach podobnych, lecz również objętych preferencyjnymi stawkami. Taniej wychodzi wydanie wraz z płytą CD lub DVD książeczki i uczynienie jej głównym przedmiotem sprzedaży, gdyż wówczas, jako obłożona 5% VAT-em literatura, może być ona tańsza o niemal jedną piątą ceny. Uważna lektura przepisów podatkowych oraz licznych zwolnień od tego kosztownego obciążenia bez trudu ujawni odpowiednie dla branży Czytelnika furtki do oszczędności. Zastosowanie większości z nich nie wymaga nawet wtajemniczonego współnika – który bowiem klient detaliczny (konsument) zorientuje się, że płacił za usługę lub towar normalnie objęty podstawową stawką VAT-u, a na paragonie odnotowano transakcję o innym, acz bardzo podobnym i ulgowym tytule? Grunt, by cena brutto nie była dla niego wyższa.

Niektórych transakcji, zwłaszcza dostaw towarów lub usług materialnych, nie sposób zamaskować innym tytułem wpisu na fakturze. Z racji swej specyfiki zawsze będą, a nawet powinny być, bardzo łatwe do udowodnienia, zarówno co do swego przedmiotu, jak i okoliczności realizacji. Do tej kategorii zaliczyć trzeba udokumentowane w licznych źródłach zewnętrznych i widoczne zwykle gołym okiem roboty budowlane, realizację prac rozliczanych w ramach np. dotacji z Unii Europejskiej, czy co prawda możliwe do zamaskowania, ale niezbędne jako podstawa roszczenia względem kontrahentów lub ewentualnego serwisu gwarancyjnego. Zaufani partnerzy biznesowi i w takich przypadkach mogą jednak uniknąć obowiązku odprowadzenia nawet bardzo dużych kwot VAT-u. *Jak to uczynić przy wielomilionowej transakcji, jednocześnie nie narażając*

się na „wystawienie” przez kontrahenta? Jak zawsze – **łatwo**.

Większość dużych kontraktów, np. w branży budowlanej, zawiera w swych postanowieniach sankcję, na wypadek błędnej lub nieterminowej realizacji zawartej umowy. Rozwiązaniem najczęściej przyjmowanym jest ryczałtowo wskazane odszkodowanie, czyli kara umowna przewidziana w przepisach Kodeksu cywilnego (art. 483 § 1). Nie jest ona objęta podatkiem od towarów i usług, a sięgać może wartości pełnego wynagrodzenia za kontrakt. W przypadku zgodnego postanowienia stron możliwe jest opóźnione przekazanie placu pod zabudowę albo dostaw materiałów, czy niedochowanie jakichkolwiek innych umownych rygorów. Wówczas dochodzi do „zerwania” już prawie zrealizowanego kontraktu oraz podliczenia na koniec karnego „postojowego” i obowiązku zapłaty nie faktury VAT, a właśnie odpowiedniej wysokości odszkodowania. Oszczędność? W przypadku kontraktu wartego netto 1 000 000 zł uszczuplenie podatku od towarów i usług sięga 230 000 zł. Gra zapewne warta świeczki. Wyzulonym pozostać jednak należy na potencjalną nieuczciwość kontrahenta. Zgodnie bowiem z art. 484. § 2 kc jeżeli zobowiązanie zostało w znacznej części wykonane, „dłużnik” może żądać zmniejszenia kary umownej. To samo dotyczy przypadku, gdy kara umowna jest rażąco wygórowana. Oznacza to potencjalne ryzyko zaskarżenia wysokości zryczałtowanego odszkodowania, a w efekcie uzyskania realizacji kontraktu za bezcen. Niestety, knując z oszustem trzeba być przygotowanym na jego nieuczciwość. Zabezpieczeniem przed tym pozostaje np. wcześniejsze zawarcie między stronami pisemnego, a najlepiej notarialnego „uzgodnienia”, wyrażającego akceptację dla naliczonych kar umownych. Można też na etapie, na którym wciąż jest jeszcze możliwe wystawienie faktur VAT, zgłosić sprawę do taniego postępowania polubownego i w ten sposób zabezpieczyć stałość stanowiska kontrahenta. Zawarte w tym trybie uzgodnienia mają moc wyroku sądu i podlegają egzekucji.

Polskie prawo wytworzyło multum furtek do niwelacji obciążenia podatkiem VAT. I to prostszych od sztuczki z karami umownymi. Jeśli dana czynność na to pozwala, a dla obu stron nie stanowi to przeszkody w zaksięgowaniu kosztów, korzystniej jest rozliczyć wykonaną pracę na podstawie zwyczajnej umowy o dzieło, niż faktury wystawionej przez przedsiębiorcę. Osoba fizyczna wykonująca określoną czynność na rzecz podmiotu gospodarczego nie tylko nie musi, ale i nie może doliczyć do swego rachunku podatku od towarów i usług, a wszystkie własne ponoszone koszty scedować może wprost na kontrahenta. Nie zostanie więc stracony VAT doliczony np. do wykorzystanych materiałów czy usług pośrednich, gdyż te, zakupione bezpośrednio na numer NIP zlecającego, umożliwią mu odzyskanie całego podatku naliczonego.

Nieuprawnione uszczuplanie podatku od towarów i usług to nie jedyna droga osiągnięcia na nim korzyści. Plagą Unii Europejskiej stało się masowe **wyludzenie nienależnego zwrotu VAT-u**. Od dnia zniesienia barier celnych pomiędzy poszczególnymi państwami Wspólnoty, tj. od 1 stycznia 1993 r., powstawały międzynarodowe struktury przestępcze nastawione na czerpanie zysków z fikcyjnego eksportu, importu i wewnątrzwspólnotowego obrotu wszelakimi towarami. Początkowo działały w ograniczonej skali, by w końcu zamienić się w olbrzymie, wielobranżowe holdingi obracające miliardami i zrzeszające setki spółek kapitałowych. Oszustwa umożliwiła rezygnacja z pobierania podatku na granicach państwowych, w miejsce czego obciążono rozliczeniem odbiorcę w kraju końcowego przeznaczenia towaru, wedle stawki obowiązującej w tamtejszej jurysdykcji podatkowej. Wywożone poza granicę państwa produkty objęte zostały stawką VAT w wysokości 0%, co uprawnia sprzedawcę do odliczenia podatku już zapłaconego przy wcześniejszych zakupach i wliczonego w koszty ewentualnych surowców lub półproduktów, jeśli te były wykorzystywane. System

ten wprowadzony został poprzez Dyrektywę Rady 680/91 EEC z dnia 16 grudnia 1991 roku. Powstała możliwość przemieszczania towarów wyjściowo nieobjętych podatkiem VAT pomiędzy poszczególnymi państwami Unii Europejskiej, a jednocześnie nie wypracowano instrumentów skutecznej kontroli takich transakcji. Luka umożliwiła intratną działalność przynoszącą milionowe zyski, a popełniane przestępstwo nie brudziło białych rękawiczek krwią. Przystąpienie Polski do Unii otwarło ten sposób zarobku także rodzimym przedsiębiorcom.

Wyróżniamy dwie metody tzw. **oszustw karuzelowych** – nazwanych od „krążenia” towarami po mapie Europy. Pierwsza z nich to technika jednorazowej sprzedaży: **znikający sprzedawca**. Utworzony fikcyjnie podmiot dokonuje u dostawcy z innego państwa zakupu dowolnego towaru, płacąc za niego normalną w takim przypadku cenę netto, czyli pomniejszoną o koszt podatku VAT. Następnie odsprzedaże go na terenie swego kraju po cenie rynkowej w legalnym obrocie (wystawiając fakturę VAT i naliczając podatek od towarów i usług) lub poniżej wartości w szarej strefie (bez faktury VAT i bez doliczania tego podatku). Od sprzedaży nie odprowadza należnego podatku dochodowego, ani pobranego VAT-u. W tym czasie pierwotny dostawca występuje we własnym kraju do rodzimych organów podatkowych o zwrot poniesionych dotychczas kosztów podatku od towarów i usług. Korzyści odnosi zarówno dostawca (legalnie uzyskuje zwrot VAT-u), jak i nabywca (nielegalnie uszczupla tak VAT, jak i podatek dochodowy, a także zaoferować może klientom niższą cenę sprzedaży od legalnie funkcjonującej i płacącej podatki konkurencji). Bardzo często zarówno za jednym, jak i za drugim podmiotem stoją te same osoby. Po upłynięciu towaru nabywca kończy działalność, co oznacza „porzucenie” przedsiębiorstwa zwykle zarejestrowanego na fałszywe dokumenty lub niczego nieświadomego słupa. Ze względu na prosty

i krótki obieg towaru scenariusz niezwykle rzadko przeprowadzany jest w dłuższej perspektywie czasowej przy użyciu tych samych danych rejestrowych, rodzi bowiem zbyt duże ryzyko wykrycia i pociągnięcia do odpowiedzialności karnej rzeczywistego organizatora procederu. Natomiast w przypadku jednorazowego działania i braku przeprowadzenia dokładnej kontroli skarbowej przedsiębiorstwa uczestniczącego w transakcji, wykazanie sprawcy oszustwa jest mało prawdopodobne. Europa jest na tyle duża, że jednego znikającego podmiotu nikt w niej nie będzie długo szukał, zaś w przypadku nierodzących podejrzeń okoliczności zawarcia transakcji udowodnienie dostawcy, że był on świadomym współsprawcą przestępstwa, a nie ofiarą nieuczciwego kontrahenta, jest praktycznie niemożliwe. Winę wykazać mogą zeznania świadków, np. nieświadomych nielegalnego charakteru działalności pracowników dostawcy, osób uczestniczących poza granicami ojczyzny w obsłudze tamtejszego podmiotu, uczciwych końcowych klientów kupujących towar itp. Kolejne punkty kolizyjne to udział sprzedawcy w tworzeniu fikcyjnego nabywcy oraz w działaniach pozorujących jego legalną egzystencję. Dowodem tego mogą być np. wszelkie pisma i złożone podpisy (analiza grafologiczna), obieg dokumentów – ofert, uzgodnień, specyfikacji etc., bilingi połączeń telefonicznych oraz wykorzystywanie, co prawda różnych kart SIM, lecz tych samych aparatów telefonicznych identyfikowalnych poprzez numer IMEI lub ip komputerów przy korespondencji elektronicznej. Słowem: nie ma znaczenia, jak odległe geograficznie pozostają wskazane na papierze siedziby dwóch przedsiębiorstw, jeśli korespondencja wychodzi z tego samego komputera, połączenia telefoniczne również łączy jedna lokacja i ten sam aparat telefoniczny, wszelkie dokumenty drukuje ta sama drukarka a podpisuje innymi nazwiskami jedna ręka. W zakresie powoływania zagranicznych podmiotów gospodarczych i bezpieczeństwa tej

działalności zastosowanie mają wszelkie sztuczki wymienione w dziale dot. oszustw w obrocie gospodarczym, łącznie z zasadami opisanymi w rozdziale „*jak kraść i nie dać się złapać*”.

Istotną kwestią pozostaje odliczenie VAT-u przekazanego „*znikającemu sprzedawcy*” przez zazwyczaj uczciwego, końcowego klienta. Kupujący dysponuje fakturą i (jak sam twierdzi) widniejącą na niej kwotę brutto przekazał, choć podatek naliczony nie wpłynął na konto fiskusa. Mimo tego ma on pełne prawo do zaksięgowania i rozliczenia poniesionego kosztu. Jeśli wina (świadoma współpraca ze „*znikającym sprzedawcą*”) nie zostanie udowodniona, wówczas odliczenia, a nawet zwrotu, nieodprowadzonego podatku VAT nie uda się fiskusowi uniknąć. Stan taki ugruntowały orzeczenia Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, głoszące tezę, iż *dokonanie sprzedaży w warunkach oszustwa podatkowego nie wpływa na prawo do odliczenia VAT przez nabywcę, który nie wiedział i nie mógł wiedzieć, że dokonuje transakcji z oszustem*. Zastosowanie znajduje zasada domniemania niewinności. Stąd też opisany obieg towaru, z wykorzystaniem „*martwego*” ogniwa pośredniego, bywa niekiedy odgórnie reżyserowany przez zaufanych kontrahentów w celu dwukrotnego odliczenia tego samego VAT-u: u źródła i w państwie docelowym.

Zaawansowany mechanizm przestępstwa, już sensu stricto „*karuzelowy*”, przybiera formę intensywniej i wielokrotnej cyrkulacji pomiędzy licznymi podmiotami gospodarczymi w wielu państwach Unii Europejskiej. Produkt wprowadzony do obiegu w państwie A zostaje natychmiast odsprzedany innemu podmiotowi w tym samym kraju. Ten niezwłocznie wywozi go do państwa B, skąd tamtejszy nabywca dostarcza towar do państwa C. Tam kolejny odbiorca spienięża go na rzecz lokalnego nabywcy, który przesyła produkty dalej za granicę do państwa D, gdzie następny kontrahent dzieli otrzymany transport na dwie części i jedną z nich kieruje do kraju A,

natomiast drugą sprzedaje klientowi w państwie E. Po szeregu dalszych transakcji na rynku lokalnym towar również w ostatecznym rozrachunku trafia na powrót do pierwszego ogniva łańcucha w państwie A. Linie, po której wiedziony jest transport, łatwo zgubić, zwłaszcza, że jest ona wpleciona w utkane z milionów uczciwych transakcji płótno europejskiego obszaru wolnego handlu. Dostawcy dokonujący wewnątrzwspólnotowych sprzedaży na rzecz podmiotów z innych państw UE nie są obciążeni podatkiem VAT, nie naruszają też żadnych przepisów. Nabywcy odsprzedający towar na rynku swojego państwa, zazwyczaj za zaniżoną wartość, jako jedyne ogniva odpowiadają za uregulowanie podatku VAT. Z obowiązku tego część z nich się nie wywiązuje, co nie stoi na przeszkodzie pozostałym podmiotom, które zgodnie z obowiązującymi przepisami odkupują od nich towar w celu dalszego wywozu poza granicę, w wystąpieniu o zwrot pełnej wysokości podatku naliczonego i odnotowanego na fakturach. Oczywiście pozornie rzetelni nabywcy w rzeczywistości nie ponoszą kosztów towaru, a uregulowana na cele dowodowe przelewem bankowym kwota szybko jest wypłacana z kont ogni-w-słupów i zwracana gotówką. Towar przechodzi zazwyczaj przez łańcuch transakcji w wielu państwach Unii Europejskiej, po czym wraca do pierwotnego sprzedawcy, będącego zwykle głównym beneficjentem procedury. Im bardziej skomplikowana, wieloetapowa trasa i częściej przełamywana rzetelnymi rozliczeniami podatkowymi (i tak zwracanymi kolejnemu ogniwu po przekroczeniu granicy), tym trudniej wykryć fikcyjny charakter handlu.

Niejednokrotnie sam obieg produktu również nie istnieje. Przeprowadzany jest nie przy pomocy ciężarówek pomiędzy odległymi krajami, a na papierze w postaci umów i faktur rodzących podstawę do roszczeń względem fiskusa. Osoby odpowiedzialne za reprezentację przedsiębiorstw handlowych przy jednym stoliku

wzajemnie kwitują sobie odbiór zamówień, faktury VAT, WZ itp. Oczywiście dbają o to, by w pełni zgadzały się szczegóły takie, jak np. daty. Wszak towar nie mógł tego samego dnia znajdować się w kilku różnych magazynach lub też zostać dowieziony z Lizbony do Białegostoku. Do fikcyjnego obrotu wybierane są produkty o małych gabarytach, za to wartościowe. Stosunkowo łatwo udowodnić, iż w rzeczywistości nie prowadzono międzynarodowej karawany tirów z drewnem, chociażby na podstawie braku tachografów, czy rachunków z płatnych odcinków autostrad lub parkingów, faktur za tankowanie oraz dostatecznej ilości zatrudnionych kierowców. Wydatki te w normalnej sytuacji z pewnością zostałyby odnotowane w księgowości jako koszty uzyskania przychodu. Wewnątrzwspólnotowej dostawy milionowej wartości smartfonów, kart pre-paid, procesorów komputerowych, żarówek ksenonowych, elementów silników samochodowych lub płytek z oprogramowaniem dokonać można dyskretnym vanem, a nawet pociągiem, co można już niskimi kosztami wiarygodnie upozorować. Zysk z transportu tylko jednego kartonu płyt cd z „*oprogramowaniem*” bez trudu sięgnąć może 230 000 zł w VAT.

Przy odrobinie wprawy organizatorów w ciągu jednego dnia skompletowana zostanie dokumentacja pozorująca transfer towaru miesięczną trasą przez wszystkie państwa Unii Europejskiej. Po upływie 30 dni wystarczy wystąpić o zwrot podatku z tytułu dostaw wewnątrzwspólnotowych. Na końcu produkt może trafić do legalnej sprzedaży, zostać spieniężony w szarej strefie lub ponownie wprowadzony do karuzeli w celu dalszego wyłudzenia podatku naliczonego. Jeśli obrót zrealizowano towarem o fikcyjnej wartości, np. niezwykle często zawyżanymi, co do ceny, programami komputerowymi, jego przedmiot, czyli płyty CD lub inne nośniki danych, na końcu wyeksportowany zostanie poza granice Unii i tam, jako dowód oszustwa, zniszczony. Do tego celu często wykorzystuje

się bliską dla Polski i słynącą z korupcji Ukrainę.

Celem wyeliminowania zarzutu nieuczciwego ciągu transakcji podmiot wytypowany do roli „*znikającego sprzedawcy*” często zaniża cenę towaru poniżej kosztów własnych. Na kolejnych etapach sprzedaży doliczona zostanie minimalna marża, w związku z czym cena stopniowo wzrasta i nie odbiega od normy rynkowej. Wówczas żadnemu z pozostałych ogniw nie sposób zarzucić działalności handlowej na przekór rachunkowi ekonomicznemu, tj. zakupu identycznego towaru po kosztach wyższych lub tych samych w stosunku do wcześniejszej sprzedaży. Straty na transakcjach ponosi wyłącznie Skarb Państwa wypłacający nienależny zwrot nigdy nieuregulowanego przez ogniwo pośrednie podatku VAT.

Kluczowe jest rozmycie procederu poprzez zaangażowanie znacznej ilości podmiotów pośredniczących oraz ciągłą cyrkulację towaru nieregularnymi trasami pomiędzy wieloma państwami. Ograniczona współpraca organów kontrolnych w różnych krajach i brak motywacji do mozolnej weryfikacji pozornie uczciwych umów znacznie uszczupla ryzyko dekonspiracji przestępstwa. Zamglenie obrazu przynosi efekt analogiczny do oszustwa gospodarczego: utrudnia postawienie zarzutów zamazując licznymi legalnymi czynnościami winę konkretnych osób. Często, celem zwiększenia bezpieczeństwa beneficjentów, część przedsiębiorstw umieszczonych w rolach ogniw łańcucha handlowego istnieje wyłącznie w sfałszowanej dokumentacji. Mogą to być zarówno zupełnie fikcyjne podmioty, spółki powołane specjalnie na potrzebę tej jednej operacji – np. brytyjskie lub rosyjskie zarejestrowane zdalnie na podstawie sfałszowanych dokumentów tożsamości, a także wykorzystywane bywają jawne i powszechnie dostępne numery NIP faktycznie istniejących przedsiębiorstw, lecz zupełnie nieświadomych ich użycia na potrzeby oszustwa. Każdy może wydrukować dowolnej treści fakturę VAT i zamieścić w niej dane dowolnego podmiotu, a

następnie zlecić wykonanie pieczętki o odpowiedniej treści i nawet mniej lub bardziej udolnie podrobić podpis osoby uprawnionej. Idealny „znikający sprzedawca” – w rejestrach od lat istniejący, a faktycznie niemający nic wspólnego z rzeczywistym dostawcą towaru. Innym bezpiecznym rozwiązaniem, ograniczającym do minimum liczbę nieoczekiwanych komplikacji na etapie realizacji, jest znane z oszustw gospodarczych rejestrowanie nowych podmiotów na *stupy* – nieświadome skali przyjmowanych na siebie zobowiązań finansowych i możliwej odpowiedzialności karnej. Niekiedy też ogniwa pośrednie bywają skrajnie zadłużone, tak by zamiast wywoływać aferę kryminalną i narażać kogokolwiek na bezwzględne pozbawienie wolności, wystarczyło odrobinę spóźnione ogłoszenie upadłości, a zaniżona cena sprzedaży towaru wynikała z pozornej potrzeby pilnego odmrożenia choć części kapitału. Nim jednak upadłość nastąpi, możliwe jest wielokrotne przeprowadzenie transakcji karuzelowych. Słup w zamian za pewną ilość gotówki – zależną od jego świadomości i umiejętności manewrowania papierem – dobrowolnie podda się karze w zawieszeniu, gdyż w praktyce nic więcej za niegospodarność mu nie grozi.

W ramach zamglenia w łańcuchy wpłatane są również uczciwe przedsiębiorstwa, np. hurtownie, które odbierają towar od podstawionych dostawców, a ten jest następnie od razu odkupowany przez kolejny, już świadomie współuczestniczący w przestępstwie podmiot. Zupełnie czysta księgowość niepowiązanego ani kapitałowo, ani personalnie pośrednika uspić może czujność ewentualnej kontroli lub wręcz uniemożliwić dowiedzenie w toku śledztwa istnienia jakiegokolwiek zorganizowanego, zamkniętego łańcucha handlowego. Szlak zostaje skutecznie przecięty, a drobna marża jednego uczciwego handlowca nie jest zbyt wygórowaną ceną za bezpieczeństwo. Eksportowanie towarów do krajów trzecich (poza obszar UE) przed ponownym ich wprowadzeniem do karuzeli

stanowi kolejną, bardzo skuteczną, metodę zatarcia śladów odgórnie zorganizowanego działania. Niemal nie sposób zweryfikować trasy rzeczywistej lub fikcyjnej sprzedaży docelowo skierowanej do Bangladeszu, Syrii, Tajlandii, czy Nigerii. Utworzona tym luka w łańcuchu dostaw wewnątrzunijnych może uniemożliwić połączenie dwóch sąsiadujących z nią ogniw. Z kolei wykrycie np. nieistniejącego podmiotu na trasie obiegowej towaru zmusza śledczych do dowiedzenia eksporterowi, iż był on współnikiem (niezidentyfikowanych) oszustów z państwa położonego na innym kontynencie. Bez dobrowolnego przyznania się do winy trudno kogokolwiek w takich warunkach skazać. Tymczasem beneficjentem wypracowanych zysków pozostaje zazwyczaj podmiot rezydujący w kraju, na którego terenie nie naruszono przecież żadnego przepisu prawa, a sama działalność w karuzeli ograniczona była do minimum. Ponadto, przedsiębiorca ten zawsze prowadzi także uczciwe interesy, co sprawia, że w jego bilansie dochód z przestępstwa nie zajmuje najistotniejszego miejsca. Gdyby działalność ogniskowała się tylko wokół zwrotu VAT-u, wówczas sama analiza ksiąg rachunkowych wskazałaby główny cel śledztwa i winnego. Nie wykluczone jednak, że zewnętrzne kontrakty nie są niczym innym jak wprowadzaniem do obiegu „wypranych” już pożytków z tego lub innych przestępstw.

Zabiegi rozmywające uniemożliwiają odzyskanie utraconych przez fiskusa pieniędzy. Z masy upadłościowej „winnego” podmiotu wypłacane są zazwyczaj jedynie symboliczne złotówki lub eurocenty, a „znikający sprzedawca” nie pozostawia po sobie nawet tego. Pozostałe ogniwa prowadzą jedynie legalne transakcje, z tytułu których nie sposób wyciągnąć konsekwencji finansowych w świetle obowiązujących przepisów prawa podatkowego. W chwili wykrycia procederu przez organa ścigania „winny” zostaje pozbawiony jakichkolwiek środków materialnych i wyeliminowany z obrotu, a jego miejsce zajmuje inne przedsiębiorstwo, wprowadzone również

tylko w celu obciążenia przyszlą pełną odpowiedzialnością karną i finansową. System ten umożliwia utworzenie stosunkowo trwałych i stabilnych, przeznaczonych do nawet wieloletniej aktywności międzynarodowych struktur gospodarczych, zdolnych nieprzerwanie uzyskiwać dochody z działalności karuzelowej.

Wartość eksportu wcale nie musi opiewać na przyciągające uwagę wszelkich kontrolerów milionowe kwoty. W przypadku uzyskania tygodniowo z kilku drobnych dostaw zwrotu podatku w wysokości 20 000 zł, co jest przy transakcjach międzynarodowych kwotą bardzo skromną, roczny zysk i tak sięgnie miliona zł. Na tak małe transakcje bardzo rzadko zwracana jest jednak uwaga instytucji kontrolnych. Przeszkodą na drodze tej kategorii przestępstw stanąć miały kaucje gwarancyjne, jednak każdy nowo utworzony system tworzy nowe luki i umożliwia dalszą eksploatację źródła nielegalnych dochodów.

Pokrewną dla „*znikającego sprzedawcy*” metodę wyłudzenia nienależnego zwrotu VAT-u opracowali przedsiębiorcy z Łodzi. Dokonywali oni zakupu już działających i wcześniej kontrolowanych pod kątem rzetelności podatkowej spółek prowadzących uczciwą wymianę handlową z Ukrainą. Podatnik taki, jako znany, już sprawdzony i standardowo uzyskujący zwrot podatku VAT z tytułu eksportu, nie wzbudzał podejrzeń skarbowki. Zastosowanie znajdowało opisane we wcześniejszych rozdziałach zawierzenie znanej nazwie i staremu KRS-owi. Błędnie identyfikuje się zgodność podmiotu z tożsamością osób decyzyjnych prowadzących dotychczas uczciwe interesy. Tymczasem spółki te dokonywały już tylko fikcyjnych transakcji zakupu luksusowych tekstyliów, w istocie użyczając numer NIP i kumulując VAT z zakupów zaprzyjaźnionych sprzedawców. Ci nie dbali o faktury, gdyż detaliczną zwykle odsprzedaż realizowali w szarej strefie, na targowiskach. Aby utrudnić identyfikację obiegu konkretnych, jednostkowych towarów,

często też księgowano drobne rozliczenia gotówkowe, poniżej progu wartości zastrzeżonej dla przelewów bankowych. Następnie, do fikcyjnych ukraińskich odbiorców wysyłano zakupione za grosze odpady tekstylne, fakturując jednak pełnowartościową, elegancką odzież. W chwili, gdy dostawa przekraczała granicę Polski powstawały przesłanki do wystąpienia o zwrot podatku VAT, a eksportowane śmieci niewiele dalej lądowały w przydrożnych rowach.

Opublikowany w 2007 roku raport międzynarodowej organizacji International VAT Association szacował wartość dokonywanych wyłudzeń zwrotu podatku VAT w Unii Europejskiej na od 60 do 100 miliardów euro rocznie. Szacunki Parlamentu Europejskiego z 2008 roku określiły straty spowodowane czynami z kategorii *Organized VAT Fraud* już na kwotę od 200 do 250 miliardów euro rocznie, co stanowi ok. 2,5% PKB całej Unii Europejskiej i jest odpowiednikiem czteroletniego budżetu Polski.

Rozdział XV

Oszustwa podatkowe – podatek dochodowy

Podstawowym celem każdej działalności gospodarczej jest osiągnięcie zysku i jego ciągła maksymalizacja. Stąd systematyczna redukcja niepotrzebnych wydatków: wprowadzanie wydajniejszej i tańszej w eksploatacji technologii, likwidacja zbędnych etatów pracowniczych, poszukiwanie dostawców towaru i surowców oraz podwykonawców usług oferujących niższe ceny, a także optymalizacja podatkowa. Ta ostatnia, z uwagi na szerokie możliwości kreatywnego uszczuplania zupełnie niepotrzebnego przedsiębiorcy, bezowocnego kosztu, pozostaje szczególnie ważna. Przekroczenie pierwszego progu podatkowego przy progresywnej skali podatkowej i doliczenie VAT-u skutkuje zmarnowaniem około połowy zarobionych pieniędzy, czyli koniecznością przelania ich na konta bankowe urzędu skarbowego... Nie jest to problem tylko Polaków, a przedsiębiorców całej Unii Europejskiej, co jest o tyle dziwne, że łatwo można sobie z nim przecież poradzić.

Puste faktury i rachunki

Najprostszy sposób uszczuplenia należnej fiskusowi daniny to niewykazywanie w księgach rachunkowych żadnego zysku. *Jak jednak pogodzić to banalne rozwiązanie z nadrzędnym celem – czyli zarabianiem pieniędzy?* Tak jak w przypadku każdej nieuczciwości: **łatwo**. Podstawowy sposób to kupowanie wszelakich kosztów, szczególnie „pustych” faktur VAT. Wielu drobnych przedsiębiorców

„sprzedaje” koszty, czyli wystawia nienależne faktury i rachunki z tytułu niewykonanych nigdy usług i niedostarczonych towarów. Wynagrodzenie podmiotu sprzedającego to zazwyczaj skromna prowizja, zaczynająca się od kilku procent kwoty brutto a kończąca maksymalnie na pełnej wartości należnego VAT-u. *Dlaczego sprzedawca nie zważa na wzrost wysokości własnych zobowiązań podatkowych?* Być może jego działalność poniosła wcześniej tak ogromne straty, że przez wiele lat nie musi obawiać się wyjścia ponad księgową prosta, a kilka procent prowizji może decydować o uniknięciu upadłości lub o kolacji dla dzieci bankruta.

Niektóre spółki kapitałowe planowo tworzone są jedynie w celu wygenerowania na różnej działalności znacznych strat, a następnie stawiane w stan upadłości. Powody tego bywają różne, np. reżyserowanie zysków i strat kooperujących spółek na potrzeby opisanych wcześniej oszustw, a zamglenie tego celu osiągane jest właśnie przez sprzedaż i tak niezmienną sytuację finansową kosztów dla innych, czystych przedsiębiorstw. Jest to też idealny sposób legalizacji brudnych pieniędzy – nasz koszt obniżający podstawę wyliczenia dochodu to cudzy zysk, a więc pozornie uczciwie zarobiony pieniądź. Równowaga jest zachowana. Udokumentowanie kanałów dystrybucji wcześniej zakupionego towaru bywa też konieczne do „oczyszczenia” księgowości z produktów spieniężonych w szarej strefie. Gdy spodziewana jest kontrola, która ujawni faktury dowodzące zgromadzenia pokaźnych zapasów, a magazyny już dawno świecą pustkami, różnicę tę trzeba jakoś wytłumaczyć... I najlepiej na tym jeszcze zarobić...

Konwersję cudzej klęski biznesowej do sztucznych kosztów zapewnia również zakup stojących na skraju bankructwa spółek, obarczonych zwykle pakietem niespłacalnych wierzytelności i górą bezowocnych wydatków. Korzystną cenę gwarantują właściciele, nieświadomi możliwości wyłuskania zysków ze strat. Liczni, trwale

niewypłacalni dłużnicy nie rodzą nadziei na uregulowanie długów, lecz ich wierzyciel, do czasu wyprowadzenia swej księgowości powyżej linii poniesionych kosztów, może bez obaw o powstanie obowiązku podatkowego generować puste rachunki na rzecz innego, dobrze prosperującego podmiotu. Można też od razu scedować na taką spółkę wszelkie własne, wysokodochodowe kontrakty.

Raje podatkowe i spółki off-shore

Pokrewną materię stanowią faktury wystawione przez spółki zagraniczne. O ile rozliczenia z Francją czy Litwą stosunkowo łatwo można w zjednoczonej Europie zweryfikować, to jednak koszty uzyskania przychodu zaksięgowane od przedsiębiorstw z Wietnamu, Korei, Tajlandii, Kolumbii, Indochin, czy Libanu wymagają od kontrolerów skarbowych nie lada umiejętności, chociażby w zakresie odczytania dokumentacji spisanej bez użycia alfabetu łacińskiego. Wyjątek, aczkolwiek też możliwy do ominięcia, stanowią państwa znajdujące się na czarnej liście tzw. rajów podatkowych, czyli krajów i terytoriów stosujących nieuczciwą konkurencję podatkową, zazwyczaj zupełnie zwalniających z obowiązku regulowania jakichkolwiek danin państwowych. Tam nie ma znaczenia, czy spółka formalnie „zarobiła” złotówkę, czy sto milionów euro, należny podatek i tak wynosi zero, może więc ona bez żadnych konsekwencji finansowych wystawiać puste faktury na dowolne kwoty. Aby jednak wciągnąć w koszty wydatki poniesione na usługi takich kontrahentów sporządzić trzeba szczegółową dokumentację realizowanych czynności², ale tylko, jeśli łączna kwota (lub jej

2 Szczegóły wyznacza art. 25a. ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych oraz art. 9a ustawy o podatku dochodowym od osób prawnych

równowartość) wynikająca z umowy lub rzeczywiście zapłacona w roku podatkowym łączna kwota wymagalnych w roku podatkowym świadczeń przekracza równowartość 20 000 euro. Dla wielu jednak drobnych przedsiębiorców „podratowanie” kosztami oscylującymi wokół 85 000 zł będzie w pełni satysfakcjonujące. Podatnik obciążony według skali progresywnej drugim progiem oszczędzić może w ten sposób aż 27 200 zł. Jeśli zaś poświęci odrobinę czasu na spreparowanie wymaganego udokumentowania transakcji, w miarę spokojnie zaoszczędzić może i setki tysięcy.

Lista krajów i terytoriów stosujących nieuczciwą konkurencję podatkową nie jest stała. Zmienności kryteriów jej budowy dowodzą historycznie objęte restrykcjami państwa. Do 2005 roku były to m.in. Belgia, Francja, Grecja, Holandia, Niemcy, Islandia, Węgry, Luksemburg, Cypr i Szwajcaria oraz strefy zlokalizowane w Hiszpanii, Włoszech, Portugalii, Irlandii i Turcji. Funkcjonowanie w globalnym obrocie gospodarczym wyklucza jednak nazbyt restrykcyjne stanowisko prawa podatkowego i polski fiskus musi pogodzić się z tym, że już nie może przedsiębiorcom wszystkiego zabronić i nie zawsze zdoła wszystko zweryfikować. Mało kto wie, że np. kontrola rachunku wystawionego przez spółkę z USA, jeśli tylko nie popełniono w nim błędów pisarskich i prawidłowo wskazano wystawcę, potwierdzi zawsze jego zgodność z prawdą. A to z tego prostego powodu, że z uwagi na brak związanych z tym kosztów będzie on w przypadku rozsądnych przedsiębiorców zawsze prawidłowo wystawiony. Mały stan położony przy wschodnim wybrzeżu Ameryki Północnej – Delaware, uznawany jest powszechnie za raj podatkowy. Podobnie korzystne warunki oferuje „inwestorom” np. prawo stanu Wyoming. Spółki tam zarejestrowane, ale nie prowadzące na miejscu działalności operacyjnej, bez względu na osiągnięty zysk nie płacą podatku dochodowego, poza zryczałtowaną opłatą roczną wynoszącą w Delaware zaledwie 250

USD. Podmiot taki na gruncie prawa amerykańskiego jest traktowany jako zagraniczny, nie osiągający dochodów na obszarze jurysdykcji podatkowej USA. Co więcej, nie funkcjonuje tam odpowiednik podatku VAT. Oznacza to, że bez ponoszenia absolutnie żadnych kosztów, możliwe jest wystawianie pełnoprawnych rachunków stanowiących dla europejskich przedsiębiorców niekwestionowane koszty uzyskania przychodu. W generowaniu sztucznych wydatków przedsiębiorca nie potrzebuje nawet pomocnika – sam może być jedynym współnikiem amerykańskiej spółki i nikt tego najpewniej nigdy nie odkryje. Wyoming nie udziela od ręki informacji o podatnikach nawet amerykańskim urzędom podatkowym, ani tym bardziej zagranicznym urzędom skarbowym. Dodatkową osłonę tożsamości inwestora stanowi opcja powołania dyrektora powierniczego, dzięki czemu personalia faktycznego beneficjenta nie zostaną ujawnione w żadnym krajowym rejestrze. Oznacza to, że polski urząd skarbowy występując o ujawnienie beneficjenta transakcji otrzyma jedynie suchą informację wskazującą tamtejszego, czystego powiernika. Same obowiązki sprawozdawcze są ograniczone do złożenia lakonicznego sprawozdania rocznego z działalności, które nie ujawnia szczegółów mogących zdekonspirować wystawione rachunki.

Jako podstawę kosztów wskazuje się zazwyczaj trudne do zweryfikowania, ale związane z przedmiotem działalności nabywcy usługi niematerialne. Dodatkowo spółki amerykańskie mogą dokonywać „*transakcji*” z podmiotem polskim na gruncie państwa trzeciego, np. Królestwa Bahrajnu, Panamy lub Księstwa Monako. To zaś znacznie utrudni jakiegokolwiek podważenie rzeczywistego zaistnienia zakupionej usługi, a koszty uzyskania zwiększy jedynie nieznacznie. Tamtejsze organa raczej nie wykażą zbytniego zainteresowania zastrzeżeniami polskiej skarbowki, a delegacja krajowych inspektorów nie dość, że skonsumuje lwią część budżetu

jednostki, to i tak niczego istotnego nie ujawni. Pamiętać przy tym należy, że objęcie danego państwa listą rajów podatkowych dotyczy tylko podmiotów tam zlokalizowanych (czyli mających tam miejsce zamieszkania, siedzibę lub zarząd), nie zaś miejsca jako punktu realizacji usług lub transakcji handlowych przez podmioty z w pełni akceptowalną jurysdykcją podatkową. Oznacza to opcję dodatkowego zamglenia. Ponownie też pojawia się zagadnienie jedynie teoretycznej możliwości kwestionowania umów zawieranych na rozsądnych warunkach ze spółkami z państw trzecich, w tym i z rajów podatkowych, z uwagi na zwyczajny brak możliwości ich faktycznej kontroli. Państwa spoza Unii Europejskiej rzadko ochoczo współpracują z europejskimi organami kontrolnymi w sprawach nieprzedstawiających dużej wartości nominalnej. Umiar jest więc w praktyce gwarantem nietykalności, a także znacznych oszczędności.

Ryczałt i karta podatkowa

Działając w mniejszej skali opłaca się korzystać z rachunków wystawianych przez przedsiębiorców z małych, polskich miejscowości, a prowadzących działalność na podstawie prostego wpisu w CEIDG. Jeśli podatnik jest rzemieślnikiem, a swój zakład prowadzi właśnie w małej gminie, może wygodnie i tanio rozliczać się z fiskusem w drodze karty podatkowej. Nie jest on wtedy zobligowany do prowadzenia księgowości, pozostaje zwolniony z obowiązku odprowadzania podatku VAT i nie składa deklaracji podatkowych, a jedynie raz w miesiącu, bez wezwania urzędu skarbowego, odprowadza określoną, stałą kwotę tytułem prognozowanego „przeciętnego” podatku. Ta zaś pozostaje wyjątkowo niska i zależna od liczby mieszkańców miejscowości właściwej dla siedziby przedsiębiorcy oraz liczby zatrudnianych przez niego pracowników. Gdy ten pracuje sam, a kod pocztowy

dzieli z liczbą mniejszą niż 5000 osób, dla usług w zakresie mechaniki maszyn i urządzeń rolniczych jego miesięczna stawka podatkowa w 2012 roku wynosiła jedynie 174 zł, usługi tapicerskie, jak i sprząatanie wewnątrz wyceniono na 210 zł, krawieckie na 115 zł. Do „droższych” zaliczono usługi o charakterze budowlanym, m.in. murarskie, ciesielskie, dekarские, posadzkarskie, czy malarskie – obłożone kwotą 310 zł oraz sprzedaż artykułów nieżywnościowych – 481 zł. Świadczenie usług taksówkarskich w miejscowości liczącej mniej niż 25 000 mieszkańców to miesięcznie wydatek jedynie 197 zł. Kwartalna stawka wyznaczona dla proboszczów parafii do 3000 mieszkańców ustalona została na 490 zł, czyli 163 zł w podziale miesięcznym. Poza wymienionymi kwotami podatnicy rozliczani na podstawie karty podatkowej nie muszą odprowadzać żadnych dodatkowych podatków, nawet jeśli uzyskają wysokie dochody. Czyli mogą bez żadnych kosztów własnych „uszczuplić” rachunkami zysk przedsiębiorcy opodatkowanego na zasadach ogólnych. Jeśli podatnik zostałby zobligowany do zapłaty w drugim progu podatku od kwoty np. 100 000 zł, skorzystać może z „życzliwości” otrzymania takich właśnie kosztów od kolegów rozliczanych kartą podatkową. Uzyskana do podziału oszczędność sięgnie 32 000 zł. Pamiętać należy, że jeden podmiot może księgować liczne rachunki od wielu mikroprzedsiębiorców ulgowo traktowanych przez fiskusa, co otwiera drogę do niedrogiego zupełnego uniknięcia płacenia jakichkolwiek podatków.

Inne, równie korzystne źródło kosztów uzyskania przychodu, to podatnicy rozliczani w formie ryczałtu od przychodów ewidencjonowanych. Poza wspomnianą ewidencją mają oni obowiązek prowadzenia wykazu środków trwałych oraz wartości niematerialnych i prawnych, ewidencji wyposażenia, karty przychodów pracowników oraz posiadania i przechowywania dowodów zakupu towarów. Nie mają za to obowiązku składania

deklaracji miesięcznych. Warunkiem rozliczania w formie ryczałtu jest osiągnięcie w roku poprzednim przychodu w kwocie nie wyższej niż równowartość 150 000 euro, co dla roku 2011 ustala jako granicę w polskiej walucie 661 680 zł. Zryczałtowany podatek oznacza obowiązek odprowadzania stałej, procentowo określonej części przychodów bez jej pomniejszania o koszty uzyskania. Szczególnie nisko wyceniono działalność usługową w zakresie handlu i gastronomii, ustalając dla niej stawkę podatkową na poziomie 3%. Taki jest realny koszt wystawienia rachunku nabywcy „kosztów”. Każda złotówka ponad tą część deklarowanej wartości zostaje zyskiem sprzedawcy.

Różnica pomiędzy najniższą stawką przy objętych ryczałtem usługach a maksymalną w 2012 roku daniną w skali progresywnej, sięgającą 32% zysków zarobionych powyżej kwoty 85 528 zł, to aż 29%. Dlatego warto przeprowadzać wszelkie własne transakcje na zaprzyjaźnionego mikroprzedsiębiorcę lub z jego pomocą ograniczać własne dochody mnożąc sztucznie koszty prowadzonej działalności. Z uwagi na brak możliwości odliczania kosztów uzyskania przychodu ryczałtowcy chętnie też własne ponoszone wydatki fakturują na współpracujący podmiot rozliczany na zasadach ogólnych, generując w ten sposób dla niego dodatkowe koszty, tworzące zarazem podstawy do odliczania inaczej straconego VAT-u.

Małe przedsiębiorstwa mogą poprzez stałą symbiozę z tylko jednym, uprzywilejowanym w powyżej opisane sposoby partnerem ograniczyć swe zobowiązania fiskalne niemal do zera, czyli do tej stałej kwotowej stawki podatku lub znikomego ryczałtu. Oczywiście w przypadku ograniczenia do jednego dostawcy rachunków, „oszczędności” nie powinny sięgać milionów, a co najwyżej 500 000 zł rocznie, a najlepiej o wiele mniejszej kwoty. Tyle w teorii, w praktyce **niezbędna jest dywersyfikacja źródeł kosztów**, gdyż zapewnienie ksiąg rachunkowych wydatkami na rzecz jednego kupca

lub stolarza z Mszany Dolnej na pewno wzbudzi podejrzenie ewentualnej kontroli. W przypadku niedoborów zewnętrznych „dostawców” w pełni opłacalne pozostaje nawet „zatrudnienie” kilku bezrobotnych w celu rejestracji przez nich działalności rozliczanych ryczałtowo, a następnie już tylko produkcji pustych rachunków. Przy kreatywnym pozyskiwaniu kosztów w wielu różnych źródłach można ograniczyć zobowiązania fiskalne zarówno małej rodzinnej firmy, jak i dużego przedsiębiorstwa. Pamiętać należy jednak o umiarze. Pierwsza kontrola podważy transakcje na ogromne i okrągłe kwoty, wydatkowane na absurdalne usługi (np. zegarmistrzowskie) przez podatnika prowadzącego w bardzo rozsądny i wydajny sposób innego typu działalność biznesową. Pazerność oznacza szybką dekonspirację, rozsądek długoterminowe i bezpieczne oszczędności. Stąd zalecana jest daleko posunięta dywersyfikacja źródeł kosztów i ich tytułów.

Jak zmylić kontrolę skarbową?

Aby zapewnić życzliwość ewentualnej kontroli skarbowej lub podatkowej profesjonaliści dbają o odpowiedni „wygląd” księgowanych faktur i rachunków. Z definicji podejrzane pozostają wszelkie sumy podzielne przez 10 i przez 5. Oznacza to, że o wiele mniejszą uwagę kontrolerów przyciągnie rachunek, bądź faktura, na kwotę 8706 zł 34 gr., niż obejmująca okrągłe 10 000 zł. Szczególną uwagę zwracają również bardzo duże rozliczenia np. na kilkaset tysięcy zł z nowym kontrahentem, zwłaszcza, gdy kontrola krzyżowa ujawni u niego niemal stan upadłości lub zupełną niewiarygodność w stosunkach danego rodzaju, albo też brak spójnego stanowiska, co do łączących strony zobowiązań. Często ujawniony stan rzeczywisty dowodzi niemożliwości zrealizowania usługi z powodu braku odpowiadającej jej charakterowi kadry, sprzętu, zbyt krótkiego czasu

realizacji, niesprzyjających warunków atmosferycznych lub innych przeszkód właściwych dla danej branży. Podobnie można dowieść braku faktycznego dokonania dostawy towaru w legalnym obrocie, w przypadku np. niemożliwości jego magazynowania (duża objętość lub szczególne warunki bezpieczeństwa np. paliwa płynne przy braku zbiorników i obszernych magazynów), zbyt dużego czasu składowania (produkty szybko psujące np. nabiał albo mięso a przechowywane według dokumentacji tygodniami poza chłodnią) lub innych okoliczności wykluczonych dla udokumentowanych warunków kontraktu. Szczególną przesłanką fikcyjności pozostaje również brak rachunku ekonomicznego transakcji, czyli sprzedaż lub świadczenie usług znacznie poniżej, albo powyżej wartości oferowanych dóbr. Nie zawsze jednak jest to dowodem oszustwa, gdyż sprzedaż za połowę ceny owoców, które następnego dnia będą nadawały się wyłącznie na śmietnik, będzie decyzją racjonalną ekonomicznie i ograniczającą straty, choć nie zapewni ona zysku i nie przyniesie zwrotu zainwestowanych środków. Ogólnie – diabeł tkwi w szczegółach i o nich należy pamiętać.

W niektórych przypadkach kontrola krzyżowa rozliczeń nie może zaszkodzić nabywcy „kosztów”, gdyż ich sprzedawca jest doświadczonym przedsiębiorcą, a przedmiot transakcji znajduje potwierdzenie w zakresie jego działalności i realnych możliwości. Profesjonalny oszust podatkowy dla udokumentowania większych fikcyjnych transakcji zawsze przygotowuje także dodatkowe dowody – prowadzoną między stronami korespondencję, maile, faksy, oferty, specyfikacje, foldery reklamowe, protokoły odbiorcze, reklamacje cząstkowe etc. Wówczas, w przypadku braku awarii czynnika ludzkiego, a więc celowego działania jednej ze stron lub pozyskania wiarygodnych postronnych świadków, zazwyczaj brak możliwości zakwestionowania w istocie niezrealizowanej umowy w sposób dostateczny do uzyskania wyroku skazującego. *Przy jakiej wartości*

„kosztów” warto gromadzić dodatkowe dowody? To zależy od skali działania ich nabywcy. Przy działalności małej rodzinnej firmy jednostkowe kwoty wzbudzające zainteresowanie zaczynać mogą się już od 5 000 zł, średniej wielkości podmioty bez podejrzeń zaksięgują wydatek rzędu 40 000 zł, a w rozliczeniach dużego koncernu milionowe wypłaty zginą w gąszczu podobnych. Regułą jest, że jednostkowy fikcyjny koszt nie powinien pozostawać nigdy wyższy, od najwyższego wydatku rzetelnie zaksięgowanego w danym okresie rozliczeniowym. Jeśli jednostkowe wydatki przedsiębiorstwa wulkanizacyjnego zamykają się w kilkutysięcznych rachunkach, w sposób oczywisty rzucać się musi w oczy jednorazowa kwota 100 000 zł odprowadzona na rzecz niemalże bankruta z tytułu np. egzotycznego dla tego usługodawcy i enigmatycznego, co do swego zakresu, consultingu. Słowem, doradca ds. inwestycyjnych musi wyglądać na doradcę i posiadać dostateczną wiedzę fachową, a nie wykształcenie zawodowe o profilu rolniczym z bogatym doświadczeniem w bezrobociu i alkoholizmie. Podobnie nabywca takiej usługi powinien jej realnie potrzebować i potrzebę tę w razie wątpliwości udowodnić.

Często spotykaną metodą „zasłony dymnej” jest preparowanie na potrzeby kontroli paru łatwych do wykrycia „błędów” w księgowości, skutkujących jednak tylko drobnymi mandatami. Nieprawidłowości w treści w pełni prawdziwych faktur, wystawionych za rzeczywiście przeprowadzone transakcje, usypiają czujność kontrolerów. Potwierdzają częściową nieporadność przedsiębiorcy zagubionego w gąszczach przepisów podatkowych, lecz wykazują z gruntu jego uczciwość. Wszak weryfikacja wątpliwej dokumentacji w ostatecznym rozrachunku potwierdziła jej zgodność z prawdą. Zaksięgowanie faktury proforma jako pełnoprawnej faktury VAT, brak podpisu na innej fakturze lub pomyłony numer NIP. Przecież takich błędów nie popełniają

profesjonalni oszuści... A kontroler z pełną satysfakcją może pochwalić się przed przełożonymi wykryciem kolejnych nieprawidłowości – ku chwale Rzeczypospolitej. Wszyscy są zadowoleni.

Najgorsza dla nabywcy kosztów jest opcja umieszczenia w księgowości faktury VAT od początku do końca sfalszowanej, czyli nieodnotowanej w ewidencjach sprzedawcy. Nawet jeśli sprzedawca jako podmiot gospodarczy rzeczywiście istnieje i dane na dokumencie odpowiadają tym w rejestrach – tzn. zachodzi zgodność numeru NIP, nazwy i adresu siedziby, w toku kontroli krzyżowej okazać się może, że fakturę wystawiła osoba do tego nieuprawniona lub podpis osoby uprawnionej został sfalszowany, a odbita pieczęć różni się od tej używanej na co dzień. Oznacza to, że sprzedawca nie odprowadził należnego podatku VAT, a po zainkasowaniu zapłaty samą dokumentację fikcyjnej transakcji wyrzucił do kosza. W przypadku weryfikacji krzyżowej sytuacja nabywcy tych „kosztów” jest nie do pozazdroszczenia – „usługodawca” lub „dostawca towaru” wyprze się nieistniejącego zdarzenia. Oszust oszukał oszusta – to się niestety zdarza. W tym przypadku pozostaje już tylko zgłosić prokuraturze popełnione na naszą szkodę oszustwo... Dokonane przez nieznanego sprawcę podszywającego się pod „tego uczciwego przedsiębiorcę”...

Podwójna księgowość

Prowadzenie zwielokrotnionych, wariantowych ksiąg rachunkowych to praktykowana od wielu dekad, bazowa metoda nieuczciwości podatkowej. Polega ona na jednoczesnym operowaniu dwoma lub kilkoma kompletami dokumentacji księgowej. Jeden zestaw, na wypadek nagłej kontroli, przedstawia rzeczywisty obraz przeprowadzonych transakcji, natomiast drugi i kolejne, opisują stan

z pominięciem wybranych przychodów. Sensem oszustwa pozostaje ominięcie obowiązku przekazania pobranego od klienta podatku VAT oraz tradycyjnie uszczuplenie podatku dochodowego. Jeśli stronami transakcji są stali i zaufani kontrahenci, a w ich zgodnym interesie leży ukrycie czynności, często zostaje ona odnotowana tylko na czas jej trwania w jednym egzemplarzu ksiąg rachunkowych, który po zakończeniu realizacji umowy lub upłynięciu jej przedmiotu zostaje zastąpiony drugim kompletem, już bez wspomnianego rozliczenia. Tym samym przychód pozostaje w nieobjętej opodatkowaniem szarej strefie. Ewentualna kontrola np. stanu magazynów i wykrycie w nich towarów niezewidencjonowanych pociągałaby za sobą odpowiedzialność karnoskarbową przedsiębiorcy, analogiczną do wartości nielegalnego obrotu. Gdy jednak w chwili kontroli dokumentacja nie budzi zastrzeżeń i oddaje w każdym szczególe obecny stan posiadania, oczywiście nie istnieje groźba żadnej sankcji karnej. Puste magazyny nie wymagają już przechowywania zbędnych faktur, wtedy bez większego żalu mogą więc one trafić do ognia. Do samej kontroli dochodzi niezwykle rzadko i to z powodu czynnika ludzkiego: donosu zwolnionego pracownika, konkurencji lub niezadowolonego klienta. Na taką ewentualność warto jednak być przygotowanym. Zysk obliczyć można mnożąc oszczędności z jednej nieodnotowanej dostawy towaru przez ich ilość.

Alternatywna opcja to wykorzystanie odroczonego terminu płatności. Umożliwia ona wielokrotne wydawanie towaru ze stałą „podkładką” w postaci jednej, nierozliczonej jeszcze przelewem bankowym faktury. Kontrola stanu magazynów zawsze będzie odzwierciedlała zgodność z księgowością, nawet gdy po raz piąty zostanie on wypełniony produktem – jednak zgodnym gatunkowo oraz ilościowo z dokumentacją. Minusem tej metody pozostaje obowiązek solidnego rozliczenia z fiskusem z przynajmniej jednej transakcji, o ile towar zalega w magazynach już po terminie

płatności, a strony chcą uniknąć korekty faktury. Jednorazowa korekta jest w pełni dopuszczalna, lecz jeśli dokonywana byłaby każdego miesiąca i zawsze w końcowym rezultacie sprowadzała transakcję do niebytu, wzbudzi uzasadnione zastrzeżenia nawet skrajnie niekompetentnego kontrolera.

Konsument wcale nie musi być informowany o pominięciu transakcji w ewidencji sprzedaży, gdyż jego zgoda ani aktywna współpraca nie są tu do niczego potrzebne. Jeśli klient zwróci się później z roszczeniem reklamacyjnym z powodu np. awarii radia, co jest przecież stosunkowo rzadkie, wystarczy przychylić się do jego prośby a znika ryzyko ujawnienia wystawionego mu, pozbawionego pokrycia rachunku czy faktury. Później, jeśli szczególne okoliczności tego wymagają, trzeba co najwyżej zmienić zapisy w księgach odnotowujących wydanie towaru i ewentualnie wpisać zawarcie reklamowanej transakcji pod bieżącą datą, również nie dzieląc się tym sekretem z nabywcą. Znikome ryzyko powstaje w przypadku nieodprowadzenia podatków i zniszczenia dokumentacji sprzedaży towarów lub usług na rzecz administracji rządowej, samorządowej, sądów, prokuratur, kościołów, związków wyznaniowych, wszelakich szkół – podstawowych, gimnazjów i średnich etc., gdyż inspekcje tych instytucji niezmiernie rzadko obejmują kwestie podatkowe i nie są wówczas prowadzone kontrole krzyżowe.

Skłonny do ryzyka przedsiębiorca może podjąć próbę kilkakrotnego księgowania identycznych transakcji na jeden numer faktury lub rachunku. W przypadku przeprowadzania kontroli nie będzie możliwe z poziomu badanych ksiąg stwierdzenie, czy którychś transakcji „brakuje”, a ryzyko dekonspiracji oszustwa rodzi tylko **kontrola krzyżowa** weryfikująca stan cudzej księgowości. Aby zniwelować to zagrożenie, w chwili jej wszczęcia pod daną pozycją umieszcza się fakturę tego właśnie kontrahenta i wtedy już wszystko się zgadza. Jest to o tyle wygodne, że urzędnicy powinni

już na wstępie czynności sprawdzających wskazać, jakie dokumenty należy im przedstawić, np. wszystkie faktury sprzedaży za określony okres wystawione dla danego podatnika albo tylko konkretną fakturę. W skierowanym wezwaniu powinno zostać również sprecyzowane, czy ma on przedłożyć żądane dokumenty osobiście, czy też może je przesłać pocztą. Warto pamiętać, że celem kontroli krzyżowej jest sprawdzenie rzetelności i prawidłowości dokumentów posiadanych przez obie strony, a nie kompleksowe prześwietlanie obu kontrahentów. Jeśli więc nie znajdą szczególne ku temu przesłanki, kontrola nie zostanie rozciągnięta na całość rozliczeń podatnika podменяjącego faktury lub rachunki.

Jako dodatkowy element zaciemniający stosuje się niekiedy faktury drukowane na papierze termicznym, z natury wyjątkowo nietrwałym i podatnym na niszczące działania wysokiej temperatury. Efekt upływu czasu wzmacniany bywa wystawieniem archiwum na ostre, letnie słońce lub podgrzewaniem suszarką do włosów. Po takich zabiegach kontrolerzy natykają się nie na klarowne dowody wskazujące konkretne transakcje, a na wyblakłe, nieczytelne sterty papieru mogące wskazywać na dowolne z poszukiwanych rozliczeń... W przypadku transakcji opłacanych gotówką zazwyczaj skutecznie uniemożliwiało to ustalenie prawdy, a więc i wysunięcie jakichkolwiek oskarżeń.

Fikcyjne darowizny na Kościół

Przedsiębiorcy blisko związani z duszpasterzami wiodących religii, a w szczególności popularnego i poważanego nad Wisłą Kościoła katolickiego, mogą za ich pośrednictwem jawnie i zupełnie „pozbyć się” podstawy opodatkowania. Części darowizn nie obejmuje bowiem ulga limitowa i w pełnej wysokości stanowią one podstawę do odpisania od dochodów. Oznacza to, że nawet 100%

uzyskanych w danym roku zysków można przeznaczyć na Kościół, tym samym zwalniając się z obowiązku płacenia podatków. Nie trudno wyobrazić sobie możliwości twórczego wykorzystania faktu bliskiej współpracy z osobą duchowną, niemającą jednak nic wspólnego z katolicką ideą uczciwości. Modus operandi oszustwa jest wówczas nadzwyczaj prosty. Na konto np. parafii trafia przelew w kwocie kilkuset tysięcy zł, po czym po potrąceniu „prowizji”, pozostałe pieniądze zostają zwrócone gotówką „darczyńcy”. Z tej możliwości korzystali m.in. gangsterzy z tzw. Mafii Paliwowej. Do legendy branżowej przeszło przekazanie w Częstochowie ponad milionowej darowizny na działalność charytatywną Kościoła, z której następnie... opłacono kaucję za jednego z aresztowanych bossów. Kwotę oczywiście odliczono od podstawy opodatkowania. Według tej samej legendy, tą drogą przeprowadzono przez różne podmioty kościelne wiele milionów zł, wyjmując je zupełnie spod kontroli fiskusa i kierując, już jako w stu procentach czyste, do sfinansowania neutralnych inwestycji wyjętych spod ryzyka przyszłej konfiskaty. Z niesformalizowanych, a najprawdopodobniej kulturowych i politycznych, przyczyn instytucje państwowe nie kontrolują transakcji kościelnych, ani działalności podlegających jej osób prawnych, takich jak metropolie, archidiecezje, diecezje, administratury apostolskie, parafie, kościoły rektoralne (rektoraty), Caritas Polska, Caritas diecezji, czy Papieskie Dzieła Misyjne.

Aby skorzystać z ulgi nielimitowanej spełnić należy łącznie następujące warunki: celem darowizny wskazana zostać musi działalność charytatywno-opiekuńcza Kościoła, dary pieniężne wniesione być muszą w formie przelewu bankowego i potwierdzone pokwitowaniem odbioru przez obdarowanego, a następnie w ciągu dwóch lat obdarowany przedłożyć powinien sprawozdanie o przeznaczeniu darowizny na kościelną działalność charytatywno-opiekuńczą. W przypadku przekazania darowizny rzeczowej, fakt ten

należy potwierdzić dokumentem, z którego wynika wartość tej darowizny oraz oświadczeniem obdarowanego o jej przyjęciu.

Za działalność charytatywno-opiekuńczą ustawa uważa m.in.: prowadzenie zakładów dla sierot, starców, osób upośledzonych fizycznie lub umysłowo, szpitali, aptek, żłobków, burs, schronisk, organizowanie pomocy ofiarom wojennym i klęsk żywiołowych, osobom pozostającym w szczególnie trudnej sytuacji życiowej, a w tym pozbawionym wolności. Sprawozdanie powinno być konkretne i najlepiej, jeśli wskaże, kiedy, jakie sumy i na jaki cel zostały wydane. Trudno jednak w praktyce wykazać, czy pieniądze pochodziły rzeczywiście od tego konkretnego darczyńcy, czy też np. zostały zebrane na „*tacę*” – pozostaje wiara w słowo spisane. Jak już wspomniano, ta jest głęboka i organa skarbowe traktują temat jako tabu, rezygnując z gorliwości w kontroli finansów kościołów.

Podatnicy korzystający z odliczeń darowizn są obowiązani wykazać w zeznaniu kwotę przekazanej darowizny, kwotę dokonanego odliczenia oraz dane pozwalające na identyfikację obdarowanego, a w szczególności jego nazwę i adres. Niestety, nie każdy Kościół korzysta z dobrodziejstw Nielimitowanych darowizn. Z uwagi na fakt, iż jest to ulga wprowadzona z pominięciem zasad ogólnych, unormowana zostaje za każdym razem oddzielną ustawą o stosunku państwa do poszczególnych związków wyznaniowych i dotyczy tylko konkretnego wymienionego w niej podmiotu. W minionych latach ulgą objęto następujące kościoły: Kościół Katolicki (1989 r.), Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny (1991 r.), Kościół Ewangelicko–Augsburski (1994 r.), Kościół Ewangelicko–Reformowany (1994 r.), Kościół Adwentystów Dnia Siódmego (1995 r.), Kościół Chrześcijan Baptystów (1995 r.), Kościół Polskokatolicki (1995 r.), Kościół Ewangelicko–Metodystyczny (1995 r.), Kościół Katolicki Mariawitów (1997 r.), Kościół Starokatolicki Mariawitów (1997 r.) oraz Kościół Zielonoświątkowy

(1997 r.).

Należy szczególnie uważać, by przekazana kwota nie została sklasyfikowana jako przeznaczona na cele kultu religijnego, gdyż ten na zasadach ogólnych wyrażonych w ustawie o PIT art. 26 ust. 1 pkt 9 umożliwia odliczenie jedynie do wysokości 6% rocznego dochodu darczyńcy. Do kategorii tej zaliczyć należy szczególnie wspieranie budowy i remontów świątyń lub ich wyposażenia oraz pomników, zakup przedmiotów liturgicznych, wspieranie katolickich rozgłośni radiowych np. Radia Maryja lub Radia Józef, czy innych jednostek powiązanych, jak np. Katolickie Towarzystwo Kulturalne.

Dochód z czynności wyjętych spod legalnego obrotu

Uniknięcie podatku dochodowego możliwe jest także przy pomocy przeciwnej do Kościoła, „ciemnej” strony mocy, czyli jawnego zdobycia kapitału... w sposób nieprzewidywany przez polskie prawo. Zgodnie z art. 204. § 2 Kodeksu karnego ten, kto czerpie korzyści majątkowe z uprawiania prostytucji przez inną osobę podlega karze pozbawienia wolności do lat 3. Zapis ten oznacza, że pobranie jakiejkolwiek daniny państwowej od dochodów osoby trudniącej się prostytucją a zarobionych w drodze właśnie świadczenia nierządu, uczyniłoby przestępcą urząd skarbowy a z nim Rzeczpospolitą. Z uwagi na brak możliwości w polskim systemie prawnym do pociągnięcia do odpowiedzialności karnej tworów sztucznych, czyli osób prawnych, do których to również zalicza się Skarb Państwa, odpowiedzialności karnej podlegałyby wyłącznie, jako osoba fizyczna, urzędnik państwowy bezpośrednio odpowiedzialny za żądanie odprowadzenia z takiego źródła podatku. Decyzje podejmowane przez urząd skarbowy podlegają rygorom Kodeksu postępowania administracyjnego, a ten zaś w art. 156. § 1 pkt 6 uznaje za nieważną tą, której wykonanie wywołałoby czyn

zagrożony karą. Ponadto, transakcja odpłatnego świadczenia usług seksualnych nie jest możliwa w świetle przepisów Kodeksu cywilnego. Na takim stanowisku oparły swe wielokrotne decyzje sądy administracyjne rozpatrujące skargi na decyzje urzędów skarbowych. *„Na obszarze prawa podatkowego nie mogą wywoływać skutków bezprawne czynności cywilnoprawne, albowiem doprowadziłoby to do kolizji między prawem prywatnym a publicznym. W dotychczasowym orzecznictwie z uwagi na aspekt moralny i sprzeczność z zasadami współżycia społecznego uznano za słuszne zakwalifikowanie przychodów z prostytutki do przychodów z art. 2 ust. 1 pkt 4 ustawy z dnia 26 lipca 1991 r. o podatku dochodowym od osób fizycznych, który stanowi, że przepisów ustawy nie stosuje się do przychodów wynikających z czynności, które nie mogą być przedmiotem prawnie skutecznej umowy (por. wyrok NSA z 3 lutego 2000 r., sygn. akt I SA/Gd 1011/99, LEX nr 40390) – Wyrok NSA II FSK 727/07. Z tych powodów pobranie podatku od zarobków z prostytuowania się nie jest nad Wisłą możliwe.*

Z czasem coraz więcej osób, płci obojga, próbowało w ten właśnie sposób wyjaśniać dysproporcję stanu swego posiadania z deklarowanymi, osiąganymi w drodze normalnej pracy dochodami. Początkowo przyjmowano w większości przypadków na wiarę prostytutkę jako źródło nadwyżki majątkowej, obecnie jednak jest to już coraz rzadziej spotykane. Organa kontroli prowadzą szczegółowe śledztwa mające na celu zanegowanie takiego stanowiska podatnika. Niezwykle wiele osób deklaroowało świadczenie usług seksualnych w państwach zachodnich, gdzie ceny w tym sektorze bywają wysokie a możliwości weryfikacji stanu faktycznego ograniczone, co skutkowało przesłuchiwaniami „prostitutek” pod kątem znajomości... tamtejszego nazewnictwa (zwłaszcza potocznego, czyli wulgarnego) popularnych składników oferty branżowej. Dowodem na faktyczne prostytuowanie się miała być więc znajomość terminologii danego

języka obcego właściwych dla sfer seksualnych. Nie są niczym nadzwyczajnym pytania o ceny usług, następnie weryfikowane z tymi obowiązującymi w danym czasie na danym „rynku”. Normą w postępowaniu przed organami podatkowymi stało się również żądanie przedstawienia świadków potwierdzających świadczenie płatnego seksu i wszelkiej możliwej dokumentacji procederu. Nastręczało to dawniej o tyle trudności, iż klienci zazwyczaj pragną zachować pełną anonimowość, nie legitymują się opłacanym dziewczynom, a zwłaszcza już chłopakom, i nie dokonują opłat przelewami bankowymi. Zerowe możliwości dowodowe miały i mają zwłaszcza pracownice sektora „drogowego”, w którym rzadko dwa razy trafia się ten sam klient, a każdego dnia przerób sięgać może od kilku do kilkudziesięciu koneserów chwilowej bliskości. W o wiele korzystniejszej sytuacji są jak zawsze osoby lepiej sytuowane finansowo, czyli luksusowe call-girl i utrzymanki stałych sponsorów oraz ci, którzy się pod nie skutecznie podszycją. Postępująca liberalizacja społeczna i poparcie dla legalizacji prostytucji, w powiązaniu z powszechną niechęcią do fiskusa, skutkuje obecnie coraz łatwiejszym dostępem do świadków skłonnych potwierdzić do protokołu prostytuowanie się podatnika. Niekoniecznie są to faktyczni klienci, a w zdecydowanej większości po prostu znajomi składający fałszywe zeznania. W odpowiedzi na wiarygodne dowody prostytuowania, urzędnicy skierowali swe siły na kwestionowanie wysokości uzyskiwanych z tego źródła dochodów. Jest to zrozumiałe, gdyż w interesie urzędu skarbowego leży obłożenie wykrytego majątku 75% podatkiem przewidzianym dla dochodów pochodzących z nieujawnionych źródeł, czemu wskazane wyjaśnienie stoi na przeszkodzie.

Omijanie podatku dochodowego pozorowaniem odpłatnego świadczenia usług seksualnych jest jedną z najmniej skutecznych a zarazem bardzo kłopotliwych i stygmatyzujących metod. W

obecnym orzecznictwie opcję tę traktować należy już raczej tylko jak ostatnią deskę ratunku, wcielaną w życie, gdy na etapie gromadzenia dóbr karygodnie zaniedbano prewencję. Wybierając się do skarbówki warto dokładnie przeanalizować swoją wersję wydarzeń dostosowując czas „pracy” i jej miejsce do wartości ujawnionego majątku oraz dat jego nabycia, a także odpowiednio podszkolić warsztat językowy i zorganizować bezpruderyjnych oraz bogatych świadków-klientów. A w przyszłości najlepiej zastosować inną, pewniejszą i mniej uciążliwą „*optymalizację*” podatkową.

Rozdział XVI

Pranie brudnych pieniędzy – wykrywanie procederu w Polsce

Uzyskiwanie dochodu z pominięciem fiskusa nie stanowi na krótszą metę powodów do zmartwień. Podobnie zdobycie pieniędzy w wyniku dowolnego przestępstwa. Kiedy jednak posiadany majątek sięga milionów, a formalnie zamknęliśmy poprzedni rok zyskami rzędu minimum socjalnego, cieszenie się życiem – apartamentem w centrum stolicy, sportowym samochodem i wakacjami na Hawajach – może w prostej linii zaprowadzić nas do odpowiedzialności karnoskarbowej i utraty niemal wszystkiego. O ile legalizacja kilkutyśięcznych sum nie stanowi dla średnio rozgarniętego przedsiębiorcy kłopotu, o tyle problem pojawia się przy kwotach przekraczających ustawową granicę obowiązkowej rejestracji transakcji gotówkowych i przelewów bankowych, czyli 15 000 euro.

Proceder tzw. prania brudnych pieniędzy³ podzielić należy na wykluczające udowodnienie nielegalnego źródła pochodzenia „dogłębne” czyszczenie kapitału oraz „płytkie”, ograniczone jedynie do wprowadzenia kłopotliwej gotówki w krwiobieg bankowy albo inwestycyjny. Legalizacji podlegają korzyści z szarej i czarnej strefy. Pierwsza z nich to nieopodatkowana działalność gospodarcza, druga obejmuje przestępstwa przynoszące korzyści materialne, zwłaszcza

-
- 3 Pranie brudnych pieniędzy – termin oparty na historycznej podstawie działalności chicagowskiego gangstera Ala Capone, który legalizował zdobyty na przestępczej działalności kapitał poprzez fikcyjne zawyżanie w księgach rachunkowych zysków m.in. z pralni chemicznych.

produkcję, przemysł i handel narkotykami, handel bronią, egzekucję haraczów, organizację prostytucji oraz handel ludźmi, rozboje, korupcję i oszustwa gospodarcze.

Według szacunków wicepremiera Rosji Wiktora Zubkowa w 2011 roku wyprowadzono z jego ojczyzny około 33 miliardów wypranych dolarów, a identyczna suma nadal krąży w tamtejszym finansowym krwiobiegu. Eksperci niemieccy oceniają roczną wartość legalizowanego nad Menem kapitału na od 60 do 80 miliardów USD. Natomiast włoskie mafie, Cosa Nostra, 'Ndrangheta i Camorra, każdego roku lokować mają w czystych inwestycjach około 120 miliardów euro, co w wielu regionach Półwyspu Apenińskiego objawiło się faktyczną monopolizacją kluczowych gałęzi przemysłu, a także wpłynęło na PKB całego kraju. Tymczasem polskie służby chwalą się marginalną wartością tego procederu, nieśmiało określając dla Polski na około 3 miliardy USD. Szacunki te umieścić należy w kategorii baśni. Od dwóch dekad zachodnie struktury przestępcze uważają kraj nad Wisłą za jedną z najbardziej przyjaznych pralni w Europie. A więc, na tym biznesie można zarobić. I wielu zarabia...

Jak tropią brudny pieniądz?

Z uwagi na szeroko rozbudowany wachlarz podmiotów i osób związanych z zagadnieniem wyjaśnić na wstępie należy, czego niby nie wolno i jak sprawowana jest kontrola nad krajowym rynkiem finansowym. Legalizowanie brudnego kapitału zaistniało w polskich przepisach karnych dopiero po upadku PRL-u. Karalność pralni wprowadził art. 5 ustawy z 12 października 1994 r. o ochronie obrotu gospodarczego i zmianie niektórych przepisów prawa karnego (Dz.U. Nr 126, poz. 615), ujęty następnie w Kodeksie karnym:

***Art. 299 § 1:** Kto środki płatnicze, instrumenty finansowe, papiery wartościowe, wartości dewizowe, prawa majątkowe lub mienie*

ruchome lub nieruchomości, pochodzące z korzyści związanych z popełnieniem czynu zabronionego, przyjmuje, przekazuje lub wywozi za granicę, pomaga do przenoszenia ich własności lub posiadania albo podejmuje inne czynności, które mogą udaremnić lub znacznie utrudnić stwierdzenie ich przestępnego pochodzenia lub miejsca umieszczenia, ich wykrycie, zajęcie albo orzeczenie przepadku, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 8.”

Identyczna kara grozi pracownikom lub innym osobom działającym w imieniu lub na rzecz banku, instytucji finansowej lub kredytowej albo innego podmiotu, na których z mocy przepisów prawa ciąży obowiązek rejestracji transakcji i osób dokonujących transakcji, jeśli sprawca przyjmuje w gotówce, wbrew przepisom, pieniądze lub inne wartości dewizowe, dokonuje ich transferu lub konwersji, albo przyjmuje je w innych okolicznościach wzbudzających uzasadnione podejrzenie, że stanowią one przedmiot przestępstwa, albo świadczy inne usługi mające ukryć ich przestępne pochodzenie lub zabezpieczyć je przed zajęciem. Kara ulega zaostrzeniu do lat 10, jeśli sprawca działa w porozumieniu z innymi osobami lub osiąga znaczną korzyść majątkową. Obligatoryjnie sąd orzeka przepadek przedmiotów pochodzących bezpośrednio albo pośrednio z przestępstwa, a także korzyści lub ich równowartości, chociażby nie stanowiły one własności sprawcy, chyba, że podlegają zwrotowi pokrzywdzonemu lub innemu podmiotowi.

Głównym narzędziem prawnym służącym do wykrywania procederu jest sporządzona według zaleceń Dyrektywy Rady Wspólnot Europejskich nr 91/308 z 10 czerwca 1991 r. ustawa z dnia 16 listopada 2000 r. *o przeciwdziałaniu wprowadzaniu do obrotu finansowego wartości majątkowych pochodzących z nielegalnych lub nieujawnionych źródeł oraz o przeciwdziałaniu finansowaniu terroryzmu*. Nakłada ona na instytucję przyjmującą dyspozycję lub

zlecenie do przeprowadzenia transakcji, której równowartość przekracza wzmiankowane już wcześniej 15 000 euro, obowiązek jej zarejestrowania, także gdy kwota ta przekazywana jest w drodze więcej niż jednej operacji, ale okoliczności wskazują na to, że są one ze sobą powiązane. W przypadku podmiotu prowadzącego kasyno obowiązek ten dotyczy zakupu lub sprzedaży żetonów o wartości co najmniej 1 000 euro. Dolne limity kwotowe nie mają zastosowania, gdy okoliczności wskazują na nielegalne źródło przekazywanych środków. Przyporządkowanie klienta do tej grupy powierzono uznaniowej ocenie. Rejestracji podlegają więc transakcje ponadprogowe i tzw. *transakcje podejrzone*, a informacje o nich niezwłocznie przekazywane być muszą do Generalnego Inspektora Informacji Finansowej (GIIF) w randze podsekretarza stanu Ministerstwa Finansów. Tam będą przechowywane przez okres 5 lat, licząc od pierwszego dnia roku następującego po roku, w którym dokonano ostatniego zapisu związanego z rejestrowaną transakcją.

Odnutowaniu podlegają szczegółowe dane identyfikujące dysponentów. W przypadku osób fizycznych ustalane i zapisywane są cechy dokumentu stwierdzającego tożsamość lub paszportu, a także ich imiona, nazwiska, obywatelstwa oraz adresy, a ponadto dla dowodu osobistego numer PESEL a dla paszportu kod kraju. Osoby prawne udostępnić muszą aktualne dane z wyciągu z rejestru sądowego lub innego dokumentu, wskazującego nazwę (firmę), formę organizacyjną osoby prawnej, siedzibę i jej adres. Odnutowaniu podlega też treść aktualnego dokumentu wskazującego umocowanie osoby fizycznej przeprowadzającej transakcję do reprezentowania osoby prawnej, a także pełne dane tego człowieka. Dla jednostek organizacyjnych nieposiadających osobowości prawnej spisywane są dane z dokumentów wskazujących formę organizacyjną i adres siedziby oraz potwierdzających umocowanie pełnomocnika przeprowadzającego transakcję. Tak jak w przypadku

osób prawnych, odnotowane zostać muszą szczegółowe dane osoby reprezentującej.

Identycznie zabezpieczane są dane beneficjentów transakcji. Obowiązek rejestrowy obejmuje ustalenie i zapisanie ich nazwy (firmy) lub imienia i nazwiska oraz adresu, w zakresie, w jakim dane te instytucja obowiązana może ustalić przy zachowaniu należytej staranności. Jeżeli z okoliczności transakcji wynika, że osoba jej dokonująca nie działa we własnym imieniu, dążyć należy też do zidentyfikowania podmiotów w imieniu lub na rzecz których przeprowadzana jest czynność. Prócz wymienionych danych odnotowana zostaje kwota, waluta i rodzaj realizowanej transakcji, numer rachunku, który został wykorzystany do jej dokonania oraz dane posiadacza lub dysponenta tego rachunku. W przypadku zaistnienia uzasadnionego podejrzenia popełnienia przestępstwa prania brudnych pieniędzy, Generalny Inspektor może dokonać blokady transakcji, o czym zawiadamia właściwego prokuratora.

Kto jest zobligowany do kontroli rozliczeń finansowych i denuncjacji? Według ustawy niemal wszyscy: oddziały instytucji kredytowych w rozumieniu Prawa Bankowego, instytucje finansowe mające siedzibę na terytorium Polski i oddziały instytucji finansowych niemających takiej siedziby, banki krajowe, oddziały banków zagranicznych, Narodowy Bank Polski w zakresie w jakim prowadzi rachunki bankowe dla osób prawnych, sprzedaż monet, banknotów i numizmatów przeznaczonych na cele kolekcjonerskie i na inne cele oraz skup złota i wymianę zniszczonych środków płatniczych, instytucje pieniądza elektronicznego, oddziały zagranicznych instytucji pieniądza elektronicznego oraz agentów rozliczeniowych prowadzących działalność na podstawie ustawy o elektronicznych instrumentach płatniczych, firmy inwestycyjne, banki powiernicze w rozumieniu ustawy o obrocie instrumentami finansowymi, zagraniczne osoby prawne prowadzące na terytorium

Polski działalność maklerską i towarowe domy maklerskie oraz niebędące towarowymi domami maklerskimi spółki handlowe w rozumieniu ustawy o giełdach towarowych, Krajowy Depozyt Papierów Wartościowych S.A. w zakresie, w jakim prowadzi rachunki papierów wartościowych, podmioty prowadzące działalność w zakresie gier losowych, zakładów wzajemnych i gier na automatach oraz gier na automatach o niskich wygranych, zakłady ubezpieczeń w zakresie ubezpieczeń na życie, w tym ubezpieczycieli krajowych, główne oddziały ubezpieczycieli z państwa niebędącego członkiem Unii Europejskiej, oddziały ubezpieczycieli z państwa członkowskiego Unii Europejskiej, pośrednicy ubezpieczeniowi w zakresie ubezpieczeń na życie, chyba że za ich działania odpowiedzialność ponosi ubezpieczyciel, fundusze inwestycyjne i towarzystwa funduszy inwestycyjnych w rozumieniu ustawy o funduszach inwestycyjnych, spółdzielcze kasy oszczędnościowo-kredytowe, publiczny operator w rozumieniu Prawa Pocztowego, notariusze, adwokaci, radcy prawni, prawnicy zagraniczni świadczący pomoc prawną poza stosunkiem pracy, biegli rewidenci, doradcy podatkowi, podmioty prowadzące działalność w zakresie usługowego prowadzenia ksiąg rachunkowych, kantory, komisje, domy aukcyjne, antykwariaty, podmioty factoringowe, przedsiębiorcy prowadzący działalność w zakresie obrotu metalami lub kamieniami szlachetnymi i półszlachetnymi oraz pośrednictwa w obrocie nieruchomościami, fundacje, stowarzyszenia posiadające osobowość prawną przyjmujące płatności w gotówce o wartości równej lub przekraczającej równowartość 15 000 euro również w drodze więcej niż jednej operacji, a także przedsiębiorcy w rozumieniu ustawy o swobodzie działalności gospodarczej przyjmujący płatności za towary w gotówce o wartości równej lub wyższej niż 15 000 euro, również gdy należność za określony towar jest dokonywana w drodze więcej niż jednej operacji.

Dużo, prawda? Dodatkowo ustawa kładzie nacisk na wysoki poziom profesjonalizacji prywatnych „tropicieli”. Wymienione podmioty muszą wyznaczać osobę odpowiedzialną za wykrywanie podejrzanych rozliczeń, wprowadzić pisemną wewnętrzną procedurę działania, posiadać rejestr transakcji, szkolić pracowników, a także prowadzić w formie pisemnej lub elektronicznej analizy oceny ryzyka prania pieniędzy, a wyniki tych prac przechowywać przez 5 lat – pod groźbą kary więzienia oraz pieniężnej do 750 000 zł. W teorii rynek jest szczelny. Oczywiście większość z wymienionych podmiotów jest nadal z powodzeniem wykorzystywana jako pralnie. Przy tak rygorystycznych normach kontroli transferów finansowych, dodatkowo wciąż zaostrzanych przez prawo unijne i umowy międzynarodowe, brudny kapitał powinien być zawsze od razu identyfikowany, a pracze w kajdankach odstawiani do aresztów. Ilu w 2010 roku spotkał ten los? Na ponad 30 milionów zgłoszonych do GIFF transakcji do prokuratury trafiło zaledwie 120 zawiadomień. Gdy podejrzane jest niemal każde rozliczenie a prywatne podmioty muszą analizować ryzyko prania pieniędzy przez własnych klientów – czyli uszczuplać ich bazę i zyski kolaboracją ze zniechwalanym resortem – zamiast racjonalnego monitoringu rynku finansowego mamy urzędniczą pseudo-czułość wymierzoną we wszystkich, czyli w nikogo. Ale przecież chodzi tylko o statystyki, a te wyglądają ok.

Rozdział XVII

Pranie brudnych pieniędzy – płytka legalizacja

Płytką legalizacją polega tylko na wprowadzeniu posiadanej gotówki do krwiobiegu bankowego. Szczegółowa kontrola bez trudu wykazać może mało wiarygodne źródło, a nawet zupełny brak tytułu prawnego do zdeponowanych kwot, ale już samo ich ulokowanie na „czystych” kontach (co nie wyklucza rejestracji rachunków na słupa, sfałszowane dokumenty, czy zagraniczne spółki) zapewni swobodny przepływ środków poprzez bankowość internetową do dowolnego odbiorcy w dowolnym państwie świata. Wtedy zastosować należy opisane wcześniej metody cyrkulacji kapitału między wieloma podmiotami na bazie fikcyjnych rozliczeń, aż do zupełnego wyprowadzenia poza krajową jurysdykcję podatkową. Tam, po dalszym kilkukrotnym przepływie, trafić powinny one na konta czystych spółek off-shore lub fundacji i za ich pośrednictwem z powrotem do pierwotnego właściciela. Brudny pieniądz musi daleko wypłynąć, by mógł tanio wrócić czysty.

Podstawowa metoda konwersji to tzw. **smurfing**, czyli dokonywanie dużej ilości drobnych wpłat na rachunki bankowe podmiotów gospodarczych lub organizacji społecznych przez unikające przy tym rejestracji indywidualne osoby. To ostatnie jest zrozumiałe, gdy jednostkowe transakcje opiewają ledwie na setki, a co najwyżej na tysiące zł, nie są podzielne przez rażące w oczy 10 lub 5, a odnotowany tytuł wpłaty jest w miarę wiarygodny, wsparty np. numerem opłacanej faktury oraz znakiem zamówionego produktu odpowiadającego z grubsza nazwie odbiorcy. Znaczne rozdrobnienie

nie tylko gasi podejrzliwość, ale i wyłącza możliwość szczegółowej weryfikacji tysięcy jednostkowych klientów. Podobnie w drugą stronę – przy rzetelnym prowadzeniu działalności „dom wysyłkowy X” musi odnotowywać duże przychody od wielu detalicznych nabywców. Dodatkowe zamglenie uzyskuje się dokonując wpłat na rachunki odbiorcy założone w różnych bankach. I jak zawsze kluczem jest umiar. W miastach wojewódzkich bez trudu wytypować można kilkaset punktów wpłat, zaś w mniejszych miejscowościach podobna ich ilość zapewne znajdzie się w promieniu 30 kilometrów. Dokonując każdego dnia w tylko siedmiu różnych punktach w każdej z siedmiu pobliskich miejscowości lub dzielnic, pojedynczych wpłat na kwoty jednostkowe około 500 zł, jeden pracarz wprowadzi w ciągu miesiąca do obiegu około 490 000 zł. I to zachowując wolne soboty. Odwiedzając kasy rotacyjnie, w każdej z dostępnych w okręgu operowania pojawi się nie częściej niż raz w tygodniu, a więc jego aktywność nie wyda się kasjerom podejrzana. W większości banków, poczt i komercyjnych punktów przyjmowania opłat, tzw. Biur Usług Płatniczych, kasjerzy nie zażądają okazania dokumentu tożsamości osoby wpłacającej, co oznacza możliwość wpisania na blankiecie dowolnych danych: tożsamości wykradzionej albo wymyślonej. Dodatkową zaletą biur płatniczych, obok ogromnej ich liczby, a więc i znacznej dywersyfikacji miejsc wpłat, jest niski koszt przelewu i znikome uwrażliwienie kadry na proceder. W mniejszości też są banki pokroju ING, legitymujące klientów przy groszowych wpłatach. Nawet jednak zaostrenie restrykcji w tym zakresie nie zlikwiduje słabego punktu: czynnika ludzkiego. Zawsze nawiązać można bliską współpracę z pracownikami poczty, czy banku, którzy celowo odnotują nie prawdziwe personalia, a te podyktowane przez zaufanego znajomego. I to bezkarnie. *Każdy może przecież zostać wprowadzony w błąd sfałszowanym dokumentem, prawda?* Inną opcją jest wejście w ten biznes na szerszą skalę i dodatkowe

zarabianie na rzetelnych usługach transferowych. Koszt utworzenia punktu opłat to jedynie wynajem małego lokalu, wyposażenie go w boks kasowy, kasetę na pieniądze oraz komputer z dostępem do internetu. Oddział banku utworzyć można już przy inwestycji rzędu 30 000 zł. Oczywiście w przypadku głębokiej kontroli wpłat organa ścigania zidentyfikują stałe kanały, którymi płyną brudne pieniądze i ujawnią fikcyjne lub skradzione personalia wpłacających, lecz wówczas pracz będzie już daleko, a przyjmujący wpłaty idąc w zaparte zdoła przedstawić siebie samego jako ofiarę oszustwa.

Inna opcja to wprowadzenie jednorazowo większych kwot z wykorzystaniem rachunków bankowych objętych szczególnym zaufaniem. Z reguły żadnej podejrzliwości nie wzbudzą przelewy wychodzące z kont urzędów miast i gmin, Wojskowych Agencji Mieszkaniowych, Agencji Nieruchomości Rolnej, kancelarii komorników sądowych, urzędów skarbowych, a także dużych, znanych spółek – zwłaszcza tych komunalnych. W pierwszej kategorii wydatki pochodzą niemal wyłącznie ze środków publicznych, a więc zachodzi domniemanie legalnego ich pochodzenia. W drugim ogrom rozliczeń uniemożliwia badanie na poziomie pojedynczych transakcji, a duże przedsiębiorstwa z pewnością dysponują wielomilionowym kapitałem w którym znajdują one pokrycie. *Jak jednak przekonać np. komornika do szczodrego ślania pieniędzy?* Dokonując w kasach wpłat gotówkowych z tytułu np. wadium. Najwyższe ceny wywoławcze osiągają nieruchomości, zarówno wyprzedawane przez gminy, jak i spieniężane w ramach egzekucji wyroków sądowych. By przystąpić do licytacji złożyć należy dziesiątą część sumy oszacowania, co zwykle opiewa na dziesiątki tysięcy zł. Wpłata ta podlega zwrotowi na wskazany rachunek bankowy, jeśli dany oferent nie wygra licytacji, a ma to miejsce w przypadku zupełnie biernego zachowania. Zazwyczaj identycznie rozwiązane są kwestie wszystkich przetargów na

budynki i grunty, co rozszerza w skali kraju liczbę dostępnych „kontrahentów” do dziesiątek tysięcy. Podobnie wygląda regulowanie wadium przy zamówieniach publicznych. Wówczas wysokość żądanej wpłaty ograniczona jest do 3% wartości przedmiotu zamówienia, a by uzyskać jej zwrot czystym przelewem wystarczy złożyć nie rodzącą szans na zwycięstwo mało atrakcyjną (pisemną) ofertę lub zupełnie ją wycofać przed upływem terminu zgłaszania ofert. Prawo zamówień publicznych wyklucza bezpośrednio wpłaty w kasach urzędów, a przez pewien czas wykluczało nawet wpłaty gotówkowe dokonane w oddziałach banków, jednak najnowsze orzecznictwo odstąpiło od tego rygoru. Co prawda gotówka w dużej ilości przyciąga uwagę kasjerów bankowych, lecz podejrzliwość usypia wiarygodny odbiorca – np. lokalny urząd miasta. *Kto przesyłałby brudne pieniądze do dyspozycji burmistrza?*

Mniej formalności pociąga za sobą wykorzystanie dużych przedsiębiorstw. W ich przypadku wystarczy uważnie przestudiować warunki zwrotu droższego sprzętu lub wpłaconych zaliczek. Jeśli tylko wzory umów przewidują ich bezproblemowe rozwiązanie, wystarczy opłacić gotówką zakupy, po czym wskazać rachunek bankowy właściwy do przelewu.

Lokowanie pieniędzy w towarze przeznaczonym do dalszej odsprzedaży to kolejny popularny „płytki” sposób. Zakupy gotówkowe – nawet, gdy dotyczą granicznej kwoty 60 000 zł – niemal nigdy nie są denuncjowane przez sprzedawców. Oni dokonują czystej transakcji, więc nie obawiają się wyjaśniania źródła środków finansowych, zaś sposób zarobkowania nabywcy ich nie obchodzi. Priorytetem jest dziś pozyskanie klienta, a nie odstraszenie go represjami. Kto odmówi w czasie kryzysu sprzedaży cegieł wartości 100 000 zł tylko dlatego, że klient położył na stole plik stułotowych banknotów i poprosił o rozpisanie kwoty na dwie

faktury? Co więcej, niemal nikt z szerokiego wachlarza „prostych” przedsiębiorców nie ma pojęcia, że w przypadku „podejrzanych” transakcji obciąża ich obowiązek informowania jakiegoś „GIIF-a”. Poza prawnikami i finansistami nikt w ogóle nie wie, jak owa „podejrzana” transakcja powinna wyglądać. *Czy będzie nią sprzedaż cementu i wiadra mówicemu z włoskim akcentem klientowi w czarnym garniturze i kapeluszu z epoki Al'a Capone?* Co ciekawe, nieuwaga prawodawcy wyjęła spod obowiązku zgłaszania rozliczenia gotówkowe z tytułu usług. Nawet ogromny wydatek na remont lokalu, np. zmianę walącą się rudery w elegancką dyskotekę, połączony z zakupem już przez wykonawcę okien, drzwi, wykładzin i farb, nie rodzi żadnego obowiązku rejestracji.

Jeśli obie strony transakcji mają status przedsiębiorcy, muszą korzystać z pośrednictwa banku, ilekroć tylko rozliczenie przekracza równowartość 15 000 euro. Obecnie rygor ten nie jest już obłożony żadną sankcją, niemniej jednak niekiedy z uwagi na zachowawczego kontrahenta nie można liczyć na zrozumienie. Wtedy ominąć można próg bezgotówkowy zgłaszając jako nabywcę konsumenta. W Polsce ma on prawo przynieść walizkę pieniędzy i, gdy brak umownego zastrzeżenia formy przelewu, żądać jej przyjęcia, co często miało miejsce np. przy sprzedaży mieszkań i domów developerskich lub samochodów. Tak pozyskane dobro można następnie wprowadzić na rynek wtórny umową komisu, której rozliczenie wpłynie na konto firmowe już z czystego rachunku kolejnego nabywcy.

Powyższymi sposobami problem konwersji brudnej gotówki do sterylnej formy elektronicznej scedowany zostaje na uczciwego, zewnętrznego sprzedawcę. Tymczasem pracz odsprzedając tak zdobyty towar albo zastrzega (w przypadku hurtu albo dużej jednostkowej wartości) zapłatę w formie przelewu, albo przy detalu uzyskuje weryfikowalne źródło wpłacanej na konto gotówki. Duży obrót drobny w legalnie funkcjonujących punktach sprzedaży

(sklepach lub komisach) ma tę dodatkową zaletę, że w uciążliwym odwiedzaniu banku wyręczają świadczący usługi inkasa konwojenci. Czy istnieje wzbudzający większe zaufanie sposób wniesienia banknotów i bilonu na salę kasową, niż przez uzbrojonych po zęby, umundurowanych ochroniarzy?

Aspiracje unijne Polski skutkowały implementacją licznych finansowych restrykcji. Nie wszystkie jednak kraje śledzą przepływy pieniężne z gorliwością równą Niemiec, Francji, czy USA. Regulacje ograniczające obrót gotówkowy nie przyjęły się poza tzw. kręgiem Cywilizacji Zachodu. Nie należy spodziewać się szczególnych problemów z akceptacją wielomilionowej lokaty uiszczonej gotówką w krajach rozwijających się, egzotycznych rajach podatkowych, a także w republikach poradzieckich, obwarowanych pozornie rozbudowaną biurokracją kontrolującą wszystko i wszystkich, ale jednocześnie do cna skorumpowaną. Przykładem tego niech będą wyrastające w latach 90-tych jak grzyby po deszczu rosyjskie banki ze znikomym kapitałem zakładowym, albo przeciwnie potężnym, lecz pochodzącym głównie z nielegalnych źródeł. Zgodę na ich rejestrację wyrażali skorumpowani pracownicy banku centralnego. W wyniku tego aż 80% tamtejszych komercyjnych instytucji finansowych należy do grup przestępczych, a gotówką w dawnych latach zasilali je gangsterzy z Kolumbii, Włoch i Turcji. Następnie, przez nieliczne honorowane na rynkach zagranicznych moskiewskie banki transferowano środki m.in. do Austrii i Anglii, gdzie z czasem zupełnie przejęto wiele lokalnych banków o ugruntowanej pozycji rynkowej. Jednocześnie, w nieskrępowany sposób kapitał wędrował też do Azji, Afryki, Ameryki Południowej oraz do banków internetowych rejestrowanych m.in. na wyspie Antigua. Jeden z tamtejszych umieścił w radzie nadzorczej prokuratora generalnego tego karaibskiego państwa, a na funkcję prezesa forsował kandydaturę członka brytyjskiej Izby Lordów. Import już wypranego

wielokrotnymi przelewami kapitału zapewniał m.in. masowo eksportujący do Moskwy amerykańskie studolarówki Republic National Bank z Nowego Yorku⁴ – kolos operujący aktywami rzędu 50 miliardów USD. Tą drogą utworzono globalne kanały zalewające, z pominięciem rygorów obrotu dewizami, amerykańskie i europejskie rynki finansowe czystymi już pieniędzmi największych syndykatów odpowiadających za masowe przestępstwa narkotykowe oraz defraudacje. Budowa tak zaawansowanych tworów jest rozwiązaniem zbyt kosztownym i czasochłonnym dla detalisty, lecz lukratywnym dla potężnych struktur mafijnych i przedsiębiorców usługowo legalizujących brudny kapitał. Problemem bywa jedynie przetransportowanie pieniędzy do „kasy”, znajdującej się zwykle za granicą Polski.

Jeśli zaufany oddział znajduje się na terenie Unii Europejskiej zastosowanie znajduje tzw. metoda walizkowa. Brak granic w strefie Schengen umożliwia dyskretne i bezproblemowe przewiezienie banknotów dowolnym środkiem lokomocji. Zdekonspirować kuriera może więc wyłącznie przypadkowa kontrola drogowa lub donos. Przepisy unijne zezwalają jednak na niedeklarowany i nieudokumentowany wywóz do 10 000 euro albo ekwiwalentu tej kwoty w innej walucie lub łatwo zbywalnych

-
- 4 Podmiot ten wchłonięty został później przez londyński holding HSBC, co zbieгло się w czasie ze śmiercią twórcy banku, zaccadzonego w wyniku podpalenia. W lipcu 2012 roku śledztwo przeprowadzone na polecenie senatu USA ujawniło przetransferowanie poprzez HSBC, możliwe z powodu biernej postawy władz tego banku, miliardowego brudnego kapitału, w tym zysków meksykańskich karteli narkotykowych, obłożonych sankcjami reżimów syryjskiego i irańskiego, środków nieznanego pochodzenia z Kajmanów oraz z uznawanego za źródło finansowania organizacji terrorystycznych saudyjskiego banku Al Rajhi.

aktywach w rodzaju akcji, obligacji, czeków podróżnych etc. Powyżej tej wartości posiadać należy przy sobie np. zaświadczenie z banku, dowodzące legalności pochodzenia majątku. Jest to rozwiązanie o tyle wygodne, że na jednym takim potwierdzeniu można dokonać w krótkim czasie wielu kursów, a na końcu dokonać równie dużej i nierodzącej podejrzeń wpłaty w innym krajowym banku na nowe konto. Dla detalisty przewożącego jednorazowo do kilkudziesięciu tysięcy euro zaświadczenie takie powinno wystarczyć do wyeksportowania równowartości co najmniej miliona zł. Na terenie Europy, czy to Wschodniej, czy Zachodniej, samo prawdopodobieństwo nazbyt dokładnej kontroli samochodu lub schludnie ubranego i spokojnie zachowującego się turysty, pozostaje znikome. Z uwagi na praktycznie otwartą granicę z uznawanymi za raje podatkowe Liechtensteinem i Szwajcarią, czy brak jakichkolwiek ograniczeń w ilości wwożonych tam dewiz, jest to jeden z częstych kierunków eksportu, choć coraz rzadszy, odkąd tamtejsze władze ograniczyły rygory tajemnicy bankowej na rzecz przejrzystości przepływów pieniężnych. Inne istotne państwa to na zewnętrznej rubieży UE wspomniana wcześniej Federacja Rosyjska oraz Ukraina, wymagające deklaracji wartości wwożonych środków płatniczych. W przypadku rozsądnej wysokości kwot deklarowanych ich źródło nie będzie badane, jednak przy wywozie powyżej 10 000 euro z Ukrainy i 10 000 USD z Rosji liczyć się należy z żądaniem upoważniającej do tego dokumentacji bankowej. Zastosowanie znajduje tu zasada: *im więcej zostanie w naszej gospodarce z tego co wwozq, tym lepiej*.

Wiele państw, w tym np. również granicząca z Unią Turcja i pobliska Syria, czy Arabia Saudyjska, nie przewiduje żadnych limitów deklaracyjnych i kontrolnych dla wwożonej gotówki, co czyni je interesującymi szlakami tranzytowymi do pobliskich, nieobciążających dochodów podatkami Zjednoczonych Emiratów

Arabskich. Wykorzystanie transportu lotniczego umożliwia stamtąd bezpieczną i szybką dostawę gotówki wprost do dowolnego raję podatkowego w Ameryce Południowej, czy na Oceanie Spokojnym. Do samej Turcji dotrzeć można drogą lądową, tranzytem zwiedzając jeszcze nie objęte strefą Schengen ale w praktyce łatwo przejeżdżając Rumunię i Bułgarię, a także przez Włochy a następnie Grecję z wybrzeża, malowniczym rejssem przez morza Czarne, Śródziemne oraz, odradzane z uwagi na częste incydenty wojskowe wynikające ze sporu o wody terytorialne, Egejskie.

Poza „mrówkowaniem” z dozwolonymi lub pokrytymi w bankowych zaświadczeniach kwotami, praktykowany jest klasyczny wymyt jednorazowo dużych ilości pieniędzy przez strzeżone odcinki granic – zwykle Rosji i Ukrainy. W teorii zewnętrzne granice UE powinny być szczelne, ale w praktyce nacisk położony jest na ochronę obszaru Wspólnoty, a nie kontrolę tego, co z niego wychodzi, zaś sąsiedzi mniej rygorystycznie traktują granicę. To do Unii szmugluje się towary z ominięciem opodatkowania, a także zakazane narkotyki, broń i uchodźców, a więc w drugą stronę czujność jest złagodzona. W przeciwieństwie do papierosów, czy paliw, objętość banknotów zwykle pozostaje znikoma. Nie grozi też, jak przy heroinie i innych podobnych substancjach, wykrycie ich przez psy. Dodatkowo ograniczyć można gabaryty przesyłki skupując na nierejestrowanym rynku wtórnym materialne papiery wartościowe na okaziciela o znacznej wartości nominalnej i łatwej zbywalności w kraju docelowym. Niekiedy jedna, wsunięta między strony książki albo zaszyta w oprawie kartka lub weksel równoważy gruby plik waluty. Podobnie drogocenne numizmaty. Wmieszane między garść miedziaków zabytkowe dziesięciorubłówki z 1923 roku, każda po około 12 000 zł, czy moneta 50 zł z Aleksandrem I z 1817 roku o wartości około 25 000 zł, nie przyciągną raczej uwagi pogranicznika, a gdy na miejscu oczekuje nabywca pozostają jednym

z bezpieczniejszych sposobów przemieszczania kapitału.

Podstawa to nieprovokujący wygląd, wybór spokojnego odcinka granicy i umiar w ilości ukrytych pieniędzy, umożliwiające w razie dekonspiracji uniknięcie znacznych strat i poważnych kar. Ogólnie, jednorazowy wymyt nie powinien przekraczać wartości możliwego do udokumentowania zarobku z ostatnich lat. Innym czynnikiem gwarantującym bezpieczną przeprawę jest nawiązanie stałej, korupcyjnej współpracy z pogranicznikiem, co w połączeniu ze znajomością grafiku jego służby praktycznie wykluczy ryzyko ujawnienia wypełnionych banknotami walizek. Po drugiej stronie wystarczy już tylko dojechać do zaufanego punktu wpłat.

Wprowadzenie pieniędzy do obiegu bankowego otwiera drogę do ich szybkiego przetransferowania poza granicę ojczystego kraju i kontynentu, czyli zarazem poza jurysdykcję zainteresowanych organów ścigania. Bezpieczne ulokowanie na „czystych” rachunkach bankowych umożliwia też dalszą ich legalizację przez pozorowanie uczciwych transakcji w ramach prowadzonej lub też pozorowanej działalności gospodarczej, albo charytatywnej. Proceder ten nie jest domeną anonimowych biznesmenów i działających w cieniu grup przestępczych. Tylko w 2009 roku francuska prokuratura wszczęła śledztwo w związku z podejrzeniem lokowania pieniędzy z oszustw podatkowych na kontach banku Liechtenstein Global Trust (LGT) przez tak renomowane podmioty jak Michelin, Adidas i Elf Trading. Do tego celu wykorzystać miano podstawione fundacje i licznych figurantów. Ale wielkim nikt winy nigdy nie udowodni, a nawet jeśli, to kara będzie w porównaniu do miliardowych obrotów symboliczna. Potwierdzają tą regułę bezowocne próby identyfikacji szwajcarskich rachunków bankowych polskich polityków powiązanych z Mafią Paliwową. Tzw. kasjer lewicy, skazany przed laty za zabójstwo na tle rabunkowym bankier Peter Vogel pracujący w EFG Bank i w Coutts Banku w Zurichu, miał rzekomo umożliwić przetransferowanie

ponad 70 milionów zł łapówek na konta w rajach podatkowych. W tym samym czasie z ramienia szwajcarskiego koncernu Crypto AG organizował dla UOP-u import systemów kryptograficznych przeznaczonych dla wojska, dyplomacji i służb specjalnych. Wieloletnie śledztwa w większości zakończyły się oczywiście umorzeniami, brudnych pieniędzy rzekomo wręczonych politykom nie odnaleziono, a jedynym istotnym pokłosiem działań organów ścigania było nagłośnienie w mediach ułaskawienia Vogela przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Procedura ułaskawieniowa wszczęta zostać miała na osobiste żądanie ówczesnej minister sprawiedliwości Hanny Suchockiej.

Rozdział XVIII

Pranie brudnych pieniędzy – obrót konsumencki

Opcja zaawansowana nie pozostawia miejsca na ryzykowne operowanie kapitałem bez pokrycia, czy krążenie z nim po całym globie, a ogranicza się w pierwszej – najważniejszej – fazie do własnego podwórka. Mniej zachodu, a efekt jeszcze lepszy: kontrola wykryje jedynie uczciwe, dobrze udokumentowane zarobki.

Blending, to mieszanie legalnych przychodów z działalności gospodarczej z brudnymi pieniędzmi. Z uwagi na wolę rozcieńczenia czystymi transakcjami klientów istniejących tylko w księgowości, wybór pada głównie na anonimowo wbijaną na kasę fiskalną masową sprzedaż konsumencką. W przypadku obrotu towarem łatwo w drodze szczegółowej kontroli zakwestionować ilość spieniężonych dóbr – weryfikując ilość zafakturowanych dostaw, źródło środków przeznaczonych na ich zakup lub brak spłaty kredytu kupieckiego, brak środków transportu, czy odpowiedniego zaplecza magazynowego. Innym minusem jest niska rentowność. Jedynie czarnorynkowy handel narkotykami i bronią zapewnia wysokie marże, dlatego właśnie zarobione na nim pieniądze wymagają legalizacji. By wygenerować milion zł zysku na sprzedaży ubrań, materiałów budowlanych lub płodów rolnych, trzeba uzyskać zazwyczaj dziesięciokrotnie wyższy obrót, a działalności na tak szeroką skalę zwykle nie warto pozorować. Podobne ryzyko rodzi sprzedaż tych usług materialnych, których realizacja wymaga kosztownych surowców, albo wysoko wykwalifikowanej a trudno dostępnej i możliwej do imiennej (np. na podstawie uprawnień

zawodowych) identyfikacji kadry. W dodatku trudno zaprezentować zafakturowaną budowę drogi, która nigdy nie powstała. Dlatego kapitał podlega legalizacji poprzez fikcyjną sprzedaż usług niematerialnych lub materialnych, lecz opartych na tanich i powszechnie dostępnych surowcach, z których niemal pełen wpływ jest zyskiem usługodawcy, a określoną wartość i ilość transakcji zakwestionować można jedynie w drodze skrupulatnej i długotrwałej obserwacji wspartej zeznaniami wiarygodnych świadków. To zaś jest o tyle utrudnione w przypadku blendingu, że trudno ocenić, czy z pięciu odwiedzających dany punkt anonimowych klientów pieniądze zostawili wszyscy, czy tylko niektórzy, a jeśli już to ile jednostkowych usług każdy z nich zakupił. Imiennie fakturowana sprzedaż lub transakcje między przedsiębiorcami nie umożliwiają już tak swobodnego zawiązywania wpływów.

Opracowując biznesplan pod „pralnię” uwzględniać należy czynniki porównywalne do rzetelnie planowanej działalności. Branża nie może wymagać szczególnych uprawnień i związanego z tym nadmiernego zainteresowania instytucji kontrolnych, choć w pełni dopuszczalne są np. koncesje na alkohol. Wybrane miejsce powinno zapewnić łatwy dostęp do wytypowanej grupy nabywców, a lokal nie może odstępować od standardów właściwych dla branży. Ważyć też trzeba planowane dochody z realnym potencjałem ekonomicznym przedsięwzięcia. Szybko przyciągnie uwagę prokuratury i skarbowki przynosząca astronomiczne zyski pralnia zainstalowana w małej miejscowości, gdzie rzeczywisty zbyt na oferowane egzotyczne lub niekompatybilne z zapotrzebowaniami społeczności usługi jest znikomy, podobnie jak przeciętny dochód mieszkańca. Przykładem tego była niewielka pracownia jubilerska z Bydgoszczy, która wspólnie z Bankiem Spółdzielczym z powiatu świeckiego wprowadziła do obrotu 115 milionów zł, w ciągu 2 lat pozorując zużycie 4000 kg złota. Proceder został wykryty z uwagi na

niewiarygodną rynkowo lokalizację krajowego potentata w handlu kruszcem, a dowodami winy były niemożliwe do wykazania źródła transakcji surowcowych. Zatem kluczem jak zawsze jest umiar i racjonalność. Projekt przedsięwzięcia musi mieć sens i z grubsza wpasować się w zapotrzebowanie rynkowe, zaś „sukces” ekonomiczny zagwarantuje nie wypadkowa ceny i jakości oferty a strumień brudnego kapitału. Z tych powodów znacznym ułatwieniem startu jest zakup, albo wymagająca mniejszych (udokumentowanych) wydatków dzierżawa, już działającego przedsiębiorstwa, które nawet jeśli nie jest lokalnym liderem, to jest już „sprawdzone” przez organa podatkowe i wtopiło się w pejzaż. A tym samym, zgodnie z zasadą starego KRS-u, nie wzbudza zbytniej podejrzliwości. Ewentualnym doinwestowaniem oraz agresywną polityką marketingową wyjaśnić można nagły, dwu lub trzykrotny wzrost obrotów, a to już wystarczy do zalegalizowania nawet kilkuset tysięcy zł miesięcznie.

W jakie branże inwestować? W latach 90-tych największymi pralniami czyniono kantory, solaria, dyskoteki i salony gier, a wśród bardziej kreatywnych projektów wskazać trzeba firmy fonograficzne lansujące muzykę disco-polo. Problemem z gwarantującym anonimowość skupem dewiz pozostawały znikome marże, co wymuszało generowanie ogromnego obrotu, a więc poza dworcami i przejściami na zachodniej granicy na pierwszy rzut oka pozwalało typować „dotowane” punkty. W ten sposób wpadł kantor z Gdańska Wrzeszcza, każdego dnia odprowadzający do banku po około milion dolarów i marek niemieckich, gdy średnia rynkowa dla tego regionu była kilkadziesiąt razy niższa. Akcesja Polski do UE i wcześniejsze zaspokojenie pozostałego po PRL-u głodu dewiz ograniczyło wielką dawniej popularność lokowania oszczędności w walutach obcych, co uczyniło ten sektor nieopłacalnym korytarzem legalizacyjnym.

Dyskoteki do dzisiaj są idealnymi pralniami. Każdego wieczoru do 300 sprzedanych wejściówek doliczyć można podobny zysk z

faktycznie bezpłatnie wpuszczonych dziewczyn, a następnie łączną liczbę imprezowiczów pomnożyć przez dwa i od niej wyliczyć wpływy. Nikt w tym tłumie nie ustali dokładnej ilości uczestników zabawy, a do każdego dodać można jeszcze po parę drogich drinków oraz koszty szatni. Skalę możliwej legalizacji łatwo oszacować, przyjmując cenę około 20 zł za mojito i kamikaze, czy 10 zł za piwo. Z tego powodu dużą popularnością cieszyły się też puby i pizzerie oraz inne obiekty małej gastronomii. Paru rzeczywistych klientów może równie dobrze zamówić tanie napoje, jak i obfite posiłki oraz po kilka kufli na głowę. Znikome koszty produktów spożywczych oraz solidnie rozcieńczanych sokami i lodem drinków eliminują problem precyzyjnego rozliczenia zużytych składników. Nikt nie ustali, ile dokładnie autorskich koktajli wzmocnić można z jednej flaszki wódki, a ile pizz na płaskim cieście powstanie z kilograma mąki. Ostatnimi czasy modne staje się też łączenie parkietów z kręglami, bilardem, rzutkami i innymi podobnymi grami, na których zawyżanie zarobku jest równie skuteczne i trudne do wykrycia. Dzięki temu okazały metrażowo obiekt nie „marnuje” się we wczesnych godzinach i może pracować siedem dni w tygodniu. Grunt, by nie przekroczyć na papierze realnych mocy przerobowych często deficytowego interesu.

Gdyby nie dyktat formatu mp3, to do dziś żywy byłby wielki potencjał branży fonograficznej, chociażby z powodu niskiego opodatkowania tantiem autorskich. Dystrybucja targowiskowa często eliminowała możliwość prześledzenia trasy sprzedanego towaru, który z uwagi na niski koszt surowca (dawniej kasecie, dziś płyta CD za kilka groszy) cały utarg w przypadku fikcyjnej sprzedaży konwertował do zysku producenta i piosenkarza. Kto wyliczy, czy jarmarkowa gwiazdka zdobyła serca 50 000 fanów, czy może podobna ilość płyt, po 20 zł sztuka, z pominięciem wytwórni trafiła wprost do śmietnika? Podobnie trudno zweryfikować, czy na

festynowym koncercie bawiło się 1000, czy 5000 osób, co łączyć trzeba z odpowiednim obłożeniem kramików z gadżetami i płytami oraz zaplecza gastronomicznego. Pewnie nikt nie kupi zdjęcia artysty za 10 zł, ale na kasę można spokojnie wbić tysiąc takich transakcji. W Polsce nie doceniono jedynie gustu muzycznego słuchaczy, co skutkowało przyćmieniem legalizacyjnych perspektyw branży przez ogromny uczciwy zarobek. Cóż, wypadki przy pracy się zdarzają...

Gdy brak jakiegokolwiek opartego w udokumentowanych dochodach kapitału, skupić się należy na branżach o niskim progu inwestycyjnym. Idealne do tego celu były i są niskopowierzchniowe sklepy z odzieżą używaną, rzadko lokalizowane poza skromnymi dzielnicami, a więc do utworzenia wymagające tylko wynajęcia od tanich lokalnych spółdzielni małego, maksymalnie 30-metrowego pomieszczenia. W biedniejszych miastach, np. gęsto zaludnionej Górnej Śląsk, ich ceny są symboliczne i zaczynają się już od 4 zł netto za m², a w przypadku lepszych – zbędnych w tej branży – lokalizacji wydatek tam to maksymalnie kilkanaście zł za m². Koszt zakupu stukilogramowego worka niesortowanej odzieży ze zbiórki kontenerowej w Niemczech, Danii lub Włoszech możliwy jest już za jedyne 400-500 zł. Waga ta obejmie w przypadku asortymentu letniego i konfekcji dziecięcej około pięciuset sztuk ubrań. Szczęśliwiec po rozerwaniu nieprzezroczystej folii odnaleźć może dobrej jakości żakiety, bluzki i sukienki nadające się do sprzedaży po około 20 zł. Pracz ma zwykle szczęście, a dobra dostawa schodzi w parę dni, robiąc miejsce na nowy towar... Zważywszy, że nikt nie będzie weryfikował źródła kapitału założycielskiego rzędu 5000 zł, na taki biznes pozwolić sobie może nawet osoba nigdy nie deklarująca fiskusowi żadnych dochodów.

Inną kategorią wymagającą znikomej inwestycji jest sektor specjalistycznych usług doradczych, gdzie największym majątkiem jest wiedza fachowa usługodawcy. Nadprodukcja magistrów prawa i

rosnąca konkurencja na rynku korporacyjnych tog zwiększa podatność przedstawicieli tego sektora na współpracę. W przypadku niezłego radcy prawnego nie dziwi stawka 300 zł za poradę, co w przypadku ośmiodzinnego dnia pracy usprawiedliwi przychód kancelarii w granicach 2400 zł. Tajemnica zawodowa i kasa fiskalna uniemożliwią w praktyce wykrycie tożsamości klientów. Niższe ceny porad u tzw. doradców prawnych zmniejszają dochód jednostkowy do około 50-100 zł, lecz za to ograniczają czas świadczenia do zwykle 20 minut oraz rozszerzają moce przerobowe o kadry nawet niedysponujące kierunkowym wykształceniem. Prawdziwe imperia, przy okazji asymilujące gigantyczne ilości drobnych faktur VAT umożliwiających odzyskanie podatku naliczonego, utworzono na potrzeby rynku odszkodowań. Zaangażowanie w działalność kilkuset uczciwych i „czystych” przedstawicieli handlowych, w dodatku pracujących na prowizji i bez ZUS-u, tworzy „lejki” kosztów oraz zysków skrajnie utrudniając rzetelną weryfikację procederu i źródeł rozliczanych przychodów. Prawie każdy „handlowiec” wykaże się lojalnością i chętnie zafakturuje na numer NIP zleceniodawcy własne drobne wydatki: na przybory piśmiennicze, usługi przewozowe, czy reklamę oraz przesyłki pocztowe.

Rynek doradztwa na rzecz konsumentów nie jest okrojony jedynie do usług prawniczych. Równie wysokie obroty zgłosić mogą ekonomiści i absolwenci pokrewnych studiów, takich jak zarządzanie czy marketing. Jeśli ich oferta obejmie np. pomoc osobom dopiero planującym rejestrację własnej działalności gospodarczej, sporządzanie biznesplanów pod dotacje dla bezrobotnych albo doradztwo kredytowe, wtedy też nie będzie dziwił druk paragonów zamiast imiennego fakturowania.

Na uwagę zasługuje też autorski pomysł Włochów, masowo wstawiających automaty z kawą do biur, uczelni, centr handlowych i dworców. Koszt wody oraz prądu jest znikomy, a do każdego

sprzedanego kubka bez trudu doliczyć można 50 fikcyjnych kaw, do czego nawet nie trzeba drukować paragonów. W skali wielkiego miasta, napędzanego niemal wyłącznie kofeiną, trudno podważyć sprzedaż kilkudziesięciu tysięcy małych czarnych dziennie.

Popularne na Zachodzie usługi psychoterapeutów powoli zdomawiają się też nad Wisłą. Po co jednak tworzyć fikcyjnych pacjentów i zatrudniać wyspecjalizowaną kadrę, gdy na wyciągnięcie ręki znajduje się tańsza w organizacji, a rentowniejsza alternatywa? Mowa o salonach ezoterycznych. Dziś każdy może wieszczyć przyszłość, wróżyć z fusów, szklanej kuli, gwiazd, kart tarota i dat urodzenia. I niby czemu nie? Nadzieja to najbardziej chodliwy towar, zaraz po środkach fizycznie zagłuszających ból egzystencji. Wynagrodzenie porady w sprawach zdrowia, miłości lub biznesu zaczyna się na czekoladzie, a niekiedy przekracza granicę 1000 zł. Przy czym każdy klient dzieląc się prywatnymi problemami chce zachować maksymalną anonimowość i niemal nigdy nie zgłasza reklamacji. Wiodące wróżki, czy tarocistki, potrafią jednego dnia obsłużyć dziesięciu klientów i od każdego zainkasować co najmniej kilkaset zł, a gwiazdy prasy o tematyce magicznej zatrudniają całe sztaby „asystentek” na skalę przemysłową przepisujących recepty na szczęście. Jeśli jest paragon żaden urząd skarbowy nie ośmieli się zakwestionować podatku wizjonerki, nawet jeśli nie ma ona dyplomu wyższej uczelni i zapowiada nadciągającą apokalipsę.

Wyjątkiem od reguły unikania fikcyjnej sprzedaży towarów jest patent z wykorzystaniem tzw. zbieraczy paragonów. W ciągu 7 dni od daty wydania towaru lub wykonania usługi, na podstawie dowodu zakupu z kasy fiskalnej, sprzedawca wystawić musi fakturę VAT. Sęk w tym, że w przypadku większych sklepów nie jest on w stanie ustalić, czy osoba legitymująca się paragonem to faktyczny nabywca. Każdego dnia setki tysięcy klientów hipermarketów i mniejszych dyskontów po minięciu kasy wyrzuca paragony wprost do śmieci.

Duże bezrobocie wykształciło obok zbieracza złomu nowy, acz pokrewny zawód: paragoniarza. Osoby takie przeszukują pobliskie dla kas śmietniki i wózki sklepowe. Nie tracą czasu na zbędną selekcję, każdy wydatek można w jakiś sposób korzystnie rozliczyć lub scedować na kolejne ogniwo handlowego łańcucha. Od wódki i frytek, przez pieluchy, aż po karmę dla psów i zeszyty szkolne. Zresztą, sami nie rozumieją w ogóle, w jaki sposób ktoś wykorzystuje te pozornie bezwartościowe zwitki papieru. Grunt, że odpalają za ich dostarczanie od 2% do 5% kwoty brutto. Źródłem paragonów bywają też pracownicy odpowiedzialni w marketach za wyrzucanie śmieci, a w przypadku mniejszych sklepów kierownicy lub franczyzobiorcy. Dostarczają oni w hurcie całe wory, opiewające na setki tysięcy zł. Odbiorca zwykle dysponuje kilkoma przedsiębiorstwami o zróżnicowanych profilach działalności usługowej i handlowej, w tym hurtowniami, dzięki czemu nie marnują się niemal żadne „zakupione” produkty. Po selekcji tematycznej do działu obsługi klienta delegowani są emisariusze, zamieniający paragony na pożądane przez księgowych faktury VAT. Te z kolei wliczane w koszty dają podstawę do dalszej sprzedaży tak pozyskanego „towaru”. W zależności od potrzeb dystrybucja może być dokonywana za wbijaną na kasę fiskalną gotówkę anonimowych konsumentów lub na podstawie faktur VAT wystawianych zaufanym kontrahentom. Obieg pieniądza, jak i źródło towaru, są w pełni wiarygodne i mało kto odważy się je podważać. *Czy Carrefour lub IKEA fałszowałyby dokumenty w celu wsparcia procederu prania brudnych pieniędzy?* Oczywiście, że nie. Faktury dotyczą przecież rzeczywistej sprzedaży. Towar został wyprodukowany, legalnie kupiony przez sieć handlową i przetransportowany do wybranego marketu, a następnie wydany nabywcy. Wszystko podlega pełnej weryfikacji. Przejęcie faktycznie istniejącego, masowego, konsumenckiego, a zarazem cudzego obrotu towarowego

wiarygodnych podmiotów gospodarczych na rzecz prania brudnych pieniędzy to wirtuozeria. Dodatkowo, umożliwiającą odliczenie osobiście nieodprowadzonego a ujętego na fakturach podatku VAT. Natomiast przedsiębiorcy cierpiący na nadmierne obciążenie podatkiem dochodowym „wydatki” takie wpisać mogą w koszty uzyskania przychodu – obniżając roszczenia fiskusa. W ten sposób bez żadnych rzeczywistych zakupów wyjaśnić można prowadzony na szeroką skalę handel i duże zasoby czystej już gotówki.

Prowadzenie fundacji ukierunkowanej na niemal dowolną działalność charytatywną upoważnia do występowania o zgodę na publiczną zbiórkę środków finansowych. Każdy, kto spacerował ulicami polskich miast w czasie finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy miał możliwość zaobserwowania, jak dziesiątki milionów zł, w rozbiciu na pojedyncze monety, trafia do puszek wolontariuszy. Skoro nikt nie weryfikuje tożsamości dobroczyńców, równie dobrze można do niej jednorazowo wrzucić plik banknotów. Sama działalność charytatywna nie umożliwia jednak dowolnego organizowania kwest. Niezbędne jest ku temu pozwolenie, wydawane w zależności od zasięgu terytorialnego zbiórki przez wójta, burmistrza lub prezydenta miasta (obszar gminy lub jej część), starostę (powiat), marszałka województwa (województwo) lub ministra spraw wewnętrznych (obszar większy niż województwo). Zgoda zostanie wydana, jeśli cel zbiórki nie jest przeciwny prawu oraz ze stanowiska publicznego pozostaje godny poparcia, a jest nim w szczególności przeznaczenie religijne, państwowe, oświatowe, zdrowotne, kulturalno-społeczne lub społeczno-opiekuńcze. Główny problem to wydatkowanie pozyskanych kwot, niezbędne jest bowiem rozliczenie każdej otrzymanej złotówki. Jeśli jednak w ramach fundacji utworzone zostanie np. sanatorium, klub lub uczelnia, albo przeprowadzone będą warsztaty, wystawy, kursy zawodowe, koncerty etc., wtedy pożytki (zawyżone) z obsługi takiego obiektu

lub wydarzenia, czy wydatki np. na wyżywienie uczestników i uposażenie opiekunów, trafią do określonych osób jako czysty już pieniądź. Później można też przejąć odremontowane lub zbudowane obiekty, albo korzystać z nich na preferencyjnych warunkach. Rozliczenia rzekomo poniesionych wydatków oparcie znajdą np. w fakturach VAT uzyskanych za sklepowe paragony, albo w kupionych pustych rachunkach. Podobnie udokumentować można rzekomo sfinansowaną pomoc rzeczową lub żywnościową dla potrzebujących. Jeśli w najbliższej przyszłości dojdzie w Polsce do deregulacji zbiorów publicznych, o co zabiegają organizacje pozarządowe, wtedy pranie brudnych pieniędzy stanie się już tylko formalnością.

Ogólnie, na cele pralnicze użyteczna może być absolutnie każda branża oferująca wysoką marżę nad kosztami sprzedawanego produktu lub usługi. Dlatego walka z procederem, to obecnie tylko i wyłącznie zabawa w Don Kichota. Niestety, za wyjątkiem opisanej asymilacji hurtowej ilości paragonów, minusem blendingu jest obciążenie pełnej wysokości pranych kwot podatkami. Część przedsiębiorców traktuje w tym przypadku odpalenie zbójeckiej doli fiskusowi jako uczciwe rozwiązanie – substytut zalegalizowanej a powszechnie szanowanej łapówki. Jednak nie wszyscy traktują tą sprawę równie honorowo i nawet od niej próbują się wyłączyć.

Rozdział XIX

Pranie brudnych pieniędzy – twarda i tania legalizacja

Nie jest wyzwaniem wprowadzenie do obiegu pieniędzy pochodzących z przestępstwa, lecz zrobienie tego tanio już tak. A przecież cel każdej działalności gospodarczej to ciągle minimalizowanie kosztów i maksymalizacja zysku. Ograniczenie kosztów podatkowych, przy jednoczesnym zachowaniu pozorów legalności kapitału, to kolejny, naturalny etap ewolucji pralni.

Dzieła sztuki i literatury

Sztuka nie ma ceny, jest warta tyle, ile koneser jest w stanie i chce za nią zapłacić. Jej oszacowanie nie jest możliwe w oparciu o wartość zużytych do produkcji materiałów, gdyż podobrazie, farba i werniks, czy surowce do produkcji rzeźb, są zwykle warte nie więcej niż kilkadziesiąt zł. W przypadku dzieł współczesnych, a zwłaszcza najnowszych, oparta musi zostać na wyznaczniku zainteresowania wśród nabywców. Dzięki temu, jak żaden inny towar na rynku podlega reżyserowaniu od zera do milionów. A jeśli pomiędzy dniem sprzedaży, a datą zakupu upłynie co najmniej sześć miesięcy, osoba zbywająca rzecz używaną poza obrotem gospodarczym nie zapłaci z tytułu tej transakcji podatku dochodowego, nawet jeśli osiągnie na niej znaczny zysk⁵. Opłaca się być prywatnym kolekcjonerem.

5 Art. 10 ust. 1 pkt 8 lit. d ustawy o podatku dochodowym od osób

Uprzywilejowany podatkowo jest również pierwotny sprzedawca, czyli twórca dzieła, który korzysta z 50% stawki zryczałtowanych kosztów uzyskania przychodu⁶, a więc realnie ogranicza podatek dochodowy do 9% otrzymanych pieniędzy.

Artysta odsprzedając dzieło sztuki uzyskuje potwierdzenie legalnego zarobienia otrzymanego wynagrodzenia. Pierwszy nabywca „spieniężyć” może swój nabytek po upływie połowy roku za wielokrotność pierwotnie „zapłaconej” ceny, również legalizując określoną kwotę, lecz tym razem już bez płacenia jakichkolwiek podatków. Wtórny i kolejni po nim nabywcy (im więcej transakcji tym lepiej), choć zwykle nie płacą w rzeczywistości ani złotówki a jedynie potwierdzają na cele dowodowe w pisemnej umowie cenę zakupu, uzyskują wydatek, nadający się w określonych przypadkach do zaliczenia w poczet kosztów uzyskania przychodu, np. przy dalszej odsprzedaży. Sam przedmiot transakcji może też zostać później wykorzystany np. do ubezpieczenia pod przyszłe reżyserowane „szkody” lub formalnego zabezpieczenia faktycznie niewypłacalnych dłużników w majątek „trudno” zbywalny, ale istniejący. Zakwalifikowany do aktywów trwałych i ujęty w księgach rachunkowych jako inwestycja długoterminowa utrudnia pociągnięcie do odpowiedzialności karnej z tytułu zupełnego wyzbycia majątku a zarząd spółki z o.o. ochronić może od odpowiedzialności finansowej. Pamiętać należy, że problem ze spieniężeniem składnika majątku przez syndyka lub komornika nie obciąża osób odpowiadających w przypadku zupełnego braku jakichkolwiek środków. Wtórnią oszczędnością nabywcy będącego płatnikiem VAT lub zwolnionego z podatku VAT jest brak obowiązku odprowadzania od zakupu podatku od czynności cywilnoprawnych

fizycznych

6 Art. 22 ust. 9 pkt 3 ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych

(PCC). Tego ostatniego może też uniknąć osoba prywatna, jeśli poza granicami kraju dokona transakcji i tam odbierze nabywany przedmiot, gdyż PCC nie obejmuje czynności niedokonanych na terytorium Polski. Na cele dowodowe warto udokumentować transakcję u lokalnego notariusza, który potwierdzi fakt jej zaistnienia, wysokość przekazanej (wypranej) kwoty, miejsce i czas (data pewna – istotna dla uniknięcia podatku dochodowego). Dodatkowo można też zachować bilety lub inne dowody odbycia w danym terminie podróży zagranicznej.

Na czym polega szczególny zysk? Na tym, że sprzedawany obraz, rzeźba, utwór, czy inna forma ekspresji artystycznej jest zwykle nic niewarta. Sztuka współczesna może powstawać masowo, tworzona ręką profana. Wizyta w galeriach na warszawskim Krakowskim Przedmieściu ukaże naszym oczom liczne obrazy z abstrakcyjną grą barw lub banalnie prostą grafiką. Nie dziwi płótno o wymiarach 80x70 cm, pokryte w całości białą farbą i jedynie skromnym motywem równej, czarnej kreski przeprowadzonej przez całą swą długość. Nikomu nieznanemu artyście wyceniony został na 11 000 zł. Obok podobne dzieło zdobi, zamiast linii, czerwony okrąg. Karteczka z napisem „*sprzedany*” sąsiaduje z ceną: 9 000 zł. Po dwóch lub trzech transakcjach odsprzedaży, przeprowadzonych z udziałem pośredniczących, komisowych galerii sztuki lub domów aukcyjnych, wartość wzrosnąć może do kilkudziesięciu tysięcy zł. Jeśli wywędruje za granicę, np. do spółki brytyjskiej, i kilka lat prześpi w bankowej skrytce, powrócić może na rodzimy rynek za cenę już ozdobioną pięcioma zerami. Zdolny marszand bez trudu obejmie mecenatem paru studentów ASP na cele taśmowej produkcji nowoczesnych arcydzieł, a następnie wykreuje na nie fikcyjny popyt. Młodzi artyści nie są drodzy, zwykle sprzedają obrazy na allegro za około 50-70 zł. W tej cenie wyprać można ciągiem transakcji na jednym tylko przedmiocie do kilkuset tysięcy zł. Nic też nie stoi na

przeszkodzie w zastąpieniu obcego studenta własną latoroślą lub bliską „przyjaciółką”. Gdy będzie już znaną artystką, to po kilku latach dodatkowo nagrodzi trudy rzeszą zewnętrznych nabywców, zainteresowanych lokatą dużego już kapitału w tak niezwykle pożądanym na rynku dziełach sztuki. Te przynieść mogą wówczas kolosalne i w pełni uczciwe zyski.

Oddzielną kategorię stanowi współczesna literatura. Książki nigdy nie czyniły polskich pisarzy bogaczami, a sukcesy finansowe w tej materii można zliczyć na palcach jednej ręki. Czym innym jest jednak sprzedaż niewymagających żadnego nakładu inwestycyjnego e-booków. Tantiemy autorskie pozostają w takim przypadku objęte równie korzystną stawką podatku, podobnie jak sprzedaż całości praw do publikacji danego dzieła. Internet zaś umożliwia dystrybucję z poziomu serwerów Oceanii na cały glob. Podważyć cenę tomiku białej poezji? Wyzwanie godne prawdziwego artysty skarbowki. W ten sposób sztuka pozwala tworzyć drogie „coś” z „niczego”.

Hazard

Wciąż powracającym patentem legalizacyjnym są automaty do gier losowych. W przeciwieństwie do nabywców kawy rzadko kto czuje się usatysfakcjonowany jedną grą, a normą stałych bywalców jest cały kubek anonimowo wrzuconych monet. Nie sposób ustalić tożsamości graczy, a więc i źródła dziesiątek tysięcy zł fikcyjnie doliczonych do obrotu. Stąd, co parę lat wysyp małych salonów gier i samotnych jednoręki bandytów wstawianych nawet na stacjach benzynowych, czy w wiejskich klubo-remizach. Zbrojne gangi zarabiały na haraczach ściąganych od „konkurencji” branżowej i od przedsiębiorców używających im powierzchni, a przez własne automaty masowo legalizowały zyski z haraczów, rozbojów, handlu narkotykami, czy prostytutkami. Bariery legalizacji brudnego kapitału

stanowić miały wbudowane w automatach liczniki losowań, wedle urzędników nie do zawyżenia, a w istocie dziecinnie proste do edycji. Tylko jak od wrzucanej – realnej czy wirtualnej – monety uniknąć podatku? Pierwszą w III RP ustawę o grach losowych uchwalono w 1992 roku, dzieliła ona automaty do gier na zręcznościowe i losowe. Działalność zarobkowa na losowych wymagała uzyskania koncesji i uiszczenia wysokiej kaucji. Ponadto, dochód z nich obłożono 45% podatkiem. Automaty zręcznościowe w praktyce nie różniły się niczym od losowych, wyposażano je np. w dodatkowy guziczek, który gracz musiał w odpowiednim momencie nacisnąć. Od nich naliczano podatek na zasadach ogólnych.

Automaty „zręcznościowe” zdelegalizowano 23 listopada 2000 roku, jednak mało kto zaprzestał ich eksploatacji. Przedsiębiorcy oczekiwali na dalsze, korzystniejsze zmiany prawa, a hazard jawnie przeszedł do szarej strefy. Jednoręcy bandyci nadal stali w lokalach gastronomicznych w centrach głównych miast, na warszawskim dworcu centralnym, w klubach nocnych i na stacjach benzynowych. Nie prowadzono kontroli, urzędnicy obawiali się przestępców chroniących branżę, a polityczni zwierzchnicy nie naciskali na rzetelność. 15 czerwca 2003 roku znów zalegalizowano automaty, tym razem wprowadzając uprzywilejowaną podatkowo kategorię tzw. automatów o niskich wygranych, czyli wypłacających jednorazowo nie więcej niż 15 euro nagrody. Dla nich wprowadzono niezwykle korzystny ryczałt. Miesięczna stawka stałej daniny państwowej wynosiła jedynie 50 euro od urządzenia, a w ciągu kilku lat sięgnąć miała 125 euro. Nijak nie przystawała ona do realiów, gdyż tego typu automaty bez trudu zapewnić mogły miesięczny dochód rzędu kilku tysięcy zł. Przy założeniu fikcyjnego zawyżania ich obrotu, jedna maszyna zalegalizować może w cyklu miesięcznym nawet kilkadziesiąt tysięcy zł bez zwiększania kwot płaconego podatku. Oznaczało to realny koszt wyprania równowartości miliona

dolarów w granicach kilku tysięcy euro, czyli poniżej 1% kapitału. Władzy nie powstrzymała wtedy krytyka wydziału Przestępczości Gospodarczej Komendy Głównej Policji oraz Rady Legislacyjnej. Aktualnie jednoręcy bandyci znów są systematycznie eliminowani z krajobrazu polskich miast, lecz wystarczy uzbroić się w cierpliwość, by ponownie było możliwe legalizowanie nimi milionowych kwot.

Obrót nieruchomościami

Gwałtowny wzrost cen mieszkań, domów i działek zamienił wielu szarych obywateli w posiadaczy znacznych majątków. Różnice wartości wyeliminowały też popularną w minionym ustroju zamianę nieruchomości, na następujące po sobie sprzedaż starego lokum i kupno nowego. Dwa pokoje w Warszawie, choć przed laty kupione za ułamek tej ceny, dziś osiągają wartość kilkuset tysięcy zł, a otrzymany w spadku lub zreprivatyzowany grunt bywa przepustką do świata milionerów. Lecz im drożej, tym trudniej znaleźć nabywcę, co w powiązaniu z tradycyjną na ziemiach polskich niechęcią do władzy sprzyja konspiracji na (pozorną) szkodę fiskusa. Dlatego nie trudno znaleźć sprzedawcę, który zgodzi się na znaczne nawet zniżenie ceny na umowie, jeśli tylko w chwili jej zawarcia resztę otrzyma w nierejestrowanej gotówce. Różnica to dla nabywcy już czysty, wyprany pieniądź, możliwy w całości do odzyskania przy ponownej sprzedaży tego samego prawa na wolnym rynku lub częściowo w postaci kredytu hipotecznego. Ten zaś może być w drobnych ratach spłacany brudną gotówką, co dodatkowo zalegalizuje równowartość kredytu.

Kwestia wysokości ceny leży wyłącznie w gestii stron umowy wzajemnej, więc nikt nie może czynić zarzutu z powodu zbyt taniej sprzedaży, a jedyne możliwe, negatywne konsekwencje to oszacowanie wartości przedmiotu transakcji na cele podatkowe. Aby

temu zapobiec, już na etapie notariusza warto odróżnić uzgodnioną cenę od wartości rynkowej. Tylko ta druga jest w Polsce podstawą opodatkowania. Zważywszy, że jej wskazanie nie narusza warunków umowy i nie zmienia należnego sprzedawcy wynagrodzenia, należy ją bez wahania od razu wskazać. Udawanie, że można kupić mieszkanie w Warszawie za 50 000 zł skończy się jego wyceną na koszt podatnika i obowiązkiem uzupełnienia uszczuplonego podatku, ale dobrowolne wskazanie „rzeczywistej” wartości, nawet jeśli w danej transakcji bardzo zaniżonej, pozwoli na pewne oszczędności. Sprzyja bowiem temu częste znikome rozeznanie urzędników w realiach rynkowych i brak zdolności identyfikacji czynników cenotwórczych, a także zazwyczaj brak wizji lokalnej, co w praktyce oznacza porównanie wartości zawartej w rozliczeniu jedynie z metrażem i nazwą miejscowości. Ignorowane są elementy takie jak dzielnica i ulica, budownictwo, piętro, wyposażenie kuchni i łazienki, jacuzzi, kominek, podłogi drewniane, marmur, instalacje antywłamaniowe, ogrzewanie ekologiczne, zawarte w cenie umeblowanie etc. Stąd pożądane są mieszkania o luksusowym wykończeniu, a wskazywane co do wartości rynkowej w dolnej granicy cenowej właściwej dla lokali o znacznie obniżonym standardzie. Dlatego kupując ekskluzywną kawalerkę w Warszawie o realnej wartości 350 000 zł za przyjętą w umowie cenę 80 000 zł, bezpiecznie wskazać można do opodatkowania jej wartość rynkową w granicach 200 000 zł. Z uwagi na średnią rynkową rzadko będzie ona kwestionowana. W przypadku gruntów opłacalny bywa zakup działek dopiero przeznaczonych do odrolnienia w cenie właściwej nie dla faktycznie już przesądzonego charakteru budowlanego, a pola ornego. Wówczas „legalizacyjny” przyrost wartości sięgnie kilkudziesięciu, a nawet kilkuset stawek względem tej zawartej w umowie. Niewiele mniejszy papierowy zysk przyniesie zakup domu w budowie – formalnie znajdującego się na poziomie wylewania

fundamentów lub stawiania ścian działowych, a w istocie już w trakcie wykończenia. Dobór skłonnych do rozliczenia gotówkowego właścicieli, zwykle działających pod silną presją czasu, często powierzany jest wtajemniczonym oraz niewzbudzającym żadnych podejrzeń licencjonowanym agencjom nieruchomości. Sektor takich usług stał się niezwykle popularny w latach poprzedzających akcesję Polski do UE. „Inwestycje” w krajowe nieruchomości przez zagraniczne grupy przestępcze najpewniej na stałe zawyżyły ceny rynkowe. Wiadomo, że niezwykle intensywny, reżyserowany obrót krakowskimi kamienicami skutkował trwałym wzrostem cen tamtejszych mieszkań. W przypadku wyludzonych w ramach reprivatyzacji budynków zakwalifikowanych do znacznego remontu, ciąg sprzedaży sztucznie zwiększał ich wartość nawet ośmiokrotnie. Sprzedawca szybko spieniężał zagarnięty majątek, a nabywca z jego pomocą jednorazowo oczyszczał wielomilionowe kwoty.

Prawa majątkowe w obrocie gospodarczym

Analogicznie do sprzedaży lokali i gruntów zaniżyć można i to znacznie cenę udziałów w spółkach prawa handlowego. Tak jak w każdej innej dziedzinie strony mogą dowolnie kształtować ceny sprzedawanych praw, więc przyjęta może zostać nawet symboliczna stawka. Ponownie wyzwaniem jest uszczuplenie podatku, tak by zyskał nie tylko prac, ale i jego kontrahent. Z uwagi na stosunkowo wysokie opodatkowanie dochodów z takiej transakcji udziałowcy zwykle chętnie uzupełniają rozliczenie pozaumowną gotówką. Wartość udziałów podzielić można na nominalną, księgową i rzeczywistą. Ta pierwsza, niemal historyczna, charakteryzuje się zwykle największą rozbieżnością z aktualną rynkową, a księgowa, oparta o wartość aktywów netto, często bywa zaniżona z powodu

nieuwzględnienia wartości niemierzalnej, jak np. renowacja, czy perspektywa pozyskania nowych kontraktów, a także nie uwzględnia ryzyka gospodarczego i perspektyw przyszłych zysków związanych z tłem mikro i makro ekonomicznym, politycznym oraz społecznym danej branży. Podmiot dziś rentowny jutro może zupełnie utracić zyski z powodu chociażby skierowania ruchu samochodowego na sąsiednią drogę lub wejścia na rynek konkurencji. Bilans spółki, możliwy do weryfikacji z poziomu skarbówki, można dodatkowo zafałszować stosując metody opisane w rozdziale dot. prywatyzacji. Jedynie ujęte w środkach trwałych budynki, czy grunty podlegają stosunkowo łatwej obiektywnej wycenie. Z tym jednym wyjątkiem w praktyce ustalenie wartości udziałów przez organ podatkowy jest znacznie trudniejsze, niż np. weryfikacja łatwo mierzalnych cen pojazdów lub nieruchomości. Stąd cena transakcyjna niemal nigdy nie jest kwestionowana, a często w umowie przyjmuje się jako wyjściową wartość nominalną udziałów. Stanowi ona zwykle koszt uzyskania przychodu zbywcy i obniża podstawę opodatkowania do zera. Kwota przekazana poza umową, a znajdująca oparcie w realnej wartości spółki, stanowi połączenie inwestycji z legalizacją kapitału.

Zdecydowana większość europejskich przedsiębiorców bez trudu wykazać może w historycznych dochodach pokrycie na o wiele większe kwoty, od tych aktualnie posiadanych. Lukę, pomiędzy stanem obecnym a legalnie pozyskanymi (zgłoszonymi w urzędzie skarbowym) dochodami, wypełniają wydatki nierejestrowane. Zakup nieruchomości, czy samochodu zostaje odnotowany i podlega weryfikacji, podobnie jak ilość gotówki na lokatach bankowych. Wydatki na cele konsumpcyjne, takie jak odzież, czy żywność, wakacje w tropikach, niewliczane w koszty działalności komputery, telefony, sprzęt RTV i AGD, meble, paliwo i wszelkie inne drobne przyjemności życia już nie. W skali kilkunastu lat nieoszczędzający biznesmeni wydać może w sposób niemożliwy do zweryfikowania od

kilkuset tysięcy do kilku milionów zł. To, że dzisiaj ktoś nie posiada na swym rachunku bankowym dostatecznej ilości środków do zakupu np. obligacji, nie znaczy, że nie miał możliwości legalnego zgromadzenia takich kwot w postaci gotówki – wydatek nie zostanie skutecznie zakwestionowany, a przepuszczone dawniej pieniądze mogą znów zostać wykorzystane, tym razem na potrzeby pralni. Przysługę wynagrodzi drobna prowizja wypłacona gotówką. Uzyskany papier wartościowy nadaje się do rozdysponowania na rynku wtórnym lub wykorzystania jako zabezpieczenie kredytu, czy inwestycji, a także do ukrycia faktycznej niegospodarności, albo majątku przed egzekucją komorniczą. Jeśli emitent planuje w międzyczasie zbankrutować, to przyszła próba spieniężenia nie rodzi żadnych obaw. Zwłaszcza, gdy emisja ma na celu zgromadzenie środków np. na zakup bezwartościowej w praktyce nieruchomości – wcześniej przejętej grubo poniżej kwoty oszacowania. Idealnie nadają się do tego celu grunty i budynki w miejscowościach o teoretycznie dużej wartości metra powierzchni, lecz gdzie z uwagi na brak płynności rynku możliwy jest zakup ze znacznym upustem. Do tej kategorii zaliczyć trzeba np. Olsztyn, opuszczone bloki mieszkalne i budynki gospodarcze położone w terenach zielonych Podlasia i Pomorza lub niektóre miejscowości turystyczne w rejonie polskich gór. Jeśli jednak wprowadzone środki finansowe posłużyć mają rzeczywistemu rozwojowi emitenta wystarczy papiery dłużne od razu wręczyć do dyspozycji beneficjentów procederu.

Do emisji obligacji korporacyjnych uprawnione są w Polsce spółki z o.o., akcyjne oraz komandytowo-akcyjne. Brak obowiązku jakiegokolwiek zabezpieczenia majątkowego, a wszelkie formalności poprzedzające sprzedaż przeprowadzić można w ciągu kilku dni, pod warunkiem, że oferta nie trafi ona na rynek publiczny, a skierowana zostanie imiennie do nie więcej niż 99 potencjalnych nabywców. Jedynie szeroka dystrybucja, np. za pośrednictwem giełdy, wymaga

zatwierdzenia w Komisji Nadzoru Finansowego prospektu emisyjnego, albo memorandum informacyjnego. Dodatkowy zysk z emisji obligacji to przywileje podatkowe. Wydatki na przygotowanie akcji w większości nie stanowią kosztu uzyskania przychodu, podobnie jak wypłacana dywidenda, natomiast te same koszty związane z obligacjami już tak. W przeciwieństwie do akcjonariuszy, właściciele obligacji nie uzyskują żadnego władztwa nad spółką, co czyni tą opcję szczególnie korzystną i tańszą alternatywą dla kredytu bankowego, a zarazem idealnym, nieopodatkowanym blendingiem.

Obrót wierzytelnościami

Niespłacalne wierzytelności to najtańsze prawa majątkowe nadające się do konwersji brudnego pieniądza na czysty. Najprostsza forma legalizacji to zakup za symboliczną wartość zobowiązań bankrutów – osób fizycznych – z którymi można bez trudu nawiązać bezpośredni kontakt. Z uwagi na prowadzoną szczegółową rachunkowość znikomą użytecznością charakteryzują się długi szyszczonych spółek kapitałowych, lecz obciążeni tytułami wykonawczymi wspólnicy spółek osobowych, przedsiębiorcy i konsumenci rodzą nadzieję na owocną współpracę. Mało kto jest świadomy istnienia przestępstwa faworyzowania wierzycieli, czyli spłaty tylko wybranych długów, za to każdy przejawia zainteresowanie uszczupleniem masy obciążających go zobowiązań. A zwłaszcza ci, których wielomilionowe egzekucje wykluczyły poza nawias społeczeństwa. Gdy odwiedzi ich windykator oferując ugodę i umorzenie długu w zamian za... samo pokwitowanie gotówkowej spłaty części zaległości, propozycję taką potraktują jak dar od losu. Chętnie potwierdzą też przekazanie w ramach rozliczenia dóbr nierejestrowanych, np. obligacji materialnych na okaziciela, weksli lub monet bulionowych. Nowy wierzyciel uzyskał legalne źródło

przychodu, a to dłużnik w razie kontroli będzie musiał się z niego wytłumaczyć. W wielu przypadkach będzie to możliwe na bazie zmarnowanych konsumpcją pieniędzy, a jeśli nie, to cóż... zostanie obciążony 75% podatkiem od dochodów z nieujawnionego źródła. Nie będzie to już problemem szczęśliwego nabywcy długu.

W przypadku niskiej wartości detalicznych wierzytelności konsumenckich, odzyskiwanych w drodze inkasa terenowego, przy znikomym ryzyku każdego dnia tylko jeden „windykator” fikcyjnie odzyskać może, a faktycznie umorzyć, do kilkudziesięciu tysięcy zł. Który staruszek, samotna matka lub bezrobotny mieszkaniec biednej dzielnicy zrezygnuje z propozycji zwolnienia z paru tysięcy zł długu zaciągniętego na cele drobnej konsumpcji, albo np. zaległości za kablówkę lub telefon? W praktyce nie trzeba nawet pytać dłużników o zgodę, a od razu wpisać można uzyskanie zapłaty. Przecież sami nie będą weryfikować, co się dzieje z długiem sprzed lat i kto je właściwie kupił. Tą metodą nawet dawno przedawnione rachunki można przekuć w złoto. Gdy fundusz dysponuje portfelem wierzytelności o wartości od kilkuset milionów do kilku miliardów zł nikt nie będzie szczegółowo weryfikował „drobnych” kilkudziesięciu milionów zł. Ruch na kontach bankowych będzie tak duży, że codzienne wpłaty inkasentów rozplyną się w tłumie innych, rzetelnych jednostkowych rozliczeń. Wielomilionowe pakiety wierzytelności śmieciowych tej kategorii są sprzedawane przez banki i operatorów telekomunikacyjnych w granicach od 1% do maksymalnie 5% wartości nominalnej, a zakup często finansuje emisja obligacji.

Jak uniknąć opodatkowania zysku, stanowiącego różnicę pomiędzy ceną zapłaconą za wierzytelność a odzyskaną wartością? Nabyć prawo majątkowe na podmiot zlokalizowany w raju podatkowym, najlepiej takim, który z Polską łączy umowa o zapobieganiu podwójnemu opodatkowaniu. Z tego też powodu jeden

z wrocławskich gigantów branży windyacyjnej nabywa wszelkie wierzytelności na fundusz sekurytyzacyjny z Luksemburga. Windykator jest jedynie „*zleceniobiorcą*” i nad Wisłą opodatkować musi znikomą prowizję od odzyskanych kwot, a pieniądze niemal nieuszczerbiony wędruje na konta bankowe w strefie o łagodnym reżimie fiskalnym. I wcale nie musi tam zimować. Z uwagi na konstrukcję prawną luksemburskich funduszy, szeroką definicję dywidendy w tamtejszym prawie oraz umowę łączącą Polskę z tym krajem importowanie osiągniętych w Luksemburgu zysków poprzez umarzanie jednostek uczestnictwa w danym funduszu przez lata nie narażało ani problemów, ani kosztów.

Inną opcję stanowi cesja długów, zwłaszcza dużej wartości gospodarczych. Nie każdy wierzyciel jest zainteresowany korzyściami podatkowymi związanymi z wliczenia jak największej części niespłaconych faktur w poczet strat – gdyż tych ma aż nadto i podatek dochodowy mu nie grozi, a nie ma pojęcia jak na tym zarobić. Stąd tak duże zapotrzebowanie rynkowe na spółki stojące na skraju bankructwa z powodu niewypłacalnych kontrahentów, których długi zarachowano jako przychody należne. Przez ich księgowość można swobodnie przeprowadzić kwoty analogiczne do wartości strat, a zbywca udziałów odnosi korzyść w postaci zwolnienia z kosztów prowadzenia upadającego podmiotu i ryzyka obciążenia długami członków zarządu. Jeśli identyczne, jak opisane w akapitach powyżej, porozumienie, co do pozorowanej spłaty, nie jest możliwe, długi należy „*sprzedać*”. „*Nabywca*” pragnie zwiększyć wydatki w celu przyszłego uszczuplenia podstawy opodatkowania, w zamian za co wstępuje w prawa wierzyciela niewypłacalnego dłużnika, a to pozwoli w przyszłości wpisać faktycznie niedokonany wydatek na „*zakup*” jako stratę – zwłaszcza, gdy dług zostanie nabyty ze znacznym upustem względem wartości nominalnej, np. za 30% kwoty. Z tytułu zakupu dokonuje czystego przelewu, a inkasuje

równowartość w gotówce oraz prawa do wierzytelności. W przypadku rzetelnego prowadzenia działalności gospodarczej i braku własnych niespłaconych długów wydatek taki, choć w istocie mało gospodarny, nigdy nie wypełni znamion przestępstwa, a niewątpliwie będzie możliwy do zaliczenia w poczet kosztu uzyskania przychodu zgodnie z zasadą kasową w momencie „egzekucji” długu lub dalszej jego odsprzedaży. Gdy wpływy ze zbycia są niższe od wydatków poczynionych na zakup długu, różnica nie jest kwalifikowana jako koszt uzyskania przychodu, lecz strata (bilansowa) na działalności gospodarczej. Nie będzie stała temu na przeszkodzie nawet znaczna strata. Sprzedaż za symboliczną złotówkę uzasadnić może faktyczna niewypłacalność dłużnika, „odkryta” dopiero po nabyciu długu. Coraz rzadziej organa podatkowe kwestionują takie stanowisko.

Prawo majątkowe może też krążyć między wieloma kontrahentami rozliczane na zasadzie zerowego zysku, a więc jako stały „bilet” legalizujący określoną wartość. Łatwo można też, w opisany we wcześniejszych rozdziałach sposób, wyreżyserować dla zarządów spółek kapitałowych długi będące pozornie świetnymi inwestycjami. Chwilowo tylko zwlekający z rozliczeniem bieżących faktur VAT kontrahenci symulujący wysokodochodową realizację długoterminowych i wiarygodnych kontraktów – np. zamówień publicznych, mogą usprawiedliwiać zakup ledwie kilkudniowych wierzytelności w cenie 98% ich nominalnych wartości. Celem transakcji jest samodzielna egzekucja lub wzajemne potrącenie ze znikomą, ale pozornie pewną marżą. A gdy nieoczekiwanie świetnie prosperujący dłużnik zapowie upadłość, coś... to się zdarza w Polsce nagminnie i uzasadnia spieniężenie za ułamek pierwotnej wartości w celu ratowania choć promila utopionych kwot. Strata „nabywcy” została odnotowana w księgach, znaczny pieniądz „sprzedawcy” skutecznie wyprano, a podatek VAT od transakcji pominięto korzystając z braku obciążenia nim usług pośrednictwa finansowego.

Dodatkowe zamglenie osiąga się inwestując w zagraniczne długi, szczególnie te powstałe na gruncie państw spoza Unii Europejskiej.

Fikcyjne pożyczki

W przeciwieństwie do zastrzeżonego dla banków kredytu, pożyczek może udzielać każdy. Nie są też one objęte tak wieloma rygorami. Brak np. obowiązku naliczania odsetek, ustanawiania zabezpieczeń, czy uzgadniania już na wstępie ostatecznego terminu zwrotu. Wystarczy lakoniczne porozumienie identyfikujące strony umowy i jej przedmiot, dla celów dowodowych zawarte w formie pisemnej, a następnie zgłoszone do urzędu skarbowego. Z tego powodu przekazanie określonej sumy lub rzeczy nie może zwykle stanowić podstawy do odgórnej ingerencji. Jeśli tylko pożyczkodawca z jakiegoś powodu zaufał pożyczkobiorcy, to nawet jeśli ten jest skrajnie zadłużony, nikt nie ma prawa zabronić przelewu. Ryzyko braku zwrotu też jest wyłącznym zmartwieniem stron. Warunkiem pozostaje jedynie posiadanie odpowiednich środków lub wspomnianych wcześniej historycznych dochodów, także utraconych np. w kasynie, albo wytransferowanych nieoficjalnymi kanałami na stałe w obce jurysdykcje podatkowe. Podobnie jak w przypadku innych fikcyjnych transakcji, tak tutaj zyskiem jednej strony pozostaje udokumentowanie legalnego źródła kapitału, zaś drugiej np. uszczuplenia własnego posiadania, prowizja albo inna korzyść o charakterze niematerialnym.

W chwili udzielenia pożyczki pożyczający przekazuje nieopatrzona datą pokwitowanie odbioru gotówkowej spłaty długu, albo jego umorzenia. Tym samym „dłużnik” ubezpiecza się przed późniejszymi roszczeniami kontrahenta. Z uwagi na neutralny podatkowo charakter pożyczek zarówno uzyskanie ich zwrotu, jak i umorzenie, nie skutkuje żadnymi kosztami dla pożyczkodawcy.

Natomiast pozostawiony sam sobie, niespłacany dług ulega przedawnieniu i przestaje podlegać ochronie prawnej oraz egzekucji z zastosowaniem przymusu państwowego, a tego, co wydarzyło się 10 lat wcześniej nikt już nie sprawdza, ani w imieniu prywatnych osób, czy spółek, nie nadzoruje terminowości rozliczeń uzgodnionych umową cywilnoprawną. By nie narazić się jednak na koszty podatkowe po stronie pożyczkobiorcy umowę obarczyć należy (i tak w praktyce niespłacanymi) odsetkami, gdyż świadczenie nieodpłatne jest traktowane jako korzyść majątkowa. Podobnie umorzenie, stąd preferowana forma zabezpieczenia to właśnie neutralne podatkowo pokwitowanie zwrotu otrzymanej kwoty. Inną metodą uniknięcia spłaty jest scedowanie tak długu, jak i solidarnego zobowiązania spłaty na wcześniej przejęte, zadłużone zewnętrzne spółki. Wówczas dokonać wystarczy wzajemnego potrącenia ze starymi zobowiązaniami. Ostatnia kwestia to podatek od towarów i usług. Jeśli choć jedna strona umowy pożyczki podlega podatkowi VAT lub jest od niego zwolniona, transakcja powinna zostać uznana za usługę finansową nieobciążoną tą daniną, a w konsekwencji niepodlegającą też podatkowi od czynności cywilnoprawnych. Koszt prania spada tym samym do zera.

Opisaną drogą można za grosze sprowadzić do kraju kapitał ulokowany na kontach bankowych w rajach podatkowych. Ich właściciel, zwykle spółka off-shore, udziela prywatnej pożyczki polskiemu kontrahentowi, czy to podmiotowi gospodarczemu, czy osobie fizycznej. W tym drugim przypadku, z racji siedziby poza terytorium Polski i prowadzenia działalności w zakresie udzielania pożyczek, przekazana kwota zostaje objęta zwolnieniem z podatku od czynności cywilnoprawnych⁷, a wielomilionowy przelew legalnie trafia nad Wisłę. W przypadku terytoriów powiązanych z państwami

7 Art. 9 ust. 10 lit. A ustawy o podatku od czynności cywilnoprawnych

Unii Europejskiej, jak np. za pośrednictwem Wielkiej Brytanii wyspa Jersey, czy dla Królestwa Niderlandów dawne Antyle Holenderskie, kapitał może zostać dodatkowo przetransferowany przez łańcuch spółek w tych państwach, również z wykorzystaniem zakupu usług niematerialnych lub praw majątkowych nieobciążonych kosztownym VAT-em. Jeśli pożyczkodawcą jest osoba fizyczna, to wówczas podatek ominąć można zawierając umowę poza terytorium Polski, a także przekazując środki zagranicą lub za pośrednictwem zagranicznych rachunków bankowych. Nawet jednak w czarnym scenariuszu, gdy pożyczka nie korzysta ze zwolnienia od PCC, odprowadzone zostaje najwyżej 2% wypranej kwoty.

Fikcyjna pożyczka może rozwiązać kłopotliwe operowanie dużą ilością gotówki nieznajdującej pokrycia w oficjalnych dochodach. Potwierdzenie przez urząd skarbowy takiej umowy zawartej z wiarygodnym finansowo pożyczkodawcą, wraz z pokwitowaniem odprowadzenia podatku od czynności cywilnoprawnych, eliminuje zarzut posiadania określonej wartości środków, jako obciążonego 75% podatkiem dochodu z nieujawnionego źródła. Jednocześnie nikt w umowie pożyczki lub potwierdzenia wypłaty z rachunku bankowego nie spisuje numerów seryjnych konkretnych banknotów. Jedna transakcja może więc stale wskazywać źródło pochodzenia płynnego kapitału. Brak zaufania do lokat bankowych też dziś już nikogo nie dziwi.

* * *

Gwarancją skutecznej pralni jest wielokrotna konwersja i mieszanie wybielonego kapitału ze środkami legalnie pozyskanymi lub już w sposób niepodważalny wypranymi. Mieszanie opisanych metod eliminuje ryzyko identyfikacji modusu operandi a przez to udowodnienia winy. Ułatwia to globalny, elektroniczny transfer

dewiz i wirtualizacja obrotu gospodarczego. Dziś z poziomu polskiej kawiarenki internetowej inwestować możemy na japońskiej giełdzie, później w minutę sprzedać akcje i przelać pieniądze do Anglii w celu zakupu zdeponowanego w tamtejszym banku złota. Następnego dnia kolejna sprzedaż: kruszec zamieniamy na butelki wina, jednostki funduszy inwestycyjnych, kupujemy waluty, albo obligacje jednego z afrykańskich rządów. Wszystko wirtualnie, z poziomu Tarnowa, Radomia czy Gniezna. Legalny zysk i straty, zmieszane w sposób niezwykle trudny do rozdzielenia. A na pewno już niemożliwy dla zwykłego policjanta. Proceder prania brudnych pieniędzy jest jednym z najłatwiejszych przestępstw, czemu sprzyja wprowadzona ustawowo wszechobecna, niemal „rewolucyjna” czujność wszystkich przeciwko wszystkim, a także pycha organów ścigania mylących niską wykrywalność ze skuteczną prewencją. Życ, nie umierać. I zarabiać...

Tą metodą drobny oszust, który początkowo chciał oszczędzić kilka tysięcy zł na podatku dochodowym, niepostrzeżenie stał się zawodowym przestępcą obracającym wielkimi pieniędzmi i trudniącym się niemal wyłącznie działalnością stricte przestępczą. Być może już nawet mafijną? Może już korumpuje lub zastrasza urzędników państwowych, a niedługo będzie miał zbrojną ochronę złożoną z doborowych kryminalistów? Wymarzona droga do zbiccia fortuny. Tylko nudna. Teraz czas na odrobinę adrenaliny i pracy w terenie...

PODSUMOWANIE

✓ Prawo masy krytycznej dokumentów – twórz zawsze maksymalnie rozbudowaną dokumentację dla każdej czynności i rozbijaj transakcje między wiele podmiotów gospodarczych, a nikt nie połapie się w ich gąszczu

✓ Polski urzędnik nie jest w szerokim świecie ani mile widziany, ani poważany. Wyślij kontrolera z Bytomia albo Gryfic do Stanów Zjednoczonych, Chin, Indii, Kostaryki lub Zjednoczonych Emiratów Arabskich, a na pewno wzbudzi tam respekt swą legitymacją i groźną miną...

✓ Urzędnik nie dba o interes Rzeczypospolitej, chce jedynie wykazać się przed szefem. Pozwól mu

✓ Stanowiący prawo nie znają realiów obrotu gospodarczego, nie rozumieją, że każda wprowadzana łata otwiera dziesięć dróg jej legalnego ominięcia, stosujący prawo współczesny biznes oglądają tylko zza szyby i nie wiedzą o co chodzi?

✓ Wolny rynek i nieskrępowany międzynarodowy przepływ finansowy oraz brak kompatybilności między systemami prawnymi w różnych państwach umożliwia skuteczne zamglenie obrazu ciągu transakcji oraz legalne uniknięcie opodatkowania faktycznego dochodu

✓ System nie działa, lecz przypomina płot: wąż się prześlizgnie, tygrys przeskoczy, a jedynie owce posłusznie staną w miejscu – bądź wężem

✓ Prania brudnych pieniędzy nie można powstrzymać

Pamiętaj, że prawo stoi po stronie urzędnika.

DZIAŁ III

PRZESTĘPSTWA KRYMINALNE

Rozdział XX

Infiltracja podmiotów gospodarczych i skuteczny szantaż

Na banki napadają głównie przestępcy bez wyobraźni, nie posiadający zazwyczaj nawet pistoletu, a jedynie „przedmiot o wyglądzie broni”. Pod tym eufemizmem niemal zawsze kryje się plastikowa zabawka za 40 zł. Łupem tego typu sprawców, bardzo często młodych – poniżej 30 roku życia, pada od kilku do kilkudziesięciu tysięcy zł. Kwota nie warta dwunastoletniego wyroku. O wiele bezpieczniej, mniej spektakularnie, kraść można duże pieniądze przy pomocy zdobytych i kreatywnie wykorzystanych lub sprzedanych informacji.

Powody infiltracji

W XXI wieku informacja stanowi najbardziej pożądaną towar. Wojen nie wygrywają już armie, a jednostki dysponujące odpowiednią wiedzą. W cenie są szczegóły strategii przeciwnika, stosowane technologie komunikacyjne i kryptograficzne, dyslokacja wojsk i rakiet balistycznych, tożsamość agentów wprowadzonych lub zwerbowanych w obozie wroga, czy materiały kompromitujące urzędników, oficerów oraz liderów politycznych. Kluczem jest sztuka kradzieży tajemnic. Wszystkie wywiady świata dążą do pozyskiwania źródeł informacji bez użycia przemocy, w białych rękawiczkach. Tak, by raz zdobyte już zawsze dostarczało wartościowych przecieków. Może nim być człowiek, kontrolowany

komputer stale używany do przesyłania lub przetwarzania informacji, nasłuch pomieszczenia lub telefonu komórkowego, radiotelefonów, albo podgląd poczty tradycyjnej lub elektronicznej. Każde źródło pozostaje jednakowo ważne, a im mniej, pozornie, dla celu rozpoznania ono znaczy, tym dłużej będzie mogło podlegać eksploatacji bez wzbudzania podejrzeń i ryzyka upgrade'u zabezpieczeń.

Do czego, poza sektorem wywiadu wojskowego, posłużyć może wiedza szpiega? Dane osobowe, numery identyfikacyjne, PIN-y oraz hasła do kont pocztowych i bankowości internetowej przekuć można bezpośrednio na gotówkę, poprzez kradzież zdeponowanych na rachunkach pieniędzy lub przywłaszczenie tożsamości na użytek oszustwa. Jednak, z uwagi na swój prymitywizm, zastosowanie to nie znajduje się w kręgu zainteresowania adeptów sztuki infiltracji. Inne informacje poufne, natury biznesowej, są dla konkurencyjnych podmiotów kartą przetargową w walce o pozycję rynkową, czy zamówienia publiczne, w negocjacjach oraz procesach sądowych. One też przejawiają największą wartość dla sektora profesjonalnego szpiegostwa przemysłowego. Priorytetem jest kradzież projektów nowoczesnej technologii, zwłaszcza w branżach: zbrojeniowej, komputerowej, elektronicznej, motoryzacyjnej, farmaceutycznej, biotechnologicznej oraz petrochemicznej. Niewiele niżej cenione są plany nowych inwestycji, ekspansji terytorialnej, przebranżowienia, zawierane kontrakty, strategiczne alianse, zdarzenia nadzwyczajne, restrukturyzacje i zachowywane w tajemnicy prognozy mogące wpłynąć na wartość np. notowań spółek giełdowych. Te dwie kategorie zapewniają największy jednostkowy zysk. Trzecią lokatę zajmują wiadomości umożliwiające w niektórych branżach przejęcie potencjału gospodarczego dobrze prosperujących przedsiębiorstw: rzeczywiste kosztorysy produkcji, dane identyfikujące utajnionych podwykonawców (osoby fizyczne i przedsiębiorstwa), dostawców

półproduktów oraz surowców, listy płac pracowników i ich adresy, a także spis niejawnych kanałów dystrybucji i głównych klientów wraz z warunkami zawartych umów. Informacje te umożliwiają przejęcie kluczowej kadry i kontrahentów oraz przygotowanie lepszej oferty, a tym samym zagarnięcie źródeł dochodu konkurencji z jednoczesnym wyeliminowaniem jej z rynku. Pozbawiona mocy przerobowych, zaskoczona pojawieniem się identycznego, co do jakości, a zwykle korzystniejszego cenowo produktu, czy usługi, legnie w gruzach.

Równie niszczące dla wizerunku marketingowego okazać się może ujawnienie rzeczywistych kosztów produkcji. Do dzisiaj pilnie strzeżoną tajemnicą są rzeczywiste ceny wykonania samochodów, podobnie jak podzespołów elektronicznych. Najprawdopodobniej klienci byliby mniej skłonni płacić 100 000 zł za towar, którego koszt wytworzenia zamknięty został w kwocie pięćdziesięciokrotnie niższej. Trudno byłoby wówczas dyskredytować jakość „podróbek”, odwołując się od ich rzekomo zbyt niskiej ceny.

Rygorystyczna klauzula tajemnicy naraża na kompromitację specjalistów świadczących usługi doradcze w sektorach prawnym, finansowym, rachunkowości, consultingu i reklamie. Niestrzegący swych tajemnic konkurent nie wzbudzi zaufania klientów i liczyć się musi z ostracyzmem, a wręcz eliminacją z rynku i narażeniem na odpowiedzialność odszkodowawczą. W efekcie otworzy drogę do przejęcia dotychczas obsługiwanych, lukratywnych kontraktów. Kto powierzy adwokatowi akta swej sprawy, gdy ten wcześniej dopuścił do kradzieży, a następnie publikacji w internecie niszczącego dla mocodawcy, nieujawnionego jeszcze w procesie sądowym, materiału dowodowego? Kto zaufa księgowemu, gdy identyczny los spotka szczegółowe rozliczenia jego klientów z minionych pięciu lat, wraz z nazwiskami kontrahentów oraz numerami zagranicznych kont bankowych? Podobnie zakończy swą działalność nawet renomowana agencja reklamowa, jeśli na kilka dni przed rozpoczęciem w mediach

szerokiej kampanii wycieknie design nowego opakowania czarnego napoju gazowanego. W biznesie chodzi o zniszczenie konkurencji, prawda? I niejednokrotnie takie jest właśnie zlecenie. Głośna kompromitacja klienta upublicznieniem wstydlivych informacji o nim samym lub tajemnic jego przedsiębiorstwa, ze wskazaniem źródła przecieku, oznacza koniec nieostrożnego usługodawcy. Nikt przy zdrowych zmysłach nie powierzy swych brudów „specjaliście” niepotrafiącemu ich upilnować. Stąd też na szantaż podatne są prywatne placówki medyczne, banki i ubezpieczyciele.

Kolejną pożądaną kategorię stanowią instrukcje i procedury weryfikacji klientów przed udzieleniem kredytu, przekazaniem pojazdu w leasing lub wydaniem drogiego towaru z magazynu. Osoby nie znające danej branży nie są w stanie ocenić, jak daleko idących działań „maskujących” muszą dokonać, aby wyłudzić świadczenie i uniknąć aresztowania. Niekiedy wystarczy jedynie przedstawienie sfalszowanego dowodu osobistego z prawdziwymi i „czystymi” personaliami istniejącego i wypłacalnego obywatela. Inni dokonują dużo bardziej szczegółowej kontroli, takiej jak kontakty z pracodawcami byłymi i obecnymi, weryfikacja w wybranych instytucjach, doręczanie na adres zamieszkania za pośrednictwem kurierów różnego typu dokumentów, a w przypadku podmiotów gospodarczych zlecane są wizje lokalne adresów rejestrowych głównych zakładów i oddziałów terenowych. Oczywiście kilkuetapowa kontrola potęguje ryzyko zatrzymania sprawcy przez Policję w chwili ostatniej, finalizującej transakcję wizyty. Na tego typu ukierunkowaną infiltrację szczególnie narażone są instytucje udzielające kredytów lub finansujące zakupy rzeczowe, podmioty wydające dużej ilości kontrahentów hurtowe partie wartościowego towaru oraz wypożyczalnie samochodów i maszyn przemysłowych. W tych ostatnich przypadkach, szczególnie istotne pozostają procedury zgłaszania Policji podejrzenia przywłaszczenia mienia

ruchomego (kiedy kierowane są doniesienia, jakie przesłanki je warunkują) oraz kto z prywatnego sektora usług detektywistycznych zajmuje się ich poszukiwaniem – czy najlepszy fachowiec, czy najtańszy. Zdecydowana większość poważnych przedsiębiorstw jest już świadoma, że nie może liczyć na skuteczne działania organów ścigania i poza ubezpieczeniem majątku ruchomego zatrudnia też własnych detektywów. Ich identyfikacja to pierwszy krok do zmylenia lub neutralizacji. Ta półka działań wywiadowczych nie należy do najambitniejszych i zwykle nie wymaga zaawansowanej wiedzy, a jedynie skierowania do wybranego podmiotu „czystego” klienta dokonującego rekonesansu lub oddelegowania równie „czystego” współpracownika do pracy na jakimkolwiek stanowisku związanym z badanym zagadnieniem.

Ostatni z podstawowych celów infiltracji to wykorzystanie uzyskanych wiadomości do szantażowania poszczególnych osób lub przedsiębiorstw. W tym drugim przypadku kompromitują dowody oszustw gospodarczych i podatkowych, ustawiania przetargów, zmów godzących w przepisy antymonopolowe oraz wszelkich innych czynów, których ujawnienie ściągnąć może odpowiedzialność karną lub skarbową, a następnie utratę wiarygodności rynkowej i klientów. Ryzyko zawiadomienia Policji o szantażu jest znikome, gdy przestępca żąda kwoty o wiele niższej od tej, która zostałaby utracona w chwili wszczęcia postępowania przez właściwe instytucje. Jedynie brak umiaru szantażysty i oczekiwania przewyższające rachunek ekonomiczny działalności skutkować będą przekazaniem sprawy organom ścigania. Całkiem realne w każdej sytuacji jest natomiast wyeliminowanie problemu przy pomocy rozwiązań siłowych. Do tego celu wynajmowani bywają zazwyczaj żołnierze półświatka, albo pseudo-agencje detektywistyczne lub ochroniarskie zatrudniające pozbawionych skrupułów i etyki byłych funkcjonariuszy służb mundurowych i specjalnych, zwłaszcza

wywodzących się ideowo z byłego ustroju.

O wiele prostsze wydaje się wykorzystanie informacji kompromitujących osobę prywatną. O wiele też łatwiej pozyskać poufne fakty z jej życia. Mało kto potrafi ich strzec, w ogóle prawie nikt nawet nie próbuje. Kilku znakowe, zwykle słownikowe hasło do poczty elektronicznej, identyczne na ekran logowania do prywatnego komputera. Co najwyżej oddzielna karta SIM do przeprowadzania bardzo prywatnych rozmów. To i tak szczyt kunsztu zabezpieczenia intymności przeciętnego obywatela. A każdy ma sekrety. Niewierność małżeńska. Skrywana odmienna orientacja seksualna. Uzależnienie od narkotyków, leków, alkoholu lub hazardu. Kompromitujący związek erotyczny lub członkowie rodziny prowadzący działalność nielicującą z powagą swego krewnego: kryminaliści, prostytutki, margines społeczny. Popelnione przestępstwo, które, choć zagrożone niską karą, w przypadku wykrycia zniszczyć może karierę zawodową wymagającą nieposzlakowanej kartoteki. Eksces dokonany w przeszłości, a mogący zniszczyć czysty jak łąka życiorys znanego polityka, adwokata lub duchownego. Drobnny sekret z łatwością może przekreślić latami reżyserowany image lub w jednej chwili rozbić szczęśliwe, zgodne małżeństwo. Zysk z szantażu to nie tylko drobna kwota wyludzona za milczenie, zależna od zasobności portfela celu, ale także wpływ na jego wszelkie działania zawodowe. Za pomocą szantażowanego managera lub członka zarządu możliwe staje się przejęcie kontroli nad prowadzonym przedsiębiorstwem: polityką rozwoju gospodarczego, zawieraniem kontraktami, doborem kadr i ustalaniem ich pensji, przyznawanymi premiami oraz pakietami służbowego wyposażenia, wyborem dostawców i podwykonawców etc. Nie trudno odgadnąć, jak daleko idące może to przynieść profity, włącznie z defraudacją całego majątku spółki kapitałowej lub ustanowienia mniejszych, acz regularnych dochodów na wiele

długich lat. Inne możliwości otwiera ofiara-urzędnik państwowy: policjant, pracownik kontroli skarbowej lub osoba odpowiedzialna za dysponowanie środkami publicznymi. Zapewnić wówczas może protekcję nad przestępczymi działaniami właściwymi dla swej jurysdykcji oraz ostrzegać o wszelkich planowanych kontrolach. Rozstrzygnięcie przetargu na korzyść szantażysty również nie będzie skomplikowane – nie trudno wygrać, gdy zna się oferty konkurencji przed ich oficjalnym otwarciem, a każda nazbyt atrakcyjna zostać może odrzucona z uwagi na faktyczne lub wyimaginowane braki formalne... Każda karta zapewnia wiele opcji jej rozegrania, zależnych wyłącznie od pomysłowości posiadacza. Nim jednak dojdzie do konsumowania pożytków pracy, wcześniej należy ją wykonać.

Rozpoczęcie inwigilacji życia prywatnego lub działalności gospodarczej obranego celu wymusza dotarcie w jego pobliże. Stopień bliskości i czas obserwacji zależny będzie od doświadczenia wywiadowcy oraz stopnia zabezpieczenia lub ukrycia pożądanych informacji. Może to być zarówno fizyczna obecność w centrum wydarzeń, jak i dyskretne działanie podejmowane zdalnie przy pomocy sprzętu elektronicznego i oprogramowania szpiegowskiego. Dotarcie do znanej lub bogatej osoby wydaje się przeciętnemu człowiekowi niezwykle trudne. Wbrew pozorom nie jest to jednak żadna sztuka i dokładnie taki sam nakład pracy będzie konieczny do przeniknięcia w najbliższe środowisko gwiazdy estrady, ministra, nieznaczącego, szeregowego urzędnika państwowego, jak i drobnego przedsiębiorcy lub gospodyni domowej.

Jeśli planujemy dokonać infiltracji wybranej korporacji, instytucji, albo też przeniknąć w pobliże konkretnej osoby, a co więcej mamy ambicję stać się człowiekiem zaufanym, najgorsze, co można zrobić, to spróbować bezpośredniego kontaktu. W tej materii nie do odważnych, a do roztropnych świat należy. Twarz mamy

jedną i jeśli nie zakładamy występowania przez wiele miesięcy w scenicznym makijażu lub plastikowej masce, nie możemy sobie pozwolić na to, by ją spalić przy pierwszym podejściu. Bezpośrednia próba nawiązania znajomości lub zatrudnienia w wybranym przedsiębiorstwie, nawet na podstawie sfałszowanych dokumentów tożsamości, prognozuje sukces jedynie w przypadku niezmiernie doświadczonych socjotechników. Zbyt duże prawdopodobieństwo spalenia przy pierwszym podejściu czyni ryzyko nieopłacalnym. Przedtem niezbędne jest odpowiednie przygotowanie, umożliwiające przedstawienie swej osoby nie zgodnie z tym, jaką ona jest, lecz jaką chciałby ją widzieć rozmówca. Udawaj i kłam.

Nawiązanie kontaktu z celem

Zbiór znajomych każdego człowieka przypomina swą konstrukcją kręgi powstające po wrzuceniu w wodę kamienia. Do strefy osobistej przynależy najbliższa rodzina i przyjaciele, niewiele dalej uplasowani są zaufani współpracownicy oraz wieloletni, sprawdzeni kontrahenci. Trzeci krąg obejmuje dalszą rodzinę, wysokich rangą pracowników, osoby z danej sfery towarzyskiej – bywalców tych samych klubów i obiektów sportowych, pubów, lokali rozrywkowych, ewentualnie uczelni lub klubów dyskusyjnych i partii politycznych. Czwarta grupa to pracownicy niższego stopnia, dalsi znajomi, sąsiedzi, dozorczy, portierzy i inne osoby przewijające się w tle codziennego życia. Ostatni krąg charakteryzuje zerowy wpływ na decyzje głównego celu, lecz pozostaje bardzo dobrym źródłem wiedzy na jego temat. Do bezpośredniego kontaktu kwalifikują się więc jedynie przedstawiciele pierwszej i drugiej, a w mniejszym stopniu trzeciej grupy. Czwarta podlega wywiadowi środowiskowemu podejmowanemu w ramach działań wstępnych. Poza wymienionymi stopniami relacji najważniejsze, niejednokrotnie

najsilniej oddziałujące osoby zlokalizowane są w kręgu równoległym do strefy osobistej, lecz okrytym tajemnicą. Skazani na siebie, z wyboru, czy przymusu wytworzonego niezręczną sytuacją, mają większy wpływ i bliższy kontakt niż najbliższa rodzina. Kochanków oraz współników w popełnionym przestępstwie łączą dużo silniejsze więzi emocjonalne niż rodzeństwo, czy przyjaciół. Ich prośbom i żądaniom ulega się najłatwiej.

Po wytypowaniu celu infiltracji w pierwszej kolejności przygotować trzeba swoistą „mapę” przynależnych do niego kręgów. Jeśli przedmiotem rozpoznania jest osoba sławna lub prowadząca rozległe interesy, pomocna w tym będzie zwyczajna prasówka, czyli szczegółowa analiza publikacji na temat wybranego człowieka. Adres przedsiębiorcy odnaleźć można w ogólnodostępnych aktach Krajowego Rejestru Sądowego – wystarczy wcześniej pozyskać nazwę spółki handlowej, w której cel uczestniczy, posiada udziały lub piastuje stanowisko w zarządzie, albo radzie nadzorczej. Jeśli wywiadowca dysponuje kolegą w Policji, za cenę od 50 do 150 zł otrzyma szczegółowe dane z kartotek kryminalnych, historię wszelkich przypadków legitymowania i podstawy faktyczne tych interwencji. Pomocny do tej kontroli będzie, również dostępny w dokumentacji KRS, indywidualny numer PESEL. Gdy za cel obrano osobę prywatną, nieprowadzącą żadnej działalności gospodarczej, pierwszym źródłem informacji jest internet i wszelkie portale społecznościowe. Polacy z co najmniej średnim wykształceniem, poniżej 45 roku życia, mieszkający w miejscowościach liczących powyżej 20 000 mieszkańców i osiągający miesięczne dochody powyżej 1 500 zł, zazwyczaj posiadają dostęp do sieci i aktywnie korzystają z niej na płaszczyźnie zawodowej i towarzyskiej. Nieroztropnie nie kryją się też ze swoim życiem prywatnym. W serwisach zrzeszających absolwentów wszelakich liceów i uczelni wystawiają na widok publiczny cały krąg krewnych i znajomych, a

wraz z nimi, niczym w prawdziwej kartotece policyjnej, ich podstawowe dane personalne, takie jak imiona, nazwiska, daty i miejsca urodzeń. Obok nazwy ukończonych szkół i miejsca dawnego zatrudnienia, co umożliwia proste dotarcie do poprzednich adresów zamieszkania i przeprowadzenie w tych lokacjach wywiadu środowiskowego. Prezentowane zdjęcia z wakacji, pracy oraz rodzinnych uroczystości, a także równie często legitymacyjne lub z sesji fotograficznych, stanowią kopalnię informacji o charakterze poszczególnych osób, wykonywanym zawodzie, miejscach w których dana paczka znajomych spotyka się i bawi. Ponownie pomocny bywa dostęp do policyjnych kartotek, gdzie sprawdzić można np. numery rejestracyjne pojazdów uwiecznionych na fotografiach. Otwartość użytkowników serwisów społecznościowych pozwala na nawiązanie kontaktu z mało istotnym członkiem danej grupy, jedynie w celu wprowadzenia na listy „znajomych” i tą drogą pozyskania adresów email, skype, numerów telefonów i gg kontrolowanych osób. Tą drogą wywiadowca wchodzi w posiadanie często stale wykorzystywanych nicków, pod którymi najpewniej odnajdzie tych samych ludzi na innych forach i w serwisach ogłoszeniowych. Kontrola numerów telefonów w wyszukiwarce Google wskaże niejednokrotnie precyzyjnie aktualne miejsce pracy i wykonywany zawód, a to już tylko krok od pozyskania również aktualnego adresu zamieszkania. Pomocne bywają zwłaszcza portale: nasza-klasa, facebook oraz goldenline. KGB i CIA zawsze marzyły o dostępie do tak rozbudowanych kartotek obywateli. Ich sen się spełnił i znalazł w zasięgu ręki każdego zainteresowanego.

Niesamowicie, jak wiele osób używa tego samego nicka, a nawet numeru telefonu, w ogłoszeniach o charakterze zawodowym, na równi z anonsami matrymonialnymi i erotycznymi. A to już krok do nawiązania bliskich wirtualnych znajomości i wyludzenia informacji o bardzo prywatnych aspektach życia. Także tych intymnych, nie

zawsze powszechnie akceptowanych. Zapewne niektóre nicki odnajdziemy też na grupach dyskusyjnych, co pozwoli nam poznać poglądy, pasje, problemy życiowe i rodzinne z którymi borykają się skryci za nimi ludzie. Oczywiście na potrzeby każdego wirtualnego kontaktu powołać należy odpowiedni fikcyjny profil, przyozdobiony wizerunkiem atrakcyjnej osoby właściwej płci i wieku. Serdeczne, pseudo-anonimowe rozmowy sprzyjają zwierzeniom i pozwalają wypełnić tworzoną „teczkę” dalszymi użytecznymi materiałami. Z takim bagażem wiedzy nie trudno później zjednać sobie w prawdziwym świecie sympatię „*dopiero co poznanego*” człowieka. To nie prawda, że przeciwności się przyciągają. Zaufanie i sentyment łączy ludzi w oparciu o drobiazgi: pochodzenie z tego samego regionu, ulubioną kawę, gatunek sera, muzykę i serial telewizyjny, styl ubioru, zawód oraz światopogląd. Kilka krótkich zdań i gestów pozwala już na wstępie ocenić, czy rozmówca jest „*z tej samej bajki*”. Jest. Następne „*przypadkowe*” spotkanie na siłowni, w pubie, klubie lub jakimkolwiek innym, stale uczęszczanym przez cel, miejscu najprawdopodobniej nie zostanie przeoczone. Wszak ofiara natrafi na osobę o takich samych poglądach, doświadczeniach życiowych, podobnie ubraną i zachowującą się jak ona sama. Dlatego gdy tylko nas ponownie zauważy, sama do nas podejdzie.

Przygotowanie analogicznego rozpoznania w środowisku niekorzystającym z dobrodziejstw wirtualnego świata jest trudniejsze, lecz w pełni wykonalne nawet bez specjalnych talentów aktorskich, czy detektywistycznych. Regułą pozostaje skupienie uwagi na ośrodkach życia towarzyskiego właściwych dla przynależności społecznej celu, a zlokalizowanych w pobliżu jego zamieszkania, pracy, czy nauki. Bezpośredni kontakt wymaga dopasowania do penetrowanego środowiska swego wyglądu, zachowania i słownictwa. Jeśli wywiadowca pragnie pozyskać informacje od kibiców piłkarskich, absolutnie nie może tego

próbować w garniturze i bez wcześniejszego zgłębienia wiedzy na temat ich ukochanej drużyny. Truizm, lecz ta prosta reguła ma przełożenie na absolutnie każdą grupę społeczną a często, z nieznanymi przyczyn, bywa ignorowana. Bogacz w odzieży Hugo Bossa nie zbrata się ze skromnie ubranym dresiarzem, a polityk opcji katolickiej z młodzieńcem w koszulce nawołującej do legalizacji marihuany. Nadmienić też trzeba, że rzadko droga do wielkich pieniędzy wiedzie poprzez środowiska osób pozbawionych dostępu do internetu. W XXI wieku to przecież podstawowy sposób komunikowania się ludzi.

Zgromadzenie wstępnych informacji do opracowania profili psychologicznych i mapy życia wytypowanych osób, a kolejno dobór z nich tej najodpowiedniejszej do zjednania, nie oznacza końca rozpoznania. Jeśli jest to możliwe, a tak duży nakład pracy, wedle prognozowanego rachunku ekonomicznego, nie jest przesadzony, trzeba powtórzyć działania, tym razem jednak skupiając się na kręgu towarzyskim wstępnie wytypowanej osoby. Dlaczego? Jak było wspomniane powyżej, podejście do figuranta możliwe jest, przynajmniej w krótkim odstępie czasu, tylko raz. Z reguły przejawiamy ograniczone zaufanie do nowo poznanych osób, natomiast ludzi wprowadzonych w nasze pobliże przez sprawdzonych znajomych obdarzamy od początku mniejszą krytyką i podejrzliwością. Kredyt zaufania jest zazwyczaj przenoszony w części na kolejne ogniwa towarzyskiego łańcucha. Nawiązanie znajomości z osobą z najbliższego otoczenia celu, za pośrednictwem innego zaufanego człowieka, daje podwójną gwarancję udanej infiltracji. Po pierwsze, w przypadku braku powodzenia i spalenia kontaktu nie nastają żadne negatywne tego skutki. Trzecie ogniwo łańcucha nie ma najprawdopodobniej żadnego lub ma jedynie znikomy kontakt z głównym celem. Możliwe jest więc spokojne kontynuowanie poszukiwań innej osoby wprowadzającej, bez

narażania się na późniejszą dekonspirację. Druga korzyść, to możliwe do uzyskania podwójne rekomendacje. Cel główny nie poznaje zupełnie obcej osoby, której pojawienie się i zainteresowanie określonym kręgiem towarzyskim lub zawodowym mogłoby być w innych okolicznościach podejrzane. Nawiązuje bowiem znajomość za pośrednictwem zaufanego wspólnego znajomego, który to z kolei powołuje się na inną zaufaną i sprawdzoną osobę. Wszystko to w niezobowiązującej atmosferze towarzyszącej rekreacyjnemu spotkaniu w gronie przyjaciół. Jeżeli intencją pozostaje przeniknięcie do przedsiębiorstwa należącego do celu głównego, trudno o lepsze polecenie. Zwłaszcza na stanowisko wymagające dyskrecji i szczególnego zaufania. Dostęp do tajemnic podmiotu jest dużo szybszy, niż w przypadku przejścia standardowej procedury rekrutacyjnej i stażu. Sam czas trwania bezpośredniej znajomości z ogniwami pośrednimi bywa różny i zaczyna się od ledwie tygodnia, a w niektórych okolicznościach, przy odpowiednio wysokiej prognozowanej wartości zysku, wywiadowca tkwić może w danym środowisku nawet latami, pełniąc rolę tzw. śpiocha.

Co, jeśli celem nie jest konkretny człowiek, tylko duże przedsiębiorstwo lub wręcz ogromna, międzynarodowa korporacja? Tym lepiej. Pozyskanie informacji o zasobach finansowych, produkcyjnych i kadrowych podmiotu, schematach organizacyjnych, poufnej tożsamości pracowników i klientów, poszczególnych podwykonawcach oraz dostawcach, harmonogramach realizowanych prac itp. – jest zwykle banalnie proste. Wystarczy dać się zatrudnić. Paradoksalnie, nie powinien to być jednak żaden etat związany z kierownictwem, czy odpowiedzialnym stanowiskiem niezależnego specjalisty, gdyż wiąże się on z ostrymi wymaganiami względem kandydata i możliwą porażką w procesie rekrutacyjnym. Co gorsza, twarz zarówno przyjętego, jak i odrzuconego kandydata najpewniej zostanie zapamiętana. Specjalista otrzyma dostęp do pewnych

tajemnic przedsiębiorstwa, ale też będą one ograniczone do zakresu jego kompetencji, a ponadto będzie miał utrudnione poruszanie się po innych działach. Jako pierwszy też będzie podejrzewany w przypadku ujawnienia przecieku. Nikogo natomiast nie dziwi wszędobylstwo sprzątaczk, czy pracownika ochrony tożsamego w istocie z portierem. Mogą oni bez podejrzeń obserwować osoby odwiedzające poszczególne części obiektu, niemal o każdej porze w nich przebywać, a jednocześnie nie zwracają na siebie żadnej uwagi. Przez niski status zawodowy i społeczny stają się wręcz niewidzialni dla wyższej kadry. Niekryta pogarda dla ludzi pracy umożliwia tym kanałem nieskrępowaną infiltrację. Aplikując na niskie stanowisko należy oczywiście okroić swoje CV. Zbyt ambitne wzbudzić mogłoby nadmierną podejrzliwość HR-owców. Nikt nie zatrudni do sprzątania podłóg multifakultetowca z płynnymi trzema językami obcymi i doświadczeniem na stanowiskach dyrektorskich.

Gdy wywiadowca jest w środku

Brak otwartego dostępu do stanowiących tajemnicę handlową dokumentów i rozliczeń nie stoi na przeszkodzie w nieoficjalnym ich pozyskaniu. Tożsamość wybranych osób ustalić można notując numery rejestracyjne ich pojazdów i sprawdzając, do kogo należą. Pracownicy ochrony dodatkowo uprawnieni są do potwierdzania personaliów gości obiektu, a także muszą być z góry informowani o każdej umówionej wizycie. Obiekty o charakterze zamkniętym objęte są rygiem okazywania przy wejściu imiennego identyfikatora, często wskazującego zajmowane stanowisko. Wystarczy uważnie notować. Dostęp do parkingów umożliwia też swobodny montaż lokalizatorów GPS, co wskaże zarówno miejsce zamieszkania użytkownika pojazdu, zakres terytorialny pracy, jak i sposób spędzania czasu wolnego.

Brak wglądu w księgowość oraz w drafty negocjowanych kontraktów zneutralizować można podstawową znajomością techniki komputerowej. Zdecydowana większość ważnych informacji krąży pomiędzy komputerami kadry zarządzającej i wykonawczej w ramach sieci intranetowych, a także nieroztropnie przesyłana bywa za pośrednictwem zewnętrznych, internetowych serwerów pocztowych. Pamiętajmy, że osoba odpowiadająca za dozór obiektu lub jego czystość ma zwykle prawo wstępu do większości pomieszczeń. Otwierający wszystkie drzwi master-key posiadają tylko prezes i sprzątaczką, zaś plik kluczy przypisanych do konkretnych zamków zawsze jest w dyspozycji portiera. Nie stanowi dla „niewidzialnego” żadnej trudności zamontowanie wewnątrz klawiatury lub podpięcie do portów wejściowych komputera małego keylogger'a sprzętowego, czyli urządzenia szczytującego każdy wystukany na klawiszach znak. Potrzeba do tego ledwie minuty, pustego biurka i braku spojrzeń osób postronnych. A warunki te zapewnia właśnie sprzątanie i dozór po godzinach pracy obiektu. By wyeliminować ryzyko dekonspiracji przy odczycie zapisu, zainwestować można kilkaset zł w wyposażenie eksportujące zapis via wi-fi na wybrany adres e-mail lub serwer FTP. Jeśli tylko na miejscu instalacji nie pozostawimy wtedy odcisków palców, to identyfikacja szpiega będzie niemal niemożliwa. Brak demontażu również nie wpłynie na bezpieczeństwo. Nawet jeśli urządzenie zostanie wykryte, to po miesiącach lub latach, a wtedy krąg osób mających choć chwilowy dostęp w pobliże komputera będzie liczył najpewniej kilkaset nazwisk, w tym wszystkich pracowników, klientów i dostawców.

Prócz treści korespondencji i raportów pozyskać można z tego źródła wszelkie wykorzystywane na danym stanowisku komputerowym hasła i loginy. Dysponując nimi można z kolei uruchomić komputer pod nieobecność jego prawowitego

użytkownika lub zalogować się do wewnętrznej sieci firmowej spoza budynku, a następnie zainstalować programy szpiegowskie. Podgląd odbieranej i nadawanej poczty służbowej, opracowywanych projektów, wzorów dokumentów, ofert, arkuszy kalkulacyjnych i prezentacji, jak i prywatnej korespondencji oraz pozyskiwanie dalszych haseł, a także zrzutów ekranów komputerów, zapewni stały dostęp do wszelkich tajemnic podmiotu. Możliwy jest też zdalny i równie dyskretny podgląd oraz podsłuch pomieszczeń wyposażonych w komputery z kamerami do wideokonferencji internetowych. Jest to szczególnie istotne, jeżeli pożądana informacja to przebieg narad i rokowań prowadzonych w biurze prezesa lub nagranie dowodzące stopnia intymności jego kontaktów z sekretarką.

Opisane czynności wykonywane są w tle systemów operacyjnych, nie podlegają więc ujawnieniu jako działanie złośliwego oprogramowania szpiegowskiego, czy wirusów. Samo oprogramowanie szpiegowskie nie stanowi już od dawna domeny instytucji wywiadowczych, a ściągnąć je można za darmo z powszechnie dostępnych serwerów rozpowszechniających pirackie pliki. Pozyskane z ich udziałem dane eksportowane są, również w tle, przez firmowe łącza internetowe na wybrany adres poczty elektronicznej lub serwer FTP. Oczywiście korzystać należy z w pełni anonimowych, bezpłatnych serwerów zlokalizowanych na terytorium państwa wrogiego, nieskorego do współpracy z organami ścigania właściwymi dla lokalizacji infiltrowanego podmiotu. Polecieć należy szczególnie usługi świadczone w Rosji i innych państwach o faktycznym ustroju autorytarnym.

Ludzie zazwyczaj ułatwiają sobie życie korzystając z tych samych haseł do wielu kont pocztowych. Dzięki temu często możliwe będzie odczytanie prywatnych skrzynek na bazie materiałów wykradzionych w miejscu pracy. Penetrując strefę

osobistą pracownika natrafimy nie tyle na informacje stanowiące przedmiot zainteresowania szpiegostwa przemysłowego, ale inne, nierzadko kompromitujące, nadające się na kartę przetargową przy werbunku osobowego źródła informacji. Prym wiodą wiadomości o niełojalnym działaniu na szkodę pracodawcy oraz niewierności małżeńskiej. Ujawnienie ich oznacza utratę zatrudnienia lub rozpad rodziny. W obu przypadkach milczenie jest złotem, zatem wymienić je można na słowa. To nic nie kosztuje.

W zależności od celu prowadzonych działań, zgromadzone materiały mogą zostać wykorzystane jednorazowo do sabotażu, czyli ujawnione mediom lub rozpowszechnione w wybranym kręgu bądź internecie, sprzedane konkurencji lub przedstawione jako przedmiot szantażu, albo też mogą stanowić źródło stałego zarobkowania przez systematyczne spieniężanie informacji z dyskretnego monitorowania. Uzyskanie kontroli nad tajemnicami spółki giełdowej otwiera drogę do intratnego obrotu akcjami przed ujawnieniem okoliczności mających wpływ na zmianę ich kursu, a nadzór nad działem handlowym umożliwia przejmowanie kluczowych klientów poprzez kierowanie do nich korzystniejszych ofert.

Wymienione we wcześniejszych akapitach metody kradzieży informacji z wykorzystaniem narzędzi informatycznych oczywiście znajdują zastosowanie także w toku inwigilacji prowadzonej poprzez łańcuch poleceń osobistych. Nie ważne, w jaki sposób udało się uzyskać dostęp do komputera. Kluczem jest twórcze wykorzystanie słabych punktów danego środowiska, dostępnej technologii, uwarunkowań indywidualnych i taktyki wywiadowczej. Esencja sztuki infiltracji to nie określony scenariusz na działanie, ale wyczucie sensu i metodyki nieupoważnionego pozyskiwania dostępu do konkretnych osób i podmiotów. Po zapoznaniu z paroma scenariuszami działań bez trudu możliwa będzie ich modyfikacja do warunków konkretnego przypadku, a z czasem tworzenie własnych,

niepowtarzalnych planów operacyjnych staje się tak naturalne, jak oddychanie⁸. Gdy obraz jest abstrakcyjną mozaiką, poszczególne puzzle można układać w dowolnej kolejności, aż do uzyskania zadowalającego efektu.

-
- 8 W zakresie technik inwigilacji i infiltracji polecić należy dostępne na rynku publikacje książkowe autorstwa króla hakerów i socjotechniki Kevina Mitnicka: *„Sztuka podstępu. Łamałem ludzi nie hasła”* oraz *„Sztuka infiltracji”*. W zakresie technik wywiadowczych warto również zapoznać się z publikacją autora niniejszego Podręcznika Złodzieja: *„Wywiad Gospodarczy i Polityczny – metodyka, taktyka i źródła pozyskiwania informacji”*. Czytelnik znajdzie w niej przede wszystkim obszerny kurs pozyskiwania informacji o podmiotach gospodarczych, osobach publicznych i prywatnych oraz metodyki kradzieży informacji (szpiegostwo przemysłowe).

Rozdział XXI

Wymuszenia i terror kryminalny

Każdy prawdziwy złodziej, a raczej artysta fachu pozyskiwania środków finansowych kosztem osób i podmiotów trzecich, pogardza wszelkimi przestępstwami z wykorzystaniem jakiejkolwiek formy przemocy. Jest ona niedopuszczalna w biznesie i jako taka powinna znaleźć się poza obszarem zainteresowania ludzi dążących do zdobycia wielkich pieniędzy – jeśli tylko chcą oni móc cieszyć się ich wydawaniem i beztroskim życiem. Jednak rzetelność wymaga scharakteryzowania najpopularniejszych w minionych latach metod zdobywania kapitału przez osoby mniej uzdolnione lub skłonne do agresji.

Początek lat 90-tych to epoka kominiarki, kija do baseballa i radzieckiej Tetetki. Osłabione transformacją ustrojową i weryfikacją polityczną kadr organa ścigania, wraz z anemicznym wymiarem sprawiedliwości, uczyniły kraj nad Wisłą prywatną piaskownicą zbrojnych gangów. Po raz pierwszy od czasów insurekcji kościuszkowskiej w rękach prywatnych ludzi pojawiły się naprawdę duże pieniądze i swoboda nimi dysponowania. Wielu biznesmenów ciężką pracą, lub znajomościami w kręgach odpowiadających za prywatyzację peerelowskiego majątku, w ciągu kilku miesięcy zgromadziło kapitał gwarantujący beztroskie życie w dobrobycie. Przedsiębiorcy małego i dużego kalibru, bez profesjonalnej ochrony ze strony instytucji państwowych, czy prywatnych podmiotów, stali się idealnymi celami wymuszeń. Bez finezji, podstępów, białych rękawiczek i większego trudu, zwyczajną przemocą zagarniano

fortuny i fortunki nowobogackich.

Egzekucja haraczy stała się podstawowym źródłem dochodu żołnierzy świeżo utworzonej przestępczości zorganizowanej, pretendującej wówczas do miana polskiej mafii. W karykaturalny sposób wzorowano się przy tym na ekranizacji „*Ojca chrzestnego*”. Zjawisko zapoczątkowały podwarszawskie grupy dowodzone przez zatwardziałych recydywistów, a złożone głównie z młodych, agresywnych i bezrobotnych mężczyzn. Po stolicy praktykę tą uczyniono stałym źródłem dochodów niemal wszystkich polskich gangów. Pierwsza, nagłośniona przez media fala egzekucji tzw. haraczy dotyczyła zastraszania restauratorów. W środku dnia, przez warszawskie Stare Miasto przemaszerowała armia kilkudziesięciu bezwzględnych egzekutorów. Na oczach zagranicznych turystów pałkami trzaskano wnętrza lokali gastronomicznych, wybijano szyby i bito personel. Tak prymitywnymi metodami, czyli w pełni jawną i bezkarną przemocą, udało się zastraszyć dużą część warszawskich przedsiębiorców z różnych branż. Z czasem podobne manifestacje siły nie były już potrzebne. Wystarczająca okazywała się wizyta kilku młodych, agresywnych mężczyzn głośno mówiących o tym, w jak niebezpiecznej okolicy znajduje się dany lokal i że warto byłoby zadbać o najęcie odpowiedniej „ochrony”. A równie często zdarzają się przecież pożary, więc dodatkowe ubezpieczenie zawsze warto wykupić... W przypadku napotkania oporu podejmowane były działania „*zmiękczone*”. W zależności od tego, jaką grupę reprezentowali egzekutorzy, mogło to być mało subtelne dotkliwe pobicie właściciela podmiotu lub osób funkcyjnych, zdemolowanie pomieszczeń, albo, w przypadku bardziej finezyjnych sprawców, stopniowane co do swej uciążliwości akty wandalizmu. Wybicie okien, przedziurawienie opon w samochodach, zalanie zamków klejem i niszczenie elewacji budynków uznać należy za wyjątkowo łagodną formę perswazji, często wspieraną np.. głuchymi telefonami

i ostentacyjną obserwacją. Nasileniem działań było demolowanie pojazdów i wywoływanie drobnych pożarów. Zazwyczaj nie rozpalano jednak ognia mogącego strawić całe przedsiębiorstwo lub jego istotną część, gdyż wówczas zamiast uzyskać płatnika haraczu zdolnego do regularnych opłat, wyeliminowano by go z rynku. Jeśli nie zarabia – nie zapłaci. Wyjątkiem od tej reguły było pokazowe spalenie jednego opornego, celem zastraszenia innych biznesmenów. Nadmienić należy, iż tego typu akt terroru kryminalnego jest bardzo skuteczny i odstrasza zarówno od współpracy z organami ścigania, jak i od dalszego stawiania oporu przestępcom. Wraz ze wzrostem „zagrożenia” zwykle rosła też stawka żądana za zapewnienie bezpieczeństwa.

Kolejny etap to zastraszanie uderzające nie w majątek, a w serce ofiary. Do legend miejskich przeszły sceny, w których krótko ostrzyżeni mężczyźni w dresach głaszczą po główkach malutkie dzieci terroryzowanych przedsiębiorców. Wynikało to jednak raczej z wielkiego ładunku emocjonalnego takiej wizji, niż powszechnej praktyki. Stosunkowo często spotykaną metodą było natomiast doręczanie zdjęć osób bliskich – dziecko w drodze do przedszkola, żona w miejscu pracy, staruszkowie rodzice pielęgnujący ogródek. Przekaz tej wiadomości był jasny i klarowny: wiemy wszystko o Tobie. Wiemy gdzie są Twoi krewni, mogliśmy zrobić im zdjęcie, możemy też zrobić krzywdę. Skierować obiektyw aparatu i lufę pistoletu to przecież niemal to samo. Ty nie wiesz o nas nic, poza tym, że jest nas wielu i jesteśmy bezwzględni. Nieświadomi zagrożenia bliscy niejednokrotnie byli odwiedzani przez szantażystów. Matki i żony otrzymywały kwiaty z pozdrowieniami od przyjaciół rodziny, a dzieci częstowano cukierkami. Tym samym pętla zaciskała się coraz bardziej. W obliczu tego oraz nagłaśnianej przez prasę i telewizję bezkarności bandytów prawie każdy ulegał. Jeśli zaś nie, groźby realizowano. Pod samochodami podkładano

bomby, czasem ostrzeliwano domy lub wrzucano na posesje granaty. Mężczyzn niejednokrotnie torturowano i okaleczano, kobiety gwałcono. Celem zwiększenia dyskomfortu psychicznego ofiary bywały wywożone do lasów lub magazynów na uboczach miast, gdzie godzinami pastwiono się nad niepokornymi. W połowie lat 90-tych ujawniono nawet nagranie instruktażowe z tego typu tortur. Wcześniej sądy uważały takie doniesienia za konfabulacje.

Niektóre, nieznające umiaru grupy przestępcze wykorzystywały kontrolę nad sterroryzowanymi osobami żądając wręcz przepisywania na swych oprawców całego majątku. Fikcyjne umowy obejmowały np. sprzedaż luksusowych samochodów, nieruchomości, udziałów w spółkach kapitałowych. Oczywiście pokwitowania odbioru gotówki nie miały odzwierciedlenia w rzeczywistości. Na tym jednak nie kończyła się pazerność. Pomimo utraty dorobku całego życia ofiary zmuszane były do przyjmowania na siebie ogromnych zobowiązań finansowych, podpisywania weksli i „przyznawania” się do długów. Pod presją dalszych działań „egzekucyjnych” wołały dokonywać oszustw bankowych lub kraść, byleby zaspokoić dręczycieli. Na kanwie jednej z takich historii powstał głośny film pt. „Dług”. Jak się okazało, wcale nie był to odosobniony przypadek, a jeden z tysięcy.

Na stałych płatników haraczu egzekutorzy wytypowali wszelkie restauracje, dyskoteki, puby, firmy budowlane, apteki, a nawet drobne osiedlowe sklepiki. W Pruszkowie przycmentarni sprzedawcy kwiatów odprowadzać musieli comiesięcznie równowartość stu dolarów amerykańskich. Przeciętnej wysokości haracz zamykał się w kwocie od 1000 zł do 5000 zł i do dnia dzisiejszego jest tej wartości egzekwowany. Wbrew twierdzeniom Policji, wcale nie wyeliminowano tego zjawiska, choć ujęcie sprawców przy obecnych środkach technicznych i przepisach prawnych jest już bardzo proste. Powód to ścisła współpraca przestępców z policjantami lub wręcz

przystępowanie do procedury byłych funkcjonariuszy. W Warszawie przez szereg lat jednym z aktywniejszych „ochroniarzy” pozostawał były policyjny antyterrorysta. Rzadziej spotykanym już powodem apatii organów ścigania jest pełna spolegliwość ofiar i brak z ich strony jakichkolwiek prób pociągnięcia winnych przed oblicze Temidy.

Ciekawą formą legalizacji haraczu stało się rejestrowanie na tę potrzebę koncesjonowanych agencji ochrony. Tak długo zdarzają się w danej okolicy akty wandalizmu i włamania, aż wytypowani przedsiębiorcy nie wykupią abonamentu na monitoring ich domów i budynków gospodarczych. Z reguły nie dochodzi wtedy do poważniejszych przestępstw, a jedynie do „kąsania” ofiar. Na tyle uciążliwego, że niwelowanie skutków wandalizmu przekracza wartość miesięcznego abonamentu, lecz niedostatecznego do określenia mianem terroru kryminalnego.

Dlaczego pomimo wręcz prymitywnych metod działania – braku maskowania twarzy, gróźb, pobić i niszczenia mienia przy wielu świadkach, tak nielicznych sprawców tych czynów pociągnięto do odpowiedzialności karnej? Głównym tego powodem pozostaje słabość czynnika ludzkiego w aparacie państwowym. Publikacje prasowe ujawniały wysoki poziom korupcji. Na krótko zszokowały opinię publiczną fotografie śledczych bawiących się na grillu w towarzystwie ściganych przestępców i prostytutek. Z całą pewnością dochodziło tutaj do protekcji, świadkowie nie mogli liczyć na żadną ochronę ani dyskrecję, latami śledztwa były przeciągane a wreszcie umarzane pod byle pretekstem. Wiele ofiar pod presją sprawców wycofywało skargi. Alibi nigdy nie stanowiło problemu – każdy egzekutor mógł zazwyczaj przedstawić wielu świadków, czyli kolegów z tej samej branży, iż w czasie popełniania przestępstw był zajęty czymś innym w odległej miejscowości. Pojedyncze osoby nie byłyby w stanie skutecznie zbudować tak dużej i wydajnie

działającej maszyny przestępczej, zapewniającej wzajemną nietykalność. Również nie pomagał skostniały system prawny. Niejednokrotnie spotykano się z umarzaniem postępowań karnych motywowanym tym, że głośne rozmowy o pożarach czy kradzieżach, a także wykonywanie przez nieznane osoby zdjęć krewnym zgłaszającego, nie wypełnia znamion przestępstw groźby karalnej lub wymuszenia. Podobnie z ogromną pobłażliwością policjanci traktowali jawne śledzenie ofiar, również nie upatrując w tym żadnego czynu karalnego. Istotnie, w oderwaniu od innych czynników towarzyszących, działań tych absolutnie nazywać przestępstwem nie można i tutaj należy w pełni podzielić przyjętą interpretację. Ale tylko, jeśli zupełnie pominiemy tło i wątki poboczne doniesień. Do czasu ujawnienia wspomnianego powyżej, słynnego nagrania video z tortur, sądy w ogóle nie dawały wiary pokrzywdzonym zgłaszającym równie brutalne potraktowanie. Niejednokrotnie z ust prokuratora lub sędziego usłyszeć można było: „*pan się amerykańskich filmów za dużo naoglądał*”.

Pomimo dużo skromniejszego zaplecza osobowego i kapitałowego, a co za tym idzie znacznie ograniczonej bezkarności, również małe grupy przestępcze podejmowały się zastraszania całych ulic, dzielnic, a niekiedy i średniej wielkości miast. Znaczna ich ilość powstała w czasie przedwczesnego ogłoszenia przez Policję rozbicia tzw. Mafii Pruszkowskiej. Wtedy to o wykrojenie swojego miejsca na mapie walczyło wiele dawniej podległych Warszawie gangów. Ze względu na obiektywną słabość, posłuch zdobywały dużo większą bezwzględnością i brutalnością. Uzyskanie przewagi nad praworządnymi obywatelami nie było trudne. W Polsce prawie nikt nie posiada pozwolenia na umożliwiającą skuteczną obronę broń palną. Każdy przestępca może natomiast wejść w posiadanie klasycznego, radzieckiego Makarowa kal. 9 mm za cenę 50 dolarów i flaszkę wódki. Taka ilość amerykańskiej waluty, według niemalże

oficjalnego cennika pograniczników na odcinku ukraińskim, umożliwia przewiezienie do Polski pistoletu. Ten zaś nabyć można za Bugiem już w drodze wymiany na butelkę wysokoprocentowego trunku. Amunicję wystarczającą do napełnienia trzech magazynków dostaniemy gratis. Jeśli zaś nabywca jest bardziej wybredny i od historycznego żelaza woli nowoczesny, także zachodni sprzęt, liczyć się musi z wydatkiem rzędu kilkuset dolarów. Gdy w czasie poszukiwań sprzedawcy pechowiec natrafi na milicjanta, aresztu uniknie wręczając łapówkę w przeliczeniu wartości 100 zł. Przy odrobinie szczęścia w nieszczęściu skorumpowany stróż prawa wskaże adres zaprzyjaźnionego handlarza bronią... Dla Czytelników odczuwających awersję do podróży na Wschód – dobra wiadomość. Jeśli znasz jakiegokolwiek recydywistę, który w zakładzie karnym nie był nazywany *cwelem*, najpewniej jednym telefonem załatwi on po koleżeńsku czeską CZ-etkę albo austriackiego Glocka. Będzie drożej, ale za to z dostawą do domu.

Górnictwo materiałów wybuchowych można kupić niemalże równie tanio. Brak znajomości wśród zainteresowanych sprzedają górników nie stoi na przeszkodzie w samodzielnym przygotowaniu, z powszechnie dostępnych składników, bardzo taniego i jednocześnie bardzo bezpiecznego górnictwa materiału strzałowego. ANFO, czyli Ammonium Nitrate Fuel Oil, to materiał wybuchowy otrzymywany w drodze nasączenia porowatego azotanu amonu (NH_4NO_3) paliwem płynnym, takim jak np. olej napędowy, benzyna lub nafta. Proporcje użytych środków to odpowiednio 94% do 6% wytwarzanej masy. Powstały materiał kruszący trudno detonuje, dzięki czemu może być bezpiecznie transportowany i plastycznie formowany do pożądanego kształtu. Aby uzyskać ANFO uwrażliwione do poziomu umożliwiającego odpalenie ładunku przy pomocy małej spłonki, należy go poddać w czasie produkcji dodatkowej obróbce. Granulat azotanu amonu zetrzeć trzeba na pył, a następnie przesiać

przez bardzo drobne sitko. Pył zwilża się wodą, celem uzyskania jego większej porowatości, a następnie przez kilka godzin suszy w piekarniku w temperaturze około 60 stopni, aż do uzyskania w pełni suchego produktu. Po tym mieszać należy najlepiej już zimny pył z rozpuszczalnikiem organicznym i zamknąć w szczelnym pojemniku na czas około 4 tygodni. Po zakończeniu okresu „przegryzania” składników wytworzony produkt można dodatkowo wzmocnić poprzez dosypanie pyłu aluminiowego, węglowego lub sproszkowanego magnezu. W przypadku wykorzystania jako paliwa oleju napędowego, wytworzony materiał wybuchowy detonuje z prędkością większą niż 3000 m/s. Azotan amonu, znany szerzej pod nazwą saletra amonowa, nabyć można w sklepach chemicznych i w internecie jako jeden z komponentów do produkcji nawozów, w cenie około 5 zł za kilogram. Koszt niezbędnych 60 gram paliwa to około 39 gr. 500 gram ANFO wystarcza do poważnego uszkodzenia samochodu osobowego, a podłożone w pobliżu pełnego baku zamieni pojazd w kulę ognia. Oznacza to, że bombę można w Polsce wytworzyć bez potrzeby dogłębnej znajomości chemii już w cenie 2,69 zł.

Mniej wymagającym, nieco mocniejszym i łatwiej detonującym materiałem kruszącym jest miedziankit, uzyskiwany w drodze prostego zmieszania chloranu potasu (KClO_3) i nafty, w stosunku 9 do 1 części wagowych. Koszt uzyskania 500 gram substancji to około 5-8 zł. Równie prosto wytwarza się z powszechnie dostępnych odczynników inne materiały wybuchowe: kruszące, inicjujące i miotające. Także spopularyzowane przez amerykańskie filmy sensacyjne plastikowe materiały wybuchowe wyprodukować można w domu, na bazie mieszanin chloranowych. Skład to 90% chloranu potasu (KClO_3) i po 5% parafiny oraz wazeliny. Do procesu produkcyjnego wykorzystywana jest także benzyna ekstrakcyjna. Parafinę i wazelinę podgrzewa się do uzyskania konsystencji

płynnej, a następnie miesza z benzyną ekstrakcyjną. Uzyskaną masę uzupełnia zmielony chloran potasu, a po odparowaniu benzyny plastik jest gotowy do formowania i użytku. Przy detonacji osiąga prędkość do 4000 m/s. Sprawcy dysponujący bardziej zaawansowaną wiedzą chemiczną bez trudu samodzielnie przygotowują dużo mocniejsze materiały kruszące. *Z jakiego więc powodu profesjonaliści korzystali niekiedy z tak prymitywnych?* Gdyż wytworzone z łatwo dostępnych w nierejestrowanym obrocie odczynników i możliwe do przygotowania przez zafascynowane pirotechniką dziecko nie pozostawiały żadnego tropu. Zakup wojskowego lub górniczego materiału wybuchowego mógł ujawnić przestępcę w przypadku aresztowania dostawcy. Osobiste wykonanie wskazywać zaś mogłoby na jego zawód: sapera lub chemika, a to zawęży grupę podejrzanych.

Na rynku komercyjnym bez trudu zakupić można lonty, zapalarki radiowe oraz urządzenia substytucyjne, umożliwiające zdalną, dyskretną inicjację eksplozji. Lonty wolno i szybko palne można nabyć za około 150 zł za 100 metrów. Profesjonalne urządzenia radiowe to wydatek od 200 zł, przy czym do tego samego celu przystosować można niemal każdy, zdalnie sterowany sprzęt elektroniczny. Wykrycie źródła bywa niemal niemożliwe.

Uzupełnienie niszczącego asortymentu stanowią zagęszczone mieszaniny zapalające, czyli napalmy. Najprostsze uzyskuje się poprzez połączenie w stosunku 1 do 1 benzyny i oleju silnikowego lub nafty. Liczne bardziej zaawansowane „przepisy” Czytelnik bez trudu odnajdzie w internecie. Do aktów terroru kryminalnego wykorzystywane bywają też paliwa lotnicze i raketowe, a rzadziej pirozele. Powstają one w wyniku zmieszania napalmu z utleniaczem, takim jak azotan potasu lub azotan baru oraz sproszkowanym magnezem i glinem. Temperatura osiągnięta przez pirożel jest o kilkaset stopni wyższa od temperatury występującej podczas spalania

napalmu. Zniszczenie lub uszkodzenie elementów stalowych, w ramach sabotażu lub aktu terroru, dokonane może zostać przy pomocy płonącego w temperaturze ponad 3000 stopni Celsjusza termitu, uzyskiwanego przez wymieszanie np. pyłu aluminiowego i tlenku żelaza (rdzy) w proporcjach wagowych odpowiednio 1 do 3.

Nie ma fizycznie możliwości wyeliminowania z legalnego obrotu wszelkich substancji, z których wytworzyć można materiały wybuchowe lub pirotechniczne. Są one bowiem powszechnie wykorzystywane przez przemysł i możliwe także do wyodrębnienia z wytworzonych produktów lub półproduktów. Nie zmienia to oczywiście faktu, iż produkcja materiałów wybuchowych jest przestępstwem, którym poważny złodziej nie brudzi sobie rąk.

Jak się okazuje, uzbrojenie niewielkiego gangu w broń palną i materiały wybuchowe oraz niszczące mieszaniny pirotechniczne możliwe jest zwykle w cenie poniżej tysiąca zł i to bez żadnych kontaktów z innymi zbrojnymi grupami lub skorumpowanymi pracownikami sektora zbrojeniowego. Tego typu wyposażenie, choć mało zaawansowane technicznie, umożliwi skuteczne zastraszenie uczciwych ludzi, a w razie potrzeby stoczenie bitwy z konkurencją lub patrolem Policji. Wygranej bitwy.

Rozdział XXII

Napady na banki i konwoje

Poza haraczami, zbrojne grupy często zdobywają kapitał w drodze napadów rabunkowych. Najtrudniejszym z możliwych celów pozostaje konwój wiozący miliony zł w gotówce lub porównywalnej wartości obligacje, obce waluty, kamienie szlachetne, albo kruszce. Transporty takie przeprowadza się przy pomocy opancerzonych wozów specjalnych, tzw. bankowozów. Przedział osobowy, zbiornik paliwa oraz oszklenie kabiny pojazdu zgodnie z przepisami muszą być odporne na przestrzelenie pociskami kalibru 7,62 mm z rdzeniem stalowym, wystrzeliwanymi z karabinka AK 47, czyli popularnego Kałasznikowa, natomiast koła powinny posiadać wkładki masywowe, umożliwiające po zniszczeniu opony dalszą jazdę do 15 km z prędkością 50 km/godz. Zabezpieczenie przed wybuchem stanowi odpowiednia konstrukcja zbiornika paliwa i systemu gaśniczego. Każdy bankowóz musi być również wyposażony w środki łączności i system alarmowy umożliwiający natychmiastowe wezwanie pomocy w przypadku zagrożenia. Szczegółowe wymagania określa właściwe rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych i administracji. Na wyposażeniu konwojentów zazwyczaj znajdują się pistolety maszynowe Glauberyt oraz strzelby gładkolufowe Mosberg. Z tych powodów starcie z ochroną transportu dużej ilości pieniędzy często kończyło się wymianą ognia, a niejednokrotnie ceną za cudzy majątek było kalectwo lub śmierć. Podczas napadu w Gdyni Chyloni nazbyt nerwowy gangster skosił konwojentów serią z broni maszynowej. Rozstrzelany ochroniarz

oddął życie za ledwie 10 000 zł, drugi stracił zdrowie. Jak sami sprawcy przyznali podczas przesłuchania, liczyli na łup rzędu kilkuset tysięcy zł. W kwietniu 2002 roku inni przestępcy, licząc na kwotę 450 000 zł, rozstrzelali dwóch konwojentów w Sosnowcu-Zagórzu. W pojeździe odnaleźli jednak tylko 60 000 zł. Przed wieloma laty w innym napadzie zamordowano aż trzech konwojentów. Niejednokrotnie też ochrona skutecznie odpierała ataki, oddając celne strzały w kierunku napastników. Za każdym razem krew okazywała się o wiele tańsza niż papier, natomiast wyroki pozostawały o wiele wyższe, niż w przypadku wielomilionowych oszustw. Niemal zawsze łup znacznie odbiegał od prognozowanych dochodów z przestępstwa i po podziale pomiędzy wszystkich uczestników napadu dawał jedynie od kilku do kilkudziesięciu tysięcy zł zysku na głowę. Taką kwotę zawodowy złodziej gardzi, zwłaszcza za cenę dożywocia.

Poza brakiem rachunku ekonomicznego oraz naruszeniem zasady unikania przemocy, powyższe przykłady dowodzą braku profesjonalnego rozpoznania celu i planowania, a także zaniechania niezbędnej infiltracji. Podstawowe informacje o wartości konwoju czerpać można już z jego składu osobowego. Zgodnie z rozporządzeniem ministra spraw wewnętrznych i administracji w sprawie szczegółowych zasad i wymagań, jakim powinna odpowiadać ochrona wartości pieniężnych przechowywanych i transportowanych przez przedsiębiorców i inne jednostki organizacyjne, konwój jest chroniony, co najmniej, przez jednego konwojenta – przy przewozie wartości pieniężnych do 5 jednostek obliczeniowych, dwóch konwojentów – przy przewozie wartości pieniężnych powyżej 5 do 15 jednostek obliczeniowych, trzech konwojentów – przy wartości powyżej 15 do 50 jednostek obliczeniowych, czterech konwojentów – przy wartości powyżej 50 jednostek obliczeniowych. Dodatkowo, przy transporcie wartości

pieniężnych powyżej 30 jednostek obliczeniowych samochodem specjalnym należy do transportu przydzielić pojazd ubezpieczający. Natomiast konwój wartości pieniężnych transportowanych drogą lotniczą wykonuje, co najmniej, dwóch pracowników ochrony, którzy mogą być nieuzbrojeni. Jednostka obliczeniowa oznacza wartości pieniężne wynoszące 120-krotność przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia za ubiegły kwartał, ogłaszanego przez Prezesa Głównego Urzędu Statystycznego w Monitorze Polskim. Zważywszy na powszechne oszczędności, niezmiennie rzadko liczba konwojentów jest wyższa od minimum określonego w przepisach, a funkcje kierowcy, inkasenta i konwojenta często sprawuje łącznie jeden pracownik. Na podstawie stanu osobowego konwoju można więc wstępnie typować wartość transportowanego mienia.

Z powodu obowiązkowego opancerzenia bankowozu optymalnym do ataku jest moment, w którym pojazd ten stoi zaparkowany ze zgaszonym silnikiem, a konwojenci znajdują się w połowie drogi pomiędzy nim a najbliższą osłoną (zwykle punktem odbioru lub zdania gotówki, np. obiektem handlowym). Ważna jest czysta linia strzału i brak możliwości szybkiej z niej ucieczki. Nie wolno też popełnić grzechu kradzieży pustej walizki. Przy rozwożeniu pieniędzy do kas najkorzystniejszy finansowo jest pierwszy przystanek, na którym pula wyjściowa nie została jeszcze uszczuplona, a przy inkasie ostatni punkt na trasie przed powrotem z całodniowym utargiem do banku. Są to jednak fragmenty drogi, na których ochrona pozostaje zawsze szczególnie wyczulona na zagrożenie. Dodatkowo, celem utrudnienia ewentualnej kradzieży, profesjonalnie przeprowadzany konwój nie ma stałego harmonogramu jazdy. Zmieniane są kolejności odwiedzanych punktów, a także godziny wyjazdu i powrotu do bazy. Uniemożliwia to sprawcom nieposiadającym dostępu do informacji wewnętrznych określenie, w którym punkcie atak przynieść może największe

korzyści. Możliwość wykorzystania alternatywnych dróg przejazdu skłania przestępców do montowania pułapek w tzw. wąskich gardłach, czyli miejscach, w których bankowóz na pewno musi się na trasie pojawić. Są to np. jedyne mosty i tunele, jedyna droga dojazdowa na danym odcinku itp. Jednak w tych punktach profesjonalni konwojenci również są zawsze wyczuleni i gotowi do walki. Uderzenie przed siedzibą banku rodzi dodatkowe zagrożenie interwencją ze strony ochrony centrali. Choć na sali kasowej banku nie znajdują się uzbrojeni ochroniarze, nie znaczy to, że na zapleczu nie ma grupy interwencyjnej lub rozładunku nie ubezpiecza wóz patrolowy. Dodatkowo obsługa placówki na pewno niezwłocznie zawiadomi o napadzie Policję. Niektóre oddziały, a wszystkie centrale, posiadają specjalne służby wewnątrz zabudowań, przeznaczone do bezpiecznego załadunku i rozładunku konwoju, co zupełnie wyklucza przeprowadzenie wtedy uderzenia z zewnątrz. Ponadto, bezpośrednie sąsiedztwo instytucji finansowych zazwyczaj pozostaje bardzo dobrze pokryte kamerami monitoringu, co ułatwia identyfikację sprawców rozboju i użycie do napadu pojazdu.

Rozczaruje się też ten, kto liczy na łatwe odebranie walizki z pieniędzmi. Apatia to znak rozpoznawczy tylko słabo opłacanych ochroniarzy z małych, tnących wydatki agencji, a takie obsługują jedynie operujące groszami sklepiki i kioski. Konwojenci bankowi oraz najmowani przez transportujące miliony duże spółki branżowe potrafią bardzo dobrze obsługiwać pistolety maszynowe i strzelby. Mało kto przypuszczałby, że w minionych latach za jednych z najlepszych uchodzili też ci zatrudniani przez Poczta Polską. Obok przeszkolenia strzeleckiego kluczową rolę odgrywa tu motywacja. Konwojenci są świadomi ryzyka, że napastnik zamiast strzału ostrzegawczego lufę wymierzy prosto w nich. Nierzadko więc podejmują walkę i zwyciężają, strzelając tak, by trwale okaleczyć lub zabić. Powody te czynią okradanie transportów z pieniędzmi

zupełnie nieopłacalnym, rodzącym zbyt duże zagrożenie odniesienia śmiertelnych ran postrzałowych lub ujęcia później przez Policję.

Podobnie próby zbitia fortuny w drodze napadu na duży bank pozostają z góry skazane na niepowodzenie. Współcześnie nie dokonuje się już skoków na wielkie centrale z rozpruwaniem głównego sejfu. Obecne jego rolę zupełnie zastąpiły pomieszczenia skarbcowe, tak dalece opancerzone i niekiedy ogromne, że byłoby to raczej niemożliwe bez ciężkiego sprzętu wykorzystywanego przy robotach budowlanych i wyburzeniowych. Podobnie, dyskretne włamania do banków, po ich godzinach pracy, nie są już możliwe. Każde pomieszczenie poddawane jest całodobowemu monitoringowi kolorowych kamer o wysokiej rozdzielczości nagrania, korytarze i sale pokrywają wiązki z czujek ruchu, najczęściej dualnych, zawierających w sobie kombinację np. detektorów pasywnej podczerwieni oraz mikrofalowych, a także detektorów akustycznych umożliwiających wykrycie określonych rodzajów dźwięków. Możliwe pozostaje np. wykrywanie wyłącznie odgłosu tłuczonej szyby z pominięciem innych hałasów płynących z zewnątrz obiektu. Detektor ignoruje szum uliczny, a wykrywa dźwięk tłuczonego szkła, który wytwarza dwa następujące po sobie sygnały: fali uderzeniowej i dźwięku zbitia tafli, dzięki czemu jest odróżniany od innych odgłosów miasta. Ściany, drzwi, okna i grunt bezpośrednio pod budynkiem podłączone są do wykrywających wibracje czujników sejsmicznych. W przypadku próby wykonania podkopu lub rozbicia ścian sąsiednich, niezwłocznie zaalarmowana zostanie ochrona i wskazany kierunek zagrożenia. Sprzęt ten jest obecnie na tyle tani, że każdy, nawet mały, oddział banku może sobie na taką inwestycję pozwolić. Wymienione zabezpieczenia często uzupełniane są innymi rozwiązaniami technicznymi, zależnymi od przyjętych w danej jednostce standardów bezpieczeństwa, skali zagrożenia włamaniem oraz uwarunkowań indywidualnych.

Nadmienić należy, iż do lamusa przechodzą głośne syreny sygnalizujące nieupoważnione wtargnięcie na obiekt, gdyż jedynie płoszyły one przestępcę. Standardem pozostaje dziś cichy alarm, umożliwiający Policji i ochronie ujęcie sprawców włamania na gorącym uczynku. Kolejny czynnik utrudniający przeniknięcie do skarbcza to system śluz sterowanych elektronicznie, dzięki czemu przejście do kolejnych pomieszczeń budynku oraz korytarzy wymaga przełamывania kolejnych zabezpieczeń elektronicznych i mechanicznych. To zaś zbyt spowalnia w przypadku nagłego wtargnięcia i działania pod presją czasu.

Rozbrojenie systemu alarmowego nie jest możliwe w sposób bardzo często uwieczniany na filmach sensacyjnych. Prezentowana tam metoda zdjęcia obudowy z centrali alarmowej, celem wyłączenia lub zresetowania urządzenia, nie uwzględnia już od wielu lat seryjnie montowanego przycisku antysabotażowego. W chwili zdjęcia obudowy lub jej części natychmiast aktywowany jest cichy alarm. Podobnie przecięcie kabla przynależącego do instalacji, zamiast wyeliminowania jednej czujki, bądź kamery, włącza alarm. Sam dostęp do serwerowni lub centrerek systemu jest możliwy dopiero wewnątrz budynku, co eliminuje zupełnie możliwość rozpoczęcia włamania od jego neutralizacji. Niezależne zasilanie alarmów czyni je niewrażliwymi na spadek napięcia w sieci energetycznej. Uzupełnieniem przyjętych rozwiązań technicznych jest dokonywana przez patrole interwencyjne cykliczna kontrola obiektu z zewnątrz.

Próba ominięcia podstawowych nawet zabezpieczeń elektronicznych wymaga dogłębnej wiedzy technicznej, co czyni tą metodę zarobkowania dostępną jedynie dla specjalistów tej wąskiej dziedziny. Świadomość, iż pieniądze z małych banków są zwykle transportowane po ich zamknięciu do bardzo dobrze strzeżonej przez uzbrojoną ochronę centrali regionalnej, czyni proceder włamań do

tego typu instytucji też już nieopłacalnym i zdecydowanie nazbyt ryzykownym.

Co innego napady w samo południe na małe oddziały dużych sieci bankowych i banki spółdzielcze. Placówki pozbawione ochroniarzy lub zatrudniające, z powodu oszczędności, co najwyżej emeryta wyposażonego w firmowy mundur i czapeczkę, pozostają bardzo łatwym celem zwłaszcza dla młodych, zuchwałych przestępców. Sprawcy takich czynów coraz częściej rezygnują z wykorzystania prawdziwej broni, a posługują się w jej miejsce atrapami. Moda ta wynika głównie z tego, że ochrona banków (sal kasowych) nie może posiadać broni palnej. Oddanie strzału w ciasnym pomieszczeniu, zazwyczaj wypełnionym klientami, narażałoby na wypłatę odszkodowań znacznie przekraczających łup rabusiów. Podobnie blokada drzwi wyjściowych narażałaby personel i klientów na stanie się żywymi tarczami dla uwięzionych w środku przestępców. W skrajnych przypadkach desperacji mogłoby dojść nawet do eksterminacji zakładników, albo przypadkowej ich śmierci w czasie starcia z policyjnymi antyterrorystami. Niepowetowaną stratę na gruncie marketingowym poniesiono by w każdej z przytoczonych możliwości. *Kto chciałby lokować pieniądze w banku, który ceni własny interes wyżej od zdrowia i życia klienta, a każda wizyta w celu dokonania przelewu naraża go na śmiertelne niebezpieczeństwo?* Zdecydowanie bardziej opłaca się spolegliwość i przekazanie napastnikowi pieniędzy, które i tak zwróci ubezpieczyciel. Utracone kwoty nie są zresztą duże – większość kas i sejfów zabezpieczają włączniki czasowe, brak zatem możliwości ich otwarcia na żądanie, a presja czasu wymusza zadowolenie się „drobnymi” z podręcznych kasetek kasjerskich. Spieszyć się trzeba, gdyż każdy kasjer posiada dyskretnie zamontowany przycisk antynapadowy, umieszczany także w zasięgu stóp pracownika, tak więc nakazanie podniesienia rąk do góry wcale nie zmniejsza ryzyka

interwencji Policji lub ochrony. Zazwyczaj włączany alarm jest cichy, informuje o zagrożeniu jedynie odpowiednie służby, a nie całą okolicę. W ogóle instalację głośnego alarmu uznać należy za przejaw głupoty projektanta. Nie trudno wyobrazić sobie sytuację, w której przestępca zirytowany brakiem posłuszeństwa personelu i niejako „zdradą”, w odpowiedzi na dźwięk syreny otwiera ogień do kasjerów. Stąd wpajana spolegliwość i nakaz współpracy z bandytą, a wszelki opór powinien być ograniczony, jeśli jest taka możliwość, do wypełniania pojemników na walutę możliwie najdrobniejszymi nominałami. Dlatego przestępcy prawie nigdy nie korzystają z broni palnej – kasjerzy i tak wydadzą pieniądze, nawet jeśli przed ich nosem pojawia się plastikowa zabawka. Jednocześnie przestępca zabezpiecza się tym na wypadek niepowodzenia. Zgodnie z art. 280 § 1 Kodeksu karnego sprawca rozboju podlega karze pozbawienia wolności od 2 do 12 lat. Z uwagi na wykorzystanie atrapy pistoletu zagrożenie dla ofiar i świadków jest znikome, stąd w przypadku okazania skruchy liczyć można na karę w dolnym jej przedziale. Natomiast osoba dokonująca rozboju z użyciem prawdziwej broni zawsze zagrożona jest z art. 280 § 2 kk karą nie mniejszą niż 3 lata pozbawienia wolności do maksymalnie lat 15, co jest już według definicji prawa karnego nie występkiem a zbrodnią, dodatkowo wspartą zarzutem nielegalnego posiadania tejże broni. Co gorsza, pod wpływem emocji można wbrew planom pociągnąć za spust... Wówczas raczej nie należy oczekiwać wyrozumiałości sądu.

Stopień ryzyka wykrycia sprawcy zależy od tego, czy odpowiednio zadbał on o zamaskowanie swego prawdziwego wizerunku. Normą staje się bluza z kapturem zakrywającym twarz oraz bardzo szybkie opuszczenie miejsca zdarzenia. Jeśli przestępca pozostaje świadomy wszechobecnego nadzoru kamer monitoringu (te duże zazwyczaj są atrapami mającymi zmylić rabusia, prawdziwe natomiast maskuje się i montuje na takiej wysokości, by rejestrowały

twarze osób noszących czapki z daszkiem), prawdopodobnie włączonego w pierwszej chwili cichego alarmu oraz wynikającej z tego potrzeby natychmiastowej ewakuacji i zmiany ubrania, jego ujęcie w obławie jest mało prawdopodobne. Z tego powodu od początku obecnego wieku dochodzi w Polsce rocznie do około stu napadów na banki, a w rekordowym 2010 roku dokonano ich aż 192 razy. Przeciętny zysk z obrabowania placówki bankowej zamyka się jednak w niskich kwotach od kilku do kilkudziesięciu tysięcy zł. Marny pieniądz, niegodny uwagi.

Rozdział XXIII

Włamania

W dobie wysokiej specjalizacji struktur przestępczych jedyny skuteczny sposób ochrony domu i rodziny to powierzenie kwestii bezpieczeństwa zawodowcom. Zwłaszcza, że ci często dysponują polisą OC i bywają zobowiązani do zapłaty odszkodowania za popełnione błędy. A tych pewnie będzie sporo.

Dawniej techniczne środki ochrony mienia stosowane były niemal wyłącznie w bankach, obiektach przemysłowych oraz strategicznych urzędach państwowych. Znaczny spadek ich cen rozszerzył jednak grono nabywców o właścicieli prywatnych mieszkań i domów jednorodzinnych. Naszpikowane elektroniką budynki gwarantują niekiedy analogiczny poziom bezpieczeństwa do tego, spotykanego w minionych latach w skarbcach. Rezydencje z podmiejskich, ekskluzywnych dzielnic często chroni też monitoring koncesjonowanych agencji ochrony. Koszt stałego abonamentu u przyzwoitego, międzynarodowego potentata tej branży zaczyna się już od 55 zł miesięcznie i zapewnia interwencję uzbrojonego patrolu najpóźniej w ciągu 10 minut od uruchomienia alarmu za dnia i w ciągu 5 minut nocą. Wyjście naprzeciw oczekiwaniom klientów to rezygnacja z niszczenia wnętrza kluciem tynków pod okablowanie. Systemy działają w 100% bezprzewodowo, a stacja monitoringu jest powiadamiana o zagrożeniu drogą radiową albo transmisją danych przez GSM. *Jest bezpiecznie?* Nie zawsze, a nigdy, gdy było tanio.

Jeśli stacja nie pozostaje w stałej łączności z nadajnikiem, nie będzie w stanie wykryć czasowego zagłuszenia emisji sygnału.

Uszkodzenie czujek lub naruszenie emitowanej przez nie wiązki aktywuje alarm, lecz jeśli zakłócona zostanie w ogóle możliwość transmisji danych na zewnątrz, system choć uzbrojony, to stanie się bezbronny. W przypadku drogich instalacji zagłuszenie takie jest tożsame z przecięciem kabla i oznacza zaalarmowanie stacji, ale tańsze rozwiązania, oparte o transmisję GSM, zwykle nie umożliwią wykrycia nieprawidłowości. *Co z wykrycia intruza przez czujkę, gdy nadajnik nie zdoła przesłać informacji o tym z braku dostępu do sieci?* By bezinwazyjnie sprawdzić, czy zagłuszenie aktywuje zabezpieczenia antysabotażowe wystarczy z pewnej odległości włączyć jammer i obserwować okolicę. Jeśli patrol interwencyjny nie nadjedzie, to znaczy, że użyto taniej technologii i stacja nie odnotowała tego zdarzenia. *Kupiono iluzję ochrony, agencja oszukała klienta.* A kieszonkowy jammer kupić można za kilkaset zł.

W mniej zamożnych miastach i wioskach wielu obywateli zawierać musi życzliwości i czujności sąsiedzkiej oraz skuteczności Policji. W tym celu instalowane są najtańsze nowinki techniczne, podłączone jedynie do głośnego alarmu dźwiękowego i optycznego. Jeśli pod nieobecność właścicieli ktoś wejdzie do pomieszczeń, głośna syrena zaalarmuje okolicę, a sygnały świetlne pozwolą szybko ustalić, w którym konkretnie domu znajdują się włamywacze. Pomijając kwestię znieczulicy społecznej, słabym punktem tego rozwiązania pozostaje możliwość fizycznego wyeliminowania źródeł alarmu. Sprawdza się wówczas tradycyjna metoda włamywaczy z lat 80-tych. Po namierzeniu głośnika jest on neutralizowany z pomocą pianki poliuretanowej. Zupełne wypełnienie, zalanie głośnika substancją termoizolacyjną, a zarazem dźwiękochłonną, eliminuje nawet bardzo głośną syrenę. Sygnalizację optyczną zlikwidować można poprzez zupełne pokrycie powierzchni blaskowej nieprzepuszczalną farbą. System alarmowy pozostaje sprawny, lecz pozbawiony swych zewnętrznych atrybutów sygnalizacyjnych nie

może wskazać obecności włamywacza. Ryzyko sprawcy zostaje tutaj zogniskowane na tym, czy za głośnym alarmem przesłany został cichy impuls do centrali monitoringu, czy też właściciel nieruchomości oszczędził na tej usłudze. Gdy brak oznakowania posesji, bardzo szczegółowe informacje pozyskać można wcześniej bezpośrednio od mieszkańców wybranego domu w drodze rozmowy z zastosowaniem manipulacji socjotechnicznej. Kontakt telefoniczny lub osobista wizyta umożliwiają przedstawienie nadzwyczajnej, choć w istocie nieistniejącej, oferty promocyjnej. Ochrona nieruchomości w cenie np. 1 zł netto miesięcznie przez pierwszy rok i brak obowiązku przedłużenia umowy o kolejny okres zainteresuje większość osób, zwłaszcza, jeśli dodatkowo zaoferuje się pokrycie kosztów odstąpienia od współpracy z dotychczasową agencją...

Kolejnym zagadnieniem pozostaje nieinwazyjne ustalenie, czy wytypowany lokal jest pusty, czy też wewnątrz przebywają domownicy. Czasem obecność mieszkańców widać i słyszeć już z daleka, jednak nie zawsze zgaszone wieczorem światła, czy cisza, oznaczają brak gospodarzy. Najprostszym sposobem, stosowanym przez włamywaczy już od dwóch stuleci, jest zwyczajne pukanie do drzwi. Zdecydowana większość osób otworzy, a wtedy wystarczy zapytać o przysłowiowego Kowalskiego, a następnie przeprosić za pomylenie adresu i niepotrzebne zawracanie głowy. Odchodząc warto zapytać, czy aby przypadkiem Kowalski nie mieszka po sąsiedzku. Odmianą tej prostej metody było dzwonienie na numer domowy, lecz ekspansja telefonów komórkowych i ograniczenie publikacji prywatnych abonentów w książkach telefonicznych znacznie ograniczyły wygodę i pewność zastosowania tego sposobu weryfikacji. Nie można również liczyć na zbytnią gościnność i gotowość do telefonicznych pogaduszek, gdy mieszkańcy to młoda para przypadkiem właśnie bardzo sobą zajęta lub jeśli w domu pozostawiono bez opieki małe dzieci, surowo wzbraniając im

otwierania drzwi.

Zawodnym i nazbyt czasochłonnym sposobem, dawniej często stosowanym, była obserwacja. Tak ustalano plan dnia domowników, ich liczbę, czas pracy i zwyczaje, narażając się jednak tym samym na dostrzeżenie przez chociażby czujnych sąsiadów, czy kamery monitoringu miejskiego. Postęp techniki umożliwia o wiele pewniejszy i nienarażający na kontakt z potencjalnymi świadkami dyskretny nasłuch pomieszczeń zamkniętych, osiągalny nawet przez grube, zewnętrzne mury, przez podłogę z poziomu piwnicy lub niższych kondygnacji, a także przez sufit. W ten sposób wykryć można nawet ciche głosy, włączony telewizor lub szum prysznica. Nastręczać problem może jedynie wykrycie niechrapiących, śpiących osób. Urządzenia sejsmiczne (stetoskopowe) umożliwiają podsłuch poprzez wszelkie ściany odgradzające: drewniane, betonowe, zbrojone, metalowe, ceglane, a także przez szyby. Dobrej jakości podsłuch w cenie niespełna 2000 zł wzmacnia odgłosy do 20 000 razy, co zapewnia transmisję czystego dźwięku nawet w przypadku murów grubych na 40 cm. Urządzenia kieszonkowe, umożliwiające szybki, dyskretny demontaż a dysponujące niewiele słabszymi parametrami, dostępne są w cenie około 600 zł.

Pytanie, co zrobić później, gdy alarm został zneutralizowany, w mieszkaniu nikogo nie ma, a dostępu do komputerów, sprzętu RTV, biżuterii i innych dóbr bronią zamknięte na klucz drzwi. Dawniej korzystano z wyrabianych na zamówienie wytrychów. Wymagały one znacznej wprawy użytkownika i okazywały się skuteczne tylko przy tradycyjnych rozwiązaniach technicznych. Amerykańskie i zachodnioeuropejskie służby policyjne do otwierania większości tradycyjnych zamków, bez wyrządzania im trwałych szkód, używają narzędzia znanego jako master-key, czyli klucz uniwersalny. Jego odpowiednikiem jest dostępnym na pobliskim dla Polaków rynku niemieckim tzw. „*Elektropick*”. Zakup nie wymaga okazania

żadnego zezwolenia, a samo użytkowanie nie wymaga zbytniej wprawy. Wprowadzana do przegrody zamkowej „igła” uderza z prędkością do 44000 drgań na minutę we wszystkie sztyfty wkładki bębnekowej. Wibracje umożliwiają odblokowanie i przekręcenie cylindra, czyli otwarcie zamka jak za pomocą prawidłowego klucza, także w przypadku zastosowania zaawansowanych technologicznie sztyftów w kształcie grzybka czy szpulki, a także innych niestandardowych konstrukcji. Koszt rozbudowanych zestawów ślusarskich „*Multipick-System*” i oprzyrządowania zawierającego klucz uniwersalny, zestawy igieł do różnych typów zamków i uchwytów, oscyluje w granicach 1000 euro. Ceny kieszonkowych urządzeń ze skromniejszym oprzyrządowaniem zaczynają się od 199 euro, a w zupełności wystarczają do otwarcia przeciętnego polskiego mieszkania. Każdy zainteresowany dokonać może zakupu w niemieckim mieście Bonn. W asortymencie tamtejszego sprzedawcy, dysponującego przystosowanym do polskojęzycznych klientów działem handlowym, dostępne są również urządzenia do: bezinwazyjnego otwierania uchylonych pionowo i poziomo okien (117 euro), podnoszenia z zawiasów zatrzaśniętych drzwi z pojedynczą lub podwójną przylgą (238 euro), otwierania od zewnątrz drzwi ewakuacyjnych (24 euro). Jako ciekawostkę podać należy, iż sklep ten gwarantuje klientom pełną dyskrecję i możliwość usunięcia danych osobowych nabywcy po sfinalizowaniu transakcji (zapłaty + prawidłowej dostawy). Uniknięcie kary za wykroczenie (art. 129 Kodeksu wykroczeń), jakim jest w Polsce posiadanie wytrychów lub innych narzędzi służących do dokonywania kradzieży, możliwe jest poprzez ujęcie w PKD własnej działalności gospodarczej usług ślusarskich.

Gdy drzwi zostaną sforsowane, jedyne co pozostaje włamywaczowi to możliwie szybkie przeszukanie mieszkania i niepozostawienie po sobie żadnych śladów. Wykorzystanie

rękawiczek to absolutna konieczność. Pamiętać jednak należy, że o ile np. skórzane, gumowe lub wykonane z dzianiny rękawiczki nie ujawnią odcisków linii papilarnych włamywacza, to pozostawiają wykrywane w drodze badań gantioskopijnych własne, indywidualne ślady umożliwiające ich grupową i jednostkową identyfikację. Również cechy charakterystyczne mogą zostać naniesione na nie w trakcie włamania np. poprzez zabrudzenie charakterystyczną substancją, co umożliwi późniejsze powiązanie rękawiczek ze skóry syntetycznej (nieposiadającej zwykle niepowtarzalnych wzorów) z konkretnym zdarzeniem. Po zakończeniu czynności należy więc je zniszczyć lub wyrzucić w miejscu uniemożliwiającym odnalezienie i powiązanie ze sprawcą. Często spotykanym błędem jest wyrzucenie tego typu obciążającego dowodu do pobliskiego śmietnika, do którego szybko trafi jednak pies policyjny dreptając śladami rabusia. W przypadku odnalezienia stać się one mogą źródłem śladów takich jak pozostawione wewnątrz lub na powłokach zewnętrznych odciski palców, próbki DNA (np. ze złuszczonego naskórka, potu, krwi, włosów), mikroślady oraz ślad zapachowy. Na pozostawianie tych śladów szczególnie uważać też należy w czasie penetracji pomieszczeń. Często spotykanym błędem włamywaczy pozostaje niefrasobliwe ignorowanie możliwości identyfikacji powierzchni innych niż opuszki palców. Równie niepowtarzalne są odciski czerwieni wargowej (pozostawianych wraz z próbkami śliny na szklankach, butelkach, niedopalkach papierosów) lub nieobutych stóp. Zdarzały się przypadki identyfikacji sprawcy na podstawie odcisków zębów i drobinek śliny odnalezionych na nadgryzionym pęcie kiełbasy. Natomiast odciski buta pozostawione np. na zabłoconej powierzchni ujawnić mogą płęć, wzrost i wagę sprawcy, stopień jego sprawności fizycznej. Nabyte w toku użytkowania cechy służyć mogą do identyfikacji jednostkowej konkretnego obuwia, a przez to i włamywacza. Warto zaznaczyć, iż w praktyce

wszystkie te ślady rzadko zostają wykryte przez Policję, a następnie prawidłowo zabezpieczone⁹.

Podkreślić jednak też trzeba, że w dzisiejszym świecie włamania absolutnie się nie opłacają. O ile w latach 80-tych lub na początku lat 90-tych jakkolwiek komputer oraz sprzęt RTV, nawet używany, przejawiały stosunkowo dużą wartość, o tyle dzisiaj stawki pozostają atrakcyjne jedynie dla miłośników tańszych trunków. Poza biżuterią i starymi dziełami sztuki, których jednak w typowym polskim domu włamywacz nie znajdzie, wszystko to, co można zrabować przyniesie znikomy zysk. Wartość używanego sprzętu elektronicznego, nawet wysokiej klasy, jest dziś dużo mniejsza niż w minionych dekadach, kiedy to każde dobro luksusowe było rzadkie i przez to niezmiernie pożądane nawet na rynku wtórnym. Obecnie maksymalna cena jaką można za nie realnie uzyskać to ¼ wartości sklepowej. Osiągnięty dochód podlega podziałowi między osoby dokonujące fizycznie włamania, osobę lub osoby stojące na czatach a współcześnie raczej prowadzące nasłuch częstotliwości policyjnego radia, pasera, a niekiedy także właściciela lokalu w którym składowane zostają skradzione dobra. Dodatkowo, od każdego zarobku swój podatek pobiera „*Miasto*”, czyli wiodąca na danym terenie grupa przestępcza zazwyczaj sama podlegająca zwierzchnictwu Warszawy i przekazująca stolicy część tą drogą zebranego dochodu. W końcowym rozrachunku, zysk z kradzieży panoramicznego telewizora, paru komputerów i sprzętu grającego oraz wartościowych drobiazgów, zamknąć się może w bardzo skromnej kwocie liczonej, w co najwyżej, tysiącach, a nierzadko

9 Obszerne informacje na temat technik i taktyk śledczych, związanych z ujawnianiem, zabezpieczaniem i wykorzystaniem śladów w późniejszym postępowaniu karnym, Czytelnik odnaleźć może w publikacjach fachowych. Szczególnie polecić należy lekturę opracowań Brunona Hołysta, zwłaszcza dzieła pt. „*Kryminalistyka*” – wydanie XII.

ledwie setkach zł. Nie jest to dochód umożliwiający życie w dobrobycie, zwłaszcza, że art. 279 § 1 Kodeksu karnego przewiduje za ten czyn karę aż 10 lat pozbawienia wolności. Dla porównania: omawiane wcześniej, przynoszące zwykle wielomilionowe zyski, uszczuplenie majątku na szkodę wierzyciela, zagrożone jest karą jedynie do 3 lat pozbawienia wolności. Z tego powodu statystyki policyjne odnotowują systematyczne wygasanie tej gałęzi przestępczego przemysłu.

W 1990 roku dokonano aż 431 056 włamań, lecz w latach kolejnych tendencję spadkową obrazowały następujące liczby:

- | | |
|---------------------|---------------------|
| • 1998 r. – 355 176 | • 2002 r. – 325 229 |
| • 2003 r. – 286 029 | • 2005 r. – 240 540 |
| • 2007 r. – 142 543 | • 2008 r. – 124 926 |

Przez wszystkie lata od transformacji ustrojowej 1989 roku wykrywalność sprawców tej kategorii przestępstw oscylowała w granicach 20-30%. Za wyjątkiem chwilowego i w perspektywie dwudziestolecia nieznacznego wzrostu liczby włamań w drugiej połowie lat 90-tych, wyraźnie widoczny jest zmierzch tej gałęzi współczesnej przestępczości. Kadry odpływają tam, gdzie zarobić można prawdziwe pieniądze.

Rozdział XXIV

Kradzieże pojazdów

Lata 90-te przyniosły lawinowy wzrost liczby użytkowanych w Polsce samochodów, zwłaszcza wśród osób mniej zamożnych, co skutkowało bezpośrednio gwałtownym wzmożeniem popytu na tanie części zamienne. Szeroki rynek zbytu na używane części umożliwiał dyskretne upływnianie kradzionych, a następnie rozkręcanych aut, co jest o wiele bezpieczniejsze od legalizacji (przebijania numerów i wyrabiania fałszywych dokumentów), a kolejno sprzedaży całych samochodów na rynku wtórnym. Co ważniejsze, obrót częściami jest bardziej opłacalny. Rozkręcony pojazd, którego elementy sprzedane zostaną w przeciętnej rynkowej cenie detalicznej, zapewnia łącznie o wiele większy dochód, niż możliwy do uzyskania za cały samochód. Choć większa liczba transakcji zwiększa potencjalną liczbę świadków (nabywców), to jednak zmniejsza znacznie ryzyko obciążających zeznań. Kupując samochód zapamiętujemy osobę sprzedawcy i dokumentujemy transakcję zgodnie z przepisami prawa. Gdy jej przedmiotem jest błotnik, lusterko lub koło, nie dbamy o takie szczegóły. Bardzo trudno jest też połączyć pozbawiony trwałego oznakowania np. mikrocząsteczkami (DNA), niecharakterystyczny element ze zrabowanym w odległej miejscowości całym pojazdem. Dlatego ponad 90% skradzionych pojazdów już w chwilę po zaborze przestaje, jako integralna konstrukcja, istnieć.

Paradoksalnie, drogie luksusowe limuzyny zamiast wielkich zysków sprawiają wielkie, ale problemy. Dysponują nowoczesnymi

zabezpieczeniami, są parkowane na strzeżonych terenach i co ważniejsze, naprawdę bywają poszukiwane. Ich kradzież to zwykle tylko kłopot, dlatego brane są na indywidualne zamówienie, po czym często trafiają za wschodnią granicę, gdzie nikt nie przejmuje się źródłem pochodzenia nabytku, ani kontrolami drogowymi. Około 2010 roku wykorzystano jednak powszechny stereotyp o kierunkach ukraińskim i rosyjskim, by wbrew przewidywaniom skradzione Polakom limuzyny sprzedawać jawnie nad Loarą. Nikt we Francji nawet nie podejrzewał, że dokumenty mogły zostać sfalszowane. Nikt też tam złodziei nie szukał.

W Polsce odnalezienie Jaguara, czy Porsche, których zarejestrowano ledwie kilka, było nazbyt proste, zaś autoryzowane serwisy nie wyrażały zainteresowania pokątnym zakupem kradzionych części. Co innego Fiaty, Polonezy, Ople, Fordy, Volkswageny, Nissany, Peugeoty i Audi, których po tutejszych drogach jeżdżą setki tysięcy. W tłumie łatwo można się zgubić, ale i znaleźć licznych amatorów oszczędności. Masowe upłynnianie rozdrobnionych pojazdów popularnych marek powierza się licznym i chętnym drobnym warsztatom, a także sprzedawcom z giełd samochodowych. W praktyce wpadka możliwa jest niemal wyłącznie na etapie fizycznego zaboru pojazdu lub podczas nalotu na „dziupłę”, w której są one na skalę przemysłową rozkręcane. Późniejsze ogniwa, odpowiadające tylko za wprowadzenie towaru do sprzedaży, wpadały głównie w drodze zeznań skruszonych przestępców lub infiltracji połączonej z długotrwałą obserwacją zorganizowanych grup samochodowych. W przeciwnym wypadku, nawet jeśli Policja dotarła do właściciela posesji, na której zlokalizowano dziupłę, to dysponował on zwykle fikcyjną umową jej wynajęcia, a najemcą okazywał się słup lub nieustalona osoba rzekomo posługująca się sfalszowanym dokumentem. W praktyce umowa mogła zawierać dowolne, zmyślne dane, które wynajmujący miał spisać z

„okazanego” dowodu osobistego. Jak udowodnić, że właściciel posesji nie został oszukany, skoro na okazanej umowie znajduje się faktycznie nakreślony inną ręką podpis, a wizytę owego „biznesmena” potwierdzają świadkowie? Sprzedawcy zaś zazwyczaj dysponowali fikcyjną dokumentacją pozorującą legalne pochodzenie części. W przypadku ograniczonej skali działania i małej liczby osób wtajemniczonych w proceder ryzyko dekonspiracji było znikome, co przekładało się na wykrywalność tego typu czynów. Do roku 2003 wynosiła ona jedynie 8,8%, przy czym odnotowywano wówczas rocznie około 60-80 tysięcy tego typu kradzieży. W samej Warszawie każdej doby zgłaszano do 80 utraconych pojazdów. W kolejnych latach przestępstwa tej kategorii ustępować zaczęły miejsca innym nieuczciwościom, co przełożyło się na spadek ich liczby w roku 2010 do jedynie 16 000 przypadków i zwiększenie wykrywalności do poziomu 22,4%. Było to skutkiem odpływu z branży najwartościowszych kadr – część w wyniku wzmożonej działalności wyspecjalizowanych wydziałów Policji trafiło za kraty, wielu wyjechało za granicę lub korzystając ze zgromadzonych majątków przebranżowiło się na sektor wymagający znajomości zagadnień ekonomicznych i prawnych.

Od zawsze najwięcej kradzieży odnotowywano w dużych aglomeracjach, takich jak warszawska, górnośląska, trójmiejska, poznańska i łódzka. Zainteresowaniem cieszyły się szczególnie samochody osobowe, gdyż prywatni właściciele identycznych modeli zamiast faktur VAT, umożliwiających tylko przedsiębiorcom odliczenie poniesionych kosztów, wolą uszczuplić kwotę brutto i wrócić do domu z cięższym portfelem. Poza oszczędnościami podatkowymi cenę ograniczyć można z uwagi na brak ponoszenia kosztów produkcji i surowców, a więc nie powinna dziwić sprzedaż poniżej kosztów nie tyle hurtowych, a wręcz fabrycznych. Zapotrzebowanie na tanie części zamienne potęguje polityka firm

ubezpieczeniowych, co opisane będzie w późniejszych rozdziałach. Niefakturowana dystrybucja ogranicza z kolei ryzyko identyfikacji dostawcy kradzionego towaru. W przypadku zaś pozorowania pełnej legalności transakcji możliwa jest sprzedaż w normalnej stawce detalicznej, przy zastosowaniu opisanych wcześniej metod wielokrotnego zapełniania magazynów na podstawie podkładki w postaci jednej, dyżurnej faktury VAT lub rachunku wskazującego legalne źródło nabytku. Sprzedaż na rzecz klientów detalicznych, nieprowadzących działalności gospodarczej, a więc nierodzących ryzyka kontroli krzyżowej, może być pomijana w księgowości. Dodatkowym zyskiem ponad brakiem nakładów na zakup towaru jest wtedy przywłaszczony podatek VAT.

Najbardziej ryzykowną metodą kradzieży pojazdu pozostaje bezpośrednie odebranie prawowitemu użytkownikowi. Niezwłocznie po zdarzeniu zawiadomi on Policję, co pociągnie za sobą poinformowanie okolicznych patroli o poszukiwanym modelu określonej marki i koloru. W przypadku kierowców płci męskiej wysokie jest również ryzyko stawiania czynnego oporu, co wymusi użycie przemocy lub niebezpiecznego narzędzia z bronią palną włącznie, a to drastycznie zaostrza odpowiedzialność karną. Pomimo tego nadal stosowane są klasyczne metody kradzieży, takie jak np. *na stuczkę*. Sprawcy prowokują drobną kolizję drogową, a gdy ofiara wysiadzie z pojazdu, celem oszacowania szkód, jeden z nich szybko zajmuje jej miejsce i korzystając z pozostawionych w stacyjce kluczyków odjeżdża z miejsca zdarzenia. Odmianą tej sztuczki jest metoda *na butelkę*. W wytypowanym pojeździe montuje się, pomiędzy przednim kołem a nadkołem, plastikowy pojemnik po napoju. Kierowca po rozpoczęciu jazdy słyszy niepokojące trzaski, zatrzymuje więc samochód i wysiada, by zlokalizować ich źródło. W opisanych przypadkach rzadko kto myśli o włączeniu zabezpieczeń i zabranii kluczyków, lecz nawet wtedy odebranie ich sterroryzowanej

oferze nie jest trudne. Jako teatr działań zwykle wykorzystywane bywają tereny poza centrami miast, z dala od kamer monitoringu.

Wybrane pojazdy sprowadzić też można w dogodne miejsce w ramach jazdy próbnej. Wielu przestępców poszukujących konkretnego modelu wyszukuje w prasie ogłoszenia o sprzedaży, a następnie, podczas spotkania, terroryzuje właścicieli. Metoda ta charakteryzuje jednak mało doświadczonych, nazbyt pewnych siebie i zwykle brutalnych sprawców, których późniejsza identyfikacja przez ofiarę jest zawsze pewna, z uwagi na stosunkowo długi kontakt wzrokowy.

Profesjonalni i finezyjni złodzieje faworyzują włamania do zaparkowanych aut. Na miejsce dyskretnej kradzieży wybierają nieobjęte monitoringiem kamer miejskich lub prywatnych podmiotów (banków, sklepów) odludne ulice oraz niestrzeżone parkingi, zwykle położone pod kątem utrudniającym obserwację z okien pobliskich zabudowań. Część sprawców zabezpiecza się przed konfrontacją z patrolem poprzez nasłuch policyjnych częstotliwości, a dodatkowo zakrzywia swe wizerunki przy pomocy peruk i zarostu. Podobnie jak w przypadku włamań do mieszkań, stosowane są rękawiczki skrywające linie papilarne. Ubrania noszone w „pracy” nie są wykorzystywane poza nią, a niekiedy w chwilę po zaborze pojazdu tablice rejestracyjne zostają zastąpione przez fałszywe blachy. Najlepszy czas pracy to godziny wieczorne i nocne, gdy ryzyko szybkiego stwierdzenia rabunku jest znikome. Większość osób posiadających średniej klasy pojazdy w tygodniu pracuje, więc prawdopodobieństwo nocnej, wtorkowej przejażdżki jest małe. Zapas czasu umożliwia spokojne odtransportowanie samochodu do dziupli, gdzie ten zostanie niezwłocznie rozkręcony, części zaś wyczyszczone i przekazane do kolejnych ogniw odpowiadających za sprzedaż detaliczną lub montaż w aktualnie serwisowanych autach. Później odzyskanie upłynnionych elementów będzie w praktyce już

niemożliwe, a dopiero wtedy Policja odnotuje informację o kradzieży.

Do podstawowych zabezpieczeń samochodów należą dziś wszelkiego typu autoalarmy. *Kto jednak reaguje na ich sygnały?* Wszyscy przywykli już do przypadkowego włączania się syren, więc krótkotrwały dźwięk zaniepokoić może jedynie właściciela i to tylko wtedy, gdy odróżni go od tych emitowanych przez cudze auta. Wszelką podejrzliwość szybko gasi cisza: *skoro już nie wyje, to znaczy, że sąsiad u siebie wyłączył.* W praktyce unieszkodliwienie jest możliwe w sposób analogiczny do alarmów obiektowych: przez proste zniszczenie głośnika. W średniej klasy pojazdach jest on montowany seryjnie w stałych miejscach, np. w bagażniku lub obok silnika, aby więc poznać lokalizację w konkretnym modelu należy sprawdzić jeden egzemplarz. Zamiast zalewać pianą poliuretanową głośnik można go wyrwać lub zneutralizować młotkiem. Starsze samochody wyposażone są zazwyczaj w alarmy nieposiadające niezależnego źródła zasilania, co czyni je wrażliwymi na spięcia lub banalne otwarcie maski i odłączenie akumulatora.

Blokadę kierownicy w kształcie laski zdjąć można poprzez ugięcie kierownicy, lub przecięcie jej wieńca nożycami albo przepiłowanie piłką do metalu. Podobnie ominąć można blokadę obrotową. Rodzaje wykorzystanych zamków, czy kształty obręczy nie mają znaczenia, gdyż celem ataku jest wieniec kierownicy, którego uszkodzenie zajmuje około 10 sekund. Blokada skrzyni biegów stwarza stosunkowo najwięcej kłopotów, lecz w zależności od konstrukcji pojazdu i samej blokady niekiedy możliwe jest wrzucenie biegu po odgięciu lub przycięciu drążka, ale też i pokonaniu samego zamka. W autach z przednim napędem artyści potrafią wrzucić bieg bezpośrednio pod maską. Opcja ostateczna to dociśnięcie sprzęgła i holowanie na lawecie.

Najmniejszą trudność sprawia otwarcie drzwi. Centralny zamek

w żaden sposób nie zabezpiecza pojazdu. Urządzenie zwane łamakiem wbite zamiast klucza i dynamicznie przekręcone niszczy zamek. Jeśli nie przyniesie to pożądanego efektu, przy pomocy wyciągarki wyrывa się bębenek/wkładkę zamka z drzwi samochodowych. Nie trzeba nawet tłuc szyby, by dostać się do środka pojazdu. Jedną z bardziej popularnych metod jest urządzenie o nazwie HPC Lasso Tool, dostępne w cenie kilkunastu euro w sklepach z oprzyrządowaniem do awaryjnego otwierania aut. Można je też łatwo wykonać samodzielnie. Składa się z pompowanej za pomocą gruszki poduszki powietrznej, którą wsuwa się w szczelinę pomiędzy drzwiami a karoserią. Kiedy drzwi (które na zamku oraz uszczelce zawsze trochę amortyzują) odsuną się choćby o pół centymetra od karoserii auta, w szczelinę wkłada się do środka elastyczną plastikową listwę z przymocowanym kawałkiem sznurka. Naprowadza się ją na wystające zamknięcie drzwi (przyczek do blokowania drzwi, często spotykany w kilkuletnich autach). Zaczepioną w ten sposób linką drzwi otwarte zostają w kilka sekund bezinwazyjnie, bez śladów włamania.

Stacyjkę pojazdu pokonać można również za pomocą wspomnianego wcześniej łamaka. Ukryty włącznik dopływu paliwa stanowi często barierę nie do pokonania, ale tylko dla amatorów. Profesjonalista jest w stanie zlokalizować go niemal odruchowo. Wiadomo, iż przycisk znajdować się musi w zasięgu dłoni z fotela kierowcy, a miejsce pozornie „niepowtarzalnie ukryte” dla właściciela jest zazwyczaj rutynowo typowane przez osobę, która w ciągu lat spotkała się już z setkami podobnych „skrytek” na znacznie ograniczonej przecież przestrzeni. Częstym przypadkiem jest również odcięcie zapłonu połączone z alarmem samochodowym. W momencie zablokowania samochodu alarmem zapłon jest automatycznie odcinany, gdy rozbrajamy alarm zapłon ulega ponownej aktywacji. W większości aut stosowane są jednak

popularne systemy zabezpieczeń alarmowych (najczęściej chińskiej produkcji), a stacyjka alarmowa w większości przypadków umieszczona jest pod pokrywą bezpieczników wewnątrz kabiny samochodu. Rozbrojenie takiej stacyjki zajmuje kilka sekund i jest realizowane poprzez odpowiednie połączenie styków.

Podobnie, jak w przypadku włamań do mieszkań, tak i sprzęt wykorzystywany do otwierania pojazdów zakupić można w niemieckim Bonn. Narzędzie Zieh-Fix (177 euro) umożliwia usunięcie mechanizmów zamków samochodowych, drzwiowych i zapłonów, bez uszkodzania samego pojazdu. Następnie otwarcie i odpalenie jest możliwe przy pomocy zwykłego śrubokręta. Bez trudu odnaleźć można na rynku tzw. symulatory kluczy samochodowych, umożliwiające bezinwazyjne otwarcie większości pojazdów – od popularnych Fordów i Volkswagenów małej i średniej klasy, po auta klasy premium. Ich cena zaczyna się już od 40 euro za zestaw.

Najmniej wysiłku wymaga pokonanie zabezpieczeń najnowocześniejszych, czyli elektronicznych. Jak każdy postęp, tak i ten otwiera jedynie drogę do mniej inwazyjnej kradzieży. Do rozbrojenia systemu wykorzystać można osprzęt serwisowy. Jeśli sprawca działa na skalę przemysłową i specjalizuje się w określonych marka pojazdów, często inwestuje w urządzenia wykorzystywane przez autoryzowane punkty napraw i diagnostyki. Nie trudno wyobrazić sobie awarię immobilisera, trudno jednak założyć, że wiązałaby się ona z odholowaniem całego samochodu na złom. Nowoczesne wyposażenie warsztatów umożliwia zwyczajne wyłączenie tego urządzenia. Niewiele większy od pendrive'a „*Drive box*” podłączyć należy do złącza diagnostycznego (wejście OBD2), a po kilkadziesiąt sekundach immobiliser zostanie automatycznie dezaktywowany. Urządzenie nie wymaga nawet laptopa, działa w pełni samodzielnie. Wskazany model skutecznie obezwładnia zabezpieczenia w większości wyprodukowanych po 1999 roku

pojazdów marek takich Audi, Skoda, Porsche, Volkswagen, czy Seat. Koszt wyprodukowanego w Niemczech „*Drive Boxa*” to około 1400 euro, lecz m.in. hiszpańskie podróbki dostępne są na aukcjach internetowych już za 70 euro. Innym pomocnym urządzeniem jest programator kluczy. Uniwersalne urządzenie SBB IMMO KEY PROGRAMMER, umożliwiające obsługę wszystkich istotnych marek pojazdów, nabyć można za cenę poniżej tysiąca zł. Zapewnia ono komfort programowania zdalnego sterowania i nowych kluczy bez posiadania oryginałów, odczytywania zapamiętanych danych o kluczach oraz dezaktywację tych, którymi sprawca nie dysponuje. Aby zakodować nowy klucz wystarczy umieścić go w stacyjce, sam proces trwa kilka sekund.

System bezkluczykowego otwierania samochodu oraz uruchamiania silnika przetrwał szlaki do innowacyjnych zastosowań przekaźników radiowych. Dla wygody kierowców powoli eliminuje się z użycia „*archaiczne*” klucze, zastępując je szyfrowaną kartą RFID – teoretycznie niemożliwą do skopiowania. Jeśli w zasięgu zamontowanego w pojeździe odbiornika znajdzie się nadajnik, a w domyśle jest on posiadany przez prawowitego właściciela, centralny zamek zostaje automatycznie otwarty, zaś silnik uruchomiony. Pomijając możliwość kradzieży nadajnika, z łatwością dokonać można transmisji emitowanego sygnału w pobliże pojazdu. Wtedy wystarczy już tylko bez wzbudzania jakichkolwiek podejrzeń nacisnąć klamkę, wsiąść i odjechać. Potrzebny do tego jest wspólnik oraz dwie anteny w cenie łącznej około 70 euro. Jeden ze sprawców znaleźć musi się w pobliżu właściciela pojazdu, co nie jest trudne, jeśli np. wejdzie za nim do supermarketu i będzie spacerował wzdłuż tych samych sklepowych półek. Nadajnik przechwytuje emitowany stale sygnał, wzmacnia go i przesyła do odbiornika, w który wyposażona jest druga osoba. Z uwagi na dwustronną transmisję sygnału na nic zda się zabezpieczenie w postaci generowanych

kodów jednorazowych, czy wymóg zwrotnej komunikacji z nadajnikiem. Im więcej wygody i techniki, tym więcej bocznych furtek, którymi uzyskać można dostęp do pojazdu. Specjaliści od zabezpieczeń elektronicznych twierdzą, iż kradzież przeładowanego elektroniką pojazdu za pośrednictwem sieci komputerowej to już tylko kwestia czasu.

Wielu sprzedawców systemów alarmowych oferuje naiwnym klientom, rzekomo niepokonane, lokalizatory pojazdów oparte o technologię GPS. Gwarantować mają one wskazanie aktualnego i historycznego położenia skradzionego samochodu, a także innych informacji, takich jak np. jego szybkość. Oczywiście jak każde zabezpieczenie, tak i to można z łatwością obejść. Do zagłuszenia sygnału niezbędne jest kieszonkowe urządzenie rozmiarem i wyglądem nieodbiegającym od zwyczajnego telefonu komórkowego – jammer. Umożliwia ono dyskretne pokrycie polem zagłuszającym przestrzeni o promieniu od 5 do 10 metrów, co pozwoli zablokować sygnał nadajnika bez względu na to, w której części samochodu zostanie on ukryty. Wówczas spokojnie można odprowadzić pojazd w miejsce umożliwiające lokalizację pluskwy i jej zniszczenie. Inwestycja to około 200 zł. Należy dodać, że najczęściej fabryczne lokalizatory oparte o technologię GSM tracą również swoją przydatność, gdy auto znajduje się na przykład na parkingu podziemnym. Wtedy nic nie stanowi przeszkody, by w spokoju uruchomić jammer i wyjechać niezauważonym, albo też odłączyć system lokalizacji.

Ostatnio popularyzują się także stacjonarne zabezpieczenia radiowe, montowane w pomieszczeniach, w których przechowywane są samochody – zestaw taki składa się z nadajnika radiowego umieszczonego w garażu oraz odbiornika ukrytego w każdym z aut. System ten pozwala ustalić maksymalną odległość, na jaką pojazd może odjechać bez rozbrojenia odbiornika. Najczęściej odległość ta

jest względnie mała i wynosi 10-20 metrów. W ten oto sposób sprawca kradzieży może się nieprzyjemnie zdziwić, kiedy uruchomione bez przeszkód auto wyjedzie z garażu i stanie przy samej bramie wyjazdowej z posesji, bądź tuż za nią. Rozpoznanie stosowanych systemów bezpieczeństwa jest więc podstawą skutecznego działania. Na szczęście, zwykle liczyć można na ludzką naiwność. Sprzedawcy zabezpieczeń samochodowych oferują klientom niemal tylko złudzenia. Drogie, ładnie nazwane, oparte na najnowocześniejszej, zwykle wojskowej, technologii. Japońskiej albo amerykańskiej, ewentualnie niemieckiej. I proste do bezinwazyjnego ominięcia.

Rozdział XXV

Oszustwa ubezpieczeniowe

Pogranicze przestępstw „papierowych” i klasycznych, kryminalnych, to wyłudzenia pieniędzy od instytucji finansowych. Praktykowane zarówno przez kreatywnych przedsiębiorców, na co dzień uczciwych obywateli, jak i recydywistów wyspecjalizowanych w wyrafinowanych kradzieżach lub okrutnych zbrodniach.

Podstawową metodą jest pozorowanie szkód materialnych, czego efektem staje się wyłudzenie nienależnego odszkodowania. Zazwyczaj przedmiotem zaplanowanego do szybkiej konsumpcji ubezpieczenia jest łatwo dostępne identyczne mienie, a niezmiennie rzadko niemożliwe do odtworzenia życie lub zdrowie. Co prawda łatwo można zainscenizować wypadek łamiący własne kości, jednak w większości przypadków poświęcenie takie, a zwłaszcza czas i koszty leczenia oraz rehabilitacji, nie będzie opłacalną inwestycją. Zbyt mało pieniędzy, zbyt dużo cierpienia i ryzyko trwałego kalectwa. Zdarzają się ludzie ubezpieczający na wysokie kwoty niezbyt cenionych małżonków lub krewnych a później pozorujący śmiertelne wypadki, albo zgony naturalne, jednak ani łamanie piątego przykazania, ani dożywotnie podziwianie nieba z za krat nie interesują Czytelników niniejszego podręcznika. Profesjonalista zawsze brzydzi się przemocą. Warto jedna zaznaczyć, że „papierowe zgony” bywają bardzo rentowne.

W dzisiejszych czasach polisy na życie o wartości 400 000 zł nie są niczym nadzwyczajnym. Możliwość wykupienia dowolnej ich ilości w różnych towarzystwach ubezpieczeniowych pozwala

zapewnić bezpieczny byt rodzinie przedwcześnie zmarłego, ale i jak zawsze otwiera drogę do wielomilionowych wyludzeń. Za wyjątkiem nadzwyczajnie wysokich kwot i osób w podeszłym wieku, nie jest wymagane poddawanie się badaniom medycznym. By podpisać umowę wystarczy odwiedzić agenta lub brokera i wybrać dowolną, najlepiej terminową polisę na przeciętną sumę. Następnie czynność tą powtórzyć można dowolną ilość razy u różnych ubezpieczycieli, aż do zgromadzenia pożądanej puli łącznej. Koszty inwestycji nie są wygórowane, budżet może się zamknąć w kwocie nawet kilkuset zł. Po dopełnieniu formalności należy czekać. Im dłużej, tym lepiej. Im później zrealizowana polisa, tym mniej podejrzeń. Warto również rozbić w czasie zawieranie kolejnych ubezpieczeń. Uposażonym nie musi być krewny, wypłata trafić więc może do kolegów, na konto krajowej lub zagranicznej spółki kapitałowej, bądź fundacji. Zwłaszcza korzystne są te ostatnie rozwiązania, w postaci zagranicznej fundacji rodzinnej lub podmiotu gospodarczego o poddanej anonimizacji własności udziałów, gdyż środki mogą za ich pośrednictwem trafić na rachunek bankowy faktycznie pozostający w pełnej i wyłącznej dyspozycji „zmarłego”, a zarazem, jako wprowadzone do krwioobiegu finansowego, nie wymagają żadnej dodatkowej legalizacji, by mogły dalej na niego zarabiać. Będąc tak przygotowanym można z czystym sumieniem... opuszczać padół łez.

Tworzenie fikcyjnego zgonu na potrzeby ubezpieczyciela to sfalszowanie tylko jednego dokumentu – karty zgonu. Pozyskać ją można w drodze fałszu materialnego, czyli fizycznego podrobienia. Druga opcja, odporna na prostą weryfikację, to fałsz intelektualny, czyli skorumpowanie lekarza, który potwierdzi nieprawdę na oryginalnym druku i z prawdziwą pieczętą. W obu przypadkach jako powód zgonu wpisywana jest neutralna przyczyna, nie wzbudzająca żadnych wątpliwości: zawał serca lub wylew, bacząc przy tym, by dane schorzenie nie było wyłączone treścią umowy

polis. Gdy śmierć jest wynikiem zdarzeń wymuszających czynności prokuratorskie, takich jak samobójstwo, zabójstwo, czy wypadek, ubezpieczyciel oczekiwać może na zakończenie śledztwa i wstrzyma wypłatę do czasu postanowienia o umorzeniu lub prawomocnego wyroku sądu. Wymagany bywa wtedy też protokół sekcji zwłok i raport policyjny. A z uwagi na prostą weryfikację, dokumentów tych tak łatwo podrobić się już nie da. I nie warto. Tak więc podstawa to przypadłość nie rodząca na danej szerokości geograficznej kontrowersji, z uwzględnieniem płci i wieku zmarłego. Jest to o tyle istotne, że dokonując oszustw ubezpieczeniowych niekoniecznie trzymać się trzeba terytorium Polski. Jest wiele państw, w których korupcja kwitnie, możliwości weryfikacyjne sfałszowanych dokumentów są niemal żadne, a przepisy na tyle liberalne, że każdy może tam tanio wykupić i szybko zrealizować polisę.

Wracajmy jednak nad Wisłę. Tutaj, by uzyskać wypłatę, przedłożyć należy w urzędzie stanu cywilnego wystawioną przez lekarza lub zakład służby zdrowia kartę zgonu, dowód osobisty zmarłego, książeczkę wojskową – jeżeli zmarł mężczyzna przed 50-tym rokiem życia, a w miarę możliwości jego akt urodzenia, akt małżeństwa oraz w przypadku cudzoziemca paszport. Na tej podstawie wydane zostaną osobie zgłaszającej: potwierdzona część karty zgonu (niezbędna do formalności pogrzebowych) i trzy skrócone odpisy aktu zgonu. Wpis w ewidencji PESEL zostanie zaktualizowany, nie ma już obywatela. W Polsce nie jest prowadzony żadnego typu rejestr pochówków, ani kremacji, więc brak potrzeby organizacji fikcyjnych ceremonii, czy mogiły. Ale, jeśli z jakiegoś powodu oczekiwana jest szczegółowa weryfikacja okoliczności śmierci, np. przez Policję, warto skorzystać z pomocy zaprzyjaźnionego pracownika krematorium, który pomoże udokumentować wydanie urny z prochami. Wówczas ekshumacja, zmierzająca do ujawnienia powodów śmierci oraz poszukiwanie

samego dowodu zgonu, nie będą już technicznie możliwe.

Do odbioru sumy ubezpieczenia zazwyczaj przedstawić należy wystawiony przez USC – a więc odporny na weryfikację – akt zgonu, oryginał polisy, zaświadczenie lekarskie stwierdzające przyczynę śmierci, formularz ubezpieczyciela oraz dwa dokumenty tożsamości uposażonego. W ciągu 30 dni świadczenie powinno trafić na konto bankowe uprawnionego.

Minusem tej formy zarabkowania jest „*śmierć cywilna*”. Zgon zostaje odnotowany w ewidencji PESEL, a więc osoba taka nie ma już możliwości normalnego funkcjonowania w społeczeństwie. Nie może na swoje nazwisko podjąć pracy, rozliczać podatków, zakładać przedsiębiorstw, czy zawrzeć związku małżeńskiego. *Ale czy każdy tego pragnie?* Są osoby wykluczone poza nawias społeczeństwa: bezdomni, alkoholicy, narkomani. Za tygodniowy zapas heroiny, skrzynkę wódki lub parę groszy podpiszą wszystko, umowę ubezpieczenia też. Później należy już tylko uczynić uposażonym „*śłupa*”, który poniesie ewentualną odpowiedzialność karną, gdy za rok lub dwa zdaktyloskopowane zwłoki n/n ujawnią nazwisko już wcześniej pożeganego człowieka. Figurant też zadowolony się zapłatą w produkcji destylacji. Inna kategoria „*zmarłych*” to osoby, dla których formalne zakończenie egzystencji jest wybawieniem od kłopotów – głównie zadłużeni na miliony bankruci i sprawcy przestępstw gospodarczych, którzy dopiero oczekują na wszczęcie przeciwko nim śledztw. Jeśli „*śmierć*” nastąpiłaby już po postawieniu zarzutów, albo w trakcie realizacji czynności dochodzeniowo-śledczych, podlegałaby ona wnikliwej kontroli, która jednak nie na wiele się zda, jeśli zamiast ciała zbadać można tylko urnę... Gdy prokurator ustali, że sprawca dawno już nie żyje, pozostanie mu sprawę umorzyć. A to, co wcześniej „*zarobiono*”, zasilone dodatkowo odszkodowaniami, zapewni dostatnią emeryturę gdzieś daleko, w tropikalnych plenerach. Nikt na Bali, w Panamie,

Kenii, czy choćby pobliskiej Grecji, nie będzie dogłębnie weryfikował polskiego paszportu. Nie sprawdzi, czy ten dokument wystawiony jest na już zmarłego obywatela. Zwłaszcza, gdy jego posiadacz na miejscu nie łamie prawa, a jest szanowanym, majątnym inwestorem prowadzącym na nominowanych udziałowców dobrze prosperujące przedsiębiorstwo. Zjednoczona Europa umożliwia nieskrępowane przekraczanie granic, a wyjazd z niej, np. przez granicę turecką lub rosyjską, to krótka formalność. Nikt nie dokonuje głębokiej weryfikacji okazywanych dokumentów. Inny sposób to wykorzystanie wypożyczonej lub skradzionej tożsamości, i na tej bazie legalne wyrobienie paszportu. Możliwe jest to zarówno poprzez skorumpowanie osoby uprawnionej do ich wytwarzania i wydawania, jak i w porozumieniu z właścicielem personaliów. Osoby z marginesu społecznego, pozostające w bardzo ciężkiej sytuacji finansowej lub przeciwko którym zgromadzono materiały kompromitujące, bądź obciążające, zgadzają się na użyczenie własnych nazwisk w zamian za odwzajemnienie przysługi. Niezbędne jest wówczas duże fizyczne podobieństwo, zwłaszcza twarzy, i zgodność cech takich jak płeć oraz wiek. Właściwemu organowi przedstawia się, wraz z odpowiednio wcześniej zmodyfikowanym poprzez obróbkę cyfrową zdjęciem, formularz wyrobienia nowego dokumentu. Tak uzyskany paszport, dowód osobisty, czy prawo jazdy nie może zostać zakwestionowane nawet w drodze drobiazgowej kontroli – zawiera bowiem prawdziwe dane odnotowane w rejestrze, rzeczywisty wizerunek, a wykonane zostało przez uprawniony organ na oryginalnych materiałach poligraficznych. Wtedy zmarły może nie tylko bezpiecznie wyjechać z kraju, ale i bez skrupowania odwiedzać Polskę, choć zamieszkiwanie w niej nie jest wówczas polecane. Nigdy nie wiadomo, kiedy właściciel początkowo czystych papierów narobi sobie kłopotów, a te spadną na głowę jego „bliźniaka”.

Zdecydowanie częściej oszukuje się na ubezpieczeniu mienia. Wówczas istotą przestępstwa jest pozorowanie odniesionych strat o charakterze materialnym. Niekiedy trudno jest sprzedać używany samochód w cenie umożliwiającej zakup nowego bolidu. Niekiedy w ogóle trudno jest znaleźć kupca za jakąkolwiek cenę. Autocasco umożliwia odmrożenie części tak ulokowanego kapitału. Osoba od dawna opłacająca ubezpieczenie od kradzieży może zwyczajnie „zaparkować” starego grata w rzece i zgłosić kradzież, a następnie wystąpić o wypłatę odszkodowania. Byłoby to jednak marnotrawstwem. Ten sam pojazd rozkręcony na części i sprzedany w nierejestrowanym obrocie – np. na giełdzie samochodowej – zapewni podwójny zarobek. Jeśli sprawca jest ostrożny, rzetelnie przeprowadzone jednorazowe oszustwo jest faktycznie nie do wykrycia. *Jakie błędy może popełnić?* Zgłosić kradzież z miejsca objętego monitoringiem miejskim lub prywatnym, który ujawni, że samochodem odjechał nie złodziej, a właściciel. Wskazać precyzyjny czas kradzieży, zakwestionowany później przez świadków będących w tym czasie w pobliżu parkingu. Publikować na własne nazwisko lub numer telefonu ogłoszenia o sprzedaży części samochodowych. Sprzedać części oznakowane, które później wykryje przypadkowa kontrola drogowa a nabywca rozpozna sprzedawcę, którym będzie właśnie zgłaszający kradzież. Z tych powodów zazwyczaj „utrata” pojazdu wiązana jest np. z kilkudniowym wyjazdem i zaparkowaniem auta w stosunkowo odludnym miejscu. Równie łatwo uzyskać można mniejszą kwotę poprzez pozorowanie kolizji drogowych. Zdarzały się przypadki „przekręcania” zniszczonych części do nieuszkodzonego pojazdu, dokumentowania „kolizji” (także z pomocą zaprzyjaźnionych policjantów z drogówki) a następnie występowania o wypłatę z OC „sprawcy” wypadku.

Wyłudzenie odszkodowań według opisanego modelu jest też możliwe do zastosowania na skalę przemysłową. Wymaga to tylko

dostępu do odpowiednio dużej liczby „słupów” – zazwyczaj z marginesu społecznego lub bezrobotnych, którzy za niewielką gratyfikacją dokonają „zakupu” i rejestracji na własne nazwisko określonego pojazdu (często już faktycznie przeznaczonego na złom lub części), a następnie fikcyjnie skradzionego. Inną metodę stosuje się w przypadku drogich limuzyn i ekskluzywnych samochodów sportowych. Z uwagi na ograniczoną ich ilość podlegają na drogach łatwemu rozpoznaniu, a co więcej naprawdę są szukane. Do tego właściele innych egzemplarzy są zwykle zamożni, nie szukają drobnych oszczędności, lecz korzystają z drogich, autoryzowanych serwisów, a te z kolei nie kupują części na bazarach tylko u producenta. Aby na nich zarobić należy je legalnie... sprzedać. Za granicą. Na podstawie oryginalnych papierów samochód przekracza granicę, a na miejscu, już na podstawie sfałszowanych dokumentów zmienia właściciela. Do niedawna głównym rynkiem zbytu pozostawały kraje dawnego ZSRR, a nawet dalekiej Azji, lecz odnotowano także eksport limuzyn do Francji. W kilka tygodni po zakończeniu operacji rodzimy właściciel „zauważał” puste miejsce parkingowe i zgłaszał kradzież. Wcześniej odzyskał oryginalne dokumenty oraz dwa komplety kluczyków, należna więc stawała się wypłata pełnej sumy ubezpieczenia. Swoistym fenomenem socjologicznym była prowadzona według tego samego scenariusza masowa współpraca zamożnych Niemców z polskimi grupami przestępczymi. Niemiec przekazywał kurierowi kluczyki do pojazdu, inkasując z tego tytułu gotówką ułamkową jego wartość. Później, zgodnie z opisanym schematem, zgłaszał kradzież, odbierał kwotę ubezpieczenia – większą od tej, jaką mógł uzyskać ze sprzedaży – po czym szczęśliwy, bez żadnych dodatkowych nakładów finansowych, kupował w autosalonie nowy pojazd. Wszyscy byli zadowoleni.

Pozorowanie wszelkich katastrof budowlanych jest błędem, gdyż rzeczoznawca bez trudu odróżni zawalenie stropu wywołane

słabością materiału od tego wspomozonego młotkiem. Czym innym jest jednak zaproszenie ognia. W praktyce kryminalistycznej do kategorii niezwykle trudnych do udowodnienia zalicza się właśnie przestępcze podpalenie bez użycia wykrywalnych środków chemicznych wzmacniających płomień. Budynki, składy materiałów łatwopalnych (od paliw, przez pyły, po siano i papier oraz tkaniny), czy konstrukcje drewniane, można w sposób niemal niemożliwy do procesowego udowodnienia poddać zniszczeniu ogniem przy pomocy papierosa, spięć instalacji elektrycznej, albo skupiającej promienie słońca soczewki/butelki. Odpowiednio opóźniona akcja gaśnicza umożliwi spopielenie ubezpieczonego mienia, a wszelkie ślady ingerencji ludzkiej zatrą na równi ogień z użytą do jego gaszenia wodą. Analiza laboratoryjna próbek pogorzeliska wykluczy zastosowanie do podsycenia płomieni mieszanin pirotechnicznych i paliw płynnych, a ewentualne odnalezienie źródła pierwszej iskry wskazywać będzie na wypadek spowodowany zmęczeniem instalacji albo nieostrożnością niezidentyfikowanej osoby. Gdy ubezpieczenie obejmuje przestępcze podpalenie, niepewny, naturalny płomień zintensyfikować można wszelkiego typu paliwami płynnymi i ich mieszaninami. Najczęściej popełnianym przez samo-podpalacza błędem jest umieszczenie substancji palnych w strefach budynku, do których dostęp dla osób postronnych jest znacznie ograniczony. *Co z tego, że wcześniej zgłoszono groźby karalne podpalenia, jeśli ekspertyza mechanoskopijna wykaże otwarcie wszelkich furtek, klódek i zamków prowadzących na miejsce zaproszenia ognia oryginalnymi kluczami, w błocie zabezpieczone zostaną odciski butów sprawcy a alarm rozbrojono kodem właściciela obiektu?* Profesjonalista pozorujący podpalenie zawsze dostanie się na miejsce pożaru drogą i w sposób z jakiego skorzystać musiałaby osoba obca. Również użyte środki chemiczne nie mogą podlegać rejestrowanemu obrotowi lub znacznie ograniczonemu zastosowaniu

znajdującemu się np. w zakresie działalności zawodowej beneficjenta ubezpieczenia, gdyż w ten sposób dotarcie do rzeczywistego podpalacza będzie dla doświadczonego prokuratora dziecinnie proste.

Pozorowanie podpałów znajduje zastosowanie zwłaszcza przy „likwidacji” nierentownych przedsięwzięć: hoteli położonych z dala od nowych tras przelotowych, archaicznych zakładów produkcyjnych, nieznajdujących najemców biurów i magazynów oraz oczyszczonych z wartościowego wyposażenia obiektów usługowych. Nikt już ich w rozsądnej cenie nie odkupi, a do dawnej świetności również nie powrócą. Utopione w chybionej inwestycji pieniądze mogą zostać odzyskane tylko z polisy.

Niekiedy pożar nie ma na celu zniszczenia budynku, a np. składowanych w nim towarów. W przypadku spieniężenia w szarej strefie całego stanu magazynu i spodziewanej kontroli, ogień może być wybawieniem od odpowiedzialności karnoskarbowej. Co więcej, przynieść może potrójny zysk: zachować w tajemnicy dotychczas osiągnięty a nieodnotowany w księgach przychód, odszkodowanie, a także zwrot podatku VAT – wszak zniszczenie w drodze wypadku nie jest dostawą towarów i usług i nie podlega obciążeniu tą daniną państwową. Pozorowanie zniszczeń wymaga wypełnienia palonej przestrzeni podobnymi, co do materiału i objętości, lecz tańszymi zamiennikami. Jeśli wcześniej wyprzedano np. drogie ubrania, warto w ich miejsce podrzucić szmaty kupione na kilogramy, a w przypadku spopielenia produktów plastikowych odpowiednie tworzywa sztuczne. Byłoby bowiem dziwne, gdyby wypełniony po brzegi magazyn po pożarze zostawił, zamiast stert popiołów, puste i jedynie okopcone dymem pomieszczenia. Do pokrewnej kategorii wyłudzeń zaliczyć trzeba pozorowanie włamań. W tym przypadku najczęstszymi błędami w inscenizacji jest niezgodny ze „*sztuką zawodową*” sposób sforsowania zabezpieczeń, np. czasochłonne

przepiłowanie kłódki przy głównym wejściu od ruchliwej ulicy, czyli na oczach potencjalnie licznych a faktycznie żadnych świadków i przy braku jakichkolwiek opiłków metalu. Nie trudno domyślić się wówczas, że ubezpieczony wcześniej sam uszkodził kłódkę, po czym podrzucił ją na miejsce rzekomego przestępstwa.

Nie zawsze wartość użytych do produkcji materiałów, czy zastosowanej technologii przekłada się na rynkową cenę przedmiotu. W przypadku biżuterii, nieruchomości, praw majątkowych i maszyn w miarę precyzyjna, obiektywna wycena nie stanowi kłopotu. Inaczej jest gdy ubezpieczenie objąć ma dzieło sztuki współczesnej, którego cena rynkowa niejednokrotnie budzi wśród ekspertów oraz rzeczoznawców kontrowersje, a także jest zależna od zmiennych notowań aukcyjnych. Kreatywni ludzie potrafią latami tworzyć fikcyjną wartość niszowego artysty, generując obrót jego dziełami. Minimalne źródłowe nakłady (koszt podobrazia, ramy, tuby farby i werniksu zamyka się w 50 zł) umożliwiają, po upływie określonego czasu i kilkukrotnym odsprzedaniu malunku w zamkniętym gronie zaufanych marszandów, stworzenie wartościowego przedmiotu usprawiedliwiającego wykupienie wysokiej polisy. Pożar lub kradzież, a następnie ostateczne unicestwienie dzieła, albo nawet całej kolekcji obrazów, pozwala nagrodzić wrażliwość na piękno sztuki grubym plikiem banknotów...

Rozdział XXVI

Sztosy w detalicznym obrocie nieruchomościami mieszkalnymi

Niedobór danego dobra na rynku zawsze czyni wrażliwymi na oszustwa tych, którzy go bardzo potrzebują. Tak, jak w latach PRL-u przy handlu zachodnimi walutami podmieniano funty i marki na pociętą „*Trybunę Ludu*”, tak obecnie coraz częściej uwaga drobnych złodziejasków skupia się na ofiarach cierpiących głód mieszkaniowy. Oczywiście w myśl zasady: im biedniejsza i słabsza ofiara, tym lepiej.

Jednostki pewne siebie, z dobrze opanowanym warsztatem socjotechnicznym chętnie dokonują oszustw twarzą w twarz. Zawsze życzliwe, bezproblemowe, z uśmiechem na ustach i „*frontem do klienta*”. To gwarantuje najszybszy dochód – w ciągu tygodnia zarobić można od 10 000 zł do 50 000 zł, przy znikomej inwestycji własnej. Czynów takich, ze względu na ryzyko przypadkowego spotkania pokrzywdzonych chociażby w centrum handlowym, dokonują na gościnnych występach w zakątkach kraju odległych od swego stałego lokum. Nie mniejszych jednak niż liczących 300 000 mieszkańców, gdyż w słabiej zaludnionych gminach, gdzie każdy każdego zna, dyskretne transakcje nie istnieją, chętnych do zmiany adresu jest bardzo mało, a ceny wołają o pomstę do nieba. Optymalnym czasem działania jest początek jesieni i wiosna, wtedy najwięcej osób zmienia lokum. Zastój na rynku odnotowuje się w okolicy świąt Bożego Narodzenia i w wakacje.

Pierwsze kroki to przygotowanie gruntu. Żadnych czynności nie

przeprowadza się na własne nazwisko i oryginalne dokumenty, gdyż odnalezienie i ukaranie sprawcy byłoby wtedy banalnie proste. Przed zdobyciem sfalszowanego dowodu osobistego lub paszportu warto zadbać o kosmetyczną zmianę wyglądu. Podstawa to przefarbowanie koloru włosów oraz zupełna zmiana fryzury lub zakup dobrej peruki. Osoby nienoszące okularów powinny zakupić nieszkodliwe dla wzroku „zerówki” w przyciągających uwagę charakterystycznych oprawkach. Jeśli zaś te są noszone na co dzień, warto je zamienić na soczewki kontaktowe, najlepiej zmieniające kolor oczu. Analogicznie – gdy brak zarostu, należy go zapuścić, a posiadaną brodę zgolić. Tak odmieniona osoba wykonuje fotografię do fałszywego dokumentu. Jednak, przed jej wykorzystaniem, należy dokonać odpowiedniej obróbki cyfrowej zdjęcia. Pewne szczegóły twarzy niedostrzegalne dla laika, umożliwiają identyfikację sprawcy a w konsekwencji skazanie. W trakcie obróbki należy więc usunąć lub w sposób istotny zmienić wszelkie charakterystyczne blizny, krosty lub znamiona. Drugim krokiem jest zmiana proporcji twarzy, jednak również w sposób niezauważalny gołym okiem dla osoby porównującej dokument ze stojącym obok właścicielem. Programy komputerowe użytkowane przez formacje policyjne Europy i Interpol umożliwiają porównanie wizerunku twarzy z innymi podobiznami z kartoteki kryminalnej, czy innych ewidencji państwowych, na podstawie analizy odległości rozmieszczenia i proporcjonalnych wielkości takich elementów jak nos, oczy, usta, uszy, brwi, czy uwypuklenie policzków. Co gorsza, obecnie nawet portale społecznościowe typu facebook usiłują w ten sposób identyfikować bohaterów publikowanych fotografii. Odpowiednie rozmieszczenie wymienionych elementów nie wpłynie więc na podobieństwo, a znacznie utrudni identyfikację sprawcy wskazanymi narzędziami. Po wymienionych zabiegach nie trzeba już utrudniać wykonania kserokopii dokumentu. Nie będzie on dowodem winy

osoby, a wręcz, z uwagi na wprowadzone różnice, świadczyć może na jej korzyść. Wszak zdjęcie przedstawia zupełnie innego człowieka, jedynie podobnego – co może potwierdzić ekspertyza.

Gdy oszust dysponuje już nowymi personaliami, warto zadbać o zakup charakterystycznego – lecz nie ekstrawaganckiego – ubioru. Łatwo zapadającego w pamięć z uwagi na rzucające się w oczy kolory, wzory lub dodatki, a zarazem zupełnie odmiennego od codziennego stylu sprawcy. Do zmiany wyglądu dopasować należy osobowość. Największe zaufanie wzbudzają ludzie odrobinę staromodni, w sposób widoczny bardzo wierzący, łagodni, uprzejmi i nieprzejawiający zbytnej inteligencji. Tą metodą w ciągu chwili elegancki, gładko ogolony blondyn z krawciarza przemieni się w wąsatego bruneta, noszącego kolorowy, choć nieagresywny i skromny dres oraz okulary. Osoba z gruntu poważna staje się wyluzowanym, trochę nieporadnym życiowo, acz poczciwym fajtlapą w zbyt dużych sztruksach i ze studenckim plecakiem na ramieniu. I taki właśnie będzie rysopis sprawcy. Ostatni krok to zakup telefonu oraz karty SIM, które w czasie działań będą jako jedyne wykorzystywane do komunikacji.

Tak przygotowany oszust może przejść do kolejnego etapu działania, czyli najmu mieszkania w odległym mieście. Najlepiej w najbardziej popularnym segmencie kawalerek lub lokali 2-3 pokojowych. Takie właśnie, niezbyt drogie a wystarczające rodzinie do normalnego życia, są najbardziej poszukiwane na rynku. Nie bez znaczenia pozostaje dobór dzielnic. Na tym etapie nie należy oszczędzać i wybrać dobrze zlokalizowane, ładnie umeblowane i odświeżone mieszkanie. W pełni akceptowalny jest wysoki czynsz i zawarcie długoterminowej umowy. Jedynie, jeśli jest to możliwe, unikać należy wnoszenia przedpłat za przyszłe miesiące najmu oraz kaucji, gdyż jej odbiór będzie niemożliwy. Nie należy przesadzać ze standardem, gdyż popyt na ekskluzywne apartamenty jest znikomy, a

znaczne zaniżenie jego ceny wzbudzałoby podejrzenia przyszłych najemców i obawę chociażby o obciążenie później znacznymi kosztami odświeżenia luksusowych powierzchni.

Typując lokal nie wolno pominąć równie rygorystycznej selekcji osoby wynajmującej. Dla swobody dalszego działania nie może ona mieszkać w sąsiedztwie, a najlepiej w odległej dzielnicy lub w zupełnie innym mieście. Nie powinna też interesować się zbytnio obrotem nieruchomościami. Stąd zwykle rezygnuje się z usług agencji pośrednictwa i poszukuje ogłoszeń publikowanych bezpośrednio przez właścicieli. Ogranicza to liczbę świadków i sprawi, że dane mieszkanie nie będzie „rozpoznawalne” na rynku. Zawodowy pośrednik zwykle monitoruje nowe oferty i z łatwością może rozpoznać wśród nich powrót tej już przecież wynajętej.

Gdy w dłoni znajdują się już klucze do atrakcyjnego lokum, przejść można do zarabiania pieniędzy. Publikacja kilku ogłoszeń w prasie i serwisach internetowych zapewni wystarczającą ilość potencjalnych najemców. Co istotne, oferty muszą być na tyle atrakcyjne, by przebić nieznacznie – bez wzbudzania podejrzeń – konkurencyjne propozycje. Podstawy to wzmiankowane wcześniej: atrakcyjna lokalizacja (spokojna, zielona dzielnica z dobrym dojazdem do centrum i w bezpośrednim sąsiedztwie supermarketów, szkół, ośrodków zdrowia), dobry stan techniczny lokalu oraz zwykle najważniejsza cena. O ile oszust nie musi się przejmować wysokością miesięcznego czynszu, gdyż płaci go tylko raz w ramach inwestycji, o tyle dla przeciętnej rodziny, studentów lub singla jest ona istotna, gdyż planowo ponoszona będzie przez wiele miesięcy, albo i lat. Stąd też oferowana jest zazwyczaj stawka niższa o 25% od mediany rynkowej. W takim przypadku najemca, skuszony okazją, skłonny jest zazwyczaj do mniej rozsądnego działania i nie widzi nic złego w prośbie o uregulowanie z pierwszym czynszem opłaty także za kolejny miesiąc i dodatkowo jednomiesięcznej kaucji. A nawet,

jeśli naprawdę nie będzie go na to stać, zawsze można zrobić dla biednego wyjątek i zgodzić się na samą miesięczną opłatę. Aby zagwarantować sobie pierwszeństwo chętny bez żadnych przeszkód zaakceptuje niezwłoczne podpisanie umowy, a także gotówką uiści uzgodnioną kwotę, pomimo tego, że klucze zostaną mu przekazane dopiero za kilka dni. *Jak tłumaczy się powód owej zwłoki?* Np. przeprowadzką do innego miasta, związaną ze zmianą miejsca zatrudnienia. Z kolei pierwszy dzień pracy przypaść ma dopiero na początek następnego miesiąca. To w pełni racjonalny powód.

Po podpisaniu pierwszej umowy i zainkasowaniu gotówki, umawiane jest spotkanie z kolejnym potencjalnym najemcą, a po nim z następnymi. O tych nie trudno. Niemal każdy odpowiadający na ogłoszenie jest już zdecydowany. W Polsce rynek oferenta czyni średniozamożnego najemcę stroną podległą, stąd wstępna akceptacja ceny, metrażu, lokalizacji oraz terminu „*wizji lokalnej*”, zazwyczaj oznacza przesądzenie sprawy. Po przeprowadzeniu w krótkim czasie kilku transakcji oszust jak gdyby nigdy nic zamyka drzwi i wychodzi. Oczywiście przed wyjściem dokładnie wyciera wszelkie odciski palców z używanych sprzętów i dotykanych powierzchni. Ofiary dowiedzą się o popełnionym na ich szkodę przestępstwie dopiero po upływie wielu dni, gdy sprawca będzie już daleko, a jego fikcyjna tożsamość zakończy egzystencję, wraz ze sfalszowanymi dokumentami, na dnie rzeki lub w ognisku. Na najem mieszkania, zakup dokumentów, telefonu oraz ubrań wydano około 4 000 zł. Jeśli dwupokojowy lokal zaoferowano w bardzo korzystnej cenie 1400 zł miesięcznie, a od przeciętnego najemcy udało się uzyskać wpłatę dwumiesięcznego czynszu oraz kaucji, to przy pięciu umowach sprawca zarobił w ciągu kilku dni 21 000 zł. W przypadku miast takich jak Warszawa, czy Kraków, przy cenie nawet o kilkaset zł wyższej podpisanie 20 umów najmu nie będzie stanowić problemu. W sezonie przeprowadzek wystarczy do tego ledwie parę dni. Do

czasu zmiany polskiej polityki mieszkaniowej potencjalnych ofiar nie zabraknie, a wręcz ich liczba będzie systematycznie wzrastać.

Ten sam wariant stosowany bywa przy wynajmie lokali gospodarczych, domów lub luksusowych apartamentów. Z uwagi jednak na ograniczoną pulę potencjalnych najemców i znikomą rotację takich nieruchomości, oszustwo jest najbardziej opłacalne w omówionym segmencie mieszkaniowym.

O klasę wyższym oszustwem, przynoszącym jednostkowo o wiele większy zysk, jest fikcyjna sprzedaż wynajętego mieszkania. Pierwsze kroki pozostają niezmienione, różnica to jedynie dobór rzeczywistego właściciela. Powinien być on osobą o tej samej płci i zbliżonym wieku do sprawcy lub jego współnika. Sam lokal musi się mieścić w dużym, gwarantującym anonimowość, skupisku bloków. Wyjątkowo istotne jest tutaj odległe miejsce zamieszkania właściciela, preferowana lokalizacja to co najmniej inny powiat lub województwo, tak aby wieści o sprzedaży nie dotarły do niego pocztą pantoflową. Sam czas realizacji jest dużo większy, niż przy zawieranych ad hoc umowach najmu, stąd informacje na temat poszukiwań nabywcy zdążą się szeptem roznieść po okolicy.

Na bazie pozyskanych przy podpisaniu umowy danych właściciela wyrabiany jest fałszywy dowód osobisty, zawierający prócz odpowiednich personaliów także pasujący do nich numer PESEL oraz numer i serię dokumentu. Nawet w przypadku rzetelnej weryfikacji sprzedawcy lub zgodności deklarowanych przez niego danych z ewidencjami, wynik będzie pozytywny. Jest to szczególnie istotne na etapie formalności u niewtajemniczonego w procedurę notariusza. Wcześniej atrakcyjność rynkową wytypowanej nieruchomości ujawni wizja lokalna okolicy i kontrola ksiąg wieczystych, czyli stanu prawnego oraz ewentualnego obciążenia hipoteką. Teraz wystarczy już tylko posprzątać mieszkanie. Oferta gotowa, pora spieniężyć cudzy lokal.

Podobnie jak przy wynajmie, istotna pozostaje cena. W tym jednak przypadku nawet bardzo korzystna oferta może miesiącami czekać na znalezienie nabywcy. Stąd też kluczowa rola anonimowej, wielkomiejskiej dżungli, w której ciągle publikowanie ogłoszeń i wizyty potencjalnych kupców nie wzbudzą sąsiedzkich interwencji. W zależności od stopnia determinacji sprawcy, działanie ograniczone może zostać tylko do pobrania zaliczki w wysokości kilkudziesięciu tysięcy zł i ucieczki. Ale wirtuoz socjotechniki doprowadzi formalności do końca i zainkasuje pełną kwotę kilkuset tysięcy zł. Z każdym jednak kolejnym etapem sprzedaży ryzyko dekonspiracji wzrasta, a zawsze jest o wiele większe niż przy zwykłym podnajęciu. O wiele większa wartość transakcji wzmacnia ostrożność kupca, a dalsze punkty krytyczne to spotkania z notariuszem i pracownikami banku (otwarcie rachunku niezbędnego do odbioru zapłaty, wypłata gotówki, weryfikacje poprzedzające udzielenie nabywcy kredytu hipotecznego etc.). Bezpieczeństwo zwiększyć może „rozbić” działań na dwie osoby – jedna odpowiada za najem lokalu i w razie dekonspiracji występuje „przeciwko” oszustowi – rzekomemu podnajemcy, jako nieświadoma jego ofiara, natomiast druga wciela się we „właściciela” i prowadzi wszelkie formalności – w urzędach, agencjach nieruchomości do których warto wówczas skierować ofertę, bankach etc., a w razie kłopotów znika bez śladu.

Mniej inwazyjna wersja przewiduje pobieranie zadatków na rzecz przyszłej sprzedaży lokalu, po czym pod byle pretekstem wypowiedanie umowy przedwstępnej, oczywiście winą za taki stan rzeczy obarczając niedoszłego nabywcę. W tym też czasie możliwe jest przeciąganie zwrotu pieniędzy poprzez fikcyjne zaangażowanie się w spór na gruncie prawa cywilnego i jednocześnie poszukiwanie kolejnych skłonnych do zawarcia umowy. W sytuacji nasilenia sporu i liczby wierzycieli, wciąż liczących na sfinalizowanie transakcji, fałszywy sprzedawca może z jednym z nich, lub z kilkoma, nagle

dopełnić formalności i zniknąć z zagarniętymi pieniędzmi. Szczęśliwego nabywcę prędej, czy później, odwiedzi prawowity właściciel, zaniepokojony brakiem opłacania czynszu najmu... Wariant ten jest jeszcze bardziej ryzykowny od poprzedniego, lecz umożliwia zysk przekraczający jednorazowo kwotę miliona zł.

Dlaczego ta jednostkowa i stosunkowo rzadko spotykana metoda oszustwa pozostała godna odnotowania w niniejszym opracowaniu? Gdyż techniki bezpieczeństwa w niej wykorzystane, a także stopień bezczelności niezbędny do tej realizacji, jest identyczny w każdym innym oszustwie kryminalnym dokonany na szkodę nieznanym osobom prywatnych poza obrotem gospodarczym. Ten sam wzorzec działa przy sprzedaży cudzych działek budowlanych, praw niematerialnych, zakupach kredytowanych itp., zawsze też chciwość na okazie identycznie czyni łatwą ofiarą.

Detaliczny obrót nieruchomościami to Eldorado nie tylko dla zawodowych oszustów podszywających się pod inne osoby. Na warszawskim rynku jak grzyby po deszczu wyrastają biura świadczące usługi pośrednictwa, które jednak z realną pomocą w wynajmie mieszkania nie mają nic wspólnego. Zamiast jednak pobierać od chętnych prowizję w wysokości jednomiesięcznego czynszu, oferują swe usługi w ryczałtowej i wpłacanej z góry cenie 300 zł. Przed dokonaniem takiej opłaty, przyszły, a raczej niedoszły, najemca informowany jest o niezwykle atrakcyjnych lokalach pozostających w dyspozycji pośrednika. Ceny – na poziomie połowy rynkowych, lokalizacja – każda. Warunkiem uzyskania do nich dostępu jest uregulowanie niezbyt wysokiej opłaty „*otwierającej zlecenie*”. Zaraz po dopełnieniu tej drobnej formalności przekazane zostają numery telefonów do właścicieli mieszkań. Wówczas to okazuje się, że zdecydowana większość ofert jest już nieaktualna, natomiast te które nadal są dostępne, wcale nie są tak atrakcyjne. Ceny okazują się o wiele większe od wstępnie przedstawionych w

biurze, a warunki najmu, takie jak deklarowany brak kaucji, zgoda na zamieszkanie z dziećmi i zwierzętami, elementy wyposażenia etc., również nijak się mają do rzeczywistości. Niekiedy pod numerem telefonu rzekomego wynajmującego zgłasza się agencja nieruchomości. Natomiast na pytania do właścicieli, czy zlecali usługę pośrednictwa danemu biuru, okazuje się, że nic takiego nie miało miejsca. Zwyczajnie fikcyjny pośrednik na chybił trafił spisał ich numer telefonu z ogłoszenia z dzisiejszej gazety i przedstawił jako własną, lecz odpowiednio „ulepszoną” pod kątem oczekiwań klienta, ofertę. Szczegółowa lektura zawartej umowy rozwiewa jednak nadzieję na skuteczną reklamację. Usługa została określona jako poszukiwanie korzystnych ofert najmu mieszkania. Skąd owe oferty będą czerpane już nie doprecyzowano. W tym momencie wszelkie nadzieje na tanie i atrakcyjne lokum zostają rozwiane. Wpłacona kwota jest o tyle niska, że nie warto toczyć o nią zażartej batalii sądowej, natomiast prokuratury umarzały wszelkie śledztwa z uwagi na brak wyraźnych znamion przestępstwa i zgodność świadczonej usługi z zawartą umową cywilnoprawną. W sezonie, gdy studenci poszukują mieszkań w nowym, nieznanym mieście, słabo reklamujące się biura pseudo-pośrednictwa liczyć mogą nawet na kilkuset „*klientów*”.

Rozdział XXVII

Szantażowanie osób prywatnych

Każdy posiada tajemnice. Nie ma osoby, która nie chciałaby jakiegoś aspektu własnej egzystencji zachować tylko dla siebie. Na podstawie manifestowanego systemu wartości określić można, jaki gatunek „przewinień” będzie dla wizerunku danego człowieka najbardziej niszczący. Za dochowanie jakiej tajemnicy skłonny będzie zapłacić. Najczęściej ludzie ukryć chcą szczegóły dotyczące ich życia seksualnego, popełnionych przestępstw lub wyznawanych poglądów, albo działań pozostających w rażącej z nimi sprzeczności. Szantażyści pozyskują informacje o kompromitujących faktach, albo reżyserują ich wystąpienie jednocześnie uwieczniając miażdżący materiał dowodowy.

Szczególnie podatne na szantaż są osoby pełniące funkcje społeczne, religijne lub polityczne, wykonujące zawody wymagające szczególnego zaufania lub prowadzące ustabilizowane życie rodzinne. Jedna materia często wpływa na inną, kumulując konsekwencje. Ujawnienie romansu polityka nie tylko zniszczy jego małżeństwo, ale i karierę, jeśli reprezentuje partię katolicką. Homoseksualny kochanek biskupa lub gangstera uczynić może z nich obiekt drwin i zainteresowania mediów, podobnie jeśli gejem okaże się znany aktor. Biznesmen pedofil poza odpowiedzialnością karną naraża się na utratę żony i kontrahentów, nawet jeśli jest uczciwym i rzetelnym przedsiębiorcą. Były premier, który w przypływie zakrapianej wódką szczerości oskarży kolegów o korupcję i łajdactwo, spotka się z ostracyzmem. Żaden policjant nie

chciałby trafić do więzienia, bez względu na to, za jakie przestępstwo. Żadna nieszczęśliwa, choć zamożna dzięki mężowi, żona nie chciałaby, aby opisane imieniem i nazwiskiem nagranie z jej łóżkowych ekscesów z sąsiadem trafiło do internetu. Zwłaszcza, jeśli badania genetyczne potomków mogłyby wykluczyć ojcostwo zdradzanego małżonka i stanowić przepustkę do pozbawiającego majątku rozwodu. Są to najczęstsze powody, dla których ludzie zabiegają o dyskrecję i za nią płacą.

Najłatwiej wyreżyserować zdradę. W sprzyjających warunkach dokona jej niemal każdy, a jeśli nie jest się wybrednym co do tożsamości ofiary, materiały do szantażu zebrać można w jeden dzień. Rolę pełnego ryb morza pełni internet. Wizyta na dowolnym portalu randkowym ujawni multum ofert kobiet i mężczyzn poszukujących intymnych kontaktów. W XXI wieku wolny związek nie jest niczym nadzwyczajnym i osoba usiłująca szantażować playboya wiedzą o jego licznych romansach narazi się tylko na śmieszność. Podobnie nikogo nie zbulwersuje taki sposób spędzania wolnego czasu przez 30-lletnią feministkę. Nie oni są jednak celem. *Jak więc wytypować osoby wrażliwe na szantaż?* Same chętnie zaanonsują swą podatność na naciski, zaznaczając w treści ogłoszenia: „*gwarantuję i oczekuję dyskrecji*”. Zdecydowanie łatwiej uzyskać dowody obciążające mężczyzn. Kobiety pozostające w stałych związkach (konkubinatach i małżeństwach) a decydujące się na romans często poszukują długoterminowej relacji z kimś „*ekstra*”, której wyreżyserowanie wymaga stosunkowo dużego nakładu czasu i pracy. To one jednak ulegają o wiele łatwiej presji. Dla nich warto stworzyć fikcyjną/wirtualną postać o charakterystycznej osobowości, odbiegającej znacznie od jej szarego, domowego życia. Niemal każda chciałaby nosić w sercu wspomnienia o romantycznych lub szalonych chwilach w ramionach pilota, znanego pisarza, detektywa, komandosa, mistrza sztuk walk, czy podróżnika, który zwiedził

wszystkie kontynenty. Czyli kogoś, z kim zdrada nudnego męża i ojca jej dzieci będzie przygodą życia.

Kategorię priorytetowych celów szantażysty zamykają anonse osób homo i biseksualnych, oczywiście tych tylko, które ukrywają swą orientację przed otoczeniem. Również podstawowym znakiem rozpoznawczym jest zawarta w treści ogłoszenia deklaracja o dyskrecji – oferowanej lub oczekiwanej. Podobnie traktować należy informację o np. pełnionej posłudze kapłańskiej. Inne sygnały to poszukiwanie relacji z osobą pozostającą w heteroseksualnym związku, co wskazuje na podobny stan uporządkowania własnego życia. Z kolei czynniki negatywne to poszukiwanie stałego związku, wspólnego uczestnictwa w imprezach publicznych, a niekiedy także epatowanie dużą ilością partnerów i przywiązaniem do incydentalnego, niezobowiązującego seksu bez dbałości o osobę kochanka, czy romantyczną oprawę erotycznej relacji. Osoba pragnąca trwałej relacji, manifestacji skłonności, albo uzależniona od niestandardowych doznań seksualnych i niemająca zahamowań w tej materii najczęściej już wielokrotnie zdradziła otoczeniu swoją orientację i nawet zachowywanie pozorów dyskrecji czyni sprawę tajemnicą poliszynela. Za taką nie warto płacić.

Pierwszy krok na drodze do pieniędzy, to wysłanie odpowiedzi na wytypowaną ofertę. Podobnie jak w przypadku tworzenia „fikcyjnej” korespondencji handlowej, tak i tutaj należy korzystać z adresów e-mail niewykorzystywanych do jakichkolwiek innych przesyłek i utworzonych na ten tylko cel. Samo wykasowanie innych wiadomości nie usunie ich bowiem z ewentualnej kopii zapasowej serwerów pocztowych. Jeśli przestępstwo zostanie zgłoszone, postępowanie karne podda kontroli również sesję połączenia z internetem, podczas której nadano wiadomości lub zakładano konto. Dlatego nigdy nie wolno łączyć się z siecią za pośrednictwem modemu GSM (nawet z załadowaną nierejestrowaną kartą prepaid),

ani własnego lub cudzego imiennie zarejestrowanego stałego łącza. Z uwagi na powszechnie dostępne darmowe hot spoty problem anonimowego połączenia został obecnie wyeliminowany. Transmisję na wszelki wypadek warto dodatkowo szyfrować TOR-em. Wybierając miejsce dostępu zwrócić też trzeba uwagę, czy nie jest ono objęte kamerami monitoringu. Opisane pokrótce środki ostrożności uniemożliwią dotarcie „*po nitce do kłębka*”, czyli od maila do nadawcy. Wydatkiem kilkuset zł można już nabyć laptopa lub tableta przeznaczonego tylko do kontaktów z ofiarami. Oczywiście nie należy na nim składować żadnych innych danych – nawet pozbawione indywidualnych treści pliki, np. muzyczne lub e-booki, mogą pomóc w ujęciu użytkownika. Sterylność dysku uzupełniać powinno, na wypadek gdyby sprzęt wpadł jednak w ręce Policji, zaszyfrowanie całej jego powierzchni True-Cryptem. Wówczas zamiast dowodu, śledczy zabezpieczą nic niewarty kilogram złomu.

Jak wytypować wypłacalną ofiarę? Jeśli celem jest tylko wyłudzenie pieniędzy, zazwyczaj wybiera się osoby w wieku średnim i przedemerytalnym z majątkowej klasy średniej lub wyższej. Złodziej gardzi korzyściami osobistymi (np. seksualnymi), dlatego interesuje go jedynie rachunek ekonomiczny działania, a nie uległość. Zamożność zaś oszacować można często na podstawie zdjęć – tak, naiwniacy często publikują fotografie i myślą, że zamazanie twarzy zapewnia tajemnicę. Ubranie, wystrój wnętrza, meble, biżuteria czy samochód, ale też fryzura i estetyka innych drobiazgów bez trudu pozwolą określić mniej-więcej status majątkowy. O ile trudno powiedzieć, czy ktoś posiada na koncie 100 000 zł, czy 700 000 zł, o tyle ocena możliwości zorganizowania kwoty 50 000 zł raczej rzadko bywa błędną. Nawet jeśli ofiara nie dysponuje taką gotówką, to istnieją przecież kredyty, a samochód można sprzedać lub zastawić. Sposób konstruowania ogłoszenia i

użyte w nim słowa również ujawniają przynależność do grupy społecznej. Wiadomo, czy po drugiej stronie monitora zastaniemy elokwentnego i dojrzałego mieszczanina, czy młodego chuligana posiadającego jedynie szalik i puszkę piwa. Na wyjątki od reguł nie warto zwracać uwagi. Lepiej przegapić jednego prymitywnego milionera, niż weryfikować rzeszę prostaków w poszukiwaniu ukrytego diamentu. Zwłaszcza, że pozbawiony oglądy bogacz raczej nie przejmie się zbytnio potencjalnym skandalem. Po prostu wypije kolejną Whiskey z lodem i znajdzie nową, ledwie pełnoletnią, żonę wśród bywalczyń koncertów disco-polo. Więcej do stracenia mają dobrze ułożeni mężowie z konserwatywnych społeczności, a ci zwykle unikają wulgaryzmów i gramatyki rodem z sennego koszmaru profesora Miodka. Pierwsze wrażenie jest więc kluczowym kryterium.

Nie należą do rzadkości anonse, których nadawca wprost epatuje zamożnością: *„biznesmen poszukuje”*, *„bogaty zasponsoruje studentkę”* etc. Wiele z nich w istocie pochodzi nie od milionerów, a tak leczących swe kompleksy średniego szczebla urzędników państwowych lub zagonionych pracowników korporacji. Stać ich jednak na opłacenie szantażysty i to oni najbardziej zabiegać będą o ukrycie intymnych ekscesów. Deklarowany stan posiadania zostanie też szybko zweryfikowany w toku korespondencji.

Po zakończeniu selekcji i doborze odpowiednich środków technicznych gwarantujących anonimowość, nie stoi już na przeszkodzie w nawiązaniu bezpośredniego kontaktu. Odpowiadając na anons towarzyski sprawca przedstawia swoją osobę przez pryzmat oczekiwań celu. Nie ma znaczenia kim naprawdę jest, jakie preferencje seksualne reprezentuje, ani nawet jaką płeć. Najpewniej nigdy nie dojdzie do spotkania twarzą w twarz, dlatego więc dyskryminować średniolatkę poszukującą wysokiego, przystojnego bruneta albo starszego pana pragnącego bliskich kontaktów z niską,

szczupłą blondynką?

W kontaktach z mężczyzną wirtualna rozmowa zwykle szybko schodzi na tematy erotyczne, dotychczasowe doświadczenia seksualne i ewentualną wcześniejszą niewierność żonie. Jeśli tylko im pozwolić, mężowie bardzo chętnie i ze szczegółami opiszą swoje pragnienia, fantazje, doświadczenia i możliwości. Warto pozyskać maksymalną ilość szczegółów o dotychczasowych ekscesach, które umożliwią identyfikację imienną kochanek oraz czas wspólnych wyjazdów, maskowanych np. delegacjami służbowymi. Dopełnieniem jest wymiana nagich fotografii, które stanowić będą koronny dowód wiarołomstwa. Do celów identyfikacji rozmówcy (zwykle korzystającego z anonimowego przecież konta e-mail) posłuży uzyskane tą drogą zdjęcie, numer telefonu, informacje o jego pracy zawodowej, miejscach w których bywa, wieku i zainteresowaniach. Na tej bazie możliwe będzie wyszukanie osoby w portalach społecznościowych, odnalezienie w dostępnych dla osób postronnych obiektach (miejsce pracy, siłownia, klub etc.), a być może wpisany w wyszukiwarkę Google numeru telefonu od razu ujawni nazwisko? Spotkanie w „*realu*” nie naraża przyszłego szantażysty na dekonspirację. Ofiara nie zna jego wizerunku, w zamian za własne odważne zdjęcie otrzymała akty ściągnięte z internetu. Dzięki temu możliwa jest dyskretna obserwacja lub bezpośrednia rozmowa na neutralne (np. dot. materii zawodowej) tematy. Oba sposoby pozwolą ustalić personalia i adres zamieszkania celu. To już ostatni krok do dotarcia do jego małżonki, a to właśnie groźba skierowania do niej kopii „*dowodów*” jest argumentem...

Inaczej wygląda kontakt z mężatką poszukującą odskoczni od monotonnej codzienności. W przypadku nawiązania bliskiego kontaktu i zaskarżenia zaufania, bardzo szybko poznać można wszelkie tajemnice rodzinne, spory, nieszczęścia, poglądy poszczególnych krewnych i prywatne rozterki. Bez większych wahań

rozmówczyni prześle zdjęcia swych dzieci, opowie o problemach w przedszkolu, czy sporach z koleżanką z pracy. Jeśli mąż miał kochankę, problemy ze zdrowiem lub oszukał fiskusa, też szybko się o tym dowiemy. To kopalnia informacji uwiarygadniających szantaż, a także identyfikujących ofiarę.

Godnym podziwu warsztatem oraz niemal nieograniczoną inwencją w materii szantażu pochwalić się mogą funkcjonariusze służb specjalnych – zarówno historycznej SB, jak i współczesnych, jedynie w teorii demokratycznych. Pozyskiwanie agentury opierało się w ich przypadku na bazie przekupstwa, albo właśnie zastraszenia. Często stosują oni inwazyjną metodę prowokacji, opartej na wcześniejszej infiltracji środowiska figuranta, pozyskaniu jego zaufania, niekiedy nawet przyjaźni, a następnie wyreżyserowaniu tła sprzyjającego nadużyciom. Standardowo instrumenty nacisku dzieli się na te obciążające i kompromitujące. Pierwsza kategoria to dowody przestępstwa – dawniej najczęściej szpiegostwa, obecnie zwłaszcza korupcji. Nagranie ukrytą mikrokamerą wręczenia pliku banknotów lub rozmów o podatności na takie argumenty finansowe to dostateczny motywator dla urzędnika państwowego. On będzie współpracował. Już zawsze i wiernie. Funkcjonariusze resortu „niebieskiego” lubują się w podkładaniu narkotyków. Odkąd przestępstwem jest posiadanie jednego żdźbła marihuany lub woreczka z jedną działką kokainy „dowody” można „odnaleźć” w kieszeni absolutnie każdego. Wystarczy w trakcie przeszukania dyskretnie je podłożyć. To nic nie kosztuje, a przecież kilka rekwizytów można zabrać pierwszemu z brzegu narkomanowi. Skargi nie złoży. Pedantyczny szantażysta wcześniej naniesie na opakowanie narkotyku odciski palców ofiary, drobinki złuszczonego naskórka lub mikroślady z ubrania, a może nawet podrzuci do torebki fragment jej włosa. Choć zwykle wystarczy tylko wsunąć woreczek w skute kajdankami dłoń zatrzymanego, a odruchowo

zaciśnię na nim palce... Z uwagi na ciężar gatunkowy i powszechną dezaprobatę najsilniejszym środkiem nacisku jest materiał uwieczniający nielegalne praktyki seksualne albo udowodnienie posiadania pedofilskich filmów lub zdjęć porno. Również ich podrzucenie jest proste, podobnie jak wgranie na dysk twardy zarekwirowanego komputera. Nie ważne, że na sali sądowej osoba zostanie uniewinniona. Perspektywa pobytu w areszcie śledczym z kryminalistami nienawidzącymi pedofilów i powszechna nienawiść ze strony społeczeństwa, a nawet najbliższej rodziny, wystarczy do zaskarżenia pełnej uległości. W ten sposób pozyskano na tajnego współpracownika m.in. pewnego znanego specjalistę ds. marketingu politycznego. Identyczne dowody obciążające mogą stać się i często stają elementem nacisku przy wymuszeniu kwot pieniężnych.

W przypadku nawiązania znajomości z mężczyzną żonatym lub pozostającym w stałym związku, stosunkowo proste staje się wyreżyserowanie sytuacji sprzyjającej pozyskaniu materiałów kompromitujących, czyli głównie dowodzących niewierności – także, gdy szantażystą jest również mężczyzna i to o orientacji hetero. Koleżeńskie rozmowy umożliwiają poznanie gustu ofiary, a także skłonności do niestandardowych zabaw oraz wrażliwości na nacisk. Jeśli cel przywiązuje dużą wagę do dzieci i domu, a jednocześnie jest wielkim sympatykiem młodych blondynek, całe życie marzącym o trójkacie z dwoma szwedzkimi pięknosciami, to nic nie stoi na przeszkodzie, by w sprzyjających okolicznościach tę fantazję spełnić. W naszym kręgu kulturowym normą jest wspólne, integracyjne spożywanie alkoholu, co sprzyja obniżeniu zahamowań moralnych i jest idealnym powodem zaproszenia do lokalu wcześniej wyposażonego w ukryte kamery. Organizacja niekrępującego towarzystwa pań nie stanowi w dzisiejszej Polsce kłopotu – i to bez potrzeby wtajemniczania ich w charakter oraz cel imprezy. Wystarczy zamówić na konkretną godzinę prostytutkę lub prostytutki

w ustalonym wcześniej typie ofiary. Przy pierwszym kontakcie należy poinformować dziewczyny, że mają być dyskretnym „prezenterem” dla załamanej zdradą żony przyjaciela, mającym w jego oczach wzmocnić wiarę we własną atrakcyjność. Kilka stówek ekstra z łatwością przekona je do nieujawniania własnej profesji, a udawania oczarowania pijanym „kolegą”. Ofiarą podobnego podstępu padł pewien senator, odziany w sukienkę i degustujący w towarzystwie dwóch młodych kobiet kokainę. Później wielokrotnie „odkupował” kompromitujące nagranie od kolejnych osób, wydając na nie łącznie kilkaset tysięcy zł.

Na skalę przemysłową powyższy patent wprowadzili w życie gangsterzy z warszawskiego „Miasta”. Mało kto wie, że nie istnieje coś takiego, jak dziewczyna przyjmująca klientów prywatnie. Prędzej, czy później na jej anons odpowiedzą sutenerzy i żyletką oraz przypalaniem sutków przekonają ją do opłacenia „ochrony”. Znaczna część „niekrępujących” mieszkań bywa po takim spotkaniu wyposażana w ukryte kamery video, rejestrujące oddających się „masażom” klientów. Nigdy nie wiadomo, czy jednym z nich nie będzie znany aktor, polityk, albo szczęśliwie posiadający rodzinę i stałą miejscówkę w kościele policjant, bankier albo urzędnik państwowy. Tzw. *projekt Hollywood* przyniósł bardzo duże zyski, zarówno w postaci bezpośrednio opłaconego okupu, jak i uzyskanych wpływów na władzę państwową.

Rozdział XXVIII

Zakłady bukmacherskie

Polska to kraj fanów piłki nożnej i boksu. Każda kolejna gala sportowa przyciąga przed ekrany telewizorów miliony kibiców, zwykle święcie oburzonych doniesieniami o korupcji wśród sędziów i zawodników. Żal to jednak tylko zawiedzione ambicje sportowe, nic więcej. Absolutnie nie wynika ze świadomości rzeczywistych powodów ustawiania rozgrywek. Dla kibiców sprzedany mecz to stracone miejsce w tabeli i wstyd przed nosicielami innych szalików. Ewentualnie premia prezesa klubu piłkarskiego oraz kolejny dowód na upadek moralny PZPN-u. Ale drogi Czytelniku, tu przecież wcale nie chodzi o rywalizację sportową, tylko o grube pieniądze, przy których łapówki Fryzjera to marny zasiłek godny bezrobotnego z Wąchocka.

Zyski z wygranego meczu to grosze, pochylić się warto dopiero nad prawidłowym obstawieniem jego wyniku, przy czym zgodnie z zasadą: im mniej dane zdarzenie jest prawdopodobne, tym wyższy przelicznik wygranej. W przypadku niekwestionowanych faworytów może on wynosić ledwie 1,10, czyli z każdej postawionej złotówki zysk ponad kosztami sięgnie tylko 10 gr. Zakłady na pewnych zwycięzców nie przynoszą fortuny, lecz sensacyjne rozgromienie mistrzów kraju przez drużynę z końca tabeli, wielobramkowe przewagi równych przeciwników, czy walkowery i knockouty w określonych rundach to już co najmniej kilkunastokrotny, a niekiedy nawet i kilkusetkrotny mnożnik postawionej kwoty. Oczywiście biznes nie w tym, by na bazie wieloletnich obserwacji i analiz

typować prawdopodobny wynik, ale by znać go na 100% na długo przed konfrontacją.

Skandal wokół sprzedawania przez lata meczów piłkarskich ograniczono do aspektu korupcyjnego, nikt nie nagłaśniał drugiego dna sędziowskiej afery. Każda bramka, każda porażka i sukces to zysk nie osób biegających po boisku lub siedzących w łóżach na stadionie, lecz tych, które wcześniej zawarły bukmacherskie zakłady. Wszyscy niewtajemniczeni w już zaplanowany rezultat spotkania składają się na pulę dzieloną między bukmacherów i beneficjentów pewnych zakładów. Pierwsza linia ustawianych meczów to układ korupcyjny z sędziami piłkarskimi. Za odpowiednim wynagrodzeniem dopatrzą się oni spalonego lub faulu tam, gdzie ich nie było i w odpowiednim momencie podyktują rzut karny oraz doliczą niezbędny do zdobycia bramki czas. Dlatego sędziowie żarliwiej od własnego życia bronią wprowadzenia korekty bieżących rozstrzygnięć poprzez analizę nagrań monitoringu. Wtedy dużo trudno byłoby forsować absurdalne spalone, a rozgrywka stałaby się naprawdę sportowym pojedynkiem.

Mniej pewna metoda to kontrola wybranych piłkarzy – głównie napastników oraz bramkarzy. Niestety, od nich zależy znacznie mniej. Nie mogą dowolnie reżyserować momentu i ilości padających bramek, choć ich apatia zwykle umożliwia wskazanie zwycięzcy. Poza motywatorami pozytywnymi, w postaci łapówek, stosowane bywają argumenty takie jak szantaż. Dotyczyć on może pełnej gamy materiałów kompromitujących lub obciążających, a zawodnik raz nimi złamany zazwyczaj pozostaje już na zawsze dyspozycyjny. W Polsce groźby i przemoc niemal nie są stosowane, ale stanowią np. standardowe narzędzie nacisku ze strony Rosjan na ich rodaków robiących kariery w amerykańskich i kanadyjskich drużynach hokejowych. Nad Wisłą odnotowuje się za to przypadki niegroźnych zatruć i odurzeń zawodników lub fizycznego blokowania ich dojazdu

na miejsce konfrontacji, celem uzyskania walkoweru. Motywatory negatywne pozostają skuteczne w sportach indywidualnych, gdzie rozstrzygnięcie zależy tylko od jednego konkretnego zawodnika, a nie od wieloosobowej drużyny, albo, gdy chodzi właśnie o określone działanie jednego tylko sportowca.

Gdy wynik już jest pewny, wystarczy zawrzeć zakład. W przypadku wielkich kwot, „szczęśliwie” postawionych na niezwykle mało prawdopodobny wynik, bukmacherzy od razu wykryliby oszustwo i albo na drodze prawnej, albo przy pomocy silnoręcznych, rozprawili się z nieuczciwym kontrahentem. Stąd, jak w przypadku każdego opisanego działania, ważny jest umiar. Profesjonaliści nie stawiają jednostkowo dużych pieniędzy. Zazwyczaj rozbijają je na mnóstwo drobnych zakładów u wielu bukmacherów w licznych miastach. Ogromne możliwości rodzą internetowe portale bukmacherskie, umożliwiające obstawianie on-line, za pomocą kart kredytowych. Zlokalizowane często w rajach podatkowych mają ograniczoną możliwość weryfikowania posiadaczy kont i zadeklarowanej przez nich tożsamości, co w korelacji z wykorzystaniem płatniczych kart pre-paid faktycznie eliminuje ryzyko swobodnej identyfikacji takiego kibica. Kolejnym elementem rozdrabniania jest obstawianie różnego typu zakładów. Tutaj też prym wiodą międzynarodowe serwisy bukmacherskie otwierające przed hazardystą wrota do niemal nieograniczonych możliwości: prócz standardowego wskazania zwycięzcy założyć się można o liczbę punktów przewagi, czas ich zdobycia, czy np. nazwisko strzelca bramki, a także wynik obciążyć handicapem. Zysk potęgują tzw. live-bet, czyli zakłady zawierane na gorąco, już w trakcie rozgrywki. Czy drużyna nr 1 zdobędzie jeszcze jedną bramkę? Czy sędzia pokaże czerwoną kartkę? Czy będzie rzut karny? My wiemy, oni nie. W gąszczu setek, a niekiedy tysięcy jednostkowych zakładów, dokonanych przez liczne osoby, oszustwo rozmywa się.

Zwłaszcza, że na „faworyta” stawia zwykle większość, a więc i bukmacherzy nie będą stratni zgarniając niemal całą „pewną” pulę.

O ile np. polska liga piłkarska raczej nie jest zbyt szeroko komentowana w świecie, to wielką gratką stanowią międzynarodowe mecze bokserskie. Toczono w USA i Chinach walki o pasy mistrza świata transmitowane są na wszystkie kontynenty, co przekłada się na nieograniczone możliwości rozdrabniania zakładów. Policzmy zyski. Jakiego wysokie będzie prawdopodobieństwo ucieczki pięściarza z ringu w drugiej rundzie? Jeśli przeciwnikiem jest Mike Tyson, to duże, chyba, że przeciwko niemu wystawimy „największą nadzieję białych”. Znikome jest też ryzyko spektakularnej dyskwalifikacji z powodu faulu ze strony młodego, silnego zawodnika walczącego z już raz przez siebie pokonanym emerytowanym mistrzem świata, czy też nagłe poddanie walki w ostatniej rundzie faktycznie wygranego na punkty pojedynku. Jednak nie takie już przypadki kibice mieli przyjemność oglądać. Jeśli przyjmiemy skromny przelicznik 1 do 50 w przypadku obstawienia takiego zdarzenia i zawrzemy zakłady w 30 krajach, w każdym z nich u 10 bukmacherów stawiając na pięciu figurantów mniej więcej po 150 dolarów, zarobimy bez większych podejrzeń około 11 250 000 USD. Jeśli rozszerzymy zakres zakładów o dalsze państwa, a w każdym z nich oddelegujemy do większej liczby bukmacherów większą ilość zapalonych kibiców, jednorazowy zysk sięgnąć może nawet 100 milionów USD. Wówczas bez ryzyka można też postawić nawet ogromne kwoty na objęcie mniejszym przelicznikiem, ale za to nie wzbudzające żadnych podejrzeń, „proste” zwycięstwo wybranego pięściarza. A boks to tylko jedna dyscyplina sportowa. Jest przecież jeszcze hokej, koszykówka, siatkówka, MMA, skoki narciarskie, tenis, golf czy wszelakie wyścigi. Jeden „pechowy” start nie złamie kariery sportowca o ugruntowanej pozycji, wszak potknięcia każdemu się zdarzają, a może ustawić go finansowo do końca życia. Inna metoda

to kreowanie fikcyjnego lidera poprzez wyreżyserowanie kilku jego zwycięstw z teoretycznie silnymi przeciwnikami, ale będącymi już w przededniu emerytury. Tą drogą marginalny sportowiec zamienia się w faworyta, którym nigdy tak naprawdę nie był, a jego przegrana w finałowym – najwyżej obstawianym – starciu nie czyni mu żadnej istotnej krzywdy. I tak nie mógł wygrać. Zachowany umiar pozwala na bezpieczne kreowanie lokalnych i globalnych czempionów. Rzeczywisty talent zawodników nie ma tu żadnego znaczenia. Oczywiście obstawiać należy po drodze na szczyt każdą wiadomą co do wyniku walkę, marnowanie pieniędzy jest przecież grzechem. Podobnie o „*własną*” przegraną zakładają się z bukmacherami (poprzez figurantów) odchodzący w cień zawodnicy, dla których układ korupcyjny jest gwarancją bezpieczeństwa finansowego już po zakończeniu kariery. Pięściarze rzadko racjonalnie gospodarują pieniędzmi, więc jej koniec często oznacza nędzę.

Warto też pamiętać, że bukmacherzy zawierają w swych regulaminach klauzulę uznającą za rozstrzygający wynik na koniec rozgrywki, a ewentualne zmiany wprowadzone przez organy zarządzające w późniejszym terminie nie wpływają na zawarte zakłady. Oznacza to, że jeśli np. z powodu wykrycia we krwi zwycięskiego pięściarza zabronionych substancji zakończona walka zostanie później zakwalifikowana jako „*no contest*”, wygrane i przegrane pieniądze nie podlegają zwrotowi. Korzyść dla zawodnika to brak wpływu tak „*sensacyjnie*” przegranego pojedynku na jego ranking i ewentualne pasy mistrzowskie. Podobnie niemal nie zaszkodzi mistrzowskiej drużynie piłkarskiej jedna przegrana w fazie eliminacji grupowych z najsłabszym w tabeli przeciwnikiem. A w obu tych przypadkach przelicznik wygranych zakładów będzie imponujący. Innym przykładem może być nieszkodliwe, celowe przegranie tylko pierwszego seta w tenisie lub sprowokowanie arbitra do sięgnięcia po czerwoną kartkę, albo jakiegokolwiek inne

zdarzenie mało uciążliwe dla sportowca a możliwe do obstawienia. Kosztem uczciwych zarabiają wszyscy, a nikt z „branży” nie traci.

Jak duże jest ryzyko skazania sprawcy? Żadne. W 2010 roku popełnienie przestępstwa korupcji sportowej, ściganego z art. 296b kk, udowodniono tylko w trzech przypadkach. Maksymalna kara to jedynie 5 lat więzienia, a w praktyce wyrok w zawieszeniu.

W Polsce królem ustawianych wyścigów konnych i walk bokserskich był Pershing, ożarowski lider tzw. Maffii Pruszkowskiej. Prywatnie przyjaciel wielu zawodników, wśród nich Andrzeja Gołoty. Podobno, gdy pięściarz ten był poszukiwany przez Policję za rozbój, gangster pomógł mu uciec do USA, a później wspierał rozwój jego kariery. Gdy tylko nie przebywał w więzieniu, zawsze podczas walk z bliska dopingował swego ulubieńca. Nawet na kilka dni przed śmiercią, poniesioną z rąk płatnych zabójców, Pershing obserwował z boksu sędziowskiego starcie Gołoty z Michaeliem Grantem. Choć polski zawodnik przez cały ten pojedynek gromił przeciwnika, nieoczekiwanie w ostatniej rundzie poddał walkę. W podobnie kontrowersyjnych okolicznościach przegrał wiele faktycznie już wygranych konfrontacji, co rodziło podejrzenia ich ustawiania. Zapewne nieoczekiwane rozstrzygnięcia i zażyłość z królem hazardu były jednak tylko zbiegiem okoliczności, gdyż żadnego typu korupcyjnego układu nigdy nie udowodniono. Jak widać, w każdej dziedzinie sportu przysłowiowa „*piłka jest okrągła, a bramki są dwie*”, a więc wszystko może się zdarzyć. W gąszcz nadzwyczajnych i nieoczekiwanych zwrotów akcji bez trudu wplątać można kilka dodatkowych – zawczasu wyreżyserowanych.

PODSUMOWANIE

✓ Nie ma czegoś takiego jak niemożliwe do pokonania zabezpieczenie elektroniczne lub mechaniczne mienia, a sprzedawcy systemów alarmowych często okłamują klientów obiecując bezpieczeństwo domów i pojazdów

✓ Na każdą technikę powstaje kontr-technika, im więcej elektroniki tym mniej inwazyjny i cichy sposób włamania

✓ Nie jest bezpiecznie, niszczącą broń kupić lub utworzyć można z powszechnie dostępnych komponentów, które zawsze będą obecne w wolnym obrocie przemysłowym

✓ Ludzie są nieroztropni, sami chętnie udzielają informacji, które mogą zostać wykorzystane przeciwko nim i ich mieniu

✓ Nie istnieje anonimowa egzystencja w internecie, każda publikacja i każdy anons mogą zostać wykorzystane przeciwko autorowi

✓ Informacja jest cenniejsza od towaru, to o jej zdobycie należy zabiegać

✓ Słaby punkt ochrony przed szpiegostwem przemysłowym to zawsze człowiek

✓ To, co już jest bezużyteczne lub zostało dobrze sprzedane w nierejestrowanym obrocie można ubezpieczyć i... spisać na straty

✓ Przestępstwa przeciwko mieniu z użyciem przemocy są absolutnie nieopłacalne i dlatego muszą ulec marginalizacji

Pamiętaj, że prawo jest bardziej zagubione od Ciebie.

Działania typowo kryminalne zapewniają adrenalinę, jednak prawdziwy złodziej ceni sobie nie przemoc, a etykę... skrytą głęboko pod białymi rękawiczkami...

DZIAŁ IV

NIEUCZCIWOŚCI

RYNKU

FINANSOWEGO

Rozdział XXIX

Bankowa kreacja pieniądza i jak okraść kredytobiorcę?

Epoka Dzikiego Zachodu ograniczała nieuczciwe zarabkowanie na bankach do ich spektakularnego okradania. W placówkach tych okoliczni mieszkańcy deponowali oszczędności, a każdy ówczesny papierowy dolar znajdował pełne pokrycie w rezerwach złota. Pożyczyć, ale i wypłacić z kont, można było tylko tyle pieniędzy, ile w gotówce posiadał dany bank. Gospodarka pozostawała w równowadze. Epokę westernu zastąpiła era komputerów i wirtualnego obiegu waluty. W XXI wieku tylko 10% funkcjonujących w globalnym obiegu pieniędzy ma substrat materialny w postaci banknotów lub monet, a reszta to tylko ciągi cyferek w pamięci komputerów... *Po co je kraść, skoro można jednym przyciskiem klawiatury mnożyć?*

Wypłacenie wszystkich depozytów jest niemożliwe. Fizycznie z powodu braku dostatecznej bazy monetarnej, a ekonomicznie z braku dostatecznej „równowartości” dóbr będących w globalnym obiegu, zaciągniętych kredytów i już „zarobionego” pieniądza. Słowem, świat jest niewypłacalny. *Czemu by na tym nie zarobić?* Kluczem staje się bankowa kreacja pieniądza. By udzielić kredytu bank komercyjny potrzebuje jedynie ułamka jego wartości, w celu zdeponowania na kontach banku centralnego określonej procentowo tzw. rezerwy obowiązkowej. W teorii ma ona na celu ograniczenie ekspansji kredytowej. Zysk w tym, że owa rezerwa jest znikoma. Nad Wisłą aktualny jej poziom ustalony został przez Radę Polityki

Pieniężnej na 3,5% depozytów, co oznacza, że z każdego złożonego na lokacie 1000 zł, bank komercyjny w ostatecznym rozrachunku udzielić może 28 571 zł 43 gr. kredytów. Istotą tych operacji jest otwieranie nowych rachunków dla klientów banku lub podwyższenie stanu już istniejącego konta bez przepływu gotówki, czyli na zasadzie zapisu elektronicznego. Cyfry te stają się „pieniędzem”, gdyż posiadacz konta może wydatkować zapisane środki, a także dokonać ich konwersji do postaci gotówki. Ta z kolei, prędzej czy później, znów trafi na rachunki bankowe – tego samego lub innego banku. Wymusza taką kolej rzeczy chociażby obowiązek prowadzenia rozliczeń dokonywanych w ramach prowadzonej działalności gospodarczej w postaci bezgotówkowych przelewów. Uzyskane wpłaty ponownie zostaną przeznaczone na rezerwę obowiązkową, a jej odpowiednia wielokrotność trafi na rynek w postaci dalszych kredytów. Stąd presja na pozyskiwanie możliwie największej ilości także drobnych klientów i oferty darmowego prowadzenia kont, gdyż z każdej ulokowanej złotówki udzielić można 28,5 zł kredytu i to na tych, nieistniejących, środkach banki obecnie zarabiają najwięcej.

W społeczeństwie nastawionym na masową konsumpcję, tradycyjnie kredytowaną, ciągła cyrkulacja kapitału skutkuje jego wielokrotnym „mnożeniem” poprzez „pożyczanie” wciąż tych samych pieniędzy. Im niższy jest w danym państwie poziom obowiązkowych rezerw deponowanych przez banki komercyjne w banku centralnym (w Polsce NBP), tym większe są możliwości kreacji pustego pieniądza – nieistniejącego. Dlatego w USA tak ochoczo udzielano kredytów hipotecznych wszystkim chętnym, bez dbałości o ich realną wypłacalność. Jeśli dłużnik spłaci kredyt, to bank zarobi na odsetkach. Jeśli nie, to straci coś czego i tak nie miał. Dziś zarobią też pracownicy wszystkich szczebli, bez względu na to, co przyniesie jutro. Prowizję od sprzedanych produktów

kredytowych uzyska handlowiec. Wysoki poziom pozyskanych klientów zapewni premię dyrektorowi oddziału, a zwiększany udział w krajowym rynku usług bankowych spotka się ze szczodrością względem centrali i zarządu. Zadowoleni są wszyscy. Łatwo dostępne kredyty na nieruchomości to zwiększony popyt na domy i mieszkania. Stosunkowo ograniczona podaż na ziemię (nikt jej nie produkuje!) skutkuje wzrostem jej wartości, a więc i cen na detalicznym rynku mieszkaniowym. Wyższe ceny to wyższej wartości kredyty, a więc i wyższe prowizje oraz odsetki, a zatem większe zarobki bankierów... Opłacalność interesu dopełnia brak rozsądku klientów, godzących się na przekazywanie 2/3 zarobków przez 45 lat. Nikt przecież dziś nie może być pewnym, iż przez niespełną pół wieku jego dochody nie ulegną obniżeniu, ani że z przyczyn losowych nie utraci miejsca pracy, ani zdolności do zarabkowania. Ale to dzisiaj nie jest ważne. A to teraz wypłacane są premie i wręczane klucze do domów... Radosną niefrasobliwość wspiera nastawienie władz, np. nad Potomakiem lansujących hasło „dom dla każdej rodziny”. Polityka zapewnia ciche przyzwolenie na niegospodarność banków, bo tymczasowo zadowolony kredytobiorca to głos oddany na obecnie rządzącą partię. Koło się zamyka.

Co szkodliwego z tego wynikło? Otwarte zostały szerokie wrota do oszustw. Pomijamy już kwestię tego, że każdy chciałby zarabiać na odsetkach i opłatach administracyjnych za pożyczanie czegoś, co w ogóle nie istnieje i czego sam nie posiada – czyli właśnie pustego pieniądza, którego nigdy nie było! Czyż to nie piękne, że można w pełni legalnie „wymyślić” sobie stan swojego rachunku? Falszerz za podrobienie banknotu 10 złotowego może pójść do więzienia na 25 lat, bank kreując wirtualny, miliardowy kapitał jest w pełni legalny. A co się stanie, jeśli udzielone kredyty nie zostaną później spłacone? Nic. Kredytobiorcy pod naciskiem komorników będą do śmierci spłacać niemające pokrycia w realnej wartości nabytych dóbr dłużni.

Te zaś zostaną za ułamek kwoty nominalnej sprzedane zewnętrznym podmiotom windykacyjnym i funduszom sekurytyzacyjnym inwestującym w tzw. „*portfele wierzytelności*”. Odzyskane środki nie powrócą już do banku. Stracą więc wyłącznie osoby deponujące swe oszczędności, nie tylko jednak w tej konkretnej placówce lub sieci, a faktycznie wszyscy oszczędzający i podatnicy, zmuszeni do załatwienia powstałych dziur. W Polsce wsparcie finansowe w przypadku upadłości banków zapewnia Bankowy Fundusz Gwarancyjny. To z jego zasobów spłacona zostanie część utraconych depozytów. Drobni ciułacze złożą się na spłatę fortun roztrwonionych przez rekinów finansjery. Idealnym przykładem konsekwencji za nieodpowiedzialną politykę kredytową jest amerykański system bankowy. Jaką karę poniosły osoby, które doprowadziły do gigantycznej bańki kredytowej, która rzuciła na kolana gospodarkę USA i miliony Amerykanów zostawiła bez dorobku życia? Otóż, dostały miliardy dolarów dotacji z budżetu na ratowanie tonącego okrętu, gdyż bez niego kraj nie byłby w stanie przeczekać kryzysu. Gdyby pusty pieniądz nagle zniknął z rynku, okazałoby się, że nie ma na nim niemal żadnego kapitału. Za pomoc w utrzymaniu fikcji prezesi banków otrzymali premie, jednostkowo sięgające kilkudziesięciu milionów USD. *I po co okradać banki? Nie lepiej po prostu je zakładać?* Współczesne państwa demokratyczne stały się zakładnikami systemu bankowego. To kredyty umożliwiają wyborcom zakup domu i samochodu, na które normalnie musieliby latami odkładać pieniądze. Upadające przedsiębiorstwa uzyskują niespłacalne kredyty, dzięki czemu sztucznie ograniczane jest bezrobocie. Pusty pieniądz wydatkowany na rynku pośrednio wraca do Skarbu Państwa w drodze finansowania zakupu obligacji państwowych, łąających tymczasowo dziurę budżetową. Tymczasowość systemu to podstawa filozofii jego istnienia. Wszystkich udzielonych kredytów nie da się spłacić, jest to

niewykonalne zarówno z przyczyn ekonomicznych, jak i kulturowych – ludzie przywykli do życia ponad stan i za nic w świecie nie zgodzą się na zaciskanie pasa. Chcą kolejnych kredytów, które spłacą zaciągając kolejne. Ten, kto spróbuje przeciąć ten ciąg utraci poparcie wyborców i zburzy domek z kart – obecny porządek gospodarczy oparty na fikcji pokrycia ponoszonych wydatków przez kapitał, a na to oczywiście brak woli politycznej. O wiele korzystniej jest dodrukować kolejne miliardy i „wpompować” je w krwiociąg finansowy w postaci dotacji. To się wszystkim opłaca. *A co będzie za kilka lat?* O to niech się martwi opozycja, która wtedy dojdzie do władzy... Zresztą oni też najpewniej zrobią to samo – dodrukują pieniędzy i zwiększą deficyt budżetowy. USA czyni tak od dekad.

Globalne „nieuczciwości” systemu bankowego nie wykluczają występowania obok nich drobnych, „detalicznych” oszustw. Wbrew pozorom, banki nie zasługują na miano instytucji zaufania publicznego, a ich kadry coraz częściej celowo działają na szkodę klientów. Trudno wówczas nawet mówić o wspieraniu interesu finansowego tych instytucji, gdyż króluje samowola, a w grę wchodzi zysk poszczególnych pracowników. Stąd kilkadziesiąt lat temu nazwano ich na cześć gangsterów banksterami...

Regułą rzetelnej bankowości pozostaje wyśmiewane przez kredytobiorców *udowadnianie przed otrzymaniem „pożyczki”, że się jej nie potrzebuje*. Oczywiście gros przedsiębiorców, jak i osób prywatnych, ma z tym istotny problem – są czasowo lub trwale niewypłacalni, albo ich biznesplan obiektywnie nie rodzi szans na zyski. Jednym z najczęściej spotykanych zabezpieczeń kredytów stały się nieruchomości, zazwyczaj o wartości o wiele wyższej niż udzielone wsparcie finansowe. Czynnikiem stymulującym pozostał nagły wzrost wartości gruntów i budynków, w związku z czym wiele osób nie posiadało wykształcenia, ani doświadczenia zawodowego umożliwiającego osiągnięcie wysokich dochodów, a jednocześnie

dysponowało znacznej wartości majątkiem – otrzymanym w spadku gospodarstwem rolnym, mieszkaniem własnościowym lub dawniej bezwartościową, a dziś niemal bezcenną działką budowlaną. Był i jest to idealny cel dla wszelkiej maści oszustów. Pomimo pełnego pokrycia kredytu w wartości zabezpieczenia, w polskich realiach często oczekiwane jest dodatkowe wynagrodzenie osoby decyzyjnej (zazwyczaj prezesa) za aprobatę złożonego wniosku. Łapówki praktykowane są najczęściej w bankach położonych w małych miejscowościach i nastawionych na obsługę działalności rolniczej oraz opartej na przetwórstwie i produkcji artykułów spożywczych. Nie jest to jednak największa perfidia. Standardem stało się bowiem przejmowanie za bezcen nieruchomości na podstawie zabezpieczonych nimi ryzykownych, a w istocie absurdalnych bo oczywiście niespłacalnych kredytów.

Dobry analityk bankowy znający branżę i uwarunkowania rynkowe bez trudu oszacuje prawdopodobieństwo zarobku na wprowadzonym w życie biznesplanie. Odrobina doświadczenia życiowego pozwoli też wytypować ofiarę dostatecznie nieporadną do ograbienia. Naiwność kredytobiorców umożliwi zabezpieczenie nawet groszowego kredytu hipoteką. Pewne fiasko inwestycji skutkować będzie brakiem spłaty rat i wydaniem bankowego tytułu egzekucyjnego, a po nadaniu klauzuli wykonalności komornik podejmie egzekucję z nieruchomości. Uzyskanie korzyści pozostaje najłatwiejsze i najszybsze w przypadku wypłacanego transzami kredytu obrotowego lub inwestycyjnego. Jakakolwiek zwłoka w wypłacie kolejnej raty finansowania skutkować musi wstrzymaniem inwestycji lub utratą płynności płatniczej i załamaniem działalności. Wówczas banksterom pozostaje już tylko zrealizowanie hipoteki i korzystny zakup za odpowiednio niską cenę. Dłużnik pozostaje z rozwiązaną umową kredytową, nie uzyska już dalszych transz, a zobligowany jest do natychmiastowego zwrotu wszelkich dotychczas

przekazanych środków, naliczonych odsetek i ewentualnych kosztów dodatkowych (prowizji, opłat administracyjnych etc.). Zachowana dla egzekucji z nieruchomości właściwość terytorialna komornika premiuje pokrzywdzenie kredytobiorcy regionalną solidarnością. Nie jest tajemnicą, że lokalne „elity” często trzymają się razem i wzajemnie wspierają. Odpowiednio ukierunkowane czynności egzekucyjne, w postaci doboru zaprzyjaźnionego lub spolegliwego i naiwnego rzeczoznawcy, zagwarantować mogą korzystny dla przyszłego nabywcy operat szacunkowy, dający podstawę do przyjęcia niskiej ceny wywoławczej. Prości ludzie nigdy nie kwestionują nawet skrajnie nieprawidłowego opisu i oszacowania, ryzyko jest więc znikome. Kpc wymusza publikację obwieszczenia o licytacji w budynku sądowym i w lokalu organu gminy oraz w dzienniku poczytnym w danej miejscowości. Im więcej potencjalnych nabywców, tym większe zagrożenie podbicia ceny do poziomu rynkowego. *Jak praktyka omija te rygory?* Ogłoszenia o planowanej sprzedaży publikowane są w trzeciorzędnych pismach, które formalnie spełniają wymagania ustawowe, lecz w praktyce nie trafiają do grupy docelowej potencjalnie zainteresowanej zakupem. Kartki w gablotach zamiast przed oczy interesantów lądują pod równie ważnymi ogłoszeniami o godzinach działania księgowości i próbach kościelnego chóru. Sam twórczy opis przedmiotu sprzedaży też może skutecznie zrazić potencjalnych nabywców. Jest to o tyle istotne, iż pierwsza licytacja wymusza cenę wywoławczą na poziomie 3/4 oszacowania, natomiast w drugim terminie może ona zostać obniżona do 2/3.

W jaki sposób wyeliminować niechcianych kupców, którzy pomimo wszystko złośliwie pojawią się na licytacji? Warunkiem uczestnictwa w niej jest wcześniejsze uregulowanie wadium. Liczba wpłat wskazuje ilość licytantów, a więc kontrola konta umożliwia prewencyjne odwołanie aukcji. Tym samym wyeliminowane zostaje

ryzyko utraty łupu lub chociażby podbicia ceny przez innych chętnych. Gdy przedpole będzie czyste, podstawiony nabywca spokojnie dokona zakupu za cenę znacznie odbiegającą w dół od rynkowej. Przekazane pieniądze w większości trafią do banku (który nierzadko kredytował też licytanta), w części do komornika na pokrycie kosztów egzekucji, a szczątkowa nadwyżka zwrócona zostanie dłużnikowi. Ten zostanie bez niczego, a prowincjonalni bankierzy przejmą atrakcyjne grunty lub budynki bez żadnych inwestycji własnych. Tak działają mali oszuści, a co robią duzi?

Bum na nieruchomości mieszkalne uczynił, jak zawsze, gdy w grę wchodzi duże pieniądze, w pełni legalnymi transakcje, które każdy zdroworozsądkowo myślący człowiek nazwałby szwindlem. Pod koniec pierwszej dekady XXI wieku realny koszt budowy metra powierzchni mieszkalnej oscylował około 2 000 zł. Jednak ceny kawalerek na rynku detalicznym w Warszawie sięgały aż 12 000 zł za metr i nie było to ostatnie słowo sprzedawców. Tak naprawdę najbiedniejsi nabywcy, a więc ci, których nie było stać na zakup za gotówkę, zapłacą jeszcze więcej. Przykładowy kredyt na mieszkanie o powierzchni 25 m² i wartości 300 000 zł, wzięty na 45 lat przy ratach stałych i oprocentowaniu na poziomie 6,14%, łącznie sięgnie wartości 885 150 zł, w czym odsetki wyniosą 585 150 zł. W przeliczeniu na cenę metra koszt całkowity to 35 406 zł. Drogo. Krwiożerczy kapitalizm można jednak zrozumieć, czego nie sposób już powiedzieć o wynalazku zwanym „*odwróconą hipoteką*”. Ludzie do późnej starości będą spłacać mieszkania. Gdy już uregulują ostatnią ratę, odkryją, że życie zbliża się ku końcowi a emerytura nie zapewnia godnej jesieni, leków i możliwości pomocy dorosłym już dzieciom. Remedium stanowić ma dodatkowa renta wypłacana przez powiązane z bankami fundusze hipoteczne w zamian za zrzeczenie się praw do lokalu po śmierci. Dokonują one wyceny nieruchomości, a następnie szacują przewidywaną długość życia właściciela na

podstawie jego wieku, płci i innych przesłanek. Zgodnie z ideą, beneficjent otrzymać powinien około połowy wartości mieszkania lub domu w równych, miesięcznych ratach w przewidywanym okresie. Tyle teorii, praktyka jest mniej optymistyczna. Miesięczna renta sięga zwykle kilkuset zł, co przy statystycznie niedługim życiu Polaków (zwłaszcza płci męskiej) oznacza sprzedaż spłacanej przez całe życie nieruchomości za kilkadziesiąt tysięcy zł. 65-letnia właścicielka mieszkania o wartości 300 000 zł może otrzymać od funduszu rentę hipoteczną w wysokości jedynie 400 zł. W ciągu 10 lat otrzyma więc 48 000 zł, a za 20 lat 96 000 zł. Jakie jest prawdopodobieństwo, że beneficjentka dożyje aż 85 roku życia? Małe. Może być i tak, że mieszkanie odda za 5 000 zł. Co więcej, gdyby równowartość lokalu zdeponowała na zwykłej lokacie bankowej, to roczne odsetki od takiego kapitału wynosiłyby około 15 000 zł, czyli 3 razy więcej niż owa renta. A po śmierci lokata nie przepada na rzecz banku, lecz podlega normalnemu dziedziczeniu.

Przejęcie nieruchomości odwróconą hipoteką, w porównaniu do zakupu w cenie rynkowej, na faktycznie realizowany 20-letni kredyt, to oszczędność minimum 425 660 zł, co z wcześniejszym zyskiem na odsetkach daje bankowi łącznie 1 010 810 zł. Kwota ta to pewnie pensja całego życia kredytobiorcy – oddana za pożyczenie nieistniejących pieniędzy na zakup czegoś, co powinno być kilkakrotnie tańsze. I to w pełni legalnie. Chapeau bas.

Rozdział XXX

Oszustwa firm ubezpieczeniowych

Unormowania unijne nakładają obowiązek opłacania licznych składek ubezpieczeniowych mających gwarantować godne życie, opiekę medyczną i odszkodowanie w przypadku katastrofy, wypadku lub choroby. Miesięczny budżet liderów tej branży sięga w Europie dziesiątek miliardów zł, co naturalnie rodzi pokusę zachowania lwiej części tej kwoty w dyspozycji rynkowych gigantów. *W jaki sposób pokrzywdzić ofiary wypadków drogowych, przy pracy, w szkole i błędów medycznych?* Jak zawsze – wystarczy zaprzeczyć zasadności roszczenia i bezkarnie odmówić zapłaty.

Każdy, kto miał wypadek: złamał nogę przeskakując nad kałużą, został potrącony przez samochód lub wjechał pod łamiący przepisy ruchu drogowego tramwaj, ten wie, że ubezpieczyciel bardzo chętnie wypłaci... symboliczną kwotę i zamknie sprawę ugodą. Bardzo niekorzystną dla poszkodowanego. Jeśli dojdzie do osobistej rozmowy pomiędzy ofiarą nieszczęścia a pracownikiem działu likwidacji szkód, wysłucha ona pełnego zrozumienia monologu, informującego o licznych błędach – leżących po stronie właśnie ofiary. Z uwagi jednak na miękkie serce likwidatora *na te „niedogodności” zostanie przymknięte oko*, a odszkodowanie niezwłocznie trafi na wskazanych rachunek bankowy. Niekiedy trafia tam jeszcze przed uzyskaniem consensusu, tak, że poszkodowany postawiony zostaje przed faktem dokonanym. Oczywiście, aby kierownictwo nie zakwestionowało decyzji i nie zażądało zwrotu hojnego „daru” należy w tej samej chwili podpisać ową ostateczną i

nazbyt szczodłą ugode... Zamykając raz na zawsze drzwi do większego, a rzeczywiście w pełni należnego odszkodowania. Każde wypowiedziane przez likwidatora szkód słowo było kłamstwem.

Wewnętrzne, tajne instrukcje nakazują kwestionowanie wszelkich roszczeń i zawieranie niekorzystnych ugód opiewających na ułamek należnych kwot. Petenta należy z jednej strony zastraszyć niezasadnością roszczenia, a z drugiej omamić groszami, które dla niemających i tak wydają się małą fortuną. Znamienny przykład to sprawa staruszki potrąconej na pasach przez samochód. Jeszcze w szpitalu odwiedził ją przedstawiciel ubezpieczyciela i zaproponował 2000 zł rekompensaty, wyraźnie sugerując, iż szczodrość oferty wynika z jego prywatnej sympatii i troski o ubogą emerytkę. Ugody nie podpisano, sprawę przejęła kancelaria prawna, której w pierwszej rozmowie zaoferowano już 20 000 zł. Najpewniej proces sądowy przyniósłby kwotę o co najmniej 50% wyższą, jednak związane z nim trudy i przewlekłość zadecydowały o przyjęciu propozycji. Nie rozpaczajmy jednak – podobne porażki zdarzają się niezmiernie rzadko i w zdecydowanej większości przypadków udaje się uniknąć wypłaty. Pieniądze pozostają w kasie ubezpieczyciela i wszystko kończy się dla niego „dobrze”. Wystarczy konsekwentnie mówić „nie”, na każde zapytanie mailowe lub listowe odpowiadać lakonicznie w stylu: „*ponowna szczegółowa analiza dokumentacji nie ujawniła przesłanek do zmiany decyzji*”, a także, w przypadku roszczeń z tytułu uszczerbku na zdrowiu, nawiązać serdeczną współpracę z właściwym lekarzem-orzecznikiem. Niektórzy warszawscy medycy ograniczają się do wpisywania dogłębnej, choć jednozdaniowej, ale zarazem jakże obiektywnej opinii o stanie zdrowia pacjenta: „*brak podstaw do wypłaty odszkodowania*”. Takie drobiazgi jak dwa zabiegi operacyjne przy wielokrotnym złamaniu kości nóg i sztywne dożywotnio stawy oczywiście należy przemilczeć, aby sobie samemu zbędnie nie zaprzeczać.

Większość poszkodowanych, czyli ci niereprezentowani przez skutecznych adwokatów, to jednostki społecznie „słabe”, a więc zazwyczaj niezaznajomione z meandrami prawa. Nieświadome tego, co im się należy. Im materialne wynagrodzenie krzywd należy się najbardziej, lecz zarazem najczęściej są go pozbawiani. Nie walczą o pieniądze, cieszą się drobnymi kwotami. Panicznie wręcz boją się sądów. Nic dziwnego, gdy pierwsza konfrontacja z prawnikiem ubezpieczyciela zwykle kończy się dla nich upokorzeniem, wykazaniem tego, jak mało wiedzą, i jak mało znaczą. Skrzyżowanie politowania z pogardą skutecznie nakłania większość poszkodowanych do wycofania roszczeń. Rezygnację wzmacnia wizerunek przeciwnika – potężna instytucja zapewne wie co robi i na pewno wygra. Na tym żerują nieuczciwi ubezpieczyciele, czyli zdecydowana większość. Tylko wypadki śmiertelne liczyć mogą już na starcie na propozycje rządu kilkuset tysięcy zł. Wynika to po części ze znacznego ciężaru gatunkowego sprawy, jak i obawy przed wypracowaniem niekorzystnej linii orzecznictwa sądowego. Śmierć matki małych dzieci pod kołami pijanego kierowcy wzbudzić może w sędziach współczucie, implikujące milionowe odszkodowanie. Takie precedensy mogą zniszczyć budżety nawet gigantów pokroju PZU lub Warty. Lepiej zapłacić, a raczej obiecać i maksymalnie długo przeciągać wypłatę. Powody ku temu zawsze się znajdują: niezakończone czynności dochodzeniowo-śledcze, później proces sprawcy wypadku, apelacja, następnie wątpliwości co do „istotnych” okoliczności i tą drogą kwota główna trafi do rodziny ofiary po dwóch albo trzech latach. Jaki z tego zysk? Pół miliona na lokacie bankowej z procentem składanym w ciągu trzech lat z samych odsetek przynieść może dodatkowo niemal sto tysięcy zł. A może apelacja oskarżonego o spowodowanie wypadku zostanie uwzględniona, i nagle „okaże” się, że są „świadkowie” wtargnięcia na jezdnię? Wówczas odszkodowanie można okroić do minimum. Po

co więc wydawać własne pieniądze na proces lub spieszyć się z przekazaniem gotówki, skoro wystarczy odwołać się do ustaleń powziętych na cudzy koszt.

Inne rozwiązania przyjęte zostały dla przedstawicieli zawodów medycznych i prawnych. Choć opłacają składki OC, ich klienci jedynie w skrajnych przypadkach liczyć mogą na naprawienie wyrządzonych szkód. Każdy adwokat, a w przypadku spółki kancelaria adwokacka, musi wykupić indywidualną polisę OC. Radca prawny jest z tego obowiązku pośrednio zwolniony, gdyż ubezpieczenie opłaca Okręgowa Izba Radców Prawnych w której jest on zrzeszony. W teorii jest to rozwiązanie korzystne dla klientów – bez względu na wypłacalność prawnika wszelkie jego błędy zostaną finansowo wynagrodzone. Praktyka jest inna, co czyni interes opłacalnym dla myśli przewodniej niniejszego podręcznika. Wszelkie pobrane składki stają się bezzwrotnym prezentem dla ubezpieczyciela z którego absolutnie nic nie wynika.

Aby uzyskać odszkodowanie z tytułu błędów pełnomocnika procesowego wykazać należy, że wpłynął on na niekorzystną treść wyroku, a co więcej, gdyby owy błąd nie zaistniał spór zostałby rozstrzygnięty na korzyść poszkodowanego. Oznacza to jednak po pierwsze podważanie prawomocnego już wyroku sądu, a po drugie kompetencji sędziego – który w zakresie interpretacji prawa (również w teorii) nie może zdawać się na sugestie adwokata a jedynie na własną wiedzę, zaś w zakresie materiału dowodowego i oceny dowodów zobligowany jest do działania z urzędu, w zgodzie z wiedzą naukową, logiką i doświadczeniem życiowym. Słowem – radca i adwokat to dodatek, a sędzia ma zawsze rację, bo gdyby było coś nie tak jak powinno, to niezawisły skład sędziowski z pewnością by to dostrzegł. Ergo – każde roszczenie jest bezzasadne! Prawnik nie popełnia błędu, on realizuje strategię procesową, która niestety czasem kończy się niepowodzeniem, ale to wynika wyłącznie ze

stanu faktycznego i dowodów, za które odpowiada wyłącznie jego niemający racji klient. Czyli poszkodowany. Czyli nieposzkodowany. Sprawiedliwości stało się zadość, więc brak podstaw do zapłaty. Nic tylko ubezpieczać kancelarie i pobierać składki.

Skrajnym przykładem skutecznego występowania przeciwko poszkodowanemu pozostawał casus adwokata z Izby Adwokackiej w Siedlcach. Zaawansowany już wiekiem prawnik przydzielony został z urzędu do pomocy dłużnikowi będącemu w sporze z bankiem. W pierwszej instancji sąd nie przychylił się stanowiska jego klienta i nie uwzględnił m.in. istotnych zeznań dyrektora banku złożonych w innym procesie. Potwierdzały one nieprawidłowości przy udzieleniu ryzykownego kredytu. Mecenas złożył od wyroku sądu apelację, jednakże, z uwagi na uchybienie terminów, została ona odrzucona. Sędziwy już prawnik po prostu zapomniał nadać pismo, a tymczasem wyrok się uprawomocnił. Adwokat przyznał się do uchybienia i sam napisał wniosek do ubezpieczyciela o wypłatę odszkodowania. Negatywną odpowiedź uzasadniono „*brakiem możliwości oceny, czy przytoczony błąd wpłynął na negatywną sytuację pozwanego*” oraz „*brakiem podstaw do kwestionowania orzeczenia sądu I instancji i snucia hipotez na temat stanowiska sądu apelacyjnego*”. I tej wersji zawsze należy się trzymać. *W końcu sądy są nieomyłne, prawda?*

Z nieco innych przyczyn opłaca się ubezpieczać branżę medyczną. Przysłowiowa stała się już wzajemna lojalność tego środowiska. Trudno znaleźć lekarza, który zakwestionuje przed sądem diagnozę kolegi po fachu. Jeśli taki śmiałek się znajdzie, przeciw niemu stanie wielu znamienitych profesorów nauk medycznych, którzy dla zasady zgniotą kalającego własne gniazdo. Nawet w amputowaniu nogi, gdy choremu dokuczały migdałki, doszukają się uzasadniających taki zabieg objawów. Nie ma błędu, nie ma powodu do wypłaty odszkodowania. A jeśli delikwent przyzna się do winy, to tylko w przypadku niemożliwych do

zatuszowania okoliczności wypełniających zwykle znamiona tzw. rażącego niedbalstwa. Wtedy jednak na ratunek ubezpieczycielowi przychodzi zapis art. 827 § 1 Kodeksu cywilnego, wyłączający spod obowiązku naprawienia szkody wyrządzone właśnie rażącym niedbalstwem. Zapłacić musi sam lekarz, a więc nie uszczupli puli zebranych składek. Ciekawe rozwiązanie przyjęto w Krakowie, wyłączając spod ubezpieczenia szkody wynikłe z zachowania stanowiącego przestępstwo lub wykroczenie, jeżeli wina ubezpieczonego została stwierdzona prawomocnym orzeczeniem sądu powszechnego. Sęk w tym, że multum zdarzeń naruszających zdrowie pacjenta właśnie tak zostanie sklasyfikowana. Podjęcie czynności pod wpływem alkoholu, nieudzielenie pomocy, nieumyślne spowodowanie śmierci, wykonanie wbrew prawu lub zgody kobiety aborcji, wyrządzenie trwałego uszczerbku na zdrowiu, narażenie na niebezpieczeństwo utraty życia lub zdrowia, czy na zakażenie ciężką chorobą, a więc najpoważniejsze i zarazem najdotkliwsze finansowo konsekwencje błędów medycznych nie zostaną nawet w części pokryte z takiej polisy. Tak, na ubezpieczeniu lekarzy też da się „zarobić”.

Kolejny kruczek to odwołanie do starorzymskiej paremii: *nieznajomość prawa szkodzi*. Każdy wykupujący ubezpieczenie na czas podróży mógł skorzystać z objęcia nim dóbr takich jak laptop, aparat fotograficzny, kamera wideo czy też ogólnie cały bagaż. Odpowiednio zdefiniowany zakres odpowiedzialności wykluczyć może jednak pozornie oczywiste roszczenie. Mało kto wie bowiem, że kradzież nie jest w materii prawnej synonimem rozboju, wymuszenia, kradzieży z włamaniem lub przywłaszczenia. Tak, kradzieżą zwykłą jest wyjęcie telefonu z naszej kieszeni, ale już nie z pokoju hotelowego lub samochodu do których wylamano zamki. Napaść i odebranie przemocą naszej Nokii, czy „pożyczenie” bezzwrotne także nie wypełnią ustawowych znamion tego, a innych

przestępstw. Wąskie jest pole ochrony polisy. Ale o tym klient dowiaduje się już po zgłoszeniu przestępstwa.

W pełni świadome ubezpieczenie mieszkania i domu wymaga lektury objętością podobnej do Biblii, z tą różnicą, że ta ostatnia zwykle jest zapisana większą czcionką od draftu umowy i załączników. Kluczem umożliwiającym pozostawienie klienta bez pieniędzy są obszerne definicje, w tym nawet pozornie oczywistych terminów. Huragan to nie wiejący z o wiele większą prędkością orkan, ani też nazbyt wolny, zwyczajny wiatr. Granicą może być, wedle uznania ubezpieczyciela, np. prędkość 18, albo 24,5 metra na sekundę. Szkody powstałe w innych warunkach nie zostaną naprawione. Ubezpieczenie od ognia nie pokryje kosztów powstałych w wyniku akcji gaśniczej (zalenie murów i sprzętów), ani zadymienia. Konsekwencje opadów atmosferycznych mogą nie obejmować stopionych po zimie mas śnieżnych, podobnie powódź i zalanie, choć fizycznie podobne, nie wynikają z tej samej kategorii zdarzeń. Nawet drobne różnice, w stylu zastrzeżenia odszkodowania dla źródła zalania, jak „wyciek z” albo „stłuczenie” urządzeń hydraulicznych, wpłynąć mogą na podstawę roszczenia i obalić jego zasadność. Kolejna kwestia to sposób wyceny szkód już mieszczących się w przyjętej definicji. Dla laika określania: wartość odtworzeniowa i wartość rzeczywista pozostają tożsame. Dla ubezpieczyciela pierwszy oznacza obowiązek pokrycia kosztów zakupu nowego sprzętu, a druga jedynie wypłaty kwoty obniżonej o wiek i stopień zużycia dobra utraconego. Różnica ta może być ogromna – nowa meblościanka to wydatek kilku tysięcy zł, a zwrot rzeczywistej wartości pamiętających rządy Edwarda Gierka regałów to symboliczne 300 zł. Dlatego czytając wzór umowy pamiętać należy o kwiecistych określeniach, które choć poetyckie i wzbudzające zaufanie, w istocie mają na celu ograniczenie do minimum sytuacji wymuszających wypłatę odszkodowania.

Kolejne furtki znaleźć można w przypadku ubezpieczeń na życie lub na wypadek poważnej choroby. Paradoksalnie, niektóre polisy nie obejmują nieszczęśliwych wypadków, albo przewlekłych chorób, czy nieszczęść związanych z uprawianiem sportów ekstremalnych, a prawie żadne nie zapłacą za śmierć w wyniku aktu terroru lub wojny. Okolicznością wykluczającą może też być zabieg leczniczy wykonany poza kontrolą lekarza, w co wliczać trzeba także nieudolne udzielenie pierwszej pomocy przez przypadkowego przechodnia. Lista wyłączeń niekiedy zawęży wręcz wypłatę do zgonu ze starości. *Ale kto czyta umowy?* Przecież to tylko formalność... A nawet, jeśli śmierć złośliwie nie wypełni żadnej z przewidzianych przesłanek, zawsze powołać można się na „*rażące zaniedbania*” lub „*nienależytą staranność*” samego zmarłego. Niech nieutuleni w żalu nas pozwą. Dodatkową pułapką uczynić można pominięcie na pewnym etapie mechanizmu indeksowania składki, czyli elementu chroniącego przed szkodliwym wpływem inflacji. Po 15 latach opłacania składek imponująca kwota, przewidziana na spłatę kredytu hipotecznego i studia potomków, realnie zmniejsza się do poziomu ceny trumny. Rezygnację z tej opcji przedstawić można jako „*wielki przywilej*” klienta, gwarantujący mu niezmiennosc kosztów. Ucieszy się.

Równie ciekawie wygląda przyznanie renty zdrowotnej. Znane były przypadki, gdy lekarz orzecznik po stwierdzeniu przesłanek do jej wypłaty został zamieniany na innego, mniej ambitnego, który zakwestionował nawet odnotowane w karcie pacjenta wielokrotne zawały. Tym samym chory otrzymywał dar zdrowia wiecznego. Arbitralną decyzję może rzecz jasna zaskarżyć do sądu, który już za 2 lub 3 lata wyjaśni sprawę. Pod warunkiem, że zdrowie ubezpieczonego na to pozwoli i dożyje on wyroku.

Ubezpieczyciele nie ograniczają się wcale do finezyjnego kwestionowania podstaw faktycznych roszczenia. Raport NIK z

2011 roku ujawnił, że w 40% ze stosowanych około 1000 wzorów umów zawarte były zapisy niezgodne z prawem. Oczywiście w sądzie nie byłyby one respektowane, lecz ile osób po „doczytaniu” warunków polisy skonfrontuje jej treść z licznymi ustawami oraz konstytucją, a następnie wytoczy proces? Niemal żadna. Co ważne, absolutnie nikt też, bez względu na sposób w jaki to uczyni, nie poniesie żadnej odpowiedzialności karnej z powodu odmawiania wypłaty odszkodowania. Nigdy. Tu można więc być spokojnym, lecz dużym problemem stają się wyspecjalizowane kancelarie prawne. Cwaniakom najmującym prawników czasem trzeba zapłacić...

Ale nie demonizujmy! Nie możemy tylko utrudniać ludziom życia, bo w końcu przestaną do nas przychodzić. Czasem trzeba iść petentom na rękę. Przykładem tego jest wypłata odszkodowań z OC kierowców za zniszczone w kolizjach drogowych części samochodowe. Poza absolwentami studiów administracyjnych nikt nie lubi zbytnich formalności. Dlatego faworyzowaną przez ubezpieczycieli formą wyceny szkód jest oszacowanie ryczałtowe na podstawie opinii technicznej, która (w teorii) uwzględnia cenę nowych, oryginalnych części producenta danej marki i średnią regionalną stawkę roboczogodziny mechanika, elektryka, blacharza, czy lakiernika z miejsca zamieszkania poszkodowanego. W praktyce jednak rozbieżność pomiędzy wyceną rzeczoznawcy, fakturą autoryzowanego serwisu oraz naprawą „bez faktur” jest znaczna. Nie dziwi sytuacja, gdy te trzy propozycje finansowo wyglądać będą następująco: 1500 zł, 6500 zł i 3000 zł. Różnica pomiędzy wypłaconą kwotą a realnym kosztem to zysk ubezpieczyciela. Wielu poszkodowanych dla świętego spokoju lub z czystej pazerności od razu przyjmie proponowaną sumę, a najwyżej później pluć będzie sobie w brodę za lekkomyślność. Inni zgodzą się z powodu braku bieżących środków na pokrycie kosztów całej naprawy i dopiero późniejsze dochodzenie na drodze sądowej należności. Niektórzy, a

ci są w mniejszości, będą walczyć i w końcu dostaną upragnione pieniądze. *Ale kto by się przejmował wyjątkami potwierdzającymi regułę?* Zwłaszcza, że kluczową jest czwarta kategoria...

Im więcej na danym terenie kradzieży pojazdów, tym więcej osób zainteresowanych jest wykupem drogiej polisy autocasco. Popyt stymuluje podaż, ta więc wzrasta, gdy rynek przejawia nadmierne zapotrzebowanie na bardzo tanie części zamienne. Jak już wspomniano, pojazd po rozkręceniu jest wart o wiele więcej, niż jako integralna całość. Do tego legalizacja skradzionego samochodu bywa trudna, a oddzielone błotniki i akumulatory już nie tak łatwo Policji znaleźć. Montując kradzione elementy poszkodowany nie tylko wspiera finansowo kolegów z dzielnicy, ale i z głodowego ryczału otrzymanego od ubezpieczyciela może wykroić nadwyżkę dla siebie. By mógł tanio kupić, ktoś musi ukraść. Tym samym niskie wypłaty z OC stymulują popyt na AC, a większe zapotrzebowanie umożliwia utrzymanie wysokich cen polis. Symbioza ta i wspieranie innych gałęzi przemysłu wynika w dużej mierze z wrażliwości społecznej ubezpieczycieli oraz wiary w zbawczą rolę resocjalizacyjną rozwoju gospodarczego poprzez wspieranie rodzimych, drobnych przedsiębiorców. Czyli gangów złodziei samochodów. I wszyscy są zadowoleni. Poza nieubezpieczonymi...

Rozdział XXXI

Oszustwa giełdowe

Tygrysy kapitalistycznych gospodarek zdobywają środki inwestycyjne w drodze emisji akcji i obligacji korporacyjnych. Obrót tymi najwartościowszymi realizowany jest za pośrednictwem domów maklerskich i banków na giełdach papierów wartościowych. Podobnie jak w przypadku dzieł sztuki, cenę ich sprzedaży na rynku wtórnym kierowanym zleceniami ogranicza jedynie fantazja nabywcy. Tą zaś można sztucznie stymulować, by odsunęła na bok logikę i przesłanki natury ekonomicznej.

Teoretycznie, kurs akcji zależny jest od popytu. Jak każdy towar, którego podaż jest ograniczona, tak ten im bardziej jest pożądanym, tym większą osiąga cenę. W przeciwieństwie jednak do innych dóbr, zwłaszcza użytecznych i masowych, jest ściśle powiązany z nastrojami tłumu inwestorów, zwykle pozbawionych profesjonalnego warsztatu ekonomicznego. Standardowe przesłanki wzrostu lub spadku kursu to nowe sprawozdania finansowe spółki, informacje o wypłacie dywidendy, podpisanych lub utraconych kontraktach, wygranych przetargach, toczonych procesach sądowych, przejętych złożach surowców, nabytych i opatentowanych technologiach, czy uzyskanych uprawnieniach, a niekiedy również nominacjach na wysokie stanowiska osób gwarantujących protekcję polityczną albo powiązania personalne ze strategicznymi, także tylko potencjalnymi, kontrahentami. Czynniki zewnętrzne to głównie zmiany legislacyjne kształtujące teatr funkcjonowania danej branży, publikacje danych makroekonomicznych, zmiany stóp procentowych, sytuacja

krajowych oraz globalnych konkurentów i kontrahentów, wydarzenia zagraniczne kształtujące rynki zbytu lub dostaw, kataklizmy, wahania kursów walut, zmiany personalne w rządach i instytucjach międzynarodowych, ewentualnie konflikty zbrojne lub polityczne ograniczające ekspansję handlową i zaplecze produkcyjne. Elementem nadzwyczajnym bywa skandal obyczajowy, kryminalny lub polityczny związany zazwyczaj z zarządem, albo dyskryminacją lub faworyzowaniem danej spółki giełdowej. Każdy z wymienionych czynników wpływa zwykle na cenę jednostkową akcji, a różnica ta może opiewać na symboliczny grosz, bardziej istotną dla posiadaczy całych pakietów akcji złotówkę, a nawet zupełną utratę wartości albo wielokrotny jej wzrost. Źródłem zarobków drobnych ciułaczy jest dywidenda, nieco rzadziej wahania kursów. Giganci zarabiają na prognozowaniu i reżyserowaniu zmian cen akcji oraz przejmowaniu wartościowszych spółek giełdowych.

Insider Trading to nowoczesne przestępstwo białych kołnierzyków, mające na celu nagięcie reguł gry rynkowej. Zaistnienie wielu z wymienionych czynników kształtujących realia gospodarcze i wizerunek spółki jest wiadome ludziom z „wewnątrz” na długo przed ujawnieniem wiadomości inwestorom, a dopiero wtedy dochodzi do zmiany kursów akcji. Kto posiada informację, gdy ta jest jeszcze niejawna, bez trudu przewidzi przyszłą reakcję rynku. Sprzeda akcje, nim te potanieją, albo kupi przed wzrostem cen. Zyskiem jest zakup za te same środki większej ilości już tańszych papierów wartościowych, czyli rozbudowa pierwotnie posiadanego pakietu, albo gwarantująca korzystną różnicę szybka sprzedaż droższych akcji. W przypadku wahanja rzędu 1 zł na jednostce zarobek detalistów jest znikomy, lecz w przeliczeniu na dziesiątki lub setki tysięcy akcji i przy wielokrotnym wyprzedzaniu konkurencji w ciągu dni możliwe staje się podwojenie zainwestowanego kapitału. Masowe, „szczęśliwe” transakcje rodzą

ryzyko podejrzeń ze strony Urzędu Komisji Nadzoru Finansowego, jednak zachowując umiar też zapewnić sobie można, co prawda mniejszy, ale stały dochód na manewrowaniu pakietem akcji jednej, czy dwóch „*monitorowanych*” spółek. Bezpiecznie. Z gwarancją zerowych strat.

Infiltracja spółki giełdowej przeprowadzona może zostać zarówno w sposób planowy, opisany we wcześniejszych rozdziałach książki, jak i wynikać ze sprzyjających okoliczności. Często okazuje się, że u gigantów rynkowych zatrudnieni są nasi koledzy ze studiów, którzy z różnych przyczyn nie pałają miłością do pracodawcy, albo zwyczajnie przeważa u nich namiętność do pieniędzy. Inna metoda, to również opisany wcześniej szantaż i wymuszenie współpracy. Są to jednak szczegóły techniczne, których w tym miejscu nie należy już omawiać. *Właściwe na tym etapie pytanie to kogo warto pozyskać jako tzw. insidera, czyli szpiega?* Wszelkie osoby związane z głównym ośrodkiem decyzyjnym – niekoniecznie prezesa zarządu, ale już jego asystentka dysponować będzie wszelkimi pożądanymi informacjami, np. o planowanych fuzjach, zyskach i stratach nadzwyczajnych, czy nowych kierunkach aktywności. Równie przydatny okazać się może informatyk kontrolujący pocztę elektroniczną wszystkich działów, czy sprzątaczką zdolną do instalacji keyloggerów. Wartościowi będą pracownicy działu analiz i księgowości, a w przypadku spółek wydobywczych i produkcyjnych wysocy rangą specjaliści ds. technicznych. Wiadomości o podpisywanych kontraktach i ich warunkach zapewnią handlowcy. Szczególnie pożądani są zewnętrzni audytorzy, dysponujący, jako pierwsi, wglądem do sprawozdań finansowych, a to ich późniejsza publikacja niemal na pewno zmieni notowania giełdowe.

Wpływ wydarzenia na cenę akcji zależny będzie od branży i realiów rynkowych. Spółki sektora paliwowego odnotują wzrost po ogłoszeniu podpisania kontraktu na import taniej, rosyjskiej ropy.

Spadek przynieść może zerwanie takiego kontraktu, poważna awaria w rafinerii, czy zatrzymanie przez ABW prezesa pod zarzutem współpracy z Mafią Paliwową i oszustw podatkowych. W branży farmaceutycznej korzyści przyniesie opatentowanie nowego leku lub wciągnięcie już produkowanego na listę refundowanych, straty zaś bezowocne zakończenie wieloletnich i kosztownych badań. Każdy cynk to równowartość nawet lat zwyczajnych inwestycji.

Żyłą złota nazwać należy agentów ulokowanych w pobliżu ministrów właściwych dla spraw finansów, gospodarki, czy służby zdrowia, a także u premiera lub wpływowych posłów i senatorów opcji rządzącej. Mogą to być zarówno prominentni działacze, doradcy, sekretarki, jak i asystenci społeczni rekrutowani z grona aktywu partyjnego i studentów. Wszelkiego typu planowane zmiany legislacyjne normujące wybrany sektor gospodarki lub teatr jego operowania odbijają się na cenach akcji spółek branżowych. Likwidacja barier wejścia na rynek przyniesie wzrost konkurencji dla dotychczasowych monopolistów, co pozwala prognozować niższe dochody. Wzrost obciążeń fiskalnych dla danego produktu zwiększy zainteresowanie konsumentów dobrami substytucyjnymi. Faworyzowanie rozwiązań ekologicznych zapowie dobre czasy dla energii odnawialnej. Znajomość listy leków refundowanych, już na etapie niejawnych konsultacji, wskaże, kto zwiększy produkcję, a kto będzie szukał nowych rynków zbytu. Analitycy giełdowi śledzą wszelkie tego typu informacje o planowanych zmianach i informują o nich klientów. Agent przekaże je nim ujawnione dotrą do analityków i mediów. Wiadomość o zakładanej ingerencji politycznej ma znaczenie w chwili pierwszego ogłoszenia i nie musi wcale skutkować wprowadzeniem zmiany przepisów. Projekt utknąć może na etapie prac rządowych, w sejmie, czy zostać zablokowany przez prezydenta. To nie istotne, rynek zareaguje w momencie przecieku lub ogłoszenia zapowiedzi. Najlepszym przykładem mocy deklaracji

politycznych jest expose premiera Donalda Tuska, zapowiadające dodatkowe opodatkowanie wydobycia kopalin, takich jak srebro i miedź. Notowania KGHM SA spadły tego samego dnia o 14% z 167 zł do 143,90 zł, a na kolejnej sesji do 135 zł za akcję. Trzy dni wcześniej władze KGHM ogłosiły plany skupu z rynku własnych akcji za atrakcyjną cenę, nie większą niż 190 zł, czego efektem był natychmiastowy wzrost ich notowań z najniższego podczas tej sesji 158,60 zł do 170,90 zł na zamknięciu. Wydarzenia te rodziły podejrzenia spekulacji, co skutkowało kontrolą transakcji poprzedzających wystąpienie premiera. UKNF nie znalazł dowodów nieprawidłowości, choć ujawniono na godzinę przed expose krótką sprzedaż 4990 akcji KGHM. Daytrader zarobił na tym około 100 000 zł, co nie byłoby dziwne, gdyby nie przyjęty tryb transakcji. Krótka sprzedaż polega na „pożyczeniu” akcji, w celu ich krótkoterminowej odsprzedaży a następnie, jeszcze tego samego dnia, odkupienia i zwrotu pierwotnemu posiadaczowi. Zysk lub strata zależne są od wahań notowań, które w tym przypadku były znaczne, a całość rozegrano w ciągu ledwie 80 minut. By sprzedać nie trzeba nawet posiadać akcji. Z uwagi jednak na drobny charakter tej transakcji nie uznano jej za dowód czynu zabronionego. Nie ma zresztą znaczenia, czy opisane zdarzenie było dziełem przypadku, czy serdecznego szeptu o planach premiera. Istotny jest mechanizm działania giełdy, skala możliwości i bezkarności. W ciągu godziny kapitał może przynieść zysk większy niż rok lokaty bankowej. Dostęp do suflera gwarantuje grę, na której nie sposób stracić.

Rząd dusz inwestorów pozwala zamiast przewidywać, to reżyserować reakcje giełdy. Ludzie są omylni, a zwłaszcza drobni ciułacze chętnie ulegają emocjom owczego stada i powielają cudze zachowania. To paradoks – zdecydowana większość ludzi uważa się za mądrzejszych od innych, lecz zarazem działaniu ogółu łatwiej nam przypisać walor słuszności. Pozyskanie wsparcia autorytetów,

prasy i telewizji lub wywołanie pozorów masowych przetasowań giełdowych pozwoli sterować tłumem tak, by wbrew przesłankom ekonomicznym akcjonariusze krzywdzili samych siebie. Przykładem inwencji wykazali się Chińczycy...

Pod koniec 2011 roku Chińska Komisja Regulacyjna ds. Papierów Wartościowych ujawniła oszustwo spółki Zhong Hengxin z prowincji Guangdong. Podmiot ten skorumpował kilkudziesięciu analityków giełdowych, w celu popularyzacji w prasie i telewizji wybranych emitentów giełdowych. Początkowo skupowano za bezcen najtańsze akcje, a następnie za pośrednictwem dyspozycyjnych ekspertów kreowano wizerunek wschodzącego tygrysa gospodarki. Kosztem 235 milionów euro zmieniono notowania 552 spółek. Następnie, już po mocno zawyżonej cenie, spieniężono walory o łącznej wartości około 6,7 miliarda euro. Transakcje realizowano za pośrednictwem 148 rachunków inwestycyjnych założonych w 44 domach maklerskich. Podobną filozofią, jednak w mniejszej skali oddziaływania i bez elementu kłamstwa, jest motywowana kontrolowana wyprzedaż akcji przez fundusze inwestycyjne i emerytalne lub (rzadziej) strategicznego inwestora. Gdy giełdę zalewają oferty sprzedaży walerów konkretnej spółki, drobni ciułacze również wyzbywają się swoich akcji. Im później, tym za niższą cenę. Wychodzą z założenia, że wielcy gracze dysponują aktualnymi lub poufnymi informacjami, racjonalizującymi nagłe wyjścia z inwestycji. Efekt stada stymuluje panikę i lawinowy spadek cen, co umożliwia, po osiągnięciu odpowiednio niskiej ceny, odkupienie i znaczne rozszerzenie portfela inwestycyjnego podmiotów otwierających „wyprzedaż”. Tracą najbiedniejsi, rozpaczliwie ratujący choć ułamek inwestycji.

Czarny PR to kolejna metoda obniżenia wartości tak konkurenta, jak i własnej spółki. Wspomniane we wcześniejszych rozdziałach potentat restauracyjny pozorujący własną upadłość, a następnie

skupujący za grosze własne akcje, to tylko jeden z przykładów. W dobie mediów elektronicznych dystrybucja wiadomości nie jest już ograniczona do poczytnych gazet i audycji radiowo-telewizyjnych. Ospamowanie forów portali o tematyce inwestycyjnej może przynieść pozytywny efekt w przypadku słabych spółek o nieugruntowanej pozycji rynkowej i rozproszonym akcjonariacie – głównie inwestorów indywidualnych, do czego idealnie nadają się podmioty debiutujące na parkiecie NewConnect. W drobnym i krótkoterminowym zakresie naruszyć można też kurs spółek ze średniej i dolnej półki GPW. Emitenci o ugruntowanej pozycji i skupionej strukturze własności nie będą wrażliwi na tą formę dywersji, ponieważ decyzja o sprzedaży w funduszach i u strategicznych inwestorów zapada dopiero w obliczu pogłębionych analiz, a te zdekonspirują płytką mistyfikację. Ta pozostaje jednak skutecznym orężem na słabszych przeciwników. Każdy może rozpuścić plotkę. Jej wzmocnieniem bywa zarówno złożony pod byle pretekstem wniosek o ogłoszenie upadłości, pozew sądowy o astronomiczną kwotę, której zasądzenie oznacza bankructwo, lub o zaprzestanie określonego typu działalności (korzystania z nazwy, nieruchomości, patentu etc.), doniesienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa gospodarczego, jak i informacje zmieniające realia branży. Do tego celu warto wykorzystać osoby z najbliższego kręgu spółki – byłych oraz obecnych pracowników i kontrahentów, albo przedstawicieli mediów lub świata polityki. Ci ostatni krótkim komentarzem, niekoniecznie merytorycznym a nawet rozsądnym, podważą wiarygodność nawet żelaznego biznesplanu. Rozesłana wiadomość o eksplozji metanu w kopalni, albo wycieku stanu rachunków i nazwisk dziesiątek tysięcy klientów banku, wsparta artykułem w łatwo podlegających kontrolowanej manipulacji mediach elektronicznych, może i zazwyczaj wywoła wahania notowań o co najmniej kilka procent. Kurs szybko wróci do normy,

ale taniej kupione akcje pozostaną.

Drugą stroną PR-owskiego medalu jest sztuczne zawyżanie wartości walorów. Trudno dziś znaleźć emisję sprzedawaną na rynku pierwotnym po cenie nominalnej. Zwykle jest ona mocno zawyżona i za minimalną, jednogroszową akcję zapłacimy emitentowi nawet kilkadziesiąt zł. O ile profesjonaliści rzadko popełniają grzech owczego pędu i nie kupują wydmuszek kuszących ładną wstążką, to drobni inwestorzy, zwabieni szybkim zyskiem, chętnie nabywają walory nowych spółek. Idealnym przykładem dla tego staje się ponownie NewConnect. Notowane tam spółki zazwyczaj oferują stosunkowo tanie akcje, charakteryzujące się dużymi wahaniami kursów. Jednego dnia walory o wartości kilku groszy przynieść mogą zysk rzędu nawet 50%, a kupione dziś za bezcen w ciągu roku stać się stabilną lokatą kapitału gwarantującą wieloletnie zyski. Spełniają więc wszelkie oczekiwania zarówno daytraderów, jak i mniej zamożnych, długoterminowych inwestorów. Koszt wprowadzenia spółki na rynek regulowany wynosił w 2010 roku około 4,5 miliona zł, tymczasem na rynku alternatywnym minimalny nakład zamknąć można kwotą 50 000 zł. Jednocześnie złagodzone rygory otwierają tą drogę pozyskania szerokiej rzeszy anonimowych inwestorów, którzy za groszowy udział w przyszłym, iluzorycznym i wielce niepewnym zysku, gotowi są wyłożyć setki i tysiące w pełni rzeczywistych złotych. Metody kreacji wiarygodnego podmiotu opisano we wcześniejszych rozdziałach. W większości przypadków znajdują one zastosowanie dla spółek akcyjnych. Ułatwiają to ograniczone, w stosunku do tradycyjnego parkietu giełdowego, rygory informacyjne: brak obowiązku sporządzania i audytowania raportu półrocznego, a raporty kwartalne okrojono do wybranych danych finansowych. Istotny jest więc jedynie badany przez biegłego rewidenta raport roczny. Po wejściu na rynek czynnikiem kluczowym staje się więc tylko dobry marketing – także reżyserowany szeptany, a kreowanie

sztucznego wizerunku tygrysa gospodarki nie jest trudne. Zyskiem organizatora staje się wówczas nie faktyczna działalność gospodarcza spółki, tylko „przejadanie” wpływów z emisji akcji. Sprzedaż na rynku pierwotnym gwarantuje zwykle przebitkę rzędu tysięcy procent. Wspomniana już minimalna wartość nominalna jednej akcji to w Polsce 1 grosz. Cena emisyjna, którą inwestor zapłaci, to nierzadko 5-10 zł. *A za co zapłaci?* Nie, nie za fragment konkretnego biznesu, bo czym jest jedna z 25 milionów akcji? Za obietnicę, że powierzone przez niego pieniądze nie zostaną zmarnowane i kiedyś, za wiele lat, zaowocują. Nawet ten jeden nominalny grosz w istocie nie istnieje, gdyż organizator „pożyczył” go od kupca. Znów, jak w przypadku banków, sprzedajemy cudze powietrze. *Takie spojrzenie na inwestycję czyni ją wręcz nierealną, prawda?* Na szczęście detaliczni inwestorzy tego nie wiedzą. Wystarczy wybrać intrygujący i modny, a do tego najlepiej niematerialny, sektor: biotechnologia, ekologia, e-handel, czy informatyka. Chętni się znajdują, a gdy wykupią całą emisję warto wypuścić kolejną serię akcji. A pozyskane środki przeznaczyć na inwestycję, rozwój i marketing – oczywiście kupując usługi od zaprzyjaźnionych podmiotów. I nie zapominać o wysokim uposażeniu członków zarządu, rady nadzorczej i głównych specjalistów. Warto zorganizować niespłacalny kredyt, a do tego podpisać liczne, rokujące kontrakty, które zostaną rozwiązane z „niemożliwych do przewidzenia przyczyn wyższych”, takich jak wydarzenia globalne, zmiany prawne, albo upadłość kontrahentów. W świetle faktów dokonanych niepozostanie nic innego jak ogłosić upadłość. *Czy ktoś będzie mógł mieć o to żal?* W XXI wieku nie warto więc zarabiać na przemyśle. Warto sprzedawać marzenia. Mistrzem tego był amerykański „filantrop” i potentat z Wall Street Bernard Madoff., skazany za wyłudzenie od inwestorów w ciągu 20 lat 65 miliardów dolarów. Swoją kapitał powierzyły mu nawet banki,

m.in.: HSBC, Fortis, Royal Bank of Scotland, Société Générale, BNP Paribas, UniCredit, Citigroup, czy Bank of America. Środków nie inwestował, po prostu wydawał, a z wpłat nowych klientów spłacał ewentualne roszczenia starych, pozorując w ten sposób zyski. **Na podobnej zasadzie od dekad funkcjonuje polski ZUS.** Gdyby Madoff ograniczył się do „skromnego” miliarda pewnie pozostałby bezkarny.

Powstaje pytanie, jaka jest różnica pomiędzy oszukiwaniem wspólników a indywidualnych akcjonariuszy? Odpowiedź: rozmycie odpowiedzialności. Gdy wspólników w sp. z o.o. jest pięciu, a każdy z nich zainwestował 100 000 zł, wówczas będą monitorować realizację polityki gospodarczej podmiotu, zapytają o każdy kontrakt, dostrzegą wszelkie nieścisłości. A w przypadku upadłości będą dochodzić każdej możliwej złotówki, także na mocy art. 299 ksh z prywatnego majątku zarządu. A zarząd spółki akcyjnej nie jest tym przepisem objęty. Również znaczne rozproszenie inwestorów ograniczy motywację do badania przyczyn upadłości. Na starcie zakładane duże ryzyko inwestycji i relatywnie niewielka jej wartość, np. 300 zł lub 1000 zł, nie motywują do zgłębiania tematu. Ot, strata jak każda inna wpisana w branżę. Tu biznes nie ma konkretnej twarzy, nie kojarzy się z krwią, potem i łzami włożonymi w przedsiębiorstwo. To tylko rząd cyferek na rachunku maklerskim – jeden z wielu. I tak właśnie pomyśli kilka tysięcy akcjonariuszy, a na papierze największym poszkodowanym i tak będzie ten, kto posiada pakiet kontrolny, zwykle uprzywilejowanych, akcji. Czyli ten, kto wyprowadził zgromadzony kapitał.

Nie tylko nowe spółki zarabiają na pozorowaniu swej rentowności. Także starzy wyjadacze świadomi są zbawczej roli twórczo przedstawionych i zinterpretowanych ciągów cyferek. Podmioty o ugruntowanej pozycji i transparentnych działaniach biznesowych wspierają wartość akcji obowiązkowymi raportami

okresowymi i rocznymi sprawozdaniami finansowymi. Księgowość spółki ewidencjonuje m.in. zmiany wartości aktywów i pasywów, czyli amortyzację środków trwałych, przeszacowanie wartości nieruchomości, a także wskazuje skutki zdarzeń aktualnie niemierzalnych: spodziewaną wartość zwrotów, wpływ udzielonych gwarancji i poręczeń. Przy tym księgowi opierają się na szacunkach, które mogą być mniej lub bardziej dokładne. Następny, podlegający dowolnemu kształtowaniu, to memoriałowy rachunek zysków i strat, obejmujący operacje „papierowe”, czyli wystawianie i księgowanie faktur. Kategoria ta nie ujawnia jednak związanych z nimi przepływów pieniężnych, nie wiadomo, czy należności już wpłynęły, czy zostaną wpłacone z opóźnieniem, czy też w ogóle będą zakwestionowane i nierozliczone. Być może produkt został przekazany ostatniego dnia poprzedzającego sporządzenie sprawozdania, a wkrótce potem zostanie zwrócony? Bez trudu można więc zwiększyć „zysk” spółki, albo wykazać jej finansową agonię. Manipulacja tymi danymi stanowi często kluczowy element gry toczonej między reprezentującymi opozycyjne interesy zarządem a akcjonariuszami. Jak często władze wiodących spółek giełdowych okazują się niełojalne względem inwestorów? Opublikowany w 2011 roku raport Komisji Nadzoru Finansowego ujawnił, że nie jest to margines. Analizie poddano śródroczne i roczne sprawozdania finansowe 64 emitentów stanowiących 16,6% liczebnie i 8,2% kapitalizacji rynku regulowanego prowadzonego przez Giełdę Papierów Wartościowych w Warszawie S.A., a na rynku pozagiełdowym przez BondSpot S.A. Żadna spółka nie otrzymała pozytywnej opinii biegłego rewidenta. Dominowały opinie „z zastrzeżeniami” i negatywne, zaś w dwóch przypadkach w ogóle odmówiono jej wydania, co oznaczało stan katastrofalny.

Zarząd, podobnie jak rada nadzorcza, powoływany jest w zgodzie z polityką większościowego pakietu akcji lub koalicji dużych

akcjonariuszy, odpowiada więc w praktyce za reprezentację ich interesów. Reszta jest nieistotna. W przypadku realnie złej sytuacji finansowej spółki i braku perspektyw na rozwój, w interesie faktycznych „właścicieli” leży emisja dalszych akcji i podtrzymanie egzystencji podmiotu tak pozyskanym kapitałem, albo spieniężenie własnego pakietu po możliwie najwyższych cenach. W obu przypadkach pozorowanie rentowności jest warunkiem sukcesu. W przeciwniej sytuacji, gdy spółka jest pewna dużych wpływów, w interesie akcjonariusza większościowego pozostaje ograniczenie kolejnych emisji i przejęcie, po możliwie najniższej cenie, jak największych pakietów akcji będących w obiegu. Pod warunkiem oczywiście, że pozorowanie słabego stanu podmiotu nie wpłynie na spodziewane korzyści. Ogłoszenie o wypłacie dywidendy oraz wcześniejsza finalizacja transakcji lub prestiżowego projektu przyniosą wzrost notowań spółki, a wówczas opłacalna będzie z kolei sprzedaż części walorów lub dodatkowa emisja akcji. Inwestorzy zachęteni dobrymi wynikami zapłacą wyższą cenę jednostkową, która stanowić będzie w praktyce dodatkowy zysk głównych akcjonariuszy. Jeśli dalsza egzystencja podmiotu jest niepożądana (np. z powodu zmian technologicznych, warunków rynkowych lub przebranzowienia) zasadne staje się wyciągnięcie możliwie najwyższych profitów i ogłoszenie upadłości lub odsprzedaż nierentownego kolosa. Przy wszystkich powyżej opisanych spekulacjach istotne jest zachowanie dyskrecji. Jawne przeprowadzenie transakcji sprzedaży dużych pakietów akcji skutkowałoby paniką wśród inwestorów (*skoro oni sprzedają, to jest źle!*), dlatego zwykle operacje takie przeprowadzane są za pośrednictwem podmiotów trzecich – często spółek prawa handlowego kontrolowanych przez zaufanych współpracowników, a także przy życzliwej pomocy kolegów pełniących funkcje decyzyjne w funduszach inwestycyjnych. Zaplecze takie jest wykorzystywane

również do „animowania”, fałszowania obrazu rynku pozorowaniem np. zwiększonego popytu na wybrane akcje, co sztucznie przynosi wzrost ich ceny. Z powodu tego typu praktyk realna wartość akcji często odbiega od ceny transakcyjnej, wynikającej, podobnie jak w przypadku markowych jeansów, jedynie ze swoistej „mody”¹⁰.

10 Najlepszym przykładem „mody” jest oszacowanie wchodzącego na giełdę portalu Facebook na kwotę 104 miliardów dolarów, gdy rekordowy rok 2011 przyniósł zysk rzędu jedynie 1 miliarda dolarów. Oznacza to, że prognozowany zwrot inwestycji nastąpić powinien za... 104 lata. Długo, jak na nowinkę, po której wkrótce zostanie tyle, co z popularności „Słonecznego patrolu”. Analitycy giełdowi uznali wartość emisji za nierealną, ale indywidualni inwestorzy, zapewne prywatnie zafascynowani tym serwisem społecznościowym, skorzy byli do przepłacania. W dniu premiery twórca Facebook'a, Mark Zuckerberg, sprzedał część należącego do niego pakietu akcji za cenę 1,13 miliarda dolarów. Po kilku dniach kurs spadał o 20% względem ceny emisyjnej, a trzy miesiące później sięgał już tylko jej połowy...

Rozdział XXXII

Metodyka ataków spekulacyjnych na waluty

Artysta w swym fachu nie może ograniczać się do okradania jednostek, lecz by stać się wzorem dla potomnych powinien wciąż stawiać wyżej poprzeczkę. Od czasów Fenicjan wyznacznikiem wartości wszelkich transakcji jest pieniądz. Nie jest on jednak wartością samą w sobie, to kurs wymiany na dobra materialne rysuje granicę pomiędzy stosikiem zadrukowanego na zielono papieru a chlebem, książką, czy samochodem. Największy złodziej świata nie ukradnie jednego banknotu, ani nawet walizki studolarówek. On zabierze wszystkim pieniądzom ich wartość i zrówna je z gazetą.

Kurs waluty, to nic innego jak „cena” danego pieniądza – np. złotych, rubla, juana, dolara lub euro, w innym pieniądzu. Przy kursie płynnym kształtowana jest zgodnie z prawami podaży i popytu, a na te z kolei wpływają czynniki ekonomiczne, polityczne i psychologiczne. W zglobalizowanym przepływie towarów i usług XXI wieku wartość waluty decyduje o konkurencyjności krajowej gospodarki na rynkach międzynarodowych. Ustala opłacalność importu i eksportu, aktualną wycenę zadłużenia zagranicznego, a także kształtuje, poprzez statystyki oparte na nominalnym PKB, wizerunek i rolę państwa na arenie politycznej. Im droższa waluta narodowa, tym bardziej opłacalny staje się import zagranicznych towarów, po przeliczeniu tańszych od krajowej produkcji. Im tańsza, tym łatwiej znaleźć nabywców na eksportowane, tanie (po przeliczeniu) produkty. To, która opcja jest lepsza, zależy od grupy społecznej do której się należy – konsument woli tanio kupować w

sklepach zagraniczne towary, producent zaś dużo sprzedawać zagranicznym hurtowym nabywcom. Zachowanie równowagi pomiędzy oczekiwaniami obu grup nie jest jednak najistotniejszym elementem polityki kursowej. To stabilny pieniądz stanowi fundament wzrostu gospodarczego w długim okresie. Duże wahania wartości waluty ograniczają zaufanie w długoterminowych relacjach handlowych, zanika kredyt kupiecki, którego koszty i ryzyko zwiększa zmieniająca się wartość realna pieniądza. Rozrostowi ulega premiująca bezpośrednią wymianę towarową szara strefa, a więc niwelująca koszty nie tylko podatkowe, ale i powstającej inflacji. Barter pozostaje niewrażliwy na wahania wartości waluty. Stabilność kursu wpływa na decyzje o lokowaniu oszczędności w walucie narodowej lub pewniejszej obcej, o transferze kapitału do zagranicznych banków i zaciąganiu kredytów nie w złotychkach, a np. popularnym w minionych latach franku szwajcarskim. Odpływ kapitału uszczupla pulę pieniężną banków, to utrudnia uzyskanie kredytu a niestabilna gospodarka wymusza ich wysokie oprocentowanie. Tym samym rentowność inwestycji spada, rozwój zostaje zastopowany, a kontrakty rodzimych przedsiębiorstw przejmowane są na rynkach międzynarodowych przez podmioty z krajów o ustabilizowanej sytuacji. Strategia przedsiębiorstw ulega więc presji na przenoszenie produkcji do krajów gwarantujących długoterminową równowagę ekonomiczną. Ludzie tracą pracę oraz topniejące, co do wartości realnej, oszczędności życia. To wymusza zwiększenie wydatków socjalnych państwa, na które środki pozyskać można zwykle tylko z podatków. Podniesienie obciążeń fiskalnych zniszczy jednak ostatnie wydajne przedsiębiorstwa. Politycy wybierając pomiędzy głosami milionów bezrobotnych a tysiącami biznesmenów na pewno wybiorą krótkoterminowo dla nich lepszy, bo większy, elektorat. Gospodarka pada. Rozpoczyna się wyprzedaż majątku dostępnego dla zewnętrznych inwestorów za grosze, a raczej

za centy i pensy.

Od tego ile jest warta waluta i na ile jest to wartość stała, zależy więc dobrobyt społeczeństwa danego państwa oraz jego przyszłość.

Bilon i banknoty to tylko metal oraz papier. Również zapisane na nich cyfry nie stanowią wartości samej w sobie. Nie nominal, ale wartość realna decyduje o tym, czy za dany pieniądz kupimy telewizor, czy tylko hamburgera. Dlatego w czasie hiperinflacji całe narody tracą oszczędności życia a każdy staje się milionerem – musi, gdy bochenek chleba kosztuje milion. Podobnie jak w przypadku bankowej kreacji pieniądza, czy stymulowania wartości akcji na giełdzie, tak w oderwaniu od reguł wolnej gry rynkowej reżyserować można kurs waluty. Zjawisko to nazwano atakami spekulacyjnymi na waluty.

Sam mechanizm ataku jest wręcz prymitywny. Uproszczona forma spekulacji, ukierunkowana na umocnienie notowań, przewiduje zakup na danym rynku dużej ilości waluty narodowej, przy jednoczesnym podtrzymaniu dużego na nią popytu. Zgodnie z prawem podaży i popytu poszukiwane dobro drożeje, a to którego jest w nadmiarze i nie znajduje nabywców tanieje. Skupowana waluta zwiększa swą wartość, „*umacnia się*”, nim więc rynek zostanie ustabilizowany interwencją lokalnego banku centralnego należy ją wyprzedzić, a raczej z powrotem zamienić na pierwotnie posiadaną, ale już tańszą, „*osłabioną*” walutę. Zysk to różnica pomiędzy posiadanymi na starcie walorami, a tymi zakupionymi pod koniec ataku spekulacyjnego. Pamiętać trzeba, że pierwotnie posiadana waluta na swoim rynku lokalnym nie utraciła na wartości (nie doszło do inflacji), a spadek ten odnotowany został jedynie w regionie w którym przeprowadzono atak. Tylko on więc ponosi jego skutki i straty. Do przeprowadzenia operacji potrzebna jest kwota umożliwiająca wykupienie istotnej części atakowanej waluty. Z tego powodu w roli amunicji wykorzystywane bywają główne waluty

transakcyjne umożliwiające ogromną podaż pieniądza, zwłaszcza dolar amerykański. Nie wykupimy zatem forintem euro, ale odwrotnie już tak.

Załóżmy, że 1 dolar kosztuje 4 zł. Jeśli spekulant za miliard dolarów kupi 4 miliardy zł, to dzięki temu wypełni rynek walutowy dolarami, a oczyści go ze złotych. Nadmierna podaż dolara i niedobór złotówki sprawią, że popyt na te waluty został odwrócony. Dolar stanie się mniej pożądanym, a nabywcy poszukiwać zaczną słabo dostępnych złotych. Dziś diamenty są warte majątek dlatego, że są tak rzadkie. W całej dotychczasowej historii ludzkości wydobyto ich jedynie 680 ton. Gdyby nagle rynek jubilerski zalać dodatkowym tysiącem ton diamentów, ich cena uległaby drastycznemu obniżeniu. Podobnie cena waluty amerykańskiej ulega w opisanym przypadku obniżeniu do hipotetycznej wartości 2 zł, a spekulant, który posiada nadmiar pożądanego, drogiego złotówki, której podaż staje się mocno ograniczona, może odsprzedając ją skupić z polskiego rynku tanie dolary. Ale już po nowej, niższej cenie. Za równowartość pierwotnego miliarda dolarów odkupi 2 miliardy. Po tej transakcji rynek walutowy przędziej, czy później, powróci do dawnego, uwzględniającego czynniki ekonomiczne i polityczne, kursu, a straty poniesie gospodarka kraju obrabowanego w białych rękawiczkach z dewiz. Opisany uproszczony scenariusz znajduje zastosowanie względem małego państwa, bez nadmiernie rozbudowanej bazy monetarnej i z ograniczoną podażą narodowej waluty, takiego jak np. Bułgaria lub Węgry, czy za czasów drachmy Grecja. W obecnej sytuacji, bez rozsądnych działań obronnych ze strony NBP już miliard dolarów może zachwiać złotówką, a globalne banki i spekulanci dysponują dużo większym kapitałem, często znacznie przekraczającym roczny budżet nawet średniego kraju. Szczególnym zagrożeniem stają się fundusze inwestycyjne z Bliskiego Wschodu i Azji: China Investment Corporation (200 mld

USD), State Administration of Foreign Exchange (około 3 bilionów USD), Government of Singapore Investment Corporation (330 mld USD), czy Abu Dabi Investment Authority (szacowany kapitał około 900 mld USD).

Odrobinę inaczej wygląda gra na zbiecie kursu waluty, czyli zmniejszenie jej ceny. Popularną metodą jest masowe pożyczanie wybranej waluty narodowej, a następnie, gdy jej podaż jeszcze jest utrzymana na poziomie normy i nie wpływa na kurs, wyprzedaż na wolnym rynku. Na tym etapie usiłuje się nakłonić do wyprzedaży także innych inwestorów. Czynniki nacisku pozostają identyczne, jak w przypadku giełdy – rozsiewanie plotek, publikacja niekorzystnych prognoz rynkowych w mediach, czy wiara w „owczy pęd”. Kiedy dana waluta zalewa rynek można bowiem zasadnie przypuszczać, że jej posiadacze dotarli do informacji racjonalizujących takie działanie. Jeśli więc transakcji towarzyszyć będzie zła sytuacja gospodarki i nieprzychylna prasa, najprawdopodobniej do wyprzedaży waluty przyłączą się inni inwestorzy: indywidualni, a także mniejsze, lokalne banki i fundusze inwestycyjne. Sprzedających jest dużo, kupujących mało. Gwałtownie wzrastająca nadwyżka podaży nad popytem skutkuje analogicznej wartości spadkiem kursów wymiany. Zyskiem jest różnica pomiędzy kosztami pożyczania waluty, a jej późniejszym, tańszym odkupieniem na potrzeby zwrotu pożyczki. Jeśli deprecjacja jest znaczna, dodatkową korzyść przynieść może interwencja lokalnego banku centralnego. Aby obniżyć ilość narodowego pieniądza na rynku wyprzedaje on rezerwy walutowe i gromadzi w ich miejsce walutę własną, czym usiłuje podbić jej kurs ograniczając podaż. W ten sposób ukraść można niekiedy całe rezerwy dewiz, czyli oszczędności zabezpieczające gospodarkę danego państwa i zarazem stabilizator rodzimej waluty. Gdy te się skończą, jedyną możliwością ograniczenia dalszego spadku kursu pozostaje podnoszenie stóp procentowych. Efektem tego jest

zwiększenie oprocentowania lokat bankowych i obligacji, co z kolei skutkuje ich zakupem przez inwestorów i „ściągnięciem” nadmiernej ilości pieniądza z rynku. Po tym zabiegu notowania walut zwykle się normują, co nie jest jednak złą wiadomością dla spekulantów. Zyski z dotychczasowych transakcji mogą bowiem w tym samym kraju ulokować na o wiele korzystniejszych warunkach i znów odnieść wymierne korzyści w postaci wyższych odsetek. Kredytobiorcy (tak konsumenci, jak i przedsiębiorcy) zapłacą wyższe raty kredytów, a dzięki temu spekulant zarabia podwójnie.

W przypadku mało płynnych rynków kursem zachwiać może już nawet kilkaset milionów dolarów, a zazwyczaj konieczna jest interwencja rządu miliardów. W działania takie angażują się zwykle fundusze inwestycyjne i hedgingowe, jak i indywidualni inwestorzy anonimizujący swoje operacje poprzez międzynarodowe banki.

Trzecią, kombinowaną drogą spekulacji jest opcja sinusoidalna. Zmierzająca najpierw do znacznego umocnienia kursu waluty, a następnie jej osłabienia. Działania te mogą być rozciągnięte w czasie nawet na kilkanaście miesięcy, przy czym ostry atak możliwy jest do realizacji w ciągu kilku intensywnych dni. Kombinowany atak przeprowadzono w 2008 roku względem polskiego pieniądza, doprowadzając do historycznej aprecjacji złotego. 31 lipca euro kosztowało jedynie 3,20 zł, a już w lutym 2009 kurs wymiany spadł o 53% do znów rekordowej, tym razem w górę, stawki 4,90 zł. Zakup tysiąca euro latem konsumował kwotę 3200 zł, a sprzedaż zimą przynosiła 4900 zł, co oznaczało czysty zysk rzędu 1700 zł. Jednocześnie do najniższego poziomu w historii spadł dolar amerykański, schodząc 21 lipca 2008 roku do ceny 2,02 zł, lecz, tak samo jak euro, już w lutym kosztował nawet 3,90 zł. Wahania te gwarantowały zarobek 1880 zł na zainwestowanej kwocie 2020 zł. Jak ogłosili przedstawiciele banku Goldman Sachs, przyznając się do ataku spekulacyjnego, zarobek na polskiej walucie znacznie

przekroczył ich oczekiwania. Bierność rządu RP i NBP umożliwiała nieskrępowaną aprecjację i deprecjację złotówki, choć kraj dysponował rezerwami walutowymi i możliwością zwiększenia podaży pieniądza w celu zachowania równowagi rynkowej. Przypadkiem w tym właśnie czasie pracownikiem Goldman Sachs pozostawał były polski premier i zarazem były doradca ówczesnego prezesa NBP – Kazimierz Marcinkiewicz.

Straty polskiej gospodarki szacowano na od 50 do 150 miliardów zł, a odbiły się one zarówno na przemyśle, jak i bezpośrednio na konsumentach. Po krótkiej prosperie podrożał import wszelkich dóbr, co szczególnie widoczne było w sektorze paliwowym. Straty przyniósł też zakontraktowany eksport i odroczone terminy płatności w walutach obcych. Gwałtownie wzrosły raty niezłotówkowych kredytów hipotecznych, a pula tych w samych frankach szwajcarskich szacowana była na 150 miliardów zł. Tysiące polskich podmiotów zniszczyło wahanie kursów walut. I kwartał 2009 roku przyniósł 30% wzrost liczby wniosków o ogłoszenie upadłości.

Najgłośniejszym przypadkiem kontrolowanej destabilizacji był atak na funta sterlinga i markę niemiecką, przeprowadzony przez króla spekulantów i właściciela funduszu Quantum Fund George'a Sorosa. Zabiegom tym sprzyjało związane z planami utworzenia strefy euro usztywnienie, w ramach Europejskiego Mechanizmu Walutowego (ERM), kursu wymiany do poziomu 2,95 marki za funta. Przyjęty przelicznik w żadnym stopniu nie uwzględniał jednak rzeczywistych potencjałów gospodarczych dopiero zjednoczonych Niemiec i Wielkiej Brytanii. W połowie 1992 roku Soros zaciągnął pożyczki w brytyjskiej walucie, a następnie rozpoczął, wspierane kampanią medialną, wyprzedawanie funtów. Na fali propagandy inni inwestorzy uczynili to samo. Bank Anglii upłynnił swoje rezerwy dewizowe, a później w ciągu jednego dnia najpierw podniósł stopy procentowe i zapowiedział dalsze ich podwyżki, lecz w końcu

zdevaluował funta. Efektem tego była eliminacja Wielkiej Brytanii z tworzonej unii walutowej, a pośrednio też wahania kursu lira, pesety i szwedzkiej korony. Soros w samych dolarach zarobił wtedy ponad miliard, a zyski potęgowały oszczędności na innych walutach kupionych za przewartościowane funty.

Podobne operacje przeprowadzano później wielokrotnie, m.in. w czasie Kryzysu Azjatyckiego pognębiono tajlandzkiego bahta. Wówczas załamała się giełda, przemysł i rezerwy dewizowe innych państw regionu, w tym Indonezji, Filipin i Malezji. Ówczesna ofensywa nie przyniosła spodziewanego efektu jedynie w Rosji. Bank centralny początkowo usiłował ratować walutę, lecz brak dewiz uniemożliwił działanie. Speculanci pozostali z pokaźnym pakietem zżeranego przez inflację rubla, a wielomiliardową pomoc, udzieloną m.in. przez Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy, pochłonęła, zamiast restrukturyzacji, defraudacja i skorumpowana administracja państwowa. Uboczną konsekwencją bierności Kremla były bankructwa wielu rosyjskich banków, które wraz z oszczędnościami obywateli trwale zlikwidowały tworzącą się wówczas klasę średnią. W późniejszych latach ofiarami spekulantów padło wiele państw, w tym Argentyna, Brazylia, Turcja, Węgry, a także atakowano włoskie obligacje i mające wybawić Grecję od kryzysu instrumenty ograniczające ryzyko kredytowe, czyli Credit Default Swap (CDS). W efekcie spekulacji funduszy hedgingowych koszt tych ostatnich zwiększył się czterokrotnie, a kryzys państw strefy euro uległ pogłębieniu. W ogóle reżyserem wstąpienia Grecji do unii walutowej był „kreatywny” bank Goldman Sachs, a obecne uporczywe wspieranie zadłużonych państw południowych dotacjami z budżetu unijnego również motywują interesy zarabiających na spekulacji banków. Wbrew panującej opinii, lobbujące za taką pomocą Francja i Niemcy nie zamierzają otoczyć opieką zwyczajnych Greków, a poprzez ogólnoeuropejską składkę

umożliwić chcą rządowi w Atenach wykup obligacji nabytych wcześniej przez niemieckie i francuskie banki. Inwestycja musi się zwrócić, kosztem naiwnych darczyńców. Budżety państw takich jak Grecja stają się kolejną okazją do zarobków dla kilku, wciąż tych samych, kreatywnych banków i funduszy.

W małej skali ataki na waluty przeprowadzane są m.in. przez polskie banki, zarówno te działające samodzielnie, jak i w porozumieniu z zagranicznymi partnerami. Przez pewien czas można było wyraźnie zauważyć skup franka szwajcarskiego z rynku, na krótko przed terminem regulowania rat za kredyty hipoteczne. Choć transakcje te przynosiły jednostkowo niewielkie, groszowe wręcz wahania, to w przypadku masowych wpłat kredytobiorców uzyskać można było łącznie milionowe, ponadprogramowe zyski. Więcej korzyści przyniósł bankierom długoterminowy wzrost notowań. Rata popularnych w tej walucie kredytów hipotecznych podrożała w krótkim czasie o kilkaset zł, a różnice cen kupna i sprzedaży waluty obcej w banku dodatkowo zwiększały rzeczywisty koszt każdej wpłaty o kilkanaście zł. Różnica na samych *zyskach kantorowych*, czyli *spreadzie*, liczona łącznie w setkach tysięcy odprowadzanych każdego miesiąca rat, była kolosalna. W konsekwencji dalszej deprecjacji złotego banki uzyskały prawo do kolejnego roszczenia pieniężnego. Domy i mieszkania nie zwiększały swej wartości w tempie analogicznym do spadku kursu wymiany krajowej waluty. Gdy więc wartość kredytu we frankach przekraczała zabezpieczenie, czyli wartość obciążonej hipoteką nieruchomości, banki zaczęły kierować do swych klientów wezwania do zapłaty: „Zgodnie z zapisami umowy [...] Bank naliczył opłatę manipulacyjną z tytułu przekroczenia dopuszczalnego wskaźnika obciążenia nieruchomości kredytem”. Jednostkowe roszczenia sięgały kilkunastu tysięcy zł, zaś liczbę zagrożonych kredytobiorców analitycy wstępnie oszacowali na około dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Tylko względy marketingowe

ograniczyły doręczenie tego typu wezwań do ledwie kilku tysięcy klientów. Na razie ograniczyły.

Rozpoczęto cichą renegocjację umów kredytowych, żądając akceptacji podwyższonych marży albo wykupienia dodatkowego, drogiego, ubezpieczenia. Podczas indywidualnych spotkań „oferowano” też klientom, czyli kategorycznie domagano się, natychmiastowego pokrycia różnicy pomiędzy aktualną wartością mieszkania lub domu a kredytem. Pracownicy jednego z polskich banków nakłaniali do złożenia podpisu pod karykaturalnym wręcz, „dobrowolnym” wnioskiem o treści: *„proszę o podwyższenie marży, ponieważ pragnę zrekompensować powstałe i aktualnie istniejące ryzyko banku”*. Wielu z taką „prośbą” wystąpiło... W przypadku odmowy, banki dysponują prawem wypowiedzenia kredytu i żądania spłaty całości zadłużenia, co w konsekwencji przynieść może zlicytowanie nieruchomości poniżej ceny rynkowej oraz egzekucję pozostałej wierzytelności z zarobków i innych składników majątku dłużnika. Presja jest więc spora. Inną opcją ograniczającą dalszy wzrost różnicy pomiędzy wartością przedmiotu zabezpieczenia a przyznaną kwotą finansowania jest przewalutowanie. Jednak wtedy już na stałe z pobranych 300 000 zł kredytu robiło się 450 000 zł, a dodatkowo kredytobiorcę obciążały koszty zmiany waluty (do około 2% wartości transakcji) i wyższe oprocentowanie złotych. Gdy jedne banki w dobie kryzysu bankrutowały, inne dzięki wahaniom kursu złotówki potęgowały zyski kosztem szarych klientów.

Innym przykładem spekulacji walutowych była gra na emitowanych w latach 90-tych przez NBP wysoko oprocentowanych bonach skarbowych, dostępnych tylko dla banków krajowych. Jednocześnie bank centralny zabiegał o utrzymanie niskiego kursu złotówki. W związku z tym, polscy bankierzy zawarli porozumienie z Brytyjczykami w przedmiocie transakcji swapowych. Polskie banki dokonywały w imieniu swych kontrahentów zakupu dużej ilości

bonów, co skutkowało wchłonięciem z rynku miliarda dolarów przez broniący notowań złotówki NBP. Dolar lokowany był na kontach amerykańskich, oprocentowanych w skali roku na poziomie 5%, zaś odsetki od bonów złotówkowych wynosiły aż 23,5%. Różnica ta czyniła długoterminową obronę złotówki nieopłacalną, co szybko skutkowało aprecjacją waluty i podwójnym zyskiem zagranicznych inwestorów: bardzo wysokimi odsetkami niedostępnymi w międzynarodowym obrocie bonami skarbowymi i droższym przelicznikiem wzmocnionej wzmożonym popytem waluty.

Dwie największe zalety zarabiania na atakach spekulacyjnych to jednostkowo miliardowe zyski i zupełny brak możliwości pociągnięcia z tego tytułu do odpowiedzialności karnej. Działania te nie wypełniają znamion żadnego przestępstwa, choć pozwalają okradać całe narody.

PODSUMOWANIE

✓ Jeśli ukradniesz chleb lub portfel – pójdziesz do więzienia. Jeśli ukradniesz miliardy dostaniesz... premię, a biedni będą się składać na spłatę tego, co nabroiliś

✓ Ludzie wierzą, że chcesz dla nich dobrze. Nie ważne, co powiesz, tylko jak – bądź poważny, noś drogi garnitur i złotego Rolex'a a będą Cię traktować na przekór logice z szacunkiem i powagą. Osoby piękne i zadbane utożsamia się z dobrem, więc stwórz takie pozory i rób co chcesz. Aspektów merytorycznych przecież i tak nikt nie zrozumie.

✓ Pieniądze nie istnieją. Banknot i moneta to kłamstwo stworzone dla ludzi zbyt biednych, by zarobki odmierzać fabrykami, willami i samochodami.

✓ Absolutnie każda propozycja ugody jest drastycznie zaniżona, a każda akcja przeszacowana.

✓ To co wartościowe w spółkach giełdowych nie należy do akcjonariuszy – oni są od finansowania i ponoszenia ryzyka, zysk przeznaczony jest tylko dla większościowych pakietów.

✓ Dbaj o przyjaźnie, wszędzie. Nawet jeśli gardzisz tymi zdrajcami. To informacje od nich decydują o miliardach.

✓ Niektórzy wychodzą z założenia, że ogół ma rację, a to nie prawda. Ogół w ogóle nie ma opinii na żaden temat.

✓ Zawsze zaprzeczaj, deklaruj dobry kierunek rozwoju spraw i obiecuj dokładne wyjaśnienie wszelkich zastrzeżeń. A później, po „wnikliwej analizie akt”, podtrzymuj pierwotne stanowisko.

Pamiętaj, że prawo stoi po stronie bogatszego.

Skoro stworzyłeś już własną grupę przestępczą, oszukałeś fiskusa, kontrahentów oraz potentatów rynku finansowego, a do tego zgromadziłeś pokaźny kapitał, warto wstąpić do elitarnej gildii złodziei. Pora zostać członkiem „kreatywnej” partii politycznej.

DZIAŁ V

NIEUCZCIWOŚĆ

POLITYCZNA

Rozdział XXXIII

Jak okraść cały kraj?

W ustrojach demokratycznych, do których zaliczyć należy też Rzeczpospolitą, władza ustawodawcza w postaci Sejmu i Senatu oraz wykonawcza rządu i prezydenta podlegają surowej kontroli prawa: Konstytucji, umów międzynarodowych, ustaw normujących granice uprawnień poszczególnych organów. W teorii nie jest możliwe np. uznaniowe przelanie z rachunków NBP miliarda zł na prywatne konta polityków w rajach podatkowych, nieograniczone zwiększanie deficytu budżetowego, wypowiedanie wojen napastniczych w celach rabunkowych, czy też eliminacja przyszłych konkurentów do stanowisk – a więc głównie dzisiejszej opozycji. Powyższe obostrzenia są jednak tylko pozorne, a ich przestrzeganie warunkuje jedynie stopień rozdrobnienia aktualnej koalicji parlamentarnej. Zgodna większość może niemal wszystko.

Jedną z podstawowych metod ograbienia obywateli jest druk pieniądza. Dawniej np. dolary amerykańskie i kanadyjskie miały pełne pokrycie w złocie, co oznaczało, że każda jednostka waluty odpowiadała wartości rezerw kruszcu i mogła zostać (przynajmniej w teorii) na żądanie posiadacza wymieniona. Z czasem emisja pustego pieniądza, nieproporcjonalnego względem wzrostu gospodarczego, stała się wygodnym dla władzy środkiem finansowania wydatków. Zwiększenie bazy monetarnej nie zwiększa jednak jej realnej wartości, a jedynie nominalną, powodując inflację. Porównać można to zjawisko do zachowania kaloryczności potrawy po rozcieńczeniu jej wodą. Objętości przybywa, lecz kalorii nie.

Efektom dodruku np. 5% biletów płatniczych jest wtedy inflacja o wartości 4,8%, gdyż wcześniejsza wartość ogółu waluty pozostaje zamknięta w aktualnych 95,2% ilości będącego w obiegu pieniądza. Spadek wartości jest więc proporcjonalny i wynosi 5%. Zyskuje rząd będący dysponentem wytworzonej kosztami obywateli i gospodarki kwoty, a co więcej, korzysta jako ostatni dokonując zakupu towarów i usług po dawnych cenach nieuwzględniających inflacji, gdyż ta jeszcze technicznie nie nastąpiła. Najlepiej prawidło to obrazuje uproszczony model rynku, na który składa się jedyny produkt, np. jeden kilogram mąki oraz jeden banknot 100 zł. Posiadacz wszelkich dostępnych na rynku środków płatniczych może wymienić je na cały dostępny towar. Nie może on być ani droższy, ani tańszy, gdyż zachowana nadwyżka nie mogłaby zostać spożytkowana na żaden inny cel, a więc byłaby bezużyteczna, natomiast tańsza sprzedaż również mijałaby się z celem, gdy nabywca jest skłonny zapłacić pełną stawkę. Rynek jest w równowadze. Sytuacja ulega jednak zmianie, gdy nagle pojawia się drugi nabywca z drugim banknotem stużłotowym. Naturalną odpowiedzią na dwóch oferentów dysponujących łącznie kwotą 200 zł jest, zgodnie z rachunkiem ekonomicznym, podniesienie ceny sprzedaży do 100 zł za pół kilograma mąki. Emitent drugiego banknotu „okradł” posiadacza pierwszego pieniądza, gdyż na jego szkodę zwiększył bazę monetarną ograniczając dotychczasowe możliwości nabywcy a sam, po kosztach papieru i farby drukarskiej, zagarnął połowę mąki.

Oszustwo to polega na zachowaniu „*optymistycznego*” stanu pensji i oszczędności, w postaci utrzymania lub wzrostu wartości nominalnej środków finansowych, ale spadku ich wartości realnej. Robotnik otrzymujący podwyżkę o 100 zł dostrzega wzrost kwotowy posiadanego kapitału i tym samym żywi sympatię do partii, która „*skutecznie*” walczy o jego interesy. Jednak jego siła nabywcza, w drodze inflacji, a więc spadku wartości waluty, ulega obniżeniu i

nierzadko oznacza faktycznie spadek zarobków. Tego już zwykle nie dostrzega.

Jedną z metod określania realnej mocy nabywczej pieniądza jest porównanie do cen określonych dóbr, np. hamburgerów. Przy pięcioprocentowej inflacji w skali roku spadek wartości zarobków przekładać się może realnie na obniżenie mocy nabywczej kwoty 100 zł z 20 kanapek, do jedynie 19. Pozorne „dosypanie” pieniędzy do gospodarki w praktyce więc zubaża obywateli obniżając wartość ich oszczędności oraz zarobków.

Za fizyczną emisję pieniądza zwiększającą bazę monetarną waluty odpowiada bank centralny, czyli w nadużywających tego środka USA Fedral Reserve (FED), a w Polsce Narodowy Bank Polski. Także przy NBP działa Rada Polityki Pieniężnej decydująca o wysokości obowiązkowych rezerw banków komercyjnych, a więc wskazująca limit bankowej kreacji pustego pieniądza.

Baza monetarna to oczywiście nie jedyna metoda legalnego uszczuplenia stanu posiadania wyborców. Kto włada prawem stanowienia prawa, może w sposób nieograniczony drenować rachunki bankowe przedsiębiorstw i obywateli poprzez kreatywne inicjowanie nowych potrzeb niewytworzonych przez wolny rynek i rozsądek. Polacy są oporni na nowe podatki i równie nieprzychylni sponsorowaniu partii politycznych z budżetu. Z tych powodów w inny, pośredni sposób generuje się dochody działaczy i dyskretnych sponsorów wspomagających kampanie wyborcze. *Jak kreować powszechny zbytni na nikomu niepotrzebne produkty i usługi?* Nałożyć obowiązek egzekwowany pod groźbą kary, a wyjaśniony rzekomymi potrzebami bezpieczeństwa lub opieki socjalnej. Flagowy przykład to obowiązek wożenia gaśnic samochodowych. Do sprzedaży trafiły małe i poręczne „puszki”, które zamiast zwiększać bezpieczeństwo stały się kolejną i kosztowną ozdobą. Ktokolwiek gasił płonący pojazd wie, że przy ich pomocy może, co najwyżej, zneutralizować

papierosa. Legendą sejmowych kularów jest już lobbing pewnego parlamentarzysty, który opóźniał wprowadzenie tego ustawowego nakazu do dnia uruchomienia własnej fabryki gaśnic... Oczywiście z czasem podaż danego produktu wzrasta do poziomu obniżającego marżę producentów do minimum, zaś nasycenie rynku ogranicza popyt. Stąd nie jest to długoterminowy sposób zarabiania, a raczej jednorazowy strzał lub próba monopolizacji wybranego sektora, z czasem zawsze tracącego na znaczeniu. Podobnie wyglądało zagarnięcie marek i dolarów na zachodnich przejściach granicznych. W nocy z 16 na 17 marca 1989 roku wprowadzono nowe prawo dewizowe, legalizujące zabroniony dotychczas handel obcymi walutami. Tej samej nocy, dokładnie o godzinie dwudziestej czwartej, koncesję nr 1 wręczono Aleksandrowi Gawronikowi – absolwentowi Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu-Leninizmu, byłemu funkcjonariuszowi SB a prywatnie przyjacielowi Ireneusza Sekuły – agenta utajnionej, wojskowej komórki wywiadowczej AWO i w jednej osobie ówczesnego wicepremiera. Obaj działacze przynależeli do PZPR, a następnie współpracowali z SLD oraz z tzw. Mafią Pruszkowską. Niezwłocznie po legalizacji obrotu walutami Gawronik uruchomił sieć kantorów na zachodnich przejściach granicznych. Tym samym w pierwszych minutach od liberalizacji przepisów zmonopolizowano cały przygraniczny skup dewiz i odsunięto konkurencję od rynku. Wedle plotek, kantory budowali w czasie służby żołnierze WOP. W pierwszych latach III RP to Gawronik – zajmujący z bilionowymi obrotami pierwsze miejsce na liście najbogatszych Polaków – dyktował w całej Polsce kursy walut. Później ujawniono, że sam posiadał jedynie udziały w podrzędnej stacji benzynowej, a mocodawcy jego inwestycji i zarazem ich beneficjenci pozostali nieznani...

Odmianą powyższych, przykładowych, „monopolizacji” są wszelkiego typu koncesje, licencje oraz zezwolenia, którymi

wykreowano cieplarniane warunki dla działania chociażby tzw. Mafii Paliwowej. Podobnie uznaniowość przyznawania przez szefa MSW koncesji na ochronę osób i mienia umożliwiła na początku XXI wieku zgodny podział Polski pomiędzy byłych funkcjonariuszy Policji oraz struktury przestępcze, czym faktycznie zalegalizowano haracze. Gdy fiskus doliczył do nich VAT i opodatkował zysk, szkodliwe społecznie zjawisko stało się w pełni zjadliwe dla władzy. Patologia rodziła dalsze patologie, co owocowało faworyzowaniem na wartowników nie wyszkolonych i sprawnych mężczyzn, a tanich emerytów i inwalidów. Skoro problem konfrontacji z roslymi gangsterami został polubownie rozwiązany, zdrowie ochroniarzy tylko przeszkadzało w... uzyskaniu ogromnych dopłat z PFRON-u, czyli z kieszeni obywateli. Do legendy przeszła autokarowa wycieczka świeżo upieczonych, niespełna 40-letnich, emerytów policyjnych, po której wszyscy dysponowali orzeczeniami o niepełnosprawności. Zaprzyjaźniony psychiatra hurtem uznał ich za chorych umysłowo, a jako tacy stali się niezwykle atrakcyjni na branżowym rynku pracy. M.in. wyposażeni w pistolety maszynowe i strzelby gładkolufowe ochraniali konwoje. Oczywiście w ramach dofinansowanych stanowisk pracy. Władza wspierająca emerytów i inwalidów to dobra władza... Wrażliwa społecznie... Tego się trzymajmy.

Do pokrewnej kategorii zaliczyć trzeba wydatki publiczne, zwłaszcza prowadzone na szeroką skalę inwestycje w infrastrukturę, które poprzez odpowiednio wyreżyserowane przetargi zapewniają zarobek przedsiębiorstwom powiązanym z urzędnikami właściwych resortów i sponsorami kampanii wyborczych. Przyjęło się, iż wycena inwestycji przewyższa, co najmniej, o 10% rzeczywiste koszty, a nadwyżka trafiać ma na nieoficjalne finansowanie mocodawców (tzw. *fundusz operacyjny*). Staje się to możliwe poprzez zlecanie prac podwykonawczych i dostaw z odpowiednio wysoką marżą

wskazanim podmiotom, często należącym do krewnych polityków. W ten sposób, przez ogniowo pośrednie, pieniądze w pełni legalnie opuszczają budżet i trafiają do właściwej kieszeni. Od czasu wprowadzenia w życie tzw. Ustawy Nowaka istnieje też opcja doprowadzenia do upadłości generalnego wykonawcy prac jeszcze przed rozliczeniem jego podwykonawców, a już po zainkasowaniu zapłaty. Wprowadzone w 2012 roku zmiany prawne umożliwiają po takim zabiegu dodatkowe wystosowanie do organu zamawiającego roszczeń ze strony nierozliczonych podwykonawców. W praktyce otwiera to drogę do wyłudzenia, zgodnie z literą prawa, dwukrotnej zapłaty za tą samą pracę. Wystarczy nie zapłacić zaprzyjaźnionym kontrahentom i otrzymane pieniądze wydać, a ich rachunki pokryje inwestor, czyli podatnicy.

Warto również przypomnieć szerokie pole do nadużyć i defraudacji w toku procesu prywatyzacyjnego. W pierwszym dziale opisana została prosta metodyka zaniżania wyceny spieniężanych przedsiębiorstw. Dodatkowo likwidacja policyjnych wydziałów ds. przestępczości gospodarczej oraz zapisów Kodeksu karnego kryminalizujących trwonienie majątku społecznego otworzyło drogę do wyprzedaży wydajnych ekonomicznie przedsiębiorstw państwowych za ułamek wartości ich zapasów materiałowych. Odroczone terminy płatności umożliwiły sfinansowanie zakupu za drobny fragment tego, co na szybko wyprzedano z ich magazynów. W praktyce oznaczało to pod pozorem prywatyzacji „*darowiznę*” niemal całego przemysłu. Niegospodarności tej, którą wstępnie wycenić można na co najmniej dziesiątki miliardów zł, nigdy nie rozliczono z uwagi na sprzyjający klimat polityczny i społeczne przyzwolenie. Z perspektywy tłumu wolność łatwo mylona bywa z samowolą – wystarczy odpowiednio manewrować pięknymi słowami lub zmieniać ich znaczenie...

Manewrowanie przepisami podatkowymi to kolejne źródło profitów. Jak wykazano już wcześniej, podatki płacą głównie

konsumenci, a odprowadzanie danin państwowych w biznesie stanowi swoiste faux pas. *W jaki jednak sposób przemycić masowe oszczędności np. na cła i akcyzie, bez nadmiernego zgłębiania się w krainę jednostkowych malwersacji i uszczupień?* Wprowadzając lukę prawną. W Polsce obowiązuje obecnie kilkaset tysięcy różnych przepisów prawa, a każdego dnia dochodzą kolejne ustawy, umowy międzynarodowe i rozporządzenia wspierane niemniej ważnym, gdyż interpretującym, orzecznictwem sądowym. Zagubienie pośród nich kilku słów lub cyferek nie jest trudne, a bardzo rentowne.

W 1996 roku nowelizowano przepisy dot. cła na zboże. Choć nie jest to stosowane w tego typu unormowaniach, mających zagwarantować ciągłość ochrony rodzimej produkcji rolnej, przewidziano *vacatio legis* odsuwające wprowadzenie nowej stawki celnej, w wyniku czego faktycznie zniesiono ją na okres tygodnia. Wówczas, przy polskiej granicy oczekiwały już kontenery wypełnione milionem ton taniego ziarna z Uzbekistanu. Gdy wjazd wagonów został zakończony, cło przywrócono. Na „*nieoczekiwane*” zaistnienie luki prawnej przygotowani byli biznesmeni powiązani z ówczesnym lewicowym rządem oraz pełniący rolę dostawcy dawny oficer rosyjskiego wywiadu Władimir Ałganow. Nie był to ani pierwszy, ani jedyny taki przypadek. Wprowadzenie drobnego zapisu lub niekiedy nawet spójnika albo przecinka, może zupełnie wypaczyć pozornie rzetelnie przygotowaną ustawę i jej znaczenie ekonomiczne. Normalny w przypadku wszelkich innych aktów paragraf o odroczonym terminie wejścia przepisów w życie, nieskoordynowany z terminem wygaśnięcia dotychczasowej stawki cła, skutkował wielomilionowym pokrzywdzeniem Skarbu Państwa. Podobnie wyglądała sytuacja, gdy w grudniu 1988 roku zniesiono obowiązek uzyskania koncesji na import spirytusu w tzw. obrocie niehandlowym. Deklaracje graniczne umożliwiające bezcłowy wwóz alkoholu, czyli przeznaczenie trunku na użytek prywatny, w praktyce

nie podlegały weryfikacji, a przedmiot importu masowo trafiał do polskich pubów i sklepów monopolowych. Na rynek trafiło około 30 milionów litrów nieocłonego Royal'a. Zabawnym zbiegiem okoliczności i wówczas na niezapowiedzianą nowelizację przepisów oczekiwały na granicy cysterny wypełnione spirytusem. Najwyższa Izba Kontroli wyceniła straty Skarbu Państwa z tego tytułu na około 1,7 biliona zł według wartości waluty sprzed denominacji. W tym przypadku dwaj winni zaniedbań urzędnicy zostali postawieni przed Trybunałem Stanu. Ten zaś sam w sobie jest parodią sądu. Jak inaczej nazwać zapadłe w tej sprawie pięcioletnie kary utraty biernego prawa wyborczego i zakazu zajmowania stanowisk kierowniczych? Kto się boi takiej infamii, gdy zarobić może kilkaset milionów zł? Dodatkowo TS skazać mógł nieszczęśników na utratę orderów, odznaczeń i tytułów honorowych... Warto więc w procesie legislacyjnym szczególną uwagę zwracać na drobiazgi, zwłaszcza gdy dysponuje się kontaktami wśród przedsiębiorców z właśnie regulowanej gałęzi gospodarki, a nie jesteśmy zbyt przywiązani do swych orderów *Virtuti Militari*.

Zindywidualizowana oferta przyciąga zainteresowanie nawet wybrednych klientów. Przykładem nadmiernej jednak gorliwości, którą dziś nazwać byśmy mogli niechcianym „*spamem*” i złym profilowaniem grupy docelowej, była tzw. Afera Rywina. Propozycja wstrzymania niekorzystnych dla spółki Agora zmian legislacyjnych nie została przychylnie odebrana, zapewne z uwagi na wygórowaną cenę 17,5 miliona dolarów i oferowanie rozwiązania problemu wcześniej celowo stworzonego... Wiadomo natomiast, że dostępna w wielu republikach poradzieckich oferta obejmująca samoobsługowe opracowanie pożądaných aktów prawnych cieszyła się popularnością m.in. w polskich branżach: naftowej i hazardowej. W toku śledztwa wymierzonego w tzw. Mafię Paliwową prokuratura ustaliła, iż fragment jednego z rozporządzeń Ministra Finansów powstał w

biurze spółki naftowej BGM. Aktem tym zwolniono z akcyzy paliwa do kutrów rybackich, a do preferencyjnej sprzedaży uprawniono wyłącznie PKN Orlen, Porta Baltic Service, Ship-Service oraz właśnie BGM. Gdyby sprawcy zadbali o szyfrowanie komputerów, udowodnienie tego powiązania byłoby niemożliwe. Straty Skarbu Państwa na bezakcyzowym „tankowaniu” kutrów morskich pod Warszawą sięgnęły kilkudziesięciu milionów zł. Klientów na szyte na miarę „prawo” nie brakuje, a rozwój branży lobbingowej dowodzi tego każdego dnia. Byle nie przesadzić z natarczywością oferty!

Tolerancja dla ponoszenia dodatkowych wydatków oraz ograniczania swobód obywatelskich wzrasta wprost proporcjonalnie do poziomu strachu zasianego w społeczeństwie. Potrzebny jest wróg, realny i niebezpieczny, a wówczas nawet najgłupsze pomysły rządu będą akceptowane i gorliwie realizowane. W zamian za ochronę ludzie oddadzą złoto, oszczędności i nadający się do przetopienia na karabiny metal, poświęcą prawo do zgromadzeń, swobody wypowiedzi, poszanowania życia prywatnego, tajemnicy bankowej i korespondencji, czy nawet do wolności od tortur i wojny napastniczej. Aby wyrzec się fundamentów nowoczesnej demokracji nie potrzeba wcale wiele: wystarczy eksplozja bomby raz na kilka lat w jednej z europejskich stolic. Nie ważne, kto dokonał zamachu. Wystarczy podsycana zręczną inżynierią społeczną psychoza strachu i obawa przed niewidzialnym agresorem, który uderzyć może zawsze i wszędzie, bez ostrzeżenia. Sącz propagandę: *wróg czuwa!* Gdy nie ufasz nawet bratu, z ulgą zakujesz ręce w kajdany myląc więzienie z bezpiecznym schronieniem. Ludzie sami będą początkowo prosić, a później wręcz żądać „ochrony” i „bezpieczeństwa”. Obecnie mamy wojnę z globalnym terroryzmem, niebędącą ani odkrywczą, ani sprawiedliwą. Po I wojnie światowej w Rosji zwalczano kułaków i imperialistów czyhających na życie uczciwego robotnika i rolnika, a w Republice Weimarskiej straszono Żydem-lichwiarzem. Rzekome

podpalenie Reichstagu przez komunistów stało się powodem zawieszenia podstawowych praw obywateli Rzeszy i konstytucji, a również rzekomy atak Polaków na radiostację w Gliwicach miał motywować agresję na II Rzeczpospolitą i rozpętanie II Wojny Światowej. Po zdobyciu Berlina w USA rozgorzało polowanie na komunistyczne czarownice, a Amerykanów skutecznie zastraszała wizja nuklearnej zagłady. Dziś wrogiem są zasobni w ropę islamscy „ekstremiści”, a tam gdzie ich brak zamachów dokonywać mogą przecież patrioci, zwani dla odmiany nacjonalistami, i ortodoksyjni chrześcijanie. Jest się czego bać. A kto obroni „zwykłych” ludzi? Rząd. Wystarczy poprosić...

Gdy wolno już wszystko w imię wyższego dobra, nazbyt silna staje się pokusa wyeliminowania politycznych rywali. Można ich osadzić w areszcie pod jakimikolwiek wydumanymi zarzutami, albo jedynie podejrzeniami. Zdrada ojczyzny, ekstremizm, zbrodnie nienawiści. Odwykłe od wojen społeczeństwa z ulgą poświęca jednostki za iluzoryczny spokój. Chętnie też za niego zapłacą – bez względu na cenę. W minionych stuleciach zarówno walka, jak i śmierć, były czymś naturalnym. Dziś dojrzałe demokracje odrzuca bez wahania dorobek kilku stuleci budowy humanitarnego państwa prawa za oddalenie linii potencjalnego frontu od starannie przystrzyżonego, przydomowego trawnika. Nic innego nie jest ważne, tylko ten trawnik. Dla niego cel uświęca środki. A kto prowadzi totalną inwigilację ma monopol na zbrodnię, za pełną akceptacją narodu. Kontrola poczty i telefonów oraz infiltracja środowisk ekstremistycznych, czyli opozycyjnych względem obecnej władzy, ujawnia informacje kompromitujące. Posłużą budowaniu agentury oraz wymuszaniu pełnej spolegliwości i kontrolowanej „ślepoty”. Dzięki temu nie spotka się z niczym sprzeciwem radosna nowelizacja przepisów, korupcja, czy niegospodarna prywatyzacja i identyczne udzielanie wielomiliardowych zamówień publicznych.

Zwiększając uprawnienia i wydatki na służby specjalne uzyskuje się lojalność organizacji sensu stricto przestępczej. Powołanej i uzbrojonej do łamania prawa na terytoriach państw trzecich i ojczyzny. Do kradzieży informacji i mienia. Pozyskiwania agentury w drodze szantażu i korupcji oraz zastraszenia. Zgodna współpraca polityków z generalicją służb gwarantuje kadry zdolne wykonać każde zlecenie: strącić samolot z prezydentem, jak w Rwandzie, lub powiesić albo zastrzelić niepokornych, jak się to często zdarza w Rosji lub na Ukrainie. Gdy ktoś zacznie głośno o tym krzyczeć, wystarczy go wyśmiać. Zarzucić chorobę psychiczną i naiwność, a każdy dowód udziału w zbrodni trywializować określeniem „*teoria spiskowa*”. Ciemny lud to kupi. Każdy wiarygodny materiał obciążający władze, np. nagranie lub dokument, okrzyknąć prowokacją wroga, której nie wolno dać się oszukać! Podsycany antagonizm pomiędzy grupami społecznymi i regionami wystarczy do wywołania wewnętrznego chaosu zaszumiącego wszelkie odgórne nieprawidłowości. Kto patrzy na rosnący deficyt i masową niegospodarność przy wydatkach publicznych, gdy w powietrzu wisi wojna, zagłada i terror? Wtedy można ruszyć z wojskiem... Na Polskę, Wietnam, ZSRR, Izrael, Palestynę lub dowolne państwo islamskie. Oczywiście w celu jego wyzwolenia. A że broń jest droga, a jej produkcja reglamentowana, nie dziwi wzrost podatków i dalsze miliardy przelewane na konta zaprzyjaźnionych producentów karabinów oraz wozów opancerzonych.

Polscy decydenci nie dorobili się na wojnach w Iraku ani Afganistanie, czego nie można powiedzieć o prominentnych działaczach Partii Republikańskiej. Zaprzyjaźnieni z rodziną Bushów Saudyjczycy odnotowali krociowe zyski związane ze wzrostem cen ropy na światowych rynkach, zachwianych zarówno operacją wojskową w Zatoce Perskiej, jak i eskalacją związanego z tym „*terroryzmu*” – a raczej naturalną dla okupacji partyzantką miejską.

Teksańskie złoża ropy, będące własnością Bushów, nie odnotowały wzrostu kosztów wydobycia, choć oferowany surowiec znacznie zyskał na wartości. Przy zyskach naftowych potentatów drobnostką wydają się chociażby dochody obsługującego pola naftowe koncernu Halliburton, który na dostawach sprzętu wojskowego i odbudowie Iraku zarobił dodatkowo około 20 miliardów dolarów. Krótko przed zamachem na World Trade Center dyrektorem generalnym koncernu przestał być Dick Cheney – wiceprezydent USA w gabinecie odpowiadającego za wojnę z terroryzmem Georga W. Busha...

Rentowność przemysłu zbrojeniowego czyni ten sektor jednym z najważniejszych celów działalności lobbingowej. Koszt modernizacji sił lądowych, morskich i powietrznych zawsze liczony jest w miliardach, warto więc przekonywać naród do zakupów... Sprzedawcy broni i kontraktujący zamówienia politycy nie będą przecież spłacać powstałego zadłużenia, na nie zrzucą się wszyscy obywatele. Oczywiście w celu ochrony ich żywotnych interesów, szerzenia wolności, demokracji i praw człowieka. I pozorów tego się trzymajmy. Rozliczyć może nas przecież tylko historia, a ona nie wydaje wyroków skazujących.

Rozdział XXXIV

Mit solidarności społecznej

Nie ma solidarności, bez miłości – tej zawsze jednak brak, gdy dzielenie się dobrami wynika nie z potrzeby serca, a zostaje wymuszone ustawą lub co gorsza płonącymi oponami i demolowaniem stolicy. Wiodąca nad Wisłą myśl lewicowa skutkuje mnożeniem wszelkiego typu przywilejów, które choć wydawały się zasadne w XIX-wiecznej Anglii, przeżywającej rozkwit rewolucji industrialnej i gnębiącej przymierającego z głodu i chłodu robotnika, obecnie nie są niczym więcej niż niezasadnym bogaceniem się jednych ludzi kosztem innych – zazwyczaj tych, na których głosy dana partia polityczna i tak liczyć nie może. Myśl Henriego de Saint-Simona, Karola Marksa i Fryderyka Engelsa przeżywa dziś swój renesans, skryta jednak pod iluzoryczną maską rzekomego liberalizmu: społeczną gospodarką rynkową – a więc już nie gospodarką wolną (wolnorynkową). Korzysta też z szyldu prawicy, lecz głoszącej w istocie socjalistyczny program gospodarczy. W obu przypadkach pasuje do ogólnokontynentalnych tendencji. Mało kto wie, że jednym z prekursorów utworzenia Parlamentu Europejskiego był właśnie utopijny socjalista Saint-Simon. Rozmówiona w demokracji Unia Europejska zaakceptowała konieczność odbierania pieniędzy pracującej i dobrze zarabiającej mniejszości, celem uzyskania głosów zadowolonej z tego powodu, dofinansowanej większości.

Przez dwa stulecia świat uległ głębokim przemianom, jednak jedno pozostało niezmiennie – niemal każdy chętnie przyjmuje

darmowe pieniądze, przywileje i protektorat polityczny. Transakcja barterowa tworzy swoistą symbiozę: głosy zapewniają partii politycznej mandaty poselskie i ministerialne teki, te zaś umożliwią pobieranie stosunkowo wysokich wynagrodzeń, kształtowanie prawa oraz obsadzanie instytucji państwowych i spółek Skarbu Państwa własnymi działaczami, poplecznikami i krewnymi. W zamian partia zapewnia swym wyborcom przywileje kosztem części społeczeństwa i kraju. Niestety, rzadko owe uprzywilejowanie dotyczy kwestii moralnych: odznaczeń, zaszczytów, czy wdrażania usprawnień zwiększających wydajność gospodarki i swobód obywatelskich, a więc umożliwiających mnożenie majątku uczciwą pracą. Nie premiuje się też dotychczasowego rozsądnego gospodarowania, przedsiębiorczości, ani zdobywania wykształcenia zgodnego z oczekiwaniami rynku pracy. To nie jest dobry target marketingu politycznego. Tacy, zaradni życiowo i rozsądni, wyborcy nazbyt skrupulatnie rozliczają polityków z obietnic wyborczych i oczekują moralnych rządów, a przede wszystkim odrzucają populizm. Nie chcą przywilejów, tylko czystych reguł gry umożliwiających uczciwe i godne życie. Na szczęście jest to zdecydowana mniejszość, której głosy nie mają większego znaczenia. Zwykle partie nagradzają nieporadność, apatię społeczną i zawodową, nałogi, albo siłę – która może zostać wykorzystana do strajków, blokowania dróg i niszczenia mienia. Takich obywateli jest dużo więcej i z większym zapalem maszerują do urn. *Jak ich do siebie przekonać?*

Kto widział „*Nikosia Dyzmę*”, ten doskonale zna zasady dzisiejszej Polski. By zdobyć władzę należy wytypować możliwie największe, niezadowolone z obecnych rządów grupy społeczne a następnie okazać im zrozumienie i obiecać spełnienie oczekiwań. Tych absurdalnych też. Banalnie proste. Postawę roszczeniową prezentuje zdecydowana większość ludzkości. Każdy czegoś chce, oczekuje lub żąda. Inna sprawa, że w Polsce i w byłych republikach

poradzieckich wynika to z 50 lat terroru, który zabił indywidualność, zaradność i przekonał ludzi pracujących – zwłaszcza robotników i rolników – że wszelkie materie ich życia: pracę, edukację, ochronę zdrowia, bezpieczeństwo i czas wolny organizuje od początku do końca władza państwowa. Nie jest to więc zła wola, a indoktrynacja. PRL umarł, ale w Unii Europejskiej nikt tego obywatelom zbyt głośno nie mówi. I dlatego na socjalizmie nadal można zarobić. Istnieje kilka „dyżurnych” grup społecznych podatnych na hasła socjalne i o nie najczęściej walczy się w kampaniach wyborczych. Oczywiście nie wszystkie obietnice będzie można spełnić, jednak wiele z nich podlega realizacji, co zapewnia reelekcję.

Kto finansuje 300 miliardowy budżet III RP? Polacy. Prosta analiza struktury dochodów Skarbu Państwa wykazuje, że w 2/3 podatki pośrednie, czyli głównie VAT i akcyza. Podatek dochodowy od osób fizycznych to około 13% budżetu, a od osób prawnych jedynie 10%. To nie milionerzy i przedsiębiorstwa finansują przywileje socjalne, ale konsumenci – najbiedniejsze i ostatnie ogniwo ekonomicznego łańcucha. Podstawą sukcesu jest więc wmówienie obywatelom, że jedyny płacony przez nich podatek to niska stawka potrącana od dochodu, czyli aktualnie w pierwszym progu 18%, a w drugim 32%, a akcyza i 23% VAT ich nie dotyczą, bo odprowadzają je tylko przedsiębiorcy. Oczywiście to ostatnie jest kłamstwem, którego zrozumienie wymaga akceptacji swego paradoksu: **VAT płacą tylko ci, którzy go nie odprowadzają, a odprowadzają ci, którzy go nie płacą.** Nie obciąża on więc przedsiębiorców, gdyż odliczają oni jego koszty na poszczególnych etapach swojej działalności, a ostatecznie obciąża on wyłącznie konsumenta płacącego cenę brutto za usługi i towary. Na półkach sklepowych rzadko jednak uwzględnia się strukturę ceny. Jeśli więc jest drogo, konsument wini za to zdzierających z niego skórę kapitalistów, a nie fiskusa, który akcyzą i VAT-em pomnożył koszt

produkcji. Kupując litr benzyny w 2009 roku odprowadzaliśmy do budżetu w postaci akcyzy, VAT-u i opłaty paliwowej 54% ceny brutto, pozostałą kwotę uszczuplał jednak dodatkowo podatek dochodowy dostawcy surowca i sprzedawcy detalicznego. W cenie półlitrowki wódki około 47% to akcyza, a 19% podatek VAT. Koszt paczki papierosów w około 85% składa się z VAT-u i akcyzy. Wydatek na wytworzenie tych dóbr i marże sprzedawców to grosze. *Drogi wyborco, nadal chcesz wyższych zasiłków i kilkuprocentowych „ulg” podatkowych, czy może wolałbyś kupować wymienione towary za 15-30% dzisiejszej ceny?* Byłoby to możliwe, gdybyśmy odpuścili część przywilejów socjalnych i okupowanie Afganistanu dla Amerykanów. Ale, na szczęście, prawie nikt nie jest tego świadomy.

A zatem – głosując za zwiększeniem świadczeń socjalnych wyborcy rękami populistów okradają samych siebie, podnosząc ceny na kupowane codziennie produkty, a nagradzają rzekomych dobroczyńców fundujących podwyżki. W ostatecznym rozrachunku każdy „socjal” pogarsza sytuację ekonomiczną „obdarowanego” – każda otrzymana złotówka zwiększa o tą samą złotówkę ceny, dodatkowo podnosząc je także o kolejną złotówkę, czyli o koszty obsługi łańcucha transakcji. Wyższe podatki pośrednie to wyższe koszty ich pobierania i kontroli, a następnie redystrybucji i obsługi administracyjnej instytucji państwowych nadzorujących całość tej skomplikowanej maszyny. Każdy cieszy się z wyższego zasiłku, przelicykując jednocześnie gorzką pigułę w postaci droższego prądu, gazu i czynszu, droższej wódki oraz benzyny. Obdarowany wychodzi na minusie, ale jest szczęśliwy – dostał „coś” za darmo. *Wcale nie czuje się okradany, prawda?* Ani, co ważniejsze, nie czuje się tym, który okrada innych, niefaworyzowanych podatników.

Józef Stalin zwykł mawiać, że śmierć jednego człowieka, to tragedia, miliona ludzi to już tylko statystyka. Reguła ta znajduje pełne przełożenie na kwestie finansowe. Niepotrzebny wydatek

poniesiony przez Kowalskiego wysokości 1000 zł to strata nie do przeboleń, 1,2 miliarda zł spożytkowanych na budowę kadłuba korwety w stoczni to niedostrzegalna kropla w morzu budżetu. *Na czym polega problem owego kadłuba, przecież daje pracę polskim stoczniovcóm?* Na tym, że projekt zarzucono i został nam sam kadłub, w którego cenie mogliśmy zakupić zachodniej produkcji kompletną i zarazem też kompletnie niepotrzebną łódź dla Marynarki Wojennej. Ile takich wydatków w budżecie? Multum.

Obecnie studia nie są przepustką do lepszej przyszłości. Nierzadko ekonomista, socjolog, czy pedagog zarabia o wiele mniej od specjalisty po zawodówce, czy technikum: malarza pokojowego, operatora koparki lub kierownika budowy. Przeintelektualizowanie szeregów bezrobotnych jest oczywiste w całej Unii i tendencja ta wydaje się trwała, podobnie jak brak fachowców w wymienionych zawodach. Jednak wystarczy obiecać darmowe studia, by uzyskać głosy tej młodzieży, która pomocy nie potrzebuje, a lata studiów dziennych traktuje jako przedłużenie dzieciństwa. Naprawdę biedni muszą pójść do pracy, a ewentualną dalszą edukację odbywają odpłatnie w trybie niestacjonarnym. Ale jak to pięknie brzmi w programie politycznym: *darmowa edukacja*. Jej utrzymanie ma sens jednak tylko na studiach medycznych, technicznych i wojskowych. Czym innym jest wspieranie dziedzin nauki mnożących PKB i wzmacniających pozycję kraju na arenie międzynarodowej, a czym innym produkowanie bezrobotnych z wygórowanymi ambicjami. Roczny budżet szkolnictwa wyższego to około 10 miliardów zł z czego w 2010 roku finansowano bezpłatną naukę 830 000 studentów.

W dawnych latach żołnierz rzadko dożywał emerytury, a długie marsze w ciężkim terenie i śniegu, powiązane z walką na bagnety, wymagały dużej sprawności fizycznej. Toporne warunki w licznych zawodach wyniszczały zdrowie, a ograniczony do siły fizycznej rynek pracy nie umożliwiał starszym przekwalifikowania. Świat

uległ zmianie. Wojak pilotuje śmigłowce, jeździ rosomakami lub siedzi w ciepłarnianych warunkach na stanowisku artyleryjskim. Podobnie wygląda sytuacja w Policji i innych zawodach. Przewaga miejsc pracy w usługach „*lekkich*” otwiera szerokie możliwości przekwalifikowania, gdy wypalenie zawodowe lub nadmierny stres uniemożliwią pełnienie dotychczasowych funkcji. Można zostać niewymagającym wielkiego wysiłku fizycznego sprzedawcą, księgowym, portierem, informatykiem, agentem nieruchomości lub ubezpieczeniowym, albo fryzjerem. Tak się też dzieje, rzesze 35-letnich wojskowych, policjantów i przedstawicieli innych premiowanych zawodów zmienia miejsce pracy jednocześnie pobierając emeryturę i nie opłacając już składek na ZUS. Polska może się poszczycić najmłodszymi na świecie emerytami. Tak, w erze wojen napoleońskich 35-letni żołnierz może być już w wieku poprodukcyjnym, ale weteran konfliktu irackiego XXI wieku może swobodnie zarabiać na siebie i rodzinę. Podobnie, jak do 65 roku życia pracować musi np. wykonujący podobną pracę konwojent. Mało kto odważa się mówić o tym do liczonych w setkach tysięcy uprzywilejowanych wyborców. Są oni zarazem poszkodowanymi propagandą, gdyż wypłacane pobory nie wystarczają na godziwą egzystencję i wymuszają dorabianie aż do śmierci. Roczne koszty wcześniejszych emerytur w Polsce to około 20 miliardów zł. Znów „*coś*” z niczego.

Górnośląskie kopalnie węgla kamiennego były największym poszkodowanym transformacji ustrojowej. Przez dekady kopaliny finansowały istotną część wydatków PRL-u i gwarantowały bezpieczeństwo energetyczne kraju, lecz po 1989 roku, wraz z rozprężeniem kontroli, te wydajne podmioty zostały roztrwonione, wręcz rozkradzione. Przeładowane zbędną i często niekompetentną kadrą administracyjną nie zdołały wygenerować przychodów pokrywających koszty działania. Odnotowano jednak przypadek

restrukturyzacji terapią szokową: zwolniono kilkudziesięcioosobowe kierownictwo, pozostawiając jedynie księgową, sekretarkę i prezesa. Kopalnia stała się rentowna. Zamiast restrukturyzować inne, podejmowano decyzje o ich likwidacji, a te utrzymywane w stanie agonalnym z założenia miały tylko pełnić rolę dobrze płacących przechowalni dla krewnych i znajomych polityków oraz działaczy. Dotacje z budżetu na pokrycie strat ograniczają zwolnienia i zapewniają poparcie związkowców.

Przeładowanie przedsiębiorstw państwowych i urzędów kadrami administracyjną stało się kolejnym sposobem kupowania głosów. Jak długo walczyliśmy z cięciami kadrowymi, tak długo otrzymujemy poparcie urzędników, choć większość tamtejszych pracowników umysłowych należałoby w trybie natychmiastowym zwolnić. W 2010 roku administracja państwowa (bez uwzględnienia spółek Skarbu Państwa) zatrudniała 440 000 pracowników, a ich wynagrodzenia sięgnęły łącznie 21 miliardów zł. Straty polskiego sektora górnictwa i innych gałęzi przemysłu każdego roku sięgają dalszych miliardów.

Kolejna, szczególnie pożądana, grupa wyborców to rolnicy. Tak samo jak robotnicy zostali wyniszczeni przez poprzedni ustrój i pozbawieni szans na ekonomiczny sukces w gospodarce rynkowej. Pauperyzacja polskiego rolnictwa wynika z jego rozdrobnienia i archaicznych gospodarstw oraz liczby samych rolników, których nad Wisłą jest o wiele więcej niż w dwa razy gęściej zaludnionych Niemczech. Przez dekady nikt nie odważył się powiedzieć, że kraju na tak rozbudowany i nierentowny sektor po prostu nie stać, a część osób z nim związanych powinna się przekwalifikować i opuścić ojcowiznę. Kto jednak chciałby stracić poparcie milionów wyborców? Stąd utrzymanie w nędzy tak licznej grupy obywateli. Kto na Zachodzie pomyślałby, że istnieć mogą w Unii Europejskiej gospodarstwa bez toalet, bieżącej wody, telefonów i komputerów,

utrzymywane na poziomie minimum egzystencji poprzez zwolnienie znikomych wpływów z podatku dochodowego oraz składek na ubezpieczenia społeczne? Finansowany z budżetu KRUS konsumuje rocznie około 15 miliardów zł. Beneficjenci tych „dóbr” stanowią od dekad żelazny elektorat niezatapialnego PSL-u, co daje raz po raz Waldemarowi Pawlakowi stanowisko premiera. Kolejną, przemawiającą głównie do tego samego grona osób, kroplą w morzu jest 300 milionów zł przeznaczane rocznie na „becikowe”, które w praktyce wystarcza na pokrycie kosztów trunków na chrzciny nowo narodzonych wyborców...

Nie ma solidarności, bez miłości. Z miłości jednak władza powinna wręczać obywatelom wędkę, a nie odbierać pieniądze tym zaradnym, by obdarować rybami nieświadomych słabych i biednych. Grunt, żeby ci ostatni wierzyli, że robimy dla nich wszystko, co w naszej mocy. A to oczywiście nieprawda. Obecny budżet Polski nie ma nic wspólnego z rozsądnym gospodarowaniem, a jest niemal w całości trwoniony na absurdalne wydatki. Dofinansowanie społeczeństwa w obecnej formie wyklucza jego rozwój i skazuje beneficjentów tej quasi-pomocy na dożywotnią vegetację w biedzie. Ale takimi właśnie wyborcami, nieświadomymi tego, skąd biorą się pieniądze otrzymywane w ramach zasiłków i dotacji, najłatwiej manipulować przy urnach... Manipulujemy dalej. Są przecież od nas już dożywotnio zależni, zadbaliśmy o to...

Rozdział XXXV

Oszustwa w samorządzie terytorialnym, czyli prywatne miasta

Urzędnicy, przedsiębiorcy, prokuratorzy i kryminaliści, przy milczącej aprobacie po części zastraszonych, a po części obojętnych mieszkańców, zamienili pseudo-demokratyczną Sycylię w prywatny folwark. Włochy i Polskę, prócz religii i podobnej historii, łączy praktyka zagarniania gmin przez lokalne kliki. *Czy warto?* Tak. W puli znajdują się bowiem wszystkie bogactwa miast i wsi. Stojąc na ulicy rozejrzyjmy się wokoło. Niemal wszystko, co nas otacza, należy do gminy. Liczne budynki – mieszkalne, przemysłowe, usługowo-handlowe, biurowe i magazynowe, obiekty inżynierii lądowej i wodnej, niezagospodarowane grunty, tereny rekreacyjne, obiekty sportowe, szkoły, przedszkola, placówki służby zdrowia, zakłady opiekuńcze, domy kultury, biblioteki, muzea, teatry, targowiska, deptaki, jezdnie, zieleń gminna i zadrzewienie, środki transportu publicznego, wysypiska śmieci, oczyszczalnie ścieków, cmentarze... A co do gminy nie należy, jest przez nią finansowane lub organizowane: usługi porządkowe, dostawy wody, gazu i energii elektrycznej, oświetlenie ulic, budownictwo komunalne, pomoc społeczna, aktywizacja bezrobotnych, promocja miejscowości, ochrona przyrody, straż gminna, bezpieczeństwo przeciwpożarowe i przeciwpowodziowe itp. Faktycznie cała Polska należy do 2479 gmin, a do ich skarbców trafia znaczna część budżetu kraju. Przejmując kontrolę nad podstawową jednostką samorządu terytorialnego można spieniężyć jej mienie, a powierzone zadania

użyć jako narzędzia do wytransferowania wpływów z podatków, subwencji, dotacji z budżetu państwa i Unii Europejskiej, opłat, dochodów z mienia, a także tych uzyskiwanych z innych źródeł.

Najważniejszy składnik majątku gmin to grunty i budynki, które można tanio dzierżawić, sprzedawać lub zamieniać na w istocie bezwartościowe, lecz podobne metrażem parcele. Jedna, mała działka sprzedana według „*ugorowej*” wyceny, po zmianie planu zagospodarowania przestrzennego na budownictwo mieszkaniowe, usługowe albo pod zabudowę obiektami handlowymi o powierzchni powyżej 2000 m², przynosi zysk rzędu kilkuset tysięcy lub kilku milionów zł. Rzecz w tym, by kupić nim rada gminy podejmie uchwałę wprowadzającą zmiany. Z pomocą kolegów to łatwe. Poza pustymi działkami inwestorzy od lat ostrzą sobie zęby na takie cuda jak grunty przy krakowskich Sukiennicach. Tutaj zyski będą szły w dziesiątkach, albo setkach milionów zł.

Nie bez znaczenia jest atrakcyjna lokalizacja już istniejących obiektów usługowych, handlowych i gastronomicznych a należących właśnie do gminy. Gang pruszkowski wydać miał majątek na łapówki dla radnych załatwiających wieloletnie umowy najmu z gwarancją niezmiennie niskich czynszów. Koszt eksponowanych przy ruchliwych ulicach sklepów, pubów i dyskotek ustalić można, przy kreatywnej wycenie, na poziomie najmu suteryny o znacznie obniżonym standardzie. Wszelkie ujęte w dokumentacji wady i zniszczenia mogły bowiem zostać usunięte później nakładami najemcy, co dodatkowo uzasadnia ulgową taryfę i długoterminowość umowy. Z uwagi na zwykle ograniczoną podaż odpowiednich dla danej działalności gospodarczej pomieszczeń, kto liczyć może na wsparcie samorządowców, ten już na starcie wyeliminuje konkurencję i faktycznie przejmie cały miejscowy rynek wybranej branży. Przecież konsumenci nie będą dojeżdżać do sąsiednich gmin, by po pracy napić się piwa.

Nadzór nad spółkami komunalnymi gwarantuje zatrudnienie, a więc i pensję, krewnym i kolegom działaczy, a także odpowiednio korzystne świadczenie usług wybranym odbiorcom. Stąd wszelkie konkursy na stanowiska to fikcja reżyserowana w oparciu o profil już zawczasu wybranego kandydata. Rzeczywiste kompetencje nie mają znaczenia, gdyż funkcjonowanie urzędów i spółek komunalnych nie jest zależne od zasad obowiązujących na wolnym rynku, na którym kluczem pozostaje wypadkowa niskiej ceny i dobrej jakości oferty. Zwiększanie zatrudnienia, przyznawanie premii, nagród, mieszkań służbowych, organizacja imprez i wycieczek dla załóg nie kosztuje przecież samorządowca absolutnie nic. Płaci podatnik, a nie radny, czy burmistrz. Trudno więc pogardzić chociażby pensją wiceprezes Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania w Łodzi (prywatnie partnerka życiowa radnego) w wysokości 11 600 zł miesięcznie. Obsadzenie zarządów zaufanymi osobami gwarantuje spolegliwe decyzje także w zakresie kontroli spółek-córek oraz zakupu towarów i usług zewnętrznych, czyli otwiera drogę do wytransferowania tymi kanałami środków finansowych (dochodów lub dotacji). Z uwagi na częsty monopol gminy w danej dziedzinie, nawet przy kiepskiej jakości oferty dochód może być znaczny. Alternatywna opcja to wyśrubowanie cen do tego poziomu, że konkurencja – prowadzona przez współpracowników samorządowców – nie będzie narzekać na brak klientów. Szczytem bezczelności jest wynajęcie marnujących się z tego powodu mocy przerobowych spółki komunalnej na rzecz rentownej konkurencji... Szczególnie proste bywa to w takich dziedzinach jak usługi pogrzebowe, zarządzanie nieruchomościami, inżynieria drogowa, budownictwo, czy dostawy gazu, wody i energii elektrycznej. Niektórzy samorządowcy, zwykle ci świadomi braku perspektyw na kolejną kadencję, podejmują decyzję o wyprzedaży rentownych przedsiębiorstw komunalnych, stosując przy tym opisane wcześniej metody sztucznego i odwracalnego obniżania ich

wartości. Nabywcą jest wówczas zależny od samorządowca podmiot poddany anonimizacji, co do tożsamości rzeczywistego właściciela, albo ten, kto zapłaci najwyższą prowizję. Oczywiście pod stołem.

Ostatnim kluczem do sejfu są zamówienia publiczne. To za ich pośrednictwem wydatkuje się lwią część budżetu. Od tego, jak zdefiniujemy przedmiot przetargu i profil wykonawcy, szczególnie jego doświadczenie oraz potencjały techniczny i ekonomiczny, a także wysokość wadium, zależy, kto i za ile wykona prace: wyremontuje urząd gminy, zrewitalizuje stare kamienice, dostarczy posiłki do stołówek, przeszkoli bezrobotnych, opracuje strategię reklamową i wydrukuje kalendarze z regionalnym motywem albo doradzi w sprawach wszelakich. Nie ma znaczenia, jak bezsensowny będzie owy wydatek – nikomu nie grozi postępowanie karne jeśli tylko kwota zostanie rozdysponowana zgodnie z pierwotnymi założeniami i z procedurą zamówień publicznych. Żaden podatnik nie będzie w ogóle świadomy, że bzdurny zakup konsumuje równowartość podatków jego rodziny za pięć pokoleń do przodu, więc kto miałby się skarżyć? A im bardziej egzotyczne zamówienie, tym mniej potencjalnej konkurencji. *Czy na tym da się zarobić?* Tak.

Najmniejsza gmina w Polsce to Górowo Iławeckie o powierzchni 3,32 km² i budżecie w 2012 roku rzędu 22 milionów zł. Nawet w niej jest czym się dzielić, a co dopiero w bogatych gminach miejskich. Największa, Warszawa, w tym samym czasie zaplanowała wydatki na kwotę 13,3 miliardów zł. Pula godna uwagi, a w absolutnie każdej kategorii zamówień uszczknąć można swój udział. Ten przybierać może dwie postacie – monopolizację wybranego sektora poprzez kierowanie intratnych zleceń do wykonawców powiązanych z samorządowcem lub jego bliskimi, albo uzyskiwanie nieformalnych prowizji za udzielenie zamówienia. Obcych w małych miejscowościach nie potrzeba, a łapówki... Cóż, w życiu nie ma nic za darmo, więc w takiej, czy innej formie biorą je niemal wszyscy.

W latach 1990-2006 przyjmowało się, że każdy wydatek publiczny jest zawyżany o 10%, co stanowić miało premię dla udzielającego zamówienia. W ostatnim jednak czasie życie znacznie podrożało. Na salonach mówi się, że obecna stawka to niekiedy 50%, a wydatek taki finansują oszczędności na wykorzystywanych materiałach. Stąd wysokie ceny remontów dróg, które z uwagi na bardzo złą jakość wykonania nazwać trzeba produktem drogo-podobnym, lecz ekologicznym. Budulca w postaci tłuczonych sanitariatów, worków ze śmieciami, ziemi ornej i gliny w Europie Zachodniej nie uświadczymy. A u nas tak. Zadowoleni są wszyscy: samorządowcy, wykonawcy inwestycji i wracający po dniu pracy z bagażnikami pełnymi butelek Whiskey inspektorzy nadzorujący trefne budowy. A po wyborach... renowacją będzie się martwić dzisiejsza opozycja. I znów będą zlecenia!

Nie oszukujmy się – wiadomo, że ci, którzy są najbliżsi problemu najlepiej wiedzą jak go rozwiązać. Nepotyzm to mit, chodzi jedynie o dobro obywateli, aby niesprawdzeni ludzie nie zmarnowali środków publicznych. Stąd nie dziwi oburzenie pewnego wielokrotnego premiera, któremu zarzucono nadużywanie pozycji z powodu pełnienia funkcji w rządzie, szefowania partii politycznej, która faktycznie zmonopolizowała wiejskie struktury samorządowe i prezesowania Związkowi Ochotniczych Straży Pożarnych RP. Sęk w tym, że niewinny dawniej był też udziałowcem spółek obsługujących dzisiaj masowo właśnie straże pożarne i sprzedających komputerowe oprogramowanie „przeciwpowodziowe” dla gmin. Zakupy w części finansują środki przydzielane na ten cel z budżetu państwa. Premier z tymi inicjatywami gospodarczymi nie ma już jednak absolutnie nic wspólnego. Spółkę, której prezesem zarządu jest jego konkubina, przekazał fundacji. Tej zaś przypadkiem prezesuje 71-letnia matka polityka. I dobrze. Po co się męczyć i budować misterne sieci spółek polskich i zagranicznych z udziałem nominowanych dyrektorów.

Można rodzinie? Można. Rządowy program „rodzina na swoim” działa.

No tak, ale każdy szanujący się specjalista wie, że na racjonalnych wydatkach mało zarobimy. W końcu gaśnice i toporki trzeba wyprodukować, a to kosztuje. Bez obaw. Im bogatsza gmina, tym głupsze zamówienia może składać i więcej za nie płacić. Np. Warszawa w czasie mistrzostw Euro 2012 wydała 703 633,80 zł na promocję miasta poprzez stworzenie 16 wirtualnych syrenek narodowych i prowadzenie komunikacji z internautami w celu podtrzymywania zainteresowania ową „akcją”. Pewnie nikt z Czytelników niniejszego opracowania nie zdołał jej nawet dostrzec. Widocznie była za tania. Do przetargu przystąpił tylko jeden oferent, i w sumie nic dziwnego. *Też uważam, że szpitale, ani sierocińce nie potrzebowały bardziej tych pieniędzy.* Radni pomysłów mają bez liku. W tym samym mieście sporo wydano na budowę wzdłuż ul. Emilii Plater muro-pomnika: kodu genetycznego przedzielającego jezdnię. No bo po co komu dodatkowy parking przy dworcu centralnym? Cudo to było widoczne tylko z helikopterów, których przecież nad stolicą lata multum, ale szybko ktoś doszedł do wniosku, że turyści z Japonii i Ameryki już się nim znudzili, więc dzieło „zamaskowano” sadząc w wolnych przestrzeniach brzozy. No tak, po Smoleńsku decyzja Hanki o uhonorowaniu tego gatunku była nieunikniona. Koszt wraz z położeniem pobliskich chodników wyniósł 5 milionów zł, a już zapowiadane jest rozkopanie ulicy w celu budowy podziemnego parkingu... Na kolorowe donice na kwiaty, wystawione przy Rotundzie, wydano okrągły milion zł. Architekci pieszczotliwie nazwali je kompostownikami... Czerpmy inspirację z inwencji największych. Ile niepotrzebnych atrakcji, ozdobnych fontann, czy eventów artystycznych można zamówić za środki publiczne? Ile dusza zapragnie. Ogranicza nas tylko fantazja i stan konta w banku. Mieszkańcy i tak się ucieszą. Nie wszystkie

założenia trzeba też wykonywać, bezpiecznie zamówić można drogi projekt, który później polegnie na etapie planowania budżetu gminy.

Kopalnią złota stały się dotacje unijne i z budżetu państwa. Regionalne programy operacyjne to największe źródło pozyskania dofinansowań inwestycji w drogi lokalne, a samorządy gminne mogą uzyskać na te cele pieniądze także z Funduszu Ochrony Gruntów Rolnych. Każda gmina, która nie miała pomysłu na co mogłaby spożytkować dostępne środki, budowała np. ronda. Bez znaczenia pozostawało, że liczba pojazdów pokonujących w ciągu godziny wiejskie skrzyżowanie nie przekraczała ilości palców u dłoni. Rondo musiało powstać. Budował szwagier wójta. Drogo, ale (podobno) solidnie. W ten sposób wydano w Polsce całe miliardy.

A co zrobić z tymi, którzy bezkarnie mieszkają na naszym terenie i mają za dużo pieniędzy, ale nie chcą się nimi podzielić? Prędzej, czy później, będą potrzebować dobrej woli władz lokalnych, a ta kosztuje. Idealnym przykładem jest pozwolenie na budowę. Polski system prawa administracyjnego utworzył coś na kształt pułapki ofsajdowej. Pierwsza instancja może na niemal dowolnej podstawie odmówić wydania zgody na budowę, nawet jeśli ta pokrywa się z planowym przeznaczeniem posiadanej działki. Gdy druga instancja również nie przychyli się do argumentów wnioskodawcy, ten może zaskarżyć bezprawną decyzję do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego. Te sądy, wbrew pozorom, bardzo często uznają rację strony, jeśli tylko merytorycznie jest ona zasadna – a gdy samorząd złośliwie blokuje zgodną z prawem inicjatywę, to na pewno jest. Wynika to z prymatu interesu jednostki, ponad interesem społecznym, a także ze służebnej roli administracji w nowoczesnych demokracjach. Wyrok podlega zaskarżeniu do Naczelnego Sądu Administracyjnego, co jest tanie i znacznie przedłuża całą procedurę. NSA najpewniej również poprze obywatela i po upływie roku lub dwóch ten pochwalić się może uchYLENIEM niesprawiedliwej decyzji.

Z wypiekami na twarzy oczekuje kolejnego rozstrzygnięcia, a gdy to zostanie doręczone czerwień nie znika. Zmienia się powód jej wystąpienia. Otóż zapadła kolejna odmowna decyzja, ponownie naruszająca przepisy procedury administracyjnej, błędnie interpretująca stan faktyczny i materiał dowodowy oraz przepisy prawa materialnego. Znow trzeba ją zaskarżyć... I tak aż do skutku, czyli do wychowania obywatela. W ten sposób pewien prezydent małopolskiego miasta doprowadził na skraj bankructwa prężnego przedsiębiorcę branży hotelarskiej. Z uporem maniaka, z różnych, wyimaginowanych i niemerytorycznych powodów odmawiał zgody na zabudowanie kupionej działki obiektem turystycznym, aż inwestycja ta – z powodu wieloletniego zamrożenia kapitału – pociągnęła go na dno. *I co mi zrobisz?* Nawet ewentualne odszkodowanie wypłaci gmina, czyli podatnicy, a nie władarz. Świat jest piękny.

Po co się męczyć i wchodzić na szczyty władzy na szczeblu rządowym, skoro o wiele łatwiej i bez zbędnego nadzoru ogólnokrajowych mediów wyprowadzić można z nawet małej gminy wielomilionowy majątek. Dużo też prościej zostać wójtem, niż premierem, czy ministrem. Wystarczy jakoś zabłysnąć w lokalnej społeczności.

Rozdział XXXVI

Jak zostać najbogatszym Polakiem?

Nie mylmy lokalnej skali działania z mizериą finansową. Jak wskazano w poprzednim rozdziale, nawet najbiedniejsze gminy pochwalić się mogą majątkiem liczonym w dziesiątkach i setkach milionów zł, a gdy zebrać potencjał kilku miejscowości, to na ich bazie zbudować można okazałych rozmiarów imperium, a nawet awansować na szczyt europejskiej ekstraklasy biznesu. *Drogi Czytelniku, chcesz poznać choć jeden taki przypadek? Historię polskiego snu, od pucybuta do...*

Na początku lat 90-tych Sejm przyjął tzw. ustawę Glapińskiego, uprawniającą do przekazywania spółdzielniom mieszkaniowym bez przetargu i za darmo gruntów państwowych. Darowizna uzależniona była od późniejszego przekazania 1/5 z wybudowanych na niej lokali wskazanym przez wojewodę właścicielom książeczek mieszkaniowych. Wtedy pierwszy raz zastosowano eksploatowaną przez następne dwie dekady metodę łańcucha podmiotów z osobowością prawną. Spółdzielnia otrzymała działkę budowlaną w centrum Warszawy, przy elitarnej alei Szucha, lecz nigdy nie otwarła inwestycji. Jak się nagle okazało, była ona zadłużona u kieleckiego developera, który niezwłocznie przejął grunt. Zupełnym przypadkiem prezes spółdzielni był ojcem właściciela spółki developerskiej. Identyczny manewr powtórzył się między tymi samymi osobami z działką budowlaną przy równie ekskluzywnej alei Róż. Żaden właściciel książeczki mieszkaniowej nie dostał ani jednego z powstałych tam apartamentów, a developer za darmo

przejął nieruchomości warte majątek. Jak ujawniono później, na dwa tygodnie przed końcem obowiązywania kontrowersyjnej ustawy decyzję o przekazaniu ziemi przeforsował polityk lewicy i major kontrwywiadu WSW, ówczesny dyrektor generalny Urzędu Rady Ministrów a późniejszy szef gabinetu prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego. Prywatnie przyjaciel developera. Prokuratura umorzyła śledztwo.

Przepustką do dobrobytu, jeszcze nie miliardera, było przejście władzy w europejskim potentacie ubezpieczeniowym PZU ŻYCIE przez Grzegorza Wieczczaka. Ten kontrowersyjny prezes, oskarżany (lecz nieskazany!) o malwersacje na wielomiliardowym majątku, wspieranie finansowe polityków lewicy i prawicy oraz udział w próbie wrogiego przejścia BIG Banku Gdańskiego przez Deutsche Bank, okazał wielkie zaufanie do developera i powierzył mu budowę licznych biurowców. Tak detalista stał się hurtownikiem i ogólnokrajowym graczem. Przypadkiem na kontraktach od podejrzanego inwestora.

W 2000 roku developer nabył od lubelskiej Agencji Mienia Wojskowego 113 hektarów ziemi pod tereny rekreacyjne i rezerwat przyrody, tzw. Górki Czechowskie. Z racji przeznaczenia działki sprzedano ją za jedyne 12 300 000 zł, czyli 11 zł za metr kwadratowy. Choć od początku znany był plan zagospodarowania przestrzennego, inwestor zażądał zgody na budowę hipermarketu. Brak nasycenia tego regionu wielkopowierzchniowymi galeriami handlowymi czynił projekt niezwykle rentownym. Do tego stopnia, że wkrótce po przeniesieniu przez dotychczasowego właściciela developera kontrolnego pakietu akcji na zagraniczne spółki, jeden z lubelskich radnych LPR zgłosił w prokuraturze próbę korupcji. Rzekomo, otrzymać miał od szefa kancelarii prezydenta miasta propozycję zapłaty 100 000 zł za poparcie w głosowaniu zmiany przeznaczenia terenów zielonych. Przyjęcie uchwały oznaczałoby

dla nabywcy tanich gruntów zysk rzędu 453 260 000 zł, gdyż właśnie za stawkę 412 zł za m² sprzedawano ziemię przy ul. Kraśnickiej, przeznaczoną pod budowę innego hipermarketu. Nawet jednak ustalając niższy przelicznik, właściwy dla np. działek przy ul. Polygonowej, których ceny transakcyjne zaczynały się wówczas od minimum 150 zł m², zysk spółki sięgałby kwoty 157 200 000 zł. Po zakończeniu budowy centrum handlowego wartość okolicznych gruntów wzrosłaby wielokrotnie, więc niewykorzystany teren można w dobrej cenie spieniężyć lub przeznaczyć na dalsze własne, komercyjne przedsięwzięcia. Z braku dowodów śledztwo w sprawie korupcji umorzono.

Podobny przypadek miał niedługo później miejsce w Łomży. Tam developer również nabył grunty o innym niż gospodarczym przeznaczeniu. Rada Miasta szybko naniosła oczekiwane zmiany na plan zagospodarowania przestrzennego, umożliwiając tym samym budowę hipermarketu, lecz przeciw inwestycji wystąpili właściciele sąsiadujących działek. Sprawa trafiła do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego, który zarzucił miastu wiele błędów i przychylił się do skargi. W międzyczasie ABW zatrzymało dwóch współpracujących z inwestorem biznesmenów oraz adwokata, pod zarzutem złożenia obietnicy wręczenia łapówki w zamian za korzystny dla spółki wyrok.

Przed sądem stanął wiceprezydent Kielc oskarżony o niegospodarność i niedopełnienie obowiązków przy sprzedaży ponad 4,5-hektarowej działki na Ślichowicach. Francuski koncern Carrefour oferował za grunt 6 milionów zł więcej niż developer, jednak mimo tak wielkiej różnicy cen to on otrzymał ziemię. *Jakie informacje, nieuwjęte w dokumentacji, przekonały włodarza?*

Infiltracja to idealny wytrych do prestiżowych zamówień publicznych, lepszy od dobrej oferty. Uniwersytet Wrocławski otrzymał z budżetu państwa 117 milionów zł na budowę biblioteki

uczelnianej, a wraz z wkładem własnym koszt inwestycji, jednej z największych na całym Dolnym Śląsku, zamknąć miał się w 186 milionach zł. By uzyskać kontrakt spółka wprowadziła na uczelnię swojego człowieka. Ten uzyskał stanowisko doradcy uniwersytetu ds. przetargów. Etat załatwiać miał, za zgodą centrali developera, dyrektor jego wrocławskiego oddziału. Poza faworyzowaniem oferenta uwagę władz uczelni przyciągnęło podejrzenie poświadczenia nieprawdy w dokumentach oraz stosowania gorszych materiałów budowlanych, niż nakazywał projekt. Sprawę zgłoszono do ABW i prokuratury, które zatrzymały, pod zarzutem oszustw przetargowych, prezesa i wiceprezesa zarządu developera. Ci przyznali się do winy i dobrowolnie poddali karze. Za zgodą prokuratora wnioskowali o wyroki 2 lat oraz 1,5 roku pozbawienia wolności w zawieszeniu oraz grzywny.

Dobór agenta nie był przypadkowy. Od kilku lat prowadził on działalność gospodarczą w zakresie doradztwa przy zamówieniach publicznych. Usługi konsultingowe świadczył m.in. gminie Łomianki przy przetargu na budowę centrum sportowego oraz gminie Reda na Pomorzu, która wybierała wykonawcę krytej pływalni. Oba przetargi też wygrał developer. Siła perswazji była tak duża, że zarząd podwarszawskiej gminy na realizację prac zaciągnął zobowiązanie w wysokości 52 milionów zł, czym naruszył limit dopuszczalnego zadłużenia budżetu w wysokości 60%, sięgając do 200% budżetu. Sama okazała budowla przekraczała realne i rozsądne potrzeby gminy. *Czy do innych wygranych przetargów także oddelegowano agentów-lobbystów?*

Zarząd Miasta Dąbrowy Górniczej powierzył spółce budowę Hali Widowiskowo-Sportowej oraz Centrum Administracyjnego – tzw. Pentagonu, ogromnego kompleksu biurowego skupiającego wszystkie najważniejsze lokalne urzędy z sądem i prokuraturą włącznie. Zgodnie z umową, developer miał z własnych środków

wybudować nowoczesny biurowiec, natomiast zarządzając obiektem i pobierając z tego tytułu czynsz w ciągu 15 lat odebrać z zyskiem zainwestowane pieniądze. Do tego celu powołano pomostową spółkę celową, działającą pod firmą Centrum Administracyjne. Wkrótce jednak pojawiły się poważne wątpliwości, co do kwestii prawnych i okoliczności transakcji. Według wycen rzeczoznawców nakłady poniesione na budowę nie przekroczyły 80 milionów zł, umowa opiewała na kwotę „do” 106 milionów zł, natomiast spółka ostatecznie żądać miała łącznie niemal 300 milionów zł zapłaty. 21 czerwca 2005 roku Sąd Okręgowy I instancji w Katowicach unieważnił kontrakt obejmujący budowę i eksploatację „Pentagonu”, albowiem został on zawarty z naruszeniem prawa. Sama spółka Centrum Administracyjne również egzystowała z naruszeniem Kodeksu spółek handlowych, gdyż kapitał zakładowy podmiotu wynosił jedynie 4 000 zł, zamiast wymaganych wówczas 50 000 zł. Zarzuty postawiono tylko wywodzącym się z SLD członkom zarządu miasta oraz byłemu prezydentowi miasta.

Kolejną wielką inwestycją był remont stołecznych basenów „Warszawianka”. Początkowo prace wyceniono na 20 milionów zł, lecz ostatecznie na konta spółki trafiło około 120 milionów zł. We władzach fundacji zarządzającej wówczas „Warszawianką” zasiadali głównie ludzie z rekomendacji SLD, a według opozycyjnych radnych środki na nią przekazywano z pominięciem prawa, gdyż trafiały one na konta „Mokotowskiej Fundacji Warszawianka – Wodny Park”, która do miasta nie należała. Mimo tego, na zamkniętych imprezach w obiekcie za darmo bawili się działacze Sojuszu, m.in. ówczesny szef okręgu warszawskiego i skazany później za tzw. przeciek starachowicki Zbigniew Sobotka. Zarzut niegospodarności skutkującej utratą 119 milionów zł postawiono jednemu urzędnikowi, jednak sąd nie dopatrywał się znamion czynu karalnego i zarzuty oddalił.

Jednymi z częstszych podwykonawców omawianych spółek developerskich bywały podmioty należące do Waltera K., znanego z opisaney wcześniej „inwestycji” w terminal kolejowy w Wolbromie. Miał on organizować podwykonawców, czyli ostatnie ogniwa łańcucha, które z uwagi na niewypłacalność spółek pośrednich nigdy nie otrzymywały zapłaty za zrealizowane roboty budowlane i dostarczony budulec. Niektórzy z pokrzywdzonych określali liczbę nierozliczonych, głównie małych, rodzinnych przedsiębiorstw, na około tysiąc. Wiadomo, że kilku wierzycieli, po otrzymaniu kolejnej odmowy wszczęcia śledztwa i po zablokowaniu upadłości likwidacyjnej, powierzyło windykację nieustraszonym egzekutorom długów z Rosji. Ci, po sprawdzeniu dłużnika, odmówili przyjęcia zlecenia. Jak powiedzieli: *z władzą nie tańczą*. Czy ową władzą byli zaprzyjaźnieni z Walterem oficerowie WSI, związani z mazowieckim Towarzystwem Przyjaciół K*?

Zaradni podwykonawcy, gapowaci radni oraz pełni zrozumienia sędziowie i politycy to woda na młyn rekinów biznesu, gwarantująca lokatę na szczycie listy miliarderów. Gdy już się na niej znajdziemy, sięgnąć możemy po wisienkę na polskim torcie – czyli po królewski Kraków.

Przez szereg lat toczono zażarte boje o podziemia dawnej stolicy. Szczególne zainteresowanie budziły warte majątek główne place zabytkowego śródmieścia. Developer uzyskał zamówienie na ogromną inwestycję – budowę podziemnych, wielopoziomowych parkingów wraz z prawem ich wieloletniej eksploatacji. W kuluarach mówiło się też o wykonaniu przez spółkę galerii handlowej pod krakowskim Rynkiem Głównym. Wedle ówczesnych deklaracji chciał ją tam umieścić mer. Projekt komercjalizacji historycznego rynku otwierał lokalnym biznesmenom drogę do zagospodarowania na cele handlowe i usługowe ponad 6000 m² powierzchni w najatrakcyjniejszym turystycznie punkcie Polski. Bezpowrotne

zniszczenie tysiącletnich zabytków przekuć można w perspektywie lat na setki milionów zł zysku. Przeznaczone na parkingi podziemia na około 35 lat miały zostać bezpłatnie przekazane w ręce spółki słynącej z twórczego naginania prawa i szczęścia do włodarzy zmieniających, już po zawarciu umów, warunków rozliczeń i planów zagospodarowania nieruchomości. *Parkingi to inwestycja nisko dochodowa, ale gdyby zabytkową przestrzeń wykorzystać inaczej...* Możliwości Krakowa są praktycznie nieograniczone. Zawsze bowiem można uchwałą i aneksem zupełnie zmienić zakres wykorzystania już przecież powierzonych zaufanemu inwestorowi przestrzeni. Sukcesy poznańskiego „Starego Browaru” i łódzkiej „Manufaktury” oczywiście uzasadnią ewolucję projektu. Miasto nie pokrywało kosztów budowy parkingów, całość sfinansować miał inwestor, a w zamian użytkować konstrukcje przez 35 lat. W tym czasie zwrócić miały się nakłady szacowane na 120 milionów zł. Ale trzy i pół dekady to w finansach gminy wieczność i dostatecznie długi czas, by po drodze utracić nieruchomości na zawsze. Wystarczy uchwała życzliwej rady miasta...

Niestety, w tym przypadku na drodze zyskom stanęli liczni mieszkańcy Krakowa. Zgody na niszczące dla zabytkowej materii miasta prace nie udzielił Konserwator Zabytków, decyzję swą motywując niepowetowanymi stratami historycznego dziedzictwa. W odpowiedzi mer skierował trzy wnioski o jego odwołanie. Koronnym argumentem czyniono możliwe do uzyskania dochody, lecz pechowo ktoś zauważył, że te spływałyby głównie do kieszeni inwestora, a nie do kasy miasta. Podobnie nie uzyskano zgody na roboty budowlane w bezpośrednim sąsiedztwie zabytkowych budowli. Choć były one najkorzystniejsze finansowo dla developera, miały rodzić groźbę zawalenia okolicznych kamienic, zalew wodą z Wisły lub zagrażały bezpośrednio średniowiecznej zabudowie, m.in. Wawelowi. Alternatywnych lokacji nie zaakceptowano, choć do

budowy parkingów podziemnych były one w pełni odpowiednie. Konsekwentnie żądano wybranych punktów, bez względu na ryzyko katastrof budowlanych lub niemożliwych do naprawienia zniszczeń w historycznych konstrukcjach. Architekci, historycy sztuki i konserwatorzy równie krytycznie ocenili prace archeologiczne prowadzone na krakowskim rynku. Nieumiejętne odsłonięcie części Sukiennic skutkowało ich uszkodzeniem. Odsłonięte jesienią mury piwnic od strony wschodniej i fundamenty od południa i północy narażone były na długotrwałe zmiany temperatury i zawilgocenie, co mogło być przyczyną pękania ścian. Z kolei zerwanie kostki brukowej połączono z dewastacją kryjącego się pod nią średniowiecznego cmentarza. Cóż, gdy zabraknie zabytków, braknie też powodu, by blokować współczesne inwestycje. Choć mer miasta nazwał później zapowiedź komercjalizacji podziemi rynku żartem, trudno oprzeć się wrażeniu, że był to jedynie niezgrabny sposób ucieczki od krytyki ze strony mediów i wyborców¹¹. Skuteczny,

11 Jeśli zapowiedź inwestycji miała być żartem, to skutecznie wprowadziła w błąd jednego z najbogatszych Polaków i mieszkańców Krakowa – Władysława Likusa (co trzeba podkreślić – nie on jest bohaterem niniejszego rozdziału!). Likus pisał w maju 2005 roku do Gazety Wyborczej wcale nie gdybając, lecz stwierdzając: „*w podziemiu zostaną odrestaurowane istniejące średniowieczne budowle kramów kupieckich i przywrócona ich pierwotna funkcja handlowa. W "podziemnym Rynku" znajdą miejsce nie tylko sklepy...*” a także „*Zakres projektu i rozmach upoważnia do stwierdzenia, że jego realizacja będzie bezprecedensowym wydarzeniem [...] Dodatkowym niebagatelnym atutem będzie komercyjne wykorzystanie nowego miejsca. Rynek stanie się zapewne jeszcze bardziej atrakcyjny dla mieszkańców i odwiedzających go gości, co pozwoli na uzyskanie dodatkowych środków pieniężnych przez nich pozostawionych.*” Trudno więc deklaracje, co do rzekomych „żartów” mera, nazwać inaczej niż kłamstwem. W innym przypadku należałoby uznać, że na łamach poważanego dziennika kłamał Władysław Likus.

zważywszy reelekcję.

Kraków nie wyszedł, ale nie to. Grunt, że w innych miastach nie było tak źle. Na pierwsze strony gazet trafiają przecież tylko informacje o tle i okolicznościach nagłośnionych i udaremnionych transakcji. Tych zaś było o wiele mniej od udanych interesów, łącznie przynoszących wielomiliardowy majątek i lokatę na szczycie polskiej listy najbogatszych Polaków, a także awans do globalnego, ekskluzywnego klubu największych bogaczy.

Czy miliarder zbudował fortunę na bazie nadzwyczajnych zbiegów okoliczności i od początku do końca miał jedynie pecha trafiać na nieuczciwych kontrahentów, oszustwa i układy korupcyjne? Tego nigdy się nie dowiemy, a że *in dubio pro reo*, powyższe wydarzenia uznać trzeba za przypadkowy spłot okoliczności. Jak widzisz drogi Czytelniku, wystarczy mieć w życiu odrobinę szczęścia do prokuratorów umarżających śledztwa i samorządowców życzliwych Twemu bogactwu. Dlatego Roman Kluska nigdy nie został miliarderem, a nasz bohater spełnił wszelkie swe sny, tworząc niezatapialne imperium.

Na koniec zła wiadomość drogi Czytelniku. Niestety, opisana kariera to nie amerykański sen spełniony nad Wisłą, a jedynie historia kolejnego figuranta służb specjalnych, sztucznie wykreowanego na króla giełdowych inwestorów, którego „przecucie nigdy nie zawodzi i zawsze wie kiedy akcje sprzedawać, a kiedy

Ponadto, przez długi czas prasa rozpisywała się o prywatnych inwestorach, już po ogłoszeniu „oficjalnej” rezygnacji z komercyjnego zagospodarowania podziemi. Mieli być oni zainteresowani projektem oraz utrzymywać w tym zakresie kontakt z Urzędem Miasta. Zgodnie z określeniem sformułowanym przez prof. Zina, „*pewna ekskluzywna grupa urzędników*” może zawłaszczyć jeden z najdynamiczniej rozwijających się polskich terenów i uczynić z niego prywatne Księstwo Krakowskie.

kupować”. Na pewno przecież wiedzy o emitentach giełdowych nie czerpie od agentów ulokowanych w wybranych spółkach akcyjnych. Mistrza negocjacji – który gdy chce kupować dobrze prosperujący biznes, po prostu kupuje. Za tyle, za ile chce... O tym, jak to się robi i dlaczego wciąż spółki odsprzedawane są zagranicznym „inwestorom”, już wiesz z lektury wcześniejszych rozdziałów...

Z dobrych zaś wieści podkreślić trzeba, że polska Temida jest nie tylko ślepa, ale i głupia. Czy naprawdę wierzy, że ktoś samodzielnie, w ramach wolontariatu, popełnił przestępstwo, by jego pracodawca lub kolega mógł zdobyć nienależne pieniądze? Domniemanie takie źle świadczy o moralności lub rozsądku. *A więc do dzieła – miliardy czekają i na Ciebie.*

Rozdział XXXVII

Jak ukraść całą gałąź gospodarki?

Barierzy wejścia na rynek są zawsze dobre. Pod warunkiem, że to konkurencja jest z niego wykluczona, a nie my. Wszak wiadomo, że zwiększona podaż równa się niższej cenie i większej dbałości o każdego klienta, a czy w interesie przedsiębiorcy jest tanie sprzedawanie i zabieganie o odbiorcę? Zdecydowanie lepiej, gdy może on zawyżać ceny a nabywca skazany na jednego dostawcę lub usługodawcę i tak będzie musiał płacić. Awangardą walki o przywileje, kosztem jakości usług i zachowania maksymalnych cen krzywdzących konsumentów, są wszelkiego typu korporacje zawodowe. Zazwyczaj wprowadzają one dziedziczenie miejsca pracy i psucie branży pod pozorem rzekomej dbałości o klientów. Hipokryzja ta jest wiadoma każdemu, kto choć raz zetknął się z...

Dlaczego ograniczenia wykonywania zawodu są „złe”? Nie tylko z powodu pogwałcenia swobody prowadzenia działalności gospodarczej. Mniejszą szkodą jest, że kilka tysięcy absolwentów studiów prawniczych nie może pracować w wyuczonym zawodzie. Większą, że 38 milionów Polaków nie ma prawa wybrać sobie dowolnej osoby do reprezentacji jej interesów w sądzie. Pytanie – kto lepiej przedstawi okoliczności sporu o charakterze gospodarczym i podstawy faktyczne, dowodzące prawidłowego świadczenia usług np. budowlanych: ekspert od budownictwa znający wszelkie niuanse sporu i jego strony, czy radca prawny, który z danym zagadnieniem spotyka się po raz pierwszy, na przeczytanie akt sprawy miał godzinę, a tego samego dnia uczestniczy jeszcze w kilku innych

rozprawach? Kto z nich zada świadkom fachowe pytania i zdoła nierzetelnie zeznającego zapędzić w „kozi róg” pytaniami o zaawansowane kwestie techniczne? Kto z opisanej dwójki poświęci więcej czasu na zgłębienie sprawy i kto lepiej będzie znał uwarunkowania środowiskowe branży? Według dbających o „dobro” obywateli piewców restrykcyjnych przepisów korporacyjnych oczywiście radca lub adwokat. Nie szkodzi, że jest kompletnym laikiem w dziedzinie której dotyczy spór – i tak jest o wiele lepszy, bo przecież ma ładną togę. Na marginesie zaznaczyć trzeba, że w demokratycznym państwie prawa (co do idei) *sąd zna prawo*, a strony winny jedynie rzetelnie przedstawić stan faktyczny i dowody potwierdzające ich słowa. Do tego nie trzeba nawet studiów, wystarczy logika. *Ale ludzie nie muszą tego widzieć!* A jeśli odpowiednio skomplikujemy przepisy prawa proceduralnego, to całym sercem uwierzą, że monopol palestry jest konieczny dla ich dobra. Wtedy zapłacą. Dobra nasza.

W polskich realiach często przywołuje się statystyki, według których nad Wisłą jest np. więcej prawników niż w krajach skandynawskich. Umyka jednak komentatorom drobny fakt, iż na Północy co prawda zastrzeżono nazwę „*adwokat*”, lecz stronę reprezentować może w sądzie dowolnie wskazana osoba, także krewny, przyjaciel, współnik, sąsiad lub zaufany hydraulik. Każdy więc może swobodnie wybrać, czy powierzy swą sprawę korporacyjnemu „*profesjoniście*”, czy też komuś innemu. Bywalcy polskich sądów zapewne nie raz byli świadkami nierównego pojedynku toczonego przez prawnika zupełnie nieznanego meritum sprawy, branży, której ona dotyczy i meandrów zawodowych. Jakie szanse może mieć adwokat w konfrontacji ze świadkiem strony przeciwnej, który jest ekspertem np. od biotechnologii, informatyki, chemii, czy innej dziedziny wymagającej dogłębnej wiedzy fachowej? Skąd mecenas ma wiedzieć, o co zapytać, jak wykazać

nierzetelność odpowiedzi świadka? Otóż, nie może. Jest to starcie profesjonalisty z idiotą, a rola idioty przypada tzw. „*profesjonalnemu*” pełnomocnikowi. Z całą pewnością nie jest to więc ograniczenie w interesie osób, dla których od wyniku sporu zależy przyszłość. Znajomość procedur sądowych nie znaczy nic, jeśli wiedza merytoryczna właściwa dla zagadnienia jest zerowa. Na szczęście jednak koledzy z ław poselskich zadbali o to, by szary człowiek nie zdołał samodzielnie wypełnić nawet najprostszego formularza. Dzięki temu, po przegranym procesie dobry mecenas z łatwością wyjaśni klientowi, dlaczego to właśnie klient był winny.

Kolejny, często podnoszony przez adwokatów i radców prawnych argument za rygorystycznymi ograniczeniami brzmi: *od nas zależy majątek i warunki życia klientów!* Godne pochwały. Niestety należałoby schylić głowę przed tak uczciwym stawianiem sprawy. Na szczęście, to też nie prawda. Inne zawody mają bowiem dużo niższe bariery wykonywania, a są dużo bardziej odpowiedzialne. W Polsce człowiek uprawniony do przewożenia milionów zł w gotówce, wyposażony w pistolet maszynowy albo strzelbę gładkolufową, otwierającą jednym strzałem drzwi od stodoły, musi spełnić wymóg ukończenia szkoły... podstawowej. I odbycia 3-miesięcznego kursu. *Pytanie, czyja praca jest bardziej odpowiedzialna?* Człowieka w todze, dyskutującego o niezapłaconej fakturze na 1000 zł za dostawę ptactwa do kurnika, czy tego, który niefrasobliwością utracić może worek pełen cudzych dolarów, a jak mu się palec na mieście omsknie to serią z Glauberyta zastrzeli kilku przechodniów? W drugim przypadku nie ma czuwającego nad sprawą sędziego i nie przysługuje apelacja... Tak, zdecydowanie od korporacyjnych prawników zależy więcej. Chwała im za opiekę nad pospółstwem.

Ostatnim, równie często podnoszonym przez adwokatów argumentem – tym razem przeciwko dopuszczeniu magistrów prawa

do świadczenia usług sądowych – jest obawa „sparalizowania” sądów masowym sporządzaniem „nieprofesjonalnych” pozwów i dalszych pism procesowych. Przecież powszechnie wiadomo, że ukończenie studiów nie daje żadnej wiedzy. Nikt – znów na szczęście – nie zwrócił uwagi, że jakoś sądów nie paraliżują setki tysięcy nieprofesjonalnych pism przygotowanych każdego roku nie przez magistrów prawa, a samodzielnie przez niezdolne finansowo do najęcia prawnika strony postępowań występujące we własnym imieniu i zwykle zupełnie pozbawione jakiegokolwiek źródłowej wiedzy prawniczej. Cóż, widocznie uzyskanie statusu pozwanego lub powoda czyni „cywila” kimś na kształt „malego” adwokata, który sądu nie „sparaliżuje”, a absolwent kierunkowych studiów mógłby swym brakiem warsztatu bardzo proces utrudnić... Tak – żelazna logika to potężna broń korporacji prawniczych.

Limity ilościowe i monopol korporacji są sprzeczne z zasadą sprawiedliwości – dlatego są tak opłacalne i warto zabiegać o ich utrzymanie. Skazują bowiem klientów (z powodu braku konkurencji) na drogie, niskiej jakości usługi i ograniczają prawo do wykonywania zawodu innym obywatelom. Prawdło to nie dotyczy tylko prawników, ale też lekarzy, architektów i wielu innych profesji z setek objętych ustawową albo korporacyjną regulacją. Dziedziczenie zawodu zapewni bezpieczeństwo finansowe nie tylko obecnemu, a także następnym pokoleniom. W ramach solidarności zawodowej na bezpłatne (cóż za oszczędność!) dzienne studia na renomowanych uniwersytetach przyjęte zostaną w pierwszej kolejności dzieci dzisiejszych lekarzy i członków palestry. Podobnie dobór aplikantów oraz doktorantów przeprowadzany jest według klucza znanych nazwisk. A inni, zdolni? Również się przydadzą. Kto w końcu zabroni naszemu dziecku zatrudnić we własnej kancelarii adwokackiej zdolniejszego kolegę ze studiów na posadzie sekretarza, czy asystenta za głodową pensję? Jeśli lubi, to niech pisze

pozw, opinie prawne i wnioski dowodowe, pod którymi podpisze się uprawniony przez korporację adwokat. I wszyscy będą zadowoleni. Żeby jednak wprowadzić tak daleko idącą ochronę własnych interesów trzeba pozyskać zaufanego i skutecznego człowieka w zespole opracowującym najwyższe akty prawne – w tym Konstytucję RP. Na szczęście w Polsce miało to miejsce, a interesy korporacji zagwarantowało prawo już na poziomie ustawy zasadniczej.

Tzw. zawody zaufania publicznego cieszą się tak daleko idącym poparciem władzy, że nie wymagają nawet posiadania kas fiskalnych umożliwiających weryfikację osiąganych dochodów i należnych do odprowadzenia podatków – VAT-u oraz dochodowego. W końcu jaki np. prawnik, czy lekarz, przyjąłby plik banknotów bez odnotowania tego wpływu w księgach rachunkowych, prawda? Taka nieuczciwość nikomu się przecież w głowie nie mieści, a skazywanie np. adwokatów za udział w tzw. Mafii Paliwowej, dokonującej masowych oszustw podatkowych, to tylko złośliwość sądów...

Poza zawodami chronionymi czujnym okiem korporacji warto „wycinać” z wolnorynkowej gospodarki sektory przynoszące zbyt duże zyski, ale niestety niemożliwe do objęcia zmonopolizacji przez przedstawicieli jednej profesji. Czasem wynika to ze zbytniego rozdrobnienia branży, a niekiedy z bariery wejścia na rynek niezależnej od konkretnej wiedzy fachowej, a jedynie kapitału. Do tego celu powołano, wydawane zwykle na poziomie ministerialnym, wszelkiego typu koncesje, licencje lub zezwolenia. Kluczem do monopolizacji gałęzi przemysłu są zaufani urzędnicy wydający decyzje administracyjne o ich przyznaniu. Tak powstała chociażby osławiona Mafia Paliwowa. Przy wydawaniu koncesji na produkcję paliw płynnych nikt nie wnikał w takie szczegóły, jak liczba zlokalizowanych na terenie kraju rafinerii – producentów było dziesięć razy więcej, niż obiektów zdolnych do takiej działalności.

Dzięki temu systemowi wielomiliardowy rynek petrochemiczny został ochroniony przed zakusami nieuczciwej konkurencji, która w przypadku próby działania bez koncesji musiała liczyć się z interwencją ABW.

Za szczególną quasi-korporację uznać należy zawód licencjonowanego prywatnego detektywa, stanowiący w istocie przechowalnię byłych milicjantów, policjantów, SB-eków i innych funkcjonariuszy „niebieskiej” służby. W pierwszych latach istnienia III RP zawód ten nie podlegał regulacji, w związku z czym rynek zalały agencje detektywistyczne, zakładane w większości przez negatywnie zweryfikowanych oficerów Służby Bezpieczeństwa i pokrewnych przedstawicieli minionego ustroju. Do dziś twarzą-symbolem branży jest milicjant z ZOMO. Później wprowadzono obowiązek uzyskania licencji, czym rynek został praktycznie zgaszony i podzielony pomiędzy 30 liczących się graczy, wśród których znajdziemy m.in. bratanka byłego Komendanta Głównego Policji, ponownie byłych oficerów wydawałoby się już emerytowanego SB oraz niewielką ilość młodych wilków z czystymi życiorysami. Odpowiednią selekcję umożliwia egzamin przeprowadzany przez Policję. Znamiennym pozostaje przykład pewnego byłego oficera WSI, któremu po kolejnym oblanym podejściu wprost zakomunikowano, że nie jest w branży mile widziany. Nic to, że był jednym z najlepszych polskich specjalistów od pozyskiwania informacji i spełniał wszelkie wymogi ustawowe – „zielony” resort powinien szukać pracy w innym sektorze. Samo dopuszczenie do egzaminu było w jego przypadku dowodem niefrasobliwości wstępnej selekcji. Otóż, by uzyskać uprawnienia detektywa, jak i wielu innych zawodów, nie wystarczy w Polsce niekaralność. Co z tego, że obywatel przez kilkadziesiąt lat swojego życia nie popełnił przestępstwa, przestępstwa skarbowego, a zwykle nawet wykroczenia? Jest przecież jeszcze wywiad środowiskowy...

Jeśli dzielnicowy z jakiegoś powodu nie lubi Kowalskiego, np. ten odbił mu pannę, zalał mieszkanie, albo nieopacznie pochwalił się opozycyjnymi poglądami politycznymi – licencji nie dostanie. Podobnie osoba skonfliktowana z sąsiadem lub sprzątaczką nie może liczyć na nienaganą opinię środowiskową. To nieograniczone pole do eliminacji niechcianych kandydatów na konkurencję. *Jak niską szkodliwość społeczną musi mieć czyn, który nie jest nawet wykroczeniem?* Taką, jak kłótnia z sąsiadem lub za komuny dowcip polityczny godzący w powagę PRL. Nie ważne nawet kto zaczął spór, Kowalski to awanturnik skoro nie potrafił uciszyć rozmówcy siłą autorytetu moralnego albo psychologicznymi sztuczkami. To świetny powód do wykluczenia z grona godnych do prowadzenia wybranej działalności zawodowej. Zwłaszcza, że uznaniową opinię wyda zaufany człowiek – kolega policjant, który zapewne sam nie raz podpadł sąsiadom i osobom, względem których podejmował interwencję, ale o tym cicho szaaaaaaa. Przez obiektyw lustrzanki na niewierne żony spoglądać powinien jedynie człowiek nieskalany – najlepiej biskup wyselekcjonowany przez czujne oko podstawowej służby umundurowanej. Według podobnego klucza wyeliminować można kandydatów do wielu innych zawodów, również wymagających nienaganej opinii środowiskowej – czyli podlegających pod kryterium wzbudzanej sympatii. W atmosferze wzajemnego zrozumienia... Gałąź gospodarki jest nasza. I kolegów.

Rozdział XXXVIII

Oszustwa ekologiczne

Święta zasada marketingu brzmi: *stwórz potrzebę, a potem ją zaspokój*. Jak opisano we wcześniejszych rozdziałach, ludzie lubią się bać. Włączają wówczas tryb akceptacji dla ratowania wspólnoty, a tak naprawdę tylko i wyłącznie siebie samych. A już szczególnie chętnie, jeśli egoizm skutecznie skryty zostanie za parawanem z altruizmu i dbałości o dobro wyższe. Najlepiej o cały świat. *Pytanie tylko jak wmówić ludziom, że nadciąga globalny kataklizm?* Odpowiedź: chociażby podszywając się pod Biblię.

Każdy chrześcijanin odczuwa lęk przed potopem i piekłem. Era ortodoksyjnej wiary na naszych oczach chyli się jednak ku upadkowi, tak jak odeszła ludzka przyzwoitość a z nią uczciwość. Na szczęście, ateści tylko blefują. Postępowe, wyrzekające się Boga masy wcale nie grzeszą lodową logiką i chętnie ulegają wizji zagłady, co ciekawe, również zesłanej jako „kara” za złe zachowanie. Zamiast w piśmie świętym, źródła identycznego niepokoju upatrują w sprzecznych z matematyką teoriach naukowych. Uciekając od „niemodnej” już religii ulegli jej karykaturze. Czarne sutanny księży zastąpili białymi fartuchami laboratoryjnymi, dogmat powagą uniwersytetu, a grzechy freonem, plastikiem i dwutlenkiem węgla. Skradzioną Bogu Arkę Noego ponieść ma dziś efekt cieplarniany...

Wiara w potęgę człowieka zmieniającego klimat na całej planecie z jednej strony zaspokaja próżność, a z drugiej w pełni usprawiedliwia sięganie do cudzej kieszeni. Wizja iście

apokaliptyczna: globalne ocieplenie, pożoga, pustynnienie pól uprawnych, głód, upalne lata i zimy bez śniegu, topnienie lodowców oraz zatopienie terenów nizinnych. Wszystko to spowodowane ma być nadmiernym spalaniem paliw kopalnych: gazu ziemnego, węgla i ropy. Lewicowa młodzież, czyli główny aktyw ekologiczny, nie wierzy już w religijny armagedon i nie kupi odpustów, ale piekło na ziemi jest w stanie zaakceptować, tak jak sponsorować walkę z tym szatanem, kosztem wyższych podatków i spadku efektywności gospodarki. Ochrona planety Ziemi to także idealna filozoficzna podbudowa dla podwyższania akcyzy na paliwa płynne. Pula w budzecie – do „podziału” – rośnie.

Pod naciskiem społeczeństw ulegających eko-histerii ONZ powołało międzynarodową komisję do spraw zmian klimatycznych Intergovernmental Panel on Climate Change (IPCC). Zadaniem tej komisji uczyniono koordynację badań naukowych nad przyczynami i skutkami pojawienia się niekorzystnych zmian klimatycznych. Te zaś wykazały, że w niedalekiej przyszłości czeka nas niemalże zagłada. Niemal powszechnie przyjęto Protokół z Kioto, zakładający drastyczne ograniczenie emisji gazów cieplarnianych do atmosfery. Następnie każdemu regionowi przydzielono górny limit emisji zanieczyszczeń, który następnie podlega podziałowi i sprzedaży lokalnym przedsiębiorstwom w postaci certyfikatów. Jeżeli nabywca nie wykorzysta przyznanego mu limitu, nadwyżkę może odsprzedać dalej. Skutkiem tego jest np. wzrost kosztów prądu produkowanego przez elektrownie opalane węglem, a w konsekwencji wzrost cen praktycznie wszystkich towarów lub usług oraz egzystencji gospodarstw domowych. Faktycznie para-podatkiem ekologicznym obciążono więc wszystkich, ale zarazem stworzono nowy „potrzebny” i drogi „towar” – certyfikaty emisyjne. UE oczekuje, iż rynek ten wygeneruje do 2020 roku 38 miliardów euro rocznie, a także zredukuje ilość produkowanych gazów cieplarnianych o 20%.

Państwa rozwijające się, mniej „demokratyczne”, nie mogły pozwolić sobie na wdrażaniem wyśrubowanych i kosztownych norm ekologicznych, w związku z czym kontynuowały dotychczasową produkcję, natomiast USA zdecydowanie odmówiły podpisania Protokołu. W efekcie tego UE inwestuje miliardy w badania naukowe i „ratowanie” świata, a Stany Zjednoczone, Rosja oraz wschodzące potęgi przemysłowe, Indie, Chiny i Brazylia, produkują taniej, w wielu branżach wygrywając już dziś ekonomiczny wyścig. Absurdem jest bankrutowanie, gdy i tak nie ma to żadnego wpływu na bilans globalny. Europa to 15% światowej emisji CO₂, co przy ambitnym planie ograniczenia emisji o 20% skutkować będzie jedynie 3% różnicy w skali planety. Jest to wartość oczywiście bez znaczenia dla klimatu. Co więcej, nawet najwięksi emitenci nie mają żadnego realnego wpływu na ilość dwutlenku węgla w atmosferze. Jedynie 4% atmosferycznego CO₂ powstaje w wyniku działania człowieka, a 96% tworzą źródła naturalne, takie jak oceany, wulkany, procesy życiowe istot żyjących i pożary. Katastrofa ekonomiczna Europy ograniczy więc globalną emisję jedynie o niezauważalne 0,12%. *Mistrzostwo dyplomacji – wmówić milionom ludzi, że mogą uratować świat, jeśli tylko zgodzą się zbankrutować...*

W rozsądnych państwach „eko-terrorystów” rozpędzono by w ciągu 5 minut, na szczęście w Polsce i innych krajach starego kontynentu ich działalność podlega dofinansowaniu z budżetu. Już dzisiaj łączne straty związane z dokonany i planowany ograniczeniem emisji CO₂ szacowane są na biliony dolarów. Władze UE wolą jednak dzielić „podatek” z certyfikatów emisyjnych, a za uzyskane środki kupować głosy aktywistów poprzez sponsoring organizacji ekologicznych i „badań naukowych”. Europa okrada samą siebie zabijając własny przemysł, energetykę i transport. Silne państwa Azji i Ameryki nie potrzebują takiego wspierania władzy i zarabiają produkując taniej i więcej na rzecz eksportu, co zaś

eliminuje rodzimych producentów z rynków importujących. Gdy my ograniczamy CO₂, oni produkują dwa razy więcej na potrzeby naszego importu, co w związku ze spalaniem dodatkowo na cele transportowe paliwem skutkuje wzrostem globalnej emisji dwutlenku węgla... Salomon nigdy świadomie nie osłabiłby swojego królestwa. Na szczęście, dziś zawód monarchy ustąpił miejsca innej profesji... Tym lepiej dla „naszej” branży.

Dlaczego opisany przypadek jest nie histerią, a szwindlem? Ponieważ naukowcy nie są w błędzie, a świadomie kłamią o wpływie postępu cywilizacyjnego na globalne ocieplenie. Oszustwo nie ujrzałoby nigdy światła dziennego, gdyby nie brak szyfrowania składowanych danych i korespondencji. Hakerzy wykradli z Uniwersytetu Wschodniej Anglii ponad 1000 maili i kilka tysięcy dokumentów wymienionych pomiędzy wiodącymi angielskimi i amerykańskimi klimatologami. Ich treść zawierała kpiny z głoszonych „teorii naukowych”, uzgadnianie „korekty” wyników badań – tak by te potwierdzały założone tezy, a także zupełnie wręcz fałszowanie dowodów wskazujących w istocie na... globalne ochłodzenie. Między kilkoma wiodącymi ośrodkami uniwersyteckimi uzgadniano zatajenie kompromitujących badań. Naprędce potencjalny powrót epoki lodowcowej również usiłowano przypisać szkodliwości metanu i CO₂... Władze nadal wołają jednak wspierać nawet najbardziej absurdalne inicjatywy, jeśli w ich efekcie uzyskają dodatkowe środki finansowe i poklask naiwnych wyborców. Aby nie zrazić ludzi koniecznie zatajać należy, iż atmosfera pozbawiona dwutlenku węgla – gazu niezbędnego do rozwoju życia na Ziemi – oznacza spadek temperatury na całej planecie i jej zlodowacenie.

Kolejne źródło dochodu to wszelkiego typu biopaliwa, które w normalnej gospodarce rynkowej nie miałyby szans zaistnieć. Władze UE przyjęły ambitne założenie, że do 2020 roku 10% wszelkich

paliw pochodziło będzie ze źródeł odnawialnych, czego gros dotyczyć ma właśnie paliw płynnych. Pomijając ich wątpliwe walory ekologiczne, zapóźniają przemysł i skutkują eskalacją głodu na świecie. Zasiew pól pod uprawy rzepaku na cele niespożywcze wyłącza areal spod przeznaczenia konsumpcyjnego i tym samym obniżając podaż zwiększa ceny płodów rolnych. Raport Organizacji ds. Wyżywienia i Rolnictwa ONZ z 2006 roku szacował, iż produkcja 10% paliw z uprawianych na terenie EU roślin wymaga wykorzystania na ten cel 70% europejskich ziem uprawnych ówczesznie wykorzystywanych do produkcji żywności. To z kolei musi oznaczać znaczny wzrost importu warzyw i owoców, a przez to dalszy wzrost ich cen i większą ilość spalonego na cele transportowe paliwa. Jeden z ekspertów ONZ nazwał proceder wręcz *zbrodnią przeciwko ludzkości* pozbawiającą najbiedniejszych pożywienia i wezwał do pięcioletniego zakazu produkcji biopaliw. Ujawniony przez dziennik „Guardian” poufny raport Banku Światowego z czerwca 2008 roku obciążał tę technologię odpowiedzialnością za wzrost cen artykułów spożywczych aż o 75%. Natomiast nawet proekologiczni naukowcy wykazują, że emisja dwutlenku węgla ze spalania biopaliw jest wbrew wcześniejszym prognozom znaczna.

„Zielone” nakazy UE skutkowały paradoksalnie wzrostem emisji CO₂ nie tylko na etapie spalania, ale i wytwarzania surowca. Narzucono m.in. obowiązek udziału biomasy we wsadach do pieców w elektrowniach. Tą zaś przygotowywano osuszając mokre odpady rolnicze. Uzyskanie suchej tony wkładu ekologicznego wymagało spalania wcześniej do 1,5 tony węgla, czyli więcej od fikcyjnie „ograniczanego” wkładu węglowego. Oczywiście biomasę elektrownia nabywała powyżej ceny węgla, choć uzyskiwała ona o wiele niższą kaloryczność od tradycyjnego paliwa. Nic to, wyższy rachunek za prąd zapłacą odbiorcy – nie mają wyjścia.

Mimo podanych absurdów udało się przekonać obywateli, że

kroczenie ekologiczną ścieżką to przyszłość i dobrobyt następnych pokoleń. Ignorując deficyt budżetowy w 2010 roku Polska przeznaczyła na preferencje akcyzowe i dopłaty do biopaliw około 1,5 miliarda zł, a w 2012 roku „szkodliwy” węgiel, zgodnie z dyrektywą Brukseli, obciążono akcyzą (około 30zł/t). Ewentualne ograniczenie kręgu zwolnionych z niej podmiotów będzie zabójcze dla opartej na węglu polskiej gospodarki i śląskich kopalni, od dekad gwarantujących bezpieczeństwo energetyczne kraju.

Dlaczego to się opłaca, skoro się nie opłaca? Naukowcy uzyskują astronomiczne budżety na „badania”, zabiegają więc, by „wróg był żywy” – podobnie jak w ZSRR czyniło KGB i ideolodzy komunizmu. Politycy uzyskują poparcie wyborców odnoszących korzyści finansowe (rolnicy, producenci zielonych technologii) oraz idealistów działających w dobrej wierze. Poparcie przekute przy urnach w głosy pozwala sprawować rządy, zwiększać w drodze paropodatków podlegający podziałowi budżet oraz obsadzać stanowiska urzędów własną kadrami. Dodatkowo istnieje możliwość uzyskania milionowych dotacji na wszelkiego typu inwestycje ekologiczne. Dalsza korzyść to wpływ na szeroko pojęty, popierany przez media i społeczeństwa Zachodu „eko-terrorizm”, podsycany troską o „nasze dzieci” i perspektywą wspomnianego już biblijnego piekła.

Przeprowadzenie dowolnej inwestycji – od budowy mostu północnego w Warszawie, aż po dom jednorodzinny na Mazurach – skończyć się może zablokowaniem projektu z uwagi na zagrożenie dla lokalnego ekosystemu. Jest to w pełni zrozumiałe i naturalne, nie można dopuścić do wymarcia rzadkich gatunków zwierząt, ani skażenia wód pitnych lub gruntów ornych. Czym innym jest jednak szczerza dbałość o dobro ogółu, a czym innym szantaż w celu uzyskania korzyści majątkowych. Możliwości zarabkowania są w tej materii na terenie Unii niemal nieograniczone. Pierwszym krokiem na drodze do przekrętów staje się rejestracja podmiotu „non-profit”,

zazwyczaj fundacji. Dopuszczalny jest zarówno profil ogólny proekologiczny, jak i wąsko wyspecjalizowany tematyczny (ochrona ginącego gatunku flory lub fauny, wód, mokradeł, przeciwdziałanie zanieczyszczeniu środowiska) lub terytorialny (ochrona wybranej gminy, rzeki, lasu). Rekrutacja aktywu oparta jest głównie o ośrodki edukacyjne: szkoły średnie i uczelnie wyższe, a także organizacje polityczne o profilu lewicowym. Dopełnieniem dzieła pozostaje werbunek przedstawicieli handlowych. Każdy nie raz widział na ulicach zabiegających o datki „wolontariuszy” organizacji typu Greenpeace. Mało kto jednak wie, że większość z nich otrzymuje pensję lub prowizję od darów, czyli zleceń stałych przelewów bankowych. *Wykreować handlowca na wolontariusza – godna uznania propaganda!* Źródła oficjalnego finansowania zamykają dotacje budżetowe i uprawnienia przysługujące organizacjom non-profit do np. darmowego czasu antenowego i preferencyjnych stawek wynajmu nieruchomości państwowych. Z uzyskanych milionów finansują „spektakularne” akcje, będące oczywiście lepszą lokatą kapitału niż żywienie umierających z głodu afrykańskich dzieci. Aktywiści Greenpeace zorganizowali np. happening na warszawskim Rondzie de Gaulle'a. Dziewczyny tańczące w hawajskich strojach zwracały uwagę na ocieplenie klimatu w Polsce, czyli wzrost średniej temperatury i zmniejszenie ilości opadów śniegu w sezonie zimowym. Niedługo później nadeszła zima stulecia... Tymczasem na Węgrzech młodzież przebrana za wielkie gałki oczne żądała redukcji do 2020 roku unijnej emisji dwutlenku węgla aż o 30%. *Zaiste, godne to i sprawiedliwe.* Czysty cynizm na podbudowie z fikcyjnego altruizmu – zawsze działa. Każda inicjatywa eko-terrorystów liczyć może na masowe wsparcie lewicowych mediów oraz młodzieży gotowej do udziału w protestach i happeningach. Z nimi nie trzeba jednak dzielić się żadnymi zyskami, to idealiści, którzy chcą dobrze. Jakby ich określił Włodzimierz Lenin – są to tzw. pożyteczni idioci.

Wystarczy ich tylko wezwać do czynu – oczywiście społecznego.

Głośny krzyk skutkuje wprowadzaniem zakazów produkcji żarówek, powolną eliminacją reklamówek i oczywiście zaostreżeniem norm emisji CO₂ oraz udziału biokomponentów w paliwach. Nie ważne, że świetłówki kosztują dziesięć razy więcej niż żarówki i zawierają toksyczną rtęć wymagającą specjalnej utylizacji, a ich zabicie skutkuje emisją trujących oparów stokrotnie przekraczających dopuszczalne dla zdrowia normy. Dzięki temu można przecież, za dotacje, otwierać fabryki ekologicznych produktów i pobierać w nich nieskromną pensję prezesa, zaś uczynienie konkurencji nielegalną zapewnia zbyt, więc wszystko jest ok. A na utylizacji też jest zysk.

Dalsze źródła zarobku to wspomniany wcześniej nacisk na inwestorów. Organizacje społeczne są uprawnione do udziału na prawach strony w postępowaniach administracyjnych związanych np. z budową elektrowni wiatrowych. Zaskarżyć można też decyzję wyrażającą zgodę na budowę domu, apartamentowca, drogi lub fabryki, a siłę oddziaływania zwiększyć kierowanymi do władz petycjami oraz medialnymi protestami – przykuwaniem młodych, skąpo ubranych dziewcząt łańcuchami do latarni, czy też pełnymi fantazji kostiumowymi happeningami chętnie prezentowanymi przez prasę i telewizję. *Co może być podstawą działania?* Zagrożenie rzeczywiste bądź wyimaginowane dla lokalnego ekosystemu lub jego elementów: gniazd, lęgówisk, szlaków zwierzęcych wędrowek, skupisk chronionych roślin, akwenów wodnych etc., wywołane też pośrednio np. ograniczeniem nasłonecznienia lub blokadą dostępu do wody. Ostatecznym argumentem jest zaś potencjalne zagrożenie dla zdrowia okolicznych mieszkańców, czego obalenie w przypadku obiektów przemysłowych wymaga kosztownych i czasochłonnych badań. Pod takim naciskiem *zaprzyjaźniony* organ administracyjny często uwzględnia zastrzeżenia, a budowa uzależniona zostaje od porozumienia pomiędzy ekologami i inwestorem. To zaś jest zwykle

możliwe w oparciu o hojną darowiznę na organizację.

W płodnym sektorze energetycznym najważniejsze jest blokowanie budowy elektrowni atomowych. One osuszają w nim raz na zawsze źródło dochodów z eko-szantażu. Prąd z atomu jest tani, nie wymaga tak zwalczanego przez ekologów spalania milionów ton węgla (emitującego CO₂) i zapewnia niezależność energetyczną kraju. Odpady radioaktywne składować można w miejscach specjalnie zabezpieczonych i odgradzonych od skupisk ludzkich, gdzie nie stworzą żadnego zagrożenia, a wyłączą z użytku tereny mniejsze niż wyeksploatowane kopalnie i hałdy przykopalniane. Kilka elektrowni zaspokoi zapotrzebowanie całej Polski, która nie znajduje się jak japońska Fukushima na wrażliwym sejsmicznym terenie, a dzisiejsza technologia jest o wiele bezpieczniejsza od reaktorów ukraińskiego Czernobylu (które, nomen-omen, miały poważne wady konstrukcyjne, zaś ich główny operator był po korespondencyjnym kursie energetyki atomowej). *W czym więc problem?* Gdy powstaną, zgaśnie potrzeba budowy licznych elektrowni wiatrowych, słonecznych, czy wodnych. Konkurencję ze strony polskich zasobów kopalnych unieszkodliwiają już limity spalania węgla ustalone przez Unię Europejską. Nie będzie więc wyjścia – albo atom, albo źródła odnawialne. Lepiej, by za prąd każdy płacił drogo i do właściwej kieszeni, a to, wraz z redystrybucją pozyskanych środków, zapewnią tylko rozdrobione i zbudowane za dotacje instalacje „zielone”.

Najpierw więc zablokować należy budowę elektrowni atomowych i żądać dalszego ograniczania spalania węgla w tych tradycyjnych. Protestować można również w przypadku budowy „ekologicznych” elektrowni przez konkurencję. Protestować tak długo, aż nam za spokój zapłacą. Podstawy są, gdyż wszelkie „przyjazne dla środowiska” technologie są bardzo „nieekologiczne”. Elektrownie wodne nieodwracalnie niszczą ekosystem zbiornika.

Fermy powietrzne przecinają ptasie szlaki i emitują „szkodliwe” dla ludzi infradźwięki. Helioelektrownie odcinają od promieni słonecznych znaczne połacie ziemi i niszczą ekosystem nawet na pustyni. *A jak zrazić ludzi do atomu?* Wystarczy odwiedzić okolicznych mieszkańców ze zdjęciami ofiar bomby atomowej. Prosta manipulacja, kto chce mieć zdeformowane dziecko lub nowotwór? Protesty ludności zapewnione, na czele staną politycy opozycji zbijający kapitał na nadchodzące wybory. Elektrownie atomowe nie powstaną. Na własne życzenie kraj zubożeje i zniszczy gospodarkę przyszłych pokoleń w żaden sposób nie ratując klimatu. Sfinansuje za to ubrane w piękne słowa oszustwo.

Nie każda działalność ekologiczna jest zła i nastawiona na ludzką naiwność. Do pozytywnych aspektów zaliczyć należy chociażby ochronę lasów, rezerwatów przyrody i terenów takich jak osławiona w ostatnich latach Dolina Rospudy. *Ale jak zarobić na uczciwości i dobrych intencjach?* Bardzo trudno. Z tego powodu ekologia w wydaniu europejskim oparta została na sfałszowanych wynikach badań naukowych, pozorowaniu „zielonych” technologii i wyludzaniu ogromnych dotacji – na przelewanie z pustego w próżne. Kosztem gospodarki. I tylko w taką aktywność na tym polu warto się zaangażować by... kraść.

Rozdział XXXIX

Grunty świeckie i kościelne

Ziemi nikt nie produkuje, natomiast z każdym dniem przybywa jej potencjalnych nabywców i użytkowników. Z tego powodu już u schyłku XVIII stulecia angielski ekonomista Thomas Malthus wieszczył kres możliwości wyżywienia Europy, liczącej wówczas niespełna 200 milionów mieszkańców. Dziś glob zamieszkuje już 7 miliardów ludzi. W zakresie produkcji płodów rolnych katastroficzną wizję spełnić może tylko masowa produkcja biopaliw, lecz faktem jest brak przestrzeni mieszkalnej. Każdy człowiek pragnie domku z ogródkiem w ładnej dzielnicy lub mieszkania na kameralnym, chronionym osiedlu i z dostępną w pobliskim sklepie taną żywnością. Najlepiej ekologiczną. Produkowaną bez nawozów, a w przypadku zwierząt z wolnego chowu. To wszystko wymaga przestrzeni oraz żyznej i nieskażonej gleby. A w tym sektorze Polska dysponuje ogromnym potencjałem. Transformacja ustrojowa pogrzebała system wyrzekający się własności prywatnej na rzecz nacjonalizacji pól i budynków. Przejęte w PRL-u nieruchomości należało zwrócić. Tym samym zaistniała szansa na zagarnięcie bezpańskich majątków. Tych „*pańskich*” też.

Przez wieki Polska była krajem zdominowanym przez religię katolicką, stąd własnością kościołów oraz zakonów pozostawały ogromne latyfundia ziemskie. Majątki te, przejęte po II Wojnie Światowej przez socjalistyczne władze, zostały zagospodarowane i wchłonięte przez świecki przemysł, szkolnictwo, a także rolnictwo. Wraz ze zmianą ustrojową 1989 roku powołano komisje majątkowe,

mające zwrócić mienie prawowitym właścicielom. Zmiany zarówno charakteru gruntów i budynków, nabycia praw przez osoby trzecie, jak i dysproporcje pomiędzy dawną a obecną wartością otwierały drzwi do daleko idących nadużyć. Dodatkowo status prawny komisji wykluczał odwołanie od jej decyzji, rozstrzyganie sporów na drodze procedury administracyjnej oraz postawienie jej członkom zarzutów właściwych dla przestępstw urzędniczych, gdyż formalnie nie byli oni funkcjonariuszami publicznymi. Nawet oczywiście błędne, naruszające prawa osób trzecich rozstrzygnięcia nie mogły więc zostać wzruszone. Warunki te były wręcz wymarzone do kreatywnego powiększania stanu posiadania i każdy zainteresowany przewodnim zagadnieniem niniejszego opracowania powinien się z nimi zapoznać, traktując je jako wzorcowe. Komisja Majątkowa w czasie 20 lat swojej pracy przekazała stronie kościelnej w ramach rekompensat i odszkodowań ponad 65 537 hektarów gruntów o szacunkowej wartości około 5 miliardów zł i ponad 143,5 miliona zł w pieniądzu. Część hierarchów kościelnych uznała to rozliczenie za niesatysfakcjonujące, a w zakresie ochrony swych praw okazała daleko idące zaufanie do dawnej władzy świeckiej. Udzieliła bowiem pełnomocnictw w niektórych sprawach, m.in. Zakonu Sióstr Elżbietanek i Towarzystwa Pomocy dla Bezdomnych im. Brata Alberta w Krakowie, byłym oficerom PRL-owej policji politycznej SB. Tej samej, która wcześniej prowadziła werbunek agentury wśród duchownych i infiltrowała ich środowisko, zbierała obciążające materiały, a także odpowiadała za motywowane politycznie zabójstwa co najmniej kilku kapłanów. Okazja czyni złodzieja, bez względu więc na wiarę lub jej brak, przywdziać można komżę.

Ślepe zaufanie władz to raj dla oszusta. Gdy w dużej mierze niekompetentni, wyjęci poza nawias kontroli i odpowiedzialności prawnej, a także borykający się z konfliktem interesów członkowie komisji akceptowali niemal każdy przedstawiony wniosek,

wystarczyło je składać. Brak objęcia osób decydujących o setkach milionów zł statusem funkcjonariusza publicznego, czy chociażby „zarządcy” majątku, wykluczał możliwość pociągnięcia do odpowiedzialności karnej. Ot, drobny niuans natury prawnej, a ile ułatwia. Bałagan dopełniał dzieła. Przyznano o kilkaset więcej rekompensat, niż skierowano roszczeń, a niektóre z nich rozpatrywano kilkakrotnie, multiplikując odszkodowania za te same straty. Rekordowy wniosek zaakceptowano piętnastokrotnie, przy czym, z uwagi na brak koordynacji poszczególnych orzeczeń, nie sposób ocenić, co było rozliczeniem cząstkowym, a co bezpodstawnie powielonym. Akta 57 postępowań zaginęły, a z uwagi na brak rejestru udostępniania dokumentów nie sposób określić kto je zagarnął. Zaś w tych, które zostały, zabrakło szczegółowych informacji o motywach rozstrzygnięć, a często także o ich ostatecznym charakterze. Brak numerowania stron i sporządzania spisów treści poszczególnych zbiorów akt uniemożliwia stwierdzenie, czy nie usunięto z nich obciążających kart. Niechlujność motywowano pełną autonomią komisji, a brak odgórnej statystyki wypłacanych kwot pozostawieniem tych spraw w dyspozycji poszczególnych kurii i parafii. Oczywiście nie należało oczekiwać ze strony kapłanów zbyt dociekliwego nadzoru nad ekonomicznymi aspektami doczesnymi, często wykraczały one poza sferę ich zainteresowań. Najważniejszym jednak grzechem komisji pozostawało ślepe zawierzanie kierowanym roszczeniom i operatorom szacunkowym sporządzanym na zamówienie wnioskodawców. Częstą praktyką było poddawanie takiej wyceny jedynie uznaniowej akceptacji członków komisji, niebędących zwykle specjalistami od rynku nieruchomości. A jak się okazało, rzeczoznawcy zgodnie z interesem swych klientów celowo fałszowali część opinii, zawyżając wartość gruntów utraconych, a zaniżając przejmowanych. Te ostatnie Kościół mógł otrzymać w zastępstwie niemożliwych do odzyskania

ziem, jeśli zrezygnował z odszkodowania pieniężnego. Dzieła dopełniło rozporządzanie cudzym już mieniem, a więc faktycznie wywłaszczenie osób i podmiotów niebędących w ogóle stronami w sprawie.

W ten sposób np. władze warszawskiej Białoleki dowiedziały się po fakcie, że zapadło niezaskarżalne orzeczenie pozbawiające ich, na rzecz poznańskiego zgromadzenia sióstr św. Elżbiety, gruntów o powierzchni 47 hektarów, co więcej, za znacznie zaniżoną wycenę 65 zł za m². Sąsiednie działki spieniężano wówczas za co najmniej 500 zł, a ceny w okolicy sięgały 1500 zł za m², co oznaczało pokrzywdzenie gminy na kwotę co najmniej 205 milionów zł. Tymczasem 37 utraconych pod Poznaniem hektarów wyceniono na 44 miliony zł, w związku z czym pełnomocnik elżbietanek zażądał dopłaty *brakujących* 11 milionów zł. Przejęta, dzięki sile perswazji byłego oficera SB, działka od razu znalazła nabywcę, którym stał się kontrahent¹² Wariata – zastrzelonego przez nieznaną sprawców lidera tzw. Mafii Wołomińskiej. Tą drogą ostatnie pola z widokiem na pałac kultury zamiast w posiadanie zakonu trafiły za ułamek wartości do „zaradnych” biznesmenów, którzy szybko odsprzedali grunty z ogromnym zyskiem. Prowadzone przeciwko krakowskim rzeczoznawcom śledztwo zostało umorzone, gdyż za prawidłowe widełki wyceny uznano kwotę od 50 zł do 1500 zł za m²... A nie było to jedyne „twórcze” oszacowanie. Przekazane Towarzystwu Pomocy dla Bezdomnych im. św. Brata Alberta zabrzańskie działki wyceniono odpowiednio na 6 milionów zł i 400 000 zł, a ich

12 Nabywca był dawniej podejrzewany o przemyt 500 ciężarówek z papierosami i spirytusem, a w Trójmieście prowadził kasyno ulubione przez gangsterów, m.in. Nikosia i Pershinga. Wspólnie z członkami opozycyjnej względem Wołomina tzw. Mafii Pruszkowskiej, Masą, Kielbachą i Simonem, planował inwestycję w utworzenie salonu gier na Śląsku.

prawdziwa wartość rynkowa wynosiła 34 miliony zł i 5,5 miliona zł. Pierwsza z działek natychmiast została odsprzedana lokalnemu biznesmenowi, identycznie jak w przypadku Białółki za równowartość wyceny, a więc grubo poniżej realnej wartości. I w tej sprawie o interesy Kościoła „dbał” ten sam były oficer SB.

Brak koordynacji poszczególnych rozstrzygnięć i prawo do ingerowania w cudzą własność skutkowały przejęciem w Braniewie gruntów należących do banku, ZHP – tzw. Baszta Harcerska, szkoły zawodowej, domu kultury oraz biblioteki. Dziwny był to zwrot, gdyż części mienia nie zagarnął PRL, ale w 1912 roku pruski parlament. Zaś jeden z budynków uległ zupełnemu zniszczeniu w czasie II Wojny Światowej, a w latach 60-tych wzniesiono w jego miejscu, za środki społeczne, zupełnie nowy i większy internat. Do kategorii szczęśliwców dołączyła też parafia Apostołów Filipa i Jakuba w Żorach. W 1991 roku wystąpiła o zwrot 42 hektarów ziemi, lecz z uwagi na ich zabudowanie osiedlem mieszkalnym przyznano grunty zastępcze. A później znów. I znów. I jeszcze raz... I w ten oto prosty sposób do 2002 roku kilkoma orzeczeniami parafia otrzymała łącznie 360 ha zastępczych. Samorządy m.in. Słupska i Krakowa zaskoczyła informacja o utracie przeznaczonych pod inwestycję działek, a liczne obiekty użyteczności publicznej bez zapowiedzi zmieniły właścicieli we Fromborku, Wrocławiu, Zamościu, Łomży, Toruniu, czy Gdańsku. Mnisi krakowscy powinni przeznaczyć uzyskane nieruchomości na cele właściwe dla misji instytucji kościelnych, lecz grunt odsprzedali pod budowę hipermarketu Tesco, z zespołu pałacowo-parkowego usunęli dom dziecka, a w kamienicy urządzili hotel. Z odzyskanych 92 ha na Podbeskidziu wyrzucono krewnych kard. Nycza. Choć chcieli oni odkupić uprawiane od lat pole za pełną cenę, decydujący o wszystkim opozycyjny światopoglądowo pełnomocnik odmówił sprzedaży. Podobnych usunąć dzierżawców pól rolniczych odnotowano multum, a wskazywane komisji grunty

skupowali już wcześniej zainteresowani nimi biznesmeni, których z Kościołem nie łączyła zwykle nawet wyznawana religia.

Dawać coś, co nie należy do nas... Pod pozorem wiary w Boga odbierać prywatne majątki osób postronnych i wyłudzać środki publiczne bez dbałości o pokrzywdzonych ludzi. Cynizm godny pochwały i naśladowania. Za wyjątkiem przypadku, w którym rzeczoznawca dobrowolnie przyznał się do winy, prokuratury w całym kraju niemal jednogłośnie umarzają prowadzone śledztwa.

* * *

Każdy spadkobierca otrzymać powinien to, co należało dawniej do jego przodków. To cudze, święte prawo, łatwo nagiąć na własną korzyść przy niewielkiej współpracy skorumpowanego notariusza i lokalnego urzędnika. Przejmowanie starych kamienic w miastach takich jak Kraków jest idealnym źródłem miliardowych zysków. Druga wojna światowa przetrzebiła szeregi kamieniczników, w dużej mierze wyznania mojżeszowego. Niedobitki tzw. burżuazji pozbawiono rodzinnych majątków w ramach rewolucji proletariatu i eksperymentu społecznego zwanego PRL. Minęło pół wieku, system upadł, w czynszówkach mieszkało już trzecie pokolenie nowych lokatorów, a prawo własności w teorii nie wygasło. Spadkobiercy lub osoby przez nich umocowane mogły występować o zwrot tego, co bezprawnie zagarnięto. Tylko w Krakowie, którego cała zabudowa przetrwała wojnę, w puli znalazło się kilka tysięcy kamienic, a każda z nich o wartości od kilku do kilkunastu milionów zł.

W zdecydowanej większości dawni właściciele już nie żyją, a z uwagi na częste zgładzenie przez nazistów całych rodzin, brak też spadkobierców. Jednak powojenny bałagan w urzędach, masowe migracje ludności i brak dokładnej listy ofiar ludobójstwa, często czynią niemożliwym określenie losu uprawnionych, nikt też ich nie szuka. Sami potomkowie, żyjący np. w Stanach Zjednoczonych lub

w Izraelu, w ogóle nie wiedzą, że jakkolwiek majątek istniał i można go po transformacji ustrojowej odzyskać. Nieobecni nie będą przeszkadzać. Z częścią państw, m.in. z USA, Polska Ludowa spisała umowy o wypłacie tamtejszym emigrantom odszkodowań, co eliminuje ich z kręgu wnioskodawców. Sęk w tym, że rozliczeń tych nikt nie wpisał do ksiąg wieczystych, a wiele państw w ogóle nie przesłało informacji, komu środki wypłacono. Tych spadkobierców też nie należy oczekiwać na Wisłą, zaś dane prawowitych właścicieli spisane z ksiąg wieczystych umożliwią ich skuteczne udawanie. Sukces był pewny, jeśli działanie takie wsparli zaufani pracownicy urzędu miasta, a jeszcze lepiej potężni władarze, kontrolujący, czy nikt już nie walczy o daną własność albo jej nie rozliczono, i jakie konkretnie dowody należy w danym przypadku sfalszować.

Najbezpieczniejsza metoda to przekazanie „zaufanej” kancelarii adwokackiej pełnomocnictwa do odzyskania i spieniężenia kamienicy. Gdy dokument taki wystawił uprawniony notariusz w formie honorowanej w Polsce, brak podstaw do kwestionowania woli mocodawcy. *Skąd wiadomo, czy prawnik z Ameryki Południowej naprawdę rozmawiał z sędziwym starcem posiadającym przedwojenny dowód osobisty, albo jego wnuczką okazującą oryginalne dokumenty spadkowe np. z Izraela, czy za odpowiednim wynagrodzeniem sfalszował pełnomocnictwo?* Jeszcze lepiej, gdy dokument wyszedł spod ręki polskiego notariusza, który zawsze mógł przecież powiedzieć, że okazano mu najwyraźniej sfalszowany dowód osobisty... Szybko po odzyskaniu nieruchomości odnotowywano ten fakt we właściwej księdze wieczystej, po czym, zgodnie z pisemną dyspozycją, dokonywano sprzedaży. Nabywca niezwłocznie dalej odsprzedawał budynek kolejnemu współnikowi. Ten był chroniony tzw. rękojmą wiary publicznej ksiąg wieczystych. Nawet dekonspiracja oszustwa nie mogła pozbawić go prawa własności, z samym przestępstwem nie miał bowiem nic wspólnego.

Nie jest tajemnicą, że wpisy trafiały do ksiąg w ciągu tygodnia, a nie tradycyjnie po pół roku, a także ignorowano braki w dokumentacji, jedynie dzięki „życzliwości” odpowiednio wynagradzanych pracowników sądów, często kolegów notariuszy.

Każda metoda ulega ewolucji, tak też było w tym przypadku. O zwrot kamienic występowali m.in. ich nowi właściciele, którzy odkupić mieli prawa własności wiele dekad temu i to za granicą. Pomimo udowodnienia przed sądem wypłacenia odszkodowań, miasto procesy przegrywało. Zdarzyło się prezentowanie, zapewne sfalszowanych, zagranicznych dokumentów stwierdzających adopcję 40-letnich osób przez sędziwych kamieniczników. Zwykle w przededniu bezdziejnej śmierci. Kilkakrotnie też urzędników i krajowych notariuszy odwiedzić mieli... zaginiony w latach wojny kamienicznicy. Studwudziestoletni starcy sprzedawali i przekazywali w darowiźnie prawa własności, po czym znikali bez śladu. Nikt nie kwestionował aktu notarialnego. Z czasem ujawniano coraz bardziej bezczelne fałszerstwa. Jeden z notarialnych aktów sprzedaży miał zostać sporządzony 13 grudnia 1981 roku, czyli w niedzielę otwierającą Stan Wojenny. Urzędnicy przeliczając wysokość rekompensat „pomylili” się i rozliczając wydatki z lat 60-tych uwzględnili denominację przeprowadzoną 30 lat później. Tym samym obniżono zobowiązanie ze 100 000 zł do poziomu... 10 zł. W prezentowanych dokumentach nie zgadzały się nazwiska. Odnotowano przypadku osób, które kupić miały kamienice przed wojną, choć w dniu zakupu liczyły dopiero 12 miesięcy życia, gdy wtedy już historyczny nabywca posiadał dyplom wyższej uczelni. Oszustwo polega na tym, że osoba odwiedzająca notariusza nazywa się tak samo jak zaginiony lub zmarły właściciel odnotowany w starych księgach wieczystych. Ewidencja PESEL przed wojną nie istniała, a personalia się zgadzają. Na różnicę wieku zaprzyjaźniony notariusz przyknie oko. Inny sposób to fałszowanie dokumentów

tożsamości za granicą, zwłaszcza w Austrii i Izraelu, a następnie ich uwierzytelnianie w placówkach dyplomatycznych państw trzecich.

W kilku przypadkach podszyto się pod żyjących i mieszkających w pobliżu Krakowa spadkobierców, co naraziło proceder na dekonspirację. W przededniu rozprawy dotyczącej wyłudzenia budynku przy ul. Dietla zamordowano taką osobę. Winy nikomu nie udowodniono, a sprawę kamienicy, z powodu braku kluczowego świadka, umorzono. Później kilku innych świadków utonęło w Wiśle lub popełniło samobójstwa i nikt już nie chciał zeznawać. Nawet krakowscy policjanci zrezygnowali z drążenia tematu miliardowych oszustw, gdyż koalicja prawników i skorumpowanych urzędników nawiązała współpracę z gangsterami.

Po przejęciu budynków natychmiast wypowiedziano umowy najmu mieszkań, albo wielokrotnie podnoszono czynsze. Tracący dachy nad głową lokatorzy kierowali pisemne skargi m.in. do Prezydenta Miasta Krakowa Jacka Majchrowskiego. Na próżno. Uznawano je za *zbędną polemikę* z oczywistym przecież *prawem własności*. Na kilkaset zaskarżonych do sądu lub badanych przez prokuraturę przejąć kamienic skutecznie zakwestionowano jedynie kilka. Interes jest więc rentowny. Poza Krakowem kwitnie w całym kraju, a tam gdzie po kamienicach nie został ślad, walka toczy się o prawa do działek na których stały. W puli pozostał majątek o wartości kilkuset miliardów, a może nawet biliona zł.

Rozdział XXXX

Filozofia słabości systemu prawnego

Pomyśl przez chwilę drogi Czytelniku, w jaki sposób sąd i system prawny służyć mają społeczeństwu i materializować moralne wyznaczniki sprawiedliwości, jeżeli zrozumienie „*regul gry*” przekracza możliwości absolwenta 5-letnich studiów kierunkowych i wymaga dodatkowych kilku lat aplikacji, a sędziowie i profesorowie prawa, z kilkudziesięcioletnim doświadczeniem w interpretowaniu i stosowaniu przepisów, nie potrafią często uzgodnić słusznego oraz jednoznacznego stanowiska w nawet banalnych sporach? W jaki sposób przeciętny, uczciwy obywatel ma dostrzec rozmytą granicę pomiędzy tym jeszcze dozwolonym i już nielegalnym działaniem? Jak pogodzić dobrą wolę przestrzegania prawa bez poświęcania całego życia na studiowanie obszernego, nierzadko wewnętrznie sprzecznego, orzecznictwa i tysięcy ustaw? I czy można nazwać triumfem sprawiedliwości sytuację, gdy po kilku latach kosztownego odbijania się pomiędzy I a II instancją oraz Sądem Najwyższym proces o majątek życia ostatecznie zamykany jest wyrokiem niewynikającym z ustaleń merytorycznych, a natury proceduralnej lub z „*odważnej*”, kontrowersyjnej wykładni przepisu sprzecznej z potocznym rozumieniem danego sformułowania? Czy to jest uczciwe? Nie drogi Czytelniku, system taki nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością, to tylko prawo. Gdy zasada prawdy obiektywnej ulega prymatowi kwestii formalnych, jak np. prekluzja dowodowa, eliminująca kluczowy dowód w gąszczu tysiąca pobocznych wątków, czy termin zawity, przekroczony o jeden dzień przez babcię

nieświadomą meandrów Kodeksu postępowania cywilnego, w wyniku czego bank licytuje niesłusznie jej dom, to nie mamy już do czynienia z nowoczesną i humanitarną demokracją a autokracją możliwych. Może jestem idealistą, ale jeśli w dzisiejszym polskim sądzie nie ma znaczenia, kto odmówił należnej zapłaty, tylko kto zdążył złożyć pismo, to znaczy... że żyjemy w raju. Raju dla złodziei.

Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby na grunt procedury sądowej implementować pewne rozwiązania z prawa administracyjnego, umożliwiające w każdym niemal momencie wznowienie postępowania lub unieważnienie decyzji, jeśli tylko okaże się, że w jakiś sposób jest ona merytorycznie niesłuszna, czyli np. oparta została na nierzetelnie zinterpretowanym materiale dowodowym, z naruszeniem prawa materialnego lub proceduralnego albo gdy z jakiegokolwiek powodu kluczowy dowód słuszności powództwa nie został wcześniej załączony do akt sprawy. Nawet, jeśli zawinił sam pokrzywdzony, który naiwnie licząc na cień uczciwości przeciwnika procesowego zaniedbał skompletowanie 1000 dokumentów i ograniczył się niefrasobliwie do ledwie 700. A to, czego w ocenie sądu brakowało do udowodnienia roszczenia zwykle łatwo ocenić dopiero po lekturze pisemnego uzasadnienia wyroku... Również w tamtejszej procedurze organ administracyjny zobligowany jest do pouczenia stron o wszelkich okolicznościach faktycznych i prawnych mogących mieć wpływ na ustalenie ich obowiązków i uprawnień, a także, z uwagi na rolę strażnika praworządności, z urzędu wyjaśnić ma dokładny stan faktyczny rozpatrywanej sprawy. Bogu dzięki, sądy wcale nie muszą równie mocno przejmować się *praworządnością* i dbałością o sądzonych ludzi, więc ich zakres obowiązków jest dużo mniejszy. Nie należy też bać się zmiany tego stanu rzeczy. Politycy nawet jak już się uprą nowelizować przepisy postępowania, to tylko w kierunku większego formalizmu i przeciw szarym ludziom. Nie istnieje również ryzyko,

że wprowadzą jeden tylko drobny przepis, który uczyniłby kradzieże w białych rękawiczkach niemal niemożliwymi, czyli że zobligują strony sporów cywilnych już od samego początku procesu do mówienia prawdy pod groźbą odpowiedzialności karnej, a w przypadku konieczności przyznania przeciwnikowi racji pozostawią jedynie prawo do odmowy komentarza. Przecież spór cywilny, to nie postępowanie karne, w którym święte prawo do obrony oczywiście nie podlega wzruszeniu. Chodzi w nim nie o to, by kogoś zamknąć w więzieniu, a ustalić, czy np. klient faktycznie nie zapłacił za zamówiony towar lub usługa została rzetelnie wykonana. Obecnie obciąża nas w tym zakresie tylko ogólne zobowiązanie:

***Art. 3 kpc:** Strony i uczestnicy postępowania obowiązani są dokonywać czynności procesowych zgodnie z dobrymi obyczajami, dawać wyjaśnienia co do okoliczności sprawy zgodnie z prawdą i bez zatajania czegokolwiek oraz przedstawiać dowody.*

Zgodnie z powyższą filozofią okoliczności faktyczne nie mają stanowić żadnej tajemnicy, a spór toczyć się powinien wokół niuansów wykonania wzajemnych zobowiązań i przyporządkowania rozsądanego zdarzenia pod konkretny przepis. Ale bez obaw. W tym pięknym założeniu tkwi istotny szkopuł: brak jakiegokolwiek sankcji. Nic więc nam nie grozi. Wypełniając najprostszy formularz urzędowy składamy podpis pod informacją o odpowiedzialności karnej, a gdy usiłujemy bezpodstawnie uchylić się od zapłaty milionów lub od zwrotu cudzej własności – nierzadko równowartości dorobku życia nawet całej rodziny – prawodawca uznał, że drobiazg taki nie powinien być obarczony żadnymi konsekwencjami. Wolno. Formularz to co innego, naruszenie jego powagi zasługuje na więzienie. A robienie z sędziów durni też widocznie nikogo nie obchodzi – przywykli, a może nawet polubili.

W praktyce świadek, a więc osoba zainteresowana jedynie tym, aby jak najszybciej złożyć zeznania i opuścić salę rozpraw, zagrożony jest surową odpowiedzialnością karną za potwierdzenie nieprawdy lub zatajenie prawdy. Natomiast pozwany i powód mogą do woli kłamać, wprowadzać w błąd, rościć prawa do cudzej własności, zaprzeczać bezpodstawnie zeznaniom i twierdzeniom strony przeciwnej oraz treści dokumentów. Za to ostatnie grozi jedynie drobna grzywna, co trudno nazwać karą w procesach o kwoty, gdzieienne odsetki liczone są w setkach zł. Ewentualny dowód z przesłuchania strony już po odebraniu przyrzeczenia, a więc obarczony ewentualną odpowiedzialnością karną za złożenie fałszywych zeznań (art. 304 kpc), ma charakter jedynie posiłkowy i jako taki przesunięty jest z początku, na sam koniec procesu, czyli na moment, w którym wszystkie karty już i tak zostały odkryte, a czas upłynął, czyli cel został osiągnięty. Gdy stroną niemającą racji jest spółka kapitałowa, wytargowana zwłoka umożliwi wyprowadzenie majątku i ogłoszenie upadłości. Z kolei osoba fizyczna „wyprzeda” wszystko zaufanym nabywcom. Zawsze jest też nadzieja, że mający słuszość przeciwnik utraci płynność finansową i zbankrutuje, albo umrze i nie pozostawi spadkobierców zdolnych do dalszego procesowania. Dlatego warto bezczelnie kłamać, a druga strona niech latami dowodzi, że nie jest wielbłądem.

Wyobraźmy sobie przez chwilę największy koszmar oszusta: ustawę wprowadzającą obligatoryjną karę za oczywiste kłamstwo w procesie cywilnym, albo chociażby z uwagi na obrazę majestatu sądu i Rzeczypospolitej zryczałtowane odszkodowanie odpowiadające wartości powództwa. Pomińmy przy tym błędne, acz z istoty rzeczy subiektywne oceny, sprawy sporne, co do wykładni prawa lub wynikające z uzasadnionego braku wiedzy o faktach, i ograniczmy się do ewidentnych kłamstw ujawnionych np. ukrytym celowo dokumentem lub zafalsyfikowanych zeznaniami licznych i

wiarygodnych świadków, albo ekspertyzami niezależnych biegłych sądowych. Pracodawca twierdzi, że nie zatrudniał robotnika, lecz jego pracę potwierdza kilkudziesięciu świadków oraz wpisy w dzienniku budowy. Kontrahent nie zamawiał towaru, lecz przeczą temu podpisy na umowie i protokole odbioru. Handlowiec nie zasłużył na prowizję, gdyż kontraktu nie rozliczono, ale księgi rachunkowe, przelewy bankowe i zeznania klienta dowodzą czegoś innego. Po co toczyć wieloletni spór, który tylko odracza ewidentnie należną zapłatę i umożliwia dłużnikowi roztrwonienie majątku, gdy wystarczy już na pierwszej rozprawie zadać poważne pytanie? Oszust wie, że jego kłamstwa wyjdą na jaw, ale dopiero za parę lat i zupełnie bezkarnie, więc czemu nie uprzykrzyć życia wierzycielowi? Na szczęście jest to dozwolone, a mówienie prawdy uznano za jedynie honorowe zobowiązanie. W Stanach Zjednoczonych karą za podobne zagrana może być symboliczny milion dolarów odszkodowania, co skutecznie odstrasza od kombinowania, a także gros sporów spycha na pole negocjacji polubownych toczonych nie przed sądem, a pod okiem adwokatów w kancelariach. Gdy fakty nie budzą wątpliwości, lepiej zapłacić tysiące dobrowolnie, niż narażać się na miliony. Tak jest w Ameryce, ale na szczęście u nas odrzucono zgniły kapitalizm na rzecz postępowego systemu sowieckiego. Uff...

A gdyby pozew, odpowiedź na pozew oraz każde inne pismo procesowe obejmujące oświadczenia na temat stanu faktycznego zawierać musiało klauzulę o świadomości odpowiedzialności karnej identycznej jak przy składaniu zeznań pod przysięgą... Stałaby się niebywała tragedia. Byłoby naprawdę trudno kraść... Zamiast latami przesłuchiwać licznych świadków można by już na wstępie postawić słusznie pozwanemu lub bezpodstawnemu powodowi alternatywę – powiedz/napisz prawdę, albo... Poważny problem mieliby seryjni oszuści, których zasadnie pozwano w dziesięciu procesach, gdyż nie dość, że nie mogliby liczyć na wyrok w zawieszeniu, to jeszcze

groziłoby im nadzwyczajne obostrzenie kary związane z tzw. multirecydywą. Ale na szczęście nigdy nic takiego nie zostanie wprowadzone, a święte prawo do obrony z procesu karnego skutecznie zawłaszczono na oparte na nieco odmiennej filozofii spory cywilne. Kłammy, zarzucajmy sąd tysiącem fałszywych tez, bezczelnie zaprzeczajmy wszystkiemu – niech niewinny i uczciwy miesiącami albo latami udowadnia, że ma czyste ręce. Może się zmęczy i zrezygnuje? Może jego adwokat popełni błąd proceduralny i sprawa upadnie? A nawet jeśli wygra i w końcu dowiedzie swych racji, nic nam nie robi. Komornika oszukamy, więzienie nam nie grozi, a koszty papieru i szukania dowodów obalających gołosłowne tezy obciążą i tak przeciwnika procesowego. W mętnej wodzie trudniej łowić, obecny stan jest więc wszystkim na rękę.

Jak powszechnie wiadomo, najłatwiejszą ofiarą są osoby biedne, na szczęście tych jest najwięcej. Bogaty złodziej może latami prowadzić sądy, osoba dochodząca zapłaty za pracę lub dostawę towaru często nie. Reżyserowanie procesu prostymi wnioskami dowodowymi, nieobecnością na rozprawach z powodu „*zdarzeń losowych*” i złego stanu zdrowia umożliwia przeciągnięcie sprawy w pierwszej instancji na, co najmniej, dwa lata. Pomagają w tym zapchane wokandy, oferujące wolny termin średnio raz na 3 miesiące. W międzyczasie oczywiście swobodnie można dysponować majątkiem i ogłaszać upadłość. Jeśli pozwany ma siedzibę na drugim końcu kraju, to same koszty dojazdów powoda i opuszczanie dni pracy potrafi zrazić do dochodzenia swych praw. Biedny prędzej czy później zrezygnuje. Będzie musiał. Początkowo pełen animuszu i wiary w swe racje wynajmie adwokata i wkroczy na ścieżkę wojenną. Przecież ma słuszość! Entuzjazm opadnie, gdy po pierwszych kilku miesiącach nic się nie wydarzy, a pozwany odpowie na drogi pozew mieszając powoda z błotem, obrażając, kłamiąc i prezentując imponującą listę świadków „*szachrajstw*” swej

w istocie ofiary, a co więcej zgłosi do prokuratury próbę wyłudzenia. Po kilku bezowocnych wizytach w sądzie, kosztujących wiele tysięcy zł wręczonych bez faktury adwokatowi, bezsens sytuacji będzie już jasny. Sąd zamiast mądrym i sprawiedliwym szybko okaże się bezdusznym urzędem, traktującym pokrzywdzonego jak przeszkadzającego petenta, śmiącego nierówno siedzieć w ławie i nie znać niepisanej etykiety. Tymczasem pozwany, stały bywalec sądowych korytarzy, zabłyśnie oglądą i od razu zaskarbi sympatię swym profesjonalizmem. Zmęczony upokorzeniami, podróżami i wydatkami powód coraz mniejszą wagę przykładał będzie do dochodzonego prawa. To, co wcześniej było konkretne i materialne, powoli rozmywa się we mgle, gdzieś daleko na horyzoncie. A o to, w co już się nie wierzy, trudniej walczyć. Zwłaszcza, że im mniej zaciekle stara się bronić swego interesu, tym rzadziej określają go obraźliwym epitetem „pieniacz”. By ograniczyć wydatki zrezygnuje z prawnika, a w międzyczasie powództwo upadnie. Niedostatecznie świadomy sposobu oceny dowodów przez sąd, wierzący w siłę słuszności, logiki i uczciwości, polegnie na zawiłych kwestiach proceduralnych, albo nieznanych mu rygorach prawa materialnego. *Nie znał wykładni teleologicznej tego przepisu dokonanej przez Sąd Najwyższy w orzeczeniu z 1972 roku? Cóż za pech, to była bardzo ważna wykładnia...* Nie ważne, że powód ma może 65 lat i nigdy nie studiował prawa, a legitymuje się wykształceniem zawodowym o profilu zecer. Powinien znać ustawy i to absolutnie każdy przepis – *Ignorantia iuris nocet!* Co z tego, że nawet doświadczeni adwokaci specjalizują się w wąskiej dziedzinie, obywatel musi wiedzieć wszystko.

Nawet proste z pozoru formułowanie pytań do świadków okaże się czarną magią. Zbyt obszerne sąd uchyli jako sugerujące odpowiedź, a nazbyt zwięzłe i dotyczące kwestii pośredniej – jako nieistotne dla sprawy. Powód będzie myślał, że w razie wątpliwości

sąd dopyta stronę, albo podpowie, co jeszcze można zrobić by ustalić prawdę. Przeżyje wielkie rozczarowanie, bo nie o prawdę tu wcale chodzi... Dawnej sąd był zobligowany do wnikliwości, lecz odkąd wykreślono art. 3 § 2 kpc, brak już obowiązku wszechstronnego wyjaśniania istotnych okoliczności sprawy i rzeczywistej treści łączących strony stosunków faktycznych i prawnych. Choć więc Temida uzurpuje sobie prawo do decydowania o ludzkim życiu oraz majątku, a także zapewnia o swej nieomyślności i uczciwości – nie dba wcale o ludzi i nie obchodzi jej ich problemy. I dobrze, oszukanie doświadczonego sędziego jest trudne, niedoświadczonego procesowo przeciwnika – dziecinnie łatwe.

Najprostsza tego taktyka, to wspomniane już wielokrotnie zmęczenie i przeciąganie procesu latami. Ile w końcu można trzymać rękę na pulsie? Przecież trzeba normalnie żyć. Szkoda pieniędzy na zaliczki dla biegłych, gdy dzieci chcą iść do kina a brakuje nawet drobnych na bilety. Jeśli powód wyjedzie do pracy za granicę, nie zdoła dojeżdżać na rozprawy, a w praktyce oznacza to koniec powództwa. Nie złoży „na gorąco” decydującego wniosku dowodowego? Nic to, że ponad wszelką wątpliwość dowodzącego racji – dzień po terminie sprawiedliwość go nie polubi. Świadkowie? Zaprowadźcie ich na salę i poddajcie ogniu krytyki, a uczciwy człowiek zacznie się jękać, płatać w zeznaniach. Koledzy strony przeciwnej na pewno wypadną świetnie. A może któregoś dnia powód zachoruje, pomyli kartki w kalendarzu, albo zepsuje mu się samochód. Jeśli nie jest prawnikiem nie będzie wiedział, że powinien natychmiast zgłosić swoją absencję telefonicznie i zawnioskować o przełożenie rozprawy. A nawet jeśli to zrobi, sędzia może jego wniosku nie uwzględnić i rozstrzygnąć na niekorzyść. Naiwnie oczekiwał będzie w domu na wezwanie z datą kolejnej rozprawy, a to nigdy nie nadejdzie. Tak, polski sąd kilkakrotnie doręcza listy polecone by dopytywać o szczegóły stanu majątku i móc z czystym

sumieniem odrzucić wnioski o zwolnienie z opłat sądowych, ale oszczędzi 3 zł na doręczenie wyroku, jeśli ten nie zapadnie w trybie zaocznym. Przecież to taki nieistotny drobiazg, prawda? Kto by się tym przejmował. W efekcie tego upłynie termin do złożenia wniosku o pisemne uzasadnienie orzeczenia i wniesienie apelacji, a wyrok się uprawomocni. Powód dowie się o tym, gdy do drzwi zastuka komornik egzekwując od niego zasądzone koszty zastępstwa procesowego strony przeciwnej, nierzadko sięgające kilkumiesięcznej pensji. Wyegzekwuje je łatwo, przecież szary obywatel ma jawny majątek – wiadomo, gdzie mieszka, czym jeździ i od kogo dostaje wypłatę. Najgorsze, że nie dowie się nigdy, dlaczego właściwie przegrał? Sama sentencja wyroku nie ujawnia motywów sędziego. A te mogą być zarówno przyziemne, jak i absurdalne – bez szans na utrzymanie w apelacji. Nieważne. Sprawa zamknięta. Temida triumfuje. Tak „wychowany” powód dwa razy pomyśli, nim znów kogoś pozwie. Szkoda zdrowia, lepiej odpuścić i czas zamiast na proces o zapłatę za pracę poświęcić na nowe zlecenie. Czuje się oszukany dwa razy: pierwszy przez kontrahenta, a drugi przez państwo, które opłatę za rozpatrzenie sprawy wzięło, ale wcale nie pomogło, czyli „w znowie” z oszustem też okradło.

A co, jeśli jakimś cudem powód wygra? Zmęczy go apelacja, a później egzekucja. Zdziwi się, że po kilku latach sporów, majątku wydanych na opłaty sądowe, prawnika i komornika, egzekucja z jeżdżącego mercedesem pozwanego zostanie bez sukcesu umorzona. Efekt będzie ten sam – skuteczna socjalizacja jednostki w poczuciu podległości i bezsensu prawowania. Ma się bać władzy. I boi. A jeśli nie i walczy z nią, to nawet lepiej. Wystarczy niepokornego nazwać niemerytorycznym awanturnikiem i wyśmiać jego ciemnotę.

Skąd prymat bezdusznej procedury nad sprawiedliwością? Aby nie wypracować praktyki uczciwych i logicznych orzeczeń. System musi pozostać w równowadze, słusznemu rozstrzygnięciu

towarzyszyć powinno błędne merytorycznie, lecz oparte w abstrakcyjnych i weryfikowalnych ideach prawa, bardzo odległych od sposobu myślenia przeciętnego człowieka. Świadomość niepewności wyroku i jego odsunięcia w czasie pozwala ograniczyć społeczne rozczarowanie. Gwarancją rozmycia odpowiedzialności jest pozorna tylko wieloinstancyjność. Sąd apelacyjny niemal nie bada przecież sprawy, nie przeprowadza nowych dowodów ani nie zgłębia nowych tez, a głównie weryfikuje kwestie formalne. Tego jednak przeciętny Kowalski nie wie. Dziwi się, że druga instancja akceptuje twórczą interpretację materiału dowodowego pierwszego sądu. Niezawisłość sędziowska wyklucza też jakiegokolwiek konsekwencje nawet, gdy ten orzeknie wbrew wszystkim dowodom, logice i wiedzy naukowej. To tylko cudze życie, nie bądźmy zbyt surowi dla ekscentryka. Wbity w rolę nadczłowieka sędzia zaczyna szczerze wierzyć w swą nieomyślność i jest żywym dowodem na to, że władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie. Przez pryzmat pychy myli własny kaprys z prawdą, w którą święcie wierzy. Jednym słowem skreśla cudze życie, bo uważa, że tak trzeba. Nie jest zły, jest po prostu ślepy. Jako trybik władzy będzie zawsze się z nią solidaryzował, wierząc, że tak samo jak on, ma ona zawsze rację i dobre intencje. Pomoże, zrozumie. Na szczęście wyjątków od tej reguły jest niewiele.

Identycznie wygląda sprawa karna na etapie prokuratorskim. Petent nie rozumie uzasadnienia umorzenia śledztwa. Jakim prawem? Dlaczego? Przecież kontrahent nie oddał mu tylu pieniędzy, jest więc złodziejem! Nie, nie jest. To tylko spór cywilny. I to za kilka dni już przedawniony. Nic tu po tobie, my wiemy lepiej. Zbawcza atmosfera wzajemnego zrozumienia. Obywatel uwierzył, że jest poddanym, a urzędnik ma na celu nie służyć społeczeństwu, lecz nad nim panować. Wrogość do władzy przejawia się tym... że ludzie dadzą jej święty spokój i nie będą mieć już żadnych oczekiwań.

W sprawach gospodarczych dodatkowym straszakiem są duże koszty wytoczenia procesu. Wyjmując gros sporów, będących faktycznie oszustwami, spod jurysdykcji karnej państwo umywa ręce i pozostawia przedsiębiorcę bez jakiejkolwiek pomocy. Normalnie o interes pokrzywdzonego zadbać musiałyby za darmo prokurator, a sąd, finansowany wprost z już odprowadzonych podatków, za rozpatrzenie sprawy nie wzięłby ani grosza. Przy drodze cywilnej przedsiębiorca pokryć musi koszt VAT-u od wystawionej faktury (23%), 5% opłat sądowych, a także fakultatywnie honorarium prawnika i kolejno zaliczki a konto egzekucji komorniczej. Gdy po tej długiej, wyboistej i kosztownej batalii sądowej komornik umorzy egzekucję, efekt pedagogiczny również zostanie osiągnięty. Nie opłaca się sądzić, taniej odpuścić i straty wpisać w koszty. Mniej stresu, mniej utopionych pieniędzy. A co ważniejsze – nasza krzywda zwiększa tolerancję na cudzą, a więc np. na umarzanie wielkich afer, czy powszechny marazm. Znieczulica przestaje być tym, na co obywatel narzeka, a staje się tym, co rozumie i podziela. Wszak nic tak nie umniejsza wagi doznanych krzywd, niż gorsze wyrządzone sąsiadowi. Najlepiej temu nie lubianemu. Idealnym przykładem pedagogiki twórczej jest wezwanie wierzycieli budującej autostradę A2 spółki DSS do wpłacenia zaliczek na poczet postępowania upadłościowego. W kwocie łącznej 9 milionów zł. Sęk w tym, że prosta analiza stanu majątku dłużnika wyklucza nie tylko odzyskanie dochodzonych długów, ale i nawet owych zaliczek, a zobligowani do wniesienia opłaty zostali drobni przedsiębiorcy stojący, z powodu właśnie DSS, na skraju bankructwa. Syndyk się wyżywi, a przesłanie do pokrzywdzonych jest jasne.

Kreskówka pt. „12 prac Asteriksa” prezentowała wśród przygód głównego bohatera wizytę w „domu, który czyni szalonym”. Chodziło o przeciętny urząd we współczesnym, demokratycznym państwie prawa. Wielu nie podołało tej bajkowej próbie sił, a

tamtejsza filozofia znalazła zastosowanie także w polskich realiach. Teoretycznie nikomu nie dzieje się krzywda, nikt nikogo nie bije, ani nie straszy. Ot, wystarczy zakręcić człowiekiem do tego stopnia, by pogubił się w korytarzach biurowca i bez względu na wynik swej sprawy odetchnął z ulgą po odnalezieniu drogi do wyjścia. Skomplikowanie systemu prawnego, odczłowieczenie, postępujące wzmacnianie prymatu prawdy formalnej (czyli tej wynikającej z dokumentów i uznanych przez sąd dowodów) nad obiektywną, składa los szarego człowieka nie na szali ślepej sprawiedliwości, a raczej karykatury teleturnieju pt. *kto ma lepszego adwokata?* Lepszego, czyli droższego, więc na starcie bogaty ma łatwiej. Na szczęście kości Ulpianusa mogą się tylko w grobie przewracać.

Koroną na głowie Temidy uczyniono możliwość uwolnienia od kary nawet sprawców bezwzględnie udowodnionych przestępstw. Tzw. znikoma szkodliwość społeczna czynu sprawia, że każdy „pewny” człowiek może spać spokojnie. Dlatego policjant, który z całej siły kopał po głowie klęczącego na ziemi człowieka może wrócić do służby i liczyć na umorzenie sprawy. Jest niewinny. On tylko... Był zestresowany, dlatego skatował obywatela. Ale obiecuje, że więcej tego nie zrobi... Czemu mu nie wierzyć? Prokurator w przesłanym do sądu wniosku zapewnia swym honorem: *„wina i szkodliwość społeczna tego występku nie są znaczne”*. Cóż, skoro tak mówi stróż porządku publicznego, to na pewno ma rację... Oby był równie miłosierny, gdy podobne kopnięcia spadną na jego głowę lub twarz jego dziecka. I niech nie zapomni po wszystkim zetrzeć krwi z chodnika.

Dlaczego, pomimo cyklicznych wyborów parlamentarnych, posłowie żadnej kadencji nie wystąpili przeciwko opisanym wadom systemu i nie doprowadzili do jego gruntownej reformy? Ponieważ służy on niemal każdej partii, a pokrzywdzeni są zbyt słabi i biedni, by cokolwiek zmienić, a nawet gdy otrzymają do rąk odpowiedni

oręż, brak im wiedzy, w jaki sposób przeprowadzić taką rewolucję. Dzieła dopełniają kłamry Konstytucji, krępujące każdą większą inicjatywę legislacyjną. Bogu dzięki, system jest więc bezpieczny na dekady. Nic się nie zmienia. Nasze dzieci mogą spać spokojnie.

PODSUMOWANIE

- ✓ Gdy posiadasz władzę, nikt nie zwraca uwagi na to, kto finansuje Twoje pomysły
- ✓ Wizjoner i oszust mówią tymi samymi słowami – prezentują ideę, która nie ma żadnego oparcia w aktualnym stanie rzeczywistości, za co więc karać wizjonera?
- ✓ Dziel się pieniędzmi – cudzymi, a obdarowani nigdy nie zarzucą Ci nieuczciwości
- ✓ Nie ważne jak wielką głupotę popełniasz, robisz to z namaszczeniem wyborców, a więc wszystko jest dozwolone
- ✓ Możesz bezkarnie wypowiedzieć wojnę, jeśli zrobisz to w imię pokoju
- ✓ Służby mundurowe i specjalne niewiele różnią się od zbrojnych gangów, również istotą ich działania jest przemoc. Zatrudniając ludzi do takiej pracy dajesz im broń i prawo do jej stosowania. Zapłać im, przeszkol ich, a będą robić dla Ciebie to samo, co we włoskiej mafii szeregowy soldato dla swego capo
- ✓ Jeśli z jakiegoś powodu urzędnik nie jest lojalny Tobie, tylko abstrakcyjnej idei sprawiedliwości lub literze prawa – usuń go ze stanowiska
- ✓ Gdy kradniesz 300 zł, popełniasz przestępstwo, gdy miliardy to doniesienia o tym stanowią jedynie „polemikę z prawem”
- ✓ Tak – to naprawdę jest aż tak proste

Pamiętaj, że historię piszą zwycięzcy, nie
zwycięzeni.

Poradziłeś sobie pomiędzy rekinami. Oszustwa i kradzieże na masową skalę nie kryją już przed Tobą żadnych tajemnic, kraj leży u Twych stóp...

Oczywiście nawet przez chwilę nie myśl o tym, że pijesz najdroższą Whiskey dlatego, że cudze dziecko nie zjadło dzisiaj kolacji i pragnie zapachu chleba. Ani przez chwilę nie trać czasu na rozważania o tym, jak zniszczyłeś życie dziesiątkom i setkom niewinnych ludzi, których jedynym grzechem było Twoje nawiedzenie ich domu. Ani przez moment nie trać czasu na wspomnianie tych, którzy pozbawieni dachu nad głową otworzyli sobie żyły lub zacisnęli na szyi ciasny sznur. To są drobiazgi. Szczegóły, które zupełnie bez powodu psują Ci zabawę z pięknymi dziewczynami na Malediwach. Nie pozwól im na to. Weź kolejny łyk drogiego alkoholu i rozsmakuj się w swym zwycięstwie. Pomyśl, ile jeszcze zapierających dech w piersiach miejsc zobaczysz, jak cudowne może być życie. Jak wielki jest Twój dom i jak lekka karta kredytowa z dziennym limitem wydatków ustalonym na milion dolarów. Pomyśl, jak wiele pieniędzy jeszcze zarobisz... Uśmiechnij się. Masz facha w ręku. Jesteś złodziejem. Już wiesz, jak kraść...

Gratuluję Czytelniku. Uzyskałeś uprawnienia zawodowe. Certyfikatów moralności nie wystawiam.

JEŚLI NIE JESTEŚ ZŁODZIEJEM

Rozdział XXXXI

Do uczciwego obywatela

Drogi Czytelniku, zapewne opisane w tej książce metody przestępstw wydają Ci się w znacznej mierze tak proste, że aż wręcz nieprawdopodobne. Równie absurdalnie wyglądają dziury w prawie podatkowym, przez które chociażby wycieka zwrot miliardów wcześniej nieodprowadzonego VAT-u. Pranie brudnych pieniędzy, kojarzone z wielkim, mafijnym przemysłem, okazuje się wcale nie tak bardzo skomplikowane i kosztowne... Dalszym zaskoczeniem mogła być wiadomość o powszechnie dostępnych komponentach do konstrukcji bomb, czy naiwnych zabezpieczeniach elektronicznych oferowanych przez koncesjonowane agencje ochrony. Czarę goryczy przelały fikcja systemu bankowego i filozofii inwestycji giełdowych oraz sztuczki prawnicze czyniące bezsilnymi tak komornika, jak i prokuratora. Niestety, mam złą wiadomość – te proste metody działają, a polskie prawo naprawdę jest aż tak słabe.

Pewnie zadajesz sobie teraz pytanie, dlaczego właściwie powstał „*Podręcznik złodzieja*”? Aby przestępca mógł łatwiej i szybciej pozbawić Ciebie i Twoich bliskich dorobku życia?

Ależ skąd. On nie potrzebuje moich rad, aby skutecznie bogacić się kosztem innych. Jak wspominałem na wstępie, w minionych latach zdarzyło mi się przeszkolić szeroką grupę ludzi w zakresie windykacji. Pewnego szarego, jesiennoego dnia, gdy kursanci zgłębiający zawilosci prawa egzekucyjnego gubili się już w gąszczu analizowanych przepisów, a termosy po kawie świeciły pustką, postanowiłem odwrócić perspektywę. Zamiast wyjaśniać, jak

ochronić przedsiębiorstwo przed oszustami, przedstawiłem proste sposoby na bezkarną kradzież. Mówiłem dokładnie to samo, co wcześniej, zmieniłem jedynie źródło narracji. Nikt już nie ziewał, każdy uważnie notował. Pytaniom o szczegóły techniczne nie było końca, choć treść nie różniła się wcale od standardowego programu. Ostatnie osoby opuściły salę szkoleniową parę godzin później niż przewidywał harmonogram, a uczestnicy wynieśli z zajęć więcej wiedzy niż jakakolwiek moja wcześniejsza grupa. Jak słyszałem, kursanci w niedługim czasie pochwalić się mogli spektakularnymi egzekucjami, wykrytymi fałszerstwami i blokadami oszukańczych transakcji. Myśleli jak oszust – rozpoznali więc oszustów i rozgryźli ich sposób działania. Profesjonalny bodyguard planujący ochronę VIP-a zastanawia się w pierwszej kolejności, w jak sposób w danym terenie sam próbowałby dokonać zamachu. Jak inaczej, nie wiedząc czego powinien się spodziewać, zdołałby udaremnić działania płatnego zabójcy lub terrorysty? Identyczna zasada obowiązuje w bezpieczeństwie gospodarczym, windykacji, ochronie mienia i obiektów przed działaniem o charakterze kryminalnym, a także w bezpieczeństwie ekonomicznym państwa. Jeśli znasz sposób myślenia i możliwości potencjalnego sprawcy, potrafisz przewidzieć jego działania i skutecznie je zablokować, a więc ochronić swój majątek. I w tym właśnie celu, specjalnie dla Ciebie, napisałem „*jak KRAŚĆ?*”, abyś wiedział, jak nie dać się oszukiwać.

Każdego dnia narażony jesteś na ludzką nieuczciwość. Szukasz mieszkania? Już wiesz, jakie sztuczki zastosować może fałszywy „właściciel” oraz nierzetelny developer. A może planujesz zakup nowego auta, z rzekomo cudownym lokalizatorem GPS lub bezkluczykowym systemem zapłonu? Nie dasz się oszukać, wiesz jak niski jest koszt ominięcia tych zabezpieczeń i że dużo bardziej utrudnisz kradzież parkując w odpowiednio wyeksponowanym miejscu. Odwiedził Cię domokrążca oferujący za bezcen usługi

monitoringu? Domyślisz się, że to właśnie włamywacz sprawdza, czy korzystasz z usług agencji ochrony. Nie dasz się nabrać na taki tani trick. Redagując anons towarzyski unikniesz sformułowań wrażliwych, ściągających uwagę potencjalnych szantażystów. Nie uwierzysz na słowo policjantowi, ani politykowi, że jest bezpiecznie. Wiesz przecież, z jaką łatwością każdy zorganizować może sobie broń idealnie nadającą się do przeprowadzenia napadu rabunkowego lub zamachu terrorystycznego. Breivik właśnie w Polsce kupował komponenty do produkcji materiałów wybuchowych i każdy inny chętny z łatwością może zrobić to samo. Ani Policja, ani służby specjalne, nie są w stanie Cię przed tym obronić. Potrafią za to zafałszować statystyki wykrywalności sprawców przestępstw rozeńczając porażki z PZ i PG ogromną liczbą skazanych pijanych kierowców.

Niestety, świadomość tego w jaki sposób powstaje pieniądź ma też swoje słabe strony. Trudno zmotywować się do spłacania przez 35 lat kredytu mieszkaniowego, gdy wiemy, że oddajemy połowę pensji za coś, co nigdy nie istniało. Nie pomaga wiedza o tym, z czyich pieniędzy Skarb Państwa dopłaci do programu „Rodzina na swoim”, ani, że socjalna partia sfinansuje wyższy zasiłek dla bezrobotnego dobijając Twój budżet rodzinny wyższym podatkiem. Trudno bezrefleksyjnie zaakceptować porządek, w którym firmy ubezpieczeniowe zarabiają proporcjonalnie do liczby kradzionych na danym terenie pojazdów, a emocje sportowe rodzi nie talent zawodników, lecz ustawki bukmacherskie. Dzieła odwrócenia świata do góry nogami dopełnia wizja lewicowej młodzieży umierającej ze strachu przed biblijnym potopem oraz piekłem na ziemi, i hierarchów kościelnych pokładających zaufanie w emerytowanych esbekach, trudniących się „odzyskiwaniem” zagarniętych przez komunizm włości... Życie potrafi zaskakiwać, ale w przypadku Twojej osoby będzie to już dużo trudniejsze. Poznałeś te wszystkie

sekrety i zrozumiałeś mechanizm działania dzisiejszych małych i dużych nieuczciwości. Zgłębiłeś sposób rozumowania złodzieja po to, aby nie dać się już więcej nikomu okradać.

Znasz już też sposób myślenia sądu i wiesz, z jaką łatwością beneficjenci wielkich afer pozbawią materiał dowodowy waloru wiarygodności i dlatego świadkowie bezkarnie uchylą się od odpowiedzi na newralgiczne pytania. Oglądając telewizyjne wiadomości z łatwością przewidzisz, jak dana sprawa się zakończy i dlatego właśnie umorzeniem. Wolność dla liderów tzw. Mafii Paliwowej, członków zarządu Gangu Pruszkowskiego i licznych niegospodarnych urzędników państwowych staje się taka oczywista... Złudzenia gasną raz na zawsze. Niestety, nie jest też dla Ciebie tajemnicą, dlaczego komornik będzie bezbronny w starciu z Twoim dłużnikiem – zawodowym oszustem, ale może dzięki tej wiedzy oszczędzisz środki normalnie zmarnowane na zbędny proces sądowy i zaliczki akonto bezskutecznej egzekucji?

Jak długo funkcjonariusze organów ścigania i przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości nie nauczą się myśleć jak idący z duchem czasu przestępcy, tak długo ich ściganie i prewencja nie będą skuteczne. Jak długo uczciwi ludzie nie poznają sposobu myślenia złodziei, tak długo będą bezbronni, niczym dzieci w nocnej mgłę. By leczyć choroby musimy znać ich objawy i wiedzieć, co je powoduje. Wydajemy majątek na kampanię społeczną uświadamiającą starszkom ryzyko ze strony osób podszywających się pod ich wnuczków, ale nikt nie instruuje obywateli na co zwracać uwagę podpisując kontrakt lub udając się do sądu. Utrata emerytury to dla starszego człowieka tragedia, lecz bankructwo uczciwego przedsiębiorcy oznacza bezrobocie dla jego wszystkich pracowników, a nierzadko są oni jedynymi żywicielami rodziny. Tu szkodliwość społeczna czynu jest dużo większa, choć brak w nim elementów spektakularnych, a skutki rozciągnięte są na dłuższy

okres czasu. Skomplikowane przepisy, które teoretycznie każdy z nas ma obowiązek doskonale znać na pamięć, a nie radzą sobie z tym nawet profesorowie nauk prawnych, nie jeden raz doprowadziły do tragedii – merytorycznie niesłusznej, ale kwestie proceduralne są przecież ważniejsze od ludzkiego życia. Dlaczego nikt nie prowadzi kampanii uświadamiających w takim zakresie? Chyba głupio byłoby przyznać, że dzięki nieżyciowemu prawodawstwu istnieją „legalne oszustwa”, prokuratorzy ścigają się w umarzaniu prowadzonych śledztw, a sądy zachowują pełną bierność i wcale nie dbają o interes zwyczajnych obywateli.

Nie oburzaj się drogi Czytelniku, jeśli przypadkiem jesteś uczciwy. Nie wkładam w ręce oszustów i oprychów oręża przeciwko Tobie. Oni nie muszą czytać tej książki, doskonale znają arkana swego fachu. Za to Ty, nim zapalałeś do mnie świętym oburzeniem, też je poznałeś. A wiesz, co to znaczy? Już nie dasz się nabrać na ich sztuczki. Przyjąłeś szczepionkę, która ochroni Cię zarówno przed brutalnym przestępcą montującym butelkę pod błotnikiem Twojego samochodu, jak i cwaniakiem żerującym na ludzkiej naiwności – instalatorem niedziałających zabezpieczeń elektronicznych, prawnikiem obiecującym pewne „skazanie winnego”, czy politykiem ustalającym nieuczciwe reguły gry i wysoki socjal z Twojej kieszeni.

Nadal masz do mnie żal? Wolałbyś pozostać nieświadomy?

To podaj mnie do sądu...

Rozdział XXXXII

Do uczciwego przedsiębiorcy

Wiesz już, jak myśli oszust. W jaki sposób wykorzystuje ułomność polskiego prawa, jak manewruje spółkami z osobowością prawną, najmuje „słupów”, eliminuje wiarygodność materiału dowodowego, czy dlatego nie należy liczyć na skuteczną egzekucję komorniczą lub interwencję prokuratora w obronie Twojego mienia. Po lekturze *Podręcznika...* najpewniej w porę zauważysz, że Twój kontrahent próbuje wyprowadzić Cię w pole. Ale przezorny zawsze ubezpieczony, więc nawet gdy wszystko wgląda dobrze, zamiast ufać w ciemno, sprawdź swojego rozmówcę przed zawarciem umowy.

Krok pierwszy – dokładna kontrola powszechnie dostępnych danych rejestrowych. Najważniejszym zbiorem jest jawny Krajowy Rejestr Sądowy (KRS), gromadzący m.in. informacje o przedsiębiorcach prowadzących działalność gospodarczą w formie spółek osobowych i kapitałowych, spółdzielni, stowarzyszeń oraz fundacji. Akta przeglądać można bezpłatnie w bibliotekach Wydziałów Gospodarczych KRS Sądów Rejonowych, właściwych miejscowo dla siedziby podmiotu. Wydziały te zazwyczaj mieszczą się w stolicach województw, lecz np. na Śląsku gminy podzielono między wydziały katowicki i gliwicki. Pełny, jak i aktualny odpis akt można też za opłatą zamówić pocztą. Na co należy zwrócić uwagę? Na dokonane w ostatnim czasie zmiany zarządu i udziałowców, kilkuletnie „przestoje” w działalności, postępowania upadłościowe oraz datę rejestracji. Zupełnie wykluczyć trzeba zaufanie do spółek, których upadłości nie przeprowadzono z uwagi na brak majątku

wystarczającego do pokrycia kosztów likwidacji. Sygnał alarmowy włączać powinny podmioty uśpione, które przez kilka lat nie odnotowały w bilansach żadnego obrotu. Zmiana osób decyzyjnych oznacza faktycznie utworzenie nowej spółki, to ludzie stoją za polityką działania, a nie stare numery NIP i KRS. Jest to szczególnie widoczne w branżach usługowych i handlowych, gdzie kluczem są nie obiekty, wysokiej jakości złoże, czy zaplecze produkcyjne, a właśnie potencjał intelektualny konkretnych specjalistów. Należy wtedy traktować podmiot jak zupełnie pozbawiony doświadczenia oraz historycznej wiarygodności i z dużą ostrożnością podchodzić do jego referencji, nawet jeśli sama spółka powstała wiele lat wcześniej i cieszy się dobrą opinią oraz ogromnymi obrotami. Wcześniejsze dokonania nie oznaczają wcale, iż nowi reprezentanci będą kontynuować chlubne dzieło swych poprzedników. Świeżo zarejestrowana spółka również nie powinna wzbudzać wielkiego zaufania, zwłaszcza, gdy dysponuje niskim kapitałem zakładowym, albo wielkim, lecz wniesionym aportem w postaci np. autorskiego oprogramowania o nikłej renomie rynkowej, współczesnych dzieł sztuki, albo wiarygodności, których wartość nominalna jest zwykle imponująca, ale są one zarazem najpewniej zupełnie nieściągalne.

We wskazanych powyżej przypadkach decydująca pozostaje weryfikacja nowych członków zarządu i udziałowców. Czy są zdolnymi biznesmenami? A może ich dorobek to kilka bankructw lub co gorsza pierwszy raz objęli oni tak ważne stanowiska? Jeśli w grę wchodzi ostatnia opcja, to zapewne mamy do czynienia ze słupami. Rzetelni menedżerowie, nawet jeśli wcześniej pełnili funkcje na niższym szczeblu, chętnie sami pochwalać się doświadczeniem, wykształceniem i osiągnięciami. Pozwólmy im, zapytajmy. A potem oczywiście sprawdzimy każde ich słowo.

Niepokoić powinny wszelkie różnice pomiędzy znanym nam stanem faktycznym, a tym odnotowanym w rejestrach. Inne numery

KRS, NIP lub REGON, przy zachowaniu podobnych, niemal identycznych nazw, w 1% przypadków oznaczać będą podszywanie się pod oryginał na potrzeby bezczelnego oszustwa, a w 99% ujawnia, że weryfikowany kontrahent nie jest bezpośrednim wykonawcą danego projektu, lecz spółką-klonem. Odnotowuje się przypadki powoływania kilku identycznych spółek pod tym samym adresem z tą samą kadrą, a różnice ogranicza np. do umieszczenia w nazwie myślnika, zmiany szyku poszczególnych słów składowych, zastąpienia pełnych wyrazów uzupełniających skrótem literowym lub wzbogacenia pozornie neutralnym dodatkiem dookreślającym typu „*finanse*”, „*nieruchomości*” itp. W efekcie tego uczciwy przedsiębiorca często przekonany jest, że podpisuje umowę z w pełni wypłacalnym „*filarem*” danego przedsięwzięcia, a w chwili rozliczenia dowiadyuje się, że zobowiązanie cywilnoprawne przyjęła na siebie stojąca na progu bankructwa oddzielna spółka celowa, która jest jedynie marnym podwykonawcą bez jakiegokolwiek majątku. Fakt istnienia na rynku dwóch bardzo podobnych podmiotów różniących się drobiazgami, a operujących w tych samych branżach, także powinien być dokładnie wyjaśniony, co do charakteru ich wzajemnej współpracy lub konkurencji. Najlepiej u obu źródeł – wystarczy zadzwonić i zapytać o brata-bliźniaka.

Podobnie niepokoić powinna zbieżność daty rejestracji spółki z uzyskanym kontraktem, do realizacji którego poszukuje ona podwykonawcy. W realiach polskich często oznacza to tworzenie łańcucha osób prawnych w celu późniejszego przeprowadzenia kontrolowanej upadłości ogniów pośrednich, co uniemożliwi w przyszłości uzyskanie należnego wynagrodzenia. Równie podejrzany jest brak aktualizacji danych w rejestrze. Brak aktualnego adresu to najprostsza metoda utrudnienia egzekucji komorniczej, co nie świadczy dobrze o kondycji finansowej przedsiębiorstwa. Niekiedy też wizyta we wskazanej w aktach siedzibie ujawni, że tam właśnie

mieści się właściwa spółka, a rzekomy kontrahent to podszywający się pod nią oszust. Identyczne zastrzeżenia wzbudzić powinien brak zgodności nazwiska osoby zastanej w fotelu prezesa z tą odnotowaną w KRS-ie. Jeśli „inny” prezes podpisuje kontrakt, a inny formalnie pełni tę funkcję, to umowa taka może zostać w przyszłości skutecznie zakwestionowana. Niezgodność wynikać może z opóźnienia obiegu dokumentów, czyli załączenia do akt KRS np. wczoraj podjętych uchwał i formularzy zmieniających zarząd, ale równie dobrze dowodzić może próby oszustwa lub przygotowywania gruntu pod późniejszy spór sądowy kwestionujący obowiązek zapłaty.

Brak prawem wymaganych sprawozdań finansowych wskazywać może na próbę ukrycia katastrofalnej kondycji podmiotu, także celowo utrzymywanej na potrzeby późniejszego wyprowadzenia bieżących zysków kontrolowaną, „zaprzyjaźnioną” egzekucją komorniczą. Nakładane z tego tytułu kary pieniężne, sięgające ledwie paru tysięcy zł, nie odstraszą oszustów, gdyż zysk z jednego wprowadzonego w błąd kontrahenta to zwykle ich wielokrotność. Słowem, opłaca się zaniedbywać akta sądowe, ale uczciwi przedsiębiorcy tego nie czynią.

W przypadku działalności gospodarczej osoby fizycznej nie ma potrzeby wertowania akt w KRS-ie, wszelkie informacje uzyskamy on-line, z poziomu rządowej strony Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej:

www.ceidg.gov.pl

Niestety, od czasu reformy chroniącej „prywatność” nie odnajdziemy tam, często niezbędnego dla skutecznego wytoczenia powództwa, adresu zamieszkania przedsiębiorcy. Nie są oni też zobligowani do publikowania żadnych sprawozdań finansowych, czy informacji o zainwestowanym w działalność kapitale. Plusem zaś jest brak możliwości „sprzedaży” takiej firmy, żadne zmiany

kadrowe wewnątrz przedsiębiorstwa nie wpłyną więc na nieograniczoną odpowiedzialność majątkową właściciela, a zwykle też i na politykę prowadzenia działalności.

Następne źródło informacji to właściwy terytorialnie sądowy wydział ksiąg wieczystych lub udostępniony on-line elektroniczny rejestr Ministerstwa Sprawiedliwości:

<http://ekw.ms.gov.pl/>

Na naszej szerokości geograficznej pierwszym składnikiem majątku przedsiębiorstw, podlegającym drobiazgowej weryfikacji są nieruchomości. W przeciwieństwie do stanu kont bankowych, czy rachunków maklerskich nie są one chronione tajemnicą i każdy chętny może zapoznać się z wszelkimi informacjami na ich temat, a pozostają dużo łatwiejsze do identyfikacji od ruchomości i zwykle też przejawiają od nich dużo większą wartość. Poza własnością przedsiębiorstw kontroluje się też te budynki i grunty, które należą do osób odpowiadających za zaciągane zobowiązania całym swoim majątkiem, tj. wspólników spółek osobowych, członków zarządu spółek z o.o., a także samodzielnych przedsiębiorców. Zazwyczaj osoby obracające dużymi kwotami nie wynajmują lokum, a mieszkają we własnościowych apartamentach oraz willach, stąd ich adres zamieszkania będzie często jest zbieżny z identyfikacją prawa własności. W przypadku wspólników i członków zarządu będzie on zawsze ujawniony w aktach KRS. Niestety, od czasu zastąpienia EDG scentralizowaną ewidencją CEIDG nie jest już możliwe pozyskanie z tego poziomu prywatnych adresów ludzi prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą, lecz stosunkowo często jako siedzibę wskazują oni właśnie swój dom, więc warto ten adres także sprawdzić. Sam fakt zamieszkiwania w okazałej rezydencji nie stanowi jednak dostatecznego dowodu wypłacalności, stąd niezbędna jest weryfikacja stanu księgi wieczystej. Hipotetyczny, przyszły dłużnik może formalnie nie być jej właścicielem, a także, własność

obciążać może hipoteka, uciążliwa współwłasność lub służebność, co znacznie, niekiedy niemal do zera, ograniczyć może wartość rynkową. W czarnym scenariuszu nieruchomości mogła już dawno zostać zabezpieczona przez komornika i czeka tylko na licytację. Pamiętać też trzeba, że brak wspólnoty majątkowej małżonków wyklucza zajęcie własności żony dłużnika na potrzebę spłaty jego długów. Nawet więc spory majątek rodzinny nie zagwarantuje wypłacalności kontrahenta, jeśli przepisał wszystko na krewnych.

Księgi wieczyste nie są prowadzone według adresów, aby więc odnaleźć tą pożądaną, niezbędne jest wcześniejsze pozyskanie indywidualnego numeru działki lub lokalu we właściwym terytorialnie Starostwie Powiatowym (wydział właściwy rzeczowo dla zagadnień geodezji, kartografii i katastru). Numer ten nie podlega ochronie prawnej i udostępniany jest każdemu zainteresowanemu, podobnie jak wgląd do KW również nie wymaga wykazania interesu prawnego. Każda księga podzielona jest na kilka działów, ale tylko trzy z nich są istotne na potrzeby weryfikacji kontrahentów. Treść II działu wskaże aktualnych i poprzednich właścicieli nieruchomości. Z uwagi na tzw. skargę pauliańską warto zwrócić uwagę, czy nie została ona w ostatnim czasie przekazana, a zwłaszcza „w rodzinie”. Dział III obejmuje wpisy dotyczące ograniczonych praw rzeczowych i ograniczeń w rozporządzaniu nieruchomością lub użytkowaniem wieczystym, a także wpisy innych praw i roszczeń. Dział IV zawiera wpisy hipoteczne, czyli np. obciążenia kredytami, z których to możemy dowiedzieć się także na jakie kwoty i w których bankach kontrolowany kontrahent jest zadłużony.

Krajowy Rejestr Dłużników jest jako źródło informacji gospodarczej praktycznie bezużyteczny. Początkowa idea rejestru dawała nadzieje na ogólnopolską sieć informacyjną, eliminującą z rynku nieuczciwych biznesmenów, lecz praktyka okazała się bardzo smutna. Zbyt duże koszty wprowadzenia danych niesolidnego

kontrahenta do bazy, czy nawet kontroli konkretnego nazwiska, skutecznie odstraszyły drobnych przedsiębiorców. Tak więc w efekcie, zamiast rekinów gospodarczego podziemia znajdziemy tam głównie szarych obywateli, którzy nieopatrznie spóźnili się z opłatą rachunku za telefon lub za telewizję kablową. Często tak drobne długi nie są w ogóle windykowane, a dłużnik nawet nie wie, że jest w zwłoce z zapłatą, więc możemy tam odnaleźć także w pełni wiarygodnych finansowo kontrahentów.

Wiele podmiotów chwali się koneksjami i zrealizowanymi prestiżowymi projektami, co świadczyć ma o ich wiarygodności. Jednak okazywane referencje same w sobie nigdy nie pomogą w dekonspiracji oszusta. Każdy człowiek ma przyjaciół, krewnych, kontrahentów lub dłużników, którzy z uśmiechem na ustach zapewnią o uczciwości i solidności przedsiębiorcy. Czy zatem rezygnować z kontroli referencji? Nigdy. Przede wszystkim należy potwierdzić we wskazanych podmiotach sam fakt współpracy. Niektórzy liczą na ślepą wiarę w słowo pisane i przedstawiają sfalszowane listy rzekomo zadowolonych klientów, nierzadko wpisując największe tuzy swej branży. Po tej rutynowej weryfikacji należy dotrzeć do niewskazanych imiennie współwykonawców znanych już projektów. Z reguły ich ustalenie jest stosunkowo łatwe, a skoro nasz przyszły kontrahent pominął dane osoby i podmioty, to znaczy, że być może miał ku temu powód...

Internet to wszechpotężne źródło informacji wręczające świadectwa moralności i strącające fałszywe twarze. Podstawowym narzędziem wirtualnego świata jest popularna wyszukiwarka Google. Jako hasło wpisać w niej należy w różnych konfiguracjach konkretne personalia, np.: Jan Kowalski, Kowalski Jan, J. Kowalski. Weryfikacji podlegają samodzielni przedsiębiorcy, ich wspólnicy, członkowie zarządów i rad nadzorczych, a także nowi udziałowcy spółek kapitałowych oraz inne osoby mające realny wpływ na

wspólnie realizowane przedsięwzięcie. Jeden zatruty owoc skazić może wiarygodność całego drzewa, wystarczy bowiem jeden zdolny oszust, by wszyscy na interesach z nim stracili.

W sieci odnajdziemy informacje o dawnych inicjatywach gospodarczych. Historia pozwoli prognozować prawdopodobieństwo efektu aktualnie realizowanych projektów – czy poprzednie zbankrutowały, odniosły finansowy sukces, albo zakończyły żywot w wyniku prokuratorskiego śledztwa? Ważne są opinie klientów i współników chwalejących uczciwość i jakość pracy lub oskarżających o oszustwa albo brak profesjonalizmu. Niekiedy krytyka to tylko gorycz konkurencji lub spory na tle osobistym, lecz często selekcja plotek ujawni podstawy do ostrożności, a wręcz do kategorycznego zerwania wszelkich negocjacji biznesowych. Gdy komentator pozostawił adres e-mail lub istnieje z nim jakkolwiek inny sposób komunikacji, należy nawiązać kontakt i zweryfikować wiarygodność zarzutów lub pochwał.

Jeśli wyszukiwarka nie ujawniła nam satysfakcjonujących wiadomości według nazwiska, warto wpisać inne dostępne dane, np. nazwy podmiotów gospodarczych lub flagowych projektów, numery telefonów, adresy, e-maile, nicki itp. Często bowiem numer komórki dzierży człowiek-orkiestra, prowadzący różne interesy, także takie nielicujące z powagą głównej branży. Jeśli dysponujemy dostateczną ilością czasu – minimum kilka dni – dobrym sposobem będzie też opublikowanie anonimowych zapytań na branżowych portalach internetowych i forach. Anonimowość rodzi szanse na szczerość wypowiedzi. W mniej rozdrobnionych branżach odzew jest niemal pewny.

Trudno nazwać rozsądnym oparcie zaufania na pierwszym wrażeniu, a raczej olśnieniu, szatą graficzną firmowej strony www, choć wiele osób właśnie tak czyni. Dziś oszałamiającą animację w technologii Flash wykonać może 14-letni chrześniak kontrahenta, a

w niej mikroprzedsiębiorstwo wykreować na międzynarodową korporację. Natomiast solidny podmiot, nieprzywiązujący wagi do wirtualnej estetyki, lecz do rzetelnej pracy, odstraszać może skromnością opracowania witryny. Dlatego też wizyty na oficjalnych stronach traktować należy jak lekturę zwyczajnej ulotki reklamowej i wbrew pokusom nie łączyć wirtualnego rozmachu z rzeczywistą zamożnością. Nie znaczy to jednak, że materiały marketingowe nie mają dla weryfikacji żadnej wartości. Przeciwnie. Niezwykle istotne są bowiem chociażby zawarte w nich dane kontaktowe – szczególnie adresy pozostające w sprzeczności z danymi rejestrowymi, a także personalia osób funkcyjnych, rzekomych inwestorów i kontrahentów oraz publikacje identyfikujące realizowane lub zrealizowane w przeszłości projekty, bądź posiadany majątek: działki inwestycyjne, specjalistyczny sprzęt, patenty, licencje itp. Wczytując się w ofertę łatwo też oddzielić można racjonalne propozycje od tych, żerujących na naiwności potencjalnych klientów. A skoro ktoś jest nieuczciwy w jednych relacjach handlowych, to dlaczego mielibyśmy wierzyć w jego uczciwość w innych? Ludzie rzadko dzielą swą moralność, a lojalni ciemnej karcie oszuści równie wiernie oddają się grze z każdym kontrahentem i w każdej dziedzinie życia.

Po kontroli ogólnodostępnych źródeł informacji pisanej pozostaje ostatni krok, czyli wizja lokalna – zwłaszcza prywatnego adresu osoby ponoszącej odpowiedzialność majątkową. Nie ma to zbyt wiele wspólnego z niebezpieczną i ekscytującą pracą detektywa, raczej nastawić się należy na rzeczową ocenę zastanego miejsca. Być może natrafimy na okazały dom, nowoczesne warsztaty i magazyny, albo mizerną, zasypaną śmieciami działkę zabudowaną drewnianym barakiem. Pierwszy rzut oka dostarczy nam więcej informacji o ewentualnym partnerze biznesowym, niż stosy przekopanych papierów. Dla bardziej śmiałych (i dysponujących wystarczającą ilością wolnego czasu) zarezerwowana jest rozmowa z okolicznymi

mieszkańcami. Zwłaszcza osoby starsze chętnie zdadzą szczegółową relację z życia interesującego nas człowieka. Opowiedzą o jego charakterze, przyzwyczajeniach, kontaktach towarzyskich, czy też np. o wizytach komornika lub Policji.

Gdy już wiemy z kim mamy do czynienia i mimo tego nadal chcemy nawiązać współpracę, zadbać należy o odpowiednią umowę. Zawsze musi być ona opatrzona podpisami osób umocowanych do składania w imieniu danego przedsiębiorcy oświadczeń woli, a jeśli dla ważności wymagana jest większa ilość podpisów, to wszystkie bezwzględnie muszą zostać złożone. Nie ufajmy ustaleniom „na gębę”, nie zaczynamy prac bez pisemnych uzgodnień określających zakres zamówienia, warunki realizacji i wynagrodzenia. O tej podstawowej kwestii nie pamięta wielu doświadczonych przedsiębiorców, a później latami muszą oni dochodzić w sądach swych racji. Jak to się kończy – wiemy z lektury pierwszych rozdziałów. Wszelkie więc ustalenia, nawet jeśli zostały powzięte drogą mailową, należy przy pierwszej okazji potwierdzać tradycyjnym pismem. Gdy zaś kontrahent przestaje na bieżąco płacić... po prostu kończmy pracę. Nie warto inwestować w cudzy majątek. Nie warto wierzyć w przyszłe rozliczenia.

Pamiętajmy, że jeśli tylko z jakiegoś powodu, obiektywnego, czy też subiektywnego, ujawnione w trakcie weryfikacji informacje napawają niepokojem, rozważyć trzeba rezygnację z kontraktu. Każde zlecenie to nie tylko potencjalny zysk, ale i ryzyko utraty zainwestowanego w nie kapitału własnego, a dla małych, rodzinnych przedsiębiorstw często oznacza to bankructwo. W zamówieniu o wartości brutto np. miliona zł, dochód ponad nakładami niezbędnymi na realizację usługi materialnej lub dostawę towaru to przeciętnie około 10-20% wystawionej faktury. Oznacza to, że brak rozliczenia nie przyniesie straty rzędu spodziewanych stu czy dwustu tysięcy zł, **na czym często błędnie skupiają się przedsiębiorcy**, ale obowiązek

zapłaty z własnej kieszeni pracownikom, dostawcom towarów i surowców, czy pokrycie kosztów podatku, energii elektrycznej i paliwa, czyli łącznie około ośmiuset-dziewięciuset tysięcy zł. Tyle, ile wynosi dorobek życia typowego polskiego małego przedsiębiorcy. O tym ludzie nie pamiętają, widzą tylko ilość zer na kontrakcie. A później ogłaszają upadłość i muszą się wyprowadzić z rodzinnego domu – właśnie sprzedanego za bezcen na licytacji. Od nierzetelnego kontrahenta oczywiście nie odzyskają nigdy ani grosza... Dlatego powszechnie praktykowana w dobie kryzysu filozofia rozpaczliwego chwytania się każdego dostępnego na rynku zlecenia ustąpić powinna miejsca rozsądnemu dystansowi, ochronie już posiadanego majątku oraz niemarnowaniu mocy przerobowych. Lepiej nie zarobić, niż stracić. Wszystko.

Rozdział XXXXIII

Do polityków

Istota wolnego rynku pokrywa się z założeniami rezerwatu dzikiej przyrody. Wycinanie drzew jest zabronione, mogą one swobodnie wzrastać, rozwijać się i, gdy nadejdzie ich czas, usychać. Jedynie w wybitnie uzasadnionym przypadku, jakim jest zaraźliwa choroba jednostki, leśnik – czyli państwo – może i powinien ingerować. Co jednak zrobić, gdy gwarant spokojnej egzystencji nie zamierza wywiązać się z obowiązków, a wymiar sprawiedliwości nader aktywnie ściga uczciwych biznesmenów, takich jak Roman Kluska, którzy zamiast zapłacić łapówkę wolą odprowadzić podatek? Nagroda to zatrzymanie przez uzbrojonych po zęby antyterrorystów i próba konfiskaty majątku. Rodzime sądy uznały też za konieczne wymierzenie sprawiedliwości emerytce, winnej uszczuplenia daniny państwowej o 2 grosze. To tylko czubek góry usypanej z akt umorzonych śledztw, w których choć faktycznie okradziono obywateli oraz Skarb Państwa, to w białych rękawiczkach i w pełni legalnie. Zamiast zmienić przepisy, zmienia się tylko dłonie w tych rękawiczkach. Czyżby nadal pokutowało znane z PRL-u przeświadczenie, że prywatny przedsiębiorca to spekulant żerujący na ludzi pracującym, więc i dobrze mu tak?

Wbrew optymistycznym zapewnieniom, składanym przez Was – polityków, obywatele wcale nie wierzą już władzy. Wolą zapłacić haracz lub łapówkę, niż podatek, co samo w sobie wyznacza kierunek ewolucji społeczeństwa w stronę wzorca sycylijskiego. W najbliższej przyszłości dojdzie w Polsce do znacznego wzrostu

liczby popełnianych przestępstw, zwłaszcza tych związanych z obrotem gospodarczym, a także ewolucji jakościowej. Im większe straty, tym bardziej bezczelna forma wyłudzenia i większa kompatybilność z literą prawa. Postępujące zubożenie Polaków, zwiększane pod różnymi pozorami daniny publiczne oraz nadmierne ograniczenia prawne tłumiące przedsiębiorczość, motywować będą do jedyne go pewnego sposobu zdobycia pieniędzy – kradzieży. Mniej zdolni popełnią występki kryminalne i trafią z tego powodu do rejestru skazanych przekreślając swoje życie, a tymczasem oszuści w białych kołnierzykach bezkarnie odbiorą ostatnim uczciwym ludziom resztki ich majątków. Tymczasem policjanci w filmowym stylu dadzą wycisk tym pierwszym – skutym kajdankami. Przecież koledzy potwierdzą, że obrażenia ciała powstały u zatrzymanego w wyniku stosowania „*chwytów obronnych*”, sprowokowanych wyłącznie jego agresywną postawą. Jednak każda podłość wraca do źródła. Taka niesprawiedliwość będzie rodziła coraz większą frustrację społeczeństwa, co pewnie znajdzie przełożenie na dalsze protesty organizacji takich jak Solidarność, a z czasem na ponowną brutalizację dołów świata przestępczego i kreację terroryzmu samotnych wilków w stylu norweskiego Breivika, czy zabójcy z łódzkiego biura poselskiego. Nieuczciwa gra prędzej, czy później, zemści się na przedstawicielach władzy, ale wtedy na naprawę będzie już za późno. W gazetach pojawią się szokujące tytuły opisujące „*wielką tragedię*”, za którą elity winą obarczą tych społecznie niezaradnych. Tych, którzy utracili sądownie swe majątki z powodu np. prekluzji dowodowej, orzeczenia sędziego będącego ignorantem w rozstrzyganej dziedzinie, albo tych, co wezmą w akcie desperacji we własne ręce wymierzenie „*legalnemu*” złodziejowi sprawiedliwości. Tych zagubionych w narzuconych odgórnie skomplikowanych regułach, niezrozumiałych nawet dla adwokatów i sędziów. Wtedy w telewizji pojawi się paru mędrców potępiających

roszczeniową postawę drobnych przedsiębiorców, robotników i bezrobotnych. Dla zwiększenia „bezpieczeństwa” ktoś znów zaproponuje rozszerzenie uprawnień służb mundurowych i specjalnych, intensyfikację inwigilacji społeczeństwa, ograniczenie swobód obywatelskich i prawa do zgromadzeń, czy eliminację wolności słowa, by „*nie podburzać tłumu*”. Ale nadal wolno będzie „*kraść*”. Restrykcje dotkną nie tych, którzy skrzywdzili uczciwych ludzi, tylko po raz kolejny tych już wcześniej skrzywdzonych.

Naprawdę tego chcecie? Prymatu niezrozumiale chłodnego i nieludzkiego prawa ponad człowieczeństwem, elementarną moralnością oraz rozsądkiem? Mam szczerą nadzieję, że nie, bo dla tego czarnego scenariusza wciąż jeszcze istnieje alternatywa, wymagająca jednak dużej ilości dobrej woli i ciężkiej pracy.

Drodzy politycy, jeśli chcecie być szanowani przez zwykłych ludzi, a nie bogaczy, pseudo-inteligenckie towarzystwa wzajemnej adoracji, stronnictwa regionalne i religijne, popularnych dziennikarzy, czy nawet lidera swego ugrupowania, podejmijcie ponadpartyjną inicjatywę legislacyjną. W obecnym stanie prawnym nie jest możliwe proste zneutralizowanie czynników, dzięki którym Polska staje się niechlubnym rajem dla złodziei, a uczciwa młodzież, choć z dywizjonem 303 bynajmniej nie ma nic wspólnego, upatruje przyszłości w Wielkiej Brytanii. Poza wyższymi zarobkami chcą żyć na Zachodzie, bo tam władza nie traktuje ich jak nieporadnych idiotów, a przedsiębiorstwa budujące drogi nie bankrutują ilekroć nadejdzie dzień rozliczeń z pracownikami i podwykonawcami.

Sytuacji nie uzdrowią doraźne, niekonstytucyjne, zwyczajnie niedojrzałe merytorycznie i fragmentaryczne ustawy, stanowiące raczej próby czasowego uspokojenia wyborców, niż reformę od lat niewydajnego systemu. Niezbędna jest świadoma nowelizacja prawa karnego w zakresie przestępstw gospodarczych, tak by uwzględniało ono kolosalne zmiany, jakie nastąpiły w polskiej gospodarce od 1969

roku, a także czynniki kryminologiczne, ekonomiczne, polityczne i społeczne. Nieżyciowe przepisy podatkowe skorelować należy z potrzebami przedsiębiorców, którzy w wolnorynkowych państwach odpowiadają za rozwój i finansowanie kraju. Niższe obciążenia fiskalne zmniejszają szarą strefę i powodują wzrost opodatkowanej konsumpcji oraz inwestycji, co przekłada się, wbrew pozorom, na wyższe wpływy budżetowe i niższe bezrobocie, a zarazem na spadek liczby popełnianych przestępstw skarbowych. Gdy oszczędność płynąca z oszustwa podatkowego jest zbyt niska, wtedy nie warto go popełniać.

Obciążenie urzędników państwowych i polityków indywidualną odpowiedzialnością za karygodne zaniechania, konsekwentne zwiększanie transparentności działań władz oraz zaostżanie odpowiedzialności karnej funkcjonariuszy publicznych, w tym szczególnie z organów ścigania, uczyni stosunki na linii władza–obywatele uczciwymi. Polskie urzędy nie ufają obywatelom, a jednocześnie pragną pełnego zaufania do własnej pracy, szacunku, akceptowania bez sprzeciwu ich żądań i ograniczenia kontroli społecznej, a to przecież z tego samego – rzekomo niegodnego zaufania – społeczeństwa rekrutują swe kadry. Takie postulaty są więc nie do pogodzenia z zasadami logiki i sprawiedliwości. Symboliczne wręcz sankcje lub zupełny ich brak stają się idealnymi podwalinami dla powszechnej korupcji i kumoterstwa, a te wcale nie są niegroźnymi czynami „*bez ofiary*”, lecz nowotworem niszczącym w materii gospodarczej uczciwą konkurencję, poprzez eliminację z rynku najlepszych i uczciwych oferentów. Zaś w sferze politycznej godzą w fundament ustroju demokratycznego, czyli równe traktowanie obywateli, bez względu na ich status majątkowy, pochodzenie, czy powiązania towarzyskie.

Ustawa o ochronie danych osobowych wydaje się wcale nie chronić prywatności – młodsze osoby z własnej woli zakładają jawne

profile na facebook-u, a starsze same wpisują swoje nazwiska na publicznych spisach lokatorów i abonentów telefonicznych, na wypadek gdyby ktoś ich szukał. Z tajemnicy korzystają urzędnicy państwowi, którzy bez przetargu podpisali kontrakt na 756 milionów zł z bankrutującą spółką DSS reprezentowaną przez byłego premiera. Z tego samego powodu nie jest możliwe wyszukiwanie spółek w KRS-ie po nazwiskach członków zarządów, czy udziałowców, choć selekcja taka od razu oddzieliłaby amatorów i seryjnych „*slupów*” od doświadczonych biznesmenów oraz notorycznych bankrutów od skutecznych inwestorów. Podobnie kłóci się teoretyczna jawność sentencji wyroków sądowych z brakiem możliwości samodzielnego sprawdzenia jedynie faktu karalności wybranego człowieka. Wieczną stygmatyzację eliminuje przecież zatarcie skazania po kilku latach uczciwego życia, więc trudno zrozumieć, jaki interes przemawia za doraźną ochroną „*prywatności*” przestępcy. Gdyby rejestr skazanych nie był zamknięty dla obywateli a dostępny on-line, zapewne wielu z nich nie powierzyłoby całych majątków parabankom i developerom, założonym przez wielokrotnie skazanych i to właśnie za przestępstwa przeciwko mieniu. Istnienie tych barier oznacza, że przyjęte obecnie rozwiązania prawne nie służą uczciwym obywatelom i przedsiębiorstwom, a są furtką umożliwiającą działanie na ich szkodę. Protestantckie państwa północy przyjęły pełną jawność tak życia publicznego, jak i większości informacji na temat swych mieszkańców. W Szwecji odważono się nawet upubliczniać treści zeznań podatkowych osób fizycznych, nie są też tajemnicą dochody przedsiębiorstw. Wiadomo, kto jest wypłacalny i do jakiej kwoty, każdy z łatwością też może odróżnić „*slupa*” z nizin społecznych od rzetelnego biznesmena. To, co dla polskiego obrońcy prywatności wydaje się najgorszym koszmarem, czyni kraje północy enklawami niemal wolnymi od przestępczości i korupcji, a także słynącymi z rzetelności gospodarczej. Dość powiedzieć, że tam

praktycznie nie prowadzi się działań windykacyjnych. Gdy kontrahent nie płaci, to znaczy, że już zbankrutował i to wcale nie pozornie. Trudno oszukiwać i ukryć złą sławę, gdy każdy ma prawo wiedzieć o kontrahencie niemal wszystko. Cień i anonimowość skrywają patologię, jawność zmusza do cnoty.

Ostatni krok to przebudowa filozofii funkcjonowania polskich sądów i samej procedury cywilnej. Obecny system zapewnia ochronę praw wyłącznie prawników i złodziei, jest niezmiernie kosztowny i represyjny względem tych, którzy mają pecha źle zredagować pozew lub nadmiernie zawierzyć w dociekliwość sędziego. Pora głośno powiedzieć, że w demokratycznym państwie prawa to nie uczciwy obywatel jest dla sądów, ale sądy dla niego. To nie on ma się bać skomplikowanych procedur, tylko konsekwencji swych czynów nieuczciwy kontrahent, który kłamie, przedłuża postępowanie i bezzasadnie unika należnej zapłaty. Chyba współczesne demokracje europejskie już dojrzały do tego, by zrównać w pełni świadomy brak należnego rozliczenia (w przypadku faktycznego posiadania wystarczających na ten cel środków) z przestępstwem kradzieży. Od Was, a raczej bezpośrednio od Ciebie, drogi czytający te słowa polityku, zależy, czy staniesz po stronie tych, którzy za swoją ciężką pracę nie dostają zapłaty, czy tych, którzy korzystając z prawa do prywatności i dziurawych procedur piją drinki na Malediwach śmiejąc się z cudzej uczciwości.

PODSUMOWANIE

✓ Prawo karne wymaga wprowadzenia nowego przestępstwa: odmiennego od kryminalnego oszustwa gospodarczego, dostosowanego co do znamion do współczesnych realiów społecznych i gospodarczych

✓ Ustawa o ochronie danych osobowych nie spełniła swych oczekiwań, zapewnia „*prywatność*” głównie oszustom

✓ Jawność sentencji wyroków sądowych to fikcja, gdy obywatel nie ma możliwości zweryfikowania karalności swego kontrahenta, sąsiada czy nawet partnera życiowego

✓ Faktyczny prymat kwestii proceduralnych ponad zasadą prawdy obiektywnej oraz nierealne oczekiwanie, by każdy obywatel znał dziesiątki tysięcy przepisów, czyni prawo cywilne pojęciem opozycyjnym do sprawiedliwości, a proces sądowy uwłaczającym dla uczciwych obywateli

✓ Obowiązek składania w trakcie procesu zgodnych z prawdą wyjaśnień, co do sprawy, i zakaz zatajania czegokolwiek, wynikający z art. 3 kpc, obarczyć należy dotkliwą sankcją

✓ Uproszczenie sposobu rozliczania, ujednolicenie stawek i obniżenie podatków oraz akcyz pozostaje niezbędne dla ograniczenia przestępstw skarbowych i szarej strefy

✓ Należy niezwłocznie usunąć obowiązek odprowadzania VAT-u od nieopłaconych przez klienta faktur i jednocześnie możliwość uzyskiwania przez nabywcę zwrotu VAT-u z nierozliczonych zamówień

✓ Zwalczanie procederu prania brudnych pieniędzy poprzez monitorowanie wszelkich wpłat jest nierealnym, a przez to kryminogennym, pozorowaniem „*panowania nad sytuacją*”

✓ Deklaracje o spadającej liczbie przestępstw kryminalnych

nie uwzględniają ewolucji przestępczości zorganizowanej do czynów o charakterze ekonomicznym

✓ Napad na bank to kradzież 20 000 zł, zwracanych pokrzywdzonej instytucji z polisy ubezpieczeniowej. Oszustwo przy budowie autostrady to co najmniej kilkadziesiąt milionów zł strat, upadłość wielu uczciwych podwykonawców, likwidacja kilkuset miejsc pracy i zwykle identyczna liczba rodzin pozbawionych źródła utrzymania

✓ Urzędnik państwowy nie jest powołany do panowania nad poddanymi, lecz służby narodowi – gdy niełojalność nie jest obciążona sankcją, funkcja deprawuje i skłania do nadużyć

✓ Jawność i transparentność w dużo lepszy sposób ograniczają korupcję oraz oszustwa od beztroskiego mnożenia procedur i zakazów, które dobry prawnik i tak z łatwością ominie

✓ Wolna konkurencja eliminuje z rynku nierzetelnych przedsiębiorców lepiej niż odgórne regulacje, w interesie uczciwych uczestników obrotu gospodarczego leży swoboda dystrybucji informacji i znikome bariery wejścia na rynek

✓ Prokurator nie zdoła dostrzec finezyjnych przestępstw gospodarczych, jeśli sam nigdy nie prowadził działalności gospodarczej i w drodze praktyki nie zrozumiał realiów danej branży

✓ Zawodowi przestępcy liczą pieniądze i ryzykują wtedy, gdy jest to opłacalne – rozbij pozytywny rachunek ekonomiczny danego przestępstwa, a ono niemal całkowicie zaniknie

Niestety, nikt nigdy nie wyeliminuje przepisów
sprzyjających popełnianiu przestępstw.

Dla pieniędzy ludzie gotowi są pójść na wszystko...

Pytanie, czy też pójść do uczciwej pracy?

Wydawnictwo MEDIA POLSKIE
Radom 2012

© Copyright by Kazimierz Turaliński 2012
ISBN 978-83-925811-9-2

(tunridamga@o2.pl)

Publikacja ta stanowi własność intelektualną Autora oraz wydawcy, wykorzystanie jej niezgodnie z przyjętymi normami poszanowania praw autorskich jest zabronione. Kupując niniejszą publikację zgadzasz się szanować prawa autora do wynagrodzenia i oświadczasz, że nie będziesz rozpowszechniać w sposób nielegalny jej kopii. Pamiętaj, że zakupiony egzemplarz zawiera Twoje dane, co ułatwi jednoznaczne zidentyfikowanie sprawcy piractwa, które jest przestępstwem.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All rights reserved.

Redakcja wydawnictwa e-bookowo